

Alex Rifle

.Com Tajemnica Internetu

.Com - The Mystery of the Net

Tłumaczenie

Andrzej Weiss



Tajemniczość - myśl przewodnia tej książki - jest zjawiskiem niedocenianym, a manipulującym umysłem, gdy rodzi stany napięcia emocjonalnego, zaś jej magnetyczny biegun Zła wpływa raczej destrukcyjnie na naszą osobowość. Jest rzeczą naturalną, że rozmyślając o Tajemniczości, często ustosunkowujemy się do tajemnic - własnych lub obcych - jak do czegoś okresowo przyjemnego lub niemilego, aby po przeżyciu największego zainteresowania znowu oddychać swobodnie. Przyjmując umownie za niezbędny przejaw naszej zdrowej psychiki uczucie niechęci do tych, którzy przesadnie uwielbiają sekrety, nasza tajemnica stanowić będzie wyzwanie dla złoicy wirtualnego. Istoty tego założenia nie zmieni żartobliwe dopelnienie, że jest on złodziejem, który kradnie nam czas po raz ostatni. Podczas gdy każda tajemnica skierowana jest przynajmniej przeciwko jednemu człowiekowi, Tajemnica Internetu - a wyobraź sobie Internet za trzydzieści lub pięćdziesiąt lat - godzi w jądro samego człowieczeństwa, i wynurzając się na światło dzienne przed oczami milionów ludzi, staje się tyleż powszechna, co niedostrzegalna dla jednostki. W tym właśnie tkwi jej sperogroza, niczym w bezkresnym błękitnie nieba tuż przed wielkim wybuchem, którego zupełnie się nie spodziewaliśmy, ponieważ nic nie było naprawdę tym, czym się wydawało.

Ponoć ciekawość to zdrowy odruch w GRZE - dziwne rzeczy dzieją się tak po prostu, częściej niż się ludziom wydaje...

*

BUM! - Porażające uderzenie psychotropowego młota w synapsy było zazwyczaj śmiertelne dla zwykłej rzeczywistości, w której żył Alex Rifle. Za to teraz, we śnie Aleksa, jawiło się wspaniale jego cybernetyczne echo odbijające się o mury wszystkich witryn do tej pory oglądanych przez Aleksa w Internecie: Sperogra, Sperogra, Sperogra... Dzięki niej, całe twoje życie, Alex, ma szansę nie okazać się oszustwem marzeń. Czy będziesz czerpał większą przyjemność z każdego darowanego dnia starości niż z tej intranetowej dezynwoltury mediów, którą odczuwasz teraz, we śnie? Czy jako człowiek masz coś do uratowania z samego siebie? Odpowiedź jest jak poker: żeby się dowiedzieć, a co za tym idzie odkryć Tajemnicę Internetu, trzeba zapłacić... intelektem. Niczym więcej.

*

Alex Rifle obudził się z niespokojnego snu z wrażeniem proroczej przepowiedni, że być może nie zmarnuje życia. Oraz że po twarzy głaszcze go puszysty ogon Leona. I tak też było, przynajmniej, jeśli chodzi o kota, ale mogło być w istocie snem, gdyż noc trwała zaledwie

kilka... sekund - a co najmniej kilkanaście tysięcy długich sekund sperogrozy oniryzmu... Śnij, jeszcze śnij, marzycielu, swoje sfatygowane historie, podszeptywały mu muszle leżące na brzegu pobliskiego oceanu. (Przekaz podprogowy: Nasz Dom Wariatów głośuje na Putina!)

Wysokie czoło miał lekko wilgotne od potu po zbitej przez aspirynę grypowej gorączce, a serce coś podejrzanie szybko waliło mu w skroniach. Tak, na pewno przyśnił mu się jakiś rosyjski koszmar. (Przekaz podprogowy: Rosja - bomba z opóźnionym zapłonem?) Wsłuchał się w cichutkie pochrapywanie swojej żony Sonii, śpiącej obok, i w plusk małych fal uderzających o drewniane pale, na których osadzony był taras widokowy w tym starym domu. Za dwuskrzydłowym oknem wszystko zdawało się być w porządku. Świat nadal się kręcił, a mimo to Alex nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w mroku sypialni, w którym wszystko widział tak dokładnie jak jego czarny kocur Leon, dzięki zmutowanemu, unikalnemu genowi, objawiającemu się raz na miliard narodzin, już czaiło się niebezpieczeństwo. Śmiechu warte! - próbował bagatelizować to przecucie. Strach i niebezpieczeństwo - życie to dużo więcej! Pod warunkiem, że już nie śniesz, Alex.

Noc powoli jaśniała blaskiem wschodzącego księżyca w pełni, gdy Alex ostrożnie, nie budząc żony podniósł się z łóżka. A jako dość niski i szczupły facet uczynił to z właściwą sobie gracją. Założywszy ciepły, welurowy szlafrok, przeszedł do gabinetu, gnany niepokojem twórczym. Sadowiąc się w obrotowym fotelu najchętniej powiedziałby sobie, że szykuje się na pełnię szczęścia, gdyby nie przesądność, która kazała mu załadować do wizyafonu płytę CD z „Tajemniczą Grą”. Dobry Boże, pozwól mi odnieść sukces, pomyślał, ale nie rozwinął tej myśli, by nie zapeszyć, nie zgubić radosnego nastroju, nie zapodziać nastawienia na ten konkretny cel. (Przekaz podprogowy: Jaka będzie Rosja po Putinie?) Z tą myślą wstał z fotela i udał się do kuchni, by zaparzyć mocną kawę z mlekiem. Zapłać nam, żeby wejść do rosyjskiej strefy Gry, podszeptywały muszle kusząco.

Wrócił do gabinetu i uchylił okno by przewietrzyć pokój. Usiadł w fotelu i zlustrował świat za szybą: pokryty szronem drewniany pomost wybiegający w morze jak bukszpryt wielkiego galeonu; wkomponowany w taras widokowy, solidny maszt z prywatną banderą Aleksa na szczycie. Na tle wolniutko nastającego świtu lśnił srebrzystą bielą, jak gdyby był pokryty pajęczą nicią. Wszystko gra jak należy, wmówił sobie. Potem wychylił się w fotelu, aby przesunąć kwadratowe okienko w wiszącym na ścianie kalendarzu na piątek, pierwszego stycznia 2013 roku. Pechowego roku? - na zasadzie sprzężenia zwrotnego przekornej wyobraźni zainspirował podświadomość. (Przekaz podprogowy: Więcej o Rosji!) Był pisarzem, a pech to ich żywioł, to dar losu, jego przekleństwo. Na przykład, gdy się nie przestrzega zakazu: Nie pisz powieści, która zaczyna się od snu, bowiem opowieść musi

brzmieć w pełni wiarygodnie. A jużci! Guzik prawda! Wracając do wygodnej pozycji w fotelu, w uszach słyszał ciszę domostwa i - choć pewnie tylko tak mu się zdawało - był gotów przysiąc, że czuł też zapach perfum Rosemary.

Zerknął na nią i... od razu cofnął wzrok.

Pierwsze ugryzienie jest zwykle bezbolesne.

*Wiadomo, co znaczy. Jedynie **magik Nikolaj** mógł zapobiec tej zbrodni.*

Za uchylonym w pionie oknem wiał rześki północny wiaterek, powodując, że nocne powietrze było kryształowo przejrzyste. Na delikatnie pomarszczonej, kobaltowej tafli Oceanu Atlantyckiego, jak okiem sięgnąć po mało wyraźny w oddali horyzont, nie migotało żadne światełko. Pod promieniami słońca na bezchmurnym, powoli jaśniejącym wschodzie, nad zazwyczaj szarpanym wichrami przylądkiem Corn i rozciągającym się na południe od niego niewielkim portem w miasteczku Cornville w stanie Maine, budził się mroźny zimowy dzień.

Pierwszy Dzień Szczęśliwego Nowego Roku - zaczarował go w myślach, nie z obawy, że może okazać się najgorszym z najgorszych dni, a jedynie... na wszelki wypadek. Bo jeśli chodzi o demony pecha, te w większości kryły się prawdopodobnie w jego głowie.

Na parapecie w narożniku okna stała figurka wyrzeźbiona w jasnobrązowym drewnie, przedstawiająca niezwyklej urody kobietę, okrytą pelerynką, ze słomianym kapeluszem na głowie, odsłoniętymi piersiami i sarongiem owiniętym wokół bioder. W sumie sprawiała wrażenie wyjątkowo delikatnej, niemalże półprzejrzystej, i dlatego groźnej jak fetysz o imieniu Aila. - Ej, ty! - zdawały się wołać jej orzechowe oczy i pełne usta. - Ile mam jeszcze tutaj stać, ty blamzio? Ja dużo widziałam. Wszystko widziałam. Ja wiem wszystko, co tu się działo, ty złamasku. Jesteś za głupi, by żyć, skoro porywasz się z motyką na słońce, żeby zneutralizować Sperogry! Kiedyś wszystko będzie się robić przez Internet. Nie tylko informować, kupować, sprzedawać, płacić rachunki, telefonować, podrywać, infiltrować, ale i głosować w wyborach prezydenckich oraz wszelkich innych, odrabiać lekcje, modyfikować ustawy, a przede wszystkim grać w Sperogry i nawet uprawiać seks czy mordować. Nie graj w tę Sperogrę, bo zginiesz! Rosjanie nigdy nie wybaczą! Ka-pu-jesz? Jednak Alex nie pokwapił się z odpowiedzią...

Spoglądając w ciemną, głuchą przestrzeń za oknem w szybkim tempie popijał kawę nie potrafiąc zagłuszyć w sobie przeczucia nieuchronnego niebezpieczeństwa, które mu groziło. Do tego momentu popełnił tylko cztery grube błędy. Pierwszy polegał na tym, że w ogóle wmieszał się w całą tę przekraczającą ludzkie pojęcie chińsko-rosyjsko-amerykańską internetową aferę, nawet jeśli robił to dla dobra ojczyzny. Drugi, że nie wycofał się z niej po znalezieniu zwłok Henry'ego Pellowa. Trzeci, że pozwolił prezydentowi Obamie zorientować

się, iż wie, o co naprawdę mu chodzi. Czwartym, najgorszym błędem, była zgoda na zagranie-testowanie tej cholernej Spero gry nazwanej „Tajemniczą Grą”, skoro jest rzeczą równie przebiegle rozsądną ukazać jakiś rodzaj uzależnienia poprzez inny, jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście, przez coś innego, co nie istnieje wcale. Innymi słowy, z tego punktu widzenia, wszyscy Gracze będą w błędzie grać, a ich odczucia i osądy będą domagać się wirtualnej rewizji już po rozegraniu preludium Gry. Tylko że... czy wtedy nie będzie na to za późno? Może lepiej byłoby, gdyby nie zagrał...? Nie, musi zagrać! Ameryka nie jest jeszcze przygotowana na konfrontację z tym, co robił naprawdę, dlatego ta pierwsza w historii świata Spero gra nią wstrząśnie. W bezliku wątków i psychologizmów, nic w niej nie jest tym, czym się wydaje, zupełnie jak w obłędnie prawdziwym życiu. Jednakże najważniejsza jest niezniszczalna Tajemnica Internetu - poprzedzanie: psychoalbedo, ukryta... w kuluarach tej Spero gry. Jest tam bezpieczna, ponieważ nikt w nią nie uwierzy - oscylując pomiędzy PĘTLĄ a PREMIĄ w Grze zwanej Życiem - nawet wtedy, gdy sam doświadczy jej ostrza, jako że każdy ruch Gracza w Internecie pozostawia w Sieci ślad... do analizy.

Spero gra przypomni ludziom, jak niezwykle cienka jest otoczka cywilizacji pokrywająca świat, gdy choćby tylko **EKSPERYMENT** - Internet to tak groźna „broń masowego rażenia” w rękach **SYSTEMU**, że nasza świadomość nie przyjmuje tego zagrożenia do wiadomości. Jednak praktyczne zalety Sieci są nie do przecenienia. (Rosjo - naprawdę jaka jesteś, nie wie nikt.) Niestety nadają się też do niecnego wykorzystania w imię wyższości POSTĘPU nad dobrem pojedynczego człowieka. Budując zaś pomost duchowy - w każdym z nas jest słabość, która pragnie być zniewolona - pomiędzy człowiekiem a wirtualną rzeczywistością, Spero gra będzie pełnić rolę kolejnego po książkach, gazetach, radiu i telewizji z kinem włącznie, narzędzia rozwoju intelektualnego mas, gdy za mało przyglądamy się swojej zmiennej osobowości, kiedy jedynie Bóg wie, dlaczego cywilizacja formuje się tak, jak ją postrzegamy. (Rosja na pokaz, w skrócie!)

Spero gra wzięła się przede wszystkim z tego, że pod względem dochodowości na naszym globie króluje dzisiaj kino akcji typu Misja Niemożliwa czy Wróg publiczny. To właśnie kino, często wykorzystujące paranaukowy stosunek do wybranych zjawisk WSZECHŚWIATA, stosujące efekty specjalne na coraz większą skalę, przyciąga najwięcej widzów. Na skutek rozwoju takiej kinematografii połączonej z informatyką powstała również komputerowa Spero gra ultranowoczesnej technologii, która jest fabularnym filmem łączącym spero efekty specjalne z grą rzeczywistych - choć poddanych cyfrowej obróbce - aktorów (na przykład Johna Travolty czy Meryl Streep). Akcja toczy się w taki sposób, że widz-czytelnik wciela się w Gracza, przypuścmy że w Aleksa Rifle'a, który ma wpływ na kreację wnętrza Gry

na żywo. Gracza „naiwnego” bądź Sperogracza. W unikalnym oprogramowaniu tej Gry następnej generacji występują tak niezwykle różnorodne i liczne możliwości wyboru wątków fabuły, postaci, scenerii, transformacji wyglądu i osobowości aktorów-bohaterów oraz innych szczegółów Gry, że można w ich połączeniu kombinacyjnym tworzyć na bieżąco prawie nieskończoną ilość historii, zupełnie jak w szarej rzeczywistości naszego życia. Technika komputerowa potrafi już bowiem zdziałać cuda.

Najlepsze jednak jest to, że żaden normalny człowiek nie uwierzy w zagrożenie ze strony tej nowej „niegroźnej” technologii, dopóki ono nie dotknie go osobistym nieszczęściem. Dlatego... dostanie to, na co zasługuje. **Od tej chwili jesteś już współnikiem Aleksa, jego faworytem, jego uczniem, asystentem magika, szalbierza i blagiera w jednej przerażającej osobie, ewentualnie tylko jego rekwizytem powieszonym na HAKU - stajesz się częścią jego występu. (Przekaz podprogowy!)**

W tej hiperkreatywnej i nowatorskiej Grze oficjalna zabawa Aleksa - przede wszystkim wybór z setek opcji kolejnych etapów Sperogry, by odkryć Tajemnicę Internetu stanowiącą Sedno Gry - polegać będzie na żonglowaniu logiką, determinacją, bystrością, bezwzględnością czy spostrzegawczością podczas przenoszenia się w biegu akcji z jednej postaci do drugiej, trzeciej i następnej w ich wielobarwnych wszechświatach. A także na intelektualnej ekwilibryście czyimś zaciekawieniem, zazdrością, strachem, ambicją lub skłonnością do hazardu. W ogniu rozgrywki toczyć się będzie umysłowy pojedynek między nim - Graczem a programem Gry, czyli **NIMI**. Im więcej postaci, im więcej wątków, im więcej wszechświatów, tym lepsza Gra, tym lepiej będzie się grało. Tym bardziej jeśli się gra o najwyższą stawkę: własną nienasyconą duszę wartą milion dolarów - któż potrafi się oprzeć nadziei na tak wielką wygraną w Grze? (Rosja - między fikcją a prawdą?)

Zakładając na głowę ogromniasty, choć lekki jak piórko, hełm wizuafonu, Alex z tą samą przyjemnością co wczoraj odnotował miękką wyściółkę, jak z najlepszej skórki. Niczego nie widział, czerń zaległa mu przed oczami, ale wciąż był świadom, że to, iż zagra, jest niebezpieczne. Nie orientował się tylko, skąd nadejdzie niebezpieczeństwo, ponieważ CIA nigdy nie wierzy w żadne informacje, jeżeli nie zdobędzie ich podstępem. A mogła podejrzewać, że „Tajemnicza Gra” podprogowo atakuje podświadomość zróżnicowanymi sekwencjami speroideogramów niewidzialnych dla oka, powodując wydzielanie w mózgu speroiny - hormonu wywołującego podatność na sugestie, na przykład zwykłej, choć kompatybilnej reklamy, na którą wszyscy już są uodpornieni. Ha! Gdyby w przyszłości w Sperogry mieli twórczo grać tylko nieliczni obywatele w porównaniu z całym społeczeństwem cywilizowanego świata, nie warto byłoby wdrażać tego pomysłu. Ale, ale, ale Sperogra będzie

tak prosta w obsłudze i kusząca, jak wysłanie SMS-a na numer loterii, w której mamy się gracza wielką wygraną. Jeśli więc ICH ultranowoczesna technologia oprogramowania ma szybko opanować każdy komputer, Internet, telewizję i kino, musi dzisiaj zdać egzamin - zawiadnąć psychiką Aleksa Rifle'a. Psychiką kogoś, kto z grubsza zna treść „Tajemniczej Gry”, bo oparto jej scenariusz na jego Trylogii Tajemnic, i wie, że poddany jest testowi na speropodatność, przed którą powinien się bronić wszelkimi sposobami. Konwencja GRY sugerowała tylko superzabawę - na tym polegał podstęp, który miał wywieść w pole obrońców praw człowieka i w ogóle wszystkich przeciwników uzależniania ludzi od wirtualnej rzeczywistości, dokąd nawet nieświadomie unoszą ich marzenia. (Kino Rosja!)

*W rzeczywistości Sperogra ma być nowym rodzajem nałogu typu oglądanie telewizji lub Facebooka, lecz silniejszym od palenia papierosów, alkoholizmu czy narkomanii. **Ale tak przebiegle naturalnym, że zupełnie nie do zauważenia, więc można by go użyć do przeróżnych celów. (Przekaz podprogowy!)** Dlatego Narodowa Agencja Bezpieczeństwa USA nakazała Aleksowi, jako jednemu z tysiąca pierwszych Graczy, przetestować tę Sperogrę, stworzoną na podstawie jego własnej Speropowieści. Domyślał się, że zginie, jeśli dzisiaj nie dotrze do Sedna Gry - hasła, które powinno być odpowiedzią na dręczące go pytanie: Do czego Agencji tak naprawdę mają posłużyć Sperogry? Ta świadomość sprawiała, że... włosy jeżyły mu się nagłowie; teraz pozostał już tylko on i Sperogra. Sperogra jako tło autopsji; Tajemniczość jako jej zasłona. A tak między nami jaskiniowcami, jeśli nie będziemy chociaż próbować ulepszać nasz mały świat, cóż nam zostanie z minionych lat? Nic. Życie zaś trzeba sensowną treścią wypełnić.*

Wierzę, że otacza nas niewidzialny świat, odległy od naszego o grubość cienia wyobraźni, ale dostępny dla nas wszystkich, ponieważ wiara jest istotą naszych nadziei, dowodem na to, że złudzenia są nam potrzebne, podsumował w duchu całą tę retrospekcję, po czym ujął bezprzewodową mysz i kliknął na ikonę START:

KLIK-KLIK...

*

Ekran rozjaśnił się i ukazał się na nim napis TAJEMNICZA GRA.

- Witam w „Tajemniczej Grze” - odezwał się nieco stremowany Prowadzący Grę. - Rozumiem, że jesteś nowym użytkownikiem. Jakim imieniem będziesz posługiwał się w trakcie Gry?

- Alex Rifle.

- Gratulacje za wpisanie się do Gry, Alex Rifle. Chcesz w niej uczestniczyć aktywnie czy biernie?

- *Na razie biernie.*

- No tak, proszę bardzo. - W głosie Prowadzącego Grę słychać było lekki zawód. - Nie ruszaj się, proszę, przez trzy sekundy, bo będę opracowywał cyfrowo twoją twarz. - Na ekranie pojawiła się ikona oka, a mikrosoczewki wmontowane w obrzeże ekranu migotały czerwonym światłem. - Okej, teraz jeszcze przez sekundę nie ruszaj się, a ja zarejestruję twoją siatkówkę jako wzór identyfikacyjny.

Alex wstrzymał oddech. Och, niech no tylko opowiem o tym Sonii, pomyślał, podczas gdy na ekranie wizufonu świt nad jakąś rosyjską okolicą szkicował kontury i wypełniał je kolorami. A co, jeśli to mi się jedynie śni? I będzie się śnić do obłądnego końca? Gdy na dodatek niepodobna będzie powiedzieć, gdzie kończy się ten sen, a zaczyna jawa, ale co za różnica? Niepomny własnego ostrzeżenia, i sen, i jawę potraktuję tak samo, bo niełatwo jest wymyślić coś, czego jeszcze nie było. Coś, co nie jest tym, czym się wydaje, bo nie istnieje wcale.

- O, teraz możesz już zacząć Grę - stwierdził Prowadzący Grę, ale tak, jakby nie do końca był z tego zadowolony. - Klikaj, gdzie chcesz, możliwości wyboru jest mnóstwo, lecz pamiętaj, wygrywa ten, kto najpierw pomyśli, na przykład o dziesięciu wtajemniczeniach Jamesa Redfielda albo o stanach wyższej konieczności według Roberta Gravesa, a dopiero potem kliknie. Bo ta Gra nigdy nie jest taka, jak się wydaje. Gdzieś w jej wnętrzu ukryty jest najbardziej niewidzialny człowiek, ale i najbardziej bezbronny wobec zagrywek MEDIÓW. Aby wygrać, wystarczy go znaleźć i spytać o hasło Sedna Gry. - *Alex zastanowił się nad tym, iż program Gry pewnie uważa, że on ma go za raczej głupawego przeciwnika, skoro tak go naprowadza na właściwy kurs Gry.* - Ludzie często wiedzą najdziwniejsze rzeczy, zatem powodzenia, Alex.

- *Goń się na drzewo - odmruknął niewyraźnie, jako że ciutkę się stropił tym pierwszym podejrzeniem. O czym by tu pomyśleć na dobry początek? O czymś zabójczym, czy o jakimś zboczonku bądź o zezowatym żarciku? Najlepiej byłoby to wszystko zawrzeć w jednej alegorii lub prostej przenośni. Świat, z którym miał do czynienia, zrobił z niego osobę uduchowioną. Wiedział jednak, że kiedy człowiek napotyka pewne rzeczy na tym świecie, uświadamia sobie, że może do nich nie dorasta, i właśnie ta Gra mogła być jedną z takich rzeczy dla niego. Musisz podejść do niej całkiem serio, powiedział do siebie, ponieważ to śmiertelnie poważna sprawa. Na przykład jak poronienie kobiety w ciąży. Wyobraził sobie, że początkowo rozmyty, nieuchwytny szum medialny w jego mózgu, stopniowo nabiera konsystencji i siły, odbijając się od wszystkich ścian sieciowej klatki wspólnej świadomości społeczeństw, tak jakby nanoobwody milionów superkomputerów przyszłych Graczy na całym świecie nasycaly*

krążące w blogosferze pogłoski: Sperogra?, Sperograaa... Aaa Sperogra! To przednia zabawa! A potem przebił to pytaniem: Jeśli już, to co tu za propozycje widzimy do wyboru? Jakaś: „Czarna elegia”, „Palimpsesty reklam”, „Preludium dysydenckie”, „Chiński łącznik”, „Rosyjska ruletka” i tak dalej. W pytę sugestie, a nie? Wybierzemy to. No to jazda z tym koksem!

KLIK...

Preludium: Święto Niepodległości. 4 lipca 1992 rok. Nowy Jork.

WSTĘP: 000

Jakby żywcem przeniesiony z komiksu Charlesa Addamsa, nieulekły i niezniszczalny Manny Parker zmierzał w kierunku drzwi lekkim krokiem ducha - jak opadający puch, tyle że jeszcze ciszej - tyle że żaden duch nie był aż tak spięty. Narastał w nim radosny dreszcz emocji - dreszczy nie słychać - lecz bez przesady prowadzącej do zgubnej euforii. Cisza świątecznego dnia była jego sprzymierzeńcem, zakłócały ją jedynie jego własne zakręcone myśli.

Dwukrotnie zwolnił krok, by przezornie obejrzeć się przez ramię. Wszystko było tak, jak powinno być, choć on dobrze wiedział, że nigdy nic nie wiadomo na pewno i do końca - dobra passa, jak zwykle, kiedyś musi się skończyć - niczego innego się nie spodziewał. Gdzieś blisko, ale tylko w głębi jego świadomości, równie zdesperowany, co nagłący głos, powtarzał w kółko, coraz głośniej: musisz to zrobić, musisz to zrobić, stary rowerze. Gdyby zaczął o tym myśleć bardziej racjonalnie, to niewykonalność tego, co miał do zrobienia, pokonałaby go, jeszcze zanim by zaczął.

Przecinając skrzyżowanie korytarzy jak jezdnię, najpierw odruchowo spojrzął w lewo, natychmiast potem w prawo - i nagle poczuł się jakby obserwowany przez kilkumilimetrową szczelinę w niedomkniętych drzwiach ogólnodostępnej toalety. Jednak pchany naturalną i zgubną siłą rozpędu podrałował dalej.

Nareszcie dotarł i zatrzymał się przed drzwiami, do których zmierzał.

Niech to chudy byk wydyma, chyba zupełnie przestał myśleć realistycznie, inaczej nigdy by się na coś takiego nie odważył. Jedno przypadkowe otwarcie jakichś innych drzwi i byłoby po nim. Na szczęście nikt nie otwierał żadnych drzwi. Czuł, czuł napięcie, elektryzujące napięcie, którego puls przyspieszał coraz bardziej. Lecz napięcie to wpływało

nie z obawy, że ktoś go może nakryć na tym, co miał zrobić, ale z faktu, że był zdecydowany jak nigdy dotąd.

Pochylił się lewym uchem ku drzwiom, wstrzymując oddech, starając się zza nich wyłowić jakieś dźwięki, i właśnie ostrożnie wyciągał lewą rękę w kierunku klamki, gdy omal nie dostał zawału serca. Za drzwiami, do których już przyciskał ucho w tej zwodniczej ciszy, rozległ się alarmujący, okropnie głośny dzwonek telefonu.

Parker zamarł w bezruchu i nasłuchiwał.

Rozpoznał podekscytowany i uniesiony głos Petera Morkisa.

- Lucas, dobrze mnie słyszysz? Elektronika nie nawala...?

Ale oprócz głosu Morkisa jeszcze coś tam było nie tak.

To coś wstrząsnęło Parkerem. Próbował się opanować, lecz wciąż był wstrząśnięty. I to mocno. Błyskawicznie przemyślał jeszcze raz wszystkie niemożliwe rozwiązania tego problemu i od razu stwierdził, że są właśnie takie... Bezkompromisowe?... Bezosobowe?... Bezwarunkowe?...

Nieeee...?

Niemożliwe do zastosowania!

Mimo to wiedział, co należy zrobić. Tylko jedno można było teraz zrobić. Teraz, pomyślał, trzeba wybrać.

Nadszedł krytyczny moment prawdy.

Zapukał i wkroczył do środka.

Uśmiechnął się diabelnie subtelnie, choć diabeł wiedział, że nie było mu wcale do śmiechu, ale miał diabelnie ważny powód. Teraz już nie było pośpiechu. Tajemniczy nimb wirtualnej rzeczywistości zaczął magicznie improwizować Przyszłość; Przyszłość wszechwiedząco obcą, kabalistyczną, zwizualizowane kontinuum niezliczonych wszechświatów, wśród których można w osobliwej przenośni skakać sobie w czasie i przestrzeni: do przodu i do tyłu oraz na boki, w dół i do góry, w prawdę i nieprawdę... Przecież to tylko Gra, pomyślał. Gra na śmierć i życie?... O tak! Tylko taka Gra zwana Życiem. Gramy w nią każdego dnia, uważając za normalkę!

I co mamy z tego? Pełna i prawdziwa odpowiedź na to pytanie stanowi tak głęboką tajemnicę, że nigdy pewnie jej nie odkryjemy, chyba że w chwili śmierci.

SZARA CODZIENNOŚĆ PRZESTAŁA ISTNIEĆ!

Od tej chwili wszystko stało się ważne. (Przekaz podprogowy!)

*

W tej Grze, jakże innej niż wszystko, czego się można spodziewać, Peter Morkis był

urodzonym przywódcą i z postury całkiem na takiego wyglądał - przypominał jako żywo tyczkowatego, dwumetrowego wzrostu, prezydenta Abrahama Lincolna. I jak każdy obdarzony niezwykłymi talentami człowiek, lubił swoje zdolności wykorzystywać bez pardonowo. Tym razem nadarzała się ku temu niepowtarzalna, nieprzecenialna, wprost kapitalna dziejowa sposobność. Czuł się teraz podniecony i spięty jak supergracz na początku meczu w słoneczne, świąteczne popołudnie, gdy palce już go swędzą, gotowe chwycić piłkę, by biec co sił w nogach do celu. Jego podstawowymi cechami były: upór, cierpliwość i umiejętność przekonywania, wspomagane przez inwazyjną inteligencję i sublimująco prokreacyjną wyobraźnię. Dzięki nim dorastał do każdej sytuacji, którą ktoś inny by pokpił. Chwytał w lot każde, nawet najsubtelniejsze niedopowiedzenie, każde zawieszony pół słowa, ćwierć nieodgadnionego gestu, samemu znajdując upodobanie, gdy trzeba było, w bezliku niedomówień, aluzji i metafor. Był też, siłą rzeczy, genialnym racjonalizatorem wszystkiego, czego chciał się dotknąć. Jeśli ktoś na całym świecie mógł w ogóle to wszystko, co zamierzył, przeprowadzić pomyślnie, to tylko on, Peter Morkis - przestępca wirtualny. Tu i zaraz, na oczach wszystkich, rozpoczynał niezwykle skomplikowany taniec w parze ze Złem.

- Uważaj, Lucas, gdyż każde słowo jest ważne! - powiedział głośno i wyraźnie, mocniej ściskając słuchawkę telefonu, w której ukrył podsłuch testowany przez Lucasa w tej chwili.

- Natomiast ty strzeż się klątwy postępu! - odparł w podobnej tonacji Lucas. A więc jeszcze jeden zwariowany pomysł, pomyślał. Peter lubi wykorzystywać swoją umiejętność politykowania z przeciwnikiem, nawet negocjowania z terrorystą. Zazwyczaj posługuje się nią dla osiągnięcia swoich małostkowych i samolubnych celów, a przyjemnością dla niego - kto tego nie rozumie, nie zrozumie nigdy jego, ani innych ludzi podbijających świat - jest myśl o użyciu jej niepodzielnie i definitywnie, tym razem w celu, który on, odrzucając wszelką chytrą, przebiegłość, czy choćby wielotorowość, uważa za słuszny na swój chory sposób. A ja jestem z nim związany na całego, w mordę jeża!

Morkis usłyszał, że ktoś zapukał do drzwi i ostrożnie, cicho wszedł do sekretariatu. Założył, że już przybył pierwszy uczestnik spotkania, rozpoczynający cały ten noosferyczny happening. Ucieszył się na widok Manny'ego Parkera, który pojawił się pięć minut przed umówioną godziną.

Alex Rifle zastosował w Trylogii Tajemnic to humbugowo wynaturzone słownictwo, celowo pompatycznie podkreślające nierzeczywistość Sperogry, budujące jej wirtualny klimat świata gier - konfabulacji multiplex fiction - aby na zasadzie kontrastu (jak dzień od nocy) Gra odróżniała się od realnego świata Aleksa Rifle'a. Pisząc Trylogię Tajemnic od 2006 roku

musiał nadać swojemu stylowi cechy charakterystyczne dla amerykańskiego pisarstwa sensacyjnego z połowy lat dziewięćdziesiątych, żeby stworzyć fabularny hologram Tajemniczej Gry zwanej Życiem, a nie płaskie odzwierciedlenie szarej rzeczywistości tamtych lat, kiedy toczyła się akcja GRY. Konwencja typowej Gry komputerowej miała uśpić czujność czytelnika-gracza, by niebezpieczny mechanizm zmniejszenia jego odporności psychicznej mógł się w pełni rozkręcić - naukowo dowiedziono, że problem uzależnienia od telewizji czy Internetu nie polega na fakcie, ale na wrażeniu, że jest fikcją. Taką jak ta książka - widmopis, gdzie wszystko wygląda tak niepoważnie, jakby jej patetyczne przesłanie było ostrzeżeniem nie całkiem na serio, a w rzeczywistości jest śmiertelnie poważne. (Głos Rosji!)

Zupełnie jak proroczy sen. (Przekaz podprogowy!)

*A tak poza wszystkim, czytanie to bardzo osobista sprawa. To, co jedna osoba uważa za błyskotliwe i głębokie, innej wydaje się banalne i płytkie. Na całym szerokim świecie wszystko opiera się na wierze wszelkiego rodzaju, skonstatował i przez jedną doprawdy koszmarną chwilę był pewien, że się roześmieje. Dlaczego wszystkie media dążą do tego samego celu? Któż wie, że **ONI** - AGENCJA kontroluje cały elektroniczny świat: nasze ubezpieczenia, podatki, oszczędności, komputery, telefony, faksy, mejle, rachunki bankowe, karty kredytowe, kamery, dzięki nim widzą wszystko, by trzymać nas w garści - chcą zawładnąć także wszystkimi mediami? Czy należy się bać takich MEDIÓW? Czy MEDIA są świadome, do czego tak naprawdę dążą? Ochota do śmiechu szybko mu przeszła, gdy uprzytomnił sobie, że kiedyś dostęp do Internetu będzie powszechny za darmo dla zatracenia człowieka w wirtualnej rzeczywistości medialnej. (KORESPONDENCJA WŁASNA Z ROSJI!) Wierzył jednak, że jego podświadomość czuwała nad świadomością w chwilach, gdy program Gry potrzebował więcej czasu, żeby na bieżąco wygenerować „odpowiedzi” na jego nietypowe zachowanie, gdyż Alex wiercił się, drapał, robił przeróżne miny naprowadzające, cały czas jeżdżąc kursorem po sążnistych listach ikon, w które można było kliknąć w każdym momencie, by nagle zmienić bieg Gry. Program Gry reagował tak, jakby Alex, choć biernie uczestniczył w Grze, robił to w na tyle znaczącym stopniu, by następowały w niej niuansowe zmiany. Że też tkwię w tym rosyjskim koszmarze, westchnął w duchu - przeciągle westchnienie powiedziało oprogramowaniu Gry więcej niż głośne słowa, i to na samym początku kreowania **ICH** projektu manipulacji skłonnością Graczy do prowadzenia indywidualnej antyGry.*

- Muszę kończyć, bo już mam pierwszego gościa - odrzekł Morkis. Gdybyś tylko znał prawdę, Lucas, pomyślał i spróbował jeszcze raz wyobrazić sobie jej globalną sieć spowijającą świat jak kłątwa bogów, której jedynym ograniczeniem byłby brak pożądaných

ograniczeń.

- Wiem, widziałem go. Chętnie was posłucham. - Odpowiedź Lucasa brzmiała raczej spokojnie, gdyż wciąż trapiła go pewna myśl: Co naprawdę zamierza Peter Morkis? - Ale pamiętaj, że wszyscy mamy takie koszmary, na jakie zasługujemy. Powodzenia, Peter.

*„Wszyscy mamy takie koszmary, na jakie zasługujemy” - to reakcja programu Gry na moje westchnienie: „Że też tkwię w tym rosyjskim koszmarze...”? Czyżby program Gry potrafił tak dokładnie „odgadywać” moje myśli na podstawie zachowania w danym momencie? Nie! To przypadek. **ICH** oprogramowanie nie może być aż tak finezyjne. Alex był jednak zdetonowany tym, że już został zaskoczony przez program Gry. A nabrał też przeświadczenia, że dzisiaj nie znajdzie ani chwili więcej na konstatację: do czego w życiu właśnie doszedł w kontrapunkcie do marzeń, kim chciał zostać, gdy był młodzieńcem. I że wkrótce będzie się dziwnie czuć, co uzna za normalne zachowanie, zważywszy na okoliczności Gry. Bowiem „nic, co ludzkie, nie jest nam obce”, czyli w zasadzie nic dziwnego u siebie nie zauważy, skoro nawet rewelacyjnych wyników najnowszych badań naukowych prawie nikt nie zauważa, jakby wcale nie zmieniały oblicza świata, który nas otacza. (Jak powinna wyglądać Rosja w Przyszłości?)*

A na pewno nie uwierzy „nikt”, że jak tak dalej pójdzie, ten świat nie tylko stanie się dla nas za ciasny, będzie też krystalicznie przezroczysty, dzięki elektronicznej inwigilacji. Wszędzie będą kamery i podsłuchy tworzące systemy sieciowe, wszyscy będą łączyć z czytnikami wideo w kieszeniach, śledzeni przez system GPS - to niebezpieczeństwo zagrażające całej ludzkości. Naręczna wyszukiwarka GPS w najnowszej wersji udostępnia zebrane w różnych źródłach informacje na temat niektórych osób mijanych na ulicy. Może na przykład posłużyć do podrywania po imieniu albo nazwisku, także, by dowiedzieć się, kto jest żonaty czy rozwiedziony, a kto żyje w konkubinacie, poznać, jakie ma gusta i nawyki, zeskanować wydruki sklepowych automatów płatniczych osób, które wpadły ci w oko. Wkrótce stanie się narzędziem pracy, najpierw policji i przeróżnych agencji, a potem handlowców i akwizytorów. Czy w to novum tak trudno uwierzyć?

*Jednakże w praktyce liczy się to, co grozi teraz akurat mnie - jednostce - w powiązaniu z tysiącem innych Graczy testujących „Tajemniczą Grę” w tej chwili. Będąc na miejscu Agencji połączyłbym ten tysiąc wizuafonów w informatyczną sieć, w której, zapisując wszystkie Gry na bieżąco, jakieś tam **ICH CENTRUM KONTROLI TESTU** mogłoby przysyłać pomiędzy dowolnie wybranymi wizuafonami już przebyte fragmenty Gry. Wówczas test byłby pełniejszy, ale... czy nie za bardzo skomplikowany? I czym to groziłoby akurat mnie?*

*Czy to jest **ICH** finezyjną strategię - zasiać we mnie ten niepokój domysłów właśnie w*

tym początkowym momencie, abym szybko znalazł antidotum, które mi podprogowo podpowiedzą? Czy może to jedynie psychologiczny wybieg mający przesunąć mój sceptycyzm w stronę optymizmu, bym nie zauważył czegoś istotnego? Tak czy siak bardzo sprytnie zagranie z tym „rosyjskim kozmarem”, bo na pewno grozi mi szok emocjonalny, jeżeli wmieszają do tego testu moją najbliższą rodzinę: syna, synową i wnuczeta. Zwłaszcza jeśli będą brutalni, a nawet okrutni wobec nich. Skoro mnie to przyszło do głowy, to **IM** tym bardziej. I co ja wtedy pocznę?

Nieprzemyślane, a więc niewybaczalne pytanie. Choć „na dobrą sprawę” wszystko, o czym przed chwilą rozmyślałem, było niewybaczalnym błędem, bowiem na mojej twarzy było widać, że coś knuję. Alex zacisnął pięść i zęby. Nie wolno mi zamartwiać się na zapas. Mimo to, jak chłopiec o bujnej wyobraźni, byłby zapuścił się w ryzykowne ekstrapolacje, ale powstrzymał go własny głos.

- Wchodzę w to - powiedział wbrew sobie, lecz tonem Gracza przekonanego o tym, że **ONI** będą wiedzieć, w co on wchodzi.

- Taak? - zareagował Prowadzący Grę z taką radością, jak gdyby rzeczywiście tropił myśli Aleksa i obawiał się, że zaprowadzą go donikąd. - No to kliknij gdzie bądź.

Na ułamek sekundy Alex oderwał wzrok od ekranu, bo nagle zrobiło mu się gorąco z wrażenia, że może kliknąć z fatalnym skutkiem, więc odruchowo odpiął górny guzik piżamy ze zwykłej tkaniny, która nie rejestrowała temperatury ani ciśnienia tętniczego krwi, nie zmieniała postaci ani barwy na żądanie, nie włączała ogrzewania elektrycznego w wypadku za niskiej temperatury otoczenia, nie pełniła roli kamizelki kuloodpornej, jednak wiedział, że taka tkanina już istnieje i też grozi ludzkości.

Aczkolwiek niezbyt piękny byłby to scoop, gdyby ujawniono jej cenę.

Ale to jeszcze nie odpowiedź na pytanie: Dlaczego szybka reakcja Prowadzącego Grę tak Aleksa podekscytowała, jakby zawierała coś ważnego do odkrycia? Dlaczego jego głos był tak bardzo radosny, że Alex to zauważył? Czyżby stawał się specem od komunikacji z oprogramowaniem Gry? Czy raczej już został naiwnym Graczem do szybkiego ogrania? Lepiej robi, jeśli będzie zachowywać się normalnie czy anormalnie? Dlaczego teraz myśli w trzeciej osobie, a przedtem knuł w pierwszej? Czy rzeczywiście jest jakaś nadzieja na odkrycie Tajemnicy Internetu albo dotarcie do Sedna Gry, skoro już stoi na przegranej pozycji, ponieważ nie wie, gdzie kliknąć?

Ba. Za dużo tych pytań. Czyżbym już zaczął knuć według teorii chaosu? Jeśli przy tym popełnię błąd copyrightu, w każdej chwili mogę zostać zamordowany, lecz z drugiej strony mogę zmienić bieg historii... niekoniecznie w dobrym kierunku. A nie brakowałoby mi

charyzmy: powierzchowności zmysłowej, wyrazistej, jak u aktora, siły spojrzenia, kiedy bym się starał przekonywać ICH, głosu doskonale ustawionego, i tym podobne. W sumie wizerunku: szczerego, żywego, bezpośredniego, sympatycznego, do tego postawa „gram w otwarte karty” - to zwykła kreacja, że niby taki jestem naprawdę, a w rzeczywistości, ratując świat przed katastrofą, byłbym... efemerydą - papierowym motylem.

Papierowym motylem, który cieszy oko.

I smuci serce, gdyż nie jest prawdziwy.

Jak niewidzialny zapalnik bomby neuronowej.

Bomby neuronowej, która... skanuje wyobraźnię?

Jeśli tak, strach pomyśleć, jaka spirala zagadek - (Czy to szczęście, że nie jestem z tych, którzy widzą twarz Chrystusa na smażonym naleśniku?) - wiedzie do Sedna mojej Gry, gdy cały zwichrowany krąg nadziei ma swoją historię wirusa czyhającego na każdym HAKU. Pelen odlot, Rose, co nie?

Nagle Alex przypomniał sobie, jak Rosemary ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie zmierzała wtedy do recepcji hotelu, w którym umówili się na pierwszą randkę. (Gdzie by tu kliknąć?). Nie zauważyła go. Nic dziwnego. Podobnie jak kiedyś, tak i obecnie był przecież dla niej niewidzialny. Nie widzimy ludzi, jeśli chcemy jedynie przejrzeć się w ich oczach, zobaczyć tam własną świetność. (Wszystko o Rosji w Internecie!) I taka była prawda - tak wyglądała rzeczywistość ich romansu.

Jeden plus: nikt nie może mnie zmusić do kliknięcia właśnie teraz.

Jeden minus: wkrótce będę musiał kliknąć bilardowo - na trzy bandy.

- Nie dziękuję ci, żeby nie zapeszyć. W razie czego wiesz, co masz robić. - Morkis odłożył słuchawkę na aparat telefoniczny, odsunął fotel od biurka i wstał energicznie. Z filuternym uśmiechem ruszył naprzeciw zbliżającego się gościa... napędzany własną niedoskonałością. Gdybyś wiedział, Lucas, co naprawdę zamierzam, miałbyś mi dużo więcej do powiedzenia, dodał w myślach. Myślach, które miały magiczną moc dzięki Tajemnicy Internetu - a jeśli potrafisz, Lucas, wyobraź sobie Internet za trzydzieści lub pięćdziesiąt lat - kryjącej w sobie wycie całego obcego człowiekowi WSZECHŚWIATA zero-jedynkowego, z innymi wymiarami, innymi mocami i innym czasem włącznie, gdzie nie ma wcale prywatności, intymności czy wolności sumienia. Jest tylko rzeczywistość wirtualna wymyślona przez człowieka, by stworzyć robota doskonałego! Ha!

Dlaczego czas wypełnia chwile nicości, miarka za miarką? - Pytanie to pojawiło się w umyśle Aleksa tak nagle i bez żadnego, najmniejszego nawet powodu, że nieomal przestał śledzić to, co się działo na ekranie wizufonu i przeniósł uwagę na listę wyboru ikon z

etapami dalszej Gry, która jakby wywołana tym dylematem, wyświetliła się po prawej stronie ekranu. Czas jest continuum i nie ulega zmianie, odparł szeptem zdrowy rozsądek. On po prostu jest. Żadne ostrzeżenia ani wyjaśnienia nie mają wpływu na czas. Nic go nie zmienia. No i w efekcie tej odpowiedzi Alex spróbował odgadnąć, w której z ikon ukryto parodię słynnego improwizowanego numeru wodewilowego komiksowego kota Garfielda - dlaczego właśnie tego szukał? Ze strachu? Z chęci pozostania w mroku, aby osłonić swoje rozmaite kombinacje myślowe na temat popełnionych zbrodni? A może zadziałało podświadome poczucie jakiejś winy, do której się świadomie nie poczuwał? Wszystko stało się jasne, gdy jego wzrok natrafił na ikonę z napisem „Tajemnica Rosji”; Alex wziął głęboki oddech, tak głęboki, że w płucach nie mieściło się po prostu więcej powietrza. Skupiając myśli przez moment na Trzeciej Zasadzie Wtajemniczenia w Grę, zawisł kursorem nad tą ikoną, po czym „odpłynął”, kiedy kliknął:

KLIK...

*

Alin Mearns wyobraził sobie na serio, ale i z leciutkim przymrużeniem oka, że Zło zaczęło się tam, za rogiem ulicy niczym duch w zasadzce. A że warowało cichutko, wstrzymując oddech, by żaden z bohaterów tej przedziwnie eksperymentującej multihistorii, zmierzających na ważne, inauguracyjne spotkanie, nie był w stanie zauważyć, że pcha się prosto w szpony Zła. Ha, ha! Nikt z nich nie usłyszał złowieszczonego świstu wiatru, nie poczuł jego lodowato ostrzegawczego podmuchu, a jasnego gorącego słońca nie zakryła nagle wielka, czarna, złowróźbna chmura. Wręcz przeciwnie: w powietrzu już panowała tak świąteczna cisza i spokój, jak przysłowiowa cisza przed burzą, jedynie nad dalekim horyzontem pojawiły się jej kłębiaste zwiastuny. Ci bohaterowie nie zdawali sobie również sprawy, że gdyby nawet nie wyruszyli na to spotkanie, Zło dopadłoby ich i tak, tylko w innym czasie i innych okolicznościach Gry. Zło bowiem było przeznaczeniem tych ludzi, do tej pory zwyczajnych skądinąd ludzi z prawdziwego świata. Takich jak i on sam.

Dlatego lada moment spodziewał się nadzwyczajnej prokrecji umysłu.

PSTRYK!

Na skrzyżowaniu ulic zapaliło się czerwone światło. Samochody zahamowały. Alin Mearns rozejrzał się dookoła. Nieliczni akurat tu przechodnie przemykali w tę i tamtą stronę, zwykli ludzie ulicy, zwykła, nieodgadniona bezimiennność, dziesiątki, setki, tysiące, miliony... spieszących gdzieś żywotów, pęd kolorowych sylwetek i ich cieni, grymasy twarzy, błyski oczu - rozpryski migotliwego istnienia świadomości. A on jeden jedyny stał tu i czekał, liżąc loda, bo czasami trzeba poczekać, żeby się doczekać...

Pobiegł myślami ku wczorajszej sesji najważniejszych giełd światowych, ku ciągom liczb biegnących w przeciwnych kierunkach w jego pamięci absolutnej. Zawsze wszystko zapamiętywał na tej swojej nieskończonej wielkiej matrycy drukarskiej, będąc świadom, ile te ciągi liczb dla niego znaczą - były uduchowione i roztaczały blask odzwierciedlający procesy życiowe na niemal całym świecie, najdrobniejszy nawet oddech miliardów mieszkańców tej planety zaklęty na ekranie monitora maklera. I z tego powodu za chwilę miały się przed nim otworzyć drzwi inwersji, przez które bał się przejść...

Wzdrygnął się na ostry dźwięk wydany przez pobliski klakson. Otrząsnął się ze skojarzeniem, że w Życiu wolno popełniać błędy pod warunkiem, że nie są to błędy fatalne, i od razu poczuł się lepiej - przecież wiedział, kim jest on sam, a kto jest jego imitacją, i ta świadomość nabierała intensywności, tchnąc napiętym oczekiwaniem. Obejrzał się przez ramię, rozpoznał ten samochód.

To mu jednak jakoś niezbyt przypasowało - nie doczekał się olśnienia i...

Wtarabanił się do zielonego vana oldsmobile'a silhoutte, który przed chwilą zatrzymał się przy budynku Chryslera na Wschodniej Czterdziestej Drugiej Ulicy - rynsztoku Manhattanu, prowadzącym do Grand Central Station. Alin był korpulentnym pięćdziesięcioletkiem, łysym jak kolano, ubranym w tanią granatową koszulkę polo z żółto-czerwonym emblematem logo Shella na lewej piersi i w szare luźne spodnie. Poobliżywana, spora porcja śmietankowych lodów camorranezzii w kubeczku z wafla podkreślała jego pospolity wygląd. Samochodowa klimatyzacja zaś, która szumiała na najwyższych obrotach, rozdmuchując sosnowy zapach wydobywający się z wiszącego pod wstecznym lusterkiem odświeżacza powietrza w kształcie zielonej choinki, przydawała spotkaniu pozornej niewinności.

- Jak się masz, braciszku?! - z nutą zadowolenia w głosie powitał go kierowca, trochę starszy i wyższy od Alina, znacznie silniejszej też postury, szpakowaty Alan Cartwright, doświadczony agent FBI. - Przytyłeś, opaliłeś się, i z tą łysą pałą wyglądasz zupełnie jak Kojak. Od razu widać, że ostatnio dobrze ci się powodzi. Ciesz się mną to.

- Serwus, kanalio! - żartobliwie zrewanżował się Alin, łysy z wyboru; mówił cicho, świszcząc przy tym oddechem astmatyka. - Nie przytyłem, tylko to takie złudzenie optyczne od opalenizny. Za to ty nieco zmizerniałeś. Dość długo na ciebie czekałem.

Wymienili uścisk dłoni, nie patrząc sobie w oczy. Przy każdym spotkaniu musieli uporać się z uczuciem niemożności istnienia w braterskich relacjach, opartej na prymitywnej wierze, że jeżeli przewidziało się coś strasznego, co może im się wspólnie przytrafić, wyobraziło z najdrobniejszymi szczegółami, to nie zdarzy się to nigdy, bo wspólnie zdołają

temu zapobiec.

- Przepraszam, ale służba nie drużba - usprawiedliwił się Alan, z zawodową precyzją omiatając czujnym wzrokiem ulicę, gdzie przechodzili typowi mieszkańcy śródmieścia: bywalcy barów i restauracji, fotografowie z asystentkami, bogaci yuppies, którzy kupili tu sobie wielkie strychy w starych domach, młodzi kochankowie, starsze pary małżeńskie z psami na smyczach, barwna młodzież i... ślepiec ubrany jak zjawą z zaświatów amerykańskiego koszmaru: homoseksualizmu, transwestytyzmu, pedofilii, subkultur ulicznych gangów, bezdomności, biedy i bezrobocia.

- Mów prędko, czego chcesz, bo się spieszę - ponaglił go Alin. Wyraz jego twarzy świadczył, że nie przesadza z nadwerężonym zniecierpliwieniem. Nareszcie wypatrzył ślepcę, na którego czekał.

- Dwa zdania mi wystarczą.

- Mam nadzieję. O co ci chodzi?

- To proste. Będiesz mnie na bieżąco informować, proszę ciebie, co ten twój Morkis wymyślił i co zamierza robić w Przyszłości.

Ślepiec o imieniu Jasper przyglądał się im spod oka, tak jak zapewne patrzył na każdego, kogo podsłuchiwał z odległości nawet stu metrów. Istniał w tym mieście w wielu podobnych postaciach o wspólnej ŚWIADOMOŚCI, obserwującej świat w wielu miejscach naraz. Ślepcy różnili się od siebie jedynie drobnymi szczegółami budowy ciała lub ubraniem, by nie wyglądać całkiem identycznie, skoro każdy człowiek jest niepowtarzalny. Jednak zasadniczo różniła ich konfiguracja indywidualnej podświadomości. Jedyne, co mam to złudzenie - nucił w myślach, bo piosenka jest dobra na wszystko - że mogę mieć własne pragnienie, by Świat złapał się we własną Sieć. Tak śpiewała mroczna strona jego osobowości - ta skaza, którą w mniejszym bądź większym stopniu nabywa się, dorastając i dojrzewając wśród innych ludzi. Skaza, której nie można się pozbyć, a która, choć czasami wydaje się zupełnie niewidoczna, często wywiera decydujący wpływ na Los... ślepego człowieka i otaczających go osób, **takich jak wy, powieszonych na HAKU**. Równie dobrze potrafi poprowadzić do sukcesu, jak i do całkowitego upadku. Był w stanie w każdej chwili stworzyć dowolną wersję tego samego rodzaju człowieka ślepego: uprzejmego, wytwornego, zabawnego i czarującego; chamskiego, skacowanego, samolubnego i złośliwego; przestraszonego i wrażliwego, zdziwionego i infantylnego, małostkowego i intryganckiego. Ślepiec krótko- i długowłosa, o brudnych rękach i świeżo wypielegnowanych dłoniach, w garniturze i w dresie.... Mogli jeden po drugim wypłynąć z jego umysłu jak duchy i wtopić się w wielkomięjski tłum wylewający się ze stacji metra. Ci, których widział teraz, wyłonili się z

eteru Gry w pełni ukształtowani na ślepych-ślepych ludzi: to, co się liczyło dla nich, nie musiało się liczyć dla innych, nawet jeżeli byli sobie bliscy - inni niekoniecznie kochają to, co my, czy nienawidzą tego, co my; nasza prawda bywa dla nich kłamstwem... i na odwrót. (Przekaz podprogowy!)

- Litości! Mam szpiclować i donosić?! - zdenerwował się Alin. Raczej niewiele udając, bo Alan zauważył, że niebieska żyłka na jego czole zaczęła gwałtownie pulsować. - Jak?... Jak? Jak jakaś tajna wtyczka? Albo konfident czy zgoła kapuś?!

- Cóż chcesz? Może to dzisiejsze spotkanie z tymi nietypowymi ludźmi jest dla ciebie uśmiechem Losu albo darem niebios? Ostatnią życiową szansą, choć śmierdzącą na milę? - Alan pociągnął sugestywnie nosem. - Grzechem byłoby z niej nie skorzystać, a że przy okazji zrobisz coś dla mnie, niemal mimochodem, prawie bez wysiłku... krzywda ci się nie stanie. Nie bez kozery ci to proponuję, gdyż w ten sposób zabezpieczysz sobie tyły. W razie wpadki będę cię kryć, bo przecież jesteś moim bratem przyrodnim. - Uniósł brwi, jakby to, co mówił, było aż nazbyt oczywiste. - I uratujesz dupę. Coś za coś, sprawiedliwie!

- Nie jestem zachwycony. To koliduje z moim alter ego. - Przezorny Alin zagryzł górną wargę, wążąc wszystkie za i przeciw, jego język nerwowo zlizywał z niej śmietankowe resztki lodu. Skrzywił się: - Czy to jest absolutnie konieczne? Chcesz igrać z ogniem?

- Żal ci go? - Ze zdziwienia Alan jeszcze bardziej uniósł brwi marszcząc czoło. - Masz skrupuły? Przecież prawie wcale go nie znasz. - Wyciągnął z kieszeni spodni małą fiolkę. Chorował na tak łagodną odmianę cukrzycy, że nie musiał dożylnie brać insuliny, tylko tabletki, i stosować odpowiednią dietę.

- Ale już wiem, że to żaden z tych, co jak im w twarz pluja, to mówią, że deszcz pada. Rozumiesz?

Nie spiesząc się Alan wydłubał z fiolki małą różową tabletkę.

- Podoba ci się? Taki z niego twardziel? A może to pajac na gumkach? - nagabywał dalej. Włożył tabletkę do ust i popił ją z niewielkiej butelki wody Evian.

Alin spojrział na niego znacząco - z dezaprobatą, choć zawsze starał się myśleć pozytywnie: świat jest takim, jakim go czynimy.

- Co to, to nie, a w każdym razie nie był wobec mnie skąpy - podkreślił z przekonaniem. Niezwykłe, ale trochę zadrżał mu głos, jakby ze wzruszenia, że ktoś mu w Życiu pomógł.

- To już zdążyłem zauważyć. - Alan posłał bratu krzywy uśmieszek. - No, i jak, będziemy współpracować, czy wolisz, żebym sam się nim zajął? I tobą - użył tej ostatecznej groźby, być może źle interpretując niezdecydowanie brata, lecz wiedział dobrze, że jej nie

urzeczywistni. - Ujmując to inaczej: jesteś ze mną, czy przeciw mnie, hę?

- A niech cię... - stęknął Alin do rytmu, odgryzając duży kawałek wafla. Znowu wymienili krótkie spojrzenia, wężąc wzajemne kłamstwo lub zdradę. - W całym tym codziennym kieracie... - westchnął przeciągle i wymijająco, ale tak donośnie, by dalsze słowa brzmiały znacząco - w pogoni za pieniądzem, całkiem przegapiłem, że latka lecą i starzeję się... więc nie pozostawiasz mi wyboru.

Trrrrrr! - zaterkotał mało wdzięcznie telefon samochodowy.

- O! - wzdrygnął się Alin. Ostrzeżenie jakby w samą porę! - Akurat w takim momencie! - zirytował się w duchu Alan i po pierwszym dzwonku podniósł czarną słuchawkę.

- Halo! - zaczął nader zaczepnie.

- Czółko, wodzu, to ja.

- Buck? Co jest?

- Dopiero będzie. Twój „cienki jak barszcz” Bobby McGee w końcu zgodził się zostać świadkiem koronnym. Cieszysz się?

Alanem wstrząsnęło, mimo to nie stracił rutynowego spokoju, przecież umiał przyjmować ciosy. W głowie mignął mu kontrapunktowy obraz człowieka, który sprawował nadzór nad dwudziestoma miliardami dolarów. Zamglony? Złudny? Zrozumiały?

- Nareszcie - odetchnął z nie lada ulgą.

- Za długo wodził nas za nos, ale koniec końców dopadła go przeszłość.

- Tak? A czym go złamałeś?

- Właśnie nie za bardzo wiem, czym. Naturalnie powyciągałem z nor przeróżne świry, ludzi twierdzących, że są z „Prawa do Życia”, IRA, IRS, JDL, także tych podających się za rebeliantów bośniackich, szyickich muzułmanów, Weathermanów, członków FALN, obrońców drzew i królików oraz tym podobnych zwierzątek, Kurdów, przyjaciół Unabombera, kolumbijskich bossów karteli narkotykowych, członków militarnego ruchu chińskiego, Czarnego Frontu Wyzwolenia, UFT, Świetlistej Ścieżki, Ligi Leche. I dokąd to wszystko mnie doprowadziło? Nie zgadniesz... Do śpiocha z KGB!

- Głęboko zakonspirowanego, rosyjskiego szpiega? Nie mów! Może on tylko blefuje?

- Staram się go rozgryźć i dlatego dźwięknąłem do ciebie.

Agent Cartwright myślał błyskawicznie. Buck, jak zwykle, mówił w taki sposób, że każde jego słowo, dzięki obwersji, mogło mieć podwójne lub potrójne znaczenie.

- Coś przeoczyliśmy? - podsunął. Pomyślał, że zaczyna rozumieć, co mogło się kryć za złośliwym chichotem Bobby’ego McGee. - Coś ważnego? Jakaś cholerną tajemnicę?

- Na to wygląda. Nie my pierwsi ani ostatni. - W głosie Bucka Kevina Rempela, agenta FBI, wciąż pobrzmiewała jakby kosmetyczna ironia. - Wpadłbyś na małą sesyjke burzy mózgów, co?

- Okej, będę za godzinę.

- To ja czekam.

- Tylko beze mnie już go nie naciskaj, dobra?

- Ma się rozumieć, wodzu.

Przestroiwszy myśli, Alan rozłączył się. Zerknął na Alina, a usta zadrżały mu w zapowiedzi uśmiechu, ale się powstrzymał. Jeszcze było za wcześnie świętować tryumf prekluzji.

- I wracając do ciebie, świszczypało, zgadzasz się? - zasugerował ostrością tonu odpowiedź potwierdzającą. - Pytam po raz ostatni.

- A mam inne wyjście?

- Chociaż taki będę miał z ciebie pożytek.

- Lecz to ma być nasz sekret. Nikt więcej nie może poznać moich relacji. - Zastrzegając sobie tę zasadę, Alin powiedział to jednak z niemałą dozą sceptycyzmu w tonie głosu.

- Oczywiście! Ode mnie nikt się nie dowie.

- Nikt? Słowo honoru? - upewniał się Alin.

- Słowo honoru patrioty!

- Więc po co ci to całe szpiegowanie Morkisa? - Alin zaczął się zastanawiać na głos, bo właśnie doczytał się czegoś holistycznego w podtekście propozycji Alana. Nie mógł powiedzieć, że się tego wcale nie spodziewał, lecz teraz wszystko to wydało mu się trochę nierealne.

- Oj, przecież wiesz, że jestem też pisarzem, a nie tylko agentem i to będą materiały do mojej książki, więc się uspokój. - W beznamiętnej odpowiedzi Alana kryło się wyznanie łatwiejsze, niż myślał, jednak prawdę mówiąc, nie był to dobry ruch, zatem dodał: - Tylko nie próbuj ze mną żadnych gier.

- Nikła to pociecha, że z tego ma powstać książka, ale... - podsumował Alin i popatrzał na zegarek zapięty na lewym nadgarstku, robiąc z tego miniprezentację - niestety, muszę już jechać, bo mam jeszcze coś do załatwienia po drodze. - Schrupał resztkę wafła, a w tym czasie jego twarz przeszła pełną metamorfozę, jakby zapomniał, że poszedł na wielkie ustępstwo.

- Skoro musisz, to jedź, przeznaczeniu nie uciekniesz i tak.

- Alan obdarzył brata ostatnim spojrzeniem, ale tak czujnym, jakby podejmował jakąś ostateczną decyzję, zaprawioną szczyptą wzdargy, że musi ją podjąć, skoro Alin jest nieprzewidywalny, więc nie ulegnie tak naprawdę.

No i rzeczywiście, Alin spojrzał mu w oczy bez krztyny obłudy na twarzy.

- Jednakże czuję się w obowiązku zdradzić ci, z obopólną korzyścią, pewną tajemnicę - rzekł cicho, ale i syntonicznie. Przed oczyma stanął mu cynicznie uśmiechnięty Peter Morkis. Śmieję się, śmieję, pomyślał, lecz też dla twojego dobra tak postępuję. W najgorszym wypadku doprowadzi to do lekkiego wykrzywienia rzeczywistości, bowiem w Życiu tak naprawdę nic nie jest w sam raz dla wszystkich.

- Jaką tajemnicę?

- Że lubię kłamać.

Nieco zmieszany Alan spróbował się uśmiechnąć.

- Ja cię kręcę... to w dechę.

Alin skinął głową z nadal poważną miną.

- Nie ma co się śmiać. A wiesz, dlaczego lubię kłamać? - spytał ze stoickim spokojem, pod którym skrzętnie ukrywał niezwykle napięcie, czy stanie na wysokości zadania, czy sprosta wyzwaniu Alana.

Alan zaprzeczył ruchem głowy. Nie spodobało mu się to, co usłyszał, zatem milczał rozważnie.

- To kwestia korzyści. Pomyśl... co człowiek zyskuje mówiąc prawdę? Nic. Lecz jeżeli zna prawdę i kłamie na jej temat, stwarza pewną tajemnicę. Prawda staje się tajemnicą! A ta może być bardzo wartościowa - wyjaśnił z ulgą Alin. Ulżyło mu to wyznanie prawdy.

- Jak tajemnica, którą właśnie mi zdradziłeś? - Taka możliwość psychologicznej koloratury niespecjalnie pociągała Alana.

- W tym rzecz: Tajemnicza prawda stworzona przez kłamstwo.

- Z tego wynika, że nie powinienem ci wierzyć? - Alan jeszcze się łudził, że nieprawda mogła być prawdą.

- Och, nie. Powinieneś mi wierzyć, bo to, tak między nami, jest prawda. - Alin uśmiechnął się szeroko i szczerze z zadowolenia, że zamącił w głowie Alana. Po czym jego wąskie usta rozciągnęły się w jedną stronę, a wzrok skierował się ku przeciwnej - na twarzy rozmalowała się komiczna satysfakcja, tyle że nie było w niej nic śmiesznego według Alana. Nic a nic. Bo jak zawsze wystarczył łut szczęścia, nic więcej - dziesięć sekund wcześniej lub minutę później mogli skończyć tę rozmowę i ich wszechświaty wyglądałyby zupełnie inaczej, dążąc ku innemu przeznaczeniu. A Alin jedynie cmoknął językiem o kiel i dodał: - I pamiętaj:

są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć, i rzeczy, które lepiej zgubić niż znaleźć. Dlatego możesz na mnie liczyć, szantażysto. Trzymaj się ciepło.

Wymienili ucisk dłoni przypieczętowujący zawarty układ.

Alin wysiadł.

Po chwili van ostrożnie odbił od krawężnika. Alan włączył radio. Zabrzmiała cicha muzyczka w rytmie country - Alan miał duszę twardego kowboja, który nie stroni od strzelaniny i szalonych pogoni. Skręcił w Trzecią Aleję, przejechał przez pierwsze krzyżowanie z Czterdziestą Trzecią Ulicą, rozmyślając nad początkiem swojej nowej książki, której temat właśnie podłapał. Potem przeciął drugie skrzyżowanie z Czterdziestą Czwartą w coraz lepszym humorze, choć śmierć czaiła się wszędzie - gdy wjeżdżał na trzecie z Czterdziestą Piątą Ulicą, kątem lewego oka dostrzegł zbliżający się jak pocisk, duży czerwony wóz. Usłyszał potworny pisk opon, w ich tle wycie policyjnych syren. Odruchowo spojrział w tamtą stronę - w stronę daru Losu.

- Przeżyję?! - zdążył tylko westchnąć. Wraz z hukiem uderzenia poczuł cios zadany w lewą skroń, po którym stracił przytomność w ostatnim przeblysku samooceny: Ależ ze mnie pechowiec!

Nagle Gra samoistnie zmieniła wątek i Alex poczuł się trochę zaskoczony - Tajemniczość coraz głębiej wżerała się w jego umysł. Czyżbym coś nieświadomie powiedział albo kliknął? Niemożliwe! A może moje myśli były tak „głośne”, że wywołały tę zmianę. Mimowolnie sprężył się w sobie, przycisnął w psychicznej pozycji bojowej, bo a nuż te nigdy nie widziane głupie fale myślowe, o których nic się nie mówi, zadziałały i go zdradziły? (Rosja - Świat Wampirów?) Jeśli tak, to... leżymy na wznak! Jak rozpoznać ludzi, których już nie znamy? Za dwadzieścia-trzydzieści lat strach będzie w ogóle myśleć swobodnie podczas GRY, i nie będzie to świat dla starych ludzi, takich jak ja, którzy potrafią widzieć Dobro, dostrzegać jego ogrom, walcząc o lepsze jutro dla świata. A biedni Rosjanie i Chińczycy nadal nie będą wiedzieć, jakie przekazy podprogowe chłoną ze stron internetowych, budując swoje demokracje pod ICH dyktando... (Polska - rosyjskim oknem na Europę gaz łupkowy! Rosjanie - nowe czasy, nowe metody bogacenia się! Rośnie nam chiński pokolenie „Y”! UFO widziane w Chinach!)

Najważniejsze jednak, że linie perspektywiczne antyGry zbiegają się w miejscu, w którym będzie siedział Gracz, tak więc znajdzie się w samym środku rozgrywki, czyli na pierwszym planie przekazu podprogowego dużej mocy rażenia - im więcej wchłania, tym bardziej oddala się od swojego człowieczeństwa. Alex upewnił się co do tego, gdy kliknięciem „wszedł” na galerię dla podglądu z CKT - CENTRUM KONTROLI TESTU, które przed

chwilą sobie wyobraził, i poobliczał kąty kadrowania.

Naturalnie wyłączając kamery ruchome, bo żadne urządzenie na świecie nie jest w stanie tego zapewnić, nawet w Sperogrze. Wszyscy uczestnicy Gry będą zatem w takiej samej sytuacji... bez wyjścia awaryjnego.

W tym samym momencie właśnie minęło pięć po wpół do trzeciej, gdy Peter Morkis siedząc za hebanowym biurkiem w swoim nowym gabinecie - wirtualnie „wirującym” pokoju - w biurowcu Hearst Tower na Manhattanie, popijał kolejnego bourbona four roses i ćmił entego mentolowego pall malla. Naprzeciw niego, trochę z prawej strony, w wygodnym fotelu pod wielkim oknem, rozparł się Manny Parker - płatny zabójca. On także kopcił i sączył, ale z dużo większym umiarem, gdyż miał wkrótce prowadzić swój wychuchany wehikuł czasu minionego - forda mustanga shelby model z 1967 roku. Spoza przyciemnionych szyb, z oddali, dobiegał do nich warkot wirnika helikoptera, wdzierając się coraz bardziej przez uchylone w pionie okno, z którego widać było zachodnią stronę Centrum Rockefellera.

- ...No to teraz już wiesz, co masz zrobić... Ale przecież on mnie zabije, jak się dowie! Ten świat jest porąbany, kurna jego chata! - Wysoko intonując, szcudłowaty Peter Morkis, ten brutalny osąd podkreślił nerwowym walnięciem lewą pięścią w blat biurka, ruchem pełnym ekspresji wynikającej z niespożytej energii. Zniżył głos o oktawę dodając: - Żeby go szlag trafił! Byłby święty spokój.

- Wyluzuj i nie bluzgaj tak cienko. O kim mówisz, jeśli wolno spytać? - schłodził go zimnym tonem masywny Parker. *(Jean Reno w tej roli może się jednak nie sprawdzić, podszeptała Aleksowi prawa strona jego mózgu. Lewa zajęta była czym innym. Słuchała podkładu muzycznego tej sceny: „Come together” Beatlesów. Dlaczego akurat tę piosenkę wybrano na ten moment Gry? Na pewno był ważny powód. To nie jest zagrywka w ciemno, to... psychologiczny mikrodyfuzor? Ultrasoniczny moderator? Rosyjski niuans podany w pigułce meloprzekazu podprogowego? Rosyjskie ostrzeżenie? Czy zwykła próba nawiązania melokontaku?)*

- Aaa, jeden ziomek w pudle zwierzył mi się z czegoś i... - Morkis zawahał się z dokończeniem zdania, spojrział w okno, szukając odwagi (zwanej głupotą) do dalszych wyjaśnień - i... - zaciągnął się głęboko dymem z papierosa - i... - popił bourbona ze szklanki i ujrzał na szybie zarys mściwej twarzy Bobby’ego McGee. - Kocham to miasto, kocham ten kraj, a ty? - nagle zmienił wątek. Pomyślał, po raz któryś tego dnia, że Ameryka jest właśnie tym cudownym krajem drugiej i trzeciej szansy, miejscem, gdzie każdy może ponowić nieudaną próbę odbicia się od dna i mając wystarczającą ilość oleju w głowie, tylko idiota nie

zdoła w końcu zrobić tego, co zamierzał, by strasznie tajemniczo było po tej stronie raj.

- I gwizdnałeś mu pomysł, tak?

- No cóż - sarknął Morkis, zerkając spod oka na Parkera - nie zaprzeczam, ale bystry jesteś nad wyraz. - Nie po raz pierwszy przemknęło mu przez głowę, że Parker znakomicie nadaje się do swojej profesji zabójcy na zlecenie. Zawsze miał ponurą, opanowaną minę, otwarte wysoko powieki nadawały jego płaskim, rybim oczom czujny, drapieżny wyraz, a w dodatku nie mógł pozbyć się łupieżu - w sumie nie budził w nim najcieplejszych uczuć.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny, a wypadki lubią chodzić po ludziach, i oni tworzą historię - stwierdził jeszcze chłodniej Parker, drapiąc się palcami o bardzo krótko obciętych paznokciach po siwawej pełnej brodzie. Była przycięta na centymetr, podobnie jak u Seana Connery w Polowaniu na Czerwony Październik, stanowiąc dzisiejszy kamuflaż Parkera na wszelki zły wypadek. - Jakie masz plany?

- Muszę załatwić coś pilnego w Waszyngtonie.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Pojutrze o świcie, ale wracam tego samego dnia.

- Tylko nie mieszaj się do polityki, bo to droga do zguby. Powiodą się niej zreczne słówka, najczęściej bez pokrycia. - Tym ostrzeżeniem Parker zaskarbił sobie pełne wdzięczności, rozmarzone spojrzenie rozmówcy.

Morkis przypomniał sobie prościutkie hasło: „BILL CLINTON NA PREZYDENTA”, wyklejone olbrzymimi, modnymi, trójwymiarowymi literami na pasiastym, purpurowo-granatowym, usianym wielkimi, srebrnymi gwiazdami flagowym autokarze wyborczym. Lecz jego szyby odstręczały, gdyż były czarne: błędne rozwiązanie - ukryć się przed oczami pospólstwa za kurtyną weneckich luster. Ale uśmiechnięty w ten szczególny sposób, charakterystyczny tylko dla niego, Bill Clinton z mikrofonem w ręku przed symbolicznym pojazdem, a za nim jego żona Hillary, z enigmatycznym uśmiechem mówiący: „Wiem coś, czego wy nie wiecie, ludkowie”, po jej prawej stronie ich córka w promiennym uśmiechu niewiniątka, mającym zaświadczyć, że w ich rodzinie wszystko gra w amerykańskim stylu, no i jeszcze kilka osób ze sztabu wyborczego w słomkowych partyjnych kapeluszach, tworzyli wystarczająco sielankowe stadko, wokół którego tłum klakierów skandował: „CLINTON NA PREZYDENTA!”... By to właśnie mógł wykorzystać Peter Morkis, który w zamyśleniu bawił się złotą zapalniczką, regulując wysokość płomienia.

- Ani myślę zabawiać się w politykę. To coś bardziej wyrafinowanego. - Rzucał słowa nad papierosem trzymany blisko prawego kącika warg. - Epokowe rozdanie kart, że to tak kolokwialnie ujmę.

- Co to jest tak naprawdę? - spytał Parker, starając się, by słowa zabrzmiały beznamiętnie jak ziewnięcie, choć siłą przyzwyczajenia we wszystkim doszukiwał się drugiego dna, osądzając innych po sobie.

- Chciałbyś wiedzieć aż tyle?

- A jak myślisz?... Chciałbym... - Parker urwał, wiedząc, co musiał zrobić: maksymalnie odwlec nieuniknione. - Po prostu chciałbym wiedzieć... i już!

- Ciekawość zabiła kota, wiesz o tym?

- To banalne ostrzeżenie czy zapowiedź fulguracji?

- Za mało jesteś gramotny, żeby pojąć właściwie i to, i tamto.

- I *vice versa*. - Parker zamaskował zmieszanie kaszlnięciem i założył nogę na nogę w kolanie, dorzucając na wypróbowaną już kiedyś przynętę: - Jakaś supertajemnica... co nie?

Trafne pytanko, stwierdził w duchu Morkis, i niepozbawione romantyzmu. Uważał bowiem, że w Grze wszelkie tajemnice ograniczają pole manewru prowadzącego do klęski, więc należy tworzyć nie tylko ezoteryczne sekrety.

- Zgadłeś - odburknął dość mocno niezadowolony, że już nadszedł czas próby. Zawsze potrafił być czarujący, jeśli chciał. Wyczuł jednak, że Manny'ego nie nabierze dzisiaj na swoje miny. - Ale nic ci do niej.

- Mnie możesz powiedzieć - poprosił Parker tonem skażonym wisielczym humorem. - Będę milczał jak grób. Przyrzekam.

- Z jakiej paki na to liczysz? Mógłbyś mnie przecież zdradzić.

- Jaaa! Nigdy! Nie spodziewałem się, że tak mało mi ufasz. Chodzi o pomysł tego ziomala z pudła, tak? Wyjdzie i zrobi ci kuku, co nie? - Tak, pomyślał Parker, dobrze kojarzę. Prędzej czy później Peter mnie wtajemniczy. Jego uśmiezek, gdy tak patrzył spod oka na Morkisa, był celowo cienki, przy tym tendencyjnie porozumiewawczy, a i tak pełen podziwu i zarazem troski.

- No, no! Nie doceniałem cię, ale nigdy nie mów nigdy, tego uczy nas Życie, prawda? Zaufanie w interesach to jedno, a ta Tajemnica... - Morkis umościł się wygodnie w fotelu, złożył dłonie koniuszkami palców w daszek i nerwowo poruszał nim odrobinę w górę i w dół; wiedział, że tak wygląda rozważniej, choć tak naprawdę czuł się trochę nie w sosie - to rewelacja, zbyt łakomy kąsek dla niektórych. Gdybyś ją poznał i tak byś nie ogarnął jej ogromnych możliwości. Poza tym, to nie twoja broszka, co ja planuję. Szkoda więcej o tym gadać.

- Jednak nadal mnie nie doceniasz. Rzeczywiście, szkoda z tobą gadać choćby o antyholistycznym pojmowaniu struktury partnerstwa, by przewidzieć kolejny manewr Losu,

gdy wykonuje bieżący. - Parker potrafił nawet i patetycznie grać rolę ofiary Losu, jednocześnie planując kolejną zbrodnię.

Zamilkli, obaj lekko zażenowani tą górnolotną ripostą, wzdychając rozgłośnie, jakby im obu było ciężko na duszach. Różnili się od siebie tak zasadniczo kontrapunktowym zachowaniem i przeciwstawnym wyglądem, że robiło to wręcz komiczne wrażenie - dwie skrajności, które połączył sadystyczny kaprys Losu, jakby rewers i awers jednej monety; teoria przyciągania się przeciwieństw akurat do nich bardzo pasowała.

- Ponieważ ktoś mnie zdradził i musiałem kiblować - wreszcie Morkis wyznał swój żal, ale nieco zaczepnym tonem - więc nie dziw się mojej nieufności.

- Do tego chcesz wracać? - Parker nadal zachowywał spokój, nadal roztaczał wokół siebie aż nadto przyjacielską atmosferę i mówił z delikatnie tajemniczym uśmiechem na wargach, jakby miał zamiar za chwilę także ujawnić jakiś swój sekret. - Nie ośmieszaj się.

- Tak! Do tego chcę wracać! - Morkis szarpnął się na pokaz. - To był kawał mojego Życia. Ale jeszcze się zemszczę. - Przerwał, pozwalając, żeby jego słowa zapadły głęboko w świadomość Parkera.

O ty w torbę kopany! - zaklął w duchu Parker. Czyżbyś mnie podejrzewał?

- Santa Madonna! I co ci da zemsta? - Parker poczuł się zanadto spłoszony tym, że konwersacja podążała w niepożądanym dla niego kierunku. - Lepiej zapomnij o niej, bo... - Musiał szybko zmiękczyć Petera tym, co powie.

- Bo co?

- Bo... - Pochyliwszy się w stronę Morkisa z prawie przymilnym uśmiechem, lekko mrużąc rybie oczy, Parker zręcznie dokończył: - Bo znasz to powiedzenie: „To, że jesteś paranoikiem, nie znaczy, że nie chcą cię dostać”? - Na to twarz Morkisa trochę się rozpogodziła, ale nadal grał nerwusa rozchwianego emocjonalnie. - A pamiętasz, jak ciągnęliśmy whisky prosto z butelki, kto więcej za jednym razem?

Pochyloną więc teraz ku niemu krzepką sylwetkę Parkera Morkis odebrał jako ostrzeżenie przed niebezpiecznym kłbowiskiem twardych mięśni i elastycznych ścięgien, przed ciałem ciężarowca sprawnego nad podziw, przed inteligentną pewnością siebie z domieszką instynktownej czujności i pedanterii, z którą wielcy mężczyźni przystępują do zadań specjalnych. Dzisiaj dla niego były to wrogie sygnały. Osłabiały jego poczucie władzy fizycznej i duchowej nad samym sobą, jego własne wzorce tężyzny i osobowości.

- Nie zapominam takich imprez - zachichotał nieznacznie Morkis, chcąc choć trochę rozładować narastające w nim napięcie przed spotkaniem na szczycie, które miało się niebawem zacząć.

- A ten taniec flamenco-tango w koktajlbarze La Paloma, który zatańczyliśmy w parze? - Parker postawił na chytre przekomarzenie się.

- Ten pastisz? Razem zawsze lepiej nam szło niż osobno. - Morkisowi niewątpliwie spodobały się te wspomnienia. W drodze jakiejś psychologicznej osmozy wchłaniał w siebie perswazję Parkera.

- I jak wówczas zaśpiewałeś: „Dokąd lecisz czarny gołębiu?”... a może kruku?

- Gołębiu.

- Masz świetną pamięć, ale jak się zwał, tak się zwał. Na jedno wychodzi, kruk też ptak i do tego czarny.

Hym?

- Do czego zmierzasz? - Morkis nie miał powodu o to zapytać, lecz tak mu się wyrwało - zadziałał szósty zmysł, instykt.

- Albo to barbecue we czworo w letnim domku na uroczej wysepce Clark's Vineyard, czy tej drugiej...?

Hymm?

- Wtedy, kiedy zrobiłeś to efektowne *entrée* do salonu w samych płetwach i masce do nurkowania, ale bez kąpielówek?

- Naprawdę, masz świetną pamięć - orzekł Parker, przekonany, że było to za słabo powiedziane. - I dryg do interesów.

Hymmm?

- Pamiętam dobrze tylko to, co ważne. To były czasy... aż łezka się w oku kręci i żal dupę ściska. Ale do czego zmierzasz, chytrusie?

- No właśnie, właśnie, i odwieczne my albo oni... tyle razem przeszliśmy, a ty zawsze byłeś duszą towarzystwa... Więc mógłbyś mi szepnąć, co knujesz?

Ahaaaa... O to chodzi. Mówić czy nie mówić?, rozważał Morkis, zaglądając w rybie oczy Parkera, anormalne oczy w twarzy, która wyrażała zagnieżdżoną głęboko pod czaszką bezwzględność i zimną determinację w połączeniu z obsesyjnie zabójczą nienawiścią do przeciwieństwa anonimowego świata.

„Śmierć kroczy moim śladem!” (Przekaz podprogowy!)

Nie chciał tej myśli, a jednak wyskoczyła z pamięci. Och, jak on nienawidził Parkera, jak dobrze go znał, na wskroś, na wylot! Wiedział, co dzieje się w jego zakutym łbie psychopaty, kiedy ktoś jest bezbronny i zdany na jego zabójczą łaskę. I to, niestety, chciał dzisiaj wykorzystać!

„Nie ma lekko - chleb po osiem dolców” - mógłby mu więc odpowiedzieć, ale tego

nie zrobi, bo Manny i tak by nie ustąpił z tym wypytywaniem. Dlaczego w prawdziwym świecie najlepsze odzywki przychodzą na myśl zawsze wtedy, gdy nie ma się odwagi ich wykorzystać? Bo zaczęliby słowną przepychankę i problem: co knuję, by się rozmydlił. A trzeba, żeby się nie rozmył, tylko urósł, wzmocnił się, spotęźniał do gigantycznych rozmiarów: żeby stał się MONSTRUM. I przywalił Parkera swym ogromem. Spłaszczyl mu umysł na placek, wycisnął z niego sok niedowierzania, odciął go od dostępu do zdrowego rozsądku - zmanipulował mu świadomość! (Przekaz podprogowy!)

„Śmierć kroczy moim śladem!” - Może Parker ma mnie zabić na zlecenie? I zabije, jeśli nie uchylę mu rąbka Tajemnicy?

- Okej, marudo! W imię starej przyjaźni uchylę ci rąbka Tajemnicy. Tylko mnie nie zdradz!... - zawahał się znowu nad tym, co powiedzieć dalej. Zaciągnął się dymem z papierosa, obracając w myślach swoją niebezpieczną Tajemnicę jak drogocenny kamień. - Bo... - Pogroził mu palcem.

- Nie żartuj sobie nawet w ten sposób. Słucham - wspomógł go Parker, a przymilny uśmiezek na jego twarzy nieco przygasł, lecz nadal pozostał, na wszelki wypadek.

- Stracić szmal jest bardzo łatwo, ale żeby zarobić, i to duuużo, trzeba się naharować jak wół. - Peter Morkis zaczął banalnie, lecz z jakże enigmatyczną miną, całkiem jakby chciał wejść w ścianę jak zjawą i zniknąć. Ta Tajemnica stała się jego wielką namiętnością, przerastającą wyobraźnię, a potwierdzała to podświadoma chęć wyznania jej fragmentu tak typowa dla ludzi, których nie trzymają się tajemnice.

- Mnie nie musisz o tym przekonywać. No i co dalej... tajemniczy człowieku? - beczelnie podbechtał go Parker. Czuł się teraz przewidujący, kompetentny i przygotowany na najgorszą Tajemnicę.

- No i to, że wirtualna rzeczywistość jest nieuchronną Przyszłością ludzkości. - Morkis przeszedł na poufny ton. *(Powinieneś ocenić kreację Michaela Douglasa w roli Morkisa pod kątem własnej homeopatii psychicznej, podszeptęła lewa - rosyjska - strona mózgu Aleksa... i wszystko dalsze poszło za jej radą. Wszystko nagle, jakby wpadło w podświadomy tryb wykrzyknikowy zapowiadający coś nieprzewidywalnego, nabierając w jego umyśle coraz szybszego tempa i lepszej, bo bardziej chaotycznej współpracy z prawą - amerykańską - półkulą mózgu.)* - Świat szybko zmierza do utworzenia globalnej sieci komputerowej z połączenia tysięcy sieci lokalnych. Tę nową ogóln amerykańską, codziennie rozrastającą się sieć informacyjną już ochrzczono mianem Internetu, na którym w prosty sposób można zbić dużą kasę. Kto pierwszy zacznie ją komputerowo kontrolować teraz w 1992 roku, gdy jest to stosunkowo łatwe, ten będzie mógł solistycznie manipulować internautami, skoro Internet tak

skonstruowano, że każdy ruch w jego Sieci zostawia ślad do analizy. A na stronach internetowych można umieszczać przekazy podprogowe niewidzialne dla ludzkiego oka, ponieważ emitowane są w ułamku sekundy, i bez naszej wiedzy wchłaniane przez podświadomość, która w jednej sekundzie rejestruje milion razy więcej bitów informacji niż nasza świadomość w tym samym czasie, sterując nią w odpowiedni sposób. I chcę pogadać o tym z przyszłym prezydentem. Przy czym, jak dobrze wiesz, konikiem Clintona są Chiny, a konkretnie okiełznanie ich mocarstwowościowych dążeń, ponieważ dzięki Chinom możemy szybko wyjść z zapaści finansowo-gospodarczej roku dwa tysiące ósmego. Natomiast za jakieś dwadzieścia - trzydzieści lat pewnie będzie psychologiczna cyberwojna z Chinami, a wtedy mój pomysł da nam przewagę. To tylko cząstka naukowej Tajemnicy. Kapujesz?

- Zapaści gospodarczej roku dwa tysiące ósmego? - powtórzył Parker, bo mu się zdawało, że źle słyszy. Morkis przytaknął energicznym kiwnięciem głowy, więc Parker dodał z lekko sztafirującą się ironią: - Lecisz po bandzie w aż tak daleką Przyszłość? Czy robisz mnie w konia?

- Okresowe falowanie koniunktury i dekonunktury w gospodarce światowej - odparł bezzwłocznie Morkis - pozwala łatwo przewidzieć, że gdzieś za piętnaście lat, w 2008 roku, właśnie u nas zacznie się wielki spekulacyjny kryzys gospodarki światowej, rozrastający się potem przez lata, a my na grzbietach Chińczyków możemy szybko wyjść z dołka dzięki mojemu wirtualnemu pomysłowi. Ameryka będzie potem żyć na koszt reszty świata, powoli tracąc swoją hegemonię, ponieważ taka jest spekulacyjna kolej rzeczy, ale dzięki mnie będzie ją to mniej bolało.

- Aaa... ha!

- A w 2013 roku wybuchnie superpanika na wszystkich giełdach i świat już nigdy nie będzie taki, jakim był. Będzie wirtualnie zrewitalizowany przez **NICH**. I o tym właśnie chcę pogadać z przyszłym prezydentem. Paniatno?

- Z tym dowcipasem? O panice? O Chinach? - skrzywił się Manny, a zmarszczki wokół jego oczu stały się wyraźniejsze. Nie potrafił orzec, czy Peter nie fantazjuje. Bardzo rzadko mógł poznać, czy kłamie, patrząc mu w oczy, śledząc język ciała i tym podobne. Tak biegły łgarz, jak Peter, wiedział, jak to robić. - Ale czy on będzie chciał pogadać z tobą? Wątpię w to. - Niemniej jednak tym razem, zanim Morkis otworzył usta, wiedział, że Peter skłamie.

Zawiśnij na HAKU Tajemniczości!

- Jeszcze nie teraz, lecz kiedyś... - Morkis przymknął powieki, jakby pod nimi chciał zobaczyć tę świetlaną Przyszłość - na pewno zechce mnie wysłuchać. - Powolutku otworzył

oczy. - Przecież wszystko jest na sprzedaż. Wszystko jest Grą... (zwłaszcza przekazów podprogowych wpadających do podświadomości, dodał w myślach). Grą na śmierć i życie, jakby nie patrzeć, Manny. Pojąłeś już? - Patrząc na wyraz twarzy Parkera, odgadł, że ten mu nie wierzy. I nie miał mu tego za złe. Dlatego też nic mu nie wspomniał o swojej cyberpułapce na Rosję i ultraniespodziance szykowanej światu.

Kolejny przeskok Gry do nowego podwątku nastąpił o piczy kłak przed kliknięciem Aleksa. I nagle skraj przepaści w tej rosyjskiej meegamanipulacji znalazł się tak blisko Aleksa jak nigdy dotąd. Wtedy pytali: Jak ujarzmić Putina? A dzisiaj: Dlaczego Putin tak tyje w naszych oczach?

Wszystko jest Grą... Grą na śmierć i życie, powtórzył sobie bezmyślnie Lucas, wciągając nosem dwie krótkie krechy doskonałej koki, uformowanej przy pomocy karty płatniczej American Express na półce pod lustrem w ogólnodostępnej toalecie na osiemnastym piętrze tego wieżowca. Wciągnął ją podwójnym, sakramencko głębokim niuchem. Niuchem, który sprawił, że „demon mocy”, mocy nieziemsko twórczej, dotarł ekspresem do najodleglejszych zakamarków jego umysłu, duszy i ciała, wywołując erupcję doznań. Przez słuchawki od niby walkmana Lucas podsłuchiwał dyskurs tamtych dwóch i sprawdzał czas na zegarku. Albowiem czas w tej Grze, jako czwarty wymiar, miał dla nich istotne znaczenie, choć przecież jakby nie istniał, zagłębiony w piątym wymiarze - ich myślach, myślach złych, złych, złych, coraz gorszych...

Znowu przeskok? Te samobieżne zmiany podwątów trzeba koniecznie pogmatwać wyprzedzającym kliknięciem, postanowił Alex. Wybierając ikonę z nadzieją - osoba z zaburzeniami tego typu powtarza wciąż tą samą czynność, spodziewając się za każdym razem innego rezultatu - że trafię we właściwy cel, tworzę złudzenie GRY, sięgające wyżyn ambicji oszukania publiki w ten prosty sposób. Chociaż poza Alekssem nikogo innego nie było w pokoju, poziom kawy w jego kubku nagle obniżył się o cal. Muszę więc poczekać z kliknięciem, aż stracę nadzieję na... zrozumienie Rosjan.

Wszystko jest Grą, przetrawiał w myślach Parker. I to Grą na śmierć i życie. Nowa *idée fixe* Petera? Śmiechu warte! Lecz płytka wyobraźnia, to przecież kalectwo! Jak znam Życie, Internet jest już komputerowo kontrolowany przez NSA. A na pewno powstał po to, by można było manipulować wybranymi internautami. Zaśmiał się cicho i uragilwie zapytał:

- A ty co, jesteś supergwiazdą w tej Grze?

- Jak byś znowu zgadł! Ale pamiętaj: media nigdy nie śpią, a kto mniej wie, dłużej żyje! He he! I krócej zeznaje. Ha, ha, ha!

Mistrz pozorów - Peter Morkis podniósł poziom Gry jeszcze wyżej. Przyłapał się na

tym, że myśli o międzynarodowej, wszechwładnej konspiracji, o wewnętrznych, tajnych kołach CIA, NSA, FBI, o establishmencie północno-wschodnich uniwersytetów, tak zwanej „Lidze bluszczu” i o ukrytej elicie władzy - CWG: CENTRUM WŁADZY GLOBALNEJ, które faktycznie rządzi światem, podczas gdy zwykli ludzie jeżdżą do pracy i wracają do domów, wierząc, że żyją, jak chcą w naturalnym porządku rzeczy. To nic, że kreowanym codziennie przez MEDIA na ekranie telewizora i... monitora, skoro wszystko dzięki temu jest takie oczywiste.

- Teraz niech ja zgadnę - powiedział jakby wbrew sobie. Odruchowo przeciągnął palcami po włosach na czubku głowy, gdyż zaczynała go ogarniać dialektyczna dezintegracja.

- Lubisz ryzykowną Grę, zgadłem? A łatwo cię nie docenić, bo sprawiasz wrażenie opóźnionego w rozwoju, mam rację? I ostatnio ci się nie przelewa, prawda, kamracie?

Prawda?... Parker wpatrywał się w kumpla ze sceptycznym nastawieniem do tego słowa. Wahał się, czy mu przytaknąć, bo wolał raczej zaprzeczyć. Nie wiedział, czy prawidłowo odczytuje intencje Petera. Kłamstwo w celu wykrycia prawdy by mi odpowiadało najbardziej, pomyślał jak ratownik prawdy. W każdym kłamstwie kryje się motyw. Więc Tajemnica Internetu to istna bomba medialna! Wiedział już teraz, jakim motywem kierował się Morkis. Podjął wyzwanie:

- Gdybym cię nie znał tyle lat, pomyślałbym, że ci palma odbija, ale mój nos mówi, że coś w tym twoim pomysłe jest niegłupiego.

- W konwencji Gry wszystko, co ludzkie jest możliwe i dozwolone, więc grasz czy nie grasz ze mną, Manny? - zapytał Morkis z podstępnie rubasznym wydzźwiękiem zapowiedzi dobrej zabawy.

- Oczywiście, że gram, ale czy ja muszę wyciągać od ciebie to wszystko po kawałku?
- odpowiedział przekornym pytaniem Parker.

- Tylko tyle mogłem ci teraz ujawnić. - Morkis subtelnie machnął dłonią, jakby już odsuwał od siebie tę kwestię. Gdybyś tylko znał prawdę... z tą uspokajającą myślą spojrział w okno. Przed nim rozciągała się panorama Nowego Jorku. Pojedyncza chmura jak biało-szary strzęp nadziei niejednego człowieka przesuwająca się chyba nad Wall Street. Gdzieś tam z jej prawej strony było Jersey - usiłował wyobrazić sobie widok przez rzekę, sunącą do oceanu nieubłaganie jak czas - gdzieś z lewej, Queens. Długie mosty łączyły skrawki ładu niczym wymyślne klamry Postępu. Tysiące samochodów pełzały wzdłuż sieci ulic jak większe kolorowe mrówki wśród tłumu mniejszych. Kiedy patrzyło się z wysoka, wszystko wydawało się tak ustabilizowane i uporządkowane, że aż trudno było wyobrazić sobie w tym jakiś zgrzyt czy bezsens istnienia. A jednak rządził tam **CHAOS GRY** - każda decyzja jednostki miała

swoje rozliczne personalne i społeczne konsekwencje - ustanawiając pieprzone przeznaczenie, gdy zbrodnia, wypadek, oszustwo czały się za każdym rogiem, a niebezpieczeństwo bankructwa, nawet duchowego, dosłownie wisiało w powietrzu. I jak tu się nie zdeprawować albo nie zwariować, pomyślał i dorzucił: - Kiedyś dowiesz się więcej, wspólniku.

- Czy ja się nie przesłyszałem? Wspólniku? - z mimowolną ironią podchwycił Parker. Mało tego, odruchowo podłubał w nosie, choć zrobił to niespodziewanie nawet dla samego siebie, ale przyłapał się na tym i dla niepoznaki potarł nos kłykiem, jakby go zaswedział.

- Tak, taaak... wspólniku. Dodam jeszcze, że kiedyś będziemy zarabiać uczciwe pieniądze - głośno rozmarzył się Morkis - i...

- Uczciwe i czyste, co?! O dupę potłuc takie gadanie! Zawsze będą brudne w twoim wydaniu! - wyśmiał go Parker, udając przesadne zaskoczenie, równocześnie próbując dociec, co się za tą ścierną kryje.

- Brudną forszę mi wypominasz?... A zresztą, przekonasz się kiedyś... w niedalekiej Przyszłości. - Morkis rozpromienił się, by ukryć zmieszanie. Nie wydawało mu się to specjalnie ważne, że się trochę rozmarzył, lecz po śmiechu Parkera zgadywał, że jest inaczej.

- Przecież w naszym biznesie nie ma czystej forsy, sam wiesz. - Parker usiłował zobaczyć tę bliską Przyszłość, obserwując ujmujący uśmiech i obiecujące kiwanie głowy Morkisa, ale nie dał się zwieść tym pozorom dobrych chęci. Dopił swój trunek do końca, po czym oblizał wargi, mrużąc rybie oczy, zamyślony nad pytaniem: Dlaczego Peter pcha się w nieustanne niebezpieczeństwo? Po trzech sekundach znalazł odpowiedź, więc dopowiedział z twarzą niczego nie zdradzającą: - Ale interes... to interes, a wspólnicy w takiej Tajemniczej Spółce jak ta, mają to do siebie, że giną zbyt szybko. Mówi ci to coś?

Niby mówi, ale co? Nagle Morkis uświadomił sobie wyraźniej niż dotąd, że Tajemnica Internetu, którą skrywał, może go wkrótce zabić.

- W rzeczy samej, jeden fałszywy ruch i raptem ciach, trach lub bach i nie ma mnie już wśród żywych jak filmie o złych facetach - uśmiechnął się kwaśno-słodko. Często myślał o swoim Życiu jak o filmie, w którym grał główną czarną rolę, posługując się swoim workiem sztukmistrza. - Gdy zapachnie krwią plotki, rekiny zaczynają krążyć coraz bliżej, nie?

- Gadasz trzy po trzy. Filmy to fikcja, ja mówię o rzeczywistości, gdzie logiczną konsekwencją naszego interesu byłoby niejedno morderstwo, ale ty chyba nie nadażasz za mną? Co ci jest? Przyznaj się, ćpałeś? - Z upodobaniem surfując dalej na fali ukrytej w podtekście kpiny, Parker wczuwał się w nową rolę w filmie Petera Morkisa. - Jesteś błąd, jak stara dupa, która od lat nie widziała słońca.

- Nic nie ępałem! W żadnym wypadku! Chociaż można powiedzieć, że dzisiaj jestem trochę rozchwiany emocjonalnie.

- Morkis pokiwał głową na boki jak wańka-wstańka. Jediną rzeczą, pomyślał, której film nie może pokazać na twarzach bohaterów, jest skomplikowane myślenie, kontemplowanie złożoności Życia, podczas gdy pisarz, dysponując jedynie słowami, czarnymi literkami na białym papierze, to potrafi. - Prawdopodobnie mam tremę. Na pewno ją mam, ale poradzę sobie... moim najlepszym sposobem.

- To kijowo, bo widzę, że swojej mentalności skażonej procentami nie masz zamiaru zmienić ani na jotę. - Również tym przyjacielskim strofowaniem Parker starał się odwlec to, co było nieuniknione. - Będziesz chlać dalej?

Morkis o mało nie kiwnął głową potakująco. Wiedział, że docinki Manny'ego mają głębszy racjonalny sens - jak zwykle, można było odczytać je na przeróżne sposoby - skrzętnie ukrył więc zniecierpliwienie wytrzeszczając oczy z lekkim lekceważeniem przestrogi Parkera.

- Spoko, staruszk, spoko - odparł ugodowo - znam swoje możliwości. Dzisiaj muszę czuć się na luzie, bo nie wyrabiam. Alkohol uwalnia moją elokwencję.

- Wprawdzie do elity krasomówców nie należysz, ale zawsze potrafiłeś coś sensownego sklecić. - Parker zaciągnął się głęboko resztką swojego marlboro i puścił kółko z dymu. - Lecz nadmierne picie na inauguracyjnym spotkaniu, to zbyt odpychające piętno twojej osobowości, więc z lekka przyhamuj, opoju. - Strzepnął popiół do popielniczki, po czym zdecydował, że go jeszcze nie zgasi, ponieważ jego wewnętrzny głos, halucynacja, rozkaz-omam mu zabronił.

- Masz rację i dlatego czasem gardzę sobą z tego powodu. - Niestety, takie Życie przemawia do mnie najczęściej, strapił się Morkis. Bo czegoś to dowodziło. Może tego, że w Życiu wszystko ma jednak jakiś sens, choć trudno to dostrzec w całym chaosie zasranego przeznaczenia.

- Ja też czasami nienawidzę tego, co robię. - Niestety, nie postawiłbym nawet złamanego centa na to, że przestanę to robić od jutra, skostatował Parker. Bo wszelkie spekulacje byłyby bezowocne.

- Tak wiele nas łączy... - westchnął Morkis w przyływie telepatycznej przekory - że to aż dziwne.

- Dziwne? Wcale nie dziwne, a w dodatku należy ci się opierdol. - Parker demonstracyjnie odstawił szklanekę na stolik, jakby żądał dolewki. Uznał, że dzięki temu odwróci uwagę współnika od klastera.

Mimo to Morkis udał, że nie widzi jego sygnału, tylko na pół groźnie zmarszczył brwi, gdyż nie był przecież ślepy i dostrzegł klaster.

- Chciałeś chyba rzec... opiernicz, tylko za co? - zachnął się.

- Za to, że ściągnąłeś mnie tutaj na ostatnią chwilę i nic wcześniej nie wspominałeś o tej Tajemniczej Spółce.

- Wybacz... Ale się nie martw, bowiem całe to dzisiejsze spotkanie nagram bez ich wiedzy i jutro będziesz mógł je odsłuchać. Potrząsnę nimi solidnie... i sprytnie, a potem zobaczę, co z nich wypadnie.

Z szyderczym uśmieszkiem Parker przymrużył lewe oko.

- Podpuścisz ich i przekonasz się, jak zareagują? - podchwytliwie domyślił się na głos. Wyczuł, że przełomowy moment już minął, i Peter będzie mniej ostrożny i mniej heurystyczny. Lecz wciąż nie potrafił się zdecydować, czy wierzyć w istnienie Tajemnicy Petera, czy nie.

- Otóż to! Gówno zawsze wypłynie na wierzch, no nie?

- A jak się pokłóca, to co? Przewidziałeś to? - Parker rezolutnie rzucił jedno pytanie po drugim w tym samym podchwytliwym tonie.

- Jak się pokłóca...? To się pokłóca... będzie ubaw. Jednak nie będę się z nimi certolić, to pewne.

- Rób, jak uważasz, aby dobrze ci wyszło. Tylko strzeż się tajniaka jako konia trojańskiego, klucza do zagadki twojej Tajemnicy.

Klucza do zagadki mojej Tajemnicy? Niedoczekanie ich.

Wypiwszy swój trunek do dna szklanki, Morkis z komiczną miną zafalował brwiami poruszając jednocześnie uszami.

- Zobaczymy, kto, z kim się skuma - wyznał swoją małą nadzieję na sukces w zamierzeniach, wiedząc jednak, że Życie jest takie niesprawiedliwe, jakby było twoim wrogiem - i wykorzystamy konia trojańskiego do naszych celów.

- Daję tej Spółce najwyżej pół roku istnienia, nie więcej. - Oświadczenie Parkera zawierało przekonanie oparte na własnym hedonistycznie przekornym życzeniu, aby się mylił. Właśnie takie niuanse między tym, co myślał a mówił, sprawiały, że doskonale się teraz bawił.

- Przetrwają lata, wspomnisz moje słowa - zaprotestował Morkis, choć niezbyt pewnie. - Udział tylu różnorodnych profesjonalistów gwarantuje kreowanie nieprzeciętnych przekrętów, oto tajemnica sukcesu.

- Jesteś niepoprawnym optymistą. - Parker powiedział to drętwą, jednocześnie gasząc

niedopałek w popielniczce, żeby wyglądać jak najbardziej naturalnie. - Albo dobry bourbon ci zaszkodził - dodał już z politowaniem w głosie i umieściwszy łokieć na skórzanym oparciu, zaczął delikatnie gładzić grzbiet nosa koniuszkami palców prawej dłoni: błędził myślami gdzieś wokół podtekstu tego, co mówił. - Sukces kieruje się własną logiką.

- Wiedz jednak, że optymista umiera tylko raz, a pesymista, taki jak ty, całe Życie. - W tym momencie Morkis postanowił całkiem przechytryć Parkera. - Mimo to nigdy nie zapomnę, że jestem ci winien przysługę za pomoc w wyrwaniu mnie z pierdła i udanym sfingowaniu mojej śmierci przy tym. - Znowu popatrzył w okno, unikając przenikliwego wzroku kumpla, a że nie powinien tego robić, zerkał na niego co rusz.

- Daj spokój. Nie o to mi wówczas szło - zażenował się Parker, lecz bez przesady, bo upływ czasu od tamtego „dobrego” uczynku już wycisnął na nim swoje piętno. Zdążył już zabić tylu ludzi, że przestał ich liczyć.

- A o co?

- Sens mojemu Życiu nadaje nie tylko to, ile zarabiam, ale też to, co robię. - Parker miał nadzieję, że Morkis wyczuwa właściwy podtekst jego słów. Wszystko wydawało się takie jasne, lecz...

- Cóż z tego? Nagle masz chandrę?

- Wiesz, że lubię zabijać - stwierdził Parker ze znakiem zapytania jedynie w oczach, wciąż dążąc jak transatlantyk ku nieuniknionemu.

- Hym, hymm... - z westchnieniem odmruknął Morkis i podrapał się po policzku, wodząc już wzrokiem po zabudowie ścian gabinetu. - Nie jesteś żadnym dziwadłem, a w każdym razie nie jedynym, jakiego znam. - Dotarł kolejnym spojrzeniem do twarzy Parkera akurat wtedy, gdy ten na niego przez sekundę nie patrzył.

- Ale chciałbym się zmienić.

Morkis przyjrzał się Parkerowi na poły oszołomiony nowiną, na poły oskarżycielsko.

- Ty? Chcesz się zmienić? Weź przestań pieprzyć, proszę cię! Co to w ogóle znaczy: zmienić się?

- Mam chęć całe Życie do kosza wywalić i zacząć od nowa zupełnie inaczej - oznajmił Parker, starając się by brzmiało to równie wiarygodnie, co bezkompromisowo. Ale to mógł zrozumieć wyłącznie przestępca-artysta.

- Ani mi się waż! Jesteś mi potrzebny w obecnej postaci. Nawet bardzo.

Tylko jak bardzo, frajerze? - zastanowił się Parker. Kciukiem i palcem wskazującym przeczesywał włoski wystające mu z nozdrzy, wpatrzony w Morkisa jak w obrazek z napisem: Jak go podejść? Miał zabawne wrażenie, jakby ktoś wrzucił ich dwóch do starej

slapstikowej burleski, gdzie wszystko dzieje się zbyt szybko i jakby nierealnie, żeby rozśmieszyć prostodusznego widza za wszelką cenę, ponieważ... niestety nie ma innego wyjścia w dobie coraz łatwiejszego dostępu do sieci, do mediów, do luksusu, by od tego człowiek stał się coraz bardziej samotny w społeczeństwie postrzeganym jako twór globalny, uzależniony od MEDIÓW.

- Już coś dla mnie masz nowego? - sarknął, gdyż w końcu dopadło go nieuniknione. - A ludziłem się, że wreszcie wymyślisz coś takiego, że nie będę musiał więcej brudzić sobie rąk.

- I... pomyliłeś się. Oprócz dzisiejszego zadania specjalnego, mam dla ciebie robótkę dodatkową. Trzeba pozbyć się jednej kobitki - zakomunikował mu Morkis z ledwie uchwytną prośbą w głosie.

- Nooo... właściwie, tego jeszcze nie przerabiałem.

- Czyżbyś zaliczał samych facetów?

- Tak się jakoś dotąd fartownie składało. - Parker zaczął pocierać czubek swojego kształtnego nosa pod wpływem oczywistej konkluzji, którą niechętnie wypowiedział: - Ale kiedyś musi nastąpić ten pierwszy raz z kobietką. Zaszła ci za skórę czy coś innego?

Morkis poczuł ukłucie w piersi - Vera była jego żoną, która go oszukała na grubą forszę i związała z nią - więc podkreślając machaniem wyprostowanego palucha wagę swoich słów, stanowczo poprosił:

- Jeśli kiedykolwiek jeszcze uwierzę jakiejś lali w miłość do mnie, to trzepnij mnie w glacę, żebym się opamiętał, okej?

- Masz to u mnie jak w banku. To dawaj jej namiary.

Z szuflady biurka Morkis wydobyl kartkę papieru złożoną w czworo i pocztówkowe zdjęcie.

- *Voilà!* Tu masz jej dossier - powiedział, zadowolony jak bąk, że tym sposobem zlikwidował to klucie w sercu. - Na imię ma Vera.

- Ładna? Na ile ją wyceniasz?

- Na dychę.

- Chyba żartujesz? - Parker pofatygował się do biurka i zgarnął fanty. - Dziesięć patoli? - Przyjrzał się fotografii.

- Nie stać cię na więcej za taką szprychę? Przypomina mi trochę tę napaloną panią Robinson z Absolwenta.

- Nie będę forszy przez okno wyrzucać. - Morkis zgasił peta w popielniczce, nie patrząc w tym momencie na Parkera, który rozkładał kartkę. - O, nie!

- Ty sknero! Kiedyś wpadniesz przez to po uszy. - Parker z lekkim roztargnieniem czytał dossier i prowadził rozmowę z Morkisem, bazując na własnym doświadczeniu płatnego zabójcy, które uczyło go, że w takich chwilach bratania się, budowania zrębów współpracy, wiara w siebie czyni cuda.

- Spójrz na świat pod kątem potrzeb innych ludzi - zakpił.

- Mam to w nosie.

- Ale z ciebie skapiradło.

- Co ty tam wiesz? - Za uśmiezkiem Morkisa kryło się coś... śmiesznego. - Na przykład nie masz pojęcia, jaki jest największy z truizmów?

- No jaki, mądralo?

- Za każdą fortuną kryje się zbrodnia, a złe wybory są najistotniejszą częścią Życia.

Niech mnie drzwi Raju ścisną!, westchnął w duchu Parker i przestąpił z nogi na nogę, udając, że tamte słowa nic dla niego nie znaczyły, co niespecjalnie mu wyszło.

- Taki już jest ten pojebany świat - skwitował je na swój sposób.

- Nigdy nie używaj wielkich słów, jeśli wystarczą małe. To samo tyczy się forsy. Łapiesz?

- No to nie dobijemy targu. - Whisky to sprawiła - Parker był tego pewny - jak oliwa na zardzewiały mózg, nie ma sobie równych środków pobudzających, sprawiła, że nagle zrozumiał w jednej chwili, na czym polega problem Petera, i wiedział, że to jest to: alienacja. Przy czym Peter miał też odwagę marzyć... i to na zawrotną skalę, więc Parker nie dał nic po sobie poznać, wciąż pozostając w gruboskórnej pozie.

Morkis podniósł się z fotela. Stanęli twarzą w twarz, oddzieleni biurkiem. Każdy z nich szukał własnej konstruktywnej myśli.

- Nie ma, o co się gryźć. Od tej chwili to byłaby stała stawka, ale za to bardzo często płacona. - Spuściwszy oczy, Morkis nie spiesząc się obszedł prawą stronę biurka. Pomyślał, że jeśli ustąpi, straci twarz zbyt szybko. - Dobry układ? Przemyśl to sobie. Z pewnością ci się w sumie opłaci, wspólniku.

W elektryzującym antagonizmie, który zaiskrzył teraz między nimi dwoma, po czym zawisł w powietrzu ciężko jak warstwa ozonu Zła, byli jak dwaj filozofowie zaczynający od tej samej życiowej przesłanki - przestępstwa - i dochodzący drogą nieodpartych argumentów do diametralnie przeciwnych wniosków: ile cenią sobie Życie ludzkie. A jednak owe dwa wnioski przypominały bliźniaczych braci z tej samej krwi i ciała i o tym samym dziedzictwie Zła.

Na szczęście Parkerowi już przedtem przyszło na myśl, że obecnie jest przecież w

przeszłości, w ujarznionej już krainie WTEDY, a wszystko, co im przeznaczone, dopiero się wydarzy i będzie git.

- Dobra dycha, to nie byle co, a dobrego nigdy za wiele, przekabaciłeś mnie - uśmiechnął się przebiegle, choć nadal czuł się trochę nieswojo; tak, jakby jednak nie mógł dać temu wszystkiemu wiary do końca. - Tylko nie zapomnij o rocznej premii.

- Okej. Na dobry początek przybij piątkę, współniku. - Morkis podniósł prawą dłoń w kierunku Parkera, który w nią klasnął, a potem zderzyli swoje pięści. Od teraz Morkis oczekiwał od Parkera stałości zachowań, wiedząc, że do tej pory nie odpowiadał temu wymaganiu. Bywał zbyt pomysłowy, niezależny i ironiczny wobec autorytetów, jakby im nie ufał. Myślał, że wie, jak nim pokierować w Przyszłości. - Nie nawalisz z kobietką? - upewniał się. Dawno już nie widział takiej ulgi na czyjejś twarzy. Zdziwiający, że po raz pierwszy tak zaciekawiło go, co za chwilę Manny odpowie.

- A zawiodłem cię choć raz?

- Niby nie, ale... uważaj, bo to przebiegła zmija.

- Jeśli jest tak ładna, jak na zdjęciu, to poradzę sobie nawet przez sen. - Chociaż ton głosu Parkera był całkiem inny od tonu Morkisa, znowu przekomarzali się krążąc jednak myślami wokół supertajemnicy Petera Morkisa, peryskopowo podjudzani przez podglądającą każdego z nich własną podświadomość. Wiedząc też, że kiedy coś tak dalekosiężnego zaczyna się dziać, przeważnie nie ma się najmniejszego pojęcia, co to właściwie jest.

- Gadasz. Co konkretnie masz na myśli?

- Zaciągnę ją do wyrka, a potem... - Parker zabójczo łypnął spode łba na kumpla. Jego oczy były okrągłe jak u ryby, szkliste i beznamietne, a przy tym pełne niezgłębionych tajemnic. - Bara bara... babo stara.

- Wiem, że nie jesteś pruderyjny, bezecniku, więc daję ci wolną rękę - *carte blanche*, jak mawiają zaborcy. - Morkis nigdy nie był pewny, na ile poważnie Parker podchodził do sprawy. - Szkoda tylko, że żarty się kończą, bo zaczynają schody. Musisz już iść, ale pamiętaj, że ta rozmowa jest naszym sekretem. Cicho sza! - Położył palec na ustach. Czyż mógł nie doceniać przebiegłości Parkera, który syknął przez zęby, sugerując, że prędzej zginie, niż cokolwiek gdziekolwiek wypaple?

Stuk... Stuk... Stuk... nadchodziły **Stukostrachy**.

Jeden z Supergraczy uniósł palec do ust.

- **Ciii - szepnął. - To może być to, na co czekamy. W NASA dostaną stukostracha, jeśli ten TEST zawiśnie na takim HAKU.**

Gdyby to wszystko było bardziej realistyczne, nie byłoby tak tajemniczo po tej stronie

umysłu, gdzie to się dzieje naprawdę. Pora zmierzyć się z nieprzewidywalnym, Manny, pomyślał Morkis słysząc w głowie jakieś stuki, i zaniepokoił się uczuciem, że lada chwila zdarzy się coś niesamowicie groźnego i podejrzanego... Ponieważ nie bez trudu, nie bez ryzyka i nie bez poczciwej intuicji przygotował dla Parkera niespodziankę.

Parker zerknął na swoją starą omegę - nie był człowiekiem, który mógł coś przeoczyć, była godzina: 14.43 - potem z namysłem popatrzył na Morkisa, a ten wyglądał na leciutko roztrzęsionego. Poprawka, on był jakby wystraszony. I nieco podpity. Chyba że, co trudno wykluczyć, ten wielki spryciarz lub doskonały aktor - jak kto woli - tylko zabawiał się jego kosztem. Tym gorzej dla niego. Zabijanie to nic miłego ani tak prostego, jak się wydaje - słowo licencjonowanego zabójcy - zwłaszcza za darmo, z zemsty. W dzisiejszych czasach nie można nikomu ufać. Nikt nie jest na tyle wiarygodny, gdy wyjątki potwierdzają regułę. Dziwne, że wcześniej nie dopadły go takie myśli, każda dokuczliwa i bolesna jak wyrzut sumienia.

- Słusznie, już czas. Sprzątnij po mnie szklankę i niedopałki, bo jak tak dalej pójdzie, wkrótce będziesz bał się własnego cienia - podsumował spotkanie z nutką nieodłącznego szyderstwa. Ukłuty defetyzmem własnych słów, zapragnął cofnąć tę uwagę, choć było na to już za późno, więc spróbował ją zatuszować: - Co wcale nie musi oznaczać tego, co miałem na myśli.

Słuchając Parkera, Morkis kilkakrotnie przytaknął mu ruchem głowy z owym wciąż przebiegle niepewnym uśmiechem na ustach, na koniec wyciągnął rękę do pożegnalnego uścisku.

- Manny! Gra się zaczęła, zatem pogódź się z nieuniknionym! - Ucisnął dłoń Parkera z całej siły. - I trzymaj za mnie kciuki! Nie wiadomo, kto z nich ma, jakie atuty w rękę, dlatego wiesz, co masz robić?...

- Wiem. A ty, oszołomie, trzymaj fason. - Parker nie pokazał po sobie zdziwienia, że Peter odgadł jego problem psychiczny: walkę z nieuniknionym przeznaczeniem. Zdawał sobie też sprawę z tego, co Peter chciał przez to osiągnąć, że mu o tym powiedział. Reszta była tylko kwestią czasu. - *Hasta mañana, amigo!*

A Morkis teraz wiedział, że Manny o tym wie. Dlatego zachował swoje ostatnie pytanie dla siebie: Miewasz złe sny, Manny? Koszmary o tym, że czas na nikogo nie czeka, że wszystko unosi w przeszłość, bawiąc się Grą w najlepsze?

W ich patrzeniu na siebie, w uścisku dłoni, w nastawieniu, było coś wzajemnie przyciągającego, owo niewypowiedziane Zło, które od dawna tkwiło w ich umysłach i teraz połączyło się nieodwołalnie w jedność.

Gdy tylko raźnie ruszyli do drzwi, Parker nagle poczuł jakieś groźne niebezpieczeństwo, które delikatnie musnęło jego świadomość - uświadomił sobie, że nie powinien już powiedzieć nic deprecjonującego ich Przyszłość - i zaraz znikło. Czuł jednak, że Zło było tuż-tuż, o krok przed nim, jak inspirujące natchnienie zwane przecuciem.

Zaczekaj chwileczkę z tym przecuciem! - wrzasnął głos matki pod czaszkę Aleksa w momencie, kiedy zatrzymał kursor, by kliknąć ikonę opisaną: „Przynajmniej coś się będzie działo”. Palec zawisł nad klawiszem myszy, testowanie Gry miało wejść w nową fazę? - To szaleństwo GRY! WIESZ, że to szaleństwo! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że potrzebna ci nie Gra do przetykania rur kanalizacyjnych w mózgu, ale dobry psychiatra! Powinieneś położyć się na kozetce i opowiedzieć komuś o tym, że miewasz ataki fugi - „zaćmienia” świadomości, kiedy czas ci mija, a ty - „nawiedzony przez ducha z obcego świata” - nie wiesz, co robisz wtedy naprawdę! Wyznać, że twoja wyobraźnia potrafi też manipulować czasem, siłą ciężenia, falami energii i cząsteczkami materii za pomocą udawanej deprywacji sensorycznej. Potrafi przesiewać ekskrementy po ludzkich wysiłkach w poszukiwaniu ziarenek oryginalności. Widzi zależność pomiędzy śmiercią mrówki a grabieniem kontynentów...

- O, nie! - warknął twardo Alex. - Przenigdy.

Udzieliła mu się paranoja matki chorej na lekką schizę? Jego palec bowiem był okropnie poparzony płynem do przetykania rur kanalizacyjnych w podświadomości, co wcale nie znaczyło, że opuścił wyobraźnię Aleksa. Nawet przycisnął klawisz myszy, kiedy zaciekawiony Prowadzący Grę podchwycił:

- Co przenigdy, Alex?

Każdy człowiek, o ile nie jest zupełnie obłąkany, potrafi na pewnym poziomie swojej świadomości rozpoznać różne głosiki - (Rosja widziana oczami Rosjanina!) - którymi czasem przemawia jego wyobraźnia. A także, rzecz oczywista, jego wspomnienia (Chińczycy: Sieć was wyzwoli!). One również potrafią mówić różnymi głosami: ojca, matki, brata, nauczycielki czy przyjaciół. (Kupuj w Chinach przez Internet!) Zapytajcie kogoś znajomego, komu amputowano kończynę - tylko z wyczuciem - czyj głos słyszy, gdy boli go odjęta ręka. Albo tego, komu wycięto raka - wystrzegajcie się okazywać współczucie. Nawet temu, kto stracił dziecko lub zaprzepaścił coś, o czym marzył przez wiele lat - jeśli dacie radę ich też zapytać. (Jak rozmawiać z Rosją?) Spytajcie kogoś bliskiego, kogo dręczą wyrzuty sumienia z powodu błędnej decyzji, podjętej zazwyczaj w pośpiechu (który najczęściej ma krwistą barwę.). Nasze wspomnienia i plany mają ludzkie głosy - przeważnie nasz własny: a nie mówiłem!, gdy gadamy do siebie w ramach autoterapii - i czasem podnoszą nawet wrzawę, unosząc ręce, pomstując w ciemnościach pamięci, sterowanej przez podświadomość... TESTU.

Synu, nie daj się spacyfikować mamusce, Rosji! - wtrącił się charakterystycznie belkotliwy głos pijanego ojca. - Pątem będziesz tęgą żałował. Synu, jesteś debeściak! Rosjanie nigdy ci tego nie zapomną! Tylko kliknij!

KLIK...

*

Krażąc nad metropolią z ostrzegawczym jazgotem, dwuosobowy, niebiesko-biały helikopter policyjny Hughes 300 dotarł do tego zakątka - śródmieścia owej szczególnej dzielnicy: Manhattanu. O tej porze panorama serca Nowego Jorku widziana z lotu ptaka stanowiła niesamowite zjawisko: promieniowała niemal magiczną mocą podnoszenia na duchu. Niezależnie, z którego kierunku była obserwowana na tle kryształowobłękitnego nieba, porażała: drapacze chmur przeróżnej wysokości, kształtu i barwy lśniły odbitym od szyb światłem słonecznym i błyskały chłodem chromowanych powierzchni. Głębokie betonowo-szklane kaniony głównych alei Wielkiego Jabłka, ciągnące się milami, opuszczało rzędzące po uroczystej defiladzie, kolorowe mrowie pojazdów i pieszych, poruszających się w zmiennym tempie. U kilku mieszkańców miasta przelatujący helikopter wywołał aerodynamiczne wrażenie, że coś profetycznego zawisło nad tym molochem, jak głośnie beknięcie nad stołem, które miało zbrukać wrażliwość ich przeznaczenia, zanim się spełni.

Dotyczyło to między innymi dwóch mężczyzn w sile wieku, którzy siedzieli w srebrzystej terenowej toyocie land cruiser, wjeżdżającej w Siódmą Aleję z Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Kierując się w stronę Times Square i powoli przyspieszając, toyota ostrożnie zjechała na prawy pas - **na bieżąco wirtualnie modyfikowanej arterii**. Wyższy wzrostem blondyn był kierowcą. Niższy od niego brunet bacznie wypatrywał numerów poszczególnych budynków. Wpadające przez przednią szybę, jasne słońce dojrzałego popołudnia prażyło mu szczupłą twarz.

- To tu! Widzisz te marmurowe kolumny? - spytał nagle, zwracając się do rosłego kierowcy z ulgą, że pierwszy wypatrywał cel, że nie był gorszy od niego, chociaż w tym. - Jaskinia lwa, co? - dodał zaraz, uśmiechnąwszy się z entuzjazmem. Pamiętaj: podbródek skierowany w górę, rozluźniona twarz. Kiedy się uśmiechasz, wyglądasz na przystojnego, równego faceta, mawiała mu żona. Ale gdy masz zafrasowaną minę, przypominasz wiecznie sfrustrowanego pekińczyka.

- Bez przesady. Raczej szakala niż lwa - odparł kierowca nieco pogardliwym tonem i zaczął rozglądać się za znakami kierującymi pojazdy na najbliższy podziemny parking wielopoziomowy. Ulegając przesądom, pomyślał, że powinien lekko deprecjonować ich wspólną Przyszłość, żeby potem nie odczuć zbyt wielkiego zawodu, gdy się wypełni ich

przeznaczenie. - Jeszcze nie wiesz, z jakim kutafonem będziesz miał do czynienia.

- Już pękasz? Przecież nie po to przygarnąłeś mnie pod swoje skrzydła, żeby nam nie wyszło coś naprawdę wielkiego.

- Marzycielu, jak wielkie to „coś” miałyby być, he?

- Chciałbym być wolny od codziennych zmartwień i żyć inaczej... - westchnął pasażer czując, że krew napływa mu wilgotną falą do oczu, a wszystko czerwieni się w myślach niczym zmierzch w górach, i nie wiedząc dokładnie, dlaczego często tak się z nim dzieje (być może z powodu chorobliwej nadziei na lepsze jutro).

- A co ci nie pasuje w twoim Życiu? - zaciekawiał się kierowca.

- Mam wstręt do większości ludzi... Interesują ich tylko ci, którym udało się zrobić karierę.

Sunąc Siódmą Aleją, przypominającą futurystyczną dolinę o zboczach wyłożonych kolorowymi billboardami, neonami, szyldami, malunkami i ekranami wideo bijącymi po oczach wszechobecną reklamą, usiłowali zignorować ten zmasowany atak informacji i pokusy. Obrazy i teksty próbowały jednak wdrzeć się do ich głów siłą wypływającą z tłumu: dzieciaków w dzinsach kreatorów mody, które zachowywały się jak dorośli, dręcząc starą żebraczkę, wyprowadzacza truchtającego ze sforą psów na smyczach, zmierzającego do pobliskiego Central Parku, ciemnoskórej kobiety z wózkiem dziecięcym na spacerze, bezdomnego popijającego prosto z butelki w papierowej torbie, i dziesiątków innych postaci; mijanych wystaw sklepów: sprzętu fotograficznego, telefonii komórkowej, komputerów, telewizji kablowej i satelitarnej, muzycznego, delikatesów, bistro, apteki... oraz ogromnej karty płatniczej American Express z wielkimi ludzkimi oczami i uszami - lato w Nowym Jorku, prezentowane przez Diet Coke, McDonald's, Nestle, Pepsi, Starbucks, General Motors, IBM, Sony, ITT, Microsoft. Itp. Itd. Z założenia mieli pragnąć tego wszystkiego, choć tak naprawdę znacznie więcej i wciąż więcej. Tak działał **SYSTEM**. *(A za pomocą przekazów podprogowych emitowanych ze stron internetowych, uzupełnił Alex trafiony w czuły punkt, **SYSTEM mógłby** dziś tajnie wpływać na wyniki wyborów lub zmiany w sesjach giełdowych w ramach nieświadomego dostępu ludzkości do wiedzy w sposób przekraczający to, co jest możliwe za pomocą potocznie pojmowanych zmysłów i rozumu - każdy filtr antypodprogowy można obejść, jeśli się tylko chce. (WITAMY W ROSJI!) Przez jedną chwilę straszną i niesamowitą zapragnął poczęstować program Gry elektrycznym kopem z paralizatora - za to, że przez te wszystkie lata GRY, które minęły jak z bicia strzelił, świat zmienił się aż tak bardzo niebezpiecznie - ale się powstrzymał. Na to jeszcze było za wcześnie, lecz teraz miał to już w planie. Ciekawe, czy Brandon też już wstał i zaczął grać w „Tajemniczą Grę” zgodnie z*

umową?)

- Znasz to powiedzenie: uważaj na marzenia, bo mogą się spełnić. Od dzisiaj będziesz miał szansę żyć naprawdę inaczej niż przedtem. - Kierowca rzucił wzrokiem na pasażera, chcąc sprawdzić jego minę po tych słowach. Zajrzeli sobie głęboko w oczy.

Do licha, jakoś nie widać po nim, żeby się na tę odmianę cieszył, zauważył pasażer. I choć nie było to po jego myśli, nie wytknął mu tego.

- Martwię się trochę, że to będzie zbyt niebezpieczne dla mnie - wyznał, nie odwracając wzroku, chociaż w tym momencie, kiedy mu się to wymknęło, wiedział już, że nie powinien był tego mówić.

Mimo że kierowca powrócił do obserwacji ulicy, w jego głowie pojawiła się dziwna myśl: „Sprawdź, czy właz jest zamknięty. Za chwilę umysł może dać nurka w głębinę”. Nie znosił takich enigmatycznych myśli, przeczuwając, co zapowiadają.

- Nie bój nic, przywykniesz do takiego niebezpieczeństwa, jak do nowej marynarki - odrzekł pocieszającym tonem. Nie widział jednak sensu rozwodzić się nad tym szerzej. Co będzie, to będzie, pomyślał filozoficznie. Kiedy idzie się na ścięcie, nie wypada głądzić o... emulacji choćby nawet.

- W moim Życiu widziałem już tyle nieszczęścia i bólu... mimo to wierzę w twój pomysł. - Pasażer patrzył na kierowcę z nowym uśmiechem, jakby nie do końca pewny swoich słów, świadomy, że żadnej ważnej rzeczy w Życiu nie można osiągnąć bez ryzyka - jednak sukces zawsze w końcu wiąże się ze zranieniem czyjegoś serca - a przecież jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny.

Kierowca empatią wyczuł obecność czegoś ulotnego między nimi - zerknął na pasażera - czego tamten pewnie nie był świadom. Coś wisiało w powietrzu - niestety, w swojej istocie również poza zasięgiem percepcji kierowcy. Jakiś cień w wyobraźni? Jakaś wizja - przestroga, która mogłaby ich wystraszyć czy uratować? Co to mogło być?

Przynęta na HAKU.

Przez chwilę obydwaj mężczyźni nieśmiało uśmiechali się do siebie - do wspólnych wspomnień. Czy już do wspólnej Przyszłości? Gdyby tylko wiedzieli, co ich tam czeka...

- To, czym się zajmiemy - powiedział kierowca, jeszcze nie całkiem gotowy do zaakceptowania ich wspólnej Przyszłości - z pozoru może wydawać się trudniejsze, niż myślisz.

- Człowiek może zrobić więcej, niż mu się wydaje.

- I znieść więcej. - To odmruknięcie kierowcy zbiegło się z hamowaniem samochodu przed szlabanem blokującym wjazd na parking, więc pasażer nie zwrócił na nie większej

uwagi, a powinien.

- Dzień dobry - powitał kierowcę parkingowy. - Na jak długo? - Kierowca pokazał na palcach, że na kilka godzin... I w milczeniu odebrał kwit postojowy.

- Ciągłe mam wątpliwości, czy się nadaję? - kontynuował rozmowę pasażer, gdy mijali podniesiony szlaban. Dziwił się trochę, że jeszcze nie zainstalowano tu automatu do wydawania kwitków parkingowych. Pewnie z obawy przed złodziejami samochodów, wydedukował.

Pomimo nabytego z wiekiem sceptycyzmu, kierowca postanowił zdobyć się na słowa otuchy, choć słysząc napięcie w głosie towarzysza - dźwięczne jak cięciwa łuku, która może zerwać się od zbyt silnego naprężenia - w głębi duszy zarzekał się, że nie będzie go zbyt namawiał.

- To pewne, że bardzo przydadzą się twoje zdolności parapsychiczne - orzekł ciepłym głosem - no i wiedza medyczna, rzecz jasna.

- Przy twojej kreatywności i szerokich horyzontach myślowych oraz systemowym zapleczu policji możemy stworzyć niezwykle efektywny tandem - odwzajemnił się pasażer z emfazą kogoś znacznie przejętego swoją przyszłą rolą. Przez poprzednią chwilę strasznie chciał oświadczyć, że się wycofuje, ale teraz szczytowy punkt lęku (czy raczej zdrowego rozsądku) minął i cały strach gdzieś uleciał niespodziewanie. Każdy miałby lekkiego pietra w takiej chwili, sumitował się w duchu, nie dowierając aktualnemu samopoczuciu, lecz to nie powód, żeby pękać, zanim cokolwiek się stało.

Nisko sklepiony parking był słabo oświetlony. Kierowca manewrował samochodem z wyteżoną uwagą, podążając za oznakowaniem. Co było dla niego nietypowe, chciał trochę mocniej podbudować pasażera, jednak nagle się rozmyślił. Milczał jeszcze chwilę, zastanawiając się, jakich zwykłych słów użyć w dalszej rozmowie - wahał się niczym człowiek doświadczony w popełnianiu błędów, który rozmyśla nad tym, czy warto w ogóle się odzywać - skoro Życiem rządzi chaos i tak trudno przewidzieć implikacje choćby najprostszego zdania, gdy świadomie chciałoby się położyć kres temu zasranemu, pierdolonemu, brudnemu, kłamliwemu, obłudnemu **SYSTEMOWI**, który wszystkim steruje. We dwóch przeciw niemu.

- Dlatego zaprosiłem cię do tego tańca - stwierdził tylko, lecz na tyle górnolotnie (zdaniem pasażera zbyt infantylnie), na ile oszacował ewentualne utyskiwanie przyjaciela, którego wolał uniknąć.

- Ale czy te pląsy będą się nam tak opłacać, jak mówiłeś?

Wyższy wzrostem kierowca pobłażliwie uśmiechnął się do pasażera z góry - pierwsza

prawdziwa oznaka poprawy humoru, jaką tego dnia u swego przyjaciela zobaczył niski pasażer - i odpowiedział:

- Ponoć szybko zostaniemy milionerami... - Umilkł w samą porę, by całkiem nie zapeszyć ich wspólnej Przyszłości. *(W Aleksie raptem pękła bariera sceptycyzmu, zwątpienie w sens prowadzenia antyGry zaczęło kapać do wnętrza jego świadomości: nie tak miała być rozgrywana ta Gra, miała być rozgrywana dokładnie na odwrót. Tak jak mówi Alex-poeta: „Przemów pamięci ma, bo nie chcę zapomnieć zapachu róż, smaku trufli i szumu liści na wietrze. Bo pragnę raz jeszcze skosztować owoców z nefrytowej czary umysłu”. Inaczej mówiąc, musi w Grę tchnąć więcej ducha romantyzmu i subtelnego mistycyzmu. Ale im więcej o tym myślał, tym mniej rozumiał, skąd u niego taki ciąg na bramkę poezji? A nie lubił nie rozumieć. Nie lubił. Gdzieś z tyłu jego podwzgórza mózgu dwie niezidentyfikowane cząstki białka w kąciku krzyżowały swoje reakcje chemiczne i szeptały mu do ucha: „Nieufność, drogi Aleksie, nieufność to podstawa twojego bytu w tej Grze... o Rosję”.)*

- I wielkimi grzesznikami.

- Słowem: paranoja - sapnął kierowca, wyhamowując wóz na wybranym miejscu. „Jakże marne wydawałoby się Życie - szepnął mu do ucha wierny demon podświadomości - gdyby nie było Tajemniczą Grą”. Tego rodzaju podszepty nawiedzały go coraz częściej, zwłaszcza nocą, kiedy coś obserwowało go z głębi ciemności i nie dawało spać. Gnębiło, męczyło, straszło, aż po błądy świt. - Paranoja, przed którą trzeba wciąż mieć się na baczności, bo świat jest, jaki jest. I to samo nas dotyczy.

- Oby tylko taka paranoja, a nie coś gorszego - nadmienił pasażer z kwitującym wszystkim przekąsem - ale mam to gdzieś. - „*Jest pan aresztowany!*”... Jaaa? Za co?!... *Za głupotę!*” - z trudem otrząsnął się z tej aluwiowej wizji, którą skojarzył z pojęciem tej nieszczęsnej paranoi.

- A prawda, która po nas zostanie? - Wyłączywszy silnik, kierowca spojrzał na pasażera. W jego ciemnych oczach i skupionej twarzy rozpoznał wyraz smutku, i jakby żalu wywołanego tym pytaniem. Nie chciał go zadać, jednak musiał dokonać naglej psychoinfuzji optymizmu, by zapobiec eskalacji strachu, który w nich narastał.

- Nie pitol mi tu o prawdzie! Prawdy przecież nie ma... jest tylko punkt widzenia - odparł pasażer; wypiął się z pasów bezpieczeństwa, starannie układając je na miejscu. Bał się wysiąść, bał się stawić czoła Nieznanemu, dlatego spróbował banalnie zadrwić na postrach obawom: - A punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. - Gorzki ton, jakim to powiedział, zmartwił kierowcę, lecz nie zdołał go pocieszyć, bo tamten mówił dalej: - Bowiem dość niemądrze jest wierzyć, przyjacielu, że prawda o nas będzie miała ścisły związek z

kategoriami Dobra i Zła, ponieważ chcieć a mieć zdolność do prawdziwie efektywnego działania to dwie przeciwne strony pałki wyrzutów sumienia. Znamy mnóstwo ludzi, którzy wymyślają różne rzeczy, jednakże nie potrafią ich wykonać, gdy ostatecznie to czyny tworzą bohaterów, a nie chęci. Albo łajdaków. Nieprawdaż?... - Kierowca nie przytaknął, tylko sięgnął do klamki, sugerując szybkie zakończenie tego moralizowania. - Liczy się wyłącznie to, co się zrobiło. Albo nie zrobiło. Czy często słyszymy istotną dla nas prawdę, taką szczerą i jasną? Czy raczej czysta prawda pozostaje ukryta, schowana pod wszelkiego rodzaju psychologicznymi obciążeniami ludzkiej natury, a kiedy zostaje ujawniona, jest nieomalże nieuchwytna? Bowiem nigdy nie jest czysto biała... ani czarna. Szarawa, owszem, we wszystkich odcieniach szarości, jakby brudna, no nie?

- I dlatego, he he, nie dopuścimy, aby prawda drastycznie zwyciężyła kłamstwo. Nie zapomnij więc, że teraz będziesz musiał grać jak w teatrze - żartobliwie podsumował kierowca, zanim wysiedli - ponieważ Życie na tym świecie jest jedynie Grą, jego bogactwa chwilowe, a sens, staruszku, musimy nadać mu sami.

- Nie zapomnę - rozchmurzył się pasażer - i będę uważać, skąd wieje wiatr, gdy śmierdzi gównem, bo gówno zawsze spada w dół.

- Powooli, człowieku, nie bądź taki elokwentny. Już żartujesz sobie z poważnych rzeczy?

- Ostatecznie, cholercia jasna, raz się żyje, co nie? - Pasażer podkreślił swoją determinację głośnym trzaśnięciem drzwiami.

To, że w milczeniu wyszli z parkingu na pustawą Pięćdziesiątą Drugą Ulicę i wracając do wypatrzonego celu wpadli w zamyślenie nad absurdem, ku któremu zmierzali, było typowym objawem obłędu Życia - w ich wyobraźniach myślowe obrazy z przeszłości przenikały przez siebie nawzajem i przez wizje Przyszłości, w osobliwym ruchu ich umysłów dążących do uwolnienia od niepokoju, który przytłaczał świadomość niczym czarny całun.

Lipcowy Manhattan był rozpalony jak patelnia. Chodnik prawie parzył w stopy przez podeszwy butów. Resztki spalin wisiały w nagrzanym powietrzu niewidoczną smrodliwą warstwą i czuć było duchotę nadciągającej burzy; oddychało się im ciężko, a uparte pragnienie schłodzenia się lodowatym napojem dokuczało coraz bardziej. Pot zaczął zalewać ich ciała przy każdym ruchu - sztuka polegała na tym, żeby tak iść, aby pocić się jak najmniej, licząc każdy krok zbliżający do klimatyzowanego wnętrza budynku. Ich myśli w końcu zakreśliły się wokół tego samego tematu: ich hobby, lecz w przeciwnych kierunkach. Jeden właśnie uprawiał wielki seks w małym mieście, drugi akurat spacerował w ulewnym deszczu przez głęboki las. Za chwilę mieli się przekonać, jak daleko zaszło ich Życie - zaprawdę nie

mogli przewidzieć wszystkiego: biedne, ślepe szcurki dwa na starcie nowego wyścigu, gdy zły kocur czaił się już niedaleko przed nimi.

- *Bu! Puff!* - *fuknął Alex, by tym prostym sposobem wywołać pouczającą dla siebie kontrreakcję programu Gry. Czuł się tak nieswojo, że w każdej chwili mógł dostać ataku fugi - tych poważnych aberracji osobowości i głębokich zaburzeń pamięci, których przyczyną w jego przypadku mógł być guz mózgu; w takich chwilach czas stawał w miejscu na sekundy, minuty, godziny albo nawet całe dni. Z drugiej strony, chorobliwą nienawiść lub ciekawość milionów można by w dobie Internetu rozpaścić jedną iskrą - hasłem rzuconym w sieć, gdy „nikt” się nie domyśla, że w dzisiejszym świecie totalnej elektronicznej inwigilacji, **KTOŚ** już posiadał władzę absolutną i może sterować losami ludzi i rządów... niewidzialnie. Oczy Aleksa były cały czas bombardowane niedostrzegalnymi błyskami podprogowych przekazów, emitowanych z ekranu wizuafonu mimo sprzeciwu antyglobalistów w tej sprawie. Nie były to proste przekazy, lecz wywoływały oczywiste doznania, bodźce do konkretnej reakcji. Ale „przebiegły” program Gry nie zareagował na fuknięcie Aleksa, więc on dorzucił jeszcze: - Bang, bang, bum, bum, i co z tym zrobisz?!*

- Dowiedziałem się od Vogtza, że u nas w przyszłym miesiącu zostaną przeprowadzone badania nad marnowaniem czasu pracy - zwrócił się wyższy mężczyzna do niższego, gdy ze zmrużonymi oczyma, wpatrzony w nich, jakby chciał ich napiętnować, zmiażdżyć samą siłą tego, co odczuwał. Jego młodość miała do tego prawo.

I tak się to wszystko Zło tu zaczęło, gdy diabeł machnął ogonem.

Mężczyźni potraktowali młodzieńca jak powietrze. Drzwi wejściowe do biurowca otwierane dzisiaj - w święto - na zgłoszenie się przez interkom, rozsunęły się prawie bezszelestnie. W obszernym, klimatyzowanym, wyłożonym marmurem cynobrowej barwy holu opowiedzieli się rosłemu, czarnoskóremu ochroniarzowi o imieniu Leroy. Imię było wypisane na plastikowym identyfikatorze, przypiętym do klapy granatowego służbowego uniformu. W drodze do windy niższy krzyknął:

- ECHO!...

A echo (SUPERSPEROGRY) mu odpowiedziało:

- Oo... ooo... (**Z czym do gości?**)

- Byłeś kiedyś w Jaskini Grizzly w Wyoming? - spytał wyższy, uruchamiając otwieranie lewej z trzech wind. Zauważył, że środkowa kabina znajdowała się na osiemnastym piętrze, a prawa na najwyższym, osiemdziesiątym. Co to może oznaczać? - zaciekawił się. Pomyślał czemuś o swoim bracie Teddym, o jego doświadczeniach w przemyśle militarnym, które mogłyby im się teraz przydać.

- Nie. A warto tam być?

- Tam dopiero jest zarabiste echo.

Ponieważ byli sami w cichobieżnej kabinie, niższy dokończył swojej myśli:

- Założę się, że po miesiącu wszystko u nas wróci do normy, jak to zwykle bywa. Życie przecież nie cierpi próżni i składa się z kompromisów.

Wyższy wpatrzył się w niższego. Milczał chwilę, zastanawiając się, co odpowiedzieć, by nie ostudzić w nich obu zapału do dyskusji, którą wywołał. Nie mógł myśleć o Przyszłości bez przywołania przeszłości w sposób na tyle precyzyjny, na ile porażający brakiem wartości godnej wspomnienia.

- Ale może nie wrócić - nadmienił z niesmakiem, zbity z tropu zbytnią pewnością siebie (sztuczną?) widoczną na obliczu przyjaciela. Kiedy tylko to powiedział, znowu przybrał niewzruszony wyraz twarzy, by nie wypaść z roli twardziela.

- Czyżbyś pragnął zmian w swojej pracy? - lekko nastroszył się niższy, kątem oka śledząc wskaźnik numerów pięter, półświadomie porównując wyświetlane cyfry z popiskiwaniami licznika dla osób niewidomych. - Czy źle cię zrozumiałem? - Za tym pytaniem kryło się więcej, niż sugerowały słowa.

- Nie chcę zmian. Tylko zastanawiam się, na co poświęcam najwięcej czasu w pracy - odparował wyższy. Czas miał pokazać, co czaiło się w tamtym pytaniu. - I to ostatnio męczy mnie najbardziej.

- Przecież na to, co robią wszyscy.

- Niby na co?

- Na główkowanie, jak związać koniec z końcem.

- Tak bym tego nie nazwał.

- A jak?... Korzystaniem z nadarżających się okazji?

- To by bardziej pasowało. Zawsze było mi żal niewykorzystanych okazji. - Wyższy obrócił się twarzą do lustra, rozchylił wargi, odsłaniając uzębienie. Trzeba było tyle się napracować, pomyślał, żeby ten hipnotyzer dał się namówić na wzięcie udziału w tym spotkaniu, że w końcu, kiedy już tu jesteśmy, odczuwam pewien zawód. „Przeszłość w terażniejszości i terażniejszość w Przyszłości. Byłem w ciemnym borze i zgubiłem się”. Do diabła! Co mi znowu chodzi po głowie?

- A ty co z tym „żalem niewykorzystanych okazji” w takiej chwili - naburmuszył się niższy - nieodpowiedzialny jakiś jesteś, czy co?

Ja zabijam, kchurwa! - chciał wycharczeć Alex na użytek zmylenia oprogramowania Gry, która zapewne go do czegoś takiego nakłaniała, ale się powstrzymał. Wyznanie tej

Tajemnicy chodziło mu po głowie już od jakiejś chwili, lecz bał się samego siebie. Ta Gra nie jest rzeczywistością, szajbusie! - upomniął się w duchu, by uspokoić wyrzuty sumienia. Tak naprawdę niczego się nie boisz!. Tak naprawdę żadnej ofierze przecież nie odebrałeś fikcyjnego życia. Tak naprawdę nie starcza ci tylko sił, by dalej oszukiwać samego siebie, że nie jesteś potworem, nawet jeśli bierzesz w tym wszystkim udział!

*Rzeczywistość świata Aleksa Rifle'a wsączala się miękkim montażem w hologram Sperogry. Przez ostatnie trzy lata wyobrażał sobie tę chwilę tak często, że aż trudno uwierzyć, że ona nastąpiła. Ale nastąpiła, jest. Testuję Sperogrę! - podbudował się tym faktem, bo wiedział, że demonstruje **IM** jedną z czterdziestu czterech usystematyzowanych przez socjopsychologów organicznych reakcji twarzy, które zdradzają zmieszanie, kłamstwo, wzruszenie i, ogólnie biorąc, wszelkiego rodzaju emocje. Nie wolno mi się z niczym zdradzić! Nie mogę reagować tak, jak zwykle się zachowuję. To jest TEST, w którym każdy mój ruch jest analizowany. Nie tylko to, gdzie będę klikać, ale kiedy będę klikać, kiedy zrobię przerwę, czym się będę wówczas zajmować, co będę mówić, gdzie popatrzę, czego będę słuchać, jaką zrobię minę, gest czy odruch warunkowy, et cetera. **SKURWYSYNY** cały czas będą mnie obserwować... (Rosyjskie nowe kadry we wszystkich specjalnościach!) Wszystko jest ważne, kiedy Gra na ciebie ostrzy sobie zęby, zanim ugryzie w newralgicznym momencie. Muszę udawać kogoś zupełnie innego, niż jestem naprawdę! Muszę się kontrolować - uważać na wszystkie myśli, by jak najszybciej wykryć manipulację Sperogry w moim umyśle - czy to nie jest już paranoja? Bowiem nie rozumiem, dlaczego nie pojąłem od razu, że podejrzenie, iż cały TEST tej Sperogry zaaranżowano po to, żeby wyprać mi mózg, wysuszyć i wyprasować z kantem, nie jest mrzonką mojej chorej wyobraźni? (Boże spraw, żeby ta tyrada, którą przed chwilą wymyśliłem przeciwko **NIM**, miała na mojej twarzy ręce i nogi!)*

Ale a propos chorej wyobraźni (Putin topi Kaukaz w pieniądzach!): najczęściej bestsellerowych thrillerów psychologicznych napisano na temat seryjnych morderców - psychopatów, skoro „Ludzie są dziwni” nie tylko według zespołu The Doors. W przypadku Aleksa miało być podobnie, choć odwrotnie. Na użytek Gry musiał tylko udawać potwora, a nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy, bo przecież prawdziwym świrem nie był. Aczkolwiek kiedy kogoś grał, nerwy miał napięte do granic możliwości; świadomość, że jedynie udawał, stawała się z każdą minutą niemalże bolesna. Dlatego jak najczęściej będzie tu odbiegać od tej roli wpadając w polemikę z samym sobą w kwestiach dotyczących jego książki-Gry. Czasem nawet trochę się w tym zapędzi.. lecz jaki to wywrze wpływ na oprogramowanie Sperogry trudno wycenić z góry. Filozof Heidegger uważał, że jaźń ujawnia się w tym, o co naprawdę troszczymy się. Czy Heidegger odkrył coś istotnego dla Aleksa Rifle'a? O co

naprawdę troszczy się Alex Rifle? O rodzinę? Tylko o siebie?

O każdego? Na pewno Prowadzący Grę zadał sobie te pytania.

*Jednakże czy o tym wie, że Alex jest odważny, że nie obawia się odsłaniać tego, co ukryte. Nikt nie powiedział, że życie musi być zawsze jak zwykły wiatr; czasami życie to huragan. I nawet wtedy prawdziwy Alex Rifle nie ulega wahaniu, trzyma kurs przez odmienne rzeczywistości, gdyż wie, że jeśli powie sobie „Ja tu rządę klikaniem w tej Grze” - a to jest wielkie kłamstwo, które leży u podstaw złej Gry - to pogrzebie swoją szansę na odkrycie Sedna Gry, dotarcie do prawdy. A prawda nie zawsze jest ładna. Czasem prawda to szkaradziejstwo - to **TAJEMNICA INTERNETU (Przekaz podprogowy!)**.*

Alex też ma swoją Tajemnicę.

*Będą się tu działy dziwne rzeczy, a gadające pająki snujące trującą Sieć Pouczeń to jeszcze nic, to dopiero początek. Więc cicho, bo się wyda, że jeśli lubicie czytać książki, które kryją tajemnice, z tej dowiedziecie się, że czasem prawda brzmi jak wariackie urojenia, wszak z zastrzeżeniem, że to nie był pomysł Aleksa, by ujawnić tu Tajemnicę Internetu - to był **ICH** pomysł.*

Ale wolnego, prawda musi wyjść na jaw, to podstawa wszelkiej sztuki. Nie znaczy to jednak, że cały świat chce poznać tę prawdę... niektórzy się jej po prostu boją.

Gdy odwaga to czyn, a nie słowa czy pokaz, prawdę o Internecie, skoro ma wyjść na jaw, choć jest zbyt okropna, by świat zaakceptował jej istnienie, można ukryć pod tysiącami słów w tej książce. I to się zdarzy. Z całą pewnością. Ponieważ ludzie są ślepi... Ślepi-ślepi ludzie to my, a każdy pisarz, który potrafi konfabulować, ma swój sposób na czytelnika.

Dopiero teraz Alex skojarzył, że jego syn Adam też posiada toyotę, srebrzystego land cruisera. To skojarzenie tknęło go przecuciem, że program Gry mimo wszystko zechce jakoś wykorzystać ten fakt. Ale jak? Czy to się jakoś wiąże z... moją Tajemnicą? Nie! Przecież o Rosemary nikt nic nie wie!

Tego, kto błędnie zakłada, spotyka najgorsze, domyślił się, „widząc”, jak zupełnie naga Rosemary siedząca w rattanowym foteliku za jego plecami zmarszczyła brwi. Odrobinię przekrzywiła głowę, jak gdyby słuchała głosu, którego on nie mógł wyłowić pod hełmem wizuafonu.

Przez moment Aleksowi zdawało się, że znów (tak jak o świcie po przebudzeniu) ma przecucie proroczej przepowiedni (- Kto odważyłby się przypuszczać, że GRA może aż tak sprzyjać wichrzyielskim emanacjom podświadomości? - spytał gorzko sarkastyczny głos zdrowego rozsądku). Nie wiedział, co właściwie przeczuwa, lecz znowu zdjął go niepokój o Adama.

- Słyszysz **ICH**? - zapytała Rosemary głosem, który zdawał się dobiegać z bardzo, bardzo daleka. - Tylko nie rób sceny, jeśli tak!

Alex skinął głową, ponieważ bał się zaprzeczyć, żeby nie zepsuć przecucia. Albowiem chyłkiem wracało uczucie nierzeczywistości, poczucie, że umysł przeniknął mu przez czaszkę i wbił się pod sufit, by stamtąd cały czas filować na nagą Rosemary.

- Są tam - ciągnęła, jak gdyby w ogóle nie kiwnął głową - są w twojej łepetynie. Te wszystkie głosy. Skąd się biorą? Wiesz to? Czy nie?

Pomyślał o zamknięciu oczu, żeby zniknęła... lecz zaniechał tego sposobu z obawy, że dozna kolejnej superwizji. Odwrócił wzrok tak, by „widzieć” ją tylko na krawędzi pola widzenia.

- Alex! - warknęła. - Popatrz na mnie, do ciężkiej cholery!

Przed oczyma miał wciąż to, co działo się na ekranie wizuafonu (a działo się tam coś niesamowitego), choć w zasadzie to do niego nie docierało. Tym bardziej że czuł przyciąganie spojrzenia kochanki.

W końcu niechętnie na nią zerknął, wysuwając nieco język i przybierając tę odruchową minę wyrażającą oczekiwanie na najgorsze - ale czy na jej twarzy nie odmalował się cień niepokoju, że ją oleje? Tak mu się zdawało.

- Nie graj dalej, bo zupełnie znikniesz - powiedziała dość spokojnie i jakże przekonująco.

Jej słowa przedzierały się przez mgłę niekojarzenia faktów, kiedy patrzył na Rosemary, która jakby nieco odpłynęła w głąb ciemności jego umysłu, skąd wyskoczyła ta obstrukcyjna myśl, że ona może mieć rację. Wyraz jej twarzy go zmroził. Wzrok Rose nie był po prostu groźny czy twardy. Był absolutnie nieobecny... Jak u ducha?

Mimo to chciał grać dalej.

To proste i elementarne pragnienie nie miało nic wspólnego z mózgiem. Powstawało w innym, głęboko ukrytym zakamarku i miało wszystkie cechy potrzeby fizycznej - jak ochota na sól, cukier, na colę, kiszzone ogórki, rolmopsa, papierosa czy kawę. Zwykle mózgowie podpowiadało mu logikę, lecz dziś negatywnie nastawioną do problemu; druga tajemnicza część szeptała bez opamiętania, nakazując: - Graj, Alex, graj i wygraj, Graczu...

Na tle tego szeptu (podświadomości?) inny głos - dobiegający ze środka, nie z prawej półkuli mózgu, ale z samych korzeni umysłu - zaczął krzyczeć w przerażeniu: - **Ty zdechła gumo do żucia, odpierdol się od tej GRY! (Przekaz podprogowy!)**

I nagle jasność skojarzenia, kim naprawdę jest Rose, zawładnęła nim w pełni. Należał do niej, a ona do niego i było im dobrze ze sobą... bo Rosemary zniknęła.

Po dotknięciu palcem mikrofonu podsłuchowego schowanego na piersi pod koszulą niższy mężczyzna spojrzął na odbicie przyjaciela w lustrze i stwierdził:

- Masz żółte zęby jak koń, a oddech nieświeży, jak nie powiem co. Fe! Powinieneś lepiej zadbać o swój wizerunek.

- To pewnie od szkockiej - zawyrokował wyższy. - Cyf, cyf, cyf - zacyfał wciągając powietrze przez szczelinę między przednimi zębami, po czym kontrolnie polizał siekacze i cyfnął po raz ostatni, w końcu odwrócił się przodem do drzwi windy i dodał: - Muszę się ograniczać, bowiem ten nadmiar „pustych kalorii” szkodzi mi też na wątrobę. - Był gotów - widział tę potrzebę - roześmiać się razem z Joem, lecz ten nie potrafił jakoś na to się zdobyć, chociaż zadrwił:

- Imponująca konkluzja. Poradź się lepiej dentysty i zmień pastę do zębów.

- Oodczep się.

- Nie ma problemu, bejbe, rządź się sam.

Winda zaczęła odczuwalnie hamować. Stała z delikatnym wahnięciem i rozległ się podwójny dźwięk dzwoneczka. Drzwi rozsunęły się z cichym szumem jak to wrota do kolejnego wszechświata.

- Ale do tych okazji nie możesz się przyznać - powrócił do poprzedniego wątku rozmowy niższy mężczyzna - więc się zastanów, czy nie żyłeś ponad stan, bo to też sprawdzą. Dodam jeszcze, że mimo wszystko mój poziom frustracji jest zaskakująco niski: mogło być gorzej.

Przed windą, trochę z ich lewej strony, rytmicznie kiwał się niezwykle wysoki Afroamerykanin, wystrojony w jasnoróżowy T-shirt i obcisłe spodnie w zielono-żółtą kratkę. Dredy wisały mu do ramion. Pod lewą dłonią dyndała foliowa reklamówka. Na uszach miał założone słuchawki, a przy pasku od spodni przypiętego walkmana. Na różowej podkoszulce widniał czarny napis LUCAS.

„Upiór w operze” - ten tytuł wyskoczył im obu z podświadomości, jak gdyby wszystko działo się naprawdę, a nie było tylko Grą.

To oni - ofiary Losu, domyślił się Lucas, zerkając na nich spod oka. Przybrał najbardziej obojętny, wręcz zwisowy wyraz twarzy, mimo że czuł owo ciśnienie pary pod czaszką, które zrodziło się z wewnętrznego ognia psychopaty, a było pozbawione zdrowego zaworu bezpieczeństwa dla jego narkotycznych wizji.

Postać kolorowego przebierańca nie tylko ich zde gustowała, ale nawet ostrzegła. Może z powodu źle ukierunkowanej wolnej woli albo karygodnego rasizmu patrzeli na czarnoskórego mężczyznę z przekonaniem, że nieprzypadkowo znalazł się tu, w centrum

wydarzeń.

Co ten dryblas tu robi? - zainteresował się w duchu wyższy mężczyzna, w zawodowym odruchu policjanta szukając wzrokiem jakiegoś znaku, grymasu, gestu, najmniejszego sygnału, że to niebezpieczny typ. I znalazł aż dwa.

To chyba jakiś koszykarz, domyślał się niższy. Nie, za długie ma dredy jak na koszykarza. Ale co on tu robi w takiej chwili?

- Myślisz, że ci zasrańcy za tym będą węszyć? - strapił się wyższy, gdy wychodzili z windy.

Lucas wszedł do środkowej kabiny. Poczł wstrętny odór białasów, który w niej zostawili tamci dwaj - krwistą chmurę w tle pęczniejących myśli.

W korytarzu minął ich masywny mężczyzna o rybich oczach (ubrany zapewne u Gianniego Versace: w koszulę i spodnie w kolorze marengo), na którego nie zwrócili większej uwagi ponad tę wymaganą sytuacją.

Do diabła, to oni! Widzieli mnie, zaniepokoił się Parker. No, ale długo już nie pożyją. Starał się nie patrzeć na nich, ponieważ o wiele bardziej zaintrygował go ten wysoki czarny mężczyzna, który rozkołysanym krokiem koszykarza wkolebał się do środkowej windy.

- A za czym mają węszyć? Za codziennymi duperelami?... Tajny agent może być wszędzie. Nawet tutaj! - Niższy sugestywnie machnął ręką, kciukiem wskazując do tyłu, w stronę wind. - No nie jest tak, nie jest tak?

Kroczyli szerokim korytarzem po miękkiej wykładzinie dywanowej w szafirowej tonacji kolorystycznej w poszukiwaniu konkretnego biura, niższy o pół kroku z przodu. Chwilami było mu coraz trudniej pohamować w sobie powracający niepokój, w który przemienił się jego uprzedni strach, pohamować chęć powiedzenia czegoś strasznego, świadczącego o jego odwadze i determinacji lub dokonania rzeczy godnej pożałowania, ale przed wszystkim tym wciąż przestrzegał go wrodzony zdrowy rozsądek via logika.

- Olewam ich! Powinni wiedzieć, że jaka płaca taka praca - implikował wyższy, od dawna nastawiony krytycznie do tego, co teraz mówił. Z nawyku czasoholika spojrzął na zegarek marki Breitling.

- Ależ oni dobrze o tym wiedzą. Aż za dobrze. Taki mają fach... Musimy uważać jak nigdy. Każde słowo może odbić się rykoszetem zdrady lub głupoty i powrócić wieloletnim wyrokiem. To miał być pokój osiemnaście dwanaście, prawda?

- Niższy przystanął przed solidnie wyglądającymi drzwiami w barwie mahoni. Palce jego prawej dłoni pstryknęły tak, by ostatecznie wymierzyć wskazującym paluchem w mosiężne cyfry 1812. Mimo tremy uśmiechnął się zabawnie poruszając brwiami.

- Tak. Wchodzimy - zdecydował wyższy i energicznie nacisnął klawisz. - Oby nie na darmo - dorzucił nastawiony bojowo. „UWAŻAJ! Przekraczasz granicę dwóch superwszechświatów”. Jak ja nie znoszę tych kurewskich myśli! Zagłuszył je stwierdzeniem:
- Wybiła godzina za kwadrans trzecia: czas, by poznać prawdę!

Nie zastali nikogo w sekretariacie, urządzonego w stylu ergonomicznym i w szaro-czarnym melanżu kolorów. Po chwili wahania skierowali się do sąsiedniego pomieszczenia, którego drzwi były zachęcająco otwarte.

- Helooo! Jest tu kto? - zawołał głośno i przeciągle wyższy, jakby na postrach wszelkim obawom i wątpliwościom.

- Peeeteer!

- Co się tak wydzierasz jak stare prześcieradło?! Jestem tutaj! - odrzyknął wywołany z drugiego pokoju Morkis, wychodząc im naprzeciw z kabotyńskim uśmiechem na ustach w tej kaikowskiej sytuacji. - Już jesteście?

*Ten wstęp w preludium Gry właśnie zaczął się Aleksowi dłużyć. Gra jakby zaczęła kuleć. A przecież wiedział, że gdzieś tam, za kolejnym kliknięciem, za prawidłowo wybraną ikoną, kryją się niesamowite kawalki Sperogry: **Zombies**. Ale uważaj, Alex, czego pragniesz. Wiadomo, że w tej Grze nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Jak naprawdę jest, nie wie nikt. Zatem wyobraź sobie, że wszystko jest z tobą dobrze... skoro wszystko może jest takie złe jak brzmienie dźwięku samotności. Lecz nie poddawaj się. Bierz życie, jakie jest. Przed siebie idź, klikając.*

Jeśli ja jestem świrem, to każdy też jest szurnięty! - wyskandował w duchu, by ożywić Grę, skoro potrafiła „czytać” jego myśli z twarzy. Ale gorliwców zawsze łatwo złapać na błagę, napomniał się zaraz, bowiem to, co tylko wydaje się proste, jest przecież krzywe. Idąc za ciosem tej paranoi Gry, tego strumienia jej nieokiełznanej sproświadości, postanowił mówić do siebie tak, jakby jednak całkiem zwariował. Zatem nie będę udawał kogoś, kim nie jestem, próbując nadać sens temu, czego nie wiem, ponieważ wiem, że pod wpływem tej Sperogry - (jej przekazów podprogowych) - ulegnę przemianie osobowości. Wprawdzie niewielkiej, bo i niezauważalnej, lecz nastawionej na określony cel, „znany” tylko mojej podświadomości. (Co będzie z tą Rosją?) Wówczas nawet nie będę świadom, że zostałem zmanipulowany. Może więc Sednem tej Gry nie jest odkrycie Tajemnicy Internetu sensu stricto, a jest nią przemiana psychiczna, którą Gra wywoła w każdym czytelniku - graczu. Czy to prawda? Odpowiedź tkwi w szczegółach Gry. Oczywiście, w szczegółach tkwi także diabeł - ale być może „prawda” i „diabeł” to dwa określenia tej samej myśli. Kto wie? To całkiem możliwe.

„Pająk? Tak się też nazywam? Kiedyś to wiedziałem na pewno. Kiedyś znałem ten szyfr, którym się w Grze mówi, lecz teraz wszelkie moje słowa są jak muchy, które kiedyś wpadły w moją Sieć. Na przynętę chcę powiedzieć: Klik! Klik! Albo: Skik! Skik! Lub: Tik! Tik!... Z tym że jakoś nie mogę tego zrobić. Dlaczego? Bo już moje pierwsze skojarzenia mają w sobie... czy ja wiem... coś... (Czyż sztukę nie tworzy się dla sztuki? Ale sztuka to magia. A magia nie zawsze jest biała.)... coś...

Coś zaginającego w pętłę tę filozofię.”

*Alex wahał głową, udając rozczulenie nad swoją bystrością przy tej zagrywce jakby parapsychicznej. Potem westchnął, jakby miał do czynienia z debilami (NIMI) i dotknął palcem klawisza bezprzewodowej myszy. Czym się jednak kierować dokonując wyboru dalszego ciągu Gry? Dokąd ona zmierza? Jak na niego wpłynie?... Alex dobrze zdawał sobie sprawę, że irracjonalne - co? zainteresowanie? fascynacja? zauroczenie? speromania? - narastające uczucie, jakie zacznie żywić wobec tej Gry w miarę posuwania się do przodu, będzie z czasem stanowić obszar niedostępny dla racjonalnego myślenia, jeśli tylko nie przestanie „wierzyć”, że to taka Gra, gdzie nie można wygrać, skoro wszystkie możliwości wyboru są złe, gdy psychowir Gry wciąga na coraz głębszą i bardziej niebezpieczną wodę. Teraz należałoby wybrać najmniejsze ryzyko, by nie dać się rozszyfrować. A prezydent i tak się nie dowie, że afery zatacza coraz szersze kręgi. Im więcej w niej dygresji, aluzji, bon motów, tym łatwiej, bo trudniej zamieszać **IM** we łbach.*

- Protagonści, słuchajcie! - zawołał lekko zachrypniętym głosem Jima Morrisona, po czym zrobił pauzę na namysł i zgrzytliwie zarapował: - Ziba-da, ziba-de pocałujcie mnie w tomp-tomp i bump-bump oraz ding-dong! - I kliknął na koniec do rytmu.

KLIK...

FAZA PIERWSZA: 111

Oho! Zaczęła się właściwa Gra, zauważył Lucas. Zjeżdżał środkową windą na parter, słysząc w uchu szczerą, choć stremowaną radość Morkisa. Zakładał, że pierwszy gość Petera, chłop na schwał, a do tego o rybach oczach, użyje lewej windy, nie decydując się na przywołanie prawej kabiny aż z osiemdziesiątego piętra. Zanim drzwi windy zasunęły się, zdążył go sobie lepiej obejrzeć nadchodzącego korytarzem, niż wtedy, gdy widział go przez szczelinę drzwi od ogólnodostępnej toalety. Teraz koka już działała nieodparcie: ubranie

zaczęło go krępować, kolory nabrały tonącego w głąb siebie ciężaru, widział rwące nurty podziemnych rzek pod stopami i martwe, słone oceany zamiast ścian, potem dostrzegał pulsujące krwią żyłki w każdym otaczającym go przedmiocie oraz ludzi mierzących ponad trzy metry wzrostu... Trwało to jakby godzinami, a w rzeczywistości już po niespełna minucie z hakiem drzwi windy otworzyły się na parterze - i wkroczył do innego wszechświata... do labiryntu orendy.

Pstryk! I dopiero teraz Alex naprawdę przyjął do wiadomości, że należy oczekiwać nagłych zmian podwatków, skoro to tak przebiegle zawikłana Gra, że by wszystko się powiodło, indywidualna antyGra musi zacząć się w Tajemnicy. A gdzie wgłębi duszy wiedział zawsze, że życie trzeba szumną treścią wypełnić, mimo że był jedną z tych osób, które każde zdarzenie starają się obrócić na swoją korzyść, nie oglądając się na to, że kogoś mogą przy tym zdeptać. Nie był okrutny ani podły, lecz uważał się za realistę, który musi dbać przede wszystkim o siebie.

A jeśli nie wytrzymam tego wszystkiego, tego TESTU, tej Tajemniczości? - zwątpił per prokura Brandona, z którym grał w tandemie konsonansu psychicznego. - Człowiek nie sznurek, wszystko wytrzyma! - zażartowała jego podświadomość. - Zabijaj dalej i bądź szczęśliwym dla samego siebie!

Zwodniczo szczupły, jak na muskularnego Afroamerykanina przystało, zadzierzysty i zadziorny aż do przesady, ochroniarz Martin, usadowiony w wygodnym obrotowym fotelu na kółkach, za konsolą systemu bezpieczeństwa w Centrum Ochrony Hearst Tower, z nudów świątecznego dnia pracy sięgnął do torby, w której przynosił swoją aprowizację, i wyjął z niej... pornoświerszczyka. Nie minęła nawet krótka chwila, gdy poczuł, jak członek wzbiera mu potężnie męskością, rozdymając się w długi, gruby balon. Wyciągnął go z rozporka i zaczął się brandzlować...

Co Aleksa nieco zdeprymowało, więc kliknął na oślep:

KLIK...

*

Manny'ego Parkera, płatnego zabójcę, przepełniała dzisiaj niebezpiecznie cudaczna wątpliwość i poczucie zadowolenia - jeszcze nigdy nie czuł czegoś podobnego. Po raz pierwszy od wielu lat - może nawet od symbolicznego zawsze - na próbę uwierzył, będąc chronicznym niedowiarkiem, że także dla niego ten dzisiejszy stan umysłu jest zapowiedzią jakichś nowych możliwości życiowych. Końca zabijania?... Czuł się tak magicznie dobrze, jakby uwierzył, że coś naprawdę wyjątkowego oczekiwało go za tak zwanym Rogiem Nieznanego, czyli za drzwiami windy, która zaczęła zjeżdżać na poziom „0”. Z tym że było

jeszcze „coś niebezpiecznego”... co musiał za chwilę wykonać. A tak bardzo pragnął wreszcie się zakochać z wzajemnością, pomyśleć o Przyszłości pod innym kątem, z innej perspektywy, że nie miał żadnej ochoty na to „coś”. Miłość wydawała mu się dotąd zbędnym balastem, dziwacznym dodatkiem, plastrem na smutki jednej nocy... ale tak czuł się dawniej.

Uczciwie mówiąc, równie dawno odniósł wrażenie, że w każdą molekułę ciała ma wbudowany zegar wewnętrzny, który przypomina mu teraz o tym, że jego Życie mija jak sen, śniony anormalnie. Nie było to efektem głębokich przemyśleń, tylko patrząc w lustro w windzie - ze zgrozą, zaprawioną jednak szczyptą optymizmu, poczuł się tak staro jak nigdy przedtem. Nie jakoś szczególnie źle - skoro czuł się wręcz dobrze - ani nawet smutno, po prostu, staro. Czas nie czeka, skonstatował, tylko szybko płynie. Ale jeśli nawet by się dzisiaj - od święta - głębiej nad tym dziwnym nastrojem zastanowił, to zapewne nie mógłby przypuszczać, że ten dzień, ta newralgiczna chwila Życia (tak bliska śmierci jak nigdy), stawała się początkiem końca jego podwójnego żywota: epoki zbrodni, jako że jeszcze w tym kataklicznym momencie - tuż przed wyjściem na ulicę - nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy...

...Niepokój ten był jednak pierwszym sygnałem ostrzegawczym, że Zło zawisło tu w powietrzu...

...Na tej wirtualnie „modyfikowanej” ulicy tak zwani nieprzyjaciele - owi szczególni przeciwnicy bez wyraźnych twarzy, o duszach wypranych z całego Dobra, owe męty dzielnicy - otarli pot spod oczu pod czarnymi przeciwsłonecznymi okularami, odrzucili zbędne myśli, bo nie było już czasu do stracenia, i wychynęli z ukrycia. Dziwna rzecz - rzecz niemal nie z tej skomplikowanej Gry - jak bez żadnych konkretów, bez słowa komentarza, bez koloryzowania czy innego upiększania już tworzył się obraz prowadzonych tam działań. Działania opartych przede wszystkim na zbilansowaniu zamiarów i środków, nadziei i złudzeń, pozorów i faktów. Tak, tak, nieprzyjaciel przedsięwziął już kroki, które zależały w pewnej mierze od autonomicznie złośliwej duszy człowieka, który to wszystko zaplanował. Inwencja nieprzyjaciela - pierwotnie kompilacja nieco sparciała i postrzępiona, mocno też pozawężlana, ale niezawodna jak nić Ariadny - mogła teraz stwarzać wrażenie czegoś raczej nieprawdopodobnego w porównaniu z codziennością, którą znamy, skoro w swoim czasie ta dzielnica była tak bezpieczna jak żadna inna w Nowym Jorku, jednakże ów czas - jak to Alma czas - właśnie mijał.

Jakkolwiek na tej ulicy wciąż jeszcze panowała zwykła szara rzeczywistość, ale sądząc po ruchach nieprzyjaciela już zapowiadało się na znany mu cyrk niesamowitości z nim - ślepcem - w roli widza i tajemniczego, ślepego wybawiciela. Ano, żadna filozofia. Ostatnio

nabrał w tym wprawy. Tym lepiej dla ciebie, że się ździebko rozerwiesz, odezwała się wspólna ŚWIADOMOŚĆ. Moja rada, John, to myśl o tym wszystkim jak o Grze. To Gra zwana Życiem. Taka, jak wszystkie gry, które uprawiałeś. Jak wtedy, gdy na śmierć przejechałeś samochodem Mirandę. Albo jak odciąłeś kutasa Ralphowi i ten wykrwawił się na śmierć. To tylko taka Gra. Gra na śmierć i życie - tylko. Nic więcej. A jednak... dzięki tej świadomości może nie sfajdasz się w gacie, gdy zagazują cię lub podadzą ci zastrzyk z trucizną w celi śmierci: będziesz wówczas myślał, że to jedynie dalszy ciąg Gry. Od teraz realizacja jej planu tak cię zaprzątnie, że ta cała mistyfikacja naprawdę stanie się dla ciebie czymś niemalże abstrakcyjnym: Tajemniczą Grą!

- Wspólna ŚWIADOMOŚĆ zaśmiała się: GRRRA! Ten charkotliwy odgłos był pełen tak koszarnej radości twórczego niszczenia, że Alex dostał gęsiej skórki na karku. *Ta postać ślepeca drepczącego w cieniu ulicy miała w sobie coś porażającego synapsy. Była przesycona grozą bezradności człowieka wobec przeznaczenia? Owszem, ale tak bezecną grozą, nad którą z największym trudem dawało się zapanować, że bezcenne przesłanie tej grozy było coraz bliższe świadomości Aleksa. Nadciągało, poprzedzane stukotem białej laski uderzającej o trotuar. Poprzedzane....*

TAJEMNICĄ SPEROGRY.

Dawny księgowy jednej z rodzin mafijnych w Nowym Jorku, zwany wtedy Herbie Reagan, korzystający później z fałszywej tożsamości jako więzień Frank Lamet, a obecnie pan Peter Morkis, powitał gości szerokim uśmiechem na swojej plastycznie zoperowanej twarzy i poszerzonym gestem rozwierających się, długich, szczupłych ramion. Dzięki soczewkom kontaktowym jego stalowo zimne oczy wydawały się jakby przezroczyste od bezlitosnej bezwzględności, z jaką taksował przybyłych. Podczas gdy interesowna wylewność była dominującą cechą jego parszywego charakteru, odwagą i zdecydowaniem w działaniu specjalnie się nie wyróżniał. Mimo to marzył nie tylko o dostatniej Przyszłości, lecz także o zrobieniu spektakularnej i legalnej kariery, choć sedno tego supermarzenia jeszcze długo miało być jego wielką Tajemnicą.

- Hej, bratku, coś taki zamotany jak pijany kierowca autobusu? - Tom McCoy wparował do gabinetu pewnym krokiem gliniarza. Był potężnie zbudowanym, wysokim, ciemnowłosym blondynem w średnim wieku, i co gorsza porucznikiem z Wydziału Zabójstw na 14 Posterunku Policji Miasta Nowy Jork w Dolnym Manhattanie. Za nim podążał niepozorny mężczyzna, którego Morkis do tej pory nie miał okazji poznać. Obaj niepalący goście byli spięci jak czujne agrafki. Zapewne od razu wyczuli zapach dymu papierosowego, który nie wywietrzał z gabinetu, pomimo uchylecia dużego przyciemnianego okna. Widok za

szybami przypominał każdemu, że znajduje się na osiemnastym piętrze osiemdziesięciokondygnacyjnego biurowca koncernu Hearsta, usytuowanego przy Siódmej Alei na Manhattanie.

- Witaj, Tom, w tym niezwykłym dniu. - Morkis kordialnie rozłożył ramiona w powitalnym geście. - Zapewniam cię, że zapamiętasz dzisiejszą świąteczną datę: czwartego lipca 92 roku jako dzień szczególny. Dziś będziemy mieli powód, by wypić parę szklaneczek. - Poufale poklepał przystojnego krewniaka po szerokich plecach.

- Gołnałeś już sobie, co? - zareagował dość ostrym tonem Tom McCoy, ale gdyby nie czujność i gotowość ciała, będące wynikiem wieloletniego przestawiania z kryminalistami, można by go wziąć za sympatycznego faceta, gdy to mówił.

- Tylko małe co nieco. Dosłownie kapinkę - odparł Morkis. Jego głos przeszedł w falset z podniecenia?, z oburzenia?, z pijackiego zakłamania?... Czuł, że raczej ze wszystkich tych powodów razem wziętych, bo stara dobra dianetyka jest najlepsza w takich momentach.

- Spójrz mi w oczy! - niemal warknął Tom McCoy, i niezbyt głośno, bo Joe przyglądał się im z dziwnie zafascynowaną miną.

- No, przecież patrzę.

- Nie tak!

- A jak?

- Tak, jak ja patrzę na ciebie.

- Ależ patrzę tak cały czas, męczyduszo.

- Patrz naprawdę!

Morkis jednak spuścił wzrok na pierś policjanta. Powinien był się domyślić, że ten przejrzy go na wylot. Dlatego, choć wierzył, że jego ekspresowy pociąg do kariery mknął dalej tym samym torem, poczuł się teraz tak, jakby musiał przebyć na piechotę jeszcze wiele mil, nim dotrze do pierwszego celu: półmiliardowej fortuny. Nikły uśmiešek pojawił się na jego ustach, kiedy doszedł do wniosku, że szkoda byłoby dzisiaj zabijać akurat Toma.

- Wpadłeś w pętlę czasową z tym patzeniem sobie w oczy? O co ci, kurka wodna, chodzi? - delikatnie próbował się wymigać od konfrontacji.

- Chcę dotrzeć do twojego rdzenia świadomości, żeby ci przywalić, bo dla pijaństwa nie ma usprawiedliwienia, panie kolego.

- Chyba chcesz dotrzeć do mojego przyrodzenia...? - głupawo zażartował Morkis, ale jego myśli krążyły już gdzieś indziej: znów w pobliżu Tajemnicy Internetu. Doskonale znał swój profil psychologiczny. Pomiędzy władzą, seksem i codziennym spełnieniem jest zaledwie nanometr różnicy, jeśli popatrzeć na ciasno ułożone synapsy w szarych zwojach

mózgu.

W tych wąskich kanałach myślowych wszystko sprowadza się do jakże skomplikowanych reakcji chemicznych, zależnych od wydzielania hormonów: speroiny, adrenaliny, melatoniny, i tym podobnych. I to należało wykorzystać w Przyszłości.

- Przyrodzenia? Co z tobą? Jednak już sobie popijasz od lunchu? - zezłościł się McCoy, czując alkoholowy oddech Morkisa. - Nie chciałbym dzisiaj świecić za ciebie oczami przed moimi przyjaciółmi.

- Zapewniam cię, że nie będziesz. Czekałem na was cierpliwie.

- Sam?

- Samiuteńki. Ale jestem trzeźwy jak świnia. - Morkis wiedział, że mówił to samo już nieraz przedtem, lecz tym razem była to prawda według jego miary. Tym razem myślał tak rzeczywiście - jeszcze był trzeźwy jak świnia... na zakręcie historii - a mimo to wiedział też, że brzmiało to tylko jak surogat prawdy o nim.

Ty łgarzu, pomyślał o nim McCoy, mnie nie oszukasz.

- Trzeźwy? To się jeszcze okaże. - McCoy gładko zmienił front przechodząc do prezentacji. - Poznajcie się. Oto Joe Hoffman, mój serdeczny przyjaciel, wybitny patolog i hipnotyzer. Wspominałem ci o nim ostatnio. Całkiem niedawno się ożenił.

- Niezmiernie mi miło poznać i szczerze gratuluję obrączki. - Morkis obrócił się twarzą do Joego. Niski, nieco siwawy na skroniach brunet, przejący się w idealnie dopasowanym do jego sportowej sylwetki, czarnym, jedwabnym garniturze od Giorgia Correggiariego, serdecznie uściśnął mu dłoń. - Dla przyjaciół Toma, mojego kuzyna, jestem po prostu, Peter - zaoferował przejście na „ty” z wyrachowanym entuzjazmem, chociaż nieco protekcyjnym tonem.

- Dziękuję bardzo, ale to już prawie miesiąc minął od mojego ożenku... Mów mi Joe. - Ciągłe potrząsali swoimi rękoma we wzajemnym uścisku, nie mogąc się zdecydować, który z nich ma przestać pierwszy.

Czyżby już czuli, że zaczęło się wsteczne odliczanie czasu do katastrofy?, zaniepokoił się kolejny z Supergraczy. A przecież ładnie wykalkulowaliśmy ten miraż odkrywania TAJEMNICY INTERNETU. Bo kiedy znów zawoła ktoś, kliknę śmiało... Kliknę śmiało w intencji odmiany jego szarej rzeczywistości. Żywcem obedrę ich wszystkich ze skóry. Pasma po paśmie będą zdierał ją całą, całutką, zanim powieszę ich na HAKU.

- Coś kiepsko wyglądasz, Joe. Jakbyś był przemęczony. Lubisz zakasać rękawy? - zagadnął Morkis, pozornie zatroskany. Uwolniwszy dłoń z uścisku Joego, dodał z dwuznacznym mrugnięciem: - Wierzysz, że żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary?

- Właściwie...? Raczej nie za mocno wierzę w cokolwiek tak filozoficznego - odparował dość niepewnie Hoffman, choć zaczynał już czuć się lepiej. Jakoś stłamsił w sobie resztki niepokoju, lecz czuł, że bestia nadal leży gdzieś w głębi niego i czeka, żeby się znowu poderwać i ugryźć.

- Taaak? A w jakiej firmie harujesz?

- Głównie w Szpitalu Columbia-Presbyterian i trochę dla policji.

- To nie zazdrozczę ci. Marna fucha. - Morkis współczująco wydał wargi. - Straszne nudy. Może to ci szkodzi?

- Nieee... zauważyłem.

Morkis z wysoka przyglądał się Małemu Joe'owi, dociekając, czy powściągliwość tego człowieka o drobnej budowie jest formą rygorów moralnych, czy apatii wobec rzeczywistości tak głębokiej, że nie przebije się przez nie żadne ostrze, nawet ostrze seksu czy chciwości.

- Jesteś patologicznym wizjonerem? - spytał, kpiąc bez zająknięcia, jednak na poważnie nie uświadamiał sobie do końca wszystkich implikacji tego pytania zadanego akurat Joemu.

Joe Hoffman wytrzymał spojrzenie Morkisa, na tyle śmiało wpatrując się w jego oczy, na ile chciał wierzyć, że ten pyta całkiem poważnie. Morkis, wiezysty i giętki, wyraźnie górował nad Joem. Jego pociągła, kanciasta twarz błyszczała jak nawoskowana złotem maska obłudy i fałszu. Połyskiwały też złotem, przystrzyżone równo, wilgotne od bourbona wąsy. Połyskiwał także złoty zegarek na lewej ręce, złoty sygnet na małym palcu, złocisty blask oczu. Za chwilę rzuci jakąś złotą myśl, rozsiejże złotousty urok, omami złotawym mirażem bogactwa, które na nich czeka. Jak mu wytłumaczyć, czym jest dla Joego praca patologa, a czym wizjonerstwo? Jak wytłumaczyć mu to zachłystywanie się napięciem, skupieniem, koncentracją umysłu w chwili płytkiego cięcia skalpelem, kiedy czerwony ślad zaczyna biec za lekkim naciskiem ręki, kiedy miękkie i chłodne ciało rozchyła się jak kurtyna, kiedy obnażone zostają organy, które nigdy przedtem nie widziały światła, kiedy człowiek podąża za tropem jak myśliwy w dżungli i wreszcie staje twarzą w twarz z wielkim zwierzem - przyczyną śmierci? A jak wytłumaczyć mu nadprzyrodzoną wizję czyjejś śmierci w ogóle?

- W taki piękny dzień jak ten nie jestem patologicznym wizjonerem - odparował enigmatycznie, jako że lubił wiedzieć, co się stanie, zanim będzie za późno na dobrą radę. - Ale jest jedna drobna rzecz, którą zwykłem dawać innym, to dobre rady: lepiej zmień temat.

- Świetna rada! Lecz czasami miewasz wizje?

- I dobrze mi z tym.

- Co proponujesz do picia na ten cholerny upał? - Porucznik McCoy wmieszał się do ich rozmowy głosem człowieka, który lubił wypić, a nigdy się do tego nie przyznawał. Kierując się w stronę czarnych foteli i kanapy, odczuł wyraźne przygnębienie pod wpływem dominacji czerni w tym pomieszczeniu, wywołującej wzmożone pragnienie u takiego melancholika jak on.

- Byle coś zimnego - dorzucił Joe i głośno przełknął ślinę, jakby nie mógł się doczekać poczęstunku, ale po drugiej stronie percepcji coś innego przyciągnęło jego wzrok. Miał nieomylnie oko do wyłapywania takich subtelności jak ślady czyjejs niedawnej tu bytności w postaci drobin łupieżu rozsianych na oparciu fotela, na którym Tom McCoy miał zamiar usiąść.

- Czy może być szkocka z lodem? - Morkis obrócił się twarzą do Toma z zachęcającym uśmiechem, którego McCoy już nie zauważył.

Porucznik przez te kilka sekund kontemplował widok z okna: stadko gołębi szybowало jakby w zwolnionym tempie na falach rozgrzanego powietrza, rozwijając się w pastelowy wachlarz na jasnym tle kawałka nieba pomiędzy wieżowcami. Gdy znikło, twarz porucznika spochmurniała jeszcze bardziej. „Kto nie idzie z POSTĘPEM, Tom, ten się cofa”, przypomniał sobie słowa dziadka, który do dzisiaj hodował gołębie. Odparł więc mało uprzejmym tonem:

- Szkocka pasuje mi jak najbardziej, tylko dodaj dużo lodu. - Elegancką marynarkę od srebrno lśniącego garnituru od Armaniego powiesił na oparciu fotela stojącego przy uchylonym oknie, mrużąc w duchu: „Ktoś tu siedział przed chwilą”. Wspomnił faceta o rybich oczach i siwawej brodzie, którego minęli na korytarzu po wyjściu z windy, i skrzywił się cierpko. Wprawdzie znowu rozboleł go chory ząb, gdyż nieopatrznie mocniej go przygryzł, ale przecież nie chciał okazać czarnego humoru od samego początku spotkania z powodu złych przeczuć. Zasepiony, usiadł ciężko we wgłębieniu, które tamten facet po sobie pozostawił. Kim był ten gość? - zainspirował wyobraźnię. Odruchowo odgarnął z oczu wyimaginowany kosmyk, gdy pojawiło się widzenie: czarny kot przebiega jezdnię przed jego samochodem.

- A co konkretnie dla ciebie, Joe? - spytał Morkis w drodze do barku, zastanawiając się, co się stało ze światem Toma i jego: światem, który do nich należał w młodości? Co się stało ze wspaniałymi pomysłami, „męskimi” rozmowami, chłopcami rzucającymi wyzwania przeciwnościom Losu, chłopcami, którzy zawsze wygrywają? I niespodziewanie przestał już być tym dawnym małym kłamczuchem; raptem wydało mu się, że jakaś część jego umysłu - prawdomówność szczątkowa? - została zakręcona jak kurek, że nagle stał się zwykłym

kłamcą, nawet nie wielkim łgarzem, tylko zwykłym kłamcą! Kłamcą, który przecież nie wie, co Los szykuje dla niego, a mimo to zamierza kłamać, żeby odnieść sukces. - Chyba nie jesteś abstynentem, co, przyjacielu? Ani, co gorsza, panteistą, he?

- Nieee, skądże. Dla mnie może być to samo, co dla Toma - zdeklarował się ze sztucznym zapalem Joe. Szanowany w środowisku, pięćdziesięcioletni patolog machnął ręką, by przepłoszyć dużą muchę, która przysiadła mu na dłoni - odleciała bzyząc jakże irytująco dla kogoś, kto był przyzwyczajony do aseptycznej czystości. Jak zwykle męczyły go gazy po lunchu, dlatego nadal czuł się trochę nieswojo, co było widać na jego twarzy.

Z tego powodu Morkis, będąc z powołania rewizjonistą o progresywnej osobowości „wyścigowego szczura” i jednocześnie pogromcą relatywizmu, który nie stronił od utopijnych dygresji, kiedy zastawiał pułapkę na naiwnych, rzekł:

- Wiesz co, Joe? W tym czarnym garniturku przypominasz mi czarnego gołębia z latynoskiej piosenki o końcu świata. Dokąd lecisz czarny gołębiu... - zanucił prawie nie fałszując.

- A Tom przysłał mi dzisiaj, że wyglądam jak gangster z tandetnego serialu. *(Pamiętaj, że Sperogra bawiąc uzależnia bezobjawowo, upomniał siebie Alex. I ma to do siebie, że w każdej chwili może zaskoczyć Gracza niewyobrażalną odmianą swojego oblicza - arcyniespodzianką. Taką, którą będzie się pamiętać do końca życia, nawet gdyby udało się zapomnieć wszystko inne: sceny i słowa, które - jeśli jednak zapomniane na jawie - będą prześladować człowieka w snach. Ale najpierw Gra musi uśpić czujność Gracza. Dlatego ja nie powinienem być zbyt przejawskrawionym schizo, ponieważ od razu będzie wiadomo, że udaję. Nawet myśleć muszę w wyrafinowanie zwykły, choć świrnięty sposób. „Bo, rzecz pewna, bóg chaosu myślowego uwielbia arcyniespodzianki. Tak powiada Pająk”)*

- Ty i gangster? Ha, ha, ha! - parsknął fałszywym śmiechem Morkis, otwierając drzwiczki barku. - Bardzo zabawne, daję słowo, bowiem to, że nie jesteś gangsterem, nie znaczy, że nim nie możesz zostać. Prawda, Tom?

- Nieprawda! Nadal mieszkasz w hotelu? - Tom ociężale zwrócił twarz w stronę Morkisa. Peter robi się nerwowy, zauważył, krzywiąc usta z powodu bólu zęba. Zawsze miał skłonność do odgrywania głównej roli, tym samym masę sposobności do popełnienia błędu, czemu muszę jakoś zaradzić. - Na lewych papierach?

- Owszem, ale przenieśliśmy się do Omni koło Carnegie Hall.

- To będziesz miał dwa kroki do Metropolitan Museum.

Z wydłużoną miną (bo nie znosił muzeów) Morkis podniósł wzrok na Toma. Pozwolił, aby zapadła między nimi chwila złowieszczej ciszy, w której słychać wręcz było

odgłosy obracania się Ziemi. Niestety, musiała trwać okrutnie krótko, bo czas naglił.

- Doprawdy, bardzo zabawny jesteś dzisiaj. Ha, ha, ha - powiedział z ironiczną goryczą. - Lepiej pilnuj swego nosa, dowcipnisiu.

- Jak długo jeszcze masz zamiar szwendać się po hotelach? - drażył dalej, niezrażony McCoy, jednakże robił to z pełnym tajonego oburzenia zaciekawieniem, wypływającym pewnie z półświadomej zazdrości, że to Peter dzisiaj tu bryluje, że ma nowy istotny cel w Życiu.

- Niebawem przeniosę się do apartamentowca San Remo z widokiem na Central Park, dla prestiżu. *(Alex włączył podgląd sytuacji na ulicy przed biurowcem. Ale... najpierw nie wiedział, że chce to zrobić. Następnie ogarnęło go niejasne przeczucie, że powinien to zrobić. Przeczucie zmieniło się w przekonanie, przekonanie w silne postanowienie. Postanowienie przybrało formę nakazu. Absolutnie musiał dowiedzieć się, co się teraz dzieje na ulicy przed biurowcem. Prawdopodobnie była to zapowiedź ataku fugi - psychicznego odlotu w niepamięć albo Gra zaczęła nim sterować.)*

Psiakrew! - zaklął w duchu McCoy. To pewnie wszystko imaginacje Petera! Przechwałki! Tak haniebnie dałem się nabrać, że muszę zaraz mu przyjechać, żeby przestał konfabulować, jak potrącony przez pociąg... do whisky.

- Będzie cię stać na taki luksus jak Johna Lenona albo...? - Ku ogólnemu zaciekawieniu McCoy nagle urwał zdanie, bo roześmiał się w duszy: nie ma litości dla naiwnych! I roześmianym tonem dodał: - Albo Dustina Hoffmana, żeby zainteresowała się tobą skarbówka?

- Och, Tom, Tom, Tom, od razu skarbówka! Forsa, rzecz nabyta, przecież dobrze o tym wiesz. - Morkis grzebał już w barku - z lubością przesuwając butelki, w większości o maksymalnej pojemności - zbudowanym z matowo mlecznego, cienkiego szkła, gustownie wkomponowanego w niby popartowski wystrój jego niezbyt przestronnego gabinetu dyrektora Spółki Eksportowej, jak głosił mosiężny szyld umieszczony na drzwiach wejściowych. - Przede wszystkim liczy się szpanerski adres, jeśli wysoko się mierzy. - Gdybyś tylko znał prawdę, byłbyś ostrożniejszy z tymi pytaniami - nie przejdzie mi to przez gardło, pomyślał i nie zapominając o najgorszym wariancie prawdy, dorzucił: - Dzisiaj jeszcze niejedną raz cię zaskoczę, pacyfisto.

- Tylko nie pacyfisto, gdy robisz mnie w konia co do swoich aspiracji - zadał zaporowe pytanie McCoy - udając, że kpisz z siebie samego, dobra? - Mimo wszystko ta dyskusja podobała mu się coraz bardziej, skoro Peter coraz bardziej się wikłał w wyjaśnieniach, co groziło mu nawet nagłą dekapitacją ego, pod warunkiem, że zdarzy się ona

w najgorszym momencie, w samym środku rozwoju Gry. Morkis na moment odwrócił się prawie całą twarzą do McCoya z uśmiechem a'la Pan Żartowniś, choć oczy zaszyły mu mgiełką wzruszenia za sprawą wspomnienia Very, kiedy byli na wycieczce nad Niagarą w ramach podróży poślubnej.

- Co do robienia w konia, to kiedy ty w końcu dasz się zaobrączkować? - zmienił temat, po czym odkręcił zakrętkę red label i ze skrywanym zadowoleniem zajął się przyrządzaniem drinków, ponieważ będąc początkującym alkoholikiem (zaledwie cztery miesiące wcześniej uciekł z więzienia) szukał byle pretekstu do wypitki. - Nie ciągnie cię jeszcze ciepło rodzinnego domostwa? - dorzucił przez ramię. Wciąż uśmiechał się ekranowo, choć równocześnie mrużył oczy z powodu retencyjnej myśli o Verze, na której chciał się zemścić.

- Czy masz na myśli taki dom, w którym wierna żona haruje pod nieobecność męża, a zmęczony mąż wypoczywa w obecności czulej żony? - Na odczepnego porucznik uprosił zagadnienie do swojego kawalerskiego punktu widzenia, zwróciwszy na sekundę czujny wzrok na gospodarza. Teraz uczepli się mnie jak rzep psiego ogona, zachnął się w duchu. Przezornie uśmiechnął się jednak z myślącym innych pobłażaniem, no i napotkał ukradkowe spojrzenie Petera: „Czy ten kutas, Tom już boczy się na mnie?”

- Coś w tym rodzaju... jakby domek w Krainie Czarów. - Drugą połówkę zdania Morkis wymruczał półgębkiem, nie patrząc już na porucznika, gdyż z uwagą zaczął nalewać trunek do pierwszej kryształowej szklanki. - Przyznaj się, że nie możesz się opędzić od kandydatek.

(Na ulicy panował świąteczny spokój i porządek, który od razu znudził Aleksa, chociaż wydało mu się, że gdzieś tam tak ludzako podobnie skrzypnęły drzwi, jakby ktoś wszedł do jego domu. Ale to przecież było niemożliwe. Po prostu program Gry chciał go nastraszyć, żeby popełnił błąd i przerwał Grę w tym właśnie momencie. „Uciekaj, uciekaj, bo ktoś wszedł do dooomu!”)

- No wiesz... wydaje mi się, że jestem już na to za stary i za wygodny... żeby się aż opędząć. Znasz mnie przecież nie od dziś. Lecz ty wcale nie jesteś lepszy. Formalnie istniejesz teraz jako stary kawaler, zatem pomyśl najpierw o sobie. - Zdaniem Toma problem Petera polegał na tym, że ten lubił czepiać się ludzi, będąc jednocześnie - co zakrawało na okultyzm - zwolennikiem mnożenia w wyobraźni bytów równoległych wtedy, kiedy sobie podpiał. - Zwłaszcza że masz zajebisty wabik na kobiety.

- Chodzi ci o mojego prącia?

- Nie wyprzesz się, że ledwo mieści ci się w gaciach.

- W nim cały mój urok i szpan.
- Już pora się ustatkować. Nie uważasz?

Goście cały czas z zaciekawieniem rozglądali się po oryginalnie urządzonej wnętrze, moszcząc się w wygodnych skórzanych fotelach, których stało aż sześć wraz z trójmiejsową kanapą ustawioną wzdłuż czarnego, olbrzymiego biurka. Przy każdym siedzisku strażował okrągły stolik z blatem pokrytym czarną laką, bogato inkrustowaną macicą perłową. Te czarne meble stanowiły swoisty kontrast wobec na biało wytapetowanych dwóch ścian. Delikatna faktura tapety o roślinnym motywie prawie nie rzuciła się w oczy. Impresjonistyczne słońce wpadało bezpośrednio przez narożne wielkie okno do nagrzanego pokoju, rzucając połyskliwe blaski na czarnych i perłowych przedmiotach wypełniających scenę. To urokliwe światło wydawało się być czwartym wymiarem w wyrafinowanej architekturze całej kompozycji.

- Ja za chińskiego boga się nie nadaję do małżeństwa. - Morkis z wyższym przekonaniem zanegował pomysł McCoya. - Zbyt dużo kopcę i ponoć chrapię jak borsuk. No i nie wylewam za kołnierz. Która by ze mną wytrzymała? Rozwiódłaby się jeszcze przed upływem miodowego miesiąca, a takiej jak Vera już nie znajdę. Zresztą, po co mi to? *Czy mi źle? Czy mi źle? Czy mi lyso?* - zanucił sparafrazowane słowa starego szlagieru. - *Tak mi źle, tak mi źle, tak mi mysio...*

A oni wsłuchali się w tę prowokacyjną przyśpiewkę, czekając aż uleci przez uchylone okno, ale ona zamiast ulecieć, przecięła nagrzane powietrze i odbiła się od ścian echem, rezonując słabiutko w ich umysłach: *źle, źle, źle...* (*W pamięci eleatycznej Aleksa pojawił się symbol „oka mądrości”. To oko niczym wirus przejrzało jego umysł, docierając spojrzeniem do najskrytszych głębin, gdzie gniew przekraczał próg szalu i popychał go do mordu. Przejrzało jego umysł... a potem wgrzyzło się w niego: krrrach. Tak jak, dajmy na to, kobieta odgryza kęs nektarynki, uruchamiając sekwencję luźnych skojarzeń zakończonych integracją źródłową wobec pytania: Czy warto było kochać Rosemary tak, aż do bólu? W jego świadomości zaszemrał złowieszczy szept Rosemary: - „Tak wiele było między nami, a jeszcze tyle ma się zdarzyć”. Pomyślał: „Dobrze” - i pierwszy raz pchnął tę myśl przed siebie jako sperosugestię.)*

- W dodatku nie wytrzymałbym w wierności, bo chuć mnie po prostu rozsadza. - W słowach Morkisa dawało się wyczuć nadmierną chępliwość prowadzącą do utrzymania rozmowy na poziomie niefrasobliwej pogawędki. Jego mózg tymczasem pracował na najwyższych obrotach, by nie pogubić się w kamuflującej intonacji, mimice i gestykulacji. - Skok w bok to byłaby moja specjalność na starość.

- Ponoć w skoku w bok najlepszy jest rozbieg. - McCoy, przybrał maskę zaciekawienia przesadną frazeologią dyskusji. Jego sugestia miała za zadanie dać się wygadać Morkisowi.

- Ale właśnie na rozbiegu możesz wyłożyć się jak długi - wtrącił nieśmiało Mały Joe, by nie wyjść na zapyziałego mruka, zanim będzie taka potrzeba.

- Nie w moim przypadku. Lata praktyki czynią mistrza, zwłaszcza kiedy w kobiecie widzi się to, czego inni nie zauważają, bo... - Dalsze słowa uwięzły w gardle Morkisa - wiedział, że przedobrzył z tym mistrzem. Mimo woli uśmiechnął się, stawiając napełnione szklanki na stolikach gości. Taak, teraz nie pozostawił im już cienia wątpliwości: wszystko było Grą! Musi ich ograć albo polec. Ryzyko było warte wysokości nagrody - możliwości manipulowania człowiekiem nowym sposobem. Przede wszystkim musi uspić ich czujność dalszą niefrasobliwą rozmową, wówczas czynnik zaskoczenia in vitro spisze się najlepiej. Bowiem pokusa okrutnej jesieni średniowiecza była zbyt silna, by jej nie zastosować. Niech się zatem spełni.

- Ooo! Porcja niczego sobie, mistrzu - ucieszył się McCoy, kiwając głową do swoich myśli. Spozrzegł zawahanie Petera, jego minę, błysk w oku, mimo to spytał: - Dzisiaj masz supergest? Czy tak ci tylko wyszło? - Okrasił pytania szerokim uśmiechem i unióś szklanke do toastu.

- A jak sądzisz? - W badawczym spojrzeniu Morkisa kryła się cała odpowiedź.

- Już wiem! - domyślił się McCoy. - Chcesz, żebym cię dogonił jak najszybciej. No to lu!

Ukontentowany swoją tajemniczą wizją Przyszłości, Morkis przytaknął kiwnięciem głowy, choć to było oczywiste, i również z uśmiechem wznioś toast:

- Bęc w gardło za naszą wspólną Przyszłość przez duże „P”!

Wypili, ile kto chciał za tę Przyszłość wypić. I nie wiedzieć czemu już teraz nieśmiałe poczucie jedności, solidarności, aprobaty, jakich oczekuje się od prawdziwie bratniej duszy, wyrzały z ich oczu. Jakby, uwolniwszy się od dawnego ego, próbując dostrzec całokształt nowej sytuacji, już widzieli siebie w innej, głębszej perspektywie.

Zakreślonej cienką czarną linią pułapki.

- À propos picia, z czego łatwiej mógłbyś zrezygnować, Tom, z dobrej whisky czy z pięknych kobiet? - zagaił z innej beczki Morkis, wciąż nie przestając się uśmiechać i w tych uśmiechach rozeznawać. *(Alex także się uśmiechnął. Chciał wczuć się w rolę Morkisa, by różniczkowa wrażliwość programu Gry miała teraz z tym robotę, gdy on zadawał jej w duchu mylące pytanie: Czy „nikt” nie podejrzewa jeszcze, że korzystając z Internetu bierze udział w*

globalnym EKSPERYMENCIE? Potem pomyślał: „Rosja” i przesłał przed siebie tę akurat sperosugestię również po raz pierwszy z nowej serii.)

- To zależałoby od rocznika.

- I słusznie. Z kolei co do rocznika, to też znam jeden dowcip. - Morkis musiał okazać wyjątkowo dobry humor podczas tego spotkania, ponieważ było to częścią jego planu, a zaplanował wszystko dokładnie. Tak robią najlepsi. Dokładnie planują swoje operacje taktyczne. Więc siłą rzeczy skierował się w stronę drzwi wejściowych do gabinetu z sekretariatu - na strategiczną pozycję.

- Dowcip? - zżymał się McCoy. Nie był entuzjastą specyficznego poczucia humoru Petera. Ani jego somnambulicznej paranoi wodza z gier komputerowych. - Daj se siana z dowcipami. Lepiej powiedz, kto jeszcze ma tu wpaść? *(Tylko wydaje ci się, Alex, że „nikt” tego nie podejrzewa, iż bierze udział w EKSPERYMENCIE - Internet, bo ludzie są podejrzliwi i przeczuwają to podświadomie, ale zachowaj tę wiedzę dla siebie do czasu, aż uwierzą naprawdę. Czyż ten bogaty język narracji, lecz niedokładny, przeladowany i niewiele znaczący nie obezwładnia twojej skłonności do antyGry? Nie zauważyłeś, że kogoś naśladujesz?... Słuchając swoich „sugerowanych przez program Gry ” myśli, Alex poczuł się tak, jakby jednym okiem oglądał to, co w sensie ogólnym działo się na ekranie wizufonu, a dzięki psychoalbedo drugim wybiórczo wylapywał szczegóły, które pasowały do „podprogowo widzianych” sekwencji obrazów wnikających do jego mózgu. Muszę uciec z tego domu, pomyślał jakby od rzeczy, ale pewnie w wyniku podświadomego impulsu poprzedzania myśli „złych”. Muszę uciec, zanim ONI przyjdą po mnie!)*

- Posłuchajcie tego. - Niezrażony Morkis obrócił się do nich przodem, stojąc prawie przy samych drzwiach. - W biurze matrymonialnym klient zwraca się do pracownika: Proszę mi pokazać fotografie pań, które wnoszą do małżeństwa co najmniej milion dolarów”. - Morkis uśmiechnął się szerzej z ową wyższością sięgającą jego dwóch metrów wzrostu. - Urzędnik odpowiada: O, proszę pana, już od pół miliona wzwyż zdjęć nie pokazujemy.” - Dobre, co nie? - Roześmiał się krótko, lecz oni mu nie zawtórowali, więc natychmiast odchrząknął flegmę i przełknął ją teatralnie, czekając na jakąkolwiek ich reakcję.

- Czy to miała być dobra rada dla mnie? - McCoy nadal nie był w nastroju do żartowania. Wciąż bolał go ząb. Czekał, kiedy zadziała tabletką przeciwbólowa, którą połknął w samochodzie. Ręce wyciągnął nieco przed siebie na znak, że lepiej nie zapuszczać się dalej w ten temat.

- Bogaty ożenek, to tłusciutka emeryturka - mimo to zasugerował Morkis, i patrząc na Małego Joe - świeżo upieczonego męża, a nie na Toma, puścił mu oko. Wiedział, jak

oczarowywać ludzi. - Nieprawdaż, Joe?

- Nie martw się o mnie - odburknął McCoy z właściwym wyczuciem waloru słów, a Joe mu przytaknął - sam potrafię zadbać o swoją wygodną emeryturę.

- Nie irytuj się, Tom... Znasz moje motto: „Trzeba tak robić, żeby się nie narobić, a dobrze zarobić”. - Morkis, ze szklanką w ręku, z zagadkowym wyrazem twarzy, niecierpliwie wiercił się w pobliżu drzwi w oczekiwaniu następnych gości - warował w zasadzce.

- I co z tego motta wynika? Że jesteś nierobem? - wymknęło się McCoyowi. Pokręcił swoją dużą głową, jakby chciał cofnąć to pytanie, ale uświadomił sobie, że było już za późno po tym ostatnim słowie. Musiał więc coś jeszcze dodać, by zwieść Petera. - Że chcesz nas niecnie wykorzystać?

(Czy póki gram, jestem bezpieczny? Alex miał wielką ochotę podrapać się po głowie, ale musiałby w tym celu zdjąć hełm, więc wziął na przeczekanie, skoro bez hełmu nagłowie nie mógł grać. Po tym postanowieniu przystąpił do swoich zwykłych sztuczek myślowych. Taak? Może to głupota tak myśleć, lecz mam przekonanie, że zaburzenia obsesyjno-kompulsywne jeszcze mi nie grożą, a jestem coraz bliższy osiągnięcia celu. Nikt nie zgadnie, do czego dążyłem, kiedy pisałem Trylogię Tajemnic. Do zaspokojenia grafomanii? Do ostrzeżenia tych, którzy mi uwierzą? Do oszukania samego siebie, bo kiedy kłamstwo to za mało, wystarczy prawda? Spiesząc się dalej z tym monologiem, musiał kilka razy się powtarzać, zanim mu się udało ogłupić nawet samego siebie. W tym czasie nie usłyszał jednak żadnego głosu, ani matki, ani ojca, ani żadnego innego znanego mu podszeptu z podświadomości. Poczul ulgę. Zaczął szukać zupełnie innych głosów i myśli innych ludzi - znów bez rezultatu. Wtedy odprężył się i jak jeszcze nigdy dotąd głęboko zagłębił w swoim umyśle, by odnaleźć pozostałych Graczy i przeistoczyć się w sperostwórcę. No dalej, niemoto! Świeć jak niesamowity diament! Błyskaj niczym piorun kulisty! Oślepiaj wszystkich! Wal z grubej rury! I nagle człowiek zwany Aleksem Rifle'em przestał istnieć w dotychczasowej osobowości.)

Trafne pytanie. Morkis zastanowił się, co odpowiedzieć. Popatrzył na potężną, masywną, niewzruszoną postać McCoya i uśmiechnął się do niego porozumiewawczo; doceniał go za tę niewzruszoność, której mógł potrzebować wśród zamętu w tajemniczej Przyszłości. Odpowiedział wymijająco, że na wykorzystaniu pomysłów opiera się POSTĘP. A potem przez jakiś czas gawędzili przyjaźnie o pierdołach: o solariach, markach cygar, salonach odnowy biologicznej, a nawet o najlepszych miejscach do biegania na Manhattanie. Morkis wiedział, że tamci dwaj uważnie - choć jakby mimochodem - obserwują go, sprawdzając, jak gra. Zdawał sobie jasno sprawę z każdego swojego ruchu, pozy, wyrazu

twarzy. Silił się na pełną otwartość, a jednocześnie zastanawiał się, dlaczego oni zjawili się kwadrans przed umówionym czasem. Powinien był to przewidzieć, ale nie przewidział i o mało co nie doszło do dekonspiracji Parkera. Z czystej przyzwoitości należało to naprawić. Więc w odpowiedniej chwili rzucił jakby od niechcenia:

- Pewne rzeczy się zmieniają, a inne nie. - Ta sentencja dotyczyła ich sekretnych konszachtów. - Załatwiłeś już moją sprawę, Tom?

- Niestety jeszcze nie... - McCoy zwiesił smętnie głowę - lecz pamiętaj, że kto się brata z psami będzie mieć pchły. - Po chwili podniósł wzrok i patrząc spode łba na Morkisa dodał szczerze: - Już mi jest przykro, że przy każdym spotkaniu mam dla ciebie niepomysłne wieści.

- Nigdy nie wierzę nawet prognozie pogody ani łzom kobiety, ale... w ciebie wierzę. - Wyciągnawszy rękę ze szklanką w kierunku Toma gestem zachęcającym do wypicia za tę wiarę, Morkis kiwnął głową i dziabnął niemal. *(Czy moje wtrącanie się do Gry, ułatwia mi stawianie diagnozy jej możliwościom? - zastanowił się Alex. Spróbuję zagrać w ten sposób: kiedy ktoś tu powie słowo: „dość”, kliknę na ikonę „Alopatia”, bowiem nie potrafię wyobrazić sobie, co się pod tym tytułem może kryć. Alex wiedział przy tym, że kiedy w końcu zabraknie mu pomysłów, kiedy pojawi się pustka w umyśle, zacznie „psychicznie lewitować”, a nowe uczucia będą kierować go słuszną drogą. Wówczas wybawieniem mogłaby okazać się nawet dekonspiracja.)*

- Uparli się z tą wiarą we mnie... - westchnął McCoy. - Akurat teraz, kiedy wszystko wisi na włosku. - Łyknął, ile się dało na jeden raz, po czym ostrożnie zawirował resztką szkockiej w szklance z topniejącymi kostkami lodu, dorzucając z zadumą: - Kiedy tyle jak zawsze zależy tylko od jednego jebanego zbiegu okoliczności.

Joe Hoffman również się nie oszczędzał w popijaniu, skoro w gabinecie było raczej za gorąco. Dlatego też jego szklanka była prawie opróżniona, a wiedział, że whisky to pewny środek na szybkie polepszenie sobie nastroju, co było mu pilnie potrzebne. Biedny pijaczek z tego Petera, zreasumował swoje pierwsze wrażenie. Ale trzeba się pilnować, bo inaczej ani się człowiek obejrzy, a już zacznie każdego żałować i w końcu nie będzie komu w mordę dać.

- No, no, no... Przesadzasz chyba? - Uśmiechając się z pobłażaniem, Morkis w rzeczywistości radował się pierwszym „jebanym” zbiegiem okoliczności - burzą kłębiącą się na horyzoncie za oknem - który miał ich połączyć na dobre i złe jako jeden z wielu więzów. - Choć szczerze mówiąc, co za przyjemność użerać się z frycową frondą w magistracie?

- Ja nie rzucam słów na wiatr. Módl się lepiej, żebyś nie musiał pryskać z podwiniętym ogonem. - McCoy pociągnął kolejnego łyka. - Masz tam tylu wrogów, że... -

Machnął ręką ze współczuciem. - Uuuuuuu - U!

A wróg bardziej nadstawił ucha.

- Wolę mieć inteligentnych wrogów niż... głupich przyjaciół. - Morkis zastanowił się, czy i za to nie wypić. Umoczył wargi na wszelki wypadek: zbyt wiele kontrowersyjnych myśli przebiegało mu przez głowę. Myślał o swojej żonie, Verze, gdy razem kupowali ich pierwszy dom. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy z pośrednikiem oglądali dom z ich marzeń. Trzymali się za ręce obchodząc swoją przyszłą siedzibę. Co ich wtedy tak urzekło, że go kupili, choć nie było ich na niego stać? I dlaczego dzisiaj, w dwadzieścia lat później, zlecił Parkerowi zabójstwo Very? *(Och, Soniu, westchnął w duchu Alex, dlaczego mnie zdradziłaś? I to z kim? Z Brandonem!... Wydawało się to wręcz niemożliwe, a zdjął go nagły lęk życiowego zawodu, od którego zadrżały mu kolana. Tylko nie żałuj jej za bardzo, ostrzegł się w myślach. Nie żałuj za mocno, bo jej darujesz... życie. Pozostało wyczekiwanie. Nie wiedział na co. Może na dogodny moment, bo to zagadka całego losu człowieka. Mógłby szukać innego wyjścia lub poddać się chorobie i przestać łykać psychotropy dla odwrócenia stanu rzeczy. Wybrał jedno i drugie, ale nie chciał jedynie na tym poprzestać, skoro psychicznie już cienko prządl tę farsę.)*

- Do kogo pijesz, moczymordo? - ostro natarł na Morkisa, jakże celnie ugodzony McCoy. Zamiast zblednąć, spaśował. - Do mnie?

Mały Joe niespokojnie poruszył się na swoim fotelu, jakby to o niego chodziło. Widział, jak Tom zacisnął szczęki, a jego twarz przez moment wyrażała nienawiść. Tom to chyba jedyny człowiek, orzekł, który może nie cackać się w rozmowie z Peterem. Ale to pewnie się źle skończy.

(Czy to się źle skończy, jeśli Tajemnicę Internetu przesłania nanotechnika podprogowa? Pod wpływem tego pytania Alex kliknięciem ściągnął okno terminalowe, aby uruchomić traceroute, wiedząc, że czasami wystarczy tylko trochę zmienić punkt widzenia, choćby o nanometr, by ujrzeć coś znanego w nowym świetle wartości, nie uciekając w krytycyzm, a odwołując się na przykład do poczucia humoru. Znać ten dowcip? „Wydaje się nam, że czas nas odmienia, gdy czytamy jakąś kwestię, ale tak naprawdę wszystko zostaje po staremu, tyle że w nowej rzeczywistości - tak poucza Pająk.” Ze wszystkich codziennych zajęć Alex lubił tylko pisanie. To „coś” tkwiło w nim od początku procesu dojrzewania. I pozostało na dłuższą metę. Jednak cienie przeszłości wywoływały cichy lęk, że w końcu ONI odkryją jego obecność, drugą naturę i krzykną: Basta! Nie udawaj teraz durnia!)

- Na pewno nie do ciebie piję, amigo - zrejterował Morkis.

- Zawsze byłeś lojalny wobec mnie, lecz... to twoje załatwianie tak długo trwa. - Gdy

to powiedział, poczuł nagle, jak porwała go fala przyływu gniewnej euforii, której rzadko potrafił się oprzeć. O żeż ty pieprzony w dupę gline! Ja ci jeszcze pokażę, pomyślał. Zaciśnął zęby, nie zapominając o uśmiechu.

- Bo musi trwać. To nie jest jakiś mały pikuś, tylko poważna sprawa. Pracuję nad tym.

- Zapamiętała? Ja przecież nie...

Ktoś niezbyt głośno zastukał do drzwi w sekretariacie. Czasocholik McCoy zerknął na zegarek: 14.55. A Morkis dokończył:

- ...nie narzekam. - Po czym poprzez otwarte drzwi z gabinetu do sekretariatu huknął:

- Proszę wejść! - I ruszył na powitanie.

Do biura wdreptał niski, pulchny pięćdziesięciolatek, łysy jak kolano, wystrojony w granatową koszulkę polo z emblematem logo Shella na piersi i szare luźne spodnie. Niezdecydowanie przystanął przy zamkniętych przez siebie drzwiach. Można było otwierać te ważne drzwi, które łączyły przeszłość z teraźniejszością - Petera Morkisa z Herbiem Reaganem, Manny'ego Parkera z weteranem z Wietnamu, porucznika McCoya z bojownikiem IRA - a każdego, kto przekroczył ich próg łączyło pewne podskórne podobieństwo, spuścizna, której nie sposób się wyprzeć; tym, co ich upodobiało, było wewnątrz ich zdeprawowanych dusz, emanujące z twarzy.

- Ach, witaj, Alin, witaj! Jaki jesteś opalooony! - Uśmiechnięty gospodarz z wyciągniętymi rękoma zbliżył się do nowo przybyłego gościa. - Tak się cieszę, że jednak wpadłeś.

(Alex zauważył na obrazie podglądu ulicy, że tam zaczęło się coś dziać.

ROZPIERDUCHA.)

Dobrze, że wszystko idzie zgodnie z planem Gry, ucieszył się Lucas, słysząc w słuchawkach to powitalne zagajenie Morkisa. Raptownie zawrócił na chodniku, jak gdyby nagle coś ważnego sobie przypomniał, (zakładał, że jest obserwowany na monitorze przez ochroniarza Leroya, z którym przed chwilą kilka minut pogawędził), i pospieszył z powrotem do drzwi. Poczekał, aż Leroy ponownie otworzy mu rozsuwane odrzwia. Według planu musiał go teraz uprzedzić, że na spotkanie w biurze numer 1812, przybędzie dodatkowy gość. Potem skierował się w stronę wind. Przywołał środkową kabinę. Tę, którą Alin Mearns przed dwiema minutami wjechał na osiemnaste piętro. Podobnie jak przedtem Parkerowi, jemu również dobrze się przyjrzał przed wejściem Mearnsa do biurowca. Pakując się teraz do windy, działał według koncepcji Petera, która miała swój przedziwny sens i plan wykonania. To nie on nacisnął guzik z cyfrą 1, a potem 8, i sięgnął po coś do foliowej torby reklamowej Brooks Brothers. To Peter używał go jako... jako prześladowcy. Po części świat odbierany

przez jego umysł był już wielką komnatą krzywych luster, gdzie zbieżność „gołych” faktów - które znarkotyzowana pamięć mnożyła bez jego woli - przeczyła wszelkim metodom poznawczym, wprowadzając do umysłu demony wyobraźni: coraz większy zamęt, krzyki, jęki, wycia, rżenie i oszołomienie mieszaniną barw... Co to za fantasmagoria...? Ni to Chińczyk... ni to Rusek... ni Amerykaniec...?

Dlaczego tak groteskowo, a nie inaczej - bardziej brutalnie - toczy się ta Gra, przeskakując przy tym w tę i z powrotem między podwatkami jednego nurtu zdarzeń? - strapił się Alex. „Bo Pająk mówi, że karty tasujesz, jak ci pasuje?” Może nie wolno mi w ogóle mówić głośno do siebie? Ani myśleć wprost to, co naprawdę myślę, ponieważ nie każde kłamstwo jest owocem świadomej decyzji? Jeśli człowiek przekona samego siebie, że mówi prawdę, choć kłamie, może śpiewająco przejść test na wykrywaczu kłamstw. Jak Ted Bundy, ten seryjny morderca. Czy ONI już o mnie to wiedzą?

Obydwie rozchodzące się w przeciwnych kierunkach postacie: Lucasa i Parkera, obserwował czarnoskóry młodzieniec, ubrany w czarne dresy ze znakiem Nike na piersi. W leniwym rytmie wciąż rzucał w trotuar żółtą piłką tenisową.

Stuk... Stuk... Stuk... zbliżały się **Stukostrachy**.

- Nisko, nisko, nisko trzymaj ten drządek, człowieku! - podekscytował się najbardziej wpływowo Supergracz. - Departament Skarbu jest tam, a nie tu!

Kiedy tylko Lucas z powrotem zniknął w biurowcu, dresiarz schował piłkę do kieszeni, wypluł gumę do żucia i, zanim doleciała do chodnika, zaczął więziennym sposobem pisać do kogoś za pomocą dłoni: „teraz zaczynamy”. Zajęło mu to niespełna dziewięć sekund.

Zegar odliczania je odcykał.

Pstryk! I nastąpiła kolejna zmiana podwátku. Alex zaniepokoił się tym, że program Gry gra pod niego, nawet kiedy z jakiegoś powodu nagle zmienia epizody, ale trzyma je w jednym nurcie powiązanych ze sobą zdarzeń. Serce mu mocniej zabiło. Wiedza to władza, mawiał zawsze magik Nikołaj. Dlaczego właśnie o nim teraz pomyślał? Był skonsternowany i tracił koncentrację, mimo to zanurzył się głęboko w sobie, pielęgnując gniew na NICH. Wyobraził sobie kamień wielkości piłki do baseballa - kamień o spiczastych, ostrych krawędziach, które mogły ranić ludzkie ciało. Potem skupił wzrok ponad ramieniem Parkera na piersi piszącego dłońmi czarnoskórego dresiarza i zebrał moc myśli, by nim cisnąć sugerując to programowi Gry - lecz w jego umyśle pojawiło się coś nowego. Otworzyła się w nim czarna dziura, która zaczęła wsysać jego nową moc. Na próżno usiłował utrzymać gniew - dziura wciągała go w niepamięć. Potem zaś przyszedł ból zawodu, który szybko minął, gdy poczucie własnego, nowego „ja” Aleksa zaczęło znikać. Tracił świadomość tak, jakby

zapadał się w ruchomych piaskach. Próbował łapacza mialkie krawędzie czarnej dziury, jednak nie znalazł nic, czego mógłby się uchwycić, i zapadał się coraz głębiej, aż w końcu zniknął mentalnie po raz drugi.

...Jako że każdy z nas codziennie wymyśla sobie na nowo niczym nieświadomy tego artysta, to wszystko robi się dzisiaj jakby zabawne. Śmiesznym wydał się Parkerowi czarnoskóry dryblas w czarnych dresach, kryjący się za filarem i za pomocą dłoni piszący więziennym sposobem do dwóch Afroamerykanów siedzących w żółtym kabriolecie bmw, zaparkowanym w zatoczce około czterdzieści metrów przed Parkerem... (*Ten czarny nie wie - w głowie Parkera pojawiły się myśli Aleksa Rifle'a w kolejnym wcieleniu. Nie wie, że jest martwy duchowo. I nigdy się nie dowie. Jest duchem człowieczeństwa. Takie duchy nie wiedzą, że jako ludzie już nie żyją. Błąkają się w tej nieświadomości do końca Życia. Dlatego tyle ich pałęta się po ulicach, szukając zakończenia swoich historii. Duchy te są wytworem MEDIÓW. To jeden z ICH nowszych i sprytniejszych wynalazków; ma zaledwie kilka lat, a już jest wszechobecny. Zbłąkana dusza nigdy już nie zdoła wyrwać się ze szponów tej ulomności - A TY?*) Przechodząc przez jezdnię i kawałek chodnikiem, Parker minął dwanaście innych duchów. Był wśród nich transwestyta, stara kobieta we wnętrzu przejeżdżającego samochodu, włóczęga nietrzeźwy nawet po „śmierci duchowej”, latynoski nastolatek, który „zmarł” przed tygodniem na zapalenie opon mózgowych. „Zmarli” ci - jak też inni im podobni - stanowili część tłumu, który mijął go na ulicy. Od minuty Parker potrafił ich odróżnić od żywych, ale Lucas jeszcze nie, bo był naćpany. Ale miasto, które widzieli, było miastem z ich wspólnych doświadczeń medialnych.

... Przez cały ten krótki czas, odkąd rozstał się z Peterem - dziesięć minut? - Parker był w absurdalny sposób zadowolony z siebie... Tyle że teraz miał jeszcze „coś” ważnego do zrobienia na polecenie Petera. Rozumiał więc doskonale, że od czasu do czasu istnieje potrzeba, (a skorzystał przed chwilą z toalety na parterze), aby kogoś powstrzymać nawet wbrew jego woli - uratować przed Dobrem(?)... czy może Złem(?)...

A że w tej chwili nie miał na myśli akurat siebie, było to nierozsądne, jak by nie patrzeć...

...I był to kolejny sygnał ostrzegawczy, że Zło gdzieś tu zaczęło się na niego...

Pojawił się, przeniknął przez niego i uniósł się - zignorowany? - w powietrze. Parker powinien go rozpoznać konsekwentniej, przygotować się odpowiednio, zaniepokoić swoim bajkowym zadowoleniem. Chociaż nie ma przecież nic złego w czerpaniu przyjemności z marzeń o przejściu na emeryturę... Ostatni racjonalny głos zdrowego rozsądku w jego głowie poddał się. „Zabezpiecz się przed doznaniem zawodu!” - krzyknął tylko, widząc, jak...

...z żółtego kabrioletu bmw wysiadł czarnoskóry pasażer wystrojony w czarny dres i ruszył szarym chodnikiem wprost na nadchodzącego Parkera, pstrykając głośno palcami każdej dłoni na przemian, jakby do rytmu swoich kocich kroków. W gruncie rzeczy Parker spodziewał się mniej więcej czegoś takiego w tej sytuacji: upłynęło bowiem za dużo czasu relaksu i zadowolenia z Życia - aż dziesięć minut! - by nawet nowicjusz zorientował się, że Los już coś knuje, żeby pokrzyżować życiowe plany Parkera. Kiedy zbliżali się do siebie nieuchronnie, choć nieco rozbieżnymi kursami, Parker nie spuszczał czarnego z oka, rejestrując, że zaczął podchodzić wręcz na palcach.

Wróg!

Był naprawdę szybki. Trzy metry przed Parkerem w jednej sekundzie przyspieszył, lekko podskoczył wyprowadzając jednocześnie z biodra kopnięcie prawą stopą w krocze Parkera i zręcznie odskoczył do tyłu. A wszystko to, zanim Parker zdążył wyrzucić jakiegokolwiek słowo - przekleństwo? - z ust. Nie doceniał tego ciosu, dopóki go nie poczuł... boleśnie. Może spodziewał się, że rozminą się bezpiecznie, a te jego śmieszne podrygi skończą się jakimś okrzykiem i gestem na postrach, dla żartu albo, że sobie o czymś pogadają. Zwłaszcza że budując z uśmiechem specyficzny klimat tej, jakby nie patrzeć, sympatycznej Gry, napastnik zapytał:

- I jak, boli, frajerze?

Krocze Parkera wypełniał tępy, obezwładniający ból, którego promienie przeszywały pachwinę niczym mroźna zorza polarna. Zaraz też pojawiły się nudności, nasilające się z każdą chwilą. Mimo to cios wydał się Parkerowi nie na tyle silny, na ile było stać takiego osiłka. Zupełnie jakby nieprzyjaciel powstrzymał się przed zadaniem rozstrzygającego uderzenia. Słabość ciała nakazywała Parkerowi poddać się mdłościom i wymiotować. Zamiast tego z wściekłością powiedział w duchu: Po moim trupie! Ja, to nie jakiś nędzny frajer!

Z zaciśniętymi zębami przyjął postawę do natarcia na przeciwnika, widząc, jak w jego oczach pojawiło się zdumienie graniczące z podziwem. Jednakowoż błyskawicznie - jakby automatycznie - dresiarz ponowił atak, postawą wyjściową wskazując, że szykuje się do takiego samego kopnięcia jak poprzednio: z biodra, ale w stronę twarzy. Parker odgadł to w porę, więc się cofnął o krok unikając uderzenia i na ciągu wstecznym zrobił zwód głową (swoją ulubioną zwód: w lewo - w dół - w prawo, w przód), po czym na sprzężeniu zwrotnym wychylił się ku nieprzyjacielowi i rąbnął go mocarnym lewym prostym, który przełamał za niską i spóźnioną gardę, trafiając w nos, odrzucając patałacha do tyłu, zaskoczonego do kwadratu. Aby nie dać mu ani chwili wytchnienia, Parker postąpił za nim.

Nie był wściekły, to za mało powiedziane - ogarnęła go zimna furia wynikająca paradoksalnie z rzadkich przypadków udziału w takich potyczkach. Czy nagle zapragnął udowodnić sobie, że wciąż jest tak skutecznym zabijaką jak kiedyś? Wystarczyłby już sam ból i wstyd, że dał się tak łatwo zaskoczyć, ale myślał też o Peterze i jego Spółce, o całej reszcie przyszłych współników: Co ta niespodziewana bijatyka ma z tym wszystkim wspólnego?... No i znajdował w tej utarczce ową dziką radość, która w głowie zaczęła zaćmiewać już przedtem wszystko inne. Miał gdzieś, czy nieprzyjaciół jakimś cudem wyprawi go na tamten świat. Może udałoby mu się zabrać go ze sobą...

Tymczasem... za plecami dresiarza pojawił się ów tajemniczy ślepiec o imieniu John; oczami nieruchomo wbitymi w nicość widział wszystko: całą tę maskaradę z rosyjskiego piekła rodem; drobnymi, usztywnionymi kroczkami nadchodził niczym zjawą z innego wszechświata. Z kurczowo przyciśniętą do piersi lewą pięścią, w której coś ścisnął, i prawą ręką wymachującą długą białą laską, często gęsto postukującą w trotuar, wyglądał niegroźnie, ale to była tylko jego maska. Aleją sunęły nieliczne samochody, spacerowali sporadyczni przechodnie, kręciło się kilkoro dzieci i pies, a cały ten niemrawy ruch wydawał się niesamowicie spowolniony wobec ekspresyjnego pojedynku tamtych dwóch, walki, która trwała dopiero piętnaście sekund.

...Jednak w ślepcu już odezwał się wrodzony instynkt wojownika, właściwy tylko niektórym mężczyznom: rozpoczął się w nim ów mobilizujący proces, nieodłącznie związany z wszelką fizycznej natury rywalizacją. Uczucie takiego napięcia ogarnia dobrego zawodnika przed meczem. Albo boksera przed walką. Albo pianistę przed recitalem. Zawsze zresztą, gdy idzie o „wielką” stawkę, a stawka - nawet „mała” - dla tych wybranych z reguły bywa ogromna. Wtedy wszystkie zmysły zwierają się i sprężają w czysty koncentrat - bojową esencję. Uczucie to jest do pewnego momentu więcej niż niemiłe (nie mylmy go, broń Boże, z tremą), lecz wywołane nim w końcu podniecenie ożywia tak, że zapomina się o nieprzyjemnym wrażeniu początkowego lęku przed porażką czy klęską. Z czasem u wielu działa jak narkotyk, chyba że ktoś ma stalową wolę i potrafi nawet beztrąsko przy tym zagwizdać sensowną melodię. W tym momencie właśnie, ślepiec nie zamieniłby już tej chwili na żadną inną. Lada moment miał komuś uratować Życie. NIC ŁATWIEJSZEGO DLA JOHNA! Z tą nadzieją, która mamiła duszę jak sztuczna zaćma na jego oczach wspólnej ŚWIADOMOŚCI, donośnie zagwizdał złowieszczy motyw przewodni z Misji Niemożliwej, zbliżając się do walczących kroczek po kroczeniu.

W sekundzie, kiedy Parker zawiesił wzrok na ślepcu, czarnoskóry przeciwnik znów zaatakował. Dla odwrócenia uwagi szybko kopiąc z lewej nogi, następnie z prawej w okolice

goleni Parkera, by podciąć mu nogi lub je osłabić, zamierzał spowodować tym samym odruchowe odsłonięcie głowy na dwa natychmiastowe ciosy pięściami w twarz. Ale Parker, znając się na tym sposobie prowadzenia walki wręcz, usztywnił kolana napinając mięśnie nóg w momencie zainkasowania dolnych kopnięć, po czym przedramionami sparował górne ciosy i momentalnie wyprowadził krótki lewy prosty z doskokiem, tak perfekcyjnie błyskawiczny i celnie uplasowany, że i tym razem trafił w nos. Nieprzyjaciel zaskoczony do szczęścia chyba postanowił zmienić taktykę.

Wyglądało na to, że chce poczekać na atak Parkera i samemu umiejętnie go skontrolować, bo kiedy „twardziel” zrobił prowokujący krok do przodu z opuszczoną do połowy piersi gardą i niezwłocznie odskoczył do tyłu, Parker był tego pewny.

I od razu zaszarżował, bowiem wokół nich ludzie zaczęli się zatrzymywać i przyglądać. Tamten zrećnie ustępował pola, wodząc unikami to w lewo, to w prawo, licząc na błąd Parkera. Nos miał obolały (choć adrenalina niweluje taki ból) i pewnie nabrzmiął krwią po tych dwóch trafieniach, więc warto byłoby trafić go po raz trzeci. Ale, co najważniejsze, Parker skonstatował, że choć przeciwnik był pioruńsko szybki, jego wszystkim uderzeniom rękoma i kopnięciom brakowało siły charakteru, siły ducha walki. Charakterystycznie brakowało im przekonania zabójcy, że powinien zabijać, owej „mocy zabijania”, jak gdyby, w przeciwieństwie do Parkera, czarny nie miał już serca do prawdziwej walki - traktując ją jak trening? - po tym pierwszym, nieskutecznym kopnięciu w przyrodzenie Parkera. Który teraz drapieżnie się uśmiechając wycedził zjadliwie:

- Za cienki jesteś na mnie, chłoptasiu.

W rewanżu „czarna pantera” zaczęła demonstrować wyprowadzenia przeróżnych ciosów i uderzeń powstrzymujących ewentualny ciąg dalszy szarży Parkera, pokrzykując przy tym „Uuuha!” lub „Iiha!” tak jak uczą tego w szkołkach karate na przedmieściach. Lecz Parker nie tracił już słów na próżny komentarz: milczenie może być równie groźne jak głośne grożenie. Tym bardziej że z karate jest jak ze wszystkim - musisz być w tym dobry, naprawdę dobry, jeśli chcesz być śmiertelnie skuteczny. Właśnie dlatego Parker wołał walkę na pięści, w jego wieku to raczej konieczność: była dla niego teraz czymś naturalniejszym, chociaż o swoich umiejętnościach karateki nie zapominał nigdy. Poza tym „karateka” nie był aż tak dobry, jak mu się zdawało. Tylko na tyle, by móc terroryzować jakiegoś podległego mu młodocianego przestępcę, i to wszystko.

Jednakże Parker nie przewidział jednego.

Ślepiec przystanął o jakieś dziesięć metrów za czarnym zawodnikiem. W przerwach między akordami pogwizdywanej przez siebie melodii motywu przewodniego z Misji

Niemożliwej nasłuchiwał czujnie, jak to ślepiec: jakby utkwiał niechcący w stanie delikatnej równowagi - pomiędzy superwiedzą a niewiedzą - przyciskając do piersi ręce złożone jak do modlitwy. Biała długa laska sterczała z jego groteskowej postaci jak wędka z niewidzialną żyłką zanurzoną w chodniku. Był nabuzowany ich potyczką jak typowy Gracz, obstawiający wysoko wygraną swojego faworyta. Zdawało się, że w uśmiechu, którym ich bez przerwy obdarzał, kryła się jakaś tajemnica - pełna bezbrzeżnej wyższości wiedza wspólnej ŚWIADOMOŚCI ślepych-ślepych ludzi. Najwyraźniej przyszedł tu po to, by kogoś uratować, i nie wątpił, że tak się stanie.

No i jak to w operze mydlanej zwykle bywa, nagle Parker odniósł wrażenie pozytywne, że ma do czynienia z dobrze zaprogramowanym i dobrze symulującym robotem, który udaje ślepego człowieka! Ale na więcej spostrzeżeń nie miał czasu, gdyż napastnik właśnie usiłował trafić go w twarz śmiałym i ryzykownym kopnięciem z wysokości. Ale był to jego błąd. Pewnie liczył na to, że Parker się zagapił na ślepego albo na coś innego, bo wyglądał na nieprzygotowanego na zaskakujący atak. W każdym razie Parker zasłonił się lewym przedramieniem i kontrując oplótł palcami nogę w kostce przeciwnika, po czym szarpnięciem oderwał go od ziemi. Tamten lądował plecami w dół, podpierając się rękami amortyzująco, a już podczas spadania półobrotem uwolnił nogę z uchwytu Parkera. I zaraz po zetknięciu się z chodnikiem wstał płynnym ruchem sportowca ćwiczącego jakieś akrobacje. Na co Parker znowu się uśmiechnął pełną satysfakcją gębą: „Nie podoba się coś?”

- Inwencja nade wszystko! - wykrzyknął ślepiec z jakiegoś powodu i pogwizdywał dalej.

Dlaczego łańcuch przyczynowo-skutkowy tak trudno czasem rozszyfrować? - stropił się Parker pod wpływem okrzyku ślepego.

Czarny z punktu wznowił atak z miną desperata - jak gdyby czas jego występu miał się ku końcowi albo jakby zrobiło mu się trochę wstyd, że tak niewiele zdziałał. Z jego ruchów wynikało, że chce wyprowadzić kolejne kopnięcie w twarz, ale nadzwyczajnie skuteczne, bo wpięrk zamarkowane półkopem tak, aby Parker się cofnął o krok w obronnej postawie, którą poprawka markującego kopnięcia miała ominąć łukiem w dół i w lewo ku podbródkowi. Jednakże Parker miał już dość tej „skakaniny” - dążąc do zwarecia, gdzie mógłby zadać serię miażdżących ciosów. Zamiast cofnąć się o krok w uniku przed kopnięciem markującym, wyszedł mu naprzeciw, przyjmując go z premedytacją na policzek (nie okazało się to zbyt nierozsądne), który uległ tylko chwilowemu paraliżowi (nie mógł się już tak głupio uśmiechać), gdy przeniósł cały ciężar ciała na prawą nogę i zrobił wymach do lewego sierpowego - niecelnego. Niestety, dresiarz wycofując się wystrzelił jeszcze jednym

szybkim kopniakiem z lewej nogi, czubkiem buta trafiając w jądra Parkera - najwyraźniej uznał, że skoro udało się już raz, może jajca to była słaba strona białasa.

- Nie dać się ponieść emocjom! - znowu wyskandował ślepiec i powrócił do gwizdania.

Ból, który eksplodował w jego cojones, nie zdążył pohamować ciosów zadawanych nieprzyjacielowi w zwarciu, kiedy Parker zaprawił go w splot słoneczny jednym z lewych sierpowych, co kompletnie pozbawiło młodego bandziora tchu, po czym poprawił kolejnym prawym hakiem w jego lewą skroń tak silnie, jak mocno potrafił w tym zaciekłym momencie uderzyć. Trafiony przeciwnik poleciał w bok chwiejąc się jak zamroczony. Ostatecznie Parker ważył ponad sto dziesięć stalowych kilogramów, co samo przez się dawało mu ciężką siłę uderzenia. W konsekwencji nie zważając na ból w pachwinie podążył za wrogiem. Z doskoku rąbnął go w szczękę lewym hakiem z całą mocą, jaka w nim została, nieco przyduszona bólem w kroczu. Miał zamiar kontynuować młóckę do skutku, ale znokautowany agresor słańiał się już na nogach, jakby był całkiem załatwiony i to Parkera powstrzymało. Zwłaszcza że z ust pokonanego wydobywały się jakieś zagadkowe westchnięcia czy jęki, które brzmiały jakoś tak: „**Taa eem niie caa...**”

- Boże wszechmogący - wymamrotał ślepiec, jak gdyby zszokowało to, co usłyszał i sobie wyobraził na dodatek. Stał zaledwie o trzy metry za zataczającym się Afroamerykaninem, wzruszając ramionami jakby rozmyślnie przeinaczał sens tych sylab, które jeszcze dodawał tamten. Na tym etapie Gry ślepiec był już gotów na wszystko. Z odchyłoną do tyłu głową i napiętą szyją przez dłuższą chwilę mierzył także Parkera „ślepy” wzrokiem. Skupiony w czujnym nasłuchu rozchylił usta, które stały się ciemną dziurą. Białka oczu wydawały się nienaturalnie wielkie. Zdawało się, że oczodoły przybrały kształt prostokątów okularowych. - To tak się dzisiaj rzeczy mają - podsumował sytuację, kładąc nacisk na ostatnim słowie, kiedy przegrany w końcu ucichł.

Ślepiec był człowiekiem w średnim wieku, dość wysokim, szczupłym, lekko przygarbionym i długowłosym. Ubrany w stary, brudny płaszcz uszyty z wełnianego materiału, utkanego w jasnoszaro-brązową jodełkę - wyglądał w taki upał, jak przebiegłe zakamufLOWany strach na ludzi złych z jakiejś skomplikowanej gry komputerowej. I o to mu szło. Choć na razie nie uśmiechało mu się dopuszczać nikogo do swoich tajemnic, wiedział jednak, że i tak prędzej czy później zostaną ujawnione lub odkryte... bo po to przecież istnieją wszelkie tajemnice wspólnej ŚWIADOMOŚCI.

Natomiast Parker podejrzewał z jednej strony, że pokonany napastnik w zamroczeniu zaczął go nieporadnie czy niezbornie przeklinać, ale z drugiej strony mógł chcieć mu

przekazać coś istotnego - jakieś ostrzeżenie lub wskazówkę na przykład. Albo... jedynie udawał tak przebiegle, by go nagle zaskoczyć skuteczniej niż do tej pory. Z trzeciej zaś strony: bandzior i ślepiec mogli być w zмовie, zważywszy na wszystkie okoliczności tej potyczki. W każdym razie ból w podbrzuszu zmusił Parkera do opuszczenia pięści. Nie było sensu łamać czarnemu szczęki ot tak, dla zabawy. Zamiast tego, na wszelki wypadek, zadał mu nagły podwójny cios kantami dłoni po obu stronach szyi. Drań klapnął na chodnik jak sflaczała kukła. Parker zaś, wróciwszy do swojej starej skóry zwykłego obywatela, ruszył poprzez tłumek zbiegowiska, oblizując krew z obtartych kłykci i z powodu bólu jąder telepiąc się jak wielka kaczka.

Tylko ślepiec ani drgnął. Zewnętrznie był spokojny jak posąg, jakkolwiek ogarnęła go już taka pasja czynu, taka chęć profanacji bohaterstwa, że aż się przestraszył, iż coś niespodziewanego wejdzie mu w paradę i w następnej chwili zniweczy szansę na jego udział w Grze. To się źle skończy, pomyślał, po prostu dlatego, że taka jest istota wszelkich ludzkich poczynań: nigdy nie ma w nich Dobra bez Zła. Ani chybi umyślnie czytelnik-gracz miał błędzić w domysłach, żeby zrozumieć, jak złożone są stosunki międzyludzkie w tej Grze, i jak obłędnie trudno będzie je rozwikłać. Trawestujące powiązania nigdy nie są proste, głównie dlatego, że wszyscy kłamią, choć trochę, ale zawsze, byle wybielić czarne domysły.

W „ciszy”, która już była nie do zniesienia, chociaż dopiero się wytwarzała w jego głowie: znikające echo potyczki, przebrzmiewające w nim tajemnicze sylaby i jego własne słowa utworzyły „coś”, po co sięgnął w swoim niezgłębionym umyśle, jednak „to” umknęło przed nim do podświadomości. W tym momencie po raz pierwszy w Życiu odczuł sperogrozę tego wirtualnego świata, który go otaczał. Nie myślał nigdy, że taki może wydawać się świat, i to było jak olśnienie: Jeśli to nie jest najlepszy ze światów, gdzie istniejemy przecież, to gdzie znaleźć można lepszy? Wymagało to głębszego zastanowienia w odpowiednim nastroju, więc znów donośnie zagwizdał złowróżbny motyw przewodni z Misji Niemożliwej i podążył za człowiekiem, który wygrał pierwsze starcie, człowiekiem o wielkich, rybich oczach.

W międzyczasie Morkis uściskał Alina Mearnsa prawie „na niedźwiedzia”, po czym przeszli do gabinetu, gdzie gospodarz zaczął prezentację nowego gościa od wiele znaczącego chrząknięcia.

- Przedstawiam wam Alina Mearnsa, profesora od wszystkiego. Natura wyposażyła go w naprawdę fenomenalną pamięć, tylko jeszcze jej właściwie nie wykorzystał. - Wskazał palcem. - To jest Tom McCoy, porucznik policji i zarazem mój kuzyn, a jego przyjaciel, Joe Hoffman, jest patologiem policyjnym. - Powiedział to wszystko, jakby zapowiadał z estrady.

Tom i Joe wstali z foteli. Szybko potrząsnęli pulchną dłonią przybysza, uśmiechając się do niego tak, jak gdyby był to pewien kredyt zaufania, ponieważ tego wymagała Gra Morkisa.

- Rzeczywiście ma pan ponadnormatywnej wielkości mózgowiczkę - stwierdził Hoffman ze szczerym podziwem w głosie. Biorąc pod uwagę urozmaiconą mimikę Mearnsa zastanawiał się nad jego podatnością na hipnozę.

- Nie ma nad czym się rozwodzić, jeśli chodzi o moją zdolność zapamiętywania. To nic nadzwyczajnego. - Przeszczepiając z nogi na nogę, zdeprymowany świadomością, że ma do czynienia z policjantami, Alin Mearns lustrował ich z mimowolną antypatią. Będąc z natury nieufny, małomówny i podejrzliwy - był strasznym pechowcem. Najstraszniejsze było w nim to, że wcale o tym nie wiedział.

Aż prosilo się, żeby teraz odmienić Grę kliknięciem, popchnąć w całkiem nieprawdopodobnym kierunku: cyberiady? Ale Alex się zawahał - tak trudno wybrać w ciemno. Myśleć o ciemności i świetle w kategorii ciemności rzeczywistej przeszłości, będącej cieniem nieznannej przyszłości faktycznej i świetle przeszłości wirtualnej. Rzeczywista przeszłość jest krucha i coraz mroczniejsza w naszym umyśle, bo zaciera się i popada w niepamięć, coraz trudniejszy staje się do niej dostęp i rekonstrukcja. Natomiast przeszłość wirtualna coraz bardziej się rozjaśnia, dzięki plastyczności i łatwości w kształtowaniu w mediach, i w naszej wyobraźni, coraz trudniej ją obejść - obnażyć jako fałszerstwo, zdemaskować jako Grę. I nie mogę nic na to poradzić, pomyślał z przykrością, że targają mną wątpliwości, która przeszłość jest właściwa z punktu widzenia prawidłowego rozwoju ludzkości. A do tego to, że terażniejszość Gry zmusza swą wirtualną przeszłość, żeby działała na jej korzyść, nadawała wiarygodność jej przekazom podprogowym i uprawomocniała narzuconą wolę działania pod ich wpływem, powodując, iż każde moje terażniejsze kliknięcie, choć rzeczywiste, prowadzi do wirtualnej przyszłości Gry, którą można sobie wyobrażać wcześniej, lecz pewnie nie taką, jaka po kliknięciu pojawia się na ekranie wizufonu. Przyszłość faktyczna czekająca w mglistej dali na mnie (i wszystkich ludzi), jest więc zależna od wirtualnej rzeczywistości... GRY, od jej wpływu na moje postępowanie. Podobnie jest z oddziaływaniem Internetu: przeważnie każde kliknięcie myszą jest jak rzut kostką Losu - decyduje o wszystkim, czego NIE dostrzegamy na ekranie monitora, a co celowo nakierowane podprogowo wnika do naszej podświadomości, kształtując świadomość (manipulując nią?). Dlatego się waham... Jeśli nie kliknę, nic się nie zmieni, oprócz tego, że zmieni się wszystko.

- Głosuje pan za demokratami czy za repub...? - McCoy nie dokończył pytania, ponieważ Morkis beczelnie mu przerwał:

- No co ty, Tom? Przyszedłeś tu agitować za Clintonem? Nie za wcześnie? Jeszcze się nie znacie...

- Nie o głosowanie mi chodzi, tylko lubię wiedzieć, z kim rozmawiam - nieomal odwarknął, nieco urażony policjant. Każdy ma swój sposób, żeby przejść do rzeczy, dopowiedział sobie w duchu. Zwłaszcza wobec podejrzanego typka. Zwłaszcza kiedy myślisz, Peter, że prawdziwe Życie toczy się gdzie indziej i że nie kopnie cię zaraz w dupę. - Musimy się lepiej poznać, zanim przejdziemy do rzeczy ważnych. - „Więc przejdź do tych rzeczy zaraz, Tom - znów wtrącił się demon podświadomości - wahanie zabiło najwięcej gliniarzy”.

- Za demokratami - bez wahania przyznał się Mearns i spuścił oczy na puszysty perski dywan w czarno-białe wzory, wodząc po nim, jakby się nimi zachwycił - bo przyszły prezydent Clinton to demokrat i będzie walczyć z Kongresem, w którym większość mają republikanie, a walka samotnego szeryfa z bandą zbirów zawsze podobała się Amerykanom, dlatego ma bardzo dobre notowania u większości społeczeństwa... i u mnie również.

- Zawsze jest pan taki otwarty i szczerzy? - Mimo bólu zęba, McCoy skupił uwagę, udając zainteresowanie dalszym dialogiem z przybyszem, choć przede wszystkim starał się przypomnieć sobie, gdzie już widział tego łysola.

- Tylko wobec tych, którzy są wystarczająco naiwni, by takim mnie widzieć. - Mearns na sekundę podniósł spłoszony wzrok z dywanu na policjanta - bo za dużo wyaplał - ich spojrzenia skrzyżowały się jak szpady.

Jemu nie można zbyt ufać, skonstatował porucznik, jest taki ścichapek. Musiał zatem być czujny, żeby odpowiedni temat - test na zaufanie - sam spontanicznie wypłynął. A jeśli już nadarzy się okazja, należy zweryfikować pierwszą ocenę i posunąć się dalej w Grze Petera.

*(Alex zauważył trik Sperogry: ikona „Transformacja” zaczęła intrygująco pulsować. „Ale ci się trafi kasek, macho. Tak kusił Pająk.” Lecz Alex nie kliknął na nią. To, co nieoczekiwane, zawsze jest gorsze od tego, czego się spodziewamy, przypomniał sobie chińskie porzekadło. Wolał zatem nie ryzykować teraz, bo tak jak ze wszystkim w życiu: im bardziej się czegoś pragnie, na przykład wygranej, tym z reguły odleglejsze się to staje. Umysł zamurzony w Grze, podświadomość w antyGrze - oto obecna rzeczywistość Aleksa Rifle'a, faceta z zaburzeniami osobowości. Z ego zapaćkanym plamami surrealistycznych fantazji... gdzie nagle uderzył grom olśnienia: Już wiem, od czego zacząć pisanie Szczęśliwego Dnia!, faktycznie, ale w strefę buforową podświadomości Aleksa - obszar **TRANSGENEZY TAJEMNICZOŚCI**, a nie w jego świadomość.)*

Morkis wskazał nowemu gościowi fotel i zaproponował whisky z lodem, usiłując ocenić, co było prawdą, a co faktycznie przesadą w politycznej deklaracji Alina Mearnsa, wobec którego miał najkonkretniejsze plany. To oznaczało, że musiał przewidzieć nieprzewidziane konsekwencje ewentualnej klapy całego projektu, a myślał przedtem, że z przyjściem gości poczuje bluesa natchnienia, ale nie. Więc...

Zaraz po obsłużeniu Alina Morkis chciał wznieść toast, by Alin poczuł się zaakceptowany w tym towarzystwie, lecz kolejne pukanie do drzwi wejściowych sekretariatu temu zapobiegło.

- Proszę wejść! - krzyknął, spoglądając w ślad za swoim okrzykiem. Mógł nie krzyzczeć wcale, skoro biuro było niezamknięte na fest, przybywający goście na pewno i tak by weszli do środka, ale on grał teraz rolę ich lidera, gospodarza, który wszystkim dyrygował według swojego planu - tak przecież robią tylko najlepsi hochsztaplerzy.

W drzwiach ukazał się trzydziestolatek średniego wzrostu, z plerezą jasnobrązowych włosów, uczesanych tak starannie, jakby wyszedł prosto od fryzjera. Rozchmurzył się wyraźnie, ujrawszy Morkisa ruszającego w jego kierunku, i wmaszerował do sekretariatu różnym krokiem. Towarzyszył mu wysoki, ciemny blondyn o bujnych, kręconych kędziorach i dziwnej twarzy: pokrytej drobnymi bliznami. Z nadąsaną miną na ustach wyglądał w sumie antypatycznie.

- Witajże, witaj, Robercie! I ty także, George! - Morkis uczepił się swojej ulubionej formułki powitalnej, nie chcąc nikogo faworyzować czy dystansować innym przywitaniem.

Kiedy wstawali z foteli, Joe nie mógł się powstrzymać od uśmiešku posłanego Tomowi, coraz bardziej cynicznego: „Przedstawienie zapowiada się nader interesująco”.

Ujmując pod ręce nowych gości, gospodarz wprowadził ich w głąb gabinetu, gdzie rozpoczął prezentację:

- Panowie, przedstawiam wam wielce utalentowanego w omijaniu wymogów prawa adwokata Roberta Donaldsona, mojego obrońcę sprzed lat. - Lewą ręką wskazał niższego mężczyznę. - Skończył Harvard. Rocznik osiemdziesiąty czwarty. - Obrócił się nieco w prawo. - A to: lekko świrnięty informatyk-programista, George Downs. - Popatrzył na wprost. - Za to z tej strony Tom McCoy - porucznik policji, obok niego Joe Hoffman - policyjny patolog, no i tu: Alin Mearns, czyli moi protegowani. - W George'u cała moja świrnięta nadzieja, dodał w myślach, w jego geniuszu programisty i chęci do współpracy dla dobra ludzkości.

Po zakończeniu przywitania uściskiem dłoni z już obecnymi, George zaczepił Morkisa z lekko złośliwym akcentem w głosie:

- Spodziewasz się jeszcze kogoś? - Udał czymś zmartwionego.

- A bo co? Nie pasuje ci coś? Brakuje jeszcze dwóch osób i będziemy w komplecie. Usiądź na kanapie. - Morkis z rozmysłem odgryzł się ostrym tonem, ponieważ chciał pokazać od samego początku, że nie pozwoli nikomu w swoją kaszę dmuchać. Może także dlatego to robił, że znów powróciło do niego owo niepokojące uczucie, iż lada chwila wydarzy się coś niesamowicie groźnego.

Stuk... Stuk... Stuk... stukwały mu w głowie **Stukostrachy**.

- Nie pochwalam barbarzyństwa, ale na kogo jeszcze czekamy? - zniecierpliwiał się najstarszy z Supergraczy. - Na prezydenta? Żeby powiesić go na HAKU?

- Bo tu jest za gorąco na przydługie debaty tak wielu osób. Mogłeś włączyć klimę, skoro zaprosiłeś aż tylu gości - eksplikował ironicznym tonem George Downs, zajmując miejsce na kanapie wskazane mu przez gospodarza. Był z siebie zadowolony. Czuł, że po mistrzowsku rozegrał swoje wejście na scenę, sugerujące ze stonowanym wyrafinowaniem i perfidią zamysłu rodzący się konflikt z gospodarzem spotkania. Genialne posunięcie z tą klimatyzacją. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że są w tajnej zmowie. Ponieważ gracko rozegrał to tak - no bo przecież udało mu się zwieść wszystkich - jak gdyby zrobił Morkisowi wielką łaskawość, że w ogóle tu przyszedł. I w pewnym sensie tak było, właśnie tak, w pewnym sensie, przecież chce, żeby tamten też mógł dobrze grać.

- Co dla ciebie dla ochłody, Robercie? - Morkis jednak zrobił unik towarzyski, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę Georg'a, skoro Robert już dawno przestrzegał go przed wrednym charakterem informatyka. Kilka tygodni niedawno wspólnie spędzonych w klinice operacji plastycznych doktora Carlowa nie zbliżyło go z George'em - jedyni zawarli tajne przymierze. Klimatyzacji nie włączał, bowiem bardzo lubił ciepło. Znał sposób, żeby zapanować nad George'em. Znał sposób, żeby zapanować nad każdym z nich. Trzeba tylko uważać za każdym razem. Ale człowieka męczy to ciągle uważanie... żeby za dużo nie wypić.

(PEPSI!... - to słowo nagle pojawiło się w umyśle Aleksa. Czy to jest aż tak proste w działaniu? Osmoza przekazu podprogowo-werbalnego wywołała we mnie poczucie silnego łaknienia smaku pepsi - reakcję na słowa: „nie wypić” i na niewidzialny dla świadomości przekaz jej logo firmowego? Ale ja wolę ginger-ale! Nie jest takie słodkie i lepiej mi smakuje! Zupełnie zniecka, naszło go też, żeby zamknąć oczy i strzelić palcami prawej dłoni. Zrobił to tak, że nie doleciał do niego ten dźwięk, gdyż hełm wizuafonu był dość dźwiękochłonny, ale poczuł - z przyjemnością! - jak środkowy palec uderzył w nasadę kciuka. Potem potarł dłonią o poręcz fotela - wyczuł ciepło i tarcie - i zabębnił w nią palcami. Znów tego nie usłyszał, lecz dotyk mówił mu wyraźnie: twoja skóra postukała w drewno. Poczul to tak, jakby było ostatnią

rozkoszą w jego życiu. Ostatnią? Dlaczego... Gra sugeruje takie zwyczajne doznania akurat w tym momencie? Otworzył oczy, by uchwycić choćby cień grozy na ekranie wizuafonu, ponieważ wiedział jedno: Coś się z nim działo. Coś się zmieniało w nim pod wpływem Gry. Chwilami trochę się tego bał, przeważnie jednak czuł się niesamowicie: rozkojarzony, roztargniony, rozanielony. Dziwne jak cholera, choć tego się spodziewał, a przecież miał nic nie zauważyć.)

Spojrzeni na siebie ponownie, Morkis wyczuwał w George'u silne opanowywanie emocji - George jakby siedział w klatce z cienkiego stalowego drutu, która więziła jego uczucia - uśmiechając się nieznacznie odpowiedział Morkisowi spojrzeniem pełnym niechęci, wręcz wrogości, a wszyscy to widzieli. Spryciarz z tego George'a!

- A czym dysponujesz w tym pięknym dniu - odparł pogodnym głosem Donaldson, pragnąc rozładować zbyt napiętą atmosferę za pomocą własnej promieniującej pogody ducha - gdy mądrzy ludzie powiadają, że tajemnica długiego i szczęśliwego Życia tkwi przede wszystkim w zamiłowaniu do umiarkowanego picia?

- Najlepiej nadaje się na ten upał szkocka z lodem - zasugerował równie miłym głosem Morkis. Gra na śmierć i życie wciągała go coraz bardziej. Poprzez żarcik Roberta poczuł się jednak obnażony z tą kryształową szklanką w dłoni. Odstawił ją czym prędzej. Wszyscy mu się przyglądali świdrującymi oczami. Był inny(?) - to wyczytał w ich oczach. Tyle, ile dziś już wypił, obnażyło go zupełnie - ale jego nałóg był co najmniej kontrowersyjny, bowiem kto w Ameryce nie popija sobie drinka przy lada okazji?... Jakby słyszał, co się dzieje w ich głowach, jak skubią go bezgłośnie niby pasikoniki lub mrówki. Zaczął się tym niepokoić, obawiać nie odwetu Losu, bo choć to bardzo dziwne, że dotąd wszystko szło jak po maśle, nagle zaczął prosić Los, prosić, żeby znalazł się ktoś, kto napadnie na niego tak jak George Downs albo jeszcze gorzej, i dzięki temu rozerwie grubą błonę zakłamania, w której czuł się uwięziony. Wtedy i tylko wtedy byłby w stanie zrzucić ją i uwolniony, rozładować w sobie napięcie obłudy i fałszu, które pewnie w nim wyczuwali.

Niestety, widząc ich ironiczne spojrzenia, uświadomił sobie także pewną straszną rzecz - takim samym wzrokiem patrzeli na niego współwięźniowie po tym, kiedy im powiedział, że wkrótce zostanie milionerem, bo zaczął grać w Grę na śmierć i życie... Gra. Przecież tamci tylko nie rozumieli, że Życie to Gra, w tym szkopuł. Bo to jedynie Gra, właśnie Gra. Dlaczego ci tutaj też nie patrzą na to, tak jak on? Dlaczego nie mogli dostrzec, że Życie to Gra...? Ech, właściwie to nie to słowo, więcej szczerości - dlaczego nie chcieli tego dostrzec?... Chyba że...? Tak! Chyba że już podświadomie spiskowali! Po prostu coś knuli! Czyżby nie dając sobie żadnych widocznych dla niego znaków, podświadomie

sprzymierzyli się przeciwko niemu od samego początku Gry?... Czyżby ich obce dla siebie, bystre umysły przekazywały sobie dyskretne wiadomości - sygnały, których on po piątej czy szóstej szklance bourbona nie potrafił przechwycić?... Ileż to razy widział już, jak takie czujne twarze zamykały się przed nim w podobny sposób? Choć zdarzało się to ostatnio tylko o wiele częściej, wmówił sobie teraz, że było tak zawsze, bez wyjątków... Spokojnie, tylko spokojnie, niebawem się spełni.

- No to poproszę mało szkockiej, a dużo lodu. W taką gorączkę i po południu, jeden głębszy, to wszystko, na co można sobie pozwolić i potem usiąść za kółko. - Najbardziej uderzył adwokata nowy wyraz twarzy Morkisa. Malował się na niej nagle osiągnięty spokój. Nie pogoda ducha - Donaldson nie sądził, żeby Morkis mógł osiągnąć pogodę ducha w tak niepewnej sytuacji - ale spokój człowieka, który właśnie odkrył, że jeśli choć chwilę zaczeka, otrzyma to, czego pragnie. W zaskakujący sposób różnił się od tego człowieka, który zaledwie przed trzema minutami wylewnie witał ich przy wrotach do Przyszłości. - Mam rację? - Popatrzył na policjanta, jakby ten najlepiej o tym wiedział.

- Peter zapewniał, że dzisiaj będzie za co wypić, lecz on potrafi przesadzać. - Porucznik musiał się tak usprawiedliwić, jako że jego szklanka była już pusta. Czekał. Nie mógł doczekać się dolewki, choćby tylko jako uśmierzacza bólu zęba. A dręczył go też inny ból, w młodości zaznał bowiem wiele cierpienia. Kiedy poznaje się coś gruntownie, na przykład ból, poznaje się tym samym jego granice, barwę i odmiany. Mając doświadczenie - i odwagę - można się poddać bólowi i wówczas nie jest on taki straszny, wprowadzie czasem wzbiera, ale daje się jeszcze kontrolować. I czasem nawet dobrze to robi na lateralizację. Jednakże ten dzisiejszy ból raka u McCoya był gorszy od poprzednich. Był mistą duchowego przeobrażenia, nie pozostawiając co do tego złudzenia ani wątpliwości.

- Przekonacie się, że... - zaczął Morkis czując, jak mu się przejaśnia w głowie, jak traci wątek i werwę: trzeźwieje.

- Że dla mnie zimne piwo - wciął mu się w zdanie George, planowo - jawnie i bez osłonek - dyskredytując liderowanie gospodarza.

- ...że miałem rację z tym wypiciem - dokończył Morkis, bynajmniej nie zrażony, tylko jakże spragniony kolejnego wzmacniającego drinka.

Na zewnątrz wreszcie... wreszcie zerwał się długo wyczekiwany wiaterek przed burzą. Z ostrzegawczym szumem wpadając do gabinetu, sprawił, że niejednen z zebranych zaczął przewartościowywać swoje sądy na temat nie tylko pogody. Ale że na razie w przyciemnianych oknach wciąż błyszczało upalne słońce, atmosfera wewnątrz powoli nabierała rumieńców i wszyscy uzmysławiali sobie - poniekąd półświadomie wspominając

własne narzekania na codzienny mozół i domową szarżyznę - że rzeczy przyjmują tu koherentny obrót.

Po przyrządzeniu dwóch drinków gospodarz otworzył puszkę heinekena wyjętą z lodówki, by przelać ją do wysokiej i pękatej szklancy - czuł się bliski objawienia, które odkryłoby tajemnicę jego tęsknoty za odmianą Życia.

- George, z pianką czy bez? - spytał, ukradkiem wrzucając małą tabletkę do jego szklancy.

- A potrafisz bez?

- Już się robi.

Wzywani kolejno goście podchodzili do niego i odbierali swoje napoje, by powrócić na miejsca z nową ochotą do Życia trzymaną w dłoni (Tom McCoy podszedł jako ostatni po swoją dolewkę). W ten sposób od samego początku Peter Morkis uczył ich respektu wobec siebie.

Dopiero zerknięcie na zegarek wytrąciło go z równowagi: 15.01.

- No nie! To szczyt wszystkiego, żeby się spóźnić w takim dniu! - poskarżył się jak dzieciak, takiego zgrywusa właśnie teraz grał.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na kawalarza i wtedy coś się stało: czarny motyl usiadł na prawym ramieniu Morkisa, zmieniając tok myśli nie tylko jego; zmieniając układ całego uniwersum kosmosu w zjawisku zwanym efektem motyla, z czego mało kto mógł zdawać sobie sprawę - wszystko wszak jest ze sobą połączone i wzajemnie zależne. Nie wolno mi nigdy powiedzieć im, pomyślał, co naprawdę zamierzam. Nigdy w Życiu. Potem już by mi nie zaufali.

Taki moment najlepiej nadaje się do eksperymentowania, zdecydował w końcu Alex, ponieważ każdy ma w głowie coś w rodzaju spychacza wątpliwości, który można uruchomić w chwilach wielkiego stresu czy małej rozterki i zepchnąć do głębokich rowów wykopanych na dnie świadomości wszystko, co jest ich przyczyną. Pozbyć się tego szajsu. Zakopać. Tyle tylko, że te rowy sięgają do podświadomości i czasem wygrzebane stamtąd koszmary mogą ożyć i zacząć straszyć na jawie Gry. Dlatego tak długo się wahał, którą opcję dalszej „zabawy” wybrać? Sugerując się brakiem opisu ikony czy jego misternie skonstruowanym kłamstwem?

Wiem, że nie wiedzieć jest niebezpiecznie, skonstatował. Coś mówiło mu, że jedyną osobą, która stała na drodze jego wyboru, był on sam. Jego próżność, ambicje, nieostrożność, chwile wściekłości i zazdrości. Obsesja nieufności. Ataki fugi. Czy dzisiejszy dzień należy do tych, które całkowicie odmieniają życie? Czy jest zaledwie pretekstem, żeby sobie pograć... w Zakłamanie. Czy rodzina jest dla mnie ważniejsza niż prawda? Mówiłem już, że TAK! Nie

mogę jednak za długo ukrywać, że coś ze mną jest niedobrze, skoro już widziałem nie to, co działo się na ekranie wizuafonu, tylko: jak mój syn został wepchnięty do nieoznakowanego minivana zaparkowanego po drugiej stronie dzielnicowego boiska do bejsbolu. Nawet z takiej odległości go rozpoznałem. Tłukł w tylną szybę rękoma, ale wóz już się oddalał i zniknął w ruchu ulicznym nowojorskiego mrowiska. Podbiegłem do naszej superterenówki, wskoczyłem do środka, walnąłem dłonią w konsolę. Clark błysnął do mnie diabelskim uśmieszkiem spod wąsa, gdy ruszyliśmy z piskiem opon i warkotem silnika. Już po chwili dogoniliśmy minivana, jadąc na skróty. Wycelowałem swój laserowy pistolet w tylne opony, ale gangsteroporywacz strzelił pierwszy przez boczne okno, i tak dalej... Jeśli ONI się o tych superwizjach dowiedzą, nic mnie uratuje przed karą. Ktoś tak nawiedzany nie powinien testować tej Sperogry... A może właśnie dlatego zostałem do tego wybrany? Ale dopóki tego nie wiem, muszę pokombinować, jak się z tej kabały wydostać.

KLIK...

FAZA DRUGA: 222

Bardzo dobrze. To spóźnienie ostatnich gości jest przecież przewidzianą przeze mnie częścią Gry, uspokajał siebie Lucas, słysząc w uchu niekłamana irytację Morkisa. Lucas czekał w środkowej windzie na osiemnastym piętrze na dalszy rozwój wypadków, blokując niedomkniętymi drzwiami możliwość przywołania jej na parter przez spodziewanych gości. Poprzedni goście wsiedli do innej kabiny. Zanurzony częścią świadomości w narkotycznym transie, rozbujany, rozszumiany, wprost nie mógł doczekać się tego, co zaplanował. Przy czym przeczuwał komplikacje, których nie umiał przewidzieć. A już wokół wszystkiego niepojętego, co obecnie widział - i słyszał - tworzyły się różnokolorowe aury zapachowe, które budziły u niego tak kontrastowe emocje, że musiało to zwiastować jedynie kłopoty: od kloacznego fetoru transhomoseksualizmu po niebiańską woń zbrodni doskonałej... we własnym wykonaniu.

Brandzlujący się nad pornoświerszczykiem, bliski orgazmu ochroniarz Martin nie zauważył, że na ekranie jednego z czterdziestu monitorów (każdy obsługiwał stały podgląd z czterech kamer systemu bezpieczeństwa - na tyle okien podzielony był pojedynczy ekran) ukazał się ktoś nowy. Był to nadprogramowy uczestnik spotkania w biurze numer 1812, wcześniej zapowiedziany przez Lucasa ochroniarzowi obsługującemu drzwi wejściowe do

biurowca. Delikwent zmierzał do wind stąpając miękko jak kot na poduszczykach stóp albo tak, jak bardzo dobrze wyszkolony adept wschodnich sztuk walki.

W tym czasie Manny Parker przechodził przez jezdnię Siódmej Alei po pasach. Kryształowo błękitne niebo błyszczało nad jej kanionem. Morska bryza przyniosła chłodniejsze powietrze znad oceanu, gdzie kłębił się coraz bliższy front letniej burzy. Słońce zaszło za drapaczami chmur na południowym zachodzie wytwarzając nagle uliczny cień pod nieboskłonem promenady poniżej pierwszego piętra. Dookoła Parkera nadal panowała tu swoiście świąteczna „cisza” zawierająca między innymi cichutki szum przejeżdżających pojazdów i odległy wizg helikoptera.

Parker miał zaraz skręcić w Pięćdziesiątą Drugą Ulicę, prowadzącą do pobliskiego wjazdu w podziemny parking innego biurowca, do którego zmierzał. Z wyczuciem profesjonalisty zauważył, że trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce, by się na kogoś zasadzić i dać mu w kość, kiedy o trzydzieści metrów przed nim z podcienia bramy wjazdowej tego podziemnego parkingu wyszło trzech czarnoskórych ludków wystrojonych w czarne dresy. O kurna blaszka! Ja ich wyczarowałem, czy samo tak wyszło? Wychynęli nagle jak duchy na zacienioną ulicę - jakby wszystko było przygotowane przez jakiegoś dowcipnego reżysera - i tworząc rozwartą szereg, zajmujący prawie całą szerokość chodnika, skierowali się wprost na Parkera...

...Wiedziałem! - zdenerwował się na widok ich bojowego nastawienia. Wiedziałem, że tak będzie! Że coś pójdzie nie tak... gładko jak w bajce. Od samego początku (zaczęło się przed drzwiami z numerem 1812 - biurem Petera) coś było nie tak! Do tego, gdy obejrzał się przez ramię, by skontrolować tyły, ujrzał gmatwaninę szczegółów i detali tworzących Siódmą Aleję, ciągnącą się hen aż do skrzyżowania z ulicą Canal i skręciwszy w nią, podążył w wyobraźni dalej do filarów wjazdu na most Manhattan, a tam ogarnął go innego rodzaju niepokój. Była to kraina, którą znał niezbyt dobrze, skrywająca niebezpieczeństwa, jakich pewnie nie zdoła do końca przewidzieć. Czyhały pośród nich diabły i demony nie lepsze od niego samego, uformowane ze zbrodni, nędzy oraz przebiegłości, które mogły teraz podstępnie zająć go od tyłu...

...Ale po chwili przestał się ich tak bardzo obawiać, ponieważ wszystko metamorficznie wchłonął w jedną sekundę, najwyżej dwie, i przeanalizował - zorientował się w najbliższych zagrożeniach, zrozumiał ich naturę i wymyślił, jak sobie z nimi poradzi - po czym wyrównał krok. Albowiem wiedział także od prawie zawsze, że... pewnego pięknego dnia, gdzieś tam, czy choćby tu i teraz Życie zechce wykręcić mu śmiertelny numer. Po tej konkluzji poczuł od razu, jak rozpiera go wrodzony duch walki - drugi raz w ciągu kilkunastu

minut ktoś dybał na niego! Dziwne? Raczej tajemnicze! W głębi przełyku zaczęła go „radośnie” drapać Tajemniczość przeznaczenia. Zawsze dzwoniło mu wtedy alarmująco w uszach, zawsze wysuwał prowokująco szczękę i rozchylał usta w drapieżnym półuśmiechu. Nic na to nie mógł poradzić. Zawsze robił to odruchowo, tak jak i teraz.

Naturalnie, w każdej chwili mógł się odwrócić i pobiec w przeciwną stronę, pozwalając się gonić. Mógł też paść na kolana i błagać, żeby go nie bili. Możliwe oczywiście, że wcale nie zasadzili się na niego. Nie wierzył w to jednak. Prawdopodobnie wywnioskował to z faktu, że nie rozmawiali ze sobą i że ponurym wzrokiem gapili się na niego spode łba; poza tym takie rzeczy - zagrożenie - wyczuwa się szóstym zmysłem. Oblizął wargi - odruchem warunkowym? - i uśmiechnął do nich w jeszcze szerszym uśmiechu rekina ludojada, odważnie idąc im naprzeciw. Tym bardziej odważnie, że w tle za jego plecami rozległo się wprawdzie niezbyt głośne, ale jakby do taktu pogwizdywanej całej czas melodii z *Misji Niemożliwej*, postukiwanie laski niewidomego człowieka, który zbliżał się - nieświadomie? - do areny kolejnego starcia.

Ślepiec był raczej więcej niż kontent. I nie było w nim ani krztyny strachu, że da ciała w decydującym momencie. To można było zauważyć po nim ze znacznej odległości, gdy widać po nim było również niepodważalną kontrgrozę bijącą z całej jego wirtualnie nadwymiarowej sylwetki „duszy miasta”. Dasz się zabić, ofiario Losu, pomyślał z radosną nadzieją, a ja, John Voight, pomszczę cię z przyjemnością! Pomyślał też, że znalazł na to właściwą metodę, bo wreszcie to „coś” zaświtało mu znowu w głowie. Sięgnął po nie, wyciągnął i okazało się, że był to domysł, iż ma tu do czynienia z celowym działaniem nieprzyjaciela. Po prostu takie napaści w biały dzień nie zdarzały się przypadkowo dwa razy pod rząd w ciągu kilku minut. Tym bardziej że za pierwszym razem można było frajera zwyczajnie zastrzelić albo pod groźbą pistoletu zrobić z nim co tylko dusza zapragnie. Był tego tak pewny, że zdecydował się oprzeć na tym swoje dalsze poczynania... psychotechniczne.

Kiedy Parker był już od tamtych trzech czarnych o jakieś pięć, sześć kroków, dwaj po bokach skoczyli w jego stronę, aby zająć go z flanki, a ten w środku stawki przyczał się do ataku frontального. Jednakże Parker umiał sobie radzić w takich sytuacjach. Wystartował z kopyta wprost na tego przed sobą. Tym sposobem dwaj na skrzydłach zostali kilka kroków za nim. To trochę zaskoczyło środkowego picwaśa, który starał się zadać pierwszy przyspieszony cios. Parker, rzecz jasna, nie dał mu absolutnie takiej szansy. Lewą ręką zablokował początek jego uderzenia, będąc cały czas w natarciu, a prawą chwycił go z przodu za koszulę, przyciągnął gwałtownie do siebie i strzelił z byka. W ułamku sekundy mignęła mu

jego zdziwiona czarna twarz, nim zderzyło się z nią czoło Parkera. Usłyszał katastrofalny trzask łamanej kości nosowej: wiedział z doświadczenia, że ten palant ma już dosyć walki na dzisiaj. Dla pewności uderzył go kolaniem w krocze i podciął mu nogi kopem w kostki.

Pozostali dwaj musieli w międzyczasie przyspieszyć swoje ataki, widząc, co się stało. Parker próbował przeskoczyć nad leżącym, by odwrócić się do nich twarzą, i na wszelki wypadek nie chcąc go mieć za plecami. A także, żeby zyskać nieco więcej miejsca do walki, lecz nie starczyło mu czasu, gdyż jeden z nich zdążył od tyłu opasać jego ramiona, trochę go obracając do kumpla, który zaczął walić w mordę i w brzuch Parkera jak w bęben. Na dodatek ten obalony gramolił się pod jego nogami, pragnąc zejść im wszystkim z drogi w odruchu paniki, co groziło Parkerowi upadkiem.

W tak krytycznej sytuacji człowiek walczący ma wrażenie, że trwa to zbyt długo - nieskończenie za długo, kiedy obrywa się baty, kiedy się przegrywa. Ale to nie do końca prawda. Dwa, cztery, sześć, osiem ciosów. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wiele silnych ciosów można przyjąć, gdy umie się je przyjmować. Zwłaszcza gdy przez cały czas inkasowania poruszasz się i możesz amortyzować dłońmi niektóre uderzenia. Obaj czarni byli młodzi, co za tym idzie niedostatecznie doświadczeni w tak specyficznej sytuacji, kiedy wykonuje się zadanie specjalne. Ten z przodu: żyłasty i muskularny, wyglądał przy tym na zawziętego ćpuna o ograniczonej kondycji fizycznej. Jego ciosy słabły z każdym uderzeniem. I w pewnym stopniu pomogły Parkerowi oswobodzić się na tyle - choć zawdzięczał to głównie swojej końskiej sile perszerona - by obrócić się wreszcie o ćwierć okręgu i lewym łokciem zdzielić tego z tyłu w gardło, co odrzuciło go o kilka stóp. Temu z przodu wystawił pięści pod nos, zmieniając nagle cały układ sił na korzystniejszy dla siebie.

A wszystko to - cała ta zaplanowana i nieco humorystycznie wykonywana konfrontacja - przebiegało w ekscytującym rytmie melodii wydobywającej się spod smyczków i klawiszy wciąż pogwizdywanego przez ślepego motywu przewodniego z *Misji Niemożliwej*. Właściwie nikt z nich nie miał nic przeciwko temu dynamicznemu pogwizdywaniu, ale jeszcze to złowróżbne przesłanie wspólnej ŚWIADOMOŚCI do nich nie docierało. **Śmierć kroczy moim śladem!** Tymczasem...

Ćpun rzucił się z serią krótkich ciosów na Parkera, a ten zamiast zastosować uniki wobec tych uderzeń, wyszedł im naprzeciw, stosując jeszcze szybsze sparowanie niż poprzednio, po to, by w końcu złapać za obie ręce poniżej nadgarstków przeciwnika - co tamtego niezmiernie zdziwiło - i rozwierając je błyskawicznie na boki przyciągnął go do siebie (oczywiście wbrew jego woli), po czym kontynuując ten ruch siłą ciągu do przodu wyrzwał go czołem w głębę. Tym razem nie wycelował tak precyzyjnie jak poprzednio w jego

kolesia, bo trafił go gdzieś pomiędzy nosem a zębami. Wystarczyło to jednak, żeby oszołomić typa i wymierzyć mu kolaniem celny i silny cios w podbrzusze, po którym ten z jękiem osunął się na kolana. Te pozbawione finezyjnego kunsztu podstawowe ciosy szybkiej walki wręcz Parker zastosował pod wpływem tego, co umożliwiali mu nieostrożni nieprzyjaciele, z pewnością zaślepieni swoją liczebną przewagą i jego nobliwym wyglądem starszego barczystego jegomościa, który się komuś naraził. Ale... to jeszcze nie był koniec utarczki.

Ten z tyłu, obdarzony tylko jednym ciosem, zdążył już przyjść do siebie. Parker stawiał mu czoło: wymienili kilka mało zamasztych haków i sierpowych, zakończonych zwycięstwem Parkera, który posłał przeciwnika „na deski” z racji znacznej przewagi umiejętności i siły bicia. Pozostał jeszcze ćpun, na wpół załatwiony, który klęczał na jednym kolanie, kiedy Parker się do niego obrócił. W dłoni dresiarza błysnęło ostrze sprężynowego noża. Parker był zdumiony, dlaczego to nie spluwa. I kojarząc to zagrożenie ze swoim nożem sprężynowym, który zawsze nosił przy sobie, nagłym energicznym kopnięciem wytrącił sprężynowca z czarnej ręki z konkluzją, że czarni uwzięli się na niego z powodu zlecenia, które zrealizował ostatnio w Atlancie.

Wówczas - Życie jest dobre, pomyślał Parker - ich wszystkich przeniknęło to uparcie pogwizdywane przesłanie *Nieosiągalnego*. Napastnicy i ich ofiara zmierzli ślepcą spojrzeniami pełnymi zaintrygowania: co oznacza ta ekscytująca melodia? Skąd to falowanie empatii, które czują w sobie? Skąd to wrażenie, że Życie to bał nad bale, gdy... **Śmierć kroczy moim śladem?**

Przez cały ten krótki okres walki nie padło ani jedno słowo czy zdanie-sztych, teraz zaś aż się prosiło, żeby skomentować ją jakimś dowcipem, żartem czy kpina, którą Parker mógłby ostatecznie przechylić szalę starcia na swoją stronę w sposób nieodwołalny. Z malwersującym wszelki opór zacięciem nałogowego Gracza powiedział:

- Bijatyka to tylko taka mała Gra... chłopcy, która jednemu odbierze szczęście, drugiemu da.

Na to ćpun przeklął go w ulicznym slangu, po czym razem z koleżkami zaczął się wycofywać w stronę, z której przyszli. Pogwizdywanie ślepcą cichło w miarę, jak tamci się oddalali. Parker stał lekko dysząc i patrzył za nimi: wracali, skąd wyszli, do wnętrza podziemnego parkingu. Potem zlustrował ślepcę z dość bliska, by spróbować odgadnąć, co może oznaczać jego obecność w tym miejscu akurat w takiej nieprawdopodobnej chwili Życia Manny'ego Parkera. Ponieważ już nie gwizdał, tylko ślepił się na niego tymi niesamowitymi, wywróconymi na lewą stronę oczami niewidomego człowieka, Parker chciał mu powiedzieć coś stosownego do tej całej tajemniczej sytuacji, która do czegoś zmierzała,

ale... zdobył się jedynie na mało subtelne, wręcz stereotypowe nieznaczne machnięcie ręką.

Czy był to tylko cwany manewr Losu, czy wyłącznie zwykły zbieg okoliczności, trudno mu było orzec, kiedy ślepiec w odpowiedzi uśmiechnął się, wykrzywiając usta tak, jakby był nieco skonfundowany tym, że go widział i podziwiał, a teraz boi się pochwalić głośno za waleczne czyny, bo to by go zdradziło.

Widać było, ile może mieć lat: około pięćdziesiątki - nawet mimo zimowego stroju w lecie - nie mógł mieć więcej, choć uśmiech tworzył worki pod jego odstręczającymi oczami i przy spojeniach szczęk, a Parker nie mógł z ręką na sercu nazwać tego przyjaznym uśmiechem. O jego wieku mówiły długie przetłuszczone szpakowate włosy, nie golony od kilku dni siwawy zarost oraz wielka hipisowska pacyfa wisząca na rzemieniu na jego piersi - symbol młodości sprzed trzydziestu lat. Zatem...

Rozprostowując i zginając gwałtownie puchnące i otarte do krwi kłykcie, Parker ostentacyjnie wzruszył ramionami: ostatecznie, to już nie jego sprawa, co tu robi jakiś dziwolągowaty ślepiec-woodlack w takiej niewyobrażalnej chwili Gry. Prawdopodobnie był zamieszany w coś grubszego, co działo się dookoła - w **ICH** spisek?

Z tego powodu Parker musiał się roześmiać jak pomyłony, bo wszystkie lata zbrodniczej działalności wytrenowały go prawidłowo: przecież nawet jeszcze nie zaczął naprawdę dobrze się bawić. Miał nadzieję, że Peter Morkis pomyślał o wszystkim, skoro wyglądało na to, że czyjaś niecna intryga w całej tej większej GRZE, mocno się skomplikowała.

- Ha, ha, ha! - roześmiał się tak głośno, aż poczuł, że znów jest niezrównany, niezniszczalny, choć nieco poturbowany, lecz nie do złamania - był znowu sobą. Chociaż komuś pewnie zależało, by przegrał, załamał się i poddał... Niedoczekanie **ICH**, przysięgł sobie i pomaszzerował dalej.

Cóż naprawdę mogły znaczyć te wszystkie zaprezentowane fragmenty Gry, zastanowił się Alex, jeżeli nie były tym, czym się wydawały? Jeżeli były widmopisem Tajemniczości...

Na widok czarnego motyla siedzącego na ramieniu Petera Morkisa w pokoju na chwilę zapanowało milczenie. Każdy z gości uległ wrażeniu przeżywania wizji z własnej Przyszłości - **udziału we wspólnym matriksie SUPERSPEROGRY rozgrywanej w roku 2013?**

- Nie panikuj z tym spóźnieniem - przygasił Morkisa George Downs, drapiąc się po wciąż swędzącym policzku, mimo że od samochodowego wypadku, w którym drobne szkło pokiereszowało mu twarz, minęły prawie cztery miesiące. Gdyby był w lepszej formie psychicznej, przyjąłby Grę Petera z niesłabnącym rozbawieniem, ale dzisiaj stać go było

jedynie na nieuleczalny sarkazm. - Do czego się tak śpieszysz?

- Chcę wam wreszcie coś bardzo ważnego powiedzieć.

- Skoro musisz, to wal z grubej rury. Co cię gryzie? - Tym razem George zdobył się dla odmiany na nutkę troski w głosie, czatując na okazję do zadrwienia z zaskoku.

- Ciekawe, Peter, co ci spać nie daje? - dołączył się Donaldson ze swoją podpuchą.

Golnięcie do dna szklanki skutecznie poprawiło nadwątłony humor gospodarza i przepłoszyło motyla. Chuchnąwszy rozgłośnie, aby dodać sobie odwagi i komicznie zwodniczego wyglądu, Morkis zaraz głęboko zaczerpnął powietrza i jednym tchem wyjarzył:

- Co wy w zasadzie macie z tego waszego Żyycia?... Wiecie chociaż, po co tak naprawdę żyycie? - Widząc, jak tą przerysowaną zaczepką udało mu się ich wszystkich akurat - nie zaskoczyć i zniesmaczyć, w nagrodę Morkis nalał sobie kolejną porcję bourbona.

- Skąd ci przyszło do głowy tak bzdurne pytanie? - zmitygował go George. Przez moment pragnął, żeby jakimś cudem rzeczywistość matriksa w ewentualnej odpowiedzi Petera stała się dla niego odwróceniem bezsensu Życia, które mu się aż tak przejadło, że musiał tu przyjechać.

- Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad człowiekiem i sensem jego żywota? - kontynuował Morkis, nie zważając na docinkę George'a. Nie łatwo mu przychodziło to urabianie, ale jedno nie ulegało kwestii - ich błędem będzie to, że nie ustaną w próbach dociekania etiologii jego Tajemnicy. Joe już patrzył na niego niewidzącym wzrokiem.

- O Jezu! Czuję, że bez klina tego gładzenia nie przetrzymam. - Tom McCoy demonstracyjnie dopił swoją ostatnią kropelkę.

- Nie ma sprawy, złop, ile wlezie! Zobaczymy, jak będziesz śpiewał później. - Morkisowi już nie pasowało szybkie popijanie Toma z obawy, że może on niechcący zdradzić coś z ich wspólnej tajemnicy, więc ostrzegawczo pogroził mu palcem.

Tomem McCoyem zatrzęsa skrywana dotąd antypatia do kuzyna, wyrażona spojrzeniem: Niektórzy już się rodzą tacy wredni, że trudno wprost z nimi wytrzymać!

- Mnie będziesz pouczać, mnie?! - podniósł głos na wyższe rejestry z niespodziewaną nawet dla siebie gwałtownością - poląła się pierwsza krew konsolidacji. - Co se myślisz, burczymucho, że kto ja jestem, twój przydupas? - Wraz z ostatnim słowem zdał sobie znowu sprawę, że chyba zazdrości Peterowi tego, po co ich tu zebrał, tego jasnego celu w Życiu, do którego się dąży choćby i po trupach.

- Spokojnie, Tom, spokojnie. - Morkis zrobił gest *mea culpa*.

- Cofam to, co powiedziałem. Okej? - Tom nie zripostował, za to pogardliwie prychnął przez nos i skierował wzrok w bok, więc Morkis powrócił do rozpoczętego wątku: -

Czy zauważyliście, że wasze Życie jest płytkie i bez sensu? Jak nigdy nie napełniona butelka.

- Uśmiechem zachęcił ich do odpowiedzi.

- Ja też już nie mogę słuchać tego obciachowego nawijania - zbuntował się George w młodzieżowym stylu, i przewróciwszy oczami, popukał się w czoło. - Pleciesz chyba o sobie?

Uśmiezek zgasł na ustach Morkisa pod wpływem totalnej dezaprobaty widocznej na ich twarzach. Nie takiej reakcji oczekiwał i George także nie odezwałby się do niego w ten brutalnie celny sposób w innej sytuacji. Na szczęście nie wiedzieli, że wkrótce coś niezawodnego miało na nich podziałać skuteczniej.

- Wydaje się wam tylko, że wasze istnienie ma sens, a ono sensu nie ma... Przynajmniej do tej chwili nie miało.

- Przestań mataczyć! Lepiej powiedz, o co ci tak naprawdę biega? - zołdkował się dalej George. Aczkolwiek coś niesamowitego zaświtało mu w głowie. Najwyraźniej miało paść pytanie, na które nie było łatwej odpowiedzi. Coś z kategorii: psychodeliczny polimorfizm według Petera Morkisa?

- Każdy z was jest czuły na forszę. - Ponieważ zaserwował im zbyt wiele podchwytliwej ironii i banalnych dywagacji, Morkis zaczął prostą wyliczankę: - To po pierwsze!

- A ty nie, altruisto? - konsekwentnie skontrolował George, czując jednak, że nie były to najbardziej odpowiednie słowa.

- To omalże moja obsesja.

- No widzisz! Lepiej zmień płytę!

- A selekcja negatywna niektórych ludzi jest nieunikniona... To po drugie!

- Więc chcesz nas namówić na wzajemne ubezpieczenie na Życie, tak? - włączył się z uśmiechem mecenas Donaldson. On również czuł nosem to psychodeliczne pismo, które Morkis zapowiadał. - Albo wyniuchałeś, gdzie najkorzystniej umieścić wszystkie oszczędności, tak?

Morkis odwzajemnił uśmiech, szybko zmieniawszy maskę. Miał zamiar powiedzieć im, że w zasadzie już nie mają wyboru innej drogi Życia, lecz coś poliwalentnego w wyrazie ich oczu - nie sam błysk zaciekawienia, tylko to, co kryło się za tym błyskiem - tknęło go i kazało się wstrzymać.

- Nie. Twoje pomysły są zbyt niebezpieczne, ale... - odpowiedział zniżonym, płaskim głosem - mam dla was inną ofertę. To po trzecie! Wystarczy taki wstęp?

- Cholernie cwana gadka! Powiedz, kto ci pisze tak badziewne teksty. - Można było pomyśleć, że McCoy trochę ochłonął ze zdenerwowania. Jednakże za nic na świecie nie

chciałby tłumaczyć im, dlaczego był tak zaaferowany zagadkowym występem Petera. To zdumiewające, zauważył, jak bardzo pewni ludzie potrafią się zmienić, jeśli tylko przyświeca im jakiś tajemniczy cel. Komputerowe upiory i demony cywilizacji za tym stoją?... Tak, Peter z takimi monstrami musiał być za pan brat. - Mnie na tę śmieszłą ofertę nie nabierzesz!

- Pewnie ofertę nie do odrzucenia? - zakpił znowu George, który tylko na to czekał, ciągle próbując grać złośliwie wyluzowanego faceta, zachowującego resztki zjełczałego humoru na lada okazję do zwrócenia na siebie uwagi. - Przejdź wreszcie do rzeczy, tylko już tak bardzo nie fantazuj, bo się doigrasz jakiegoś efektu ubocznego.

(Wskutek zadziałania słów „efektu ubocznego” Alex włączył w wizuafonie rentgenowskie widzenie przez ściany i widzenie przeszłości termicznej. Teraz mogę stracić wszystko, co jest mi najdroższe, pomyślał z goryczą, ale muszę zaryzykować nieczyste zagranie. Na ekranie wizuafonu obrazy pochodzące z różnych źródeł zaczęły się nawzajem przenikać. „Gdy się gra o wszystko, trzeba mówić sobie wszystko, a prawdę, kiedy tylko można, podszeptnął Pająk. Tak wielu, wielu ludzi nie wie, co dzieje się tuż pod ich nosem, bo nie chcą wiedzieć... nawet kiedy się dowiedzą. Chcesz wydedukować, Graczu, kto tu jest fotografem twojej Śmierci na HAKU? Zaczynij od założenia: Alex jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie”.)

- Każdy z was marnuje Życie na swój sposób, zatem... - Morkis chciał dokończyć zdanie poetycką puentą, lecz w tym momencie zjawili się ostatni goście, dwaj spóźnialscy: Rex Bardham, były reporter „New York Timesa” i Max Platt, do niedawna Bret Hart, a przedtem Jim Straner, od dwóch tygodni zaś prywatny detektyw.

- Wpadłem po drodze na Union Square do galerii Van der Hellena i zeszło mi chwilę za długo - wytłumaczył się Rex. Będąc tylko średniego wzrostu facetem chodził zawsze wyprostowany z miną sympatycznego równiachy, by łatwiej zjednywać sobie ludzi podczas zwierzeń dla prasy.

- Na West Side Highway był karambol i zrobił się korek, dlatego się spóźniłem - usprawiedliwił się wysoki i przystojny Max, przybijając górną piątkę z Tomem, współnikiem w szemranych interesach Morkis posadził ich na dwóch ostatnich wolnych fotelach, poczęstował wybranymi drinkami i zajął miejsce na centralnie usytuowanej kanapie, w przeciwnym jej narożniku niż George.

- Ponieważ nareszcie jesteśmy w komplecie, proponuję, żebyście wysłuchali mojej oferty - zaczął z wigorem, chociaż drżenie lewego kącika ust mogło sugerować, że mimo alkoholowego kurażu miał tremę. - Aha, jeszcze tylko zamknę na klucz drzwi zewnętrzne do sekretariatu i odcedzę kartofelki. - Poderwał się z kanapy i odszedł charakterystycznie

posuwistym krokiem żyrafy, rejestrując czas na zegarze ściennym: 15.12.

Kiedy Morkis miał już przekrócić gałkę górnego zamka zasuwkowego w drzwiach otwierających się na korytarz prowadzący do alternatywnej Przyszłości, dosłyszał dziwnie znajomy odgłos dobiegający zza tych drzwi, który już wcześniej tłukł się kilkakrotnie w jego głowie.

Stuk... Stuk... Stuk... Zawiśniesz na HAKU?

Zamiast zakluczyć, otworzył drzwi wiedziony niepokromioną ciekawością i wychylił górną połowę ciała na zewnątrz. Był pewny, że w końcu wydarzy się to coś niesamowitego, na co czekał od prawie pół godziny.

Ujrzał wysokiego, czarnoskórego młodzieńca. Czarne dresy marki Nike i przeciwsłoneczne czarne ray-bany pod czarną bejsbolówką z emblematem NY złowrogo uderzyły w oczy Morkisa, gdy wpatrywał się w nadchodzącego od strony wind obcego człowieka. To on rzucał w podłogę żółtą piłką tenisową - Stuk... Stuk... Stuk... - w rytmie swych bezszelestnych kroków kota o zbyt luźnych stawach.

W głębi korytarza za jego plecami, drzwi środkowej windy rozsuwały się po sygnale dzwoneczka.

Dryblas szedł pospiesznie, z każdym krokiem był coraz bliżej zaskoczonego tym widokiem Morkisa. I nawet uśmiechał się do niego szerokim, przyjacielskim, choć i groźnym uśmiechem.

- Psze pana! Psze pana! - odezwał się nieco bełkotliwym głosem. - Ja właśnie do pana! Szukam pracy. Jestem bardzo pracowity. Żadnej pracy się nie boję...

Złapał piłkę, zatrzymując się o krok przed Morkisem, który instynktownie stał się czujniejszy. Jednakże drągał okazał się bardzo szybki i zwinny, całkiem jak atakujący kot. Pochwyił Morkisa lewą dłonią za koszulę na piersi i wyciągnął jednym szarpnięciem na korytarz, po czym zadał mu prawą pięścią, w której nadal trzymał piłkę, silny cios w nos. Potem jeszcze dwa silne uderzenia w mostek pozbawiły Morkisa tchu. Niespodziewane kopnięcie kolanem w krocze spowodowało, że nogi ugięły się pod nim, w głowie zrobiło się pusto, a serce zaciążyło ołowiem, nie wspominając o godnym omdlenia bólu w pachwinie. Na dodatek poczuł na karku walnięcie, które spowodowało, że osunął się na miękką wykładzinę dywanową, którą wyłożony był korytarz. Kątem oka wyłapał błysk oksydowanej stali lufy pistoletu skierowanej w stronę swojej głowy...

- Dobry jestem, co nie? - usłyszał przechwałkę.

...Żegnaj Życie, pomyślał, zaciskając powieki w oczekiwaniu na strzał. Żegnaj piersiówko! Hop do piekła! I wtedy doleciał do niego specyficzny odgłos plaśnięcia, jakby

kłaśnięcia litościwego Pana Boga, w którego do tej chwili nie wierzył.

Ponieważ pocisk wystrzelony z pistoletu leci szybciej niż dźwięk, napastnik nie usłyszał tego odgłosu, lecz go przeczuł - gapił się z ukosa na nadlatujący kawałek metalu, jakby chciał zobaczyć, co się stanie, gdy uderzy w jego mózg, jak gdyby miał szansę coś potem zobaczyć.

Morkis otworzył oczy: wróg padał na lewy bok z krwawiącą dziurką w prawej skroni, całkiem zdumiony, że tak szybko umarł. *(I tu Alex odkrył, że w Sperogrze nie ma sprawiedliwości, tak samo jak w życiu. Nie obowiązuje też ciągłość faktów, ich konsekwencje czy zależności, preferując CHAOS GRY, a oprogramowanie Gry - co równie ważne - potrafiło wręcz oszukiwać, mamić czy konfabulować, choć bez poczucia tej przyjemności. Na przykład dzięki rentgenowskiemu widzeniu przez ściany, Alex miał też podgląd tego, co działo się w tym samym czasie w gabinecie, gdzie akcja zaczęła zmierzać w zadziwiającym kierunku.)*

W otwartych drzwiach środkowej windy stał Lucas z pistoletem w dłoniach. Zrobił imponujące wrażenie na Morkisie za sprawą potężnego tłumika, poniżej którego dyndała zawieszona na palcu foliowa reklamówka. Sążnistymi susami podbiegł do Morkisa i cichym głosem spytał:

- Jesteś ranny?
- Nie.
- Co z nim zrobimy?

Z trudem podnosząc się z podłogi, obolały Morkis myślał błyskawicznie. Zrozumiał, że Lucas mówił tak cicho, bo wiedział, iż nie powinni ich słyszeć goście zgromadzeni w gabinecie.

- Weź go na plery i zanieś do ogólnodostępnej toalety w tamtym korytarzu - polecił szeptem. - Po zakończeniu spotkania zostawię drzwi do biura otwarte, wówczas przeniesiesz trupa do naszego kibla. Pozbędziemy się go jutro rano.

- Dobra. - Lucas założył foliową torbę reklamową na głowę truposza i zawiązał rączki na jego karku tak, by nie wyciekała z niej krew. Oddychał przez nos. Jego oddech grzmiał głucho w studniach uszu. Od mocy kokainy mózg napęczniał mu wizjami jak balon.

- Po raz drugi uratowałeś mi Życie. Jestem twoim podwójnym dłużnikiem - podkreślił Morkis. W jego głosie pobrzmiwała delikatna nuta wdzięczności, nawet subtelnie się uśmiechnął, choć sam nie wiedział, dlaczego tak mało się z tego cieszył.

- Nie ma sprawy - mruknął Lucas. Bo o to przecież mi szło, dodał w myślach. Jego rozbuchana wyobraźnia poigrała sobie z tą myślą na pięć różnych sposobów do czasu, gdy

Morkis zapytał trafiając w samo sedno:

- Znasz tego dresiarza?
- A niby skąd mam go znać?
- No nie wiem. Jak myślisz: chciał mnie zabić... czy tylko okraść lub nastraszyć?

Lucas zarzucił sobie zwłoki na plecy tak gwałtownym ruchem, że dredy mu zafalowały, co skutecznie rozładowało napięcie wywołane pytaniem Morkisa.

- Nie mam pojęcia - westchnął, poprawiwszy uchwyt.
- Szkoda, że go zabiłeś - zmartwił się Morkis, podając Lucasowi jego pistolet i pistolet zabitego dryblasza.

- Daj spokój, jedno Życie mniej czy więcej - odparł Lucas tytułem skruchy narkomana. - Dresiarz miał pecha, a ty szczęście, i nic więcej.

Obaj odczuwali potrzebę nagłej modyfikacji planu Gry, modyfikacji, która nadałaby odpowiednio nowej jakości ich podwójnej Grze, a jednocześnie zapewniłaby konsekwentną niezależność całości planu. Jako że samoczynnie nakręcające się sprężyny czasu nieubłaganie ich ponaglały, umiejętne improwizowanie było właśnie takim złotym środkiem i dzięki niemu wszystko nadal mogło iść doskonale. Już zaczęli improwizować, ale według pewnych dogodnych schematów, które zdawały się istnieć od zawsze w improwizacji. Zrozumieli to bez słów.

- Nie w tym rzecz - wytknął Morkis Lucasowi.
- A w czym?
- Gdyby żył, może by coś powiedział.
- Gdybanie to nie moja specjalność. Bywaj.

Dziwne, pomyślał Morkis. Bardzo dziwne zdarzenie.

Uginając się pod sporym ciężarem, precyzyjnie zbalansowanym na grzbiecie, Lucas odszedł drobnymi kroczkami, a Morkis wycofał się do swojego biura... Zamykał drzwi słysząc wytłumione przez wykładzinę dywanową ociężałe kroczki Lucasa skręcającego w boczny korytarz i dolatujący nikło z gabinetu głos któregoś z gości. Przekreślił zamek zasuwkowo-ryglowy. Zamknięte drzwi dawały im tę tajemną, anonimową izolację, którą mogą dać drzwi zamykane z wirtualną, sekretną ostatecznością przepełniającą go teraz z ostateczną ostatecznością ostateczności, gdyż wszystko w tej dziwaczności przed chwilą rozpoczętej było ostatecznością i nic nie mogło się wrócić, jak to w improwizacji tej Gry. Było to bardzo dziwne - kontynuowane - przeżycie pod zbyt wieloma względami. Wciągnął więc nosem powietrze głęboko do płuc, by się z niego ocknąć.

- Ochhh!... - szepnął na końcówce wydechu, ale się nie ocknął.

Jaką korzyść ma człowiek ze wszystkich swych nieprzeżytych możliwości? - walnęło go to pytanie tak mocno, że aż nie mógł ruszyć się z miejsca. Żadną? No właśnie, do licha! A w Życiu - gdzie jedno prawdopodobieństwo przemija bezpowrotnie, a inne prawdopodobieństwo nadchodzi - gdzie właściwie wszystko jest pełne prawdopodobieństw, wśród których trzeba wybrać i człowiek nie może tego jasno i precyzyjnie ogarnąć, gdyż jego ostateczność spełnia się w każdej mijającej milisekundzie wyboru. Czym się zatem kierować, gdy coś ciągnie nas w przeciwnie strony jednocześnie?... Nie wiedział.

I to było bardzo dziwaczne uczucie zagubienia w tej jednej sekundzie.

Tym bardziej że był świadom, iż wszelkie prawdopodobieństwa zbiegają się w jego jeden jedyny świat realny w tej sekundzie Życia, a jednak ten świat nie jest w pełni pełny. Nie ma w nim wspomnień o nieprzeżytych możliwościach minionych, ani nie będzie wypatrywania możliwości mających rzeczywiście nadejść później, chociaż pierwsze i drugie mogą istnieć w światach równoległych czyli alternatywnych. Bo nic nie jest sprzeczne samo w sobie, gdy nie ma innych prawdopodobieństw teraźniejszych, a jest tylko jedna jedyna ostateczność teraźniejsza, bowiem nic nie jest stałe i wszystko takim się ostaje na wieki wieków amen.

- Ochhh!... - ponowił próbę ocknięcia się z tego sekundowego zawirowania umysłu, odwrócił się twarzą w kierunku gabinetu, machinalnie zrobił wyrok... - Ups!

I nieoczekiwanie ocknął się w jeszcze głębiej położonym wnętrzu siebie, tam, gdzie też były prawdopodobieństwa, gdzie zawsze miały zbierać się w jego jedyny świat wrażeń umysłu, nie mogąc jednak nigdy wypełnić go na tyle, aby osiągnąć tę osobiście właściwą ostateczność.

Przed chwilą myślałeś, że znalazłeś zwariowany system rozumowania, który zapewniłby ci wygraną w tej Grze, co, Peter? Tak, tak było, Panie Boże. Tak było, Peter, ale się zmyło, nie? Tak jakby... się pomylił, ponieważ nie musiał opuszczać głowy i patrzeć, by wyczuć, iż nowy świat przesącza się ustawicznie pod drzwiami, które zamknął i zaryglował, lecz nie uszczelnił. Ów świat sięgał teraz prawie do jego stóp. Ów świat niósł pod pachą pęk nowych prawdopodobieństw, możliwości i ostateczności, jak szalony ofiarodawca - wynalazca chociażby Internetu czy telefonu komórkowego.

Wszystko to było dziwne, a poczucie dziwaczności ubarwiało każde zwyczajne wrażenie. Ruszył w popłochu umykając przed nim.

Czy wiedziałeś, że nauka sformułowała prawo prawdopodobieństwa? Tak, to wiedziałem. (Teoria, nie teoria, ale skąd ją znam? A może takie myślenie chce pozbawić mnie duszy?) No, a czy wiedziałeś, że podstawą tego prawa jest zasada, iż nie ma ostateczności, że

istnieją tylko możliwości, że stałość jest tylko złudzeniem utworzonym i utrwalonym przez nieskończoną liczbę niestałości następujących po sobie w błyskawicznym tempie Życia? Tak, o tym też wiedziałem, ale w to nie wierzyłem do końca. Ach, więc nie wierzyłeś? Tak, po prostu? A dlaczego by nie? Zapewne dlatego - według większego prawdopodobieństwa dlatego - że wychowałeś się jako katolik. Ej, Panie Boże, dajże spokój, naprawdę tylko dlatego? Och, Peter, chciałeś odpowiedzi, nieprawdaż? Jednakże nie jesteś już katolikiem, zgadza się? Nie, nie jestem. Przystałem być katolikiem w czternastym roku Życia, kiedy pierwszy raz przespałem się z dziewczyną i odkryłem, że nie ma się z czego spowiadać. Nieee osłabiaj mnie, Peter tak banalną odpowiedzią. Nie daj się zwieść iluzji najbardziej prawdopodobnej rzeczywistości. Pamiętaj, że Gra już się dawno temu rozpoczęła. I nie uromantyczniaj niczego. Ani nie wkręcaj już sobie żadnego chorego filmu o ostateczności ostatecznej. Życie jest... Życiem! Czekaj na wiatr. Zjawi się sam.

Teraz już wiedział, dlaczego prawidłowa decyzja w improwizowaniu jest tak ważna i pilna. To była podstawa Gry.

Niemniej jednak wszystko zaczynało się źle od samego początku, gdyż już popełnił pierwszy błąd - dał się zaskoczyć czarnemu dryblasowi.

*(Media nie są dla idiotów! Widząc przez ściany to, co działo się w gabinecie, Alex nie zamierzał konfrontować się z tym szokującym obrazem. „Bo każde zmartwienie w końcu się zużywa na chwilę przed odlotem z naszych gniazd. To słowa Pająka snującego trującą Sieć”. Jeżeli będę zbyt często wtrącał się do Gry, nie skończę jej do jutra rana. Z drugiej strony lepszy dla **NICH** taki rydz niż nic do zdiagnozowania mojej taktyki Gry. Ciekawe, z czym **ONI** kojarzą enuncjacje Pająka? To będzie ważne, kiedy stanę twarzą w twarz ze... **Śmiercią na HAKU?**)*

- Cóżżż... - westchnął z rozczarowaniem Tom McCoy - zabrzmiało to, jakby nieukoiony wiatr zaszeleścił w opadłych zeschniętych liściach - i potarł spójówki kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni. - Peter bawi się z nami w kotka i myszkę. Uczciwie mówiąc, mam przeczucie, że za kilka minut powiemy sobie do widzenia i każdy z nas od tej pory zapomni, co tu usłyszał.

- Ten jego psychosteniczny wstęp nie wróży dobrze - odezwał się burkliwie Mały Joe Hoffman - jak znam się na ludziach. - W jego głosie słychać było drganie niepokoju. Czy był to zakradający się z powrotem strach przed tym, co już zasugerował Peter Morkis? Czy raczej strach, że tak mało wie, czym ta podróż może się okazać? Nie potrafił tego rozstrzygnąć.

Morkisa ucieszyło to drganie głosu, które usłyszał. Strach powinien uczynić Joego bardziej skłonny do okazania odwagi, żeby się nie zblamować, gdy nadejdzie czas

podejmowania ostatecznej decyzji. Teraz już nie wolno mi rozmyślać o tym, co się wydarzyło na korytarzu. Zamach się nie udał, a ja stanę na wysokości zadania.

- Powiem więcej, mam całkiem złe przecucia. - W dołączeniu się Roberta Donaldsona do ogólnej negacji przedsięwzięcia zawarty był jasny postulat. - Czuję kłopoty.

McCoy posłał uspokajające spojrzenie Hoffmanowi: Nie dajmy się zwariować! Tamci niech swoje myślą!

- Zabawa dopiero się zaczyna. - Co do George'a Downsa, przyszło mu do głowy, że w tym doborowym towarzystwie jednak warto poczekać na rozwój wypadków, nie tracąc z oczu tajemniczego celu Morkisa. - Nie przesądzajmy sprawy z góry.

- O co wam chodzi, do diaska? - Rex Bardham miał czelność zapytać tak obcesowo, jakby sprawy zaszły już za daleko, żeby mogli się wycofać. - Bo nie rozumiem, do czego... - nagle umilkł, bowiem miał wrażenie, że świat wokół niego jakby się przesunął, by on mógł zobaczyć go pod innym kątem. O nie! Tylko nie to!

- No właśnie, do czego prowadzi ta negacja *a priori*? - podchwycił Max Platt, obserwując Rekxa, który patrzył gdzieś w przestrzeń skojarzeń jednakich tak, że mogły złamać człowieka w chamski scyzoryk. Czasami człowiek nie zazna spokoju, pomyślał Max, dopóki się czegoś istotnego nie dowie.

- Ja jestem strasznie ciekawy i pozytywnie nastawiony do postępowych projektów.

Jakkolwiek wszyscy wyczuwali już, że coś jest nie w porządku od początku tej Gry, lecz nie mieli pojęcia co. Z tego wynikało, że czeka ich nielicha przeprawa z duchem nonkonformizmu, którego każdy z nich czuł w sobie od dawna.

- Jeszcze na nic nie jest za późno - napomknął Alin Mearns, przecierając spoconą łysinę dużą białą chustką. Perfidia jego słów była grzechem przebiegłości, skoro wcześniej wychwycił odgłos kroków Morkisa.

Z tego powodu McCoy znowu popatrzył na Hoffmana, wzruszył ramieniem i to wystarczyło. Czy mamy jakieś inne wyjście, Joe? - wyrażał ten gest. Posiedzimy jeszcze trochę, wysłuchamy, w czym rzecz i zadecydujemy, okej?

Czy to mnie jeszcze rajcuje? Któż wie, po co właściwie żyjemy? Alex zaniepokoił się tym, że nie potrafi opamiętać się i przestać udawać, że dobrze się bawi, skoro najtrudniej było mu pogodzić się z ową racjonalnością całej Sperogry, która z gruntu była przecież tylko irracjonalną rozrywką - superduperfikcją. Z tym że nie polegała na biernym oglądaniu tego, co działo się na ekranie jak w kinie, a wymagała śledzenia akcji na tyle uważnie, by wybrać właściwy moment dla przeskoczenia do kolejnego etapu Gry. Gdzieś tam dalej można by było przejść do aktywnego uczestnictwa w Grze i pomieszać w jej wnętrzu to i owo: pozamieniać

*motywy działania, osobowości czy zamiary Graczy i zobaczyć, co z tego wyniknie. To się w pale nie mieści, zachnął się w duchu, że wyłącznie w jednym jedynym z tysięcy etapów ukryto hasło Sedna GRY! Co gorsza, kto je odkryje, a nie przegapi, ten wygra główną nagrodę: milion dolarów - przynętę. **Zawieszoną na Haku!** Być może należy śledzić akcję nie przerywając jej w pełnym biegu wydarzeń, a kierować się wyczuciem chwili, kiedy się kończy dany epizod. Zatem, w co by tu kliknąć, żeby odmiana była tak absolutna, jak dzień po nocy? Nigdy nie trafię, jeśli będę kierował się logiką, dedukcją i zdrowym rozsądkiem. Muszę poczekać na natchnienie, na dobre przeczucie, na błysk olśnienia... Na szczęście to tylko taka Gra, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje, zaczął wmawiać sobie, wiedząc, że tą myślą chce **ICH** oszukać. Potem pomyślał: „Rosja” i pchnął tę sugestię przed siebie, jak tyle innych przedtem. (Pomóżcie Rosji oszukać Amerykę!)*

Powróciwszy do nich, Morkis obrzucił towarzystwo jednym błyskawicznym spojrzeniem, mając nadzieję, że z tamtego zajścia nic nie zauważyli. Czuł, jak pulsuje w nim pragnienie alkoholowe - uspokajacz był mu pilnie potrzebny. Marzył o nim.. Niemniej wiedział też, że takie marzenia mogą zniweczyć szansę na ostateczny sukces.

- Na co jeszcze nie jest za późno? - zapytał od progu.

- Na wysłuchanie, co konkretnie masz nam do powiedzenia - odparł Alin Mearns, uśmiechając się rozbrajająco.

- No więc posłuchajcie... - Sadowiąc się w narożniku kanapy, Morkis zaczerpnął więcej tchu, jak gdyby szykował się do dłuższej przemowy. - Kilka dni temu zarejestrowałem zwyczajną firmę o nazwie Spółka Eksportowa, która oprócz oficjalnej działalności handlowej, miałaby być przykrywką pewnych nietypowych usług dla nietypowych klientów innej nieformalnej Spółki, którą wspólnie powołalibyśmy dzisiaj do Życia. Kapitał założycielski tej tajnej Spółki to prawie milion dolarów, a was, moi drodzy, zapraszam do pełnej i konstruktywnej współpracy według waszych specjalizacji... - przerwał, ale z zachęcającym do dyskusji uśmiechem na spiętej twarzy. Nic nie zauważyli, odetchnął z ulgą, z westchnieniem, nie uspokojenia całkowitego, lecz takim, które jest chwilowym odprężeniem po zbyt dużym napięciu. Luz-blues, nakazał sobie. I już bez nerwów.

Gdy tylko Morkis urwał zdanie, posępne milczenie napłynęło zewsząd jak gradowe chmury - atmosfera zgęstniała: zawisła gruba i ciężka. Być może któryś z nich powinien choćby zachichotać, by jako pierwszy rozedrzeć aurę podświadomej ciekawości: co się za tym „zakręceniem” tak naprawdę kryje?, żeby inni mogli ją już rozszarpać na strzępy i uratować się. Jednakże nikt nie zachichotał ani nawet nie parsknął śmiechem, nie kichnął, nie prychnął, nie kaszlnął, i to był ich gruby błąd w Grze.

- Osobiście nie wierzę w spółki - oświadczył informatyk George Downs. Powiedział to tak lekko, jakby mało przejmował się tym, co mówił. Taką miał rolę w Grze Petera. - To przeżytek i do tego nieformalny. Już brzmi niebezpiecznie... zbyt kanciarsko, jeśli chodzi o tę konstruktywną współpracę. - Rozejrzał się po zebranych, żeby sprawdzić, czy to kupili.

- Proszę cię, tylko nie siej od samego początku wrogiej propagandy. - Morkis oczywiście nie dał się wytrącić z równowagi. - Wysłuchaj mnie do końca, a dopiero potem oceń.

- Ale co konkretnie mielibyśmy robić? - George popatrzył na Morkisa takim wzrokiem, jakby wyobraził sobie coś absolutnie absurdalnego w ich wykonaniu. Gdyby nie skupił się jedynie na negatywnych aspektach tego absurdu, pewnie zaniósłby się niepowstrzymanym śmiechem, który mógłby zaszkodzić zamierzeniom Petera.

- Ta tajna Spółka mogłaby się zajmować realizacją różnych zleceń, na przykład usuwaniem z tego świata niewygodnych dla klientów Spółki osób, za określoną niewygórowaną cenę, i to przedziwnymi sposobami. George, twoje najnowocześniejsze urządzenia do podsłuchu i śledzenia elektronicznego byłyby dla nas bardzo przydatne. - Przejęty swoją rolą Morkis znów nabrał więcej powietrza w płuca, przeskakując w myślach mniej ważny akapit, po czym adiustując tekst trochę inaczej, ciągnął dalej: - Od mokrej roboty będzie... ktoś, kogo w ogóle nie poznacie z oczywistych powodów... - zawahał się wymownie, jak aktor na scenie, oddając im głos również i gestem.

Coś musiałyby ich zaczarować, by przezwyciężyć pierwsze negatywne nastawienie do tej śmiechu wartej propozycji; coś choćby nawet paramagicznego, bowiem każdy z nich przeczuwał to „coś” i podświadomie pragnął zostać zaczarowany w jakiś magiczny sposób.

Wszak nie codziennie ktoś wpada na tak durny pomysł, pomyślał Max Platt.

- Peter, masz wszystkich w domu? - spytał. A Morkis pokręcił głową, jakby nie miał. - Spójrz prawdzie w oczy. To oklepany projekt. Tak już działa mafia. - Drapaniem się po głowie Max podkreślił swoje rozczarowanie, że musiał to powiedzieć, żeby wszystko było jasne. Co za nedorzeczny chwyt na bezczelnego, chyba że... kryje się z nim coś oryginalniejszego? W tej chwili, zalecił sobie, jest jeszcze za wcześnie, żeby całkiem ośmieszyć Petera. - Obawiam się, że spudłowałeś.

- Mafia działa brutalnie, zupełnie bez finezji i nie ma takich wybitnych specjalistów jak wy - odparował Morkis, lecz w jego głosie nie było już poprzedniej żarliwości przywódcy, przebiegle zastąpił ją wyważonym optymizmem prowodyra.

- Stworzymy nową jakość usług.

- Co ty możesz wiedzieć o mafii? - zachnął się dziennikarz Rex Bardham, jakby sam

był uznanym ekspertem w tej dziedzinie. Był ciekaw, czy Peter miał pojęcie, jak wiele ryzykuje tym gadaniem.

- Pracowałem dla niej przez wiele lat. Tom może zaświadczyć. - Morkis uśmiechnął się nieomalże dumnie i posłał McCoyowi takie spojrzenie, jakby chciał, żeby ten uśmiechnął się również i poparł go, ale porucznik zdobył się tylko na nikły uśmieszek, konieczny do podtrzymania swoistego klimatu Gry Petera, a nie do odzwierciedlenia szarej rzeczywistości, w której dotąd tkwili, i którą każdy z nich niestety uosabiał do tej pory.

- To fakt - jednak poświadczył, choć z chytrym zastanowieniem. Znowu rzucił Hoffmanowi spojrzenie: ponure, pełne negatywnej determinacji. Pokręcił głową tak nieznacznie, że tylko Joe to zauważył. I odwzajemnił się z takim samym nastawieniem do oferty Morkisa w wyrazie twarzy: Tak, to niedorzeczny pomysł, Tom.

Z czarującym błyskiem w oczach Morkis powiódł wzrokiem po zebranych. Spostrzegł ten negatywny wyraz determinacji na twarzy Toma i starannie zanotował w pamięci ten opór, który musiał zwalczyć odpowiednim sposobem, jeżeli chciał wygrać, rzekł:

- I wtedy dostrzegłem, że na rynku przestępczym jest nisza do wypełnienia wyrafinowaną formą pomysłowości, planowania i precyzji w działaniu. Niemożliwe jest niczym! Zapewniam was, że nie są to czcze słowa. Zostaniecie milionerami!

- A ja nie musiałbym nikogo zabijać? - zapytał patolog Joe Hoffman. Bez przekonania to powiedział, przeczuwając, że odpowiedź może nie być rzetelnie szczerą, skoro z powodu szczerości zginęło tak wiele osób. Ale koniecznie chciał się upewnić, że nie zostanie wystawiony na tak drastyczną próbę.

Znacząca cisza, która zapadła, gdy wszyscy wlepili wzrok w gospodarza czekając, co odpowie, trwała zaledwie trzy sekundy, lecz to mu wystarczyło. Wiedział już, że ich przekabaci, kiedy wciśnie klawisz; dotarli do punktu, po przekroczeniu którego wycofanie wydawało się prawie niemożliwe. Mimo to przeczuwał, a właściwie się obawiał, że żadne z jego marzeń nie zostanie jednak nigdy spełnione. Pospiesznie zepchnął tę obawę na dno umysłu.

- Nie osobiście, chyba żebyś się uparł - odpowiedział z przekonaniem. - Wy poświęcilibyście się przede wszystkim sprawom organizacyjnym. Poza tamtym przykładem moglibyśmy zająć się innymi zleceniami, które przyjdą nam do głowy lub same się wytworzą pod wpływem okoliczności... Szantażem lub wymuszeniem, albo kradzieżą czy oszustwem. Niektórzy z was mają już w tym rzemiośle dużą praktykę. - Mówiąc to wszystko wodził baczny wzrokiem po zebranych, próbując z ich twarzy wysondować efekt swojego wystąpienia. Ujrzał na nich wyrazy pewnej konsternacji i wahania, przechodzące u niektórych

w mimowolne zaciekawienie, zabarwione jednak podejrzliwością, nieufnością i, co gorsza, symulacją aprobaty. Jak ja was nienawidzę, myślał, patrząc na nich wszystkich. Jak ja nienawidzę waszych podłych, chciwych, naiwnych duszyczek. Waszego zakłamania. I niezadowolenia z Życia... dzięki któremu jednak magia sukcesu, magia szczęścia przeobrazi was w moich współników.

A że zostało mu na to mało czasu, nacisnął klawisz pilota...

Już najwyższy czas na odmianę Gry! Piwniczna kryjówka - więzienie Brandona Spykesa w wersji realnej niewiele odbiegała od tej, którą Alex odtwarzał teraz w wyobraźni. Dywan w czarno-białe pasy. Zakratowane okno z widokiem na ogród. Staromodna szafa i komódka. Ściany pomalowane w zbyt jasnonijaki kolor, by przykuć uwagę. W rogu szeroka kanapa, obok stolik nocny, biureczko pod oknem. A śniłem, że go zabiłem. Czy sny są jedyną rzeczą naprawdę moją, gdy mam kliknąć?

- Dobrze kombinujesz, dobrze kombinujesz, Alex - odezwał się Prowadzący Grę. - Na pewno nie wtopisz, jeśli teraz klikniesz.

O! Już wiem!

Brandon Spykes testował „Tajemniczą Grę” w tym samym domu i czasie, co Alex, żeby potem mogli porównać zapisy swoich sperografów podatności na sugestie i wysnuć wnioski. Nagle - bo żył z wielką liczbą spraw nieogarnionych rozumem - Alex zdał sobie sprawę, że to nie ma żadnego znaczenia, jaki wybierze następny wariant Gry, skoro to wszystko było tylko zabawą w wielki, zasrany monopol psychologiczny. Jak należało się spodziewać, autor scenariusza czy reżyser „Tajemniczej Gry” właśnie teraz podsunął Aleksowi kartę „Kliknij w dowolną ikonę”. Prawdopodobnie każda dowolnie wybrana ikona prowadziła do jedyne go celu - afirmacji superego Gracza: podtrzymania nadziei, że wyjątkowe marzenia naprawdę się spełniają, jeśli są... na przykład ostatnimi życzeniami przed śmiercią. Podstawowa rzecz, jakiej nauczył mnie żywot rodziców, pomyślał, to to, że przychodzi w życiu pewien ważny moment i gdy się go przegapi (lub sknoci), wtedy nie można już niczego zmienić. Ale jak to sprawdzić w Grze?... Może tak:

KLIK...

FAZA TRZECIA: 333

Ciułowo to wymyśliłeś, Peter! Taka Spółka to mrzonka, a nie patent na osiągnięcie

sukcesu życiowego, zirytował się Lucas, słysząc w lewym uchu pełen przekonania, przejęcia rolą i pewności siebie głos Morkisa dobiegający ze słuchawki podłączonej do niby walkmana. Do prawego, odsłoniętego ucha doleciał go szmer otwieranych i zamykanych, pobliskich drzwi prowadzących na klatkę schodową oraz powtarzający się co krok brzęk kluczy. Założył, że to ochroniarz dokonujący obchodu, więc znieruchomiał, przytrzymując trupa dresiarza, usadzonego na otwartym sedesie w jednej z kabin. Nasłuchiwał - („Oni mówią wciąż, oni mówią wciąż”, powtarzał tę śpiewkę niczym natręctwo. „Oni gdzieś tam są, oni gdzieś tam są”.) - napawając się świeżą młodzieńczą wonią-smrodem śmierci. Składało się na nią wiele rzeczy, których nie potrafił dokładnie rozpoznać: jakieś maghreby, behremotty, arthemmeny, syghilezy. Mózg wypełniała mu coraz bardziej skłębiona, coraz gęstsza narkotyczna mgła... powoli paralizująca półsferę racjonalnego myślenia, półświadomie prowadzącą go przez labirynt wichrowych wizji.

Trzeci czarnoskóry ochroniarz w Hearst Tower, atletycznie zbudowany, ale i zwaliście kroczący Ervin Mallon, wychodząc na korytarz z klatki chodowej dość głośno pobrzękiwał pękiem kluczy wiszącym mu u paska od spodni. Zrobił tylko trzy szybkie kroki, nie więcej, gdy stał się świadom obecności czegoś dziwnego na tym korytarzu - był to przede wszystkim przykry, choć ledwie wyczuwalny zapach krwi unoszący się przy drzwiach ogólnodostępnej toalety oraz jeszcze bardziej nieprzyjemna i niepokojąca aura śmierci podtrzymująca ten odór. Znał tę woń i tę aurę z wieloletniej praktyki w zawodzie byłego gliniarza z wydziału zabójstw, obecnie dorabiającego na emeryturze.

Niestety, za bardzo się spieszył, żeby się zatrzymać. Był spóźniony o jakieś dwadzieścia minut (na jego zegarku była już 15.21) z powodu nagłego rozwolnienia, które z towarzyszącymi mu ostrymi bólami brzucha, dopadło go piętro wyżej, zmuszając do posiedzenia w tamtejszej ogólnodostępnej toalecie. Teraz znowu poczuł to ponaglące rżnięcie w podbrzuszu, więc nie chciał się zatrzymywać, by zajrzeć do toalety, którą właśnie mijał. Śpieszył się też dlatego, że na dole, w dyżurce ochrony wieżowca, była apteczka, a w niej lekarstwo na zatrucie pokarmowe. Poza tym tak poronione przywidzenia zdarzały mu się przynajmniej raz na kwartał w ciągu trzech lat pracy w charakterze ochroniarza. Kurza melodia, pomyślał na usprawiedliwienie, przecież za każdym poprzednim razem naraziłem się na drwiące uśmiešky i żarciki, bo nic niebezpiecznego się nie wydarzyło. Zatem dziś nie miał zamiaru zawracać sobie głowy kolejną zwiadą, gdyż był również zbyt zmęczony czterogodzinnym obchodem z osiemdziesiątego piętra w dół klatką chodową i korytarzami każdego piętra, żeby wykrzesać z siebie więcej niż ową iskrę zapalającą płomień nieposkromionej, zawodowej podejrzliwości. W miarę jak się oddalał od przyczyny swojego

sposprzeżenia, poczucie zaniedbania obowiązku coraz bardziej nie dawało mu spokoju.

...Tak to już z nami jest, że wolimy się zbytnio nie zamartwiać, zawyrokował Manny Parker, wchodząc z Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy do podziemnego parkingu, gdzie zostawił swojego forda mustanga, w budynku stojącym frontem po drugiej stronie Siódmej Alei, prawie na wprost Hearst Tower. Człowiek, w pewnych okolicznościach, zawsze znajdzie sposób, aby wierzyć w to, co jest niewiarygodne. Zawodowi zabójcy wcale się tym nie różnią od innych ludzi. Wprawdzie nie umiał sobie precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego postanowił dzisiaj zrezygnować z zabijania?... Ale widocznie... chyba... może... przypuszczalnie nie miało to dla niego większego znaczenia. Zapewne by sobie wybrać na przykład takie wytłumaczenie: dlatego, że niejednokrotnie to już czynił, gdy się przestraszył, iż szczęście go opuściło, albo dlatego, że został trafiony prawdą o samym sobie, albo dlatego, że wreszcie dorósł, a może nareszcie wyrósł z tego. Aaaa... może z powodu, z którego do tej pory nie zdawał sobie sprawy... I kropka.

Czego zaś był teraz pewny - znowu odczuwając zadowolenie jakby na wyrost? Pewnie tego, że na te radykalne zmiany już najwyższy czas, skoro dotąd jakoś mu się upiekło. Chwała ci Panie! - odpukać w niemalowane drewno. Na potwierdzenie tej konkluzji wyłapał spojrzenie faceta - ostrzegawcze? - rzucając z czarnego pikapa gmc, co włączyło zagłuszasz odbioru ewentualnych kolejnych sygnałów ostrzegawczych, bo już nie chciało mu się roztrząsać problemu: Tajemniczości zdarzeń. Chciał wierzyć i wierzył, że to koniec jego kariery zawodowego zabójcy, choć widząc już swojego czarnego mustanga shelby, skupił się na realizacji zadania, które zlecił mu Peter...

...ale prawdę mówiąc, od samiotkiego początku Życia zawodowego miał świadomość, że zabijanie to tylko tymczasowe zajęcie, że sprawą nadrzędną jest i będzie pisanie książek, że czas i grawitacja oraz pewne okoliczności w końcu zrewidują na jego niekorzyść zawodowe kwalifikacje zabójcy na zlecenie. Że zostanie poddany próbie, której nie podoła i przegra. Wiedział także od prapoczątku wszystkiego złego, że zabijanie nigdy nie stanie się integralną częścią jego prawdziwego Życia. Ta świadomość sprawiała, że było mu dzisiaj dużo łatwiej myśleć o tym wszystkim. Mógł odejść ze sceny w każdej chwili - i właśnie to czynił w pewnym sensie - i nie mieć z tego powodu żadnych kłopotów. Umiałby ciekawie wypełnić sobie nowy czas. Chociaż czas to taka bardzo dziwna rzecz, która nie pozwala mu jednak powiedzieć teraz, że obejdzie się bez żalu: że nie zadzwoni już telefon, że nie pozna już kolejnej ofiary ani klienta, który dał na nią zlecenie, że pieniądze nie przejdą z rąk do rąk, że nie przeżyje już tej swoistej przyjemności, podniecenia, nadziei, zachwyty, Tajemniczości i te per - kiedy wielki zegar odmierzył nieubłagane czas czyjejś śmierci.

A przy tym wszystkim, przy całym kołowrocie uczuć, zawsze uważał, że im człowiek jest głupszy, tym łatwiej mu się żyje.

I nadal tak uważał, docierając do dna tej perswazji, by się odbić ku innemu Życiu.

Mylił się...?

Na wszelki wypadek obejrzał się przez ramię... i krew w nim zawrzała: Non stop kolor! Non stop pełen kolor! Kurwa mać!

W dość nisko sklepionym podziemnym parkingu wszelaki szmer - podejrzany? - zapewne słychać było dobrze, mimo to on ich wcześniej nie usłyszał. Pozwolili mu wejść w głąb pułapki, zanim wychynęli z kryjówek rozsianych wokoło niego. Było ich sześciu. Nie miał zielonego pojęcia, skąd się ich tu wzięło aż tylu. Wszyscy czarnoskórzy i w czarnych dresach - nieprzyjaciele z jakiegoś powodu. Widział przedtem tylko tych trzech, którzy wycofali się do wnętrza parkingu po potyczce na ulicy. Wyglądali teraz na zakapiorów żądnych zemsty po dwóch porażkach, żądnych odwetu - udowodnienia mu czegoś... istotnego?

Choćby tego, że „Życie wcale nie jest takie piękne”, jak głosił kolorowy napis graffiti wymalowany na szarej ścianie. Wiedział już, co to zapowiada: ktoś „rzucił kośćmi przeznaczenia” klikając myszą i Gra musiała się toczyć dalej tak, by... nic nie było tym, czym się wydawało.

Co jest tu grane? Co się tu naprawdę dzieje? - przestraszył się facet siedzący w czarnym pikapie gmc, kiedy...

Trzech natarło na Parkera z lewego boku. Pierwszego zaprawił całkiem czysto w podbródek po zręcznym uniku przed jego ciosem i zwodzie, wyłączając go z obiegu na krótko. Drugiego nie trafił już w szczękę lewym sierpowym, tylko go musnął po nosie, za to przyłożył trzeciemu idealnie w jabłko Adama z łokcia w nieco przypadkowym odruchu na biegu wstecznym po tym mało udanym lewym sierpowym - trafiony wycofał się z walki, charcząc przepisowo. Kolejny napastnik przebiegł obok Parkera z prawej strony, jedynie markując uderzenie w locie, co Manny'ego trochę zdziwiło... a miało na celu na sekundę zaprzątnąć jego uwagę, by...

...następny przeciwnik mógł wskoczyć Parkerowi na plecy tak sprytnie, że nie dał się przerzucić przez głowę, bo mocno objął go ramieniem za szyję i zaczął dusić z całych sił na przeciwwadze. Inni zaś zaatakowali z pozostałych stron. Z wyczuciem cofając się Parker sięgnął do tyłu, złapał dusiciela za kołtun włosów i pochyliwszy się gwałtownie, cisnął nim ponad głowę o beton. W tym momencie dwaj kolejni fąfle chwycili go za ręce. Zakreślił nimi w stronę szeregu samochodów, gdzie udało mu się wyróżnić to jednym to drugim o kufry

wozów i pozbyć się tych kotwic. Ale zaraz zarobił kilka niezbyt silnych kuksańców w gębę od tego zaprawionego w podbródek, a sam oddał mu raz, lecz nad wyraz skutecznie.

Wówczas wydał okrzyk wojenny Manny'ego Parkera, taki ryk bojowy wywołany impulsem instynktu walki na śmierć i życie. I w tym bojowym „szale” przyładował najbliższemu wrogowi. Jeszcze jeden wskoczył mu na plecy, jednocześnie drugi rzucił się niczym rugbista, chwytając go za kolana tak, że w trzech runęli na beton. Leżąc próbował oswobodzić nogi, lecz ten, który go fachowo podciął, przyciskał mu je pierśią do ziemi. Pozostali obstąpili ich wokoło i zaczęli młóckę nogami - czemu ostatecznie miała ona służyć, nie potrafił za chiny ludowe zgadnąć. Mógł tylko walić pięściami we wszystko, czego zdołał dosięgnąć, trafiając raz mocnej, raz słabiej. Słyszał przekleństwa rzucone pod swoim adresem, okrzyki bólu, sapanie z wysiłku i coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać. Aczkolwiek podczas takiego absurdalnego starcia, wyładowywania agresji typowej dla tego rodzaju bijatyki z przeważającymi siłami wroga, zawsze zastanawiało go to, po co się bije. Nawet trochę się sobie dziwił. I nie umiał tego uzasadnić właściwie. Zwłaszcza teraz.

Nie ma nic lepszego, John, jak nieść pomoc bliźnim, ponieważ Dobro powraca, tak samo jak Zło. Uwierz mi na słowo, John... Kiedy ślepiec usłyszał te słowa dobiegające z głębi wspólnej ŚWIADOMOŚCI, zorientował się, że było już na nie za późno, właściwie zabrzmiałyby od razu, gdy ujrzał tych sześciu przeciwko jednemu, obecnie były jednak jak gdyby pretensją, że sam nie pomyślał o tym wcześniej, czy wręcz szyderstwem.

Ktoś kopał Parkera w głowę, choć niezbyt celnie ani boleśnie. Ktoś z podobnym skutkiem walił go w brzuch. Ktoś trzymał za ręce, ktoś za nogi. Przegrywał na całej linii. Pomiedzy ciałami tego bitewnego chaosu mignęła mu wystraszona, przejęta zgrozą twarz faceta, który wysiadł ze swojego czarnego pikapa gmc i stanął jak słup soli - oniemiały ze strachu czy z zachwytu - zamiast uciekać stał jakże cicho. Potem, prawem przewagi silniejszego, coś trafiło Parkera w lewą skroń i w głowie rozdzwoniły się mu wysokotonowe dzwoneczki, eksplodowało też tysiące barwnych świateł, które wirując odpłynęły w ciemność i zgasły tam niczym zamierające fajerwerki na pokazie sztucznych ogni: coś ślicznego, i przemilego zarazem. Prawie wiedział już, jak nazwać to coś...

Kiedy się ocknął, dookoła nie był nikogo, tylko po stronie windy, a może z przeciwna, od strony wjazdu-wyjazdu z parkingu, cichło pogwizdywanie ślepca: motyw przewodni z *Misji Niemożliwej* - echo czy pogłos spisku? Nie oszukuj się, pomyślał rezolutnie, Życie nie dostarcza aż takich emocji, żeby od razu mówić tu o spisku. Inaczej **ICH** nie przechytrzysz. Podźwignął się ostrożnie na równe nogi, badając obrażenia ciała. Jądra bolały go najbardziej, tępy, obezwładniającym psychikę bólem, a prawy bok i lewa skroń puchły w ekspresowym

tempie. Przy każdym oddechu przeszywały go ostre igły bólu pękniętych żeber. Mimo to podreptał w kierunku swojego forda mustanga, otworzył klapę bagażnika i wyjął z wnętrza mały płaski metalowy neseser. Teraz już mógł iść dalej. Jak zawsze nie miał innego wyboru, bo grał o czyjeś Życie...?

A czas uciekał, zauważył najważniejszy Supergracz.

Gdy Morkis nacisnął klawisz pilota, z sześciu małych i dużych kolumn głośnikowych, odpowiednio rozstawionych w gabinecie, popłynęła melodia: cały pełen meloekspresji motyw przewodni z *Misji Niemożliwej*. Muzykę słyszeć było tak cicho, że ledwie graniczyła z progiem wyraźnej słyszalności, ale jej dynamicznie ekscytujący rytm zaczął szarpać synapsy ich szarych komórek, kreując wyobrażenia z perwersją godną wyzwania, przed którym stanęli. Potrafił usypiać zdrowy rozsądek i wyostrzać zmysły tak, by mogli poczuć wyrafinowany smak ryzyka i napięcia, zapach niebezpieczeństwa i strachu, dotyk Dobra i Zła. Pozwalał zobaczyć i usłyszeć zwiastuny przeżyć dla nich dotąd nieosiągalnych. Wysokie tony uskrzydlały wyobraźnię, niskie zaś borowały tunele, by z głębin podświadomości teleportować czynnik psi do powierzchni źródeł ich świadomości. Co za melochwila.

*Pod wpływem jej przesłania Alex skojarzył, że skoro w prawdziwym życiu groźnym sytuacjom nie towarzyszy odpowiedni podkład muzyczny, wytwarzamy go sami w podświadomości. W filmach zaś i w tej Grze, dzięki odpowiedniej muzyce, od razu można poznać, kiedy ma się wydarzyć coś „złego”, coś doniosłego w tym sensie. Tak było na przykład, gdy przy motywie przewodnim z filmu **Szczęki** Aleksowi serce podskoczyło do gardła, i to było dziwnie miłe. Lubimy wiedzieć, kiedy na filmie ma się wydarzyć coś złego. Cisza automatycznie daje nam poczucie bezpieczeństwa, i lepiej się czujemy, gdy wiemy, że o niebezpieczeństwie uprzedzą nas odpowiednie dźwięki, tony, takty. Ale w prawdziwym świecie jest inaczej. Wszystko też może się zmienić w ułamku sekundy, lecz próżno tu liczyć, że przed tym, co ma się złego wydarzyć, ostrzeże cię podkład dźwięków rzeczywistości.*

A Alex był teraz odcięty przez Grę od swojej realnej rzeczywistości i to było niebezpieczne.

- Ile miałyby kosztować najtańsza usługa likwidacyjna, że tak powiem? - dopytywał się dalej Mały Joe, nerwowo poprawiając swoje usadowienie w za dużym jak na niego fotelu, ponieważ przed chwilą z wrażenia, że od tej drapieźnie ekscytującej muzyki włoski na karku stanęły mu dęba, i puścił bezgłośniego bączka. Potem zaczął się wiercić jeszcze bardziej. Włożył ręce do dolnych kieszeni marynarki, po czym pomacał się po górnych kieszeniach, jakby szukał jakiegoś drobiazgu. Wszyscy zwrócili na niego uwagę. Speszony, wyjaśnił:

- Nie wiem, gdzie posiałem okulary. Mam nadzieję, że ich nie zgubiłem po drodze. -

Zastygł w bezruchu, skupiając uwagę na przypomnieniu sobie nieodległej przeszłości, co było wyraźnie widać na jego uduchowionej muzy twarzy. *(Jako swoisty meloman Alex nie bał się spojrzeć w oczy Gry, kiedy otworzyła melowrota do jego psychiki, ostrzegając tym samym, żeby grał fair do końca. Ale jeszcze było za wcześnie, żeby wyznać, co szykował, wiedząc, że tym „wyzwaniem” ICH zaintryguje. Jakże prawdziwe okaże się wówczas stare porzekadło: „Bądź blisko z przyjaciółmi, lecz z wrogami jeszcze bliżej”. Najważniejszym było to, by nadal grał bez żadnego planu, chaotycznie i bez użytecznych dla NICH komentarzy, bez... nadziejnie.)*

O ileż łatwiej współpracowałoby mi się tylko z jednym współnikiem, na przykład z Parkerem, zamiast z tą całą galerią postaci z komiksu zwanego Życiem, pomyślał Morkis i odpowiedział:

- Za mokrą robótkę trzeba by zabulić minimum pięćdziesiąt tysięcy... Plus koszty. - Zaznaczył gestem, że czeka na dalsze pytania, przyjmując na siłę niedbałą pozę, myśląc, jak dobrze byłoby strzelić sobie karniaczka, i walcząc z tą myślą jednocześnie. Łaknienie czy siła woli, zastanawiał się jakby na poły abstrakcyjnie, co w końcu zwycięży cię, koleżko?

- A jak my będziemy opłacani? - George zadał pytanie dnia, konstatając na drugim planie percepcji, że druzgoczący atak *Misji Niemożliwej* łamie wszelki jego opór, bo ta: *Muzyka nie zdradza cię, i jest jakby podróżą do upragnionego celu przez Życie pełne niebezpieczeństw.*

- Ten, kto znajdzie klienta dostanie dwadzieścia procent uzyskanej zapłaty netto za usługę. A ci, którzy będą brać udział w realizacji związanych z tym zadań, po dziesięć procent. Reszta pozostanie na koncie Spółki, czyli moim. Przy większych zleceniach, o wartości powyżej stu tysięcy, zasady podziału zostaną ustalone, gdy taki przypadek wystąpi.

- Ile dostanie ten facet od mokrej roboty? - Max Platt poruszył tę kwestię tak niespokojnym głosem, jak gdyby odpowiedź miała dla niego istotne znaczenie. Odruchowo pocierał prawą dłońią po wciąż swędzącej twarzy, niedawno zoperowanej plastycznie. Myślał precyzyjnie, chciał wszystko całkiem fachowo przekalkulować z uwzględnieniem wykładni kodeksu prywatnego detektywa, którym został zaledwie przed dwoma tygodniami.

- Tylko dziesięć tysięcy od łebka - odparł Morkis z chytrym, lekko błazeńskim uśmiechem na ustach. I z wyczuciem chwili przeszedł do ataku. - Co o tym całym pomysle sądzicie? Mówcie! Po kolei. Może zaczniemy od Toma? - zaproponował dość obcesowo, uśmiechając się zachęcająco do policjanta, który sprowokował go do tej propozycji grymasem bólu pełnym komicznej aprobaty dla całego zamysłu.

Czy to sprawiła logika faktów niedokończonych w przeszłości, czy raczej niezwykle

umiejętności negocjacyjne Morkisa, czy może nowy element Gry - podkład dźwiękowy w piątym wymiarze: ich myślach przyspieszających w rytmie muzyki (wciąż uznając czas za wymiar czwarty) - w każdym razie nikt już nie zaoponował, nie zachnął się, nie zakpił, a nawet nie kichnął krytykancko. Tak bardzo pragnęli odmiany Życia, czyli Życia w **odmiennej rzeczywistości**.

- Ja jestem za, a nawet przeciw - zażartował porucznik Tom McCoy, bo dobrze wiedział, że wiele prawd można wyrazić żartując sobie z kogoś. - Tylko chcę wiedzieć, ile mógłbym zarobić miesięcznie i czy muszę się zwolnić z mojej dotychczasowej roboty?

- Na razie moglibyście pracować tak, jak do tej pory, za wyjątkiem Alina, który od dzisiaj zostaje moim osobistym sekretarzem. Pilnie nadstawiajcie uszu i wyszukujcie potencjalnych klientów. Mam już pewien nietuzinkowy pomysł zdobycia olbrzymiej fortuny, która zrobi z was milionerów, ale do tego numeru musimy się przygotowywać i zgrywać przez dłuższy czas. To może zająć nam nawet rok lub dwa lata zabiegów, lecz zapewniam was, że się opłaci. W tej sprawie będę rozmawiać osobno z wybranymi spośród was wykonawcami. - Morkis zrobił dramatyczną przerwę, jakby oczekiwał oklasków od tych, którzy chcieli się załapać na ten tłusty kąsek. Jego nieco końska twarz wydłużyła się nader protekcyjnie, kamuflując obawę, że jakimś cudem już odkryli rzeczywiste sedno jego pomysłu - pułapkę.

Nareszcie wiem, na czym stoję, pomyślał Alin. Poczul, jak znowu na całej czaszce pojawiły mu się drobniutkie kropelki potu, jednak w tym momencie nie odważył się zetrzeć ich chustką, żeby całkiem nie obnażyć swojego niepokoju desperata. Już błądził myślami wokół pełnomocnictw, ofert sprzedaży akcji, EDSOP-ów, LBS-ów, IPO-ów, finansów, refinansów, zadłużeń, konwersji, prokurencji, paragrafów 8-K, 10-Q, bonów zero wartościowych, PiK-sów, produktów narodowych brutto, międzynarodowych funduszy walutowych, a także najmodniejszych gadżetów dla biznesmenów, milionerów, nieskończoności domysłów, przejażdżek superluksusową limuzyną, i znowu kaucji, lewych obligacji, kart kredytowych, czeków, kont bankowych, faktur, przelewów, a nawet pytania, czy powinien dalej subskrybować „The Economist”.

- Czy ktoś jeszcze będzie zatrudniony na etacie oprócz mnie? - zapytał półgłosem, który miał brzmieć niewspółmiernie spokojnie do jego rozgorączkowanego stanu ducha. Bóg daje każdemu przynajmniej jedną rzecz dobrej jakości, a w przypadku Alina to była jego pamięć - niewiarygodnie pojemna i dokładna. Kiedy coś go zaintrygowało, mogła być też dociekliwa.

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Aha... Soboty będą wolne?

- Generalnie tak.

- W takim razie z przyjemnością się zgadzam.

- Cieszę się. Jesteś pierwszy... ale zapewne nie ostatni. Taką mam nadzieję.

Przenikliwa muzyka dudniąco-wibrująca wysokimi tonami w tle ich rozmowy pobudzała w nich czynnik psi, który utkwiał już niezbyt głęboko pod powierzchnią ich świadomości, wywołując szaleństwo hormonów - inicjujące podświadome pragnienie nadania ich Życiu nowej wartości po przekroczeniu smugi cienia wyobraźni: pozbycia się dotychczasowej egotycznej tożsamości, permanentnego krzątaństwa i immanentnej nudy, zastępując je oryginalnym smakiem ryzyka, napięcia, niebezpieczeństwa i inspiracji twórczej, by Życie nabrało jedyne w swoim rodzaju znaczenia, wagi, sensu, istotności... adiustując się w niesamowitych wszechświatach przygód.

- Czy można zapalić? - zapytał mecenas Donaldson z pół - świadomie nasrożoną miną. Ponieważ był adwokatem, to w pomysł Morkisa dostrzegł głównie zagrożenie prawne dla siebie i automatycznie był mu przeciwny, mimo to jednak nie chciał zbyt szybko podejmować pozytywnej dla Morkisa decyzji, którą mu nakazano. Coś paradoksalnego było na rzeczy, tak mu się wydawało. Jakiś nowy element Gry? Bo w rzeczy samej, dla niego niepojętym było to: jak Peter mógł tak naiwnie sądzić, że wystarczy zaproponować im zawiązanie przestępczej Spółki, by bezmyślnie uznali, że Życie przestępcy ma głębszy sens i wartość? Ale widocznie gdyby to nie było aż tak naiwnie proste zjawisko Tajemniczości, po świecie pałętałoby się o wiele mniej przestępców. Wychodząc z tego założenia, Morkis musiał jedynie wybrać odpowiednich kandydatów na współników. Na zdrowy rozum nie było to zbyt trudne, aczkolwiek nie mógł przewidzieć, że penetrując otaczającą go rzeczywistość, wyłapie akurat ich dwóch - głęboko zakonspirowanych tajnych agentów.

- Oczywiście! Może ktoś ma ochotę na cygaro? Hawańskie! - Gospodarz podniósł się z kanapy i nachylił do biurka. Odsunął na bok egzemplarz „The Wall Street Journal”, przysunął do siebie okrągłą, misternie rzeźbioną szkatułkę z kości słoniowej, perfekcyjnie kontrastującą z czernią hebanowego blatu. Otworzył ją, po czym odwrócił się i popatrzył po siedzących gościach, zaciekawiony, który z nich wykaże chęć na jego cymes.

- Ja spróbuję, chociaż nie palę. - Świeżo upieczony prywatny detektyw, Max Platt, poderwał się z fotela, jakby go coś ugryzło i zbliżył się dwoma szybkimi ruchami do biurka. Zanim sięgnął po cygaro oraz nożyk do obcinania jego końcówki, po drodze rozpiął białą lnianą marynarkę od Alana Flussera. - Bardzo dawno temu miałem tę przyjemność wypalić dobre hawańskie cygaro i było to niezwykle owocnym zajęciem. Może teraz także przyniesie

mi szczęście - dodał z nadzieją, że nie zapeszył sprawy tym życzeniem, i podrapał się po wierzchu prawej dłoni ze zmysłowym grymasem ulgi na twarzy.

- *W paleniu cygara jest coś majestatycznego i mistycznego zarazem, niby podróżowanie latającym dywanem po odległych i nieznanach krainach fascynującego świata wyobraźni* - wyrecytował Morkis i ze znanstwem wybrał sztukę dla siebie. Powąchał z rozkoszą swoją wybranekę, wyginając do tyłu wysokie, szczupłe ciało w batystowej czarnej koszuli ze stójką od Valentina, spod której wystawał, jak koloratka, biały podkoszulek Comme de Garçons, i wypuścił głośno powietrze z płuc, nieruchomiejąc na chwilę, kiedy dorzucił: - Papierosy są tam. - Wskazał ruchem głowy srebrne pudełko leżące na biurku. - Pall malle, jeśli komuś odpowiadają.

- Peter, wyglądasz dzisiaj całkiem, jak ten ksiądz w *Ptakach ciemistych krzewów*, którego grał Richard Chamberlain - zauważył McCoy z tym swoim przesadnie brooklyńskim, kpiącym akcentem. Ogarnęła go nagła chęć, by pomóc Peterowi w namowach przewrotnym sposobem. Należało czym prędzej sprowadzić go na ziemię.

- Nie znoszę księży - nastroszył się Morkis - i muzeów również, jak dobrze wiesz, panie Czepialski. I po co te wszystkie aluzje, ta ironia, ten opór. Nie szkoda ci dowcipu do tych głupstw. Bo obojętne, czy było to zamierzone *faux-pas*, chodzi o to, że nie skończy się dobrze dla ciebie.

- Znowu dałem plamę? Wybacz. Mam dzisiaj dziwne skojarzenia, choć on nie grał złego człowieka - zaczął się bronić Tom, ale wciąż drwiącym tonem.

- Złego człowieka, co masz na myśli? - Morkis nie był pewien tej aluzji. Patrzył na masywną postać Toma McCoya, dominującą wśród nich, a ten dał mu ostrzegawczy znak ruchem głowy i zadziornie łypnął na niego spod przymrużonych powiek: zgadnij!

- Diabła w przebraniu. - McCoy z palców zrobił rogi nad swoją głową i jednocześnie skrzyżował stopy, a efekt był taki, jak gdyby fatalistycznie przepowiedział ich wspólny Los.

- Takim mnie widzisz?

- Nawet gorszym.

- O rany! Nie będę mógł spać! - Morkis przełknął swój niesmak z uśmiechem niewiniątka. Wiedział, że po twarzy zawsze widać, kim, kto jest naprawdę, więc musiał się odciąć:

- Złysiało ci, zgrywusie?

Przysłuchując się im, Max Platt obciął koniuszek swojego cygara i przypalił je ciężką, pozłocaną zapalniczką ronsona, którą podał mu Morkis. Wolniutko zagłębiwszy się w fotelu, z lubością pyknął pierwszego rytualnego dymka - skupienie nad tą ceremonialną czynnością

widoczne na jego pełnej uroku twarzy „brzydala” nie zdradzało, że podobnie jak reszta zebranych uważnie obserwował bitwę o formę przywództwa pomiędzy Morkisem a McCoyem, wiedząc z góry, jak ona się skończy.

Alin Mearns natomiast żałował, że nie zabrał ze sobą swojej ulubionej fajki z korzenia wrzośca, którą kupił sobie niedawno na pamiątkę pewnego szczęśliwego dla niego zdarzenia. Przepadał za zapachem dymu z wypalanego w niej tytoniu o nazwie „Tajfun” z Wirginii, chociaż dym z papierosów źle znosił, więc skrzywił się kwaśno i odwrócił wzrok od palaczy. Widział w Morkisie oryginalnego człowieka, który był mu potrzebny, by odmienić swoje nieciekawe Życie. Czuł, że coś go do Morkisa przyciąga i że znajdzie u niego zrozumienie. A Alin pilnie potrzebował zrozumienia, ponieważ męczył go rozrastający się w nim obszar niepewności duchowej - paranoja meegapamięci.

- Zapalę swojego - oznajmił mecenas Donaldson, z kieszeni koszuli wyciągając zielone pudełko dunhilli i maleńką srebrną zapalniczkę z kieszeni spodni popielatego koloru, komplet od Armaniego. Z reguły mało pił i niewiele palił, bo nie miał na to czasu, a pod wieloma innymi względami także był kreskówkową wersją typowego adwokata. - Czy znajdzie się tu jakaś popielniczka dla mnie?

- I dla mnie również. - Dziennikarz Rex Bardham właśnie zaciekle wydlubował ostatniego papierosa z paczki kentów. Coś - myślał, że był to po prostu nowy entuzjizm emanujący z siedzących obok ludzi - powstrzymywało go przed walnięciem w stolik z czarnej laki i krzyknięciem, żeby nie dali się zaczarować tej gadce i spieprzali stąd, póki jeszcze jest czas.

To pewnie ta ezoteryczna muzyka, pobudzająca szybkim rytmem wysokich i niskich tonów, powodowała, że czuł się na tyle oczarowany, by zamilknąć.

W ostatnich promieniach zachodzącego nad dachami wieżowców słońca wydłużone pajęczne cienie ich postaci rozpełzły się po ścianie niczym ponure memento. I owszem, tak posepnie czuli się przed kwadranssem. Ale teraz wszyscy mieli wrażenie, że ten dewiacyjnie inspirujący utwór muzyczny, lekko demonizując tło konwersacji, odmłodził ich o co najmniej dziesięć upiornych lat niesamowitych przygód. Nie było to coś rozstrzygającego, ale miało swoją wagę. Z całą pewnością miało swoją wagę.

Z tą świadomością Morkis pozegłował do barku. Wyciągnął z niego trzy popielniczki z alabastru. Jedną postawił na stoliku (o ile dobrze był poinformowany) zakochanego z wzajemnością prawnika, drugą wręczył prywatnemu detektywowi (ponoć zawziętemu, jak pies gończy, gdy wpadnie na trop), a trzecią odebrał od niego znany z zawodowej dociekliwości dziennikarz. Dla siebie Morkis ściągnął z biurka małą drewnianą miseczkę

wotywną, którą dzisiaj w prezencie przyniósł mu Parker. *Jak to możliwe, że moja świadomość „widzi” coś innego, niż dzieje się na ekranie wizuafonu?, zdziwił się w duchu Alex. Bo czegoś dziwnie się boję. Tego, że w miejscu obecnej akcji zaszła złowróżbna zmiana, nie w rzeczywistości, ale w sposobie, w jaki ją postrzegam. Światło słoneczne wpadające do pokoju, w którym siedzieli goście Morkisa, stało się mniej jasne - mniej widoczne, a bardziej wyraziste zrobiły się cienie postaci. Każda plama ich cienia była bramą, przez którą mogła wkroczyć na scenę antypostać i wcielić się w któregoś z nich. Częścią świadomości Alex rejestrował jak: Morkis przypalił sobie cygaro z widoczną na twarzy dumą ze swojego konceptu, jakby był człowiekiem, który zawsze szukał kogoś, przed kim mógłby się chwalić czymkolwiek, zdając sobie sprawę, że dla nich będzie to tylko jego kolejna poza. Potem zmuszał każdego do wyrażenia swojego zdania na temat współdziałania w ramach osobliwej Spółki. Pierwsi pytani: Tom i George, nie wzdragali się od podjęcia współpracy, pod warunkiem, że nie będą musieli zwalniać się ze swojej dotychczasowej pracy, żywiąc nadzieję wzbogacenia swojego Życia o coś, czego im brakowało... a kątem oka świadomości widział sytuację na ulicy, która skłaniała go do zastanowienia się nad pytaniem: Czym jest oswojacz internetowy? W nim musi być **COŚ**, założył, po czym pchnął to „**COŚ**” przed siebie.*

- A ty, co o tym sądzisz, Max? - Morkis dotarł do detektywa. Mówił teraz prawie wesoło i bez specjalnego namysłu. - Co wykombinowałeś?

- Ja uważam, że śmiałe idee są jak pionki w szachach: mogą być zbite, ale rozpoczynają zwycięską partię. Jestem z tobą - śmiało zdecydował detektyw. W jego głosie brzmiał uśmiech - wewnętrzny.

Wówczas Peter Morkis - człowiek-kameleon - uśmiechnął się w końcu szczerze i powiedział prosto z serca, z teatralnym patosem godnym wieszczki:

- Pamiętajcie: tylko pierwszy krok jest trudny, a szczęście od pecha oddziela nieprzewidywalne zdarzenie, lecz szczęściu trzeba umieć pomagać, odpowiednio planując każdy następny krok.

- A jak będziemy się kontaktować między sobą? - Za prozaicznie prostym pytaniem porucznika McCoya kryło się wieloletnie doświadczenie oficera śledczego, który swoim odwiecznym zwyczajem po zadaniu pytania przekrzyżował stopy odwrotnie i dodał: - NSA podsłuchuje wszystkie rozmowy telefoniczne z nastawieniem na określone słowa alarmowe.

- Pomyślałem i o tym - odparował Morkis. - Dla bezpieczeństwa, George przygotowuje jak najszybciej, bezpiecznie kodującą komórkę dla każdego z nas, by naszych rozmów nikt nie mógł podsłuchać. To jego najnowszy i tajny wynalazek. Wyłącznie do łączności pomiędzy nami. - Popił łyk ze szklanki, po czym otarł wnętrzem lewej dłoni świeżo

zapuszczanego węża. Przestał już dbać o dobre maniery i czarowanie tak, jak na początku spotkania, odczuwając w czubie głowy miłe falowanie szumiącej jak ocean euforii. Był pod wielkim wrażeniem tego, co się stało. Tej więzi, która ich wreszcie połączyła.

- Nie ma problemu. Na pojutrze przygotuję taki sprzęt. - George zobowiązał się nader chętnie. Uszczknął już niejedną łyk piwa, rozgrzewając się do dalszej indagacji. „Oto - mówiła do Morkisa wyzywająca mina George'a - jest ktoś, kto ci nie da się ograć”.

Ograć?, sarknął w duchu Alex. A skąd się wzięło to, co ja przed sekundą słyszałem w wyobraźni: poświstujące dźwięki strzelającego lasera, wycie trafionego zbira, klekotanie monety wrzuconej do publicznego aparatu telefonicznego na tle katarynkowej muzyki, co? No i dlaczego pragnąłem odczuć rozkosz chwili, gdy ktoś błaga o życie? Albo kiedy masz ochotę zrobić coś strasznego, ale się boisz...? Boję kliknąć na ikonę: „A co słyszać w Pekinie...?”, bo nie wiem jeszcze, do czego zmierza Gra? Mylące kwestie - to przecież jej specjalność, jakby żyła własnym życiem - gdy mój los zależy od tego, czy dam się ograć. Jeśli przegram, nic nie będzie już miało znaczenia. Nawet to, że Sonia przyprawiła mi rogi. Ani to, że się niczym nie zdradziłem, że nie dałem się rozszyfrować. Ale gdybym wygrał, ta Gra będzie trwać nadal, nawet beze mnie, aż do końca.

Po deklaracji George'a Morkis mógł zrećznie powrócić do głównego tematu rozmowy:

- Zarówno policjant, jak i adwokat czy detektyw, stykają się z osobami, które nie mogą czasami liczyć na to, że urzędowy wymiar sprawiedliwości wypełni swoją rolę wobec ich wrogów. I takich klientów trzeba z rozwagą kierować w nasze ramiona. Oczywiście tylko wtedy, gdy są wypłacalni. - Wykrzywił twarz prowokująco. „Człowiek jest taki jak jego myśli” - dobrze znał tę sentencję i pod nią grał. Serce w nim rosło, kiedy widział, jak wpadają w jego sidła. - Zobaczycie, to będzie jak branie udziału w czadowym filmie akcji, którego jeszcze nigdy nie widzieliście.

Perwersyjnie inspirujący motyw przewodni z *Misji Niemożliwej* nagle się skończył. Ale jego swoisty meloczar trwał nadal. Był silny, lecz należało go wzmocnić, by odnieść pełny sukces. Kontrastowo spokojniejsza melodia z *Różowej pantery* zaczęła tonująco punktować ich podświadomość nowym wyobrażeniem własnego „ja” - ekstraktem wizji twardziela w nowej rzeczywistości; i jak na zawołanie ostatnie rześiste światło słońca znikło całkowicie za burzowymi chmurami kładąc szary cień w całym pokoju, umacniając nastrój Tajemniczości tego misterium konsolidacji ducha.

- *A propos* wypłacalności powiem, że śniły mi się dzisiaj pieniądze. - Tom McCoy uśmiechnął się na poły drwiąco, na poły smętnie, pocierając wierzch prawej dłoni. - W

proroczym śnie, mam nadzieję. He he. - Prawdę mówiąc, miał wrażenie, jakby to wszystko też było jedynie snem, i lada moment coś niebywałego się wydarzy, co go obudzi, przerywając tę ułudę.

- Tak? Bo mi też śniło się dzisiaj coś podobnego - przyznał się Max Platt z rozbijającą powagą. - Czy teraz też swędzi cię prawa ręka?

- Owszem. Od czasu do czasu wyskakuje mi takie uczulenie. Taki wykwit chciwości. - Porucznik filuternie przymrużył oko. - Zawsze po takim samym śnie. - No już, pomyślał z ulgą, powiedziałeś to głośno, już się stało. Teraz zobaczymy, co z tego żartu wyniknie.

- Mnie przytrafia się to samo, odkąd pamiętam - wyznał wciąż całkiem poważnie detektyw. - Ale to już tak stare dzieje, że nie do wiary, jak ten czas szybko leci - dodał nostalgicznym tonem, jak gdyby raptem zatęsknił za młodością.

- Nie pamiętam dokładnie, od kiedy to swędzenie pojawia się u mnie - stwierdził policjant - lecz na pewno od bardzo dawna. - Był zaintrygowany opcją katharsis, ku której od kilkunastu minut zmierzali wspólnie, zbaczając nagle - przypadkowo? - na tak banalny wątek dyskusji, decydującej przecież o ich dalszym Losie. A chciał tym banałem zwrócić ich uwagę na niuanse współzależności, którą zaczęli tworzyć.

Max poczuł wyraźną konsternację. Zrozumiał, że coś niezwykłego łączy go z Tomem. I naraz wszystkie ograniczenia mentalne - jeśli w ogóle jakiegokolwiek w nim istniały naprawdę - wydały mu się proste i łatwe do pokonania. Panowie, to... nie... jest... tylko... Gra! - chciał wyskandować ostrzegawczo, jednak nie mógł wydobyć z siebie tyle buntu czy raczej sprzeciwu, choć oni tego nie widzieli. Zakłopotany, nawet wyciągnął rękę, by zwrócić na siebie większą uwagę, a... dłoń zawisła w powietrzu w połowie ruchu, cofnęła się i spoczęła na piersi. Co za ulga! Lepiej się teraz nie wychylać. Więc jedynie spróbował uściślić:

- Czy śnią ci się płonące pieniądze, z których próbujesz wyłowić banknoty, parząc sobie przy tym prawą dłoń?

- Właśnie to mi się czasem śni. Dzisiejszej nocy także. - Tom McCoy ponownie podrapał się po wierzchu prawej dłoni. Popatrzył na niego, zwrócił się w myślach do Joego, zerkając na niego. To jest dopiero zabawa w rozwiązywanie zagadek rzeczywistości głównie wykreowanej przez media w naszej wyobraźni.

- To bardzo dziwne. Mnie dręczy taki sam sen i też mam uczulenie na prawej dłoni. Popatrz. - Max wyciągnął w stronę Toma prawą rękę. Na wierzchu zaciśniętej pięści widoczne było małe znamię: czerwona obwódka i zsinienie w środku. McCoy pokazał swoją dłoń. Jego znamię było niemal identyczne. Sen jako nowy element Gry wreszcie zaistniał na scenie jak konkret.

(Alex zamarkował kiwnięcie głową z aprobatą dla sensu tej sceny, ale był to zaledwie cień ruchu, który miał sprawdzić, czy program Gry w jakikolwiek sposób na niego zareaguje. Gdyby zareagował, Alex chciał wykorzystać w Grze także „odpowiednio skupione myśli” - intencje zmieniające materię na poziomie subatomowym. Pragnął tchnąć życie w admonicje podszeptu podświadomości, gdy się pojawi: „ONI zaraz przyjdą tu; ONI zaraz wezmą cię”.)

- Zaskakująca zbieżność, co nie? - zauważył porucznik.

- Znamy się już kilkanaście ładnych lat, a dopiero teraz zgadaliśmy się o tym dziwnym śnie. - Z niejasnego wrażenia, że wraz z eutyfronicznymi dźwiękami muzyki jakieś dziwne szczęście zawisło mu pod sufitem, zupełnie zapomniał o bolącym zębie; było to uczucie tak rzadkie u niego, że na początku zidentyfikował je błędnie jako alkoholowy szmerek.

- Jak to możliwe, abyśmy śnili taki sam sen? Czytałem gdzieś, że takie rzeczy zdarzają się wśród rodzeństwa, a przecież my nie jesteśmy rodziną. - Demonstracyjnie drapiąc się po dłoni, Max Platt sprawiał wrażenie dziwiącego się, ale nie do końca. Bo za każdym razem, gdy swędziała go ta ręka, zdobywał coś cennego - miał nadzieję, że i dzisiaj ta passa się nie przerwie.

- Na pewno nie jesteśmy rodziną, lecz może faktycznie coś istotnego nas łączy? - Rzucając tę uwagę, Tom McCoy poczuł w sobie tę samą złowrogą siłę, która pozwoliła mu poprzednio namówić Joego, by towarzyszył mu na tym spotkaniu.

- Ba! Tylko co? - podchwycił Max Platt. - Może jakiś unikalny gen? Albo... jakaś choroba lub po prostu łut szczęścia.

Wnioskując z tej paplaniny, że najgorsze ma już za sobą, Peter Morkis zaklaskał głośno, po czym wyjął cygaro z ust.

- Brawo! Śmiałem się i płakałem, lecz do końca wytrzymałem! Panowie! Tu nie kółko medyczne, pogadacie sobie kiedyś indziej o swędzeniu nawet na dupie, a teraz wróćcie do naszej szarej rzeczywistości. - Zaciągnął się dymem z cygara z miną właściwego człowieka na właściwym miejscu. Wydmuchał go specjalnie w kierunku wielkiej muchy krążącej z głośnym bzyczeniem przed jego twarzą. Usiłował też pozbyć się tego tryumfalnego dławienia w przepalonym cygarem gardle, bezskutecznie łamiąc sobie głowę nad znalezieniem bodaj jednej myśli, która nie byłaby za głupia dla tej „szarej rzeczywistości”, bo w niej przecież tkwili do tej pory jak skazańcy.

Ktoś nareszcie kichnął, ktoś inny westchnął, ktoś nawet cichutko beknął. Ale jakoś nikt nie odważył się nawiązać do tej bezczelnej odzywki Morkisa. Poza tym - co Morkis zauważył z prawdziwym zadowoleniem - czar magicznej muzyki się wzmacniał. Nowy rytm jak intrygująca zjawia skradał się, śledził, czaił się, wystawiał oko z za węgła, tropił ofiarę. To

uczucie oczarowania wyzwaniem rzuconym niebezpieczeństwem, z którego początkowo niejasno zdawali sobie sprawę, teraz już bardzo wyraziście ogarnęło ich dusze; dusze, w których nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę gra. GRA - był to też skrót myślowy Petera Morkisa, kryptonim, którego prawdziwego znaczenia jeszcze nie poznali; myśl przewodnia na całą resztę ich Życia.

Niech się spełni, powtórzył w myślach Morkis.

- No to wypijmy teraz za pomyślność naszej Spółki - zaproponował po tej niewielkiej przerwie w dyskusji, podczas której czekał na dalsze pytania czy uwagi, lecz żadne nie padły.

Spełniwszy toast, milczący do tej pory, choć doświadczony w medialnych bojach, reporter Rex Bardham spojrzał na Morkisa zmęczonymi oczami nieszczęśliwego samotnika. Ostatnimi czasy dla niego dojmująca szarość rzeczywistości przechodziła już w czerń - zbombardowanej zawodowym pechem bieli; w jego głowie wciąż kręciła się czarno-biała papierowa taśma drukowanej gazety, gdzie każdy artykuł był rozmazanym obrazem: to krwi lejącej się z bankomatów, to kobiet rodzących poza szpitalem, to zmrożonych, choć martwych embrionów, to ludzkich wnętrzności w śmietniku, to stanu śpiączki niemowlaków, duszenia w sobie krzyku o pomoc, głowic nuklearnych w momencie wybuchu, a nawet totalnej zagłady świata po uderzeniu meteorytu. Siedział pośrodku tego towarzystwa, wysłany, lecz nieodebrany, i nikt z nich nie pytał nawet, kim był w rzeczywistości.

- A do czego ja mogę się przydać? - nie wytrzymał naporu tego pytania w swojej głowie. W jego głosie zabrzmiał ton lekkiej pretensji, że musiał sam o to spytać.

Morkis zreflektował się błyskawicznie, jak należy zareagować. Szybko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Chłopie, co za głupia odzywka!, i podjął rzucone wyzwanie - posłał mu najczarowniejszy uśmiech ze swojej kolekcji.

- Ty, okryty sławą, bo wykryłeś największą medialną aferę stulecia, na pewno natrafiasz na coś podobnego. Czym się obecnie zajmujesz?

- Wiesz przecież, że od kilku miesięcy prowadzę własną niezależną agencję informacyjną. - Dziwna rzecz, że wszystkich nas łączy pewne podobieństwo, zauważył Bardham nie mogąc oprzeć się tej ostrzegawczej myśli, pewna wspólna wiedza. Coś głębokiego, niewzruszonego, a zarazem elastycznego w sposobie myślenia - jakiś nowy element Gry. Tajemniczość?

- I o to chodzi! Poszukujesz interesujących afer, skandali, tragedii, to może być właściwy materiał również i dla nas - podbudował go Morkis, starając się zręczną rekonfiguracją argumentów przechytryć kolejnego współnika - no nie, tygrysie?

- To prawda, że mam swoje sposoby, by wynajdywać czyjeś brudy i przerabiać je na

gotówkę, ale bywa różnie - pozalił się Rex. Podobnie jak Tom McCoy z powodu bólu zęba, był w kiepskim nastroju dlatego, że finansowo cienko prządl.

- A widzisz! Niektóre sprawy mogą cię przerastać, wtedy my możemy się tym zająć. Szybko się dogadamy, jak wyniuchasz coś ekstra ciekawego. Nie martw się już, z nami nie zginiesz. - Morkis nadał się huraoptymizmem jak indor i uniół ręce w geście, który mówił, że nie ma nic do ukrycia. - Pamiętajcie, że... - niespodziewanie urwał zdanie i po precyzyjnie odmierzonej chwili ich domysłów dorzucił: - Że żyje się tylko raz!

Nagle zapadło niezręczne milczenie konsternacji - ostatnia chwila do opamiętania się? - bo gdzieś w tle tej sceny jakby zagrały ostrzegawczo wielkie trąby, których nikt się nie spodziewał. Wspólnicy siedzieli jak zahipnotyzowani, próbując znaleźć kwintesencję swojej przydatności dla tego raczej szalonego przedsięwzięcia. Było to tak dramatycznie poważne milczenie, że wprost groźne w następstwach. Prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo wysoki wzrostem i szczupły, wręcz przypominający kościotrupa, Peter Morkis potrafił być odpowiednio patetyczny, kiedy było trzeba - jak mało kto musiał z natury rzeczy być uniwersalnym Graczem, aby zwyciężyć w tej Grze.

- Otóż to. Żyje się tylko raz... - pierwszy odezwał się mecenas Donaldson - być może od teraz z jakimś sensem. - Z uśmiechem gasząc niedopałek papierosa w popielniczce, udał, że dopiero w tej chwili zmienił zdanie na temat pomysłu Morkisa, że wybrał przygody. - Przekonałeś mnie.

- Ale co to było za Życie przedtem? - określił się jednym tchem Mały Joe, wnikliwie wpatrzony w twarz Morkisa. Jeszcze raz badał jego podatność na hipnozę. Pozostałych zebranych uznał za nieodpornych na nią. - Bezsensownie stracony czas...?

- Przypomnę wam także, że każdy sam jest kowalem swojego Losu, i że ja was do niczego nie zmuszam. Trzymacie Życie we własnych rękach. - Tymi sentencjami Morkis ubezpieczał się przed przyszłym wypominaniem, gdyby coś kiedyś poszło źle, będąc z natury aż tak fałszywym człowiekiem, by dodać: - A co komu pisane, przed tym nie ucieknie, nieprawdaż? - Poczekał chwilę, by ktoś zaprzeczył na swoją zgubę, ale nikt tego nie zrobił. Potem planowo zmienił front. - Myślę, że już powinniśmy wszyscy zwracać się do siebie z większą empatią. Co wy na to, wspólnicy?

Spotkał się z powszechnym aplauzem wyrażanym rzucanymi półdaniami z poparciem tej sugestii. Padały następne propozycje równie doceniane, lecz on nadal obawiał się dać pełny upust swojej szczerości, bał się nazwać rzeczy po imieniu. Ale w tym momencie nie miał już innego wyjścia.

- Jeśli ktoś nie widzi siebie w naszej grupie, to niech teraz wyjdzie. - To zdanie od

dawna spędzało mu sen z powiek. Odciał nim pępowinę niepewności, wywołując jednak kolejne milczenie. Teraz albo nigdy, zreasumował swoje obawy, rozglądając się za śmiałkiem, który mógłby być niebezpieczny, gdyby opuścił to zgromadzenie.

Nikt nie podniósł się z miejsca, współnicy prawie znieruchomieli. Milczeli, spoglądając ukradkiem na siebie, a duch rodzącej się specyficznej solidarności unosił się już w powietrzu. Muzyka ucichła, lecz jej meloczar pozostał w ich duszach na zawsze; czar nowego pięknego świata, pomimo Zła czynionego przez ludzi; Zła, bez którego nie ma Dobra. Aczkolwiek w ciszy, która nastąpiła jak zwiastowanie, coś nowego dało się słyszeć...

Zło zacierało łapy z zadowolenia.

(Magik Nikolaï kichnięciem wypuszczał z nosa ćmy przekazów podprogowych - Rosja to stan umysłu!) Przeniesione jakby bezpośrednio z sennego koszmaru uczucie deja vu spłynęło na Aleksa fatalistycznym przekonaniem, że niczego już nie zmieni w tej rosyjskiej Grze, gdziekolwiek by kliknął. Ale podświadomość, ta perwersyjna świnią, potrafiła podsuwać najróżniejsze pomysły i czerpać z tego jakąś zбочoną przyjemność. Może właśnie na tym paranoicznym spekulowaniu na różne tematy polega szczególne przekleństwo życia, wydedukował, przesuując kursorem po kolejnej sążnistej liście propozycji wyboru dalszego ciągu Gry. Bez żadnego hamulca potrafisz sobie wyobrazić żonę kochającą się z twoim najlepszym przyjacielem lub najgorszym wrogiem, przyjaciela knującego przeciwko tobie nieczne intrygi czy syna popełniającego samobójstwo za pomocą wirtualnej rzeczywistości albo ćpania. Dlatego bał się majstrować przy detalach Gry pod wpływem bieżących skojarzeń, bo w ten sposób najłatwiej mógł zdradzić, jaką zemstę zaplanował dla Sonii, i że dzisiaj w tajemnicy ma się spotkać z Nikolaïem. A przecież globalna świadomość ludzkości obserwuje świat materialny jako... wirtualny, dzięki podświadomości pojedynczego człowieka. Najlepiej więc byłoby oszukać moją podświadomość tak:

KLIK...

FAZA OSTATNIA: +NIESKOŃCZONOŚĆ

Wybornie. Ludzie są zmienni duchowo jak prozaiczny Los człowieka, zauważył Lucas, podsłuchując współników Spółki dyskutujących w gabinecie Petera Morkisa. Akurat wychodził ze środkowej windy, nadal stacjonującej na osiemnastym piętrze. Zabrał z niej

polaroida, którym zrobił zdjęcie umieszczone potem na specjalnym ramiączku przed kamerą podglądającą wnętrze tej kabiny. Już go tam nie potrzebował, podobnie jak drugiego wiszącego przed kamerą podglądającą mały hol z rzędem trzech wind i korytarzem, gdzie zastrzelił czarnoskórego dryblasa. W wymytej z krwi, foliowej reklamówce ułożył w odpowiednio poręcznej konfiguracji: pistolet z tłumikiem, polaroida, dwa zdjęcia i ramiączka do ich prezentacji, po czym ruszył... w dalszą drogę przez labirynt prób i błędów wichrowych wizji narkomana. Kiedy nagle winda za jego plecami rozpoczęła bieg w dół, wygiął się w półobrocie nie przerywając marszu, ale w jego głowie zrobiło się o wiele ciszej, niż było jeszcze przed chwilą. Patrząc na wskaźniki położenia każdej z trzech kabin, zobaczył coś zupełnie nieprawdopodobnego (cisza w jego głowie stawała się wręcz nieznośna z powodu odkrycia, co ją wkrótce zakłóci). Oczy rozszerzały mu się ze zdumienia, usta rozwierały się... gdy lilaróżowo-szarobłękitna, półprzezroczysta, świetlista zjawia wskazywała mu „właściwą” drogę przez labirynt do celu, którym było zburzenie obu wieżowców World Trade Center: widział samoloty...

Na czternastym piętrze ochroniarz Ervin Mallon zdecydował się powrócić na osiemnaste piętro i zbadać tamtejszą przeklętą toaletę, która nie dawała mu spokoju z powodu wyczucia bijącej z niej aury śmierci. Na jego zegarku była godzina 15.30, kiedy nacisnął guzik przywoływania środkowej windy, ponieważ w jego gładko ogolonej łepetynie roily się już tak pomyłone pomysły, że zaniedbanie skontrolowania tej toalety w przypadku zaistnienia któregośkolwiek z nich, nie uszłoby mu płazem w sumieniu.

...Gdy tylko chciał, Manny Parker miał nieskazitelne maniery i nieodgadnione myśli z nimi związane, tak zwane kosmate fantasmagorie - były to chęci przeważnie idące w parze, jednakże nie zawsze. Najróżniejsze arcydziwne zdarzenia - fakty z nieodległej przeszłości - pojawiają się bowiem nagle jak mroczne zjawy, aby przypomnieć człowiekowi, jak kiedyś żył. Parker zaczął się niecierpliwić, czekając na windę w podziemnym parkingu. Chociaż nie jest to wcale takie złe, zauważył, pamiętać, skąd się pochodzi i jaką przeszliśmy drogę, choćby w ciągu ostatniej pół godziny. Zacisnął zęby i skoncentrował się jak nigdy dotąd. To, co miał zrobić za chwilę, było sprawą jeszcze bardziej problematyczną wobec faktów, które zaistniały w ciągu ostatnich czterdziestu kilku minut. Diabło ryzykowne nawet: być może, iż tylko on zdołałby to zrobić, ale...

...W zamyśleniu potarł swędzący zarost na podbródku i przezornie obejrzał się za siebie. Nakreślony przez nieprzyjazny Los obraz nabierał dla niego zaskakującej spójności - wszędzie było widać znaki Życia: samochody, którymi ktoś przyjechał, graffiti, które ktoś namalował, windę, która zjeżdżała z górnych pięter... lecz już ani żywej duszy dookoła. To

wszystko, co mu się przydarzyło w ciągu tych trzech kwadransów, w kontrastowym ujęciu swojego znaczenia, wyglądało jak czyste szaleństwo, choć niewątpliwie zostało finezyjnie zaplanowane, a szaleństw się nie planuje. Czarna seria napaści potwierdzała swoje reguły i troszeczkę go podpuszczała: - „Ja mam plan dla ciebie, emerycie”. Był to jednak jeszcze jeden niezrozumiały łańcuch skojarzeń i podejrzeń: kto za tym stoi? Jak w wypadku jego trafego przeczucia, że w końcu znaleziono zwłoki prawdziwego Carlosa - terrorysty stulecia, którego on... I tym sposobem stanął wobec problemu jak się patrzy: GRY. Mimo to nic się nie stanie - dodał sobie otuchy, słysząc hamowanie windy. Nie stanie się nic złego. Nic złego...

...Ależ oni lada chwila będą się ostatecznie decydować, zaniepokoił się tym, że zapomniał wyjąć z neseseru minisluchaweczkę podsłuchu. Po kilku szybkich ruchach naprawiających ten błąd włożył ją do ucha i włączył mikroodbiornik przypinany do paska od spodni. Musiał jak najszybciej dotrzeć do celu. Przełożył neseser z prawej ręki do lewej i już po chwili... podczas której zastanawiał się, co by było, gdyby to, co dzisiaj ujawnił mu Peter ze swojej Tajemnicy, było prawdą - albo wyjątkowym, do najmniejszych szczegółów przemyślanym kłamstwem... zaczął planować kontrę. Tyle że prawie natychmiast się z tego otrząsnął, bo kreacja - nawet utopijna - własnego prawdziwego i pięknego Życia okazała się dużo bardziej interesująca niż knucie.

...Tylko jak długo jeszcze będzie walczył ze sobą, by pozbyć się mitów o sobie? Kiedy ostatni raz złapie się na tym, że wciąż towarzyszy mu ten tajemniczy i ponury uśmieszek, spowodowany wspomnieniami tamtych dni pełnych emocji i blasku... cienia śmierci? Jak długo jeszcze taka myśl o przeszłości będzie poprawiać mu nastrój?... Dotknął palcem tętnicy szyjnej i przydusił ją odpowiednio, usiłując sprawdzić, czy mimo samooszukiwania się ma nadal przyspieszony rytm serca po tamtej bijatyce.

Przyglądał się drzwiom windy lekko zaambarasowany tym, co za nimi ujrzy - to wszystko - rozsuwały się tak strasznie powoli... i nagle: coś takiego! Znowu ktoś coś pogwizdywał. Tym razem był to intrygujący motyw z *Różowej pantery*. Choć Parker lubił podejmować błyskawiczne decyzje - odbiór, przetworzenie, działanie - wykorzystywał trwające zaledwie ułamek sekundy uchylenie drzwi oraz to, jak świat zwalnia swój bieg, żeby mógł przeskoczyć do innego zakątka akcji, ponownie dał się zaskoczyć wrażeniu, że w duszy również ta melodia mu GRA.

Aleksowi nie było łatwo pogodzić się z kolejnym przeskokiem Gry. Trawiony przeczuciem, że jednak nigdy nie zobaczy żadnego z fenomenów, których wepchnął w fabułę Trylogii Tajemnic, pomyślał: „Chiny” i pchnął także tę sugestię przed siebie.

- Znam kogoś z ferajny, z kim współpracuję od lat. Mógłbym mu ogłędnie szepnąć

słówko, co mnie teraz interesuje. - Porucznik Tom McCoy niechętnie zdradzał swoje nieformalne związki ze światem przestępczym - tą izolatką na oddziale zamkniętym, która służyła mu jedynie do leczenia mocno nadwężonej zdolności pozbywania się osobistego Zła. - Jeśli nie masz nic przeciwko?

- Skoro mu ufasz, to nie widzę przeszkód. Może wytropi dla nas coś ciekawego? - Peter Morkis dopił bourbona i rozejrzał się po szerokim gremium z rozbrajającym pytaniem na twarzy. - Komu jeszcze dolać powtórkę? - zaproponował nie bez zapachu. Strzepnął popiół z cygara i odłożył je na wotywną miseczkę. Niech się spełni, powtórzył w duchu po raz trzeci.

Nikt z zebranych nie odmówił rzuconej propozycji. W pokoju zapanował męski duch - zapach rozrzedzonego dymu tytoniowego, różnych wód po goleniu i dezodorantów: Xeryusa, Tuscany, Armaniego, Obsession, Polo, Grey Flannel, Antaeusa - odwaga, przebiegłość, wyrachowanie, pomysłowość, entuzjazm... zdominowały ich umysły, emanując z każdego słowa, ruchu i spojrzenia.

- Ja również współpracuję z kimś szemranym. - Prywatny detektyw Max Platt wyznał to z podobną niechęcią jak porucznik McCoy. Zastanawiał się, czy nie jest za późno, żeby zgłosić pewne zastrzeżenia. - Tom go zna. To złota rączka, genialny fałszerz dokumentów wszelkiego rodzaju. Mieszka w Filadelfii. Zaopatruję się u niego od wielu lat.

- Czysty Harry? - chciał się upewnić Morkis.

- Znasz go?

- Tom już mnie z nim skontaktował. Fałszywe dokumenty to podstawa każdej operacji. - Owo skwapliwe orzeczenie Morkisa podnoszącego się z kanapy miało na celu odwrócenie uwagi od innego aspektu sprawy: hibernacji ich poprzednich osobowości. Preferując od tej chwili taktykę „cała naprzód, a ostatni gryzą psy”, kształtował w nich patrzenie na świat pod innym kątem niż dotychczas. - Tak samo jak lewe komputery. Jedynie do oficjalnej działalności Spółki Eksportowej użyjemy kupionych na fakturę. A nasze wewnętrzne, tajne archiwum będzie istniało wyłącznie w nadzwyczajnej pamięci Alina.

- Zapomniałeś już, że nie można ufać nikomu - zweryfikował tę sugestię McCoy.

Morkis dotarł już do barku. Kłopot polegał na tym, że wciąż nie miał dość popijania dopalacza i właśnie to sobie z przykrością uświadomił: źle mu to wróżyło na Przyszłość.

- Pamiętam, doskonale pamiętam, jak od Życia dostałem za to nieźle w kość. Pomyśl jeszcze o tym. - Powiedział to takim tonem, jakby nie miał ochoty więcej rozmawiać na ten temat.

- Czy nie za dużo nas będzie do podziału zadań i kasy? - zreflektował się George Downs, odstawiając na stolik pustą szklanicę po piwie. Zgodnie z planem trzymał się nadal

roli oportunisty, a że był dewiantem seksualnym i do tego zupełnie pozbawionym poczucia humoru, zgryźliwie dodał:

- Gdzie kucharek sześć, tam nie ma...

I tu Morkis mu przerwał, dając sygnał ręką, aby współnicy kolejno zgłaszali się do niego ze swoimi naczyniami. Pierwszy podszedł Tom McCoy.

- Nie żałuj - szepnął. Jego szept był jak cichy jęk z bólu... ale nie zęba, tylko raka prostaty.

- Rzeczywiście, nie rozpędzajmy się tak od razu na starcie. Jeszcze tylko pilnie potrzebna nam jest inteligentna i ładna dziewczyna, która już była mężatką i potrafi się odpowiednio zachować wobec potencjalnych i przede wszystkim bogatych narzeczonych. - Przejęcie Morkisa rosło nie tylko podczas nalewania większej porcji dla Toma, ale też z każdym następnym słowem snucia planów na Przyszłość. - Może ktoś z was ma taką znajomą, która jednocześnie miałaby inklinacje do nietypowych interesów i chciałaby z nami współdziałać?

- Ja znam taką kobietę - oznajmił w spontanicznym porywie McCoy. Powróciwszy na swój fotel, dziwnie się poczuł: skonstatował, że stara miłość nie rdzewieje, choć po prawie pół roku namiętnego romansu okazało się, że jego praca i kawalerskie nawyki są jednak silniejsze od uczucia. Teraz miał nadzieję, że się nie pomylił z tym oświadczeniem. (*„Zdolność do zadawania bólu to największa broń miłości według doświadczenia Pająka”*. *Skoro miłość ślepa jest, dlaczego jaaa? - zanucił w duszy Alex. W tej Grze jest mnie coraz mniej, Rose. Smutno miii... Nucąc piosenkę Internetowych Szakali oczyszczał swój umysł, by móc usłyszeć szept Rosemary: - **Rosjanie to wszystko ukartowali.** - To było tylko ciche mruczenie po rosyjsku, jednak wystarczyło, żeby je zrozumiał. Kiedy rozejrzał się po ekranie wizuafonu, by ustalić, skąd ewentualnie mógł pochodzić, ów szept umilkł. Alex nasłuchiwał ze wzmożoną uwagą, ale nic więcej do niego nie dotarło. Żeby było śmieszniej, to raczej magika Nikołaja winił, że Gra nie była łatwa. Że coraz trudniejsze było nadążanie za zmiennością epizodów, za reakcjami własnego umysłu, za efektami ubocznymi antyGry, za HAKAMI.) - Powinna się nadawać, ale czy zechce się narażać, tego nie wiem, ponieważ jest niezależna finansowo.*

- No to przekonajmy się. Umów mnie z nią jak najszybciej. Wiesz przecież, że czas nie czeka na specjalną okazję.

- Jeszcze dzisiaj do niej zatelefonuję i postaram się umówić was na jutro. Ona ma dużo wolnego czasu. Jedyne szkopuł w tym, że mieszka w Troy, a to dwie godziny ostrej jazdy od Nowego Jorku. - Tom sporo upił ze swojej szklanki, spodziewając się, że to

spotkanie wkrótce się zakończy.

- Będę do jej dyspozycji o każdej porze - zdeklarował się Morkis, rzucając okiem to na Toma, to na tego współnika, któremu akurat nalewał drinka. - Mam pewien superowski pomysł, jak już wspomniałem, lecz wyjawię wam jego szczegóły dopiero po znalezieniu odpowiedniej kandydatki do głównej w nim roli. Także pozostali z was niech jeszcze szukają takiej osoby. Dobrze by było, żeby miała talent aktorski... znaczy się, to nawet jest niezbędny warunek. A ta twoja dziewczyna, Tom, czy ona posiada zdolności aktorskie?

Zasada numer jeden w interesach, przypomniał sobie w porę McCoy: „Najważniejsze zatrzymaj na koniec”.

- Sądzę... wiem, że zdecydowanie tak. - Pokiwał głową, by podkreślić swoją pewność rekomendacji. A w tej głowie już mu troszkę zaszumiało i na duszy nareszcie zrobiło się lżej, gdyż nie tylko ząb przestał boleć; Pan Rak chyba też się zdrzemnął.

- Tylko że, jak będzie o nas zbyt wiele osób wiedziało, z czasem zajmą się nami panowie w służbowych garniturach - ostrzegł przezorny Max Platt. Odruchowo podrapał się po czubku głowy, wśród włosów ostrzyżonych na jeża „zaswędziało” go wspomnienie z wczorajszego spotkania z dziwnym klientem w Klubie 21 przy Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy pod numerem 21 - czyli zaledwie kilkadziesiąt kroków stąd. - Tak to zwykle bywa w tym kraju, nieprawdaż?

Nieprawdaż? Nalewając piwo do szklanicy Maksa, Morkis wysoko uniósł krzaczaste brwi i zacisnął wąskie wargi na kościstej szczęce, jakby tą szczwaną miną człowieka przezornego chciał zneutralizować przyszły kłopot.

- Dlatego musimy twardo stąpać po ziemi i staranniej niż inni zacierać za sobą ślady - podkreślił wagę problemu również odpowiednią intonacją głosu. - O tym, że licho nie śpi, nie wolno nam nigdy zapominać.

Wspaniale! Dzisiaj zabawię się na całego, ucieszył się Lucas, próbując opanować dzikość swojej żądy mordy: piersi i gardło ścisnęła mu chęć wyrzucenia z siebie donośnego, chrapliwie zgrzytliwego, bezrozumnego okrzyku - wrzasku czystej radości spełnienia, mającej przerazić przeciwnika, który z brzękiem kluczy dyndających mu u paska od spodni wkroczył do ogólnodostępnej toalety. Kalkomania kalejdoskopu narkotycznych wizji psychopaty plus neurotyczne objawienie i fałszywe przekonanie o własnej nieśmiertelności - nie w takim stanie umysłu powinien stawić mu czoło, jednak Lucasowi było już wszystko jedno.

Przeświadczony, że ma przewagę wobec każdego z zagrożeń, które wymyślił, choćby ze względu na nieprzeciętną siłę fizyczną, doświadczenie byłego gliniarza i rewolwer marki

Smith & Wesson kaliber 38 Special trzymany w dłoni, Ervin Mallon pewnie myślał, że wie, co robi; pewnie marzył o ostatniej wielkiej przygodzie; pewnie liczył na to, że ma jednak zbyt wybujałą wyobraźnię, ale pewnie nie znaczy na pewno, ponieważ się pomylił, i to grubo... wkraczając do tej toalety.

- ...bo to jest Gra na śmierć i życie! - padło surowe stwierdzenie z wnętrza windy.

Z niedowierzania rybie oczy wyszły mu na wierzch. Zdawało mu się, że cała jego ostro ciosana twarz wyrzusza się do przodu w przemożnym pragnieniu powstrzymania biegu wypadków. Oto tu stoję jak gamoń, ja, Manny Parker - zabójca na zlecenie, zdawała się krzyżeć cała jego fizjonomia w obliczu zadawania mu śmierci z rąk szalonego ślepeca - nieślepeca, który strzelał do niego w tej właśnie nierealnej chwili. To kryształowo czyste szaleństwo, a nikt nie próbuje temu zapobiec!

Patrząc jak ślepiec, stojący przed nim z wycelowanym w serce Magnum 44 z tłumikiem, żywy, „pięciowymiarowy”, uzurpujący sobie prawo do nazywania się człowiekiem-egzekutorem, na jego oczach naciska spust wielkiego rewolweru o fabrycznie przedłużonej lufie, Manny Parker skamieniał, sparaliżowany ze strachu - z pustką kosmosu na twarzy, czekał na uderzenie pocisku. Iglica odchyłała się - znał ten dźwięk - i opadała, w jej ruchu zawierała się nieubłagana nieuchronność Losu. Rozległ się charakterystyczny huk - kłaśnięcie Pana Boga, w czterech ścianach kabiny nienormalnie głośne...

Los, przebiegły Los, po raz kolejny mógł przyznać sobie Oskary za scenografię, scenariusz, reżyserię... bo tak bywa na filmach. Niestety, nie w rzeczywistości. I to wrażenie także zaskoczyło Parkera.

...Padały następne ogłuszająco głośne strzały, aż do sześciu, potem słychać było suchy, metaliczny trzask iglicy, lecz i ten w końcu umilkł. Parker spojrzął po sobie wstrząśnięty: był cały - nawet go nie drasnęło. Miał nieodpartą ochotę wybuchnąć głupkowatym śmiechem (to przecież tylko taka Gra, która zwykłych ludzi zbyt nudzi, by odważyli się w nią zagrać, przemknęło mu przez myśl), ale bał się zepsuć śmiechem niesamowity czar tej Gry Petera Morkisa. W tym momencie podwoje kabiny z powrotem się zasunęły...

*Są wokół nas ludzie, których schorzenia umysłowe nie dają się uleczyć, uprzytomnił sobie Alex, gdy utożsamiał się ze ślepcem-egzekutorem, ponieważ ich przyczyny leżą w piątym wymiarze - ich myślach (uznając czas za wymiar czwarty), i trójwymiarowi lekarze nie potrafią ich sobie nawet wyobrazić. Otóż wampiry, wilkołaki, chochliki, diabły i anioły takie jak Rosemary, oraz fenomeny: Łowca Dusz, Mistrz Tajemnic, Wielki Mag, a także piekło, niebiosy i tak dalek istnieją tam naprawdę. Moim celem jest więc ograć **ICH** tym sposobem*

myślenia tak, by się w tym nawet nie zorientowali. Śmiało na podbój Tajemniczej Sieci! (Przekaz podprogowy!) Alex wiedział, że właśnie to Prowadzący Grę chciał odczytać z jego twarzy i zachowania, skoro programowo zakładał, że Gracz zawsze będzie kłamać, oszukiwać, grać kogoś innego, niż był w swej rzeczywistej istocie. Zatem postarał się wyluzować, zdystansować do Gry, powtarzając sobie: Tukana makaka, Tukana makaka... by umysł się oczyścił, skoro symboliczny szept tylko wtedy znów mógł się pojawić. I co...? Pojawił się, ale nieco głośniejszy, niż poprzednio. Niezrozumiałe jednak były słowa, jedynie ich rytm wydał się mu bardziej wyraźny, choć przerwy między rosyjskimi sylabami okazały się łatwiejsze do wyłowienia. Te wrażenia przysunęły go bliżej źródła głosu, lecz gdzie ono było? Alex spojrział wyczekująco na swoje fenomeny, które przed chwilą przywołał w myślach. Pracował na ten moment latami, a poczuł się w tej chwili zawiedziony.

Po zakończeniu nalewania drinków Morkis podszedł do biurka. Teraz nawet wypadało mu solidnie popić bourbona ze szklanki. Szykując mówkę finalizującą całą manipulację pieczołowicie odstawił naczynie na białą podkładkę z korka. Poczuł w końcu, że w przestrzeni nieskończonych możliwości gorzała już w nim buzuje należycie - nadszedł ten właściwy moment. Popatrzył na zebranych cały lekko rozluźniony, robiąc kilka głębokich wdechów.

A w tym samym czasie George chciał zakasować Maksa.

- Tylko trzeba najpierw znaleźć odpowiednich frajerów, żeby ten interes wykiełkował - powiedział kpiącym tonem.

- Znajdą się, bez obawy, znajdą się, ptysiu - odciął się z równie kąśliwym akcentem Max. - Przysługa tu, przysługa tam. Czasami ginie bez śladu sądowy pozew o grube alimenty, kiedy indziej chodzi o narkotyki albo o broń czy kochanka. Są na to dziesiątki sposobów. Każdy człek ma jakieś problemy i szuka pomocy.

- Dla mnie, to jak szukanie wiatru w polu - wyznał Mały Joe. (*Joe Pesci w tej roli robił wrażenie bardziej pewnego siebie cwaniaka, niż wynikało z tego, co mówił nieśmiały z natury Mały Joe, ale liczyło się to, jaką głębszą charyzmę ten wspaniały aktor wnosił ze sobą do Gry.*) I było to śmiesznie łatwe wyznanie. Taką taktykę Gry stosował teraz, by nie spartaczyć całej swojej misji już na jej początku.

Mimo tych dywagacji, Morkis głośno zaklaskał, po raz wtóry zaklaskał tego historycznego popołudnia, by zwrócić na siebie uwagę. Mógł być lub nie być łajdakiem, kłamcą i oszustem na miarę czasów, które nadchodziły - to zależało od punktu widzenia każdego z jego nowych współników - ale Peter Morkis na pewno nie był człowiekiem niekompetentnym. Wiedział, że każdego można kupić, gdyż każdy ma swoją cenę. I na tym

bazował, ponieważ był zawsze zwolennikiem sylogistycznej logiki. Zatem biorąc logicznie, powinien być teraz w naprawdę wyśmienitym nastroju. Przecież zawsze wierzył w swoją logikę.

*(Ale czy uwierzyłby w teorię, że cała materia „nieskończonego” **KOSMOSU** jest wzajemnie powiązana, „chaotycznie splątana” w nieustającym ruchu cząsteczek w ramach jednej wszechogarniającej sieci - swoistej uniwersalnej jedności zawartej w dziesięciu wymiarach, które współgrają ze sobą jak wibrujące struny, przy czym sześć z tych wymiarów splata się w jeden? Alex był pewien, że jeśli ta teoria odpowiada prawdzie, wszechświat stanie się wkrótce przerażająco skomplikowany i oszpecony, mimo że ludzie nadal będą coś knuli, tak jak Peter Morkis. W skali **KOSMOSU** to knucie nie ma żadnego znaczenia, ale ta Gra nie może się bez niego obejść.)*

- Panowie! A teraz... niespodzianka! - wykrzyknął Morkis tak radośnie, że wszyscy podświadomie się uśmiechnęli. Pozostały zaledwie cienie z ich dawnych osobowości, lecz nawet jako cienie mieli jeszcze dosyć charakteru, aby mimo wszystko przekreślić jego plany. I on o tym wiedział. - Lubicie niespodzianki?

- Może powiesz, że żartowałeś z tą Tajemniczą Spółką? - wypalił George, trafiając jakimś cudem w samo sedno. - A tak naprawdę chodzi ci o coś zupełnie innego, tak? - Doświadczenie podpowiadało mu, że wszystkie szczegóły tego spotkania są istotne. Rozwiązanie zagadki przeważnie ukryte jest w szczegółach. To, co obecnie nieważne, później może stać się najważniejsze ze wszystkiego. To, co teraz tajemnicze i bez związku, później może stać się lupą, przez którą wszystko widać wyraźniej. - Przyznaj się bez bicia.

Wszyscy w pokoju ciut zamarli, jakby przez sekundy pozowali do wspólnego zdjęcia. Pomimo pijackiej fanfaronady, która już go dopadła, Morkis pogubił się na chwilę.

- Nie, nie żartowałem. - Uśmiechnął się sztucznie, nieomalże od ucha do ucha, aby pokryć nagły niepokój, który wkradł się do jego świadomości. - I bez żadnej podpuchy każdy z was otrzyma zaraz po dziesięć tysięcy dolarów w prezencie od naszej nowej firmy. Na rozplódek, czyli koszty ewentualnych działań zaczepnych.

Nastąpiła kolejna chwila cichej konsternacji. Każdy ze współników badał wzrokiem reakcję pozostałych. Ich spojrzenia krzyżowały się mgnieniami niedowierzania, zadowolenia, podejrzliwości, nieufności i zdziwienia.

A Peter Morkis stał i obserwował ich, wiedząc, że zasiał ziarno chciwości. Teraz musiał czekać, aż wykiełkuje. Popatrzył na George'a Downsa.

- Lewa forsa na rozplódek?! Niezła jazda na żywca! To ma być marchewka dla takich osłów jak my. - W komentarzu kłótliwego informatyka zjadliwość pojawiła się jednak tylko

pro forma.

- Lepsze to niż nic - zaproponował uradowany Mały Joe. - Możesz konkurować ze Świętym Mikołajem.

Spochmurniały Tom McCoy jedynie machnął ręką i wymruczał pod nosem:

- Czyż można dziękować diabłu?

Czasami Życie jest zajebiste i soczyste! I pomyśleć, że w młodości marzyłem o tym, żeby zostać poetą. Rex Bardham złożył dłonie jak do modlitwy i obwieścił sentencjonalnie:

- Miłe złego początki! Te dziesięć patyków spada mi jak z nieba!

- Na co ci tyle kasy? - zaburczał uszczypliwie porucznik McCoy.

- Chciałbym spłacić moje długi. Nareszcie miałbym szansę z nimi skończyć.

- Aaa właśnie, ile razy na ciebie spojrzę, przypomina mi się Edison, twój stary kumpel z „Timesa”. - Wysiliwszy się na jeszcze bardziej zgryźliwy ton, Tom McCoy dopiero w tym momencie zauważył, że jedynie zgryźliwość była tym, na co było go teraz stać, gdy wszystko dawne akurat legło w gruzach i nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Przecież ja nie jestem do niego wcale podobny.

- Rzeczywiście, nie jesteś, tylko że on też wisi mi pięćset dolców. Zgadza się?

- A niech mnie kaczką kopnie! Zaraz ci oddam i... pójdziesz ze mną dzisiaj na mecz Yankesów z Tytanami o puchar NFL. Mam dwa bilety.

- Wybacz, ale nie ekscytuję się sportem tak bardzo jak ty.

Detektyw Max Platt konfidencjonalnie zasłonił dłonią usta, kierując słowa wyłącznie do porucznika Toma McCoya.

- A jednak nie na darmo swędziała mnie dzisiaj ręka. Czują forszę... na odległość.

- Moja także - podchwycił ten żarcik policjant z mało subtelnym grymasem niesmaku, nadającym słowom dwuznaczność. - Wirtualnie czują, tak bym to bliżej określił.

Ale jaja! To rewelacyjny, jak dla mnie, początek w nowej pracy, ucieszył się w duchu Alin Mearns. Alanowi o tym prezenciku nie wspomnę, bo może zażądać swojej działki.

- Tak się cieszę - rzekł - że aż brak mi słów. - W swoim uśmiechu zawarł to, czego nie powiedział, a co było częścią większego planu, którego na razie nie realizował śmieiej. Ale przecież nie ma dymu bez ognia, zreflektował się i mina mu zrzędła. Peter nie wygląda na całkiem zadowolonego.

O co Peterowi tak naprawdę chodzi? - zadał sobie podstawowe pytanie mecenas Robert Donaldson. Musi coś niezwykłego ukrywać przed nami.

- Nigdy nie przypuszczałem, że masz tak szeroki gest - oświadczył szczerze, dobitnie modulując głosem ironię podtekstu, że skoro cała ta Gra Morkisa wydawała się tak

wiarygodna, musiała być z gruntu fałszywa, bo wrażenie uczciwości jest ważniejsze od samej uczciwości. To prawda znana od lat... w polityce, ponieważ ludzie zawsze mają swoje tajemnice. Chodzi tylko o to, żeby je odgadnąć, żeby wiedzieć, co można na tym zyskać, co można i stracić, by Grę zwaną Życiem doprawić szczyptą ryzyka. - Gratuluję ci konceptu.

Tuż za progiem ogólnodostępnej toalety położonej na osiemnastym piętrze, Ervin Mallon przystanął jak wryty. Znow poczuł nikły, metaliczny zapach krwi i mglistą aurę - smród śmierci w takim natężeniu, że natychmiast ocknął się z wszelkiego zniecierpliwienia i irytacji; gęsia skórka błyskawicznie przebiegła od czubka jego czarnoskórej glacy aż do pośladków. Miękkim, szybkim, wyrafinowanym ruchem odwiódł kurek Smith & Wessona. Potem mijały sekundy przekraczania pewnych granic i już żaden dźwięk nie zmaćcił ciszy, tylko morze myśli szumiało bijąc o brzeg jego niepewności...

Krew mnie zaleje! Skąd on wiedział, że musi tu wrócić? - z zimną wściekłością zastanawiał się Lucas. Dopiero po dłuugich jak lot nad... narkoprzepaścią dziesięciu sekundach rozszyfrował ten dylemat. On nie był zwykłym, przeciętnym: w miarę ostrożnym, gorliwym, a zarazem i tępym ochroniarzem, myślącym i działającym szablonowo; on był fachurą. Ale co było w tym wszystkim najzabawniejsze, wcale nie miał mu tego za złe; nie miał nic przeciwko temu, żeby zmierzyć się z ochroniarzem - fachowcem na drodze do dzisiejszej nirwany mordy.

Ervin otaksował czujnym wzrokiem rząd czterech białych drzwi do kabin intymności. Za jednym z nich czaiło się Zło w którejś ze swych wielu postaci. Delikatnie ujął pęk kluczy wiszący u paska od spodni, aby nie wydał już żadnego dźwięku, kiedy on zrobił cztery cichutkie kroczki na palcach - niestety, buty zaskrzypiały jak skrzypiąca cholera - i przykucnął na środku tego przybytku ulgi i relaksu. Ujrzał dwie pary stóp w kabynie znajdującej się na wprost niego. Wyglądało to na mordercę i jego ofiarę, więc od razu się wyprostował i czyniąc krok w lewo, by zejść z linii ewentualnego strzału, zahuczał basem:

- Mam cię, draniu, na muszce. Rzuć broń i wyjdź z rękoma podniesionymi nad głowę.
- Ervin był praworęczny (praworęczni mają tendencję do zwracania broni w lewo, gdy strzelają w pośpiechu, nawiasem pomyślał, pocisk przechodzi wówczas po prawej stronie celu).

Lucas, który omal nie oddychał czując ekstatyczną nieuchronność konfrontacji, całkiem wstrzymał oddech na sekundy, na moment, na chwilę, dopóki, rozpoznawszy ten niski, swojski, lubiany głos, zdecydował się odezwać:

- Ervin?...

- ...Lucas?...

...z tego zlanego potem strachu wniosiek - wypomniał sobie Manny Parker, zawzięcie i dosyć nerwowo drapiąc się po swędzącym wgłębieniu między zwieńczeniem pośladków - że nigdy nie należy tłumaczyć się samemu sobie ze śmiertelnego przerażenia, gdy po raz pierwszy w Życiu jest się obiektem, do którego ktoś strzela aż z tak bliska, że nie ma ratunku przed śmiercią. Zatrzymawszy się przed drzwiami do celu swojej wędrówki, biura firmy Capitol, włożył klucz do zamka. Wtedy z człowieka uchodzi gdzieś, momentalnie, cała jego zasmarkana żywotność i uświadamia sobie, że jest tylko miękkim workiem gazów i płynów, podatnym i bezradnym wobec pocisków w stalowych pancierzach, które mogą ranić i zabić. Na szczęście jednak... Życie nie dostarcza nam aż tyle emocji na co dzień. Otworzył drzwi, wszedł do...

...I nagle, z przerażającą wyrazistością uprzytomnił sobie, co od godziny naprawdę się dzieje wokół niego. Kryptoreklama?!... Szubieniczny humor?!... Fantasmagoria?!... Owszem! Coś z tych porąbanych rzeczy! W sumie po prostu taka... GRA! I rób, co chcesz! Połączył tamto wszystko w jednym pejzażu podejrzania, kiedy tylko wszedł do pokoju: zielonożółte łąki i leniwe strumienie z jego wspomnień nałożyły się na widok z okna tego pokoju - zrozumiał, że to jednak Gra na...

Mrucząc pod nosem soczyste epitety pod jej adresem, podszedł do okna. Zegarek wskazywał godzinę piętnastą trzydzieści dziewięć. Przybył minutę przed uzgodnionym czasem. Odniósł synchroniczne z tym wyznaczonym czasem wrażenie, że za oknem pada już deszcz, że burza już grzmi i błyska, i rozdzierająco zapragnął znaleźć się w niej, żeby ochłodzić napad kiepskiego nastroju.

No dobra, zrekapitulował rzeczywistą sytuację obserwowaną za oknem, czy w tej talii są zbędni królowie lub waleci? W tych okolicznościach nasłuchiwanie sygnału od Morkisa mogło to okazać się przewodnim pytaniem, jako że kolejny konstruktywny ruch na szachownicy ich Życia był dziełem natury: błysnęło i zagrzmiało naprawdę. Potem Manny Parker kojarzył już całkiem bezbłędnie to, co widział i słyszał w lewym uchu. A w Grę wchodziło nawet całkowite zaskoczenie, coś tak nieprawdopodobnego, jak dziki królik chwytający łasicę za gardło.

Peter Morkis odwrócił się twarzą do obrazu z martwą naturą, namalowaną w oszczędnej postmodernistycznej manierze. Dzieło wisiało na ścianie z lewej strony biurka. Zdjął je tak ostrożnie, jakby było warte krocie. Za obrazem znajdował się spory sejf z zamkiem szyfrowym, który już był otwarty. Wyjąwszy z niego siedem identycznych paczek studolarówek opasanych bankową banderolą, wręczył każdemu współnikowi jedną. Niektórzy dziękowali mu z półuśmiechem zażenowania, inni cieszyli się bardziej otwarcie - w sumie

męski duch solidarności jednoczył ich coraz mocniej.

- Podobno pieniądze szczęścia nie dają - spuentował swój postępek Morkis, uśmiechając się pod wąsem, usatysfakcjonowany ich zmieszaniem; jego obłuda sięgnęła zenitu - ale na pewno zmieniają ludzi.

Dlatego też patrzyli na niego jak na przywódcę ich grupy.

Co za mozaikowe zestawienie charakterów, zauważył w tej chwili, w którą bał się uwierzyć do końca, bo czuł się jak kot łowiący rybkę nie mocząc sobie łapki. Lecz łańcuch jest tak mocny jak jego najsłabsze ogniwo - ta znana prawda natychmiast nasunęła mu się sama. Kto przetrwa, a kto z nich wkrótce zginie?... Choć nie był zbyt dobry w czytaniu z ludzkich twarzy, a bezpośredni dłuższy kontakt wzrokowy z czyimiś oczami nie był jego ulubionym zajęciem, dzisiaj miał z tej obserwacji ubaw po pachy.

- Pieniądze nie dają szczęścia szczególnie tu, w Nowym Jorku - potwierdził Tom McCoy z przekorą wiecznego malkontenta. Tym razem wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. To takie normalne, że ludzie nigdy nie potrafią uwierzyć w niepomysłne dla nich prawdy, skonstatował, kiedy ukazuje je książka, film lub sztuka grana w teatrze - chociaż widzą je gołym okiem dookoła siebie każdego dnia, na każdym kroku.

- Dlaczego: „szczególnie tu”? - zaniepokoił się Morkis. Krytyka w tym momencie była mu nie na rękę: z każdą sekundą uciekającego czasu przypatrywał się im wszystkim z desperacko głębokim namysłem gracza - wirtuoza badającego wciąż nieznanne klawisze, z których ma dobyć melodii, wymarzonej melodii. Niebawem będzie musiał tego dokonać - to była tylko kwestia owego czasu.

Tom McCoy nabrał tchu, powstrzymując zjadliwą irytację. Nie wiedzieć czemu, sentencje Petera przeważnie brzmią złowróźnie, zachnął się w duchu. Ta złowróźność, pierdolona złowróźność może doprowadzić człowieka do obłędu.

Jednak narzekanie w duchu pozwoliło mu skwitować pytanie Morkisa jedynie z typową dla policjanta ironią:

- Dlatego że wielu mieszkańców Nowego Jorku, nie tylko mnie, gnębi przykre uczucie „samotności wśród tłumów”. - I chcąc pozbyć się owego przygnębiającego uczucia wyobcowania wypił, co miał w szklance do ostatniej kropelki. Tak jakby wiara w sens Życia - skoro niestety ma swój kres - potrafiła w nim wzrastać, tylko pod warunkiem, że samotność nie zmusza go do picia.

- Baniałuki opowiadasz, Tom. Nowy Jork jest kulturową Mekką świata. Żyje w nim najwięcej w całych Stanach pisarzy, poetów, artystów, dziennikarzy, muzyków, malarzy i innych intelektualistów. To miasto wprost tętni Życiem - zaprotestował żywo Rex Bardham,

broniąc się tym samym przed przyznaniem Tomowi słusznej racji, że gdyby nagle zniknął z Nowego Jorku - wyparował z milionowego tłumu - nikogo... by... to... nie... obeszło... Co więcej, niektórzy z pewnością ucieszyliby się, gdyby przypadł: poczuliby wręcz ulgę, że zrobiło się wokół nich ciutkę luźniej. Bo świat staje się lepszy, kiedy znikają z niego pewni ludzie, na przykład przestępcy. Niektórzy ludzie **naprawdę** nie muszą tutaj być. Ale on nie był już jednym z nich - od zaledwie kwadransa.

Głos protestu dziennikarza owionął twarz porucznika jak wichur niosący burzę za oknem, ale chmury w oczach policjanta należały do innej nawałnicy - starły się tu dwa fronty baryczne widzenia rzeczywistości: zimny i gorący.

- No i co z tego? Dla wielu Amerykanów Nowy Jork stał się także symbolem chłodu i arogancji, a nawet nienawiści - odgryzł się lodowatym tonem porucznik. Jego szczęka skurczyła się, jakby przytrzymywał zębami przekleństwa.

- Nie przesadzając, jednak znajduje się tutaj osiemdziesiąt procent wszystkich krajowych wydawnictw, z pięćdziesiąt różnych muzeów, aż czterysta galerii sztuki, ponad czterysta kin, prawie sto teatrów, około dwustu czytelni publicznych i wiele stacji telewizyjnych. A Broadway jest znany na całym świecie. Każdy może tu znaleźć jakieś atrakcje dla siebie - szafował swoimi dziennikarskimi wiadomościami Bardham z przekonaniem godnym pozazdroszczenia. - Gdziekolwiek tu spojrzysz, zawsze jest na co popatrzeć.

Przymuszony ostatnią sentencją dziennikarza McCoy spojrział na Bardhama z jeszcze większą nieufnością, potem na Morkisa. Czuł ogromną potrzebę przeciwstawienia się ich nowemu optymizmowi. Jego lewa ręka buntowniczo powędrowała w górę i... wygładziła włosy, gdy skontrolował:

- Ba! Co do atrakcji, to przestępczość bije u nas rekordy. O niej barwnie rozpisuje się prasa, a ekipy telewizyjne śledzą ją bardziej wytrwale niż gdziekolwiek indziej...

- Dlatego właśnie jest to miejsce w sam raz dla nas - pogodził ich rozpromieniony mimo to Peter Morkis - Gwiazda Spektaklu.

Po jego słowach zapadła sekunda ciszy. Ciszy przed burzą.

Witajcie w mojej krainie pozorów i złudzeń, gdzie nic nie jest naprawdę tym, czym się wydaje być, dodał w myślach Morkis. Gdybyście tylko znali prawdę... Jeszcze raz spróbował wyobrazić sobie konstrukcję całego swojego spektakularnego zamierzenia - ten mały gaj. Co teraz robi Bobby McGee? - to pytanie poraziło go w następnej sekundzie. Jednakże zaraz roześmiał się w duchu: Mam gdzieś Bobby'ego McGee!

Bo spełniło się.

Za oknami całkiem pociemniało: niebo zakryły ołowiane chmury; w gabinecie zrobiło się niemożliwie ponuro, parno i duszno, ubrania lepiły się do przeпоconych ciał; magiczny nastrój doniosłości chwili nieco się zwarzył. Nagle gdzieś w pobliżu zagrzmiało przeciągle, gwałtowny wiatr załomotał w szyby tak niespodziewanie, siekąc je głośno pierwszymi kroplami deszczu, że w sumie zrobiło się w pokoju jakby przytulniej. Na tle ciemnych chmur nad kanionem Siódmej Alei rozblęła potężna błyskawica - piorun uderzył zbyt daleko, by usłyszeli grzmot, lecz symbolicznie rozjaśniło to scenerię niczym błysk flesza upamiętniający ważne wydarzenie - tryumf Zła.

- O! Burza - oznajmił makiawelicznym tonem Morkis i pospieszył zamknąć okno. - Nie zapomnijcie, że przede wszystkim liczy się dobry pomysł, korzystny interes i bezwzględna logika. Żadnych sentymentów, żadnej etyki, słabszy przegrywa. Koniec i kropka.

- A sumienie? - strapił się Mały Joe.

- Sumienie? - odparł z ironią Morkis. - Cóż to jest sumienie, Joe?

- Właśnie. Tego nikt nie wie dokładnie, ale to coś funkcjonuje.

- Nie u nas - wycedził Morkis. - Zrozumiałeś?

- Wstrząsająca zapowiedź. - Kpiące mruknięcie George'a Downsa było ledwie słyszalne.

Mimo to uzupełnił je drwiną Robert Donaldson:

- I podniecająca.

Mały Joe już się nie odezwał. Wydawał się zaskoczony ich szyderczą bezdusnością, wyrwany ostatecznie z mętnej abstrakcji Dobra, przerzucony w czysty konkret Zła, do którego trzeba się przystosować... albo jednak zrezygnować i odejść.

Co byłoby totalną katastrofą.

W przeciągu półtorej godziny grania odczuwałem wyraźne wahania nastroju, zauważył Alex. Od euforycznej chęci wykrzyknięcia „Ja zabijam!” po zwątpienie w sens prowadzenia antyGry. Przy czym każda moja myśl posiadała masę - znikomą wprawdzie, ale jednocześnie będącą określoną ilością energii chemicznej zawartej w swoim „obrazie” stworzonym w świadomości. Energia moich myśli mogłaby w ten sposób służyć zrealizowaniu intencji myślowej w kierunku oddziaływania na materię konstrukcji wizuafonu na poziomie subatomowym, co jednak wymagałoby koncentracji uwagi podobnej do skupienia wiązki lasera, pełnej wizualizacji sensorycznej i głębokiej wiary, że uda mi się oszukać program Gry. Czy warto więc maksymalnie się skupić... zakładając, że oprogramowanie Sperogry może śledzić zmiany mas moich myśli i ich energii chemicznych w związku z tym, co oglądam na

ekranie wizuafonu? Przecież te skurczybyki odgadują moje myśli, obserwując całe moje zachowanie: mimikę, gestykulację, tiki, odruchy, reakcje oczu, każde słowo głośno powiedziane, każde kliknięcie i zawahanie, łącząc wszystkie badane elementy w łańcuch współzależności powiązanych z przekazami podprogowymi zaaplikowanymi z ekranu wizuafonu do mojej podświadomości. A wiadomo, że klucz do Tajemnicy Internetu kryje się we wnętrzu mojej podświadomości - zatem, by nie skojarzyli, do czego naprawdę dążę, muszę się maksymalnie skupić na takiej myśli: Nikt nie jest tym, za kogo go uważasz, skurczybyku, a ja jestem tego żywym dowodem.

Kiedy to pomyślał, Alex przypadkiem spojrzął w głąb GRY przez okno gabinetu Morkisa. Na zewnątrz lało i grzmiało, mimo to widział dobrze część ściany wieżowca stojącego naprzeciwko. Oprócz widoku Parkera wchodzącego do jednego z tamtych pokoi, wszystko wyglądało normalnie. A jednak nie do końca.

Pomimo statycznego spokoju tej sceny, Alex miał wrażenie, że dzieje się tam coś złego. Czuł się, jakby spoglądał na obraz celowo zaprojektowany tak, żeby zbijać z tropu; jak malarstwo Rene Maigrette'a lub rysunki M. C. Eschera przedstawiające niekończące się schody lub drabiny. A on właśnie widział dziesiątki okien, a wśród nich to jedno jedyne.

Usłyszał też głos Parkera mruczącego pod nosem: „Ludzie słusznie powiadają, że najgorsze jest zawsze przed nimi”.

Kuchnia Felek! Czy na głębszym poziomie świadomości - w głębi duszy - przeczuwam już to, co się pojawi na ekranie?, zastanowił się Alex. Czy oddziaływanie Gry jest aż tak proste? Do kogo zwracał się Parker? Czyżby mamrotał sam do siebie jak znerwicowana baba? Dlaczego akurat teraz zwróciłem uwagę na Parkera? Czy było to konsekwencją mojego skupienia się nad tamtą myślą przewodnią? Bo z doświadczenia wiem, że właśnie ludzie pozornie najlepiej nam znani sprawiają nam najbardziej przykre niespodzianki? A może to tylko efekt stresu? Przebicie w instalacji samoobrony psychicznej?

(Cóż znaczą te dwie krwawiące dłonie na okładce mojej książki? Czyżby ktoś - na przykład Ty, Czytelniku - próbował wydostać się ze szklanej pułapki Internetu?)

Alex wyjrzał ponownie przez to okno wzrokiem Morkisa, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić. Zapuszczasz się na głębokie wody domysłów, ostrzegł samego siebie. Lepiej nie myśl już o Parkerze... Ale to nie była sztuka grana w teatrze, a on nie był aktorem i po prostu nie wiedział, o czym teraz powinien pomyśleć, żeby **ICH** przechytrzyć jeszcze skuteczniej. Czyżbym już tak bardzo zintegrował się z tą Grą, że tylko oszukuję sam siebie?

Kiedy Morkis przekręcał klamkę w oknie, dostrzegł, że po drugiej stronie Siódmej

Alei, około czterdzieści metrów od niego, jakiś mężczyzna wszedł do czyjegoś gabinetu. Zamknął drzwi. Jego ciemna sylwetka przesuwała się wyraźnie widoczna na tle jaśniejszej ściany. W rękę trzymał małą walizeczkę - może neseser? - której widok obudził czujność Morkisa. Tamten stanął przy oknie. Położył walizeczkę na stoliku. Otworzył ją. Zaczął szybko wyjmować z niej jakieś przedmioty, które składał w całość. Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki. Naturalnie, składał części broni, domyślił się bystry Morkis. Karabinu snajperskiego!

Mężczyzna pracował sprawnie, fachowo. Był wysoki i barczysty, ale nie wyróżniał się niczym szczególnym: typowy, nie zwracający na siebie uwagi obywatel, płacący regularnie podatki, żyjący z legalnych interesów, nie afiszujący się luksusowym samochodem ani kosztowną kochanką. Prawdopodobnie przykładny ojciec i mąż, kochający zwierzęta patriota, nie pozostawiający po sobie żadnych osobistych śladów, człowiek, któremu aparat sprawiedliwości jeszcze nie założył żadnej kartoteki. Ten ktoś podniósł złożoną broń do oka. Spojrzał w lunetę i uśmiechnął się - do Morkisa. Pomachał mu ręką... Morkis odwzajemnił tylko uśmiech zadowolenia, że Manny Parker był gotowy, że już czekał na sygnał. Skoro jednak dotarłeś na czas aż tutaj, to znaczy, że zdałeś czteroczęściowy egzamin, podsumował wyczyny Parkera. Nadajesz się do naszej Spółki. Widocznie zabijanie równie trudno rzucić, jak palenie czy picie.

Kto zasłuży na kulkę?

Co potem?

Parker opuścił karabin. Odłożył go na walizeczkę-neseser. Poprawił ułożenie podsłuchowej słuchaweczki w uchu.

Tymczasem Morkis ukradkiem, kątem prawego oka, popatrzył po współnikach. Zaczął od porucznika McCoya siedzącego ze skrzyżowanymi w kostkach stopami, potem przeskoczył na mówiącego do niego: „...po co mi to...” patologa Joego Hoffmana, dalej na parę diskutujących przyjaciół, adwokata Roberta Donaldsona i informatyka George'a Downsa, na milczącego pamięciowca Alina Mearnsa, na popijającego piwo detektywa Maksa Platta i na dłubiącego w nosie dziennikarza Reksa Bardhama. Wszyscy oni wydali mu się wciąż obcy, dalecy, tajemniczy i poczuł się jak człowiek na rozdrożu - niepojęty dreszcz przebiegł mu po krzyżu i nagle cała udręka, jaką miało stać się jego Życie w następnych latach, dopadła go w lśnieniu kolejnej błyskawicy za oknem, ogarniającym wszystko. Przesłaniającym cały świat jak przyłbica-ekran wizufonu Gracza, który w lipcowe, świąteczne popołudnie oczami Petera Morkisa spogląda przez okno drapacza chmur, ślizgając się wzrokiem wzdłuż zbiegającej w dół ściany wieżowca po przeciwnej stronie ulicy, i widzi

na dnie tej przepaści kolorowe miniaturowe auta, co pędzą po jezdni i ludzi, co spieszą chodnikiem jak mrówki - ten Gracz musi się odwrócić... albo wyskoczyć z okna i przerwać Grę.

Ta ostatnia myśl Morkisa minęła jednak szybko.

Nie, nie, nie, Peter, nie wyskoczysz, obwiesiu jeden. Zaczęłeś Grę, która nie wiadomo dokąd ostatecznie cię zaprowadzi, ale teraz przywiodła cię tu, pod okno na rozdrożu i ważne jest, by wierzyć. Musisz wierzyć. Musisz mieć wiarę, że wygrasz. Wygrasz i będziesz w końcu szczęśliwy.

Oto odpowiedź. Jedyna odpowiedź dla Gracza.

Morkis popatrzył jeszcze raz na Toma McCoya jak na niezachwianą opokę... i uwierzył. Popatrzył na Alina Mearnsa jak na wierną ostoję... i uwierzył tym bardziej. Niepostrzeżenie przyjrzał się każdemu z nich i stał się pewny wygranej. Wiedział teraz, że gdzieś w tym wszystkim musi być jakaś logika przeznaczenia. Nie mogło to wszystko, co się ciekawe przydarzyło każdemu z nich aż do dzisiaj, być aż tak przypadkowe, by nie miało głębszego sensu zawiązanie tej Spółki właśnie dziś... abstrahując od tych zwariowanych możliwości prawdopodobieństwa ostateczności ostatecznej.

- Włącz wreszcie klimę, bo już nie mogę wytrzymać w tej duchocie - wysarknął George. Siedząc koło swoich nowych wspólników i oceniając w myślach ich komentarze, czuł, jak budzą się w nim uśpione obawy innego pokroju. Czy któryś z nich nie wyniucha kiedyś tej małej „przysługi”, jaką niedawno oddał Rosjanom?

Włączywszy klimatyzację, Morkis ogarnął wszystkich wzrokiem zwycięscy, jawnie i z całą wiarą w ich wspólną moc sprawczą.

- Kto ma ochotę na dokładkę? - spytał niewinnym tonem... alkoholika, a ostatnie słowo brzmiało tak, jakby miało magiczną moc poprawiania nastroju.

- Nic ci nie umknie, opoju - zażartował porucznik McCoy.

- Ale chyba ty masz już dosyć w czubie, co? - Ociężale dźwignął się z fotela ze szklanką w dłoni.

Płynnym ruchem Morkis obrócił się bezpośrednio do policjanta i w radosnym geście skierował kciuki prosto do góry.

- Znam swój limit - uśmiechnął się z przekonaniem, że się nie myli. Był tak napięty, że tyłkiem mógł odkapslować butelkę. - Wiedz, że wszystko przemija, a liczy się tylko ta chwila. - Na miły Bóg, udało się! Naprawdę udało mu się zrobić pierwszy krok na drodze do życiowego sukcesu - zawiązać Spółkę! Dopiero teraz to do niego dotarło w pełni! W Życiu piękne są owe chwile Tajemniczości, której jeszcze nie znamy, dlatego warto żyć. Był

przyzwyczajony do tego, że wszystko działo się jak na filmie, gdy sobie podpisał. Wtedy wyobrażał sobie ludzi, rzeczy i zdarzenia w taki sposób, w jaki mogłyby pojawiać się na ekranie. Czasem nawet słyszał narastające crescendo orkiestry dobiegające zza kadru - i obecnie oczyma wyobraźni widział kamerę okrążającą ich wszystkich w planie amerykańskim: świąteczne fajerwerki wybuchające w zwolnionym tempie za oknami, siedemdziesięciomilimetrowe zbliżenie jego własnych rozchylających się warg i cichy szept: „Gdybyście tylko znali złowrogą Tajemnicę Internetu...”

To logiczne jak samo Życie! - nagłym niepokojem ukłuło go skojarzenie osiągnięcia celu tego spotkania z interwencją Lucasa na korytarzu. - A ja jestem logiczny aż do bólu. Prosty, zdrowy rozsądek podpowiada... że aż dziw, iż tego wcześniej nie skojarzyłem: Lucas wziął mnie pod włos! Zaplanował to zabójstwo dresiarza, żeby zdobyć moją wdzięczność i zaufanie! Kombinuje tak, żebym w rewanżu zdradził mu moje najskrytsze zamiary. Chytra bestyja!

- Dlatego dzisiaj zachowujesz się trochę jak dzoker? - McCoy skomentował podejrzaną mimikę Morkisa tylko na wpół pytająco, jakby nie chciał go urazić, tylko poinformować.

- Ten błazen? - chciał uściślić Morkis, by nie poczuć się zbyt zdepresjonowanym.

- I nieźle ci idzie. To twój szczęśliwy dzień.

- Dziękuję za informację. - To także dobry dzień na śmierć, Tom, chciał ostrzegawczo i złośliwie dodać Morkis. Śmierć jest realna, gdy przerywa linię Życia i zmienia rzeczywistość miejscową, choć planety nadal wirują, wirują i wirują, a wszystko, co może tylko wypełnia lukę po kimś, kto odszedł. - Odpukaj w niemalowane drewno - dopowiedział po prostu zamiast tamtej całej wydumanej konkluzji.

McCoy zignorował to nie bezpodstawne życzenie kuzyna, lecz przesądny (i podpity) Morkis postukał się knykциями w głowę przeświadczony, że taka asekuracja na pewno nie zaszkodzi mu i ruszył w stronę barku...

Dyskutowali jeszcze długo, omawiając szczegółowo swoje osobiste możliwości kreacji rozpoczęcia przestępczej działalności Spółki. Gdy poczuli głód, podjęli wspólną decyzję, że na koszt nowo powstałego przedsiębiorstwa wybiorą się teraz na świąteczną kolację. Ze znanstwem bywalców lokali debatowali nad tym, gdzie telefonicznie zarezerwować odpowiednio duży stół. Padały propozycje w rodzaju Flaminga, Le Cygne, Cornell Club, U Mondriana, Bar Zeus, Kaktus, U Belliniego, Fandango, Le Cirque, Klub 21, Pod Dębem, Bar Ostryga, 220, Życie po Życiu, Koniec Świata, U Michaela, Spago Wschód. W końcu wybrali się do polecanej przez Bardhama, nowo otwartej restauracji Savoury na

Broadwayu.

Poznawali tam swoje zainteresowania, poglądy i cele Życia. Żartowali z polityki, z kobiet i pieniędzy. Opowiadali o swoich dawnych wyczynach, a dreszczyk emocji był kanonem ich zwierzeń. Wypili sporo, bawiąc się świetnie, celebrując każdą chwilę, jakby była ostatnią dobrą chwilą w ich dawnym Życiu.

Bez ich wiedzy Morkis cały czas nagrywał te wyznania, zręcznie zmieniając kasety w miniaturowym magnetofoniku. W efekcie doszedł do wniosku, że na kanwie ich dotychczasowych przygód Parker mógłby napisać książkę. Aranżując to spotkanie, nie miał do końca sprecyzowanego wyobrażenia, czym ono się zakończy. Dla zmylenia towarzystwa konsekwentnie trzymał się wersji, że chce jedynie realizować swoją specyficzną polisę ubezpieczeniową na spokojną starość. Przed spotkaniem zakładał, że ktoś z nich wyłamie się z szeregu i zapłaci za to Życiem, ale okazało się, że każdy ze współników ma tak pokretną przeszłość, która predysponowała go do wzięcia udziału w tej Grze, iż w zasadzie było to ich przeznaczeniem. (Nie wiedział tylko, że jeden z nich był zdrajcą, chociaż nie uważał się za takiego.)

Po kilku godzinach biesiadowania Morkis miał dość, absolutnie dość tego mielenia ozorami, zabrakło mu też kaset do nagrywania. Zorientował się już, że wszyscy bez wyjątku wspominali dzisiaj swoją przeszłość podczas drogi na to spotkanie. Koło północy, informatyk George Downs poczuł się kiepsko na żołądku po tabletkę, którą Morkis ukradkiem wrzucił mu do piwa o godzinie trzeciej po południu w swoim gabinecie. George tak stękał i jęczał, że Robert Donaldson musiał odwieźć go do szpitala, więc również reszta współników rozjechała się do swoich domów.

Następnego dnia, przed południem, piękna i wyrachowana Rita Chalon, protegowana Toma McCoya, spotkała się z Peterem Morkisem. Po nie pozbawionej superperswazji rozmowie zgodziła się wziąć udział w długofalowej operacji, oficjalnie wymyślonej przez dyrektora Spółki Eksportowej: Petera Morkisa. Pod wieczór spakowała najskromniejszą odzież, jaką posiadała, pozostawiając wszelkie drogie drobiazgi i kosmetyki w domu. Ustaliła z roztrzęsioną pokojówką warunki opieki nad posiadłością podczas jej nieobecności, po czym wezwała taksówkę i z jedną, najgorzej wyglądającą walizką pojechała na dworzec autobusowy w Troy. Miała spróbować zdobyć dla Spółki fortunę, o jakiej nawet jej się nigdy przedtem nie śniło. Jedynie porucznik Tom McCoy znał zarysy tego pomysłu stanowiącego zasłonę dymną Tajemnicy Petera Morkisa...

Przeszłość mogła przegonić Przyszłość - z punktu widzenia Morkisa było to całkiem możliwe, ponieważ nie był pragmatykiem.

Za to był początkującym alkoholikiem, który niemądrze, po pijacku marzył sobie, żeby choć raz, gdzieś, kiedyś, nawet w pijackim widzie, w jakiś cudowny sposób udało mu się na chwilę dotknąć prawdziwej duszy drugiego człowieka i zrozumieć ją, znajdując przyjemność w psychologicznych sztuczkach i myślowych gierkach. A przecież od dziś Życie dla niego stało się tylko Grą, czasem pokręconą i makabryczną, ale jedynie GRA, w której Życie jest Tajemnicą - poczynając od sekretu jego prapowstania, kończąc na sensie istnienia człowieka - lecz by ta Tajemnica mogła stawać się dzień po dniu donioślejsza, musimy postarać się osobiście.

Dlatego Peter Morkis nigdy nie zapominał w swoich marzeniach, że cel uświęca środki, gdy marzenia idą w parze z dezyderatami POSTĘPU - Tajemnica Internetu nie mogła być przyziemna, swojska, nieomalże codzienna; musiała mieć przede wszystkim magiczną moc niespełnionych marzeń.

Niestety, ostatnio Morkis rzadko kiedy marzył w ten sposób, dręczony dylematem: ujawnienie części Tajemnicy Internetu prezydentowi to zapewne rozwiązanie dobre na krótką metę, ale czy istniało rozwiązanie dobre na dłuższy czas?

KONIEC PRELUDIUM.

KLIK...

*

*Uff! - odetchnął Alex, zdejmując hełm wizuafonu z głowy. Nadszedł czas na przerwę dla relaksu, refleksji i porannych zabiegów: mycia, golenia, ubierania i te pe. Wydaje mi się, że nie dałem się zbyt ograć, bo byłem inny niż zazwyczaj. Udawałem, że kombinuję najprościej jak można, by mogli mnie rozgryźć najłatwiejszym sposobem: przez pomiar ekscytacji Grą. Mimo to całkiem obiecująco dla mnie wypadł ten początek Sperogry. Był sensownie, choć „przypadkowo” poskładanym zwiastunem zauroczenia zabawa, który nigdy, przenigdy nie da się złapać na gorącym uczynku podpowiadania jak grać dalej. Bowiem Prowadzący Grę jest za mądry, żeby dać się złapać na takim błędzie. Ów miły zwiastun pozwala nam patrzeć na resztę świata przez pryzmat ukrytej pogardy dla innych zauroczonych Graczy. Nie zna współczucia, nie zna litości. Jest absolutnym panem naszego przeznaczenia. Pomimo moich kliknięć na chybił trafił, gdy „sugerowałem się” różnymi podszeptami podświadomości, mieląc je w żarnach świadomości, preludium formowało się w konsekwentny ciąg zdarzeń - **PRZEJŚCIE PRZEZ LABIRYNT L.O.T.** To daje do myślenia, kiedy ludzie stają w obliczu konieczności rozwiązania zawikłanego problemu, rozważają zastosowanie tylko kilku opcji i to jedynie w części scenariusza. Jeżeli później pojawia się zbyt wiele niewiadomych, są skonfundowani. To właśnie dlatego z reguły planują do pewnego*

momentu lub przewidują rozwiązania częściowe, które ich zadowolają. Czasami nawet nie rozważają rozwiązań alternatywnych, ponieważ nie wierzą (nie chcą wierzyć) w możliwość niepowodzenia.

Nie ma co ukrywać... Alex miał wrażenie, że ktokolwiek był autorem tego planu Sperogry, chciał przewidzieć wszystko, opracował wszelkie możliwe szczegóły bardzo wielu wątków, lecz tym samym plan stał się zbyt skomplikowany. A i tak nie mógł ogarnąć wszystkich elementów, które musiały ze sobą współpracować. Jednakże niezwykle precyzyjne technicznie warunki powiązania fabuły książki (Trylogii Tajemnic) z niewyobrażalnymi zdolnościami unikalnego oprogramowania Sperogry następnej generacji i inwencja Gracza umożliwiają grę w „nieskończoność”, także dzięki późniejszym aktualizacjom programu Gry, ale... jeżeli którykolwiek ze składników całej kompozycji by zawiódł, operacja manipulowania internauty - kinomana-telewidza mogła się nie udać.

Rosemary. Wciąż naga. Z zaciekawieniem zaglądała do gabinetu. Widocznie coś knuła. Była inteligentna i mądra. Zaskakiwała ironicznym poczuciem humoru bliskim wredności. Jej mądrość zaś nie oznaczala jedynie książkowej wiedzy, oscylując bliżej mądrości życiowej. Potrafiła dyskutować, przekonywać, doradzać przy pomocy żartobliwej tonacji, którą uważał za uroczą. A co ważniejsze, potrafiła słuchać. Wyrzucał z siebie to i owo - takie tam różnorakie sprawy, żeby nie ujawnić swoich prawdziwych sekretów, i spodziewał się w każdej chwili, że ona to odrzuci. Tymczasem Rosemary to wszystko wchłaniała. Nie tylko wchłaniała, ona to układała i przesuwala, próbując poskładać w sobie tak, by jej się podobały. Alex nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona. Aha, miło również było na nią popatrzeć. Drobna, ale idealnie zbudowana, miała dość kobiecych krągłości, by zrównoważyć swój sposób bycia faceta. Poza tym kruczoczarne włosy do ramion, duże bursztynowe oczy, smagła karnacja, pełne wargi. I co najważniejsze: lubiła seks.

Znała też jego plan rozgrywania „Tajemniczej Gry” - rewelacji rozpoczynającego się roku 2013 - w której Gracz może przeczuwać od samego początku, kto prawdopodobnie zwycięży lub kto będzie miał rację, kto zasłuży na miłość, a kto na nienawiść, kto przeżyje, a kto zginie niebawem, by oczywiście mylić się w rzeczywistości Gry; plan ten musiał być doskonale opracowany już na poziomie książki. A książka może być tylko źle albo dobrze napisana. W tej Grze raczej nie wolno Graczowi jawnie stawać po niczyjej stronie personalnie - naginać kurs biegu wypadków; powinien raczej być z każdym, będąc w każdym, być nawet pod wpływem Zła w sensie moralnym, byle zatrzymać w sobie chwilę, która go wzruszy. Im bardziej się przy tym utożsamia z wybraną postacią, tym lepiej mu się będzie grało. Ale także, kto emocjonalnie opowiada się po czyjejs stronie, przestaje być sprytnym

Graczem, staje się Graczem do odstrzału. Może to być pozornie wskazane, lecz nie ma nic wspólnego z przebiegłą Grą, ponieważ do jej podstawowych zasad należy to, że nie żywi się zbyt wielką sympatią do granej jak najlepiej postaci, nie ma się żadnych skrupułów i zawsze zachowuje się bezstronny dystans.

Przy czym sensualista - Alex Rifle - zastanawiał się nieraz, czy kiedykolwiek zrozumie Rosjan (zwłaszcza Nikołaja), czy pogodzi się z ich przemożnym dążeniem do supremacji na świecie wbrew logice faktów. Obawiał się naprawdę, że gdyby Rosja albo Chińska Republika Ludowa - jakimś przewrotnym cudem gospodarczym - powaliły resztę świata na kolana (tak jak pragną), świat stałby się zbyt brzydki, zły i chiński lub rosyjski. A tego przecież nikt rozsądny nie pragnie, nawet zwykli Rosjanie czy Chińczycy. Jeszcze gorzej mogłoby być - gdyż jest to bardziej realne - gdyby Rosja i Chiny wspólnie... Niestety, tak też może być, bo szczęśliwe zakończenia do znudzenia zdarzają się tylko w amerykańskich filmach i książkach, a nie w prawdziwym życiu, gdzie tak często coś nie jest tym złudzeniem, jakim miało być.

Alex zastanawiał się też równie często, jak czuje się człowiek bardzo bystry, który wszystko chwyta w lot i zna różne tajemnice dzięki temu. Domyślał się wtedy, że takiemu bystrzakowi życie upływa na ustawicznym zgłębianiu zagadek, tak jak jemu na poznawaniu rzeczy prostych i zwyczajnych trzymając się po prostu zwykłego życia - co stanowiło jeden z jego kamuflaży - gdzie Gra wciąż trwa w wyobraźni, gdy ONI obserwują, analizują i reagują na przykład: telefonicznie, elektronicznie (wszędzie, gdzie twój ślad istnieje w komputerach) czy przez Internet.

Aaa... może, to tylko ta podstępnie fajna Gra - kryminogenna zabawa - tak go urzekła, że uwierzył w wieloletnie naukowe badania psychologiczne, opublikowane w grudniu 2009 roku w „Science”, podające, iż jeśli bardzo duuużo ludzi, cała publiczność wielkiego stadionu na ten przykład, zacznie w skupieniu myśleć o czymś tak prozaicznym, jak choćby strzelenie zwykłego gola przeciwnej drużynie, to ten gol w końcu padnie... chyba że nie padnie, co potwierdza zasadę wyjątków od reguły. Zważywszy więc, że w Internecie nie tak trudno już o jednoczesne zainspirowanie, powiedzmy bez przesady, dziesięciu milionów internautów w Ameryce, aby komuś życzyli na ten przykład przegrania lub wygrania wyborów na prezydenta... wnioski nasuną się same w toku dalszej Gry.

Alex siedział zamyślony dopiero kilka... naście sekund, a już się zapatrzył w urokliwe oczy i fascynujące usta Aily, jakby czekał, aż się odezwie. Gotowy?, zdawały się pytać jej wąskie, pełne usta, a orzechowe oczy czarowały. Jesteś gotowy, żeby zacząć grać inaczej, grojku? Gotowy, żeby zobaczyć, co byłoby dalej, gdyby było bliżej? Gotowy, żeby zobaczyć wszystko od końca do końca?

Nie był jeszcze gotowy... ale musiał być.

Dla syna i wnucząt?

- Pokażę Ci, co potrafię - odszepnął i połknęły go jej usta należące do jakiejś wrogiej obecności w tym pokoju.

*Poprawił się w fotelu - zrobił to z zabawnym ożywieniem, gdyż było jeszcze coś, co uwierało go pod czaszką (czuł się coraz lepiej ustawiony wobec ewentualnych niespodzianek, bo emocjonalnie było z nim coraz gorzej, i to mogło **ICH** zwieść?), choć zanim zdołał to uchwycić, przeczuł coś innego... - i odruchowo zamknął okno po blisko dwóch godzinach wietrzenia gabinetu.*

Zupełnie nagle, mimo iż przeczuwał, że zaraz coś się stanie, zabręczał wysłużony telefax, spoczywający na biurku niczym stary wierny pies, powodując w tej newralgicznej chwili, że Alex wreszcie pojawił się na wielkim ekranie meegamonitora w CKT jako uczestnik SUPERSPEROGRY na żywo. Co przerasta tego przyglupa, który jest teraz ponad tym wszystkim, co się wokół nas dzieje? - zadał sobie pytanie, kiedy z niepokojem sięgał po słuchawkę. Za chińskiego boga nie zgadnę.

- Kto mówi? - wypowiedział wolno akurat te dwa słowa - hasło, w narastającym napięciu próbując odgadnąć, kto do niego zadzwonił, kto poda tajny odzew: „To ja, Koń Który Śpiewa”. Nie przechwalając się, że to nie był najbardziej zdumiewający odzew, wydawał mu się nie do odgadnięcia przez intruza w tej fazie SUPERSPEROGRY.

- Dzieńdoberek, Alex, dzieńdoberek - usłyszał radosny głos swojego wydawcy, Rogera Delluxa, z którym miał na pieńku. - Wiedząc, że pewnie już nie śpisz, bo testujesz „Tajemniczą Grę”, dzwonię, żeby złożyć wam najserdeczniejsze życzenia noworoczne: zdrowia, szczęścia i poczucia humoru w każdej sytuacji. Nie przeszkadzam ci?

Roger - Alex pamiętał doskonale - źle znosił poważne rozmowy telefoniczne. Nie dlatego, że czegoś nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć, po prostu z natury był wesoły, gadatliwy i szczerzy, lecz nigdy nie zdarzyło mu się przekroczyć granicę dobrego żartu przez telefon. Dlatego Aleksa też opanowała - odruchowo odwzajemniana - wesołość.

- Dzięki, Roger. Dziękuję również w imieniu żony. I nie przeszkadzasz mi ani trochę. Życzę ci spełnienia w tym Nowym Roku twojego największego marzenia i mam nadzieję, że to ci wystarczy - odrzekł, celowo wymawiając słowo „wystarczy” ze słabo wyczuwalnym, ironicznym niedosytem.

- Ale z ciebie optymista, jak nie powiem co - skwitował tę wklęsłą ironię Roger, a kiedy Alex prychnął z zadowolenia, że Roger wolałby nie słyszeć tej ironii, spytał jeszcze: - Testujesz tę SperoGRę z powodzeniem?

- Testuję naukowo, a bo co? - Alex miał się na baczności; był za sprytny, by tak łatwo dać się podejść, ponieważ gustował w tych samych gierkach co Roger.

- Bo przy okazji miałbym do ciebie jedno małe pytanko. Można?

- Odnosnie czego?

Z jakiegoś powodu Roger pominął pytanie Aleksa.

- No bo, nooo... - zagaił nie bez wydźwięku, choć Aleksowi trudno było rozszyfrować, co ten zaśpiew oznacza. Roger chyba chciał powiedzieć coś ważnego, lecz nie wiedział, jak chytrzej by tu zacząć. - Nie pretenduję do miana eksperta, jednak wiem, co to jest mikroskop sił atomowych, nie jest mi obca zasada działania nanotranzystorów węglowych i mogę śmiało zawyrokować, że pęsety cząsteczkowe staną się niebawem bardzo ważne dla naukowców. Jednakże sen w zdumiewający sposób przynosi eee... odpowiedzi na różne zagadki dotyczące naszego dziwnego postępowania, nie uważasz, badaczu snów?

- No bo, nooo... Sen...? - przedrzeźniał go Alex. - Oczywiście słuszne spostrzeżenie - dodał zaraz, żeby ukryć nieprzyjemne zdziwienie z powodu pewnego podejrzenia, z którego musiał się sam sobie sumitować. - Świeżo wyspany człowiek, w dodatku pobudzony mocną kawą, jest wówczas najbardziej wydajny intelektualnie. Oto ci chodzi? - zapytał domyślając się, że cały ten wstęp był ze strony Rogera sposobem na wrobienie Aleksa w coś, czym nie będzie zbytnio zachwycony. Roger chciał go zmanipulować!

- Czy twoja teoria kreowania świadomych snów u internautów - spytał Roger, siląc się wciąż na tę samą sympatyczną wesołość, ale Alex poznał, że już dotarli do sedna rozmowy - sprawdza się w odbiorze tej Gry?

- Moja teoria sterowanej speroinwazji przekazów podprogowych na podświadomość, by ta kreowała sen wspólnie ze świadomością, jeśli o to pytasz, tak? - Była: 07.26, kiedy Alex spojrział w zachmurzone niebo nad oceanem, a ona - myśl podejrzliwa - była częścią tego szkalującego ziemię nieba. Wiatr wzmagał się i wyraźnie przyginał czuby wysokich świerków na południu, a ona - myśl ostrzegawcza - była częścią tych podmuchów, chylących się w pokłonie drzew i szumu fal oceanu. Ogarnął go nagły lęk w niedorzeczny sposób zmieszany z ulgą, że oto nadszedł ten dzień, który śnił mu się po nocach jako dzień spowiedzi po latach.

- Powiedzmy, że tak... - potwierdził Roger, wchodząc na wyższy bieg chytrego zainteresowania - ale powinieneś być przedstawić ją w książkach bardziej od strony naukowej niż ogólnomoralnej. Takie jest teraz moje zdanie.

- Niestety, nie mogłem tego zrobić - (Alex miał wrażenie - dojmujące wrażenie, że cały świat przysłuchuje się jego wypowiedzi) - gdyż w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy działał Peter Morkis i Spółka, niewiele było wiadomo o zależności snów od przekazów podprogowych

ani o tajnym zastosowaniu „inteligencji komputerowej” w tym zakresie. Przynajmniej w sensie naukowym.

- Ale dostatecznie dużo, żeby Morkis mógł założyć istnienie takiej możliwości jako sposób do wykorzystania w Internecie. Lecz w twoich książkach brakuje naukowego uzasadnienia podstaw tej teorii, która obecnie jest już naukowo udowodniona. Czy mógłbyś mi w telegraficznym skrócie wyjaśnić, jak Peter Morkis mógł wpaść na pomysł użycia do EKSPERYMENTU - Internet hybrydowego suuuperkomputera?

Ta Gra to prompter dostrzegalnej nierzeczywistości, upomniał siebie Alex i odrzekł:

- Po co ci te informacje? - Głos miał nieco napięty z ciekawości. Ten skurczysyn prawdopodobnie teraz skłamię, założył w duchu.

Słowa jego przeleciały po kablu i uwięzły po drugiej stronie, penetrując umysł Rogera Delluksa, by przyłapać go na kłamstwie zawartym w odpowiedzi. Kto zaprzeda je duszę POSTĘPOWI cywilizacji, choćby w pogoni za komputerem kwantowym, strapił się Roger, z czasem płaci za to frycowe, tak jak ja teraz za swoją ciekawość.

- Po prostu chciałbym wiedzieć, żeby dobrze cię zrozumieć... - Roger urwał, z rozmyślnym jednak uporem dążąc w ten prosty sposób do celu, którego Tajemniczość ostrzyła sobie pazurki na kolejnych słowach, by sympatyczny nastrój rozmowy ulotnił się zupełnie. - Nie sądzę, żeby sferosfera snów to był jeszcze jakiś twój sekret, prawda? - Jego głos uniósł się na końcu zdania tylko nieco pytająco.

I tak oto, nieprzypadkowo i nielekkomyślnie Alex Rifle mógł zdradzić całemu światu podstawy Tajemnicy Internetu w wydaniu Petera Morkisa. Powtarzał sobie w myślach, że czyni to jedynie dlatego, że telefon Rogera zupełnie go zaskoczył, mimo że prawda była inna: bardzo chciał „ujawnić” naukowe uzasadnienie Tajemnicy Internetu. (JUŻ WYGRAŁEŚ, TYLKO WYŚLIJ SMS-A!)

- To pięknie, że pytasz... bo jak wiesz, w latach siedemdziesiątych profesor Robert Zajonc z Uniwersytetu Michigan, psycholog światowej sławy, urodzony w Polsce - zaczął Alex z najgorszym nastawieniem do tego wyjaśnienia, jakie mógł okazać Rogerowi w tonie głosu - stworzył jako pierwszy tak zwaną teorię pierwszeństwa afektu, według której reakcje emocjonalne takie jak strach, radość czy zazdrość mogą wyprzedzać świadome rozpoznanie bodźca. Otworzył tym samym nowy rozdział badań nad nieświadomym przetwarzaniem informacji w ludzkim mózgu. Wyszedł ze znanego założenia, że przeciętną liczbę informacji docierających w ciągu jednej sekundy poprzez nasze zmysły do podświadomości naukowo oszacowano na jakieś sto miliardów bitów, podczas gdy w tej samej jednej sekundzie człowiek jest w stanie uświadomić sobie nie więcej niż sto bitów informacji. A więc dysproporcja jest

ogromna...

- Przeogromna...

- ...Ale pozostała ilość informacji - przekazów wszelakiego rodzaju nie jest świadomie postrzegana, lecz jest przetwarzana przez mózg w podświadomości i stamtąd wpływa na postępowanie człowieka, który nie zdaje sobie sprawy, dlaczego czasami postępuje tak „dziwnie”, a nie inaczej, czyli „normalnie”. Czy teraz trochę rozjaśniło ci się pod sufitem?

- Owszem... trochę, bo to już wiedziałem. Wszelako nie tyle, żeby zrozumieć teorię świadomych snów tajemniczoną, że tak powiem, przez Morkisa.

Nie, nie ma sensu zrażać sobie wydawcy, pomyślał Alex roztropnie. Ostrzejszy zatarg z Rogerem, gdyby zrobił unik, był mu potrzebny jak dziura w moście. Tę sondującą rozmowę telefoniczną musiał prowadzić niezwykle chytrze i ostrożnie wzorem porzekadła: „Trzy razy odmierz, zanim utniesz”.

- Owszem... trochę trzeba dodać - znowu przedrzeźniał Rogera - bowiem jakież to znamienne, że ludzie uparcie dezawuuują niemal połowę swojego umysłowego życia zawartego w snach, twierdząc, że skoro świat snów nie istnieje realnie i że wszystko to, co śnią to tylko fantazmaty, więc sny nie są nic warte. Tymczasem mylą się okrutnie, ponieważ ich sny można już wykorzystać do celów, o jakich im się nigdy nie śniło. Na przykład do automatycznego dezawuowania nonmedialnej wolności słowa czy świadomej psychodezyinformacji, choć pełny sukces w tej materii to dopiero pieśń przyszłości. - Alex uśmiechnął się bez przymusu, wyobrażając sobie minę Rogera, gdy usłyszał te neologizmy: jego szczeka była pewnie na podłodze - żeby tylko widział, jak matołkowato wyglądał. - Otóż Morkis od jakiegoś czasu pilnie studiował wszelakie ogłaszane w tej dziedzinie raporty naukowe i znalazł prosty sposób, na tamte czasy rzecz jasna, by zaprząć do pracy komputer, dzięki któremu można atakować mózg - jego podświadomość - wyświetlaniem obrazów-przekazów podprogowych przez czas krótszy niż pięćdziesiąt milisekund. Poniżej tej granicy mózg - jego świadomość - nie widzi przekazów wizualnych, a odbiera je podświadomość. W ten sposób można wywołać oczekiwany efekt: pozytywny bądź negatywny świadomego działania „ofiary eksperymentu” pod wpływem impulsów z podświadomości pobudzonej określonym przekazem podprogowym. Tą metodą - wciąż na bieżąco udoskonalaną - można oddziaływać na miliony „ofiary” poprzez Internet przez lata w sposób przez nie niezauważalny. Proste jak drut, co nie?

- A mógłbyś podać jakiś równie prosty przykładzik? - poprosił Roger niewinnym tonem, pod którym nie zdołał ukryć podświadomego napięcia, które Alex wychwycił wiedząc, gdzie szukać. - Wydaje mi się, że to nie jest aż takie proste. Przynajmniej dla mnie.

- Ależ proszę bardzo - odparł Alex z niezmaczoną „naiwnością”. Podstęp Rogera, żeby

poznać prawdziwe sedno Tajemnicy Internetu, nie mógł się udać. - Naukowe badania, z którymi zaznajomił się Morkis, bezsprzecznie dowiodły istnienia mechanizmu psychologicznego nazwanego: priming, tłumacząc najprościej jak można - prymowanie oznacza poprzedzanie, polegające na tym, że czasem jeden, nazwijmy go umownie: najsilniejszy, nieuchwytny dla świadomości impuls informacyjny z podświadomości determinuje świadome myślenie człowieka, jego emocje czy zachowanie. I oto najprostszy przykład, który wyczytałem w prasie: spacerujemy z psem po promenadzie w piękny słoneczny dzień pogrążeni w radosnym nastroju i nagle ogarnia nas smutek. Nie rozumiemy jego powodu. Podczas gdy przyczyną tego smutku mogło być zdarzenie, które umknęło naszej świadomości - przejeżdżał autobus lub samochód, a w nim „mignęła” nam nieświadomie twarz osoby podobnej do utraconej siostry, brata, matki albo ojca, i pod wpływem tego przekazu-bodźca nagle odżyły w nas wspomnienia o nich, które rozpoznaliśmy jako normalną zmianę nastroju, aczkolwiek o tym, co ją naprawdę wywołało nie mamy nadal wystarczająco precyzyjnego pojęcia. Wystarczy?

Rosemary przysiadła na brzegu biurka i spojrzała na Aleksa bez słowa. Nadal była zupełnie naga i kusiała go lubieżnym uśmiechem. Jednak pierwszy raz patrzyła w tak zabójczy sposób - jak maszyna do zabijania!.

- Nie, nie, nie! - W gwałtownym proteście Rogera słychać było niezadowolenie. - Mnie nigdy nic takiego się nie przydarzyło. Zawsze wiem, skąd coś przychodzi mi na myśl. Znajdź lepszy przykład, jeśli potrafisz.

- Taki, ma się rozumieć, jaki się tobie przytrafił?

- Jeżeli potrafisz odgadnąć.

Alex - „jasnowidz” widział oczami wyobraźni, jak na czole Rogera wystąpiła żyłka przypominająca cienkiego, atramentowego węża spiętego do uderzenia i ukąszenia zjadliwością. Ale kiedy Roger uzupełnił swoją kwestię, jego głos był cichy i słodki jak miód, choć krył się w nim jad:

- Jeżeli odgadniesz, uwierzę w twoją teorię podprogowego kreowania świadomych snów. - Oświadczył to tak, jakby znajdował swoistą przyjemność w strachu przed niebezpieczeństwem zdemaskowania któregoś ze swoich licznych sekretów, być może uśmiechając się przy tym tak niepewnie, jakby szykował się na czary.

- Nic prostszego - podobnie uśmiechnął się Alex przydając głosowi autorytetu niepoprawnego optymisty. - W zeszłym tygodniu, w sobotę wybrałeś się na zakupy po płaszcz, a wróciłeś do domu z chomikiem w klatce, lecz bez płaszcza. - Dało się słyszeć głębokie westchnienie Rogera i Alex był już pewien, że przecucie go nie zawiodło. - Co skłoniło cię do

kupienia chomika? No? Wiesz czy nie wiesz, Panie Niedowiarku?

Po nabrzmiałej konsternacją chwili głębokiej ciszy, która wydała się Aleksowi wiekiem, Roger odpowiedział:

- Nie wiem.

- A ja wiem.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro ja sam nie wiem?

- Z wykopalisk... czyli naukowych badań.

- No to powiedz.

Bo Internet jest paskudnie groźną bronią przebiegłych manipulatorów, pomyślał Alex, wiedząc już, że w nocnych koszmarach Rogera pojawi się jeszcze jeden duch - Pana Venerandy. Ale odpowiedział tak:

- Bo z podświadomej ciekawości chciałeś sprawdzić, czy twoja żona na pewno jest uczulona na sierść.

Nikt - a już z pewnością nie Roger Dellux - nie powiedziałby Aleksowi zwyczajnie i po prostu w żywe oczy, że Alex na wylot przejrzał jego myśli. Poznał prawdę, o ileż łatwiejszą od kłamstw! A przecież cała ta rozmowa zaczęła się od jednego prostego pytania Rogera o istotę snu.

- Wcale nie przyszło mi to do głowy - bronił się przed tą prawdą Roger, choć wiele go to musiało kosztować, ponieważ wzdychał niemożliwie. - No ale jak to uzasadnisz z naukowego punktu widzenia?

Ach, Roger, jaki z ciebie naiwny gość, skrzywił się w duchu Alex. Sam nie wiesz, co myślisz, kłamczuchu, dodał złośliwie, lecz zaraz cofnął to słowo, odrobinę zły na siebie, bowiem człowiek zawsze stoi na rozstaju dróg. I jeśli naprawdę jest człowiekiem - Graczem, to w Grę wchodzi nie tylko jego własne, ale także cudze życie, przez które ktoś mu bliskie (na przykład żona, dziecko, kochanka) też sunie krocze po kroczy, a czas nie chce zagrać im na zwłokę, i każdy podjęty wybór, każda decyzja ma swoje rozliczne konsekwencje - to czasem kłamie.

*- Z naukowego punktu widzenia, Roger, świadomość nie zauważa poprzedzania podświadomości, a setki eksperymentów naukowych dowiodły, że działa na nas wszystko, co nas otacza, a na co nie zwracamy większej uwagi, na przykład billboardy na ulicach, obrazy na ścianach, cały wystrój wnętrz, każda głupia reklama w telewizji, każde słowo, dźwięk, symbol czy gest, ponieważ niezwykle istotne są ich szczegóły, które niezauważenie dla świadomości zakorzeniają się w podświadomości, która z kolei **jest** o wiele, wiecee bardziej aktywna i niezależna, niż do niedawna sądzono. Niektórzy naukowcy przypuszczają nawet - a*

ja jestem tego całkiem pewien - że cała świadoma sfera naszego życia jest podporządkowana podświadomości. Albowiem jakkolwiek brutalnie to brzmi: posługując się tylko świadomością bylibyśmy prawie całkiem głusi i ślepi na to, co się dzieje wokół, gdyż to do podświadomości, przypomnę ci, Roger, dociera w ciągu jednej sekundy sto miliardów bitów informacji, a tylko nędzną secinę bitów uświadamiamy sobie w tym czasie. - Alex umilkł dość nagle, w samą porę pohamował się przed konkluzją o kolosalnych możliwościach eksploracji podświadomości, chociażby poprzez analizę energetyczno-informatycznego spektrum snów za pomocą rezonansu magnetycznego o znaaacznie zwiększonej mocy i **MEEEGAKOMPUTERA**. Gdy na dodatek Sperogra to wirtualny prompter tej nierzeczywistości, na którą jesteśmy ślepi. - Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

- Tyle to i ja wiedziałem do tej pory - zaoponował grzecznie Roger, myśląc pewnie prawie wyłącznie o uczuleniu na sierść u swojej żony i o własnym zagrożeniu paranormalnym, czuł bowiem, że na tym nie koniec zgadywanek-niespodzianek Aleksa. - A co całkiem nowego odkryto ostatnio w strukturze mózgu?

Alex dobrze wiedział, że jego powieściowa Gra na śmierć i życie zawiera element katharsis - stan permanentnego uczucia zagrożenia pogubieniem się w powiązaniu bardzo licznych wątków w jeden splot fabuły - i ma strukturę dramatu, ale wręcz amoralny wymiar. A wszystko to wypływa głównie z podświadomości Gracza, która chłonie o wiecele więcej szczegółów zawartych w multiwątkowej powieści-grze niż świadomość, przyzwyczajona do dwu-, trzywątkowego standardu stosowanego w literaturze. Dlatego musiał odchrząknąć znacząco - jak jakiś belfer w szkole - nim głośno przelknął ślinę (kolejny szczegół godny zauważenia - halucynacje muszą być!) i zaczął wyłuszczać ten aspekt problemu.

- No więc jak pisze naukowa prasa, co do struktury mózgu, odkryto, że wszystkie badania nad primingiem prowadzą do zasadniczego wniosku: podświadomość i świadomość to nie dwa szczelnie zamknięte skarbcce, lecz dwie struktury złączone jednym, niezbadanym jeszcze, neuronowym hiperobwodem nerwowym. Wyodrębniono na przykład brzuszną gałkę bladą jako obszar mózgu wspierający świadomość licznymi impulsami z podświadomości. A w konsekwencji przyjęto założenie, że kora przedczołowa - cienka warstwa mózgu uważana za siedzibę świadomości i naszego rozumu - nie jest miejscem, w którym zapadają wszystkie nasze decyzje. Czasem dowiaduje się tylko o tym, o czym wcześniej zadecydowały struktury na niższych - starszych ewolucyjnie - szczeblach mózgu. Podświadomość stawia wówczas świadomość przed faktem dokonanym, zwłaszcza gdy znajdujemy się w sytuacjach szczególnie dla nas ważnych...

- Ekstremalnych?

- Inie tylko... - Wkręt Rogera ucieszył Aleksa, bo świadczył o tym, że wydawca nadała za prelekcją. - Ten wniosek jest słuszny z ewolucyjnego punktu widzenia, ponieważ podkorowe ośrodki mózgu wykształciły się jako pierwsze, dopiero później wyrastały na nich nowsze struktury, między innymi kora przedczołowa jako ośrodek myślenia. Jednakże jeszcze w czasach, kiedy się ona w pełni nie wykształciła, ludzie pierwotni - by przetrwać - instynktownie unikali chłodu, głodu i bicia... przez wroga. Ten podświadomy instynkt przetrwania pozostał w ludziach do dziś i ujawnia się na przykład, gdy wyłączymy światło powodując zapadnięcie kompletnej ciemności. Masz w końcu dość tych wyjaśnień...?

- Niestety, nie - zaprzeczył Roger, który już zauważył niechęć Aleksa do dalszej rozmowy, a jeszcze nie był nią w pełni usatysfakcjonowany. - Nie wszyscy przecież boimy się kompletnej ciemności. Chyba to błędny przykład.

- Nie bój się żaby, bo nie o strach sensu stricte tu chodziło - odrzekł Alex starając się, by w jego głosie brzmiało coś - jakby przebaczenie - jak gdyby Roger zrobił coś głupiego, a on mu wspaniałomyślnie wybaczal. - W Internecie podają, że w jednym z doświadczeń obserwowano zachowanie białych ludzi, którzy znaleźli się w kompletnie ciemnym pokoju razem z Afroamerykanami. Normalnie ci biali nie okazywali żadnych oznak nietolerancji wobec innych ras. Gdy jednak lampy zgasły, nieświadome ruchy mięśni ich twarzy zdradzały przejawy atawistycznej wrogości wobec czarnych. Tak więc podświadomy cel, jakim była instynktowna samoobrona przed obcą rasą, okazał się silniejszy niż świadomość, że kolorowi uczestnicy eksperymentu to także uczciwi i spokojni ludzie. Zadowolony jesteś teraz?

- Zadowolony?... Nie za bardzo.

- Więc dodam jeszcze na koniec, że przykłady, jak podświadomość potrafi zdominować świadome myślenie, można mnożyć na pęczki. Każdy z nas ma bogaty zestaw tajnych symboli zakodowanych w podświadomości, by dzięki nim rozszyfrowywać znaczenie rzeczywistości tła postrzegania świata. Nadażasz za mną?

- Tak jakby.

- Ponadto doćwierkam ci, że podświadome decyzje raz są zgodne z kierunkiem, którym dążymy świadomie, a innym razem - nie. Właśnie rozdźwiękiem między tymi nieświadomymi działaniami a racjonalnymi celami można tłumaczyć nasze dziwne zachowania. Kiedy podświadome działania stają się nagle świadome? Czemu świadomość nie dochodzi do głosu, gdy robimy coś strasznie głupiego? Skąd bierze się przeczucie i natchnienie? Na ile sny wpływają na naszą świadomość? Jak stymulować podświadomość, by śniła na określony temat? Na temu podobne pytania psychologowie z tajnej Międzynarodowej Agencji Badań Podświadomości założonej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku z

inicjatywy... No zgadnij, czyjej? - Alex nie chciał wspominać o kompilacji procedury heurystycznego sortowania internatów nieświadomie biorących udział w eksperymentach.

- Twojej?

- Nieee... Z inicjatywy Petera Morkisa, czy jakkolwiek naprawdę nazywał się ten, kto wówczas postanowił szukać odpowiedzi na takie właśnie pytania i dopiął swego. Albowiem wiadomo już, że automatyczne i nieświadome procesy mogą być przyczyną większości naszych zachowań, nawet tych, które uznajemy za całkowicie świadome oraz że podejmowanie decyzji bez głębszego namysłu - tak zwane instynktownie - może być lepsze niż świadome, oparte na dokładnej analizie argumentów. Amen.

- Amen? Widzę, że nie palisz się do dalszej rozmowy, więc nie zapomnij złożyć Sonii najlepsze życzenia noworoczne od nas, dobrze?

- Oczywiście. - Jak dobrze, ucieszył się Alex, że to już koniec tej relatywistycznej dyskusji z pogranicza nauki. Jeszcze chwila i coś bym poplątał, a on by się połapał, gdzie wcisnąłem mu kit, choć nie ma to już żadnego znaczenia, skoro na Internecie i tak ciąży przekleństwo leseferyzmu. - Przekaż twojej żonie, że życzymy jej wszystkiego naj- naj- najlepszego w Nowym Roku.

- Nie omieszkam.

*- No to saluto, Roger. - **W świecie równoległym Alex powiedział coś jeszcze: - Ale pamiętaj, że w tej Grze ważne są tylko zgrywki Tajemniczości. - I odłożył słuchawkę na wysłużony telefax.***

- Sekundkę, Alex! - zawołał Roger z dziwnym wyzwaniem w głosie. - Dlaczego jednak coś mi mówi, że nie powiedziałeś mi najważniejszego?

- Niby czego?

- A tego, po co internetowe media w ostatnim czasie rozprzestrzeniają wśród internautów „podświadome” niezadowolenie z życia szybciej niż cały pozostały cyrk medialny?

Brak cierpliwości nie zawsze da się wyczuć przez telefon. Wybuchowa mieszanina, którą Alex w sobie wyczuł, kazała mu przypuszczać, że nie ma wiele czasu na spokojne wytłumaczenie tej kwestii, tym bardziej, że cała ta multihistoria-sperogra dobrze się nie skończy, bo sam pewnie zginie.

- No jakby ci tu odpowiedzieć - zaczął nieco wymijającym tonem - powiedzmy, że problem polega na tym, że przenieśliśmy z prostych nieujednoliconych, stałych społeczeństw zamierzchłej przeszłości, obraz idealnej normy dla człowieka współczesnego, który jest ogólnie zupełnie nieprzystosowany do naszej obecnej złożonej, chaotycznej, niestabilnej i

zróznicowanej w swych wartościach cywilizacji miejskiej dwudziestego pierwszego wieku. POSTĘP techniczny pędzi szybciej niż moralny, a podprogowy atak z Internetu wywołuje wydzielanie speroiny w mózgu jako coś niebezpiecznego i...

- Tylko omiń banały, proszę.

- ...I internauta musi kroczyć drogą skazańca **SYSTEMU**, który nadal zakłada, że na przykład „szczerść” i „otwartość” mają podstawowe znaczenie w zdrowych stosunkach międzyludzkich i że kłamstwo i oszustwo, wszelkie zresztą przestępstwo, są podług anachronicznej etyki naszych czasów uznane za Zło, ale każde...

- A jednak bez banałów nie potrafisz...?

Alex pomyślał, że potrafi, lecz mogłoby to okazać się niewystarczająco skutecznym oddziaływaniem na podświadomość Rogera.

- Z żalem muszę stwierdzić... - odrzekł poważnym tonem i przełożył słuchawkę do drugiej ręki - że ty nie potrafisz słuchać, więc reszty domyśl się sam.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam. - Roger powiedział to z nieszczerym uśmiechem zażenowania, który Alex łatwo sobie wyobraził. - Nie chciałem cię urazić, tylko sprawdzić twoją odporność na wybijanie z rytmu wypowiedzi, jako antidotum na niezadowolenie z życia. Rozumiesz? Teraz łatwiej ci uwierzę. Mam nadzieję, że dokończysz swoją odpowiedź.

Z niewiadomych względów najlepiej mu się myślało, gdy był lekko wkurzony, ale po raz pierwszy w życiu Alex nie wiedział, czy wybrać samo kłamstwo, czy po części też prawdę. Może jednak coś leżące pośrodku?

- Taaak?... Więc uwierz mi, że każde społeczeństwo od zarania dziejów opierało się na kłamstwie. A nasze dzisiejsze społeczeństwo oparte jest na bezliku sprzecznych codziennych kłamstw. Człowiek w tym społeczeństwie wchłania chaos wymyślnych kłamstw, upominany każdego dnia przez rodzinę, przyjaciół, media, nawet sąsiadów, że jego przekonania nie są powszechnie wyznawane, jego wartości są więc tylko osobiste i arbitralne, a jego pragnienia często niewłaściwie ukierunkowane. Żądanie od tego człowieka, zwłaszcza młodego człowieka, by był szczerzy i uczciwy wobec samego siebie i, siłą rzeczy, wobec innych, jest prostą i ekonomiczną metodą doprowadzenia go do obłądnego zagubienia w dostrzeganiu właściwych wzorców do naśladowania. Z drugiej zaś strony, by uwolnić go od tego nie kończącego się konfliktu, właśnie przez Internet nakłania się go, by chłonął wiedzę, by udawał zadowolenie z życia, by kłamał bez zażenowania, zapewniając mu warunki intelektualne do rozwijania tych zdolności, żeby stał się **speropodatny na sugestie kompatybilne do wchłoniętych przekazów podprogowych**... skoro podświadomie nie jest zadowolony z życia. -

Alex umilkł, pozostawiając milczeniu swoją zgubną rolę do odegrania.

- Czyli co...? - odezwał się po chwili Roger z tym samym nieszczerym uśmiechem ubolewania, nad którym najwyraźniej już nie panował. - Kiedy wszyscy kłamią, przez sam fakt bycia częścią społeczeństwa o wszechobecnym kłamstwie, tylko głupcy starają się być uczciwi, a jedynie bardzo nieliczni z nich szukają szczerości u innych, tak?

- Zgadza się - odburknął Alex. - Ale sam fakt, że każdy z nas ma w sobie trochę, troszeczkę z kłamliwego głupca, nie jest powodem, by uważać, że należy go wyrażać świadomie.

- Masz rację, i sama myśl, że ktoś przez Internet ma tak subtelną możliwość oddziaływania na masy ludzkie, uświadamia mi, jaką sam jestem nieistotną jednostką społeczną. A zawsze przerażały mnie paranoje starszego pokolenia. Od czasów zimnej wojny do obalenia muru berlińskiego moi rodzice i ich znajomi obawiali się, że ktoś zakładał podsłuchy w ich telefonach... śledził ich... badał komputerowo ich finanse... a teraz, po jedenastym września, stwierdzam, że oni mieli rację, a ja niczego nie rozumiałem. Życie nieustannie czegoś nas uczy. Na przykład aktualnie, że w dobie Internetu tak niewiele możemy poradzić na totalną elektroniczną inwigilację. Bywaj.

Teraz Rogera też zabiją... Rosjanie, uświadomił sobie Alex. Czy sam się bał? Bał się...? Owszem, właśnie zaczął się obawiać, że Rosjanie pozbędą się także jego, kiedy tylko skończy Grę. Nie może więc odkryć Tajemnicy Internetu, zanim nie wymyśli skutecznego sposobu ratunku.

- Adios, amigo.

- Aha! Poczek... - To słowo rozmyło się trochę. Alex usłyszał, że ktoś mówi coś do Rogera, ale nie zrozumiał co. Roger odpowiedział: „Tak, dobra”, i odezwał się do słuchawki. Wydał się dziwnie bliski hysterii. - Pozdrów od nas twojego syna Adama i jego rodzinę.

- Dzięki, Roger.

Po odłożeniu słuchawki na telefax Alex pomyślał o gorącej herbacie z cytryną, bo zrobiło mu się dość chłodno na duszy i ciele. W kuchni przekazał życzenia Rogera Sonii przygotowującej sobie kawę (Sonia i Brandon, kto by się domyślił?), wcisnął jej także, że Gra jest bombowa, i dodał:

- Od tej chwili nie ma mnie w domu dla nikogo. Aż do odwołania. - Kobiety są wspaniałymi istotami, stwierdził bez konkretnego związku z żoną Sonią lub kochanką Rosemary, o wszystkich tak ogólnie myślał, choć nie zawsze się z tym przedtem zgadzał. Dziś gotów był przyznać im to bez zastrzeżeń. A jakie zmyślne, przebiegłe umieją być - o, poznał je na tyle dobrze, by pozostać w związku z dwiema kobietami naraz. Czy więc mógłby się bez

nich obyć? Bo w miłości - tak jak on ją rozumiał - te seksowne istoty są tak pazerne na pieniądze, że aż nieobliczalne. Na dobre lub na złe życie nastawione... ale nieobliczalne! Dzisiaj - 1 stycznia 2013 roku - przezornie rozgrzeszał je z tej wady. I Rosemary, i Sonię.

*Odpowiedziała, że dobrze, skoro tak chciał, (a Rosemary warknęła: „Zabij ją, ziba-da ziba-de, zabij tę sukę!”), przyzwyczajona do jego fanaberii wynikających z nawyku kluczenia, zacierania po sobie śladów, który tak wszedł mu w krew od czasu podjęcia znamiennej decyzji zmiany tożsamości, że robił to podświadomie. Każdy krok, każde słowo, najmniejszy ruch, podporządkowane były zaprogramowanemu w jego mózgu reżymowi wyprowadzenia otoczenia w pole. Nie ufać nikomu! We wszystkim doszukiwać się podstępów. Uwaga - ostrożnie! Ostrożność, ponad wszystko ostrożność, to zasada samowpajana każdemu fachowcowi w jego superprofesji badacza snów - po dwunastu latach analizy jungowsko-speroidalnej był specjalistą od tłumaczenia snów, dla którego ostrożność to najwyższy nakaz, skoro dzięki niej dostrzega się to, czego inni nie widzą - Rosemary posłała mu uśmiešek pobjaźniania, patrzyła takim wzrokiem, jakby zaglądała w głąb jego duszy. Ona wie, pomyślał, kim naprawdę jestem. Ona mnie zna, może nawet lepiej niż ja sam. Varum! Ale czy moja ostrożność - o to pytał siebie już niejeden raz - nie jest przesadna, czy przypadkiem nie jestem przewrażliwiony na punkcie ostrożności, na punkcie wszechobecności ludzi inwigilujących wszystko i wszystkich? Bo **ICH** ludzie są wszędzie. Od klas kończących uczelnie, w których już wypatrują oczami wykładowców narybku na swoich przyszłych pracowników, poprzez kierownictwo tych uczelni, personel wszelkich urzędów miejskich, stanowych, federalnych; są wśród hostess linii lotniczych, taksówkarzy, kelnerów, kelnerek, dziwek, callgirls, handlarzy narkotyków, zwykłych ćpunów i złodziejaszek, tudzież grubych gangsterów i oczywiście wszędzie w mas mediach. (Po przyrządzeniu herbaty musiał się odlać, umyć, ogolić i ubrać oraz nakarmić Brandona „więzionego” w piwnicy). Także można się na nich natknąć na oficjalnych przyjęciach wysoko postawionych osobistości, na ekskluzywnych garden parties, na najbardziej intymnych prywatkach, w sytuacjach i miejscach najmniej spodziewanych. Przesada! Gruba przesada! - może ktoś tubalnie zaprzeczy. Nie jest aż tak źle! Jesteśmy wolnym społeczeństwem! A jakże: jesteśmy naiwni i nieświadomi! Bo to jest sprawka ICH taktyki, propagandy i wielkiej forsy, a nie fanaberii Aleksa Rifle'a.*

Kiedy powrócił do gabinetu, wypił resztkę herbaty z przeświadczeniem, że świat nie jest taki zły, skoro hełm wizuafonu i bezprzewodowa mysz umożliwiają mu zanurzenie się w Grze na śmierć i życie - wytrychu do ludzkiej wyobraźni; wyobraźni kształtującej świadomość społeczeństw; świadomości społeczeństw manipulowanej przez media; media kontrolowane przez korporacje; korporacje sterowane przez Centrum Władzy Globalnej; CWG zarządzane

przez... kilku ludzi - Supergraczy, którzy chcą ujawnić Tajemnicę Internetu akurat dzisiaj.

*Kłamstwo maską prawdę zakrywa - zapewne w ostatecznej wersji Alex mógł zmienić fabułę Trylogii Tajemnic i zastąpić ją jakąś mniej sensacyjną i ponurą opowieścią, bardziej moralizatorską niż była. Lecz kiedy myślał o tym teraz, gdy już miał kliknąć, zaczynały ogarniać go wątpliwości: ciekawie urozmaicone życie nie może przecież dyskwalifikować jego sensu. Dlatego niemal każdą linijkę - każdą uwagę, sentencję czy wniosek - celowo zaprawił kropelką esencji Tajemniczości nadającą odpowiedni smak i wymiar całości koncepcji, ponieważ wymogi rynku wydawniczego powodowały, że ani jeden rozdział nie miał prawa być nudny w okresie recesji gospodarki światowej. Nic - nawet zdrowy rozsądek, czy pilna lektura reportażu prasowych, bądź ostrzeżenia wydawcy - nie zdołało wymazać z jego wyobraźni wizji Sperogry jako cudownej broni przeciwko pseudorealistycznej głupocie i nietolerancji umysłowej w wydaniu amerykańskiego, jakże zużytego **SYSTEMU**. Tak, taaak, kusilo go, żeby już, i to w tajemnicy przed **NIMI** zmienić zasady Gry, stać się aktywnym Graczem, ale takie nastawienie do całego **TESTU**, gdyby ktoś z **NICH** się zorientował, mogło okazać się superniebezpieczne, więc nie marnotrawiąc już czasu na dalsze dywagacje postanowił po prostu kliknąć tu:*

KLIK...

INTERLUDIUM: ETAP 0100

Ponad dwa i pół roku po założeniu Tajemniczej Spółki, w piątek, 22 stycznia 1995 roku, tuż przed godziną dziewiątą rano, Peter Morkis i reszta wspólników Spółki szykowała się do zakończenia niebezpiecznej operacji porwania profesora Gordona Wicksa. Natomiast przyjaciel profesora, doktor Chuck Noles, w tym samym czasie zajechał swoim jasnozielonym rocznym chryslerem voyagerem na rozległy parking Laboratorium Badawczego Amerykańskiej Korporacji Medycznej „VENOM”, położonej na północnych peryferiach Newark w New Jersey. Noles był tam zatrudniony od ponad sześciu lat jako laborant-badacz. W pobliżu wznosiła się pokaźna budowla Stadionu Newland przypominająca głęboki, błękitny talerz, a ciężkie, ciemne chmury, niczym szare, zbałwanione morze, zwieszały się nad tą częścią okolicy, napływając konsekwentnie od wschodu.

Voyager napotkał poprzeczny próg wymuszający ograniczenie prędkości, na którym

podskoczył automatycznie, po czym skręcił i zatrzymał się na zarezerwowanym dla Nolesa miejscu postojowym, oznaczonym imienną, blaszaną tabliczką, wystającą ponad warstwę odgarniętego śniegu. Obok parkował niebieski Chevrolet caprice Pata Bozemana, kolegi Nolesa. W oddali Chuck mógł dostrzec główne wejście do budynku, w którym pracował. W pojeździe, oprócz właściciela, siedzieli jeszcze dwaj inni młodzi mężczyźni, brodaci i wąsaci. Mieli śniade cery, a ich kruczoczarne włosy przykryte były czarnymi wełnianymi czapkami-kominiarkami.

Chuck Noles nerwowymi ruchami wyłączył silnik, przestawił dźwignię zmiany biegów na „park” i wypiął się z pasa bezpieczeństwa. W poszukiwaniu jakiejś rzeczy równie nerwowo zaczął macać po swojej ciepłej puchowej kurtce ciemnozielonego koloru. Rozpiął ją całkowicie i w końcu z dolnej kieszeni marynarki, którą nosił pod kurtką, wydobyl telefon komórkowy. Uświadomił sobie nagle, że w dalszym ciągu jest tak spięty, że nie panuje nad sobą, i gotów jest zacząć krzyczeć cokolwiek, byle dać upust swojemu gniewowi, a właściwie wściekłości. Spojrzawszy wyczekująco w twarz pasażera siedzącego z przodu samochodu, zmusił się jednak do milczenia. Ten zaś sprowokowany owym bezgłośnym wyrzutem, wycedził z arabskim akcentem:

- Powtarzam ci jeszcze raz: tylko nic nie kombinuj, żadnej policji ani FBI, czy innych popaprańców, bo nie zobaczysz już nigdy swojej żony i córki, a one zginą w strasznych męczarniach. - Skrzywił się groźnie: - Zrozumiałeś?

Noles przygryzł dolną wargę odwzajemniając się nienawistnym spojrzeniem, bezwiednie ją polizał i tak zapatrzony w twarz wroga, nie odpowiedział. Zamyślony nad czymś, nieobecny duchem - otumaniony stresem i zmęczeniem po nieprzespanej nocy. Do niedawna dobrze wiedział, jak cieszyć się Życiem i jak je z pożytkiem spędzić. A teraz...? Przypomniała mu się straszna historia nieszczęsnych Beth i Franka Cravenów - najgłośniejsze porwanie w ich stanie New Jersey! Historię o krwawym epilogu - znaleziono w końcu zwłoki małej Susie i jednego z porywaczy: zginęli z winy FBI. Takie jest Życie!

FBI?...

FBI!...

FBI!? - Najgorsze, co mi się może przydarzyć... ale przed przeznaczeniem nie można uciec.

Milcz! Milcz! Nie mów nic! Bo się spełni.

Co?

To... co najgorsze! - W głębi umysłu Chucka nagle coś pękło: głosy umilkły.

- Zrozumiałeś? - powtórzył porywacz. Widząc, że Chuck nie reaguje, szturchnął go w

ramię. - No! Co z tobą? Słyszysz mnie? Przyniesiesz nam trzy fiołki wirusa i wszystko będzie dobrze.

Chuck ocknął się wreszcie, szybko zamrugał powiekami, które leciuteńko go zaswędziały od napływu łez wzruszenia na wspomnienie swojej żony i córeczki, i kiwnął głową na potwierdzenie, że słyszy. Bowiem wszystko jest względne, skoro mimo wszystko ma przecież być dobrze.

Dlatego porywacz ponowił pytanie:

- Zrozumiałeś?

- Co do słowa - odmruknął Chuck, choć miał wrażenie, że śni zły sen.

- Tylko nic nie mów nikomu!

- Nikomu?

- Zupełnie nikomu!

Komu mógłbym powiedzieć? Muszę postawić wszystko na jedną kartę.

To na nic. Nie uda mi się...

- Za późno już na moje gadanie. Musisz już iść do roboty. Zostaw kluczyki, bo musimy się tu ogrzewać, czekając na ciebie - dokończył pojednawczo porywacz.

- No to idę - powiedział cicho Chuck, a w myślach dodał: Boże, proszę, dopomóż mi. Od wczoraj co rusz powtarzał tę prośbę.

- Tylko nie nawal, bo wiesz... - Porywacz pogroził mu palcem.

Chuck otworzył drzwi dość powolnym ruchem, wysiadał również powoli, przy czym zręcznie wrzucił swój telefon komórkowy pod siedzenie kierowcy. Miał pewien zarys planu ratunkowego, a prześladowcy nie zauważyli jego manewru. Zatrzaskał drzwi samochodu, odwrócił się, zamknął oczy i głęboko nabrał tchu. Wokół niego nie istniało nic. Był tylko ogłuszający szum znużonych myśli w głowie - umysł zawieszony w czasie. Jeśli zginę, pomyślał, nie będzie to wcale mój kres. To ten świat się skończy dla mnie. Boże, co za Życie tu wiodę - wiedział już, co zrobi: zagra va bank. Podniósł powieki. Otaczał go okrutnie piękny świat. Widok ciągnął się hen za parking, drzewa i domy, za wielki stadion, poza najbliższą dzielnicę i dalsze przedmieścia, aż po drapacze chmur i niebo nad nimi, co było można nazwać wyłącznie najodleglejszą dalą, za którą też istniał ten wspaniały świat.

A na tle tej dali, całkiem blisko, ujrzał sokoła szybującego niczym symbol nadziei. Sokół wędrowny ma silne i duże serce, nieproporcjonalnie duże do wielkości ciała. Dowiedział się o tym w szkole podstawowej, a także o innych szczegółach ptasiej anatomii: kości ptaków są puste w środku, pióra nieprzemakalne, mięśnie przekrwione, i tak dalej... Cóż, trzeba iść, przekroczyć Rubikon Ryzyka, w niebezpieczne Życie się zanurzyć, by już mu

nie zaufać... nigdy. Teraz wiedział, że w zwykłym Życiu wszystko zdarzyć się może, w każdej chwili. Dlatego nigdy nie wolno go spuszczać z oka.

Przed wejściem do budynku dla formalności Chuck pokazał strażnikowi swoją elektroniczną kartę identyfikacyjną ze zdjęciem i potem jeszcze raz drugiemu przed recepcją w holu. Wszyscy pracujący tu naukowcy podpisali umowy z klauzulami najwyższej tajności, zobowiązujące do poddania się maksymalnym rygorom bezpieczeństwa, a jednak nie przestrzegano ich tak bardzo jak w wojskowych placówkach tego rodzaju. Tak twierdzili ci, którzy pracowali wcześniej przy projektach militarnych i tam akceptowali natrętną ochronę jako konieczną niedogodność. Ale tutaj swoista „wolność”, którą się cieszyli, też miała swoją cenę.

Nie mogę dać poznać po sobie, że mam tak wielki problem, powtarzał sobie w duchu Chuck, spiesząc szerokim korytarzem w stronę drzwi do działu „A”, który był miejscem jego pracy. Tuż przed nimi napotkał Alę, stosunkowo nowego pracownika-fermingha, oznakowanego tak według nomenklatury Gry.

- Cześć! Nareszcie jesteś - zaczął go Al; typ, który chyba spod ciemnej gwiazdy wypadł: wysoki, barczysty, dziobaty na posepnej twarzy. - Spóźniłeś się.

- Czołem! A ty nie? - Chuck znacząco zerknął na zegarek zapięty na lewej ręce. Było trzy minuty po godzinie dziewiątej.

- No właśnie, bo ja czekam specjalnie na ciebie.

- Taak? Na mnie? - Przybierając zniecierpliwioną minę, gdyż spieszyło mu się wdrażać swój plan ratunkowy, Chuck jednak dodał: - Z jakiego powodu?

- Na gwałt potrzebuję pięciu tysięcy dolarów i nigdzie nie mogę pożyczyć, ponieważ za krótko tutaj pracuję. Banki też mają obiekcje, bo wzięłem już kilka kredytów, no i z tego zmartwienia przez ostatnie dwie noce nie zmrużyłem oka. Poratujesz mnie...? - Al gestykulował z takim przejęciem, jakby to była sprawa życia lub śmierci. Na ścianie za jego plecami nagle pojawiły się ruchome, zagadkowe cienie, jakby część zamkniętej w Alu mocy przekonywania emanowała naokoło.

Nie istniało zakłęcie, które mogłoby go powstrzymać przed zdobyciem pieniędzy na zakup kolejnej „zabawki”, bowiem to nie były zwykłe cienie.

- Szkoda, że mi się nie zwierzyłeś wcześniej - odparł nieco poruszony Noles. Al patrzył na niego bezgranicznie spostrzegawczymi oczami, jednak pod tą spostrzegawczością Chuck dostrzegł fałsz. Musiał więc trącić w nim jakąś strunę, żeby go lepiej poznać; musiał się postarać, by mówić dalej głosem wypranym z wszelkich uczuć, o ile się nie pomylił. Dlaczego Al zastąpił mu drogę akurat teraz? Czy miał jakieś zadanie do wykonania?

- A byłbyś mi pomógł?

- Ależ oczywiście, mam w domu znakomite tabletki na sen. Zapamiętaj: „Prosleep” Bayera. Sprzedają je bez recepty. Naprawdę polecam ci je szczerze. No, ale muszę już lecieć, ponieważ jestem spóźniony. Mogę stracić premię za punktualność - zażartował Chuck na koniec.

- Ale... Chuck... nie w tym rzecz. Mam nóż na gardle...

Noles już prawie nie słyszał Ala; odwróciwszy się do niego plecami, przy pomocy swojej karty elektronicznej już otwierał drzwi do działu „A”. Przesunął nią w szparze czytnika elektromagnetycznego, a następnie przyłożył palec wskazujący prawej dłoni do ekraniku miniskanera. Począł, aż centralny komputer porówna swoją informację o jego liniach papilarnych i odczytanych z ekraniku, z tymi zakodowanymi na karcie identyfikacyjnej. Czerwone światełko nad ekranikiem zmieniło się na zielone. Gdy usłyszał odpowiedni sygnał zwalnianego zamka, pchnął gałkę klamki.

- Pozałujesz tego, ofiary Losu - wycedził cichutko Al w ślad za Chuckiem, po czym szybko odmaszerował w stronę drzwi swojego działu.

Chuck wszedł do wnętrza laboratorium, wiedząc, że Al nie ma tam prawa wstępu. Przywitał się głośnym: „Już jestem, pracusie!” z dwoma współpracownikami przystępującymi do zajęć w przedniej - bezpiecznej części laboratorium i podążył do swojej szafki ubraniowej. Po chwili, rozebrany z wierzchniej odzieży, zamknął za sobą hermetyczne wrota do przedsionka przed również hermetycznymi drzwiami do przebieralni głównej. „Dasz radę, dasz radę”, podszepetywał mu teraz głos... ojca. Trzydzieści lat wstecz odegrał on swoją rolę w tajnej historii Ameryki, a ciężar, który musiał w związku z tym dźwigać do dziś, w znacznym stopniu zaważył na dzieciństwie Chucka. Ojciec wciąż był pewien, że zimna wojna, której nakręcaniu poświęcił najlepsze lata Życia, zakończy się zagładą cywilizacji, do czego zresztą niewiele przecież brakuje.

„Kłam, oszukuj, kradnij, tylko wygraj swoją Grę! Zwycięstwo to jedyna wartość! Zwycięzca zgarnia wszystko, przegrany się nie liczy!” - powiedział mu kiedyś ojciec, gdy był pijany. Fakt, że rzadko się upijał do tego stopnia, by udzielać tego rodzaju ojcowskich rad, przyćmił wtedy jej sens, ale znamienne, że Chuck jednak ją zapamiętał i akurat teraz, po dwudziestu latach sobie przypomniał. Strach przed przegraną kieruje się własną logiką. Bo czasami trzeba kłamać, by stawić czoło prawdzie.

W czasach, kiedy uprawiał czynny sport, Chuck Noles - numer 21 - zawsze omijał wszelkie przeszkody, żeby zapewnić swojej drużynie zwycięstwo. Mimo że był pewien, w co teraz naprawdę grał - być może porywacze jego żony i córki nie są tymi ludźmi, za których

chęcią uchodzić - jego wrodzona żądza zwycięstwa, wpajana Amerykanom od dziecka, wzięła górę nad paniką, a bystry umysł zaczął wymyślać sposoby na wydarcie zwycięstwa z gardła swojej klęski.

Przebrany - na zupełnie nagie ciało - wyłącznie w biały, sterylny, obszerny, hermetycznie szczelny kombinezon z hełmem, przeszedł do komory dekontaminacyjnej. Po zaliczeniu spadku ciśnienia w komorze wkroczył przez następne hermetyczne drzwi do biobezpiecznego laboratorium o najwyższym poziomie zabezpieczeń, podłączył się do przewodu powietrza i skierował się na swoje stanowisko badawcze, by zająć się codzienną pracą w tym laboratorium, w czasie której przygotowywał się do realizacji swojego planu ratunkowego. W krytycznych momentach wystrzegał się oczu kamer zamontowanych w różnych miejscach pomieszczenia... pomny szykan, jakich doznał z powodu swojej Tajemnicy.

Jasny gwint, niezbyt ciekawe trafiło mi się to otwarcie interludium, przyznał w duchu Alex. Ale czytając opis kolejnej z rzędu ikony, którą wylapywał kursorem bezprzewodowej myszy, zainteresował się tym, co działo się w Grze dzień wcześniej w Londynie, po południu.. Postanowił w nią kliknąć, chociaż jak odkrył do tej pory - a tylko w Internecie, choćby na czatroomach, znajdował ludzi podobnych do siebie, z którymi mógł rzeczywiście dogadać się (ale ostrożnie), których mógł szanować, a nawet „kochać”) w niczym nie przypominali idiotów, z którymi miał do czynienia w realu, za to nadawali się na tajnych Graczy skrycie wprowadzonych przez niego do Gry - wybór opcji dalszej Gry mógł zmieniać sposób widzenia dotychczasowej dedukcji w poszukiwaniu Sedna Gry. Owego LUSTRA, które w końcu powie ci, co naprawdę myślą o tobie inni.

On pisze dla mamony.

Jakie zatem odstępstwa od normy zaobserwował u siebie od początku Gry? Czy choć przez moment poczuł się wyabstrahowany poza to, co oglądał na ekranie wizyafonu? Dlaczego w tandemie akurat z Brandonem został wytypowany do tego bezprecedensowego przypadku testowania pierwszej w historii świata Sperogry? Jak to wykorzystać?... Pytania łatwo można by mnożyć, trudniej na nie odpowiadać, nie robiąc kolejnej przerwy w Grze. Teraz jednak trzeba grać dalej, pomyślał, wierząc, że się wygra dzięki umysłowej entropii. Bowiem kiedy jakieś etapy się otwierają, inne się zamykają, lecz nigdy nie otwierają się ani nie zamykają bez powodu - program Gry nad tym czuwa - zawsze ktoś przez nie przechodzi, nawet wtedy, gdy nikogo nie widać. Aczkolwiek: „od wariata różni mnie jedynie to, że nim nie jestem”. (Rozdajemy darmowe karnety na zadowolenie z życia!) Hej, Brandon! Kliknij tutaj!

KLIK...

PĘTLA: I

Światła zgasły w luksusowo urządzonej sali konferencyjnej w siedzibie Chronox Ltd., dużej londyńskiej agencji reklamowej. Ciemność trwała tylko sekundę, ale kiedy na sporym ekranie telebimu pojawiło się typowe amerykańskie centrum handlowe: nieco rozmażane rzędy setek zaparkowanych samochodów na pierwszym planie, (*Oto sygnał, żebyś czekał na kolejny znak - halucynacje muszą być!*) paskudny zlepek szyldów i billboardów wyłapywanych w tle (*Więc pozwól mi się dotknąć, Graczu... w różowych okularach!*) oraz dziesiątki ruchliwych konsumentów rozsianych tu i ówdzie - ten fragment współczesnej codzienności, przed którą nie było obrony, robił właściwe wrażenie przed prelekcją. (*Twoja Gra to tajna broń konstruowana by jeszcze lepiej zmanipulować tłum!*)

Oby zrobił, pomyślał Seymour Kass, szef amerykańskiego działu agencji, choć wiedział z doświadczenia, że taki prosty obraz (w wyobraźni na nowo wykadrował ujęcie, dodając kawałek autostrady, tym samym wyczarowując to na ekranie telebimu) natychmiast wywołuje odpowiednie nastawienie odbiorcy: każda krytyka Stanów Zjednoczonych to samograj w Wielkiej Brytanii jako efekt zazdrości, że to już nie ona lideruje Zachodowi.

- W Stanach Zjednoczonych wydatki na reklamę przypadające na jednego mieszkańca kraju są największe na świecie - zaczął prelekcję nader krytycznym tonem. Nonszalancko spojrzął przez ramię na Fionę Graystone. Zakrwawioną i zmęczoną na tym plakacie. Na jej widok coś się w nim obudziło. Uruchamiała jego wewnętrzny dzwonek ostrzegawczy, na razie jeszcze cichy, ale natarczywy. Czuł, że przyciąga go wzrokiem. Subtelnym, spragnionym i dumnym. Nieszczęśliwym w sumie. - Trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę jakość amerykańskich towarów...

W ciemności rozległy się w wielu punktach potakujące pomrukiwania, zniecierpliwione westchnienia, skrzygnięcia foteli, na których zaintrygowani słuchacze wyprostowali się nadstawiając ucha.

- ...oraz inteligencję i kulturę amerykańskiego klienta. (*Angelina Jolie w Rosji!*)

Pojawił się też stłumiony szmer mikrokomentarzy, jakby słuchaczy było więcej niż tylko setka. Kass rozkręcał się z każdym swoim słowem. Mimo to nie czuł się najlepiej, zdawało mu się, że coś go uwiera pod sufitem, coś razi jego ostrożność czy raczej podejrzliwość; że był nie w sosie - to za słabo powiedziane, lecz przecież jeszcze nie wpadał w panikę. Jednak coś z nim było nie tak, to pewne.

- Jak niedawno złośliwie zauważył jeden z naszych felietonistów, większość

zadufanych w sobie Amerykanów nie umiałyby namacać w ciemności własnego tyłka obiema rękami naraz, bo tacy są otyli i nie widzieli podobnej reklamy. - **Pamiętaj, że czarna pamięć cię obserwuje!** - Ale pewnie ściągnął ten paszkwil z Ameryki, skoro Ameryka to taka superpotęga we wszystkim.

Odezwały się nawet syknięcia niesmaku oraz ironiczne cmoknięcia. Nie ma co: rozgrzał ich prawidłowo. Aż szkoda, że logika nie stosuje się do metafizyki w reklamie, bo już by mieli pozamiatane.

- U nas Amerykanie powszechnie uważani są za naród prostaków, pozbawionych prawdziwej kultury i wiedzy, którego przedstawiciele poklepują się dziarsko po ramieniu, uważając za pępek świata i brnąc coraz bardziej w długi. Życie na kredyt w szaleńczym wymiarze, oto ich sposób na miłe spędzanie czasu. A przez ostatnie pięćdziesiąt lat z powodu kiepskiej opieki prenatalnej i fatalnej diety fastfoodowej pogorszył się nawet ich ogólny stan zdrowia w porównaniu z Europejczykami czy Japończykami. - **Cia la la la u u u. HEXAGON zbiera wszelkie informacje bez wiedzy informujących.** - Przestępczość bije u nich rekordy, a narkomania i alkoholizm stały się tam niemal społecznie akceptowane. Do tego ich gospodarka podupada z każdym rokiem. - Tyle powinno wystarczyć, uznał. Mówił do fachowców, a raczej do cwaniaków z branży reklamowej i wiedział, że ich nie przekonuje do końca, bo to już słyszeli niejedną raz. Zmienił ton głosu na trochę mniej oskarżający i spowolnił gestykulację. - Chciałbym wszak zwrócić waszą uwagę na samą liczbę przekazów komercyjnych przy amerykańskiej autostradzie czy ulicy, tak jak to widzimy na ekranie. Do tego prawie każdy przejeżdżający samochód ma też włączone radio, w którym nadawane są kolejne reklamy. - **Zostaw TO na czarną godzinę!** - Szacuje się, że przeciętny Amerykanin codziennie wchłania nawet, uwaga... do tysiąca komunikatów o charakterze komercyjnym. Albo, co bardziej prawdopodobne, niemalże wcale ich nie postrzega. Psychologowie ustalili bowiem, że taki zalew reklam powoduje coś w rodzaju znieczulenia, które z czasem się utrwała w reklamoodporność. W tak przesyconym środowisku medialnym wszelki przekaz sugestii traci moc. Niestety, to fakt. Groźny dla nas fakt fluktuacji umysłu. (*Britney Spears boi się wystąpić w Rosji!*)

W czasie, gdy mówił, na ekranie telebimu pojawiały się między innymi: Times Square nocą podczas śnieżycy w święta Bożego Narodzenia - wzruszające, potem tokajskie Shinjuku o świecie w deszczu, któremu towarzyszyła tęcza - nadziei, na koniec Piccadilly w Londynie o zmierzchu w siwej mgłę - codzienności, i Plac Czerwony w Moskwie w samo upalne południe - ku przestrodze.

Ktoś rzucił uwagę, że Kass powinien już przejść do sedna prelekcji, ktoś inny, że sam

ma świetny pomysł, jak z tym faktem można sobie poradzić, ktoś nawet gwizdnął, a najgorsze, że w efekcie skojarzenia własnych słów z czymś nieokreślonym bliżej, Kass zgubił właściwy wątek. I poczuł się jeszcze gorzej.

Kurwa! Jak **TO** miało dalej iść?

- To przesycenie reklamą już jest zjawiskiem globalnym. Olbrzymie komunikaty, wyświetlane na przykład na gigantycznych ekranach, pojawiają się na placach miejskich, przy autostradach i ulicach, w metrze, na dworcach kolejowych i autobusowych - ciągnął dalej Kass tonem owej rosyjskiej przestrogi. **Bo tutaj jest jak jest - po prostu; i ty dobrze o tym wiesz.** Sens tego, o czym mówił, był wszystkim obecnym doskonale znany, ale musiał o tym wszystkim wspomnieć, skoro „słowa są różnicą między tym, co w środku Tajemnicy siedzi i tym, co na zewnątrz widać”. Kurwa! Jak **TO** szło? Podświadomość coś tam... Coś tam, bo...? - Ba! Telewizory umieszcza się w sklepach, toaletach, poczekalniach, barach i restauracjach, w salonach dla VIP-ów na lotniskach i na pokładzie samolotu. Dokonaliśmy także podboju przestrzeni prywatnej. Logo, znaki firmowe i hasła reklamowe znajdują się na nożach, zastawie stołowej, komputerach, książkach, akcesoriach biurowych i wielu innych przedmiotach codziennego użytku. Konsumenci mają markowe metki na ubraniach, torebkach, butach, biżuterii. Właściwie nie widuje się dziś w miejscach publicznych ludzi, którzy nie mieliby na sobie chociaż jednego znaku towarowego. - Kass wiedział jak dawkować szczegóły, by Tajemniczość zagrała najpiękniej jak potrafi. Chciał wywołać dyskusję - możliwie najostrzejszą - w odpowiednio przypadkowym momencie, bo nigdy by się nie dowiedział tego, co zamierzał im przekazać we właściwej formie - **przegnielej**, gdyby przez przypadek nie przeczytał **pewnej książki**. - Gdyby przed czterdziestu zaledwie laty ktoś przewidywał, że nieomal cała cywilizowana ludzka populacja zmieni się w jedno wielkie stado ruchomych nośników reklamowych - niewolników komercji, zostałby wyśmiany. A dziś? - **Czarno TO widzę! Czarno TO widzę!** - To się stało na naszych oczach, bez zastanawiania się nad efektami ubocznymi. Skutek? Nowa choroba społeczna: kredytomania - w konsekwencji przesycenia rzeczywistości sztucznymi obrazami, przeciążenia zmysłów odbiorem informacji komercyjnych i zwiększenia wpływu reklamy na świadomość jednostki społeczeństwa. Co **my - multimedia (Przekaz podprogowy!)** możemy na to poradzić? Jak w erze nowych technologii możemy przeobrazić reklamę w jeszcze bardziej wydajne narzędzie mediów? Odpowiedź pewnie wyda się wam bluźniercza, ale... Oto nasz pomysł.

Kurwa! **TO** nie jest ten najlepszy pomysł!

Obraz na ekranie zmienił się raptownie, teraz przedstawiał gęsty las tropikalny: zielone niebosiężne drzewa, promienie słońca migocące w listowiu i cień pod nimi, gdzie coś

się ruszało, coś przedzierało się przez gąszcz jak *Predator*. Następne ujęcie też ze świata przyrody: ośnieżony górski szczyt w promieniach zachodzącego słońca, gdzieś tam białe chmury w głębi obrazu, a na nich jakiś poruszający się cień... zapowiedź niespodzianki. Kolejne: tropikalna wyspa z laguną - półkoliste pasmo jasnożółtego piasku, szmaragdowa tafla wody, pojedyncze lekko pochylone palmy kokosowe i ktoś wynurzający się na powierzchnię wody. Potem: rafa koralowa z bliska, a wśród koralów i ukwiałów kolorowe ryby, ośmiornice, mięczaki i stawonogi w muszlach oglądane przez maskę pływaka.

- Przyznajcie, że świat natury jest całkowicie wolny od reklamy. No nie? My możemy go dopiero okiełznać. Skolonizować. - **Na czarno! Na czarno!** - Na razie pozostaje dziewiczy i piękny. (*Zachodnia kultura podbija Rosję?*)

- I chyba o to chodzi, żeby takim pozostał, prawda? - dobiegło z ciemności. Pytanie najwyraźniej zakłóciło tok wypowiedzi Kassa, było jak zakręt na prostej drodze do celu... który gdzieś mu zniknął.

- Owszem, takie jest przekonanie przeciętnego człowieka, ale takiego, który nie zdaje sobie sprawy z misji i potęgi POSTĘPU - replikował Kass pozornie nie tracąc rezonu i nie kryjąc ironii. Kurwa! Co ja plotę? Cytuję fragmenty **tej czarnej książki**? Pod wpływem jej przekazu podprogowego? Jeśli tak zwyczajnie to działa, to Wiszące Ogrody Semiramidy też się nadają! - Zanim jakiś nowy pogląd zostanie społecznie zaakceptowany i stanie się powszechnie uznawanym elementem rzeczywistości, musi upłynąć trochę czasu. A ŚWIAT, panie i panowie, nie czeka. Powszechnie przekonania dla niego są zawsze nieaktualne. Tak jest i w tym przypadku, gdy przeciętny człowiek nie wierzy w zagrożenie ze strony POSTĘPU, dopóki ono nie dotknie go osobistym nieszczęściem.

Następny obraz przedstawiał półpustynny krajobraz południowo-zachodnich połaci USA: między płaskimi wypiętrzonymi rudopłowe skalne iglice mierzyły prosto w błękit bezchmurnego nieba, co budowało wakacyjny nastrój, nastawienie na relaks, odpoczynek po ciężkim dniu pracy, wręcz zazdrość, że gdzieś tam istnieje taki świat z marzeń. Jednak obłoczki napłynęły po chwili niewiadomo skąd i połączyły się w jeden większy, który zawisł dość wysoko nad ziemią, po czym zaczął się dzielić na pasma, tworzące napis: SHELL TO CZYSTE ŹRÓDŁO ENERGII!

- Ten oto sztucznie stworzony przez nas napis na prawdziwym niebie ma czterysta metrów wysokości i nie może być... nie może być, przepraszam, o czym to ja mówiłem?... Aha! Że jego podstawa znajduje się kilometr nad powierzchnią ziemi i nie może być - **czarnym!**? - złudzeniem. (*Nagle Alex poczuł ów swobodny spadek umysłu z wielkiej wysokości przez tysiące warstw żywych światów równoległych. Spadał z rozpostartymi*

rękoma, żeby łapać w nie prądy czasu minionego, z utrzymaną w dłoni ekspresową wizją do Rosji, celując w otwór znajdujący się w połowie drogi w dół, dziurę wielkości przewodu wentylacyjnego: Wrota Sedna Gry...). A że litery te nie są cyfrowym efektem specjalnym, lecz rzeczywistym obiektem wywołanym przez chemiczne reakcje, będą atrakcją turystyczną, ciekawostką, którą widać gołym okiem z bardzo daleka, znakomicie wychodzącą na zdjęciach, nawet amatorskich. Ba! O zachodzie słońca wyglądają naprawdę prześlicznie - inwencja twórcza każdego z nas mogłaby tu zdziałać cuda (*by ludziska po prostu zawisli na HAKU!*). Ale to nie wszystko, moi mili, bo w pewnej sieci można znaleźć ciekawsze pomysły, które zostawiłem dla was na później jako niespodzianki. - Obraz zmienił się, płynnymi skokami przyspieszając wraz ze zwykłym upływem czasu. Jeszcze nie teraz, jeszcze jest czas na najważniejsze, powstrzymywał się Kass w przystępie samouspokajania. - Proszę, możecie państwo zobaczyć, co się dzieje, gdy słońce z wolna chowa się za widnokretem: litery mogą zmieniać barwę z białych na żółte, podbite czerwienią, mieniać się Tajemniczością, Magią i Nadzieją naszej wyobraźni, która nie zna granic, że tak powiem, wreszcie na wyraźniej fioletowe i malejące w szybkim bądź wolnym tempie. Mogą też przekształcać się w inne hasło lub logo czy znaną markę. Ten chemicznie wywoływany proces ma wszystkie cechy naturalnego elementu krajobrazu, a jest tylko jednym z wielu naszych pomysłów na reklamę w nowatorski sposób - ten jest najprostszy, ma się rozumieć, bo to początek naszego dzisiejszego spotkania. Co państwo na to?

- Niech to kule biją! - zachnął się ktoś z negatywnym wydźwiękiem. - Panie! Kto to widział! To jakaś niebezpiecznie **czarna** paranoja! Ktoś tu chyba zwariował! W ten kolejny wyrafinowany sposób sterowani przez media zwykli ludzie będą stopniowo stawać się niewolnikami bankierów, finansistów i polityków! To zaprowadzi do zguby nasze umysły! Temu trzeba jakoś zapobiec!

- Nie kracz, nie kracz, bo wykraczesz! - najgłośniej zripostował ktoś przesądny.

W głębi ducha Kass oczekiwał spontanicznego aplauzu już wcześniej, na początku pokazu obrazów wziętych z natury, ponieważ miał ich za spolegliwych bystrzaków, wśród których nie brak wazeliniarzy, ale w ciemnej sali zapanowała naraz nieomalże cisza. Jakże przykra cisza. Dlaczego ich to nie zauroczyło? Reklama zawieszona pod niebem i tych rozmiarów. Tego jeszcze nie było. Nie mogli nie poczuć ekscytacji. Przecież już dawno połknęli tego bakcyła, po którym nie ma już odwrotu, gdy na wszystko patrzy się z takiego „reklamowego” właśnie punktu widzenia. Dosłownie na wszystko. Nie tylko na programy telewizyjne, filmy, magazyny ilustrowane, wiadomości, sport, a nawet prognozy pogody czy gry komputerowe. **Wszystko należało medialnie kontrolować, by reklamować - taki TO**

już czarny obłąd! *(Alex uśmiechnął się pod wąsem. A rozszczepialne światy równoległe i retrospekcje z proroczych snów? A falowanie superrzeczywistości w delirium i wirtualne poprawianie historii? Żyj na haju! Zwykłe życie nie znajduje oparcia - w niczym! Nabiera za to większej głębi, gdy się ma tyle samo przeszłości co przyszłości! Linearność Gry była dla przeciętniaków - rosyjskich uczestników TESTU.)*

- Nasza podstawowa zasada jest taka, że we współczesnym biznesie nie ma żadnych zasad, więc nie muszę nikogo przekonywać o sile sugestii tego nowego medium - uzupełnił na wszelki wypadek Kass, gdyby tamte słowa miały za małą moc rażenia. - Na razie przedstawiłem tylko jedną z wielu jego możliwości.

Odpowiedziało mu kasznięcie na widowni, a potem znajomy głos zaprotestował:

- Wybacz, Seymour, ale tracimy czas, bo to wygląda na jakiś ekologiczny koszmar, wręcz horror. Hasła na chmurach? Reklamy na rybach? Co dalej? Afrykańskie słonie z logo jeepa? Jeżeli zaczniesz używać zwierząt do reklamy, ekolodzy zjedzą cię żywcem. A obrońcy praw człowieka poprą ich choćby z obowiązku.

- O tak, z zielonymi nie ma przebaczyć, według nich meegakatastrofa ekologiczna byłaby jedynie kwestią czasu - dorzucił ktoś jeszcze.

Gówno prawda! Oczywiście Kass miał za sobą setki prezentacji, które wyrobiły w nim niezawodny instynkt pozwalający mu wyczuwać nastroje publiczności. Teraz wiedział, że też jej nie przekonał, niemniej miał jeszcze coś w zanadru, a ekokatastrofa i tak była nieunikniona. Przyszedł czas na zapalenie świateł i pytania. Na przykład: Czy w ogóle się połąpią, że to była wyłącznie zasłona dymna? Swego rodzaju rosyjski plagiat, by poprzez własny opór zmiękczyć ich ostrożność?

PSTRYK...

W jasnym świetle lamp powiódł wzrokiem po wyrażających powątpiewanie twarzach.

- Przyznaję, że to dość radykalny pomysł - powiedział z ciepłym cynizmem zawodowca. - Ale świat szybko się zmienia, i ktoś w końcu to zrobi. Reklamowa kolonizacja czystej natury jest nie do uniknięcia, pozostaje tylko pytanie, kto będzie w tym temacie pionierem. Namawiam wszystkich, aby dobrze przemyśleli moją propozycję połączenia sił. Sami zadecydujecie, czy chcecie w tym uczestniczyć we wspólnej szpicie, czy raczej poczekać, jak śpiochy, aż czas pokaże, co z tego wyszło.

Siedzący z tyłu Goran Bloom, szef Multimedia Associates Ltd., wstał.

- To nowatorski pomysł, Seymour, tak? Oświadczam jednak z pełnym przekonaniem, że nie wypali.

- Nie? Dlaczego?

- Dlatego, że ktoś już to spróbował zrobić i podobno nic na tym nie zarobił. (*PLOTKI z Rosji.*)

Zapadła pełna niedowierzania cisza. Wszyscy obecni - włącznie z Kassem - znali nazwę tej największej w Stanach multimedialnej korporacji, która jako jedyna mogła wchodzić tu w grę. (*Kriminalnaja Rasija!*) Wszyscy oglądali filmy, które jej oddział filmowy wprowadzał na ogólnoswiatowy rynek - obecnie około pięćdziesięciu rocznie, głośne filmy ze słynnymi aktorami, grane w kilkudziesięciu tysiącach kin na całym świecie jednocześnie. Kass poczuł, jak robi mu się gorąco na samą **czarną** myśl, że wszyscy też czytali to, co wychodziło sfabrykowane codziennie z jej oddziału czasopism - wiadomości, informacje sportowe i finansowe - oglądali programy jej telewizji i kupowali wydawane przez jej dział publikacji książki kucharskie, poradniki, biografie sławnych ludzi, powieści-bestsellery światowe, a nawet książeczki do kolorowania dla dzieci. Kupowali także płyty i kasyety produkowane w dziale muzycznym. Korporacja ta była największym na świecie dystrybutorem programów telewizyjnych, miała licencje na dwadzieścia kilka tysięcy godzin widowisk w ponad stu krajach i dwudziestu językach. Ta kolosalna machina ciągle ewoluowała prac naprzód wraz z postępem techniki. Jedynym wyznacznikiem na tej drodze dla niej było, czy publiczność dostrzeże jej produkt, czy ludzie go kupią. Nic innego się nie liczyło w walce o klienta, o panowanie nad jego świadomością i podświadomością. A on już ją pograżył tym lichym występem.

- **CZARNY** los dla każdego, kto zawiśnie na HAKU - wymruczał Alex pod nosem.

Goran Bloom już wiedział, że dzięki megapozytywnej energii przekazów podprogowych przeciętnego człowieka nie obchodzi źródło pochodzenia, chce tylko „dobrego” produktu: wiadomości, muzyki, komedii, teleturniejów, seriali, filmów, książek, gier komputerowych, bajek dla dzieci, nieskazitelnie czystych parków tematycznych (ta korporacja posiadała ich obecnie szesnaście), fanzinów, bestsellerów, teatrów telewizji, plotek na temat plotek i te pe. Korporacja weszła nawet na rynek programów reklamowych nadawanych późno w nocy i instytucji z numerami telefonów zaczynającymi się od 900. Miała wszędzie swoje macki, mówiąc wszystkim, kim naprawdę są, gdy chcą się zrelaksować, i każąc im oglądać świat swoimi oczami, bo mało kto zdaje sobie sprawę, że jego podświadomość nie zna słowa „nie”.

NIE!

Nawet teraz, gdy zebrani na sali tylko oddychali, przytłoczeni ciężarem tej świadomości, ona rozrastała się jak potwór z komiksu, wykupując - transakcje poniżej stu milionów dolarów nie były warte szelmowskiego mrugnięcia okiem - niezależne firmy

fonograficzne, multikina w Rosji, Indiach, Chinach, Brazylii, małe laboratoria komputerowe w Kalifornii, studia telewizyjne w Brazylii i na Dalekim Wschodzie, wydawnictwa drukujące kontrowersyjne komiksy, nowo powstałe studia filmowe i tak dalej. Pęczniała w postępie kosmicznym, podczas gdy pozostali (nie wszyscy) nie nadążali, zdumieni jej apetytem, którym rządził pieniądz. Pod względem wartości rynkowej mieściła się w pierwszej dziesiątce notowanych publicznie firm na świecie. Ale interesowało ją jedynie pierwsze miejsce.

- Potrzebny nam jest lepszy pomysł wnikania do podświadomości człowieka w taki sposób, by stamtąd mieć wpływ na jego świadomość niezauważalnie dla niego samego. Ominąć jego reklamoodporność, tę tarczę obronną przed podatnością na sugestie otwarte - kontynuował Goran Bloom. W jego głosie nie było żadnego jajcarstwa. - Stworzyć mu nowy intymny świat.

- Ooo...? - rozniosło się chóralnie po sali.

- Goran - podchwycił Seymour Kass, któremu jakimś cudem udało się zachować zimną krew, lecz bez śladu ironicznego uśmiechu - czyżbyś wiedział, jak to zrobić?

- Powiedzmy, że tak.

- Podzielisz się z nami tą wiedzą?

- Czemu nie.

Niski i szczupły Seymour Kass zmierzył Gorana Blooma krytycznym spojrzeniem reklamowego profesjonalisty. **Czarny** tusz do rzęs błyszczał, wtarty w zapewne siwiejącą bródkę Gorana, człowieka postawnego - metr dziewięćdziesiąt z hakiem, ze sto dwadzieścia kilogramów wagi: góra mięśni, jakieś dziesięć procent tkanki tłuszczowej; ogolona głowa i kozia bródka upodobniały go do wizerunku nowoczesnego gangstera - prawdziwego wroga publicznego: chciał budzić lęk i szacunek swoim wyglądem i to mu się udawało.

- Zatem słuchamy, proroku.

Goran Bloom przeszedł ze swojego miejsca siedzącego na podium dla prelegenta, a Kass usunął się na bok z natrętną myślą, że Goran to podstępny skurczybyk i nigdy nie wiadomo, co naprawdę knuje. To było w nim najbardziej denerwujące: lubił mieć innym w Życiu. Ba, wydawało się wręcz, że sprawia mu to przyjemność.

- Przyszły czasy, że trzeba bardzo uważać na to, co mówią naukowcy o sukcesach swoich badań i eksperymentów. - Goran zwiesił głowę i głośno westchnął teatralnie. - Bowiem jak ma przetrwać ludzkość bez ich wynalazków? Zwłaszcza tych o zasięgu globalnym?

Nikt wyraźnie nie odpowiedział, więc Goran mówił dalej:

- To kwestia naszej postawy etycznej: tego, czy czekamy niecierpliwie, co przyniesie

Przyszłość, czy się jej boimy, czy dostrzegamy rozwój cywilizacji, czy tylko jej upadek. Nie od dziś wiadomo, że niektórzy z nas patrzą w Przyszłość z nadzieją i z entuzjazmem przyjmują każdą nowinkę POSTĘPU, a inni dostrzegają jedynie zagrożenia wynikające z rozwoju cywilizacji dążącej do samozagłady...

- Marny wstęp, Goran - zadrwił ktoś w głębi sali. - Możesz już przejść do konkretów.

- Większość z nas nie lubi niespodzianek ani zmartwień. Tymczasem świat zmienia się nieustannie, w każdej chwili. Nie jest bezpiecznym miejscem, skoro wystarczy tylko, by ktoś nacisnął czerwony guzik, a skutki negatywne będą gigantyczne. Jednakże każdy chce czuć się bezpiecznie, nieprawdaż?

- Jezu, ile jeszcze będziesz smęcić?

- Czy wiecie, że na ekranie komputerowego monitora można umieszczać dowolne ideogramy ukazujące się w ułamku sekundy, których nie wyłapuje oko ludzkie, a więc i nasza świadomość?

Nie oniemieli. Jednakże nikt też nie skomentował tej dygresji wyraźnie i głośno. Punkt dla Gorana.

- W ten sposób można również emitować całe sekwencje obrazów podprogowo atakujących naszą podświadomość, zaaacznie bardziej spostrzegawczą i miliony razy pojemniejszą od świadomości.

- Fiu, fiuu... no i co z tego?

- A to, drodzy parafianie, że gdyby połączyć wszystkie lokalne sieci komputerowe w jedną globalną Wielką Sieć, jak to robią Amerykanie pod nazwą Internet, wówczas można by ją kontrolować za pomocą odpowiedniego MEEEGAPROGRAMU sterowanego przez SUUUPERKOMPUTER i podprogowo docierać z czym się chce do podświadomości setek milionów użytkowników takiej Sieci bez ich wiedzy, bez pozwolenia, a efekty takiego „zauroczenia” mogłyby być rewelacyjne... chociaż nie natychmiastowe.

- To możliwe, mąciwodo - zauważył Seymour Kass, bo marzył mu się powrót do tematu przy akompaniamencie gremialnego śmiechu - ale, prawdę mówiąc, nieprzekonywające. - Wgięło go, kiedy usłyszał, że Goran pomyślał o MEEEGAPROGRAMIE, który już pisał dla ich agencji zespół wybitnych informatyków. Nie mógł jednak powiedzieć Goranowi, że prawdziwym powodem jego niepokoju jest rozmowa telefoniczna sprzed godziny. Wtedy wydała mu się prawie bez znaczenia. Teraz zaś nabrała złowrogiego sensu. Agencja Gorana Blooma miała filię w Nowym Jorku, z jej biura jakaś nierozgarnięta sekretarka zadzwoniła do jego gabinetu. Odebrał i usłyszał pytanie:

- Pan Seymour Kass?

- Tak, słucham.

- Tu Multimedia Associates z Nowego Jorku. Czy to prawda, że w zeszłym roku prowadziliście kampanię reklamową Microsoftu na terenie Wielkiej Brytanii?

- Zgadza się.

- Od maja do grudnia?

- Chyba tak. A o co chodzi?

- Czy reklamowaliście ich najnowsze oprogramowanie komputera?

- Owszem.

- Czy to prawda, że kiedy zaczęliście ich reklamować, oni zwrócili waszą uwagę na możliwość oddziaływania komputerowej reklamy poprzez doznania podprogowe wywoływane przez niewidzialną dla świadomości emisję przekazów podprogowych na ekranie monitora?

- Tttak. To prawda. - Jesteś w czepku urodzony, czy nie? Przejęty, pochylił się nad biurkiem, układając podstawowe pytanie. - Mogę zapytać, do czego pani zmierza?

- Działamy na zlecenie Spółki Eksportowej z Nowego Jorku, która jest zainteresowana tego typu reklamą na terenie Wielkiej Brytanii.

Spółka Eksportowa z Nowego Jorku? Z niczym mu się to nie kojarzyło. Dziwnym trafem akurat do mnie z tym zadzwonili?!

- W ten sposób chcą się reklamować w Wielkiej Brytanii?

- Na to wygląda. Czy moglibyście podjąć się takiej reklamy?

No dobra, nie ekscytuj się.

- Bardzo chętnie.

- Dziękuję, panie Kass. Odezwiemy się wkrótce.

Teraz Kass zrozumiał, że ktoś w Nowym Jorku, prawdopodobnie ktoś z tej tajemniczej Spółki Eksportowej, podpowiedział Goranowi Bloomowi, jak robi się komputerową reklamę przekazów podprogowych. Tylko po co jakiejś mało znanej Spółce Eksportowej taka właśnie reklama? A może wcale nie chodzi jej o reklamę podprogową, tylko o coś znacznie gorszego? Przecież media w reklamach albo już stosują przekazy podprogowe, choć to zabronione, albo będą musiały je wkrótce zastosować, by zdobyć niekontrolowany dostęp do psychiki człowieka, do jego woli i rozsądku, zależnych od podświadomości. POSTĘP bezdyskusyjnie tego wymaga. Biada „ślepych” ludziom.

Kass nie spuszczał z oka Gorana, który mu replikował z zacięciem:

- Seymour! Doświadczenie pokoleń, zawodowa praktyka i intuicja - wszystko mi mówi, że to nie tylko jest możliwe, ale wręcz, że przed tym nie uciekniemy. Wielka globalna

sieć komputerowa jest potrzebna ludzkości jak tlen w powietrzu, więc Internet będzie dalej rozwijał się jak burza. A to, że na nim będzie można zarobić ciężką forszę w różnoraki sposób, jest pewne jak amen w pacierzu. Amerykanie na pewno zechcą kontrolować jak największą rzeszę internautów, by móc nimi manipulować za pomocą przekazów podprogowych. Zatem proponuję już od dzisiaj... zacząć stosować odpowiednią dezinformację pod różnymi postaciami we wszystkich masowych środkach przekazu. Doznania podprogowe są szcążkowe, a przekazy podprogowe zupełnie niegroźne! Internet jest supertworem spontanicznie rozwijającym się i nie do opanowania w negatywnym celu globalnym. Dobrze mówię?...

Naturalnie, że Kassowi to odpowiadało. Media były skazane na wykorzystanie przekazów podprogowych do maksimum, zanim ich stosowanie zostanie zabronione jako groźba podobna do (zabronionego) klonowania ludzi. I wszystko inne chwilowo stało się mało ważne. Wiedział tylko, że dzięki doznaniom podprogowym, wywoływanym dawkowaniem przez dłuższy czas z komputerowego monitora niewidocznych przekazów podprogowych - sygnałów zapalnych, można by uzyskać efekt sperospięcia świadomości i podświadomości, wywołujący speromanię.

- Trafnie to ująłeś, *par excellence*. - W stylowym wykonie pokiwał głową z ożywieniem wspartym gestem zachęcającym wszystkich do dyskusji. - I spuentowałeś po mistrzowsku. Ale co dalej...?

Nareszcie cała sala zaszumiała wzmożoną dyskusją tworząc zbitkę komentarzy, uwag i wniosków...

- Dalej czeka nas taka jazda, że za dwadzieścia-trzydzieści lat, kiedy nowa technologia dorówna oczekiwaniom multimedialnych produktów, będzie można podejść do płaskiego telewizora o grubości jednego cala, wielkiego jak marzenie - odezwał się ktoś na tyle głośno, że wszyscy pozostali musieli go słyszeć, choć wielu z nich też coś mówiło - włożyć mini-dysk do odtwarzacza nowej generacji i zobaczyć Tinę Turner śpiewającą swoją nową piosenkę po śmierci.

- Mów tak babci, to wyskoczy z kapci.

- No i ekstra, bracie, no i ekstra.

- Tak suuuuuuuuuu-perowo się nie bawię!

- Będzie można zobaczyć w jej oczach małe czerwone żyłki! A kiedy otworzy usta, da się jej zajrzeć do gardła. Będiesz mógł z nią porozmawiać, bo ona odpowie ci po imieniu, jeśli tylko się przedstawisz. Zdejmie ubranie, jak się ją o to poprosi. Okaze się to lepsze niż cokolwiek do tej pory w szarej sferze naszego komfortu, lepsze niż rzeczywistość, gdy

zechcesz to wszystko zatrzymać, cofnąć i rozpocząć od nowa kreację w inny fajniejszy sposób.

- Przeciekawe! Onaniści oszaleją!

- To mózgowa ŚMIERĆ! Mózgowa ŚMIERĆ! Mózgowa ŚMIERĆ!

- Normalność mamy z bańki na zawsze!

- Racja - przytaknął wizjoner, tylko że nie wiadomo komu.

- Włoży się mini-dysk i będzie można zobaczyć na ekranie pieprzających się ludzi naturalnych rozmiarów, ustawić odpowiedni kąt, kontrolować, co robią. Będzie możliwe dobranie wielkość piersi u kobiety i długość penisa u mężczyzny. Zyskamy zdolność wyżycia się w nowy sposób.

- Nikt nie będzie psychicznie bezpieczny!

- Najważniejsze jednak jest, że ta technologia otworzy kolejne ekscytujące możliwości rozwoju ludzkości poprzez nieprzewidywalną ewolucję Internetu i kreację własnych pomysłów wirtualnych. Bierne czytanie gazet i oglądanie telewizji stało się zbyt nudne...

- Nie odzegnując się od tego projektu widzę, że per saldo z każdym rokiem ludzkość będzie coraz głupsza - zauważył ktoś inny lekko przestraszonym tonem. - Nie chodzimy na wybory ani do teatru, czytamy coraz mniej książek...

- Wszystko to zastąpi wirtualna rzeczywistość.

- Na Boga, to brzmi groźnie!

- Z ust mi to wyjąłeś, lecz jest to nieuchronne. Wyobraź sobie, że oglądasz film ściągnięty przez Internet, na przykład *Terminatora*. I dla żartu w dowolnym miejscu tego filmu chcesz włączyć do niego monolog Hamleta w wykonaniu Franka Sinatry i sprawić, żeby Schwarzenegger albo ten drugi android mówił go idealnie - brzmienie głosu mówcy zmieniło się wyraźnie na wyższe z podniecenia - żeby odpowiednio poruszał ustami, wypowiadając tekst Szekspira głosem Sinatry. (*Wspomnienia Aleksa z czasów, kiedy to pisał, raz ożywiały się, raz cichły, wywoływane poczuciem winy, że przewidział coś jeszcze gorszego i bierze udział w tym EKSPERYMENCIE.*) Dodatkowo mógłbyś pokolorować mu usta, jeśli zechcesz, albo zatrzymać obraz, powiększyć go, umieścić małe zdjęcia Larry'ego Kinga na żrenicach Arnolda, wrócić do normalnych rozmiarów i dalej oglądać film w tej zmienionej wersji...

- Człowieku, jednak nie zawrócisz kijem rzeki! Ludzkość i tak dąży do samozagłady!

- ...Polecenia będzie można wydawać głosem lub za pomocą bezprzewodowej myszy.

(*Alex poczuł się jakby zawieszony pomiędzy snem z przeszłości pisanej i jawą z przyszłości Gry. Raz był sobą, raz niepełnie: jak niespełniona obietnica. Jego knucie zgodnie z teorią*

chaosu wreszcie przyniosło pierwsze efekty?) Następnie można by wmontować na przykład lalkę Barbie na pędzącym motorze razem z Arnoldem, robiąc to bez żadnych przygotowań, żadnego drogiego sprzętu do miksowania obrazów czy filmów, po prostu improwizując na bieżąco w ramach oprogramowania tej zabawki.

- Pieprzysz! My tego nie dożyjemy!

- Gadaj zdrów, tak dobrze nie będzie!

- Świat jest bardziej tajemniczy, niż się nam wydaje!

To ostatnie zdanie było takie banalne - zaledwie powiew wiatorku, skonstatował Kass, a może narosnąć za sprawą jakiejś chemiczno-magicznej sztuczki umysłu do rozmiarów huraganu. Na sali zaczął wibrować pewien dźwięk, rodzaj ostrzegawczego pisku tuż przed zerwaniem się struny gitary, na której ktoś zbyt ostro gra motyw superintegracji.

- Potem wprowadzasz wampira wielkości muchy, każesz mu zabić Barbie i wysać z niej krew, po czym usuwasz ich z ekranu, by umieścić w innym równolegle modyfikowanym filmie. Mógłbyś też zlecić komputerowi znalezienie kilku stron w jakiejś książce albo jakiejś strony codziennej gazety i sprawić, żeby Arnold lub ktokolwiek inny mówił znaleziony materiał w dowolnie wybranym języku, bez fałszywego akcentu bądź jak robot. *(Kamera zrobiła najazd na twarz mówiącego wizjonera. Alex zwrócił uwagę na jego oczy. Były wniebowzięte. „Rzeczy nie widzimy, jakimi są, lecz jakimi sami jesteśmy”, przypomniał sobie to powiedzenie Pająka.)*

Poprzez media dowiadujemy się, jak wygląda świat według mediów, konkludował Kass, a teraz media będą mieć nową broń, by nas całkowicie ujarzmić. Coś więcej chciałbyś na ten temat wiedzieć? Zaraz pewnie więcej się dowiesz. Kurwa... ale najważniejsze nadal pozostanie Tajemnicą!

- Oczywiście mógłbyś jeszcze podłożyć muzykę Mozarta jako tło dźwiękowe, zapisać to wszystko, ten cały eksperyment, i przesłać to twojemu koledze w Pekinie linią światłowodową, żeby sam mógł się dalej pobawić. Później on mógłby odesłać to do ciebie, żebyś mógł obejrzeć efekty jego inwencji. Tylko ty będziesz mógł to zobaczyć i poprawić.

- Już **ONI** znajdą sposób, żeby ten prywatny materiał wykorzystać do namieszania nam w głowach.

- To całkiem możliwe, skoro w dalszym rozwoju tej technologii można będzie tworzyć własne prywatne filmy fabularne na podstawie fragmentów dzieł już stworzonych. A możliwości wykorzystania filmów-gier komputerowych wprost trudno sobie wyobrazić. Lecz na pewno człowiek nałogowo uzależni się od wirtualnej rzeczywistości. Tak będzie wyglądała nasza Przyszłość... medialna.

- To fascynujące - stwierdził ktoś inny - i przerażające zarazem. (*Sumienie olało Aleksa szczyzną strachu: Co będzie, jeśli ta technologia rozwinię się jeszcze bardziej, niż oni wszyscy mogli sobie wyobrazić?*) Bo nie wiem, czy słyszałeś o tym, że ponoć odkryto jak działa na świadomość hormon zwany speroiną, wydzielany przez mózg pod wpływem specyficznych przekazów podprogowych?

- No jak?

- Speroina wywołuje podatność na podprogowe sugestie, a więc uległość wobec określonej reklamy dotyczącej wybranych produktów lub osób, z której nie zdajemy sobie sprawy. Podobno szeroko zakrojone badania nad dobrorem przekazów podprogowych są już w toku...

Tak, to dopiero początek badań nad efektami działania przekazów podprogowych, podsumował Kass. A nie sposób przewidzieć, co się może wydarzyć za trzydzieści lat, **gdy nie będzie tym, czym dzisiaj wydaje się być. (Przekaz podprogowy!)** Najważniejsze, że to my będziemy pionierami manipulacji w ludzkich umysłach na niespotykaną dotąd skalę. Czym to się skończy?, wolał nie myśleć, ale faktem było, że świat wkraczał w nową erę technologiczną i **to, co dziś wydawało się dziwne, za kilka lat nie będzie dziwić nikogo. (Przekaz podprogowy!)** Niestety, Goran miał przechłapanie. Kass niejasno przeczuwał, że Życie tamtego w jakimś tam sensie zawisło na włosku, mimo że nie miał w zasadzie pojęcia, na co się natknął, uważając, że już bierze w tym udział... cokolwiek to było.

Nagle obudził się telefon komórkowy Kassa.

- Kłania się Peter Morkis ze Spółki Eksportowej z siedzibą w Nowym Jorku - usłyszał w odpowiedzi na swoje „Halo?” - Czy pan Seymour Kass?

- Tak. Słucham.

- Czy ma pan chwilę wolnego czasu, żeby ze mną porozmawiać? - Mimo wszystkich spraw i problemów, Morkis był w posiadaniu największej bodaj na świecie Tajemnicy w przedsięwzięciu o zasięgu globalnym. Wprawdzie podstawa pomysłu - tworzenie Sieci - została już wprowadzona w Życie, potrzeba było sporo czasu, żeby pomysł zakwitł, żeby przestał być Tajemnicą, a stał się normalką. Wtedy ten, kto będzie kontrolować Internet, będzie też kontrolować świat. Gdy w Grę wchodziła taka stawka, nikt nie zawracał sobie głowy aspektem moralnym sprawy, zwłaszcza w tak szczególnym wypadku jak ten.

- Przykro mi, akurat jestem na ważnym spotkaniu - odparł Kass. Nie cyndol się z nim! Tak będzie lepiej. - Czy mógłby pan zadzwonić do mnie za godzinę?

- Naturalnie. To do usłyszenia za godzinę.

Zanim się rozłączył, Seymour Kass musiał już rozmawiać z kimś innym, kto

zauważył, że nawet będzie można podprogowo sugerować internautom, które akcje kupować, a które sprzedawać, ale tak, by wyglądało to jak najnaturalniej na świecie, bo światowy kryzys gospodarczy trzeba spreparować jako normalną kolej rzeczy, gdy...

(Dokąd teraz, Graczu?)

*Kiedy spoza dymnej zasłony przeziiera groźna rzeczywistość Sperogry, (Kierunek: wschód - praca w Rosji dla specjalistów!), dla dobra sprawy należy ją przerwać, aby zastanowić się nad potencjalnymi skutkami jej dalekosiężnej supozycji wyłożonej przed chwilą. Bo zaczęło się **SUPERINACZEJ!** Alex przez sekundę szukał najbezpieczniejszego i najbardziej racjonalnego zaprzeczenia, że tak nie będzie, bo jeszcze nie jest. Przecież sperogranie może zaowocować pełniejszą łącznością duchową świadomości z podświadomością. Kiedy nauczymy się rozpoznawać związek pomiędzy tym, co niewidzialnie wniknęło do naszej podświadomości a „przedziwną” reakcją świadomości, wówczas będziemy mogli tworzyć rzeczy dotąd nieosiągalne, odczuwać wrażenia nowej jakości, chłonąć wiedzę, której dawniej nie byliśmy w stanie przyswajać. Przecież nikt nie wątpi w to, że na przykład radio czy telewizja przyczyniły się do duchowego rozwoju człowieka, że są psychonarzędziami umysłu dążącego do lepszego wykorzystania swoich ogromnych możliwości.*

Zwykle Alex nie bał się tak zwanych tajemnic wszechświata. Na ogół nie tracił też czasu na zbyteczną niechęć, zdumienie i niedowierzanie wobec osiągnięć POSTĘPU, lecz teraz na klawiszach jego umysłu wszystkie te trzy uczucia zagrały na alarm... No dobrze, kłamał. Bał się wspomnianych skutków podprogowego cyberataku z głębi spreparowanych stron internetowych, a nie miał wystarczająco wiele doświadczenia, żeby wszystko dokładnie przewidzieć, kiedy „Tajemnicza Gra” wejdzie na rynek. Skutek czy efekt końcowy mógł być oplakany. I szczerze mówiąc, wcale nie wiedział, co dalej robić, chociaż w tajemnicy nastawił się dzisiaj na wypróbowanie podczas Gry moderatora podprogowego własnego pomysłu. Bądź co bądź mógł bez trudu udawać wariata, który za każdym razem nie wie, gdzie kliknąć.

Takie Przeznaczenie?

KLIK...

ETAP 0200

Jakkolwiek budzik Parkera ostrym dźwiękiem przerwał im sen już o wpół do siódmej

rano, i za oknem motelu w Yonkers zaledwie szarzało, lecz przecież czas - ta wszeteczna sztuczka trzech wskazówek zegara - nigdy nie przemija w jednakowym rytmie dla wszystkich. To my decydujemy o jego upływie. Im częściej patrzymy na zegarek, tym wolniej spryциule się przesuują, zwalniając puls naszego czasu. Dlatego dopiero teraz - w dogodnym dla narracji momencie - rozpoczynał się dzień dwóch najbliżej ze sobą współpracujących wspólników Tajemniczej Spółki.

Pierwszy zerwał się z wyrka Manny Parker, by zająć łazienkę na co najmniej kilkanaście minut w wiadomym celu. Proza Życia nauczyła go, jak patrzeć w lustro przy goleniu, by ciągle mieć wrażenie, że pod zmatowieniem, jakie na twarz nałożył mu czas, wciąż potrafi dojrzeć ją taką, jaka była kiedyś: młoda, pogodna, żądna przygód. A dziś...?

Nic z tego.

Morkisowi nie chciało się podnieść z łóżka, kiedy toaleta była już wolna. Nadal był nieprzytomnie zaspany, ponieważ długo nie mógł zasnąć w nocy, dręczony niepokojem ściganego człowieka, wystarczającym powodem do spalenia zbyt wielu papierosów przed snem. Bowiem nie zazna spokoju ktoś, kto uczestniczy w megaspisku, by podstępem opanować bezbronny świat, który przekroczył już punkt bez powrotu. Ha! Zatem czuł się teraz okropnie. Sakramencko łupało go w głowie i szczypało w oczach, gdyż nie wyjął z nich na noc swoich soczewek kontaktowych, bo nie miał ze sobą specjalnego pojemniczka do ich przechowywania. Wprawdzie Parker poratował go pigułkami przeciwbólowymi, ale kiepskie samopoczucie nie minęło po ich połknięciu.

Około wpół do ósmej Morkis osiągnął jednak fizyczną gotowość do działania. Co do umysłowej zaś: brakowało mu tylko kilku łyków dopalacza. Uczucie niepokoju zwalczał poranną krzątaniną. Mycie. Golenie. Ubieranie. Pakowanie. Bateria antypodsluchowego mobile'a ładowała się przez całą noc, więc był pewny jego pracy w ciągu zapowiadającego się „telefonicznego dnia”. Bez telefonu komórkowego czułby się, jak bez prawej ręki. Będąc jego najprzydatniejszym narzędziem roboczym i jednocześnie dalekosiężną bronią taktyczną, dawał mu wiarę, że po wymianie profesora Gordona Wicksa na dziesięć milionów dolarów - ale dopiero wówczas - pozbędzie się dokuczliwego bólu głowy z powodu zamartwiania się czy wszystko pójdzie dobrze, bez sięgania po kolejne farmakologiczne środki przeciwbólwe.

Kilka minut przed godziną ósmą udali się na śniadanie. Morkis był elegancko ubrany w wełniany szary garnitur zapinany na dwa guziki, spodnie z zakładkami - całość od Luciana Sopraniego, jasnoszarą bawełnianą koszulę od Ralpa Laurena z lnianą chusteczką od Ashear Bros. I jedwabny krawat od Christiana Diora, co w zależności od punktu widzenia miało dobre, ale i złe strony. Dawało poczucie komfortu psychicznego z powodu atrakcyjnego

wyglądu, niestety przyciągającego oczy wszystkich mętów, którzy pojawią się w pobliżu, tym samym pozostawiając ślady jego bytności w określonych miejscach czasoprzestrzeni Gry.

Natomiast Parker przyodział granatowy luźny pulower i bawełnianą koszulę pod kolor dżinsów - komplet od Brooks Brothers podkreślony intensywnym zapachem wody po goleniu Drakkar. Tworzyli zatem parę, która zwracała uwagę z jednej strony, a z drugiej ostrzegała, że są ludźmi o wyjątkowych aspiracjach.

Krocząc ramię w ramię korytarzem wyłożonym miękką zieloną wykładziną dywanową, potem dwukondygnacyjną klatką schodową wiodącą na parter hotelu, sukcesywnie synchronizowali ostatnie ustalenia z wcześniejszym planem na ten dzień. Po pierwsze, musieli kogoś oszukać. Po drugie, powinni na tym zarobić kupę szmalu. Po trzecie, może trzeba będzie kogoś zlikwidować. I tak dalej...

W sali jadalnej tylko jeden z wielu czteroosobowych, okrągłych stołów był zajęty. Wybór Morkisa padł na stół usytuowany blisko wielkiego okna, przez które widać było podjazd do motelu. Dawał mu poczucie pewnej kontroli sytuacji. Nie umiem już nie martwić się o każdy drobiazg, zauważył, kiedy siadał na białym solidnym krześle.

Obfity posiłek spożywali bez pośpiechu, od czasu do czasu rzucając okiem zza białych firanek na pustoszejący parking przed budynkiem i niebo. Najpierw jednolitą jasną czerwienią słońce zaczęło przezierać przez zasłone chmur, potem rozlało się pasmami żółci szerokimi na tyle, że dzień zapowiadał się tu raczej pogodny. Można było ulec złudzeniu, że na świecie wszystko jest w porządku: nie toczą się wojny lokalne, nie panoszą się choroby ani głód. Jest super. A kiedy kelner objaśnił im, gdzie znajduje się najbliższy autohandel, otwierany o dziewiątej rano, Parker uznał to za jeszcze lepszy: „dobry znak”. Ponieważ Morkisa drażnił ciężar rewolweru w kieszeni marynarki na prawej piersi, przełożył go do dolnej - lecz teraz, z bronią pod ręką, poczuł się bezpieczniej. Notabene, od razu przypomniało mu się zadanie specjalne, którym wczoraj obarczył Lucasa - wizytę u Lamii, informatorki - wywołujące wątpliwości dziwnego rodzaju: polichromię przewidywać drugiego stopnia.

Myśl, że oto jestem o krok od swojego pierwszego naprawdę dobrego uczynku wcale mnie nie cieszy, skonstatował w zadumie i nieświadomie przekrzywił głowę jak rajski ptak, rozważając tę nieprawdopodobną możliwość. E... chyba jednak cieszy. Manny'emu zapewne by się coś takiego nie spodobało. Ten na pewno uważał, że nigdy nie wolno naginać reguł Gry, nawet w jej szarej strefie gdybania. Ale dopóki się nie sparzę, co do Lucasa, nie uwierzę... Rany boskie, tracę spokój ducha. Czy to samo przydarza się każdemu złemu facetowi po pięćdziesiątce? Pewnego dnia pojawia się szansa pokuty i człowiek głupieje na starość? Czy dlatego, że zmierzam tam, dokąd mój rozum nie sięga? I w tych zafajdanych

okolicznościach gryzie mnie sumienie? A podobno to nieprawda, że wszystkich złych facetów dręczą koszmary. Co chcę osiągnąć, wciąż nie zdradzając współnikom starej Tajemnicy?... Już wiem - najgorsze w piekle będą wyrzuty sumienia za wszystko, czego w Życiu nie dokonałem.

- Co ci tam chodzi po głowie, Szalony Kapeluszniku, że tak gałami przewracasz? - z nad chrupiącego bajgla odezwał się Parker na tyle wiążącym tonem, że nie wypadało zbyć go byle słowem.

Niby z wyglądu całkiem normalny gościu, przyznał w duchu Morkis, przyjrzawszy się współnikowi pod nowym kątem, ale typ wypełniony po brzegi adrenaliną i negatywną energią, którą, jak wiadomo, napędzani są nie tylko potomkowie celtyckich druidów. Na czole widać już zaczątki łysiny, dlatego jego rybie oczy są jakby większe i bardziej ożywione. Wielki to błąd pomijać w rachubach skrytobójcę z prawdziwego zdarzenia, póki ten żyje, i w dodatku siedzi tuż obok. Więc czuj duch!

Mimo rozbijających chwytów, luźnych, żartobliwych uwag dla rozładowania zbyt przygnębiającej tematyki ich nierzadkich przepychanek słownych, nie udawało im się zbagatelizować faktów potwierdzających swego rodzaju nieuchronność zagłady cywilizacji przy ograniczoności planu ratunkowego POSTĘPU. Zbyt nie utyskując, wykpiwali kiepskie rokowania dla ludzkości, dla ich Spółki, dla nich samych, próbując znaleźć pocieszające rozwiązania, gdy nic nie było proste, bo rzeczywistość to głównie złudzenie serwowane z ekranu przez media - złudzenie, przed którym nie ma ucieczki - zmuszające by robili to, co robili. Pod podszewkę własnego płaskiego Życia nikt normalny nie chciał zajrzeć, poznanie prawdy prowadziłoby bowiem do depresji i autodestrukcji, a to, jak na razie, (według nich), nie było dla szarych mas - dla każdego - najlepszym wyjściem z beznadziejnej sytuacji. Zatem...

- Nie ma sensu wtajemniczać cię w pewne szczegóły - odparł niewiażąco Morkis - żebyś swoim mimowolnym wtrącaniem się nie zepsuł mojej Gry. - Jeśli nie chcesz mnie wkurzyć, mimo tej odpowiedzi, lepiej siedź cicho, dodał jedynie w myślach.

- Nie takie rzeczy się nam przydarzały i jakoś dawaliśmy sobie radę. Naprawdę chcesz dalej prowadzić tę Grę?

Morkis lekko wzruszył ramionami i posłał współnikowi najzimniejsze spojrzenie ze swojego bogatego repertuaru.

- Skoro już tyle gramy... tak będzie lepiej, bo Los karze nas za to, czego nie umiemy sobie wyobrazić. Czy tak trudno ci pojąć, że jeśli można by globalnie kontrolować świat, w jakimkolwiek stopniu osiągając zamierzony rezultat, to NSA jako największa AGENCJA

świata nie podjęłaby się tego zadania z pocałowaniem ręki, która im ten pomysł podsunie? - Przewornie nie dopowiedział tego, czego mógłby potem żałować, że: ta GRA nie skończy się na tym.

Parker natychmiast wykorzystał okazję zaczepki.

- Co zatem będzie naszym głównym celem, bratku? - zapytał niemal wyzywająco. Lubił grać w te klocki. Lubił mówić językiem człowieka z komiksu albo z gry komputerowej, wówczas sens słów karkołomnie się wypaczał, jeśli tylko ktoś się w porę nie połapał, że leci z nim w kulki. - Odpowiedz bez ściemniania.

- Masz na myśli główny cel wszystkowiedzącego planu Gry? - Morkis momentalnie zagrał na zwłokę. Te jego gierki słowne, umysłowe łamigłówki, przekręcanie wszystkiego na opak... był w tym mistrzem.

Parker wiedział, że musi się maksymalnie skoncentrować. Nie może pozwolić, by Peter złapał go w słowno-psychologiczną pułapkę.

- Tak jest, planu Gry, tego dla mnie.

Alternatywą była nagła zmiana tematu, ale jest coś takiego w człowieku: możesz się uginać, możesz się rozciągać, możesz się kurczyć, jednak czasem, bardzo rzadko, czujesz, że poddany jesteś zbyt ciężkiej próbie lojalności. Jeżeli nie odpuścisz, pęknieš, złamiesz się we dwoje. Wiesz o tym od dawna. A teraz, jeśli dobrze odgadł, do czego zmierzał Manny, Morkis był bliski złamania podstawowej zasady ostrożności, a nie chciał wciągać go głębiej do tej akurat Gry. Spojrzał na niego nieco cieplejszym wzrokiem i odpowiedział równym głosem:

- W ciągu tych wszystkich lat naszej znajomości sam rozdałem już kilka kart ze spodu talii, ale w Życiu jeszcze nie widziałem tak szachrajskiej Gry jak obecna. - Najważniejszą cechą zręcznego łgarza jest świetna pamięć: nie zapomina nigdy, o czym powinien wiedzieć i pamięta to wszystko, co już powiedział. - Zapewne nie chciałbyś poznać najnowszych zasad tej Gry, by się z nimi patyczkować, kiedy sprawa Wicksa się skomplikuje. Kape?

- Cóż... Mam w dupie zasady. - To przełamanie poważnego tonu rozmowy wykuło jakby maleńką szczelinę w kamiennej twarzy Parkera, jakby stał się subtelnie mniej subtelny wobec współnika. - I nie graj ze mną w gumki, bo wiesz, że ci to na zdrowie nie wyjdzie.

Morkis uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami, przeżuując kawałek bekonu; miał wrażenie, że własny język świerzbi go, by powiedzieć coś równie dosadnego. Wypiwszy łyżeczek kawy, powiedział za to:

- W tajemnicach fajne jest to, że nawet jeżeli nie udaje ci się ich rozszyfrować, bardzo szybko dowiadujesz się, na czym się potknąłeś.

- Jesteśmy w ukrytej kamerze, tak? - Te słowa Parkera były jak najbardziej na czasie, skoro wydawał się takim, jak go oglądamy.

Niemniej jednak Morkis zwrócił się do niego z lekką przyganą w głosie:

- Otóż to, bowiem detektywi prowadzący śledztwa zabójstw, kryminolodzy i patolodzy dobrze wiedzą, że zwłoki i miejsce zbrodni odkryją przed nimi swoje tajemnice dzięki transferencji. Włókna, włosy, sierść, sperma, ślina, naskórek, brud, kurz, ślady ugryzień i zadrapań, otarcie linki czy kajdanek, niedopałki papierosów, dym papierosowy czy fajkowy, popiół, DNA, odciski palców, iiii tak dalej. Prawie zawsze morderca coś pozostawia na miejscu zbrodni. Sztuka polega na wytypowaniu podejrzanego, który ma już niejedno na sumieniu. Łapiesz puentę, stary zbójcu? - Było to zgrabne podsumowanie tematu i...

To właśnie Parker lubił w swojej robocie. Człowiek każdego dnia uczy się czegoś na temat czegoś, co do końca Życia, jak dobrze pójdzie, nie będzie mu już potrzebne.

- O kuźwa, popatrz no się, ilu tu tych pieprzonych gliniarzy przywiało - zażartował, wskazując wzrokiem za okno, gdzie właśnie zaparkował policyjny radiowóz.

Dopiero po powrocie do pokoju Morkis zapalił pierwszego papierosa tego ranka. W Informacji o numerach telefonicznych uzyskał numer telefonu firmy, w której pracował George Downs, informatyk, wspólnik Spółki, dzięki czemu mógł odwołać przyjazd do biura własnej Spółki Eksportowej fachowców od usuwania podsłuchów. Potem spakowali się z Mannym tak szybko, jakby nagle nabyli świadomość czasu utraconego - czasu Przyszłości, której nie da się dogonić, na próżno próbując.

Było już sporo po wpół do dziewiątej, gdy tuż przed wyjściem z pokoju Morkis połączył się z antypodsłuchowym mobile'em Toma McCoya, porucznika policji, nadal wspólnika Spółki. Trochę zniecierpliwiony brakiem wieści od niego, liczył się z jakąś niespodzianką.

- Porucznik McCoy. Słucham.

Ton głosu Toma wydał się Morkisowi zbyt oschły i oficjalny.

- Tom, to ja. Dowiedziałeś się czegoś o... tym samochodzie? - spytał, mimo to, otwartym tekstem, chociaż wszystko, co mówili sobie przez te antypodsłuchowe telefony stawało się niezrozumiałe dla osób trzecich. Dźwięki rozmowy ulegały bowiem podziałowi na małe wycinki, z których każdy był zmieniany innym, pozornie przypadkowym współczynnikiem, według niezwykle skomplikowanego i zmiennego algorytmu. Oba telefony były odpowiednio zsynchronizowane, tak, że nic nie znaczący ciąg zakodowanych dźwięków był na drugim końcu połączenia ponownie złożony, przywracając rozmowie właściwą postać.

- Witam pana. Dziękuję za telefon, ale nie mogę teraz rozmawiać, gdyż jestem bardzo

zajęty, panie Wheeler. - McCoy najwyraźniej użył kryptonimowego odzewu.

- Rozumiem... - Morkis domyślił się, że Tom jest zajęty rozmową z kimś obcym i na tyle wścibskim, iż nie mógł przy nim ryzykować ani jednym słowem swobodnej konwersacji.

- Oddzwonię do pana, jak tylko będę mógł. Do usłyszenia.

Peter Morkis, człowiek dokładny, który nie przechodził obojętnie koło najdrobniejszego szczegółu czyjegoś Życia ani bezinteresownie i który był szczęśliwy - co najmniej jak Superman - mogąc zgłębiać tajemnice tkwiące głęboko w głowach innych ludzi, metodą prostej dedukcji odkrył po tym telefonie zaistnienie nowej niewiadomej w Grze. Odkrył frustrującą dysfunkcyjność partnerstwa pomiędzy gliniarzem a przestępcą prowadzącą do dezinformacji. Co więcej... ale lepiej to chwilowo pomińmy.

- Oto zalety telefonu komórkowego - stwierdził, pokazując Parkerowi antypodsluchowego mobile'a, jakby był czymś godnym szczególnej uwagi. - Dzięki niemu możemy osiągnąć cele bez niego nieosiągalne.

- Czyli czego się dowiedziałeś od Toma?

- Niczego.

- Buuuujasz...?

- Po prostu nie mógł swobodnie rozmawiać.

- Ahaaa. Gliniarz ma kłopoty. - W tonie głosu Parkera można było wyczuć odwieczną niechęć do policji, zakorzenioną tak głęboko i mocno, że niemożliwością wydawało się ją wyplenić.

Jakiegokolwiek tłumaczenie, pomyślał Morkis, byłoby jedynie stratą czasu. Zatem powiedział tylko:

- Wychodzimy.

Przed dość rozległym przestrzennie autokomisem zaparkowali punktualnie o dziewiątej. Po drugiej stronie ulicy mieściła się szkoła. Jak na zawołanie rozległ się dzwonek na drugą lekcję. Nastolatki tłoczyły się w wejściu do głównego budynku. Morkis obserwował kolorowy tłum, świadom, że w obecnych czasach multum rzeczy odciąga dzieciaki od szkoły... Skorumpowani administratorzy, przestarzałe podręczniki, gry elektroniczne, superstacje telewizyjne, kino, telefony komórkowe, szkolna przemoc i cynizm, narkotyki, dostęp do broni, cięższe nastolatki, nieuleczalne wirusy, rozbite rodziny, prozac, filozofia New Age, rozpadające się i przepełnione klasy... Zazwyczaj umiał nie dostrzegać na poważnie „wielkich problemów cywilizacji”, ale dziś czuł się trochę inaczej niż zwykle. Dziś próbował przyjrzeć się tej szkolnej rzeczywistości spojrzeniem z innego świata: z krainy refleksji, gdzie POSTĘP nie pędził tak szybko jak tu, gdzie Życie płynęło wolniej niż tu, gdzie zawsze było

dość czasu na zastanowienie, dokąd się zmierza. Gdzie nikt nie wiedział, że najbardziej przerażającym jest lęk przed samym sobą.

Lecz tu i tam - jak nadzieja, że jutro będzie lepiej - przed szkołą stała nieodłączna budka z hot dogami, nad którą unosiła się mgielka kusząco pachnącej pary wodnej, przyciągająca zgłodniałych.

A nieopodal niej wszechobecne Zło obserwowało świat znad gazety.

Parker podrałował wybierać jakąś tanią furę, a Morkis złożył w całość swoją oficjalną komórkę, motorolę, aby połączyć się z Grishwoldem, który jeszcze wczoraj podawał się za pana Jonesa. Na myśl o tym, że nie jest wyjątkiem wśród macherów spod ciemnej gwiazdy, Morkis nabrał kinetycznej supersiły - ciągu nakierowanego na osiągnięcie celu wszelkimi sposobami. Miał ogromną ochotę zrobić coś niesłychanie ekscentrycznego - a raczej coś, co inni uznaliby za ekscentryczne. Wyobraził sobie (wyciskając numer Grishwolda), jak przydarza mu się wypadek samochodowy w tunelu Lincolna z udziałem wielu poszkodowanych osób - taki, jak choćby w filmie *Tunel* z Sylwestrem Stallone. Czy potrafiłby zachować zimną krew w chaosie podobnej sytuacji kryzysowej? Czasami bowiem nawet bardzo dobrze zorganizowani ludzie się rozsypują, kiedy na scenę wkracza apokaliptyczny chaos - tak bardzo się go podświadomie boją? Nie bez niepokoju podniósł komórkę do ucha.

- Mówi Peter Morkis. Pan John Grishwold, nieprawdaż? - przemówił uprzejmym, lecz i bezosobowym tonem, jakiego używał w kontaktach z ludźmi z wyższych sfer na Wall Street.

- Kkto taki?

- John Grishwold to pan, nie ma sensu zaprzeczać.

- C... c... co?... Skąd pan wie, jak się nazywam?

- Czary mary i już się dowiedziałem. Ale przecież chciał pan ze mną pogadać.

- Właśnie miałem do pana zatelefonować.

Fatalna siła przypadku rządzi każdą naszą chwilą, przypomniał obie Morkis słowa Parkera rzucone przy śniadaniu. (chwycił się teraz tej myśli jak wyroczeni i zmobilizował wszystkie swoje siły starając się nie stracić z oczu drobnej, podobnej do lalki, postaci Miao Teng, znajomej Chinki-shintai, tancerki rewiewej, która w tak znacznym oddaleniu od niego wsiadała do samochodu, że ledwie ją rozpoznał. A zawsze chciał być o krok przed wszystkimi i wyprzedzać wydarzenia. Niedobrze by się działo, jeśli ona też go spostrzegła.

- Chce pan rozmawiać z profesorem Wicksem, czy nie? - zapytał w napięciu, celowo przystępując do ataku bez zbytej finezji, z której był znany w pewnych kręgach, albowiem

dzisiaj, w tym banalnym momencie Życia, obrał taką właśnie prostą taktykę nacisku.

- Oczywiście. To mój podstawowy warunek.

- Proszę zatem zapisać ten numer, dyktuję...

- Chwileczkę, tylko wezmę coś do pisania... Już, już. Słucham.

Morkis podyktował numer i spytał, czy ma powtórzyć.

- Nie trzeba. Zaraz tam zatelefonuję, a potem od razu skontaktuję się z panem, więc proszę nie wyłączać tej komórki.

- Naturalnie. Ale ma pan czas tylko do jedenastej. - Morkisa aż poraziło podejrzenie, że Grishwold wiedział, iż miał baterię odłączoną od korpusu motoroli już od wczorajszego wieczoru, żeby nie można było triangulacyjnie jej namierzyć, ponieważ założył, że Grishwold mógł być całkiem kimś innym, niż się Morkisowi przedstawił.

- No to do usłyszenia wkrótce.

Morkis błyskawicznie odpiął baterię od korpusu aparatu, lecz czuł, że znowu było już za późno, gdyż zagadka: Z kim trzyma Grishwold?, była zbyt skomplikowana, by już teraz pokusić się o jej rozwiązanie. Ponadto znowu odcinał się od telefonów mnóstwa ludzi na swoją oficjalną komórkę, co zapewne nie było szczęśliwym pociągnięciem. Aczkolwiek są tacy ludzie, pomyślał, którzy twierdzą, że szczęście to lepsza rzecz niż bogactwo, ale on jeszcze do nich nie należał. Dlatego nigdy nie liczył na fart, tylko na siebie i... współników (no, no, nie do przesady, rzecz jasna).

Przecież za chwilę mnie tu nie będzie, uspokajał się. Jednak ślad pozostanie - Miao Teng pewnie też cię zauważyła, podpowiadał instynkt. Rozejrzał się czujnie wokoło. Pamiętaj: nie ufaj nikomu! Wszystko jest Grą! Wszystko jest testem na przetrwanie! A to nie jest najlepszy moment na popełnienie błędu. Wyłapał swoisty sygnał o grożącym mu niebezpieczeństwie: ten ostrzegawczy błysk spojrzenia Chinki znad przeciwsłonecznych okularów, choć było dość pochmurno, gdy odjeżdżała swoją czarną hondą civic. Nadjechał autobus - z reklamą „Nędzników” na boku - wyhamował na przystanku i zasłonił Morkisowi widok na skrzyżowanie ulic, gdzie skręciła. Tylko... w którą stronę?

Parker kupił ośmioletniego forda taurusa na swoje nazwisko, lecz za gotówkę Morkisa. W szarawym świetle dnia nie wyglądał imponująco - granatowy kolor nie dodawał mu blasku - ale im wystarczało, że był na chodzie i na tylnym zderzaku miał przyklejony napis: NIESZCZĘŚCIA JEŹDŹĄ PO LUDZIACH. Przejechali kilkanaście przecznic w Yonkers, poszukując stacji benzynowej, na której Parker mógłby w zakupionym wozie zatankować bak do pełna, i dotarli w końcu do granic Nowego Jorku na Bronksie, który w porównaniu z prowincjonalnym Yonkers jawił się jak zwykle kipiącą energią ulicznego

ruchu, gdzie prym wiodli „czarni, młodzi i gniewni” wszelkich profesji. Jako że wszędzie nowojorczyści - z pochodzenia istna wieża Babel, choć w zimie ubrana głównie w ciemne kolory - pędzili w pośpiechu, jakby ścigając się z wiatrem wyzwań, który hulał po betonowo-szklanych kanionach, za których ścianami Życie również tętniło przyspieszonym pulsem, czasem ze złowrogim efektem, czasem ze złowieszczym sensem, czasem ze złowróbnym podtekstem. I rzeczywiście, pierwszym niemiłym akcentem tego miłego początku dnia, stał się wiatr, który zaczął silnie wiać od wschodu, co w nomenklaturze tajnych służb - śledzących wszystko i wszystkich jak leci - oznaczało tajną operację kontrwywiadowczą przeciw Rosji, w której Peter Morkis także brał udział.

Niewątpliwie przypadkiem natknęli się na nowiutką stację benzynową Exxon. Podczas gdy Parker tankował, Morkis ustawił pożyczonego od Parkera forda mustanga na tyłach pawilonu i połączył się z mobile'em Maksa Platta, prywatnego detektywa, również współnika Spółki. To dziwne, że ludzie są jedynymi zwierzętami, które świadomie popełniają samobójstwo, zadumał się przelotnie w związku z tym, że przez tyle lat prześladował go właśnie ten moment, ten jeden błąd - kiedy w więziennej celi próbował targnąć się na swoje Życie - który specyficznym zaważył na całym jego dalszym istnieniu. Chwilę trwało (miarowy sygnał w mobile'u nastrojał bojowo), zanim dotarło do niego znaczenie tego ostatniego wspomnienia - jako objaw kompulsji świat nazbyt często wydaje się nam zanadto szary niż zazwyczaj jest, bo w Życiu wszystko bywa znacznie prostsze i straszniejsze niż sobie wyobrażamy - wszak wszystko jest sugestią, że zawsze jest się o krok od spełnienia jakiegoś marzenia. Dzieciństwo, młodość, małżeństwo... mógłby wspominać jeszcze niejedno, tyle że po co: nie ma już sensu żyć wspomnieniami, skoro nowe Życie przed tobą, no nie?

- Taak? Kto mówi? - w słuchawce padły nerwowe pytania, których nie wolno pominąć, by nie wpaść w pułapkę autsajdową niuansów Gry.

- Cześć, Max! Czy możesz swobodnie rozmawiać? - spytał Morkis, obawiając się podobnej sytuacji, jak było z Tomem.

- Chwileczkę... Momencik... Już mogę... Cześć i chwała ci, że dzwonisz!

- Jak wypadła rozmowa Wicksa z Grishwoldem? - Morkis wiedział, że owa rozmowa - jeżeli się już odbyła - stanowiła gwóźdź programu.

- Bez problemów. - Ton głosu Maksa daleki był od przesadnego ubarwiania słów emocjonalnym podtekstem, co było nie bez znaczenia w tej niełatwej sytuacji dogrywania szczegółów operacji przez telefon. - Wicks jest przekonany, że my z obowiązku chronimy go przed jakimś bandziorami w białych kołnierzykach i zdecydował się zakończyć tę sprawę jak najszybciej. Ma nerwy w strzępach.

- I bardzo dobrze. - Myśli Morkisa biegly już spokojnie utartym torem. - Teraz czekaj na mój telefon około jedenastej z informacją, że możecie jechać do siedziby Globalu. - Jednak w głosie Morkisa brzmiało jakieś naleganie, silniejsze niż można by oczekiwać, nawet jeśli zważyło się na okoliczności tego improwizowania. - Wówczas zabierz koniecznie ze sobą lub kup po drodze szeroką taśmę izolacyjną i nożyczki, ponieważ chyba będziemy musieli związać i zakneblować Wicksa.

- Że co?

- To tylko taka ewentualność na wszelki wypadek, rozumiesz? Trzeba się przygotować na każdą możliwość.

- Rozumiem. - Z przezornością godną zawodowca detektyw powstrzymał się od humorystycznego - choćby - dalszego komentarza.

- No to bywaj. - Rozłączyli się.

Morkis raźnie wysiadł z samochodu, ręką dając znać Parkerowi, aby podjechał do niego.

- Teraz się rozdzielimy - rzekł do Manny'ego przez otwarte okno od strony kierowcy. - Weź swoją torbę, bo ja będę jeździć twoją bryką, a ty tym nabytkiem, żeby nie naprowadzić ich na ciebie.

Parker syknął przez zaciśnięte zęby, bo miał małego hopla na punkcie starych, oryginalnych modeli samochodów, jak najmniej przerabianych, takich właśnie jak ten, którym chciał jechać Morkis: czarnym fordem mustangiem shelby z 1967 roku z niklowanym emblematem konia w galopie na wlocie chłodnicy.

- Nie przydam ci się już? - skrzywił się z jakby laminowanym wyrzutem, typowym dla rozczarowanego zawodowego zabójcy.

Na to Morkis rozejrzał się czujnie dookoła: stacja była prawie opustoszała, a przecież lichy nigdy nie śpi. Patrząc na słowo **STRACH** - wymalowane sprayem czerwone graffiti na szarej ścianie pawilonu - był tego całkowicie pewny. Coś tak upośledzającego automatycznie przyciągało wzrok, nie tylko jego wzrok, miał nadzieję.

- Mam dla ciebie bardzo poważne zadanie. - Nadał głosowi superpoważne brzmienie. - Tu masz klucze do biura naszej Spółki. Pojedziesz tam i będziesz czekać na faks, który powinien nadejść około południa. Faks z Banku Barclays na Kajmanach z potwierdzeniem stanu konta. Jak tylko przyjdzie, dźwiękniesz do mnie. Po wyjściu zostaw klucze w recepcji.

- Tylko tyle? - skrzywił się jeszcze bardziej Manny, kładąc lewą dłoń na krawędzi otwartego okna, by odebrać klucze. - Nic więcej?

- Brachu! To najważniejszy punkt mojego planu - zapewnił Morkis superprzejętym

tonem. Gdybyś tylko znał prawdę... Poklepał ściskającą klucze dłoń Parkera tak serdecznie, jak nigdy. - Jego puenta, kapujesz? - Wolną ręką wykonał bezwiednie taki ruch, jakby coś wkręcał.

Kiedy Parker natrafił na wzrok Morkisa, odniósł wrażenie, że ten przynajmniej w tym momencie powiedział prawdę.

- Nie kituj, Sherlocku - zażartował jednak, wiedząc, że Morkis zakreśli nim tak, jak zechce... ale do czasu. Parker tylko czekał na właściwą chwilę, żeby odplącić mu podwójnie. - Czy ty dasz sobie radę beze mnie? - Pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Zadryndam zaraz do George'a i powiem mu, żeby razem z Robertem zaczęli na mnie na lotnisku. Poza tym jest jeszcze Max i jego dwa doborowe pistolety.

- Niby tak, ale... - zatchnął się Parker, bo w głosie Petera zabrzmiało coś takiego, że się przestraszył nie na żarty - mam złe przeczucie.

- Ja też... lecz nie ma żadne to tamto, gdyż jesteś jedynym odpowiednim do tej roli facetem. Pamiętaj, zawiadomisz mnie, gdy tylko otrzymasz ten faks. Zamknij się w biurze na klucz i siedź cicho. Nikomu nie otwieraj. - Morkis miał zawsze anielską cierpliwość do Parkera, ponieważ zawsze od niego tak wiele zależało.

- Możesz na mnie liczyć, ale... - Manny chciał doradzić Peterowi szczególną ostrożność i zdwojoną asekurację w tej Grze wartej świeczki... nagrobnej, jednak nie zdążył.

- Ale to by było na tyle - przerwał mu Morkis i odwrócił się bezceremonialnie, jeszcze raz rozejrzał wokół, po czym wrócił do mustanga.

- W takim razie spadam. - Parker niechętnie wygramolił się z taurusa, zabrał z mustanga swoją brezentową torbę podróżną i po chwili odjechał kupionym samochodem.

Hm?... Wszystko, co robię, robię pośpiesznie, by móc zrobić co innego, zauważył Morkis, odprowadzając współnika wzrokiem. A na skrzydłach tego spostrzeżenia przyleciało następne: Długa będzie droga do ostatecznego sukcesu, więc nie przejmuj się zbytnio drobiazgami... skoro chcesz jedynie uwierzyć, że nikt nie może (nie powinien) czuć się fatalnie bez końca, bezwarunkowo, bez nagrody, Peter, co? O, tak! Pewnego dnia ci wszyscy sceptycy, którzy stwierdzą, że porywam się z motyką na słońce, będą musieli docenić moją pomysłowość. Niezła myśl, Peter, tylko nie za bardzo realistyczna.

Na marginesie tych dywagacji dochodziła godzina za piętnaście dziesiąta, kiedy wsiadając do superbryki, Morkis już wyszukiwał w pamięci swojego antypodsluchowego mobile'a numer George'a Downsa, od którego także wiele zależało w tej Grze. Spojrzał w lusterko, z telefonem przy uchu. Miał wyschniętą, pomarszczoną twarz, pod oczami zaczęły tworzyć się obwisłe worki, a piaskowe włosy, choć jeszcze gęste, były poprządkane siwizną

- zaczął się starzeć. W końcu wychwycił u siebie te subtelne zmiany, które pojawiają się po pięćdziesiątce. On liczył już sobie pięćdziesiąt trzy zimy. Niby nie tak wiele, ale dość, by zdać sobie sprawę z szybkiego upływu czasu teraźniejszego. Czy ma jeszcze ochotę ożenić się po raz kolejny? Czy może jeszcze mieć dzieci? Czy kiedyś będzie szczęśliwy?... Wziął się w garść - zacisnął zęby, wciągnął powietrze nosem głęboko do płuc, i poczuł, jak umysł i ciało poddają się wspaniałemu wrażeniu - ośwładnął nim lodowaty spokój: odzyskał poczucie supersiły wewnętrznej, tę elitarną wszechwiedzę, która nigdy nie zawiodła go podczas żadnej batalii. No dobrze, pomyślał, może akurat sam nie wiem, do czego ostatecznie dążę, lecz bez przekręcenia do George'a się nie obejdzie. I zaraz uzyskał połączenie.

- Czy jesteście jeszcze na lotnisku? - rozpoczął szorstkim tonem, by ukryć przed samym sobą zadowolenie z faktu, że Manny go posłuchał bez większego szemrania.

- Niestety, ale lot przedłużył się trochę i dopiero co wylądowaliśmy. - Głos chorego na gripę George'a był prawie nie zachrypnięty, jednak wciąż zaraźliwy. - I...

- I świetnie się stało - wbił mu się w zdanie Morkis. - Poczekajcie na mnie około pół godziny na lotnisku w pobliżu głównego wyjścia.

- Możemy poczekać, ale... Czy dzieje się coś złego?

- Dowiecie się niebawem. Do zobaczenia.

Po włączeniu silnika Morkis przesiadł się na fotel pasażera, gdzie kierownica nie przeszkadzałaby mu w pracy, którą miał wykonać. Najpierw sprawdził, czy bateria jego trzeciego telefonu komórkowego też była w pełni naładowana. Była. Potem wyjął wtyczkę z gniazdka zapalniczki. Sięgając po leżący na tylnym siedzeniu neseser... przeżył moment aberracji umysłu, jakby ktoś zrobił mu zastrzyk z amfetaminy prosto w serce... uderzyło go oszałamiające przeczucie: Chińczycy mają kreta w naszym rządzie! Zaaferowany tą myślą położył neseser na kolanach, otworzył go. Nie ulegaj przeczuciom, powiedział sobie. Nie myśl defetystycznie. Skup się, bo czas ucieka.

W neseserze mieścił się mały płaski komputer z wbudowanym modemem. Wetknął wtyczkę jego zasilania do gniazdka zapalniczki i włączył go. Zabłyśnął ekran. Po chwili pojawiło się podstawowe menu, z którego mógł dokonać selekcji. Połączył komórkę z modemem i wywołał numer bezpośredniego dostępu, łączący go z systemami MEEGAKOMPUTERA CRAY 5, zwanym potocznie Alfa, stanowiącym jeden z państwowych komputerów centralnych, tworzących NARODOWY SYSTEM ZARZĄDZANIA od roku 1966. I pomyśleć, westchnął w duchu, że ktoś chce wysadzić w powietrze ten cały SYSTEM. NARODOWE CENTRUM OPERACYJNE miało podobny komputer zwany Beta, do którego też miał dostęp. *(Lewa ręka Aleksa odruchowo pofrunęła*

do ucha, które zaswędziało go, jakby pod wpływem tej oficjalnej nazwy. To ONI, pomyślał. Ale kiedy jego palce natrafiły na powierzchnię helmu wizuafonu, swędzenie znikło - pozostał jedynie niepokój. Zmylić przeciwnika! Oto cel każdego fajtera, każdego Gracza. Zmylić program Gry - cwaną sztuczką umysłu wywieść go na manowce.) (Rosja najlepszym dostawcą ropy na rynku!)

Jak zwykle połączenie zostało dokonane w ciągu kilku sekund - pozwalających na przestrojenie osobowości na wyższy poziom współzależności cech charakteru od wyobraźni - i na ekranie zaczęła się pojawiać znana lista pytań asekuracyjnych:

KTO WCHODZI?

Wstukał swoje imię i nazwisko: Peter Morkis. Pomyśl, jak się czujesz?, przemknęło mu przez mózg. Pomyśl, jak się czujesz? A poczujesz się lepiej!

NUMER IDENTYFIKACYJNY?

Morkis podał numer. Może coś mi powiesz? Może coś mi powiesz? Żeby wiedział.

Kod osobisty?

Wstukał: HOMBRE. Hasło to wybrał jako swój osobisty kod, ponieważ stanowiło filmową przenośnię dla sprawy, której się poświęcił. To było klawe wyobrażenie teorii jego megapisku. Miało klasę i odpowiednio szczęśliwe litery.

Odcisk prawego kciuka.

W górnym prawym rogu bładobłękitnego ekranu pojawił się biały kwadrat o boku pięciu centymetrów. Zastanów się. Zastanów się, po co naprawdę robisz to wszystko?... Bo ja nie jestem mną. Bo ja nie jestem mną, tylko... Wirusem? A jeśli ONI za każdym razem do mojego komputera wpuszczają wirusa, który sprawdza wszystkie moje pliki i ostatnio dokonywane operacje? To co?...

- Wszystko będzie dobrze - obiecał sobie szeptem, bo wierzył w moc obietnic na wyrost - nawet jeśli będzie źle. - Przycisnął kciuk do wskazanego miejsca i czekał, podczas gdy czujniki miniskanera zatopionego w monitorze notowały skręty linii papilarnych, kierując na nie mikrobłycki silnego światła, kontrastujące względnie ciemniejsze rowki w skórze z odrobinę lepiej odbijającymi światło wypukłościami linii. - Tak, tak, ojczulku, damy sobie radę. - Miał na myśli to, że nie można opierać wspólnego Życia na tajemnicach, a jednak bez tajemnic nie ma Życia. Dlatego musiał teraz coś sprawdzić. Po niespełna minucie rozległo się ciche „bip”, oznajmiające, że analizowanie zostało zakończone. Kiedy odjął palec od ekranu, na środku białego kwadratu pozostał precyzyjny biało-czarny obraz odcisku jego kciuka. Po następnych trzydziestu sekundach odcisk zniknął z ekranu: został w tym czasie przekształcony w postać numeryczną, przekazany telefonicznie do centralnego komputera,

porównany elektronicznie z odciskiem znajdującym się w odpowiednim jego rejestrze - i zatwierdzony.

Dzięki prezydentowi - skubaniec jeden ma wyobraźnię! - Morkis miał od pół roku dostęp do znacznie finazyjniejszych systemów operacyjnych niż zwykły włamywacz komputerowy, dysponujący kilkoma tysiącami dolarów i adresem najbliższego sklepu z komputerami. Urządzenia znajdującego się w neseserze ani wpisanych do niego programów nie można było kupić w żadnym sklepie, o nie.

Wreszcie na ekranie pojawił się napis:

DOSTĘP DO ALFY ZAAPROBOWANY.

No nareszcie! A już myślałem, że ktoś chce mi przeszkodzić zbawić świat. He he. Alfa znajdowała się w ośrodku wojskowym pod Filadelfią. Wszystkie jej podzespoły i programy były od tej chwili do dyspozycji Morkisa za pośrednictwem telefonu komórkowego. Pozwolenie na korzystanie z Alfy i Bety w dowolnym czasie i bez ograniczeń uzyskał od samego prezydenta. Na ekranie pojawiło się długie menu. Przeszukał je błyskawicznie i wybrał program zatytułowany *Lokalizacja adresów*.

Wprowadził z klawiatury numer telefonu, tym samym wymuszając podanie przynależnego mu adresu. Oczywiście, pomyślał mimochodem, powoduję, że dzieje się coś, co się nie powinno oficjalnie dziać, bo absolutnie nie ma prawa się dziać według prawa. Ale tym lepiej, że się dzieje.

Dlatego z reguły warto być optymistą.

Moja miłość, jej zdrada, ciągną mnie: jedna w tę, druga w tę - pół na pół. Czekał, aż Alfa połączy się z ogólnym bankiem danych wszystkich kompanii telefonicznych w kraju i przejrzy ich rejestry, rozglądał się po najbliższej okolicy. W polu widzenia nie było ani niezwykłych przechodniów, ani nietypowych pojazdów, ani innych odbiegających od normy szczegółów, z tego powodu odniósł przygnębiające wrażenie, że nadeszła ta cicha apokalipsa, która odbiera światu jego magiczny urok i czar, bo już nie zadziwia niczym niesamowitym, nie budzi nowej nadziei na lepsze jutro. Albo był dzisiaj zbyt wymagającym widzem.

Sądził już wcześniej, że czas ostatecznej apokalipsy rzeczywiście nadchodzi i że wkrótce względny porządek świata rozsypie się jak domek z kart - ludzkość dążyła ku samozagładzie z taką pewnością, że nic nie mogło jej uratować - prawdopodobieństwo meegakatastrofy dowolnego rodzaju rosło z każdym dniem formowania się cywilizacji. Dlatego musiał zrobić to, co robił.

Posmutniał jedynie na moment, na myśl, że „zabójcza” nanotechnika przekazów podprogowych, na nieszczęście, była dopiero w powijkach.

W końcu na ekranie komputera pojawiło się nazwisko abonenta: Denis DeRusso. Zgadza się - pracował u Chińczyków. Okazało się, że adres zamieszkania jest zastrzeżony. Lecz to było tylko złudzenie, skoro w matriksie tej Gry wszystko było złudzeniem.

Morkis nakazał Alfie połączyć się z zadaną kompanią telefoniczną, przeszukać rejestry opłat rachunków abonenckich i w ten sposób znaleźć potrzebny adres. Wtargnięcie do banku danych sektora prywatnego było bez nakazu sądowego całkowicie nielegalne, ale Alfę cechowała nadzwyczajna dyskrekcja. Drogi dostępu do wszystkich systemów komputerowych narodowej sieci telefonicznej były przez NARODOWY SYSTEM ZARZĄDZANIA rozpoznane już od dawna i znajdowały się w jego utajnionych rejestrach - można było więc wchodzić do tych systemów prawie bez zwłoki, przeszukiwać je do woli, wyciągać potrzebne dane i rozłączać się bez najmniejszego śladu prowadzonych tam operacji. NSZ było duchem nie tylko takich systemów.

Adres w Jersey City pojawił się na ekranie w ciągu kilku sekund.

Morkis zapisał adres na karteczce, po czym usunął go z rejestru i zastąpił go innym. Potem zażądał od Alfę mapy ulic w Jersey City. Po sekundzie mapa ukazała się na ekranie, ale oczywiście w zbyt małej skali. Morkis przez klawiaturę wprowadził adres podany przez Alfę. Komputer wyświetlił na ekranie kwadrant mapy interesujący Morkisa, a następnie odpowiednią ćwiartkę tego kwadranta. Dom znajdował się zaledwie o trzy przecznice od autostrady New Jersey, w mniej zaludnionej części miasta. Miał więc czym zająć uwagę Lucasa i jego czarnych ziomali.

Wystukał na klawiaturze HOMBRE SKOŃCZYŁ, co spowodowało rozłączenie jego przenośnego komputera ze spoczywającą w chłodnym, suchym bunkrze pod Filadelfią „wszystkowiedzącą” Alfą.

Zaraz potem Morkis wyruszył w drogę, kierując się na lotnisko w Newark. Ustawił nadmuch ogrzewania na niski poziom, gdyż poczuł dziwne gorąco w całym ciele, jakby z nadmiaru emocji, których się spodziewał, jeżeli wszystko pójdzie... niepomyślnie. Być może też dlatego, że nie był w formie, choć o tak wczesnej porze organizm jeszcze nie domagał się klina tak bardzo, żeby aż gorączkować. Czyżby mnie także dopadła grypa, tak jak Alina i George'a?, zaniepokoił się. Nie chcę być chory i nie będę, pomyślał. Zdrowie można wymusić myślą, jeśli się ma wystarczająco silną wolę... i gorzałkę pod ręką. Toteż solidnie łyknął z metalowej piersiówki i już po upływie minuty poczuł się całkowicie dobrze: puls uderzał normalnie, na duszy zrobiło się lżej. Jednakże trochę obawiał się owej dyferencyjnej zastawki w mózgu, która mogła opaść, zacierając w nim poczucie niebezpieczeństwa, robiąc z niego desperata albo bałwana. Tym bardziej że znowu światło rozkwitającego dnia wydało

mu się dzisiaj takie jakieś rzęsiście pogodne, jakby był to jeden z tych zaczarowanych dni - Maximus, przechodzących w jedną z tych magicznych nocy - Optimus, gdy na rozgwieżdżonym niebie pojawiają się poszarpane chmury, które często stanowią preludium do czegoś niekoniecznie dobrego.

Szczęśliwie przejechał obskurne i groźne ulice Bronksu, potem przez niebieski most Hudsona i dalej prosto majestatycznym Manhattanem na most Waszyngtona, następnie skręcił na południe do Jersey City, a potem do Newark. Nieraz się zastanawiał, jak to rozegra, kiedy opadnie kurtyna obłudy, czy uda mu się to w porę przewidzieć i opracować strategię działania. I teraz ta chwila prawdopodobnie miała nadejść, a on czuł się kompletnie nieprzygotowany, bo chociaż był zadowolony z siebie i równocześnie trochę niepewny, ale nad jednym i drugim górowało uczucie - zdradliwe uczucie - że tym razem to on panuje nad sytuacją. A prawdę mówiąc, czuł się wręcz niewyraźnie, ponieważ pewność siebie zgubiła niejednego. Nienawistny dwuznaczny niepokój, którego od dawna nie zaznał, podpełził do gardła niepostrzeżenie, nim zdążył się zorientować. Na myśl o tym, co go dzisiaj czeka, coś rozsadało mu pierś, jakaś mdląca, gąbczasta substancja rozpełzała się powoli pod żebrami.

Dwadzieścia pięć minut po godzinie dziesiątej był już na Międzynarodowym Lotnisku Newark i witał się ze współnikami, zewsząd jednak otoczony wrogą inwigilacją kamer lotniska.

- No, jak tam? - spytał George Downs, wyprzedzając Roberta.

- Sprawa w toku.

- A konkretnie? - włączył się Robert Donaldson; jako adwokat, choć nie rzucający się w oczy, musiał się wtrącać czasami.

- Powiem wam w samochodzie.

Poprzez tłum z pośpiechem ruszyli w stronę wyjścia, cały czas otwartego na oścież, za którym inny wszechświat zdawał się na nich czekać z utęsknieniem.

- Co słyhać u Maksa? - George odliczał kroki do momentu, aż wyjdą na zewnątrz i zejda z widoku kamer, a także tego wszędobylskiego ślepeca, który pilnował szeroko otwartych drzwi, potrząsając puszką na datki. - Dobrze mu idzie?

- Coś w tym rodzaju.

- Coś w tym rodzaju?

- No właśnie.

- Co, no właśnie?

- Nico.

- Widzę, że naprawdę kompletnie mnie olewasz!

- Nie olewam.

- Nie?

- Nie.

George zupełnie nie wiedział, czemu ten kutas, Peter, jest taki beczelnie enigmatyczny.

- Tylko nie świruj, Peter! - warknął półgębkiem.

- Bo co?

- Weź zbastuj!

- Okej.

Niefortunnie dobrani współnicy, nieumiejętność pójścia na przeróżne kompromisy, zbyt dużo picia, utrata żony, skrywanie Tajemnicy Internetu i jeszcze więcej picia - Morkis mógł postrzegać dowolny z tych czynników jako przykład pecha, ale jeśli zebrało się je razem, to nie stanowiły już kwestii pechowego przypadku. Były raczej jego przeznaczeniem, o którym nie było sensu z kimkolwiek dyskutować. A tym bardziej z George'em.

Jeszcze nie całkiem zdążyli ewakuować się z ogromnego holu lotniska, gdy złowieszczo zabręczała komórka w kieszeni płaszcza Morkisa. Zadrżał wewnętrznie, jakby instynktownie wyczuł, że tamci dwaj maszerujący tuż obok niego nastawili uszy z ciekawości, bo również poczuli ów słodko - gorzkawy, wyborny smak ryzyka związany z każdym telefonem odebrany na antypodsluchowym mobile'u.

- Halo? - zagaił cicho, z wrodzonej ostrożności zmieniawszy tembr głosu.

- Czy pan Peter Morkis? - To był ten „znany mu tylko ze słyszenia”, agresywny głos z azjatyckim - jakby chińskim - akcentem.

- We własnej osobie.

- Czy domyśla się pan, z kim rozmawia?

Niejako automatycznie Morkis już wcześniej trochę przyspieszył kroku i w drzwiach wyjściowych wyprzedził współników aż o metr.

Kiedy ślepiec o imieniu James podniósł wzrok, żeby ich dokładniej obejrzeć z bliska - chociaż słyszał ich rozmowę już z daleka - jeden z tych ludzi, ten szczupły, najniższy i chyba najmłodszy, spojrział na niego zniechęca. Trwało to ułamek sekundy, w którym do niego mrugnął.

- Nie mam pewności, ale chyba z panem... - Morkis udał, że nie poznaje tego głosu, gdyż jeszcze nie oddalił się dostatecznie od George'a i Roberta, a także... ślepca. - Z panem Komo? - dodał ciszej po chwili.

- Tak jest. Mamy pańskiego pracownika, Alina Mearnsa.

- Ahaaa... Teraz kojarzę jeszcze lepiej.

- Dowiedzieliśmy się od niego, że w końcu odnalazł pan profesora Wicksa i zamierza pan sprzedać go Globalowi. Czy chce pan wojny z nami?

Niestety, Morkis został zaskoczony po raz któryś z rzędu w ciągu ostatnich dwóch dni, chociaż nie tak bardzo jak wczoraj na ulicy. A że był już w bezpiecznej odległości od współników, mógł przystąpić do knowania nowej intrygi. Kimkolwiek pan Komo naprawdę był, założył, drań jeden oczekiwał równie bezczelnie rzetelnej, co przyzwoitej odpowiedzi.

- Tak się szczęśliwie składa, że Global jest gotowy zapłacić okrągłą sumkę za profesora Wicksa i jego wynalazek - powiedział tylko tyle, resztę - według ich wspólnego planu - chowając w zanadru.

- A co z pańskim człowiekiem?

- On nie jest taki ważny. - Morkis świadomie ściszył głos do niemal szeptu, gdy to powiedział, bo pojął przykrą prawdę o sobie. Prawdę, o której wszyscy pewnie myśleli: to nie może być prawda! - a jednak wiedzieli, że to jest prawda: był zwykłą szują.

- Nie żal go panu? On zginie przez pana.

Alin w zasadzie był autsajderem w ich Spółce, uznał już przed minutą Morkis, był pionkiem, który właściwie nie wchodził w rachubę, jako człowiek przydatny w akcji... Ale miał superpamięć i mógł zacząć sypać, zreflektował się, a to byłoby supergroźne dla Spółki.

- Nie interesuje mnie to - zablęfował. Umilkł z napięciem wsłuchany w magnetyczną ciszę, która zapadła po drugiej stronie połączenia. Cisza ta nie trwała jednak na tyle długo, by zdążyć wymyślić lepsze wyjście z sytuacji.

- Pan również zginie, jeśli sprzeda pan Wicksa Globalowi.

Tą groźbą Chińczyk może by coś wymusił na Morkisie, gdyby chodziło o mniejsze pieniądze i gdyby Morkis mógł spojrzeć mu w oczy, tak jak wczoraj.

- To się jeszcze okaże - mruknął.

- Radzę panu poważnie się zastanowić.

„Życzliwość”, z jaką Chińczyk dorzucił to ostatnie zdanie, mimo wszystko, zaniepokoiła Morkisa ponad miarę, którą był w stanie wytrzymać.

- A ja radzę panu - wypluł z siebie - zapłacić mi dziesięć milionów za Wicksa i oddać nam Alina całego i zdrowego. Decyzję musi pan podjąć w ciągu pół godziny, czyli do jedenastej, potem będzie za późno.

Chińczyka nie zatkało to *dictum*, za to zdrowo wpieniło.

- Pan jest maniakalnie durnym hochsztaplerem - wycedził, wyraźnie hamując się przed użyciem gorszych epitetów.

Morkis był kontent, że pan Komo zareagował prawidłowo. Gniew, wściekłość to naturalne reakcje, bezpieczne dla mnie, skonstatował, dopóki nie zastąpi ich chłodna kalkulacja.

- Cieszę się, że pan tak wysoko mnie ceni. Poza tym śpieszy mi się ździebko, więc wóz albo przewóz. - Kiedy tylko to powiedział, usłyszał własny głos wewnętrzny: „Nie boisz się tak planowo improwizować?”

- Pożałuje pan tego gorzko. Żegnam. - Chińczyk rozłączył się, zanim Morkis zdążył zripostować. A nie wystraszył się i nie zmartwił, ponieważ uważał, że ma przewagę nad przeciwnikiem w postaci profesora Wicksa i że potrafi ją wykorzystać. Był przekonany, że dwaj wspólnicy podążający za nim, nie słyszeli tej rozmowy, choć nie potwierdziły tego ich krzywe uśmiechy, kiedy się odwrócił, żeby to sprawdzić.

I bardzo dobrze!

Po upchaniu w bagażniku dwóch niewielkich walizek i neseseru, wsiedli w trójkę do samochodu: George Downs obok kierowcy, Robert Donaldson z tyłu. Zapięli pasy, z entuzjazmem - odrobinę wymuszonym sytuacją - prowadząc rozmowę o błahostkach. Morkis, który wyprowadzał wóz z parkingu na główny wyjazd w kierunku Nowego Jorku, trochę się krygował, wyczekując odpowiedniego momentu, żeby coś ważnego zasugerować.

- Wspomniałeś kiedyś, George, że masz w chacie kilka sztuk broni palnej. Powiniście teraz się w nią zaopatrzyć. Mieszkasz obecnie w Brooklynie?

- Owszem. Przejeżdż przez tunel, potem cię pokieruję. - Rzadko kiedy George był tak zgodliwy jak w tej chwili. Z tym że zgarnął do tyłu pełną garścią blond włosy i nawet się uśmiechnął, jakby czekał na jakieś wyjaśnienie Morkisa.

- Po co nam ta broń? - spytał Robert akcentując niechęć do broni typową dla prawnika, który wie, że użycie broni to ostateczność.

- Bez broni się dzisiaj nie obejdzie. Musimy wymienić Wicksa na dziesięć melonów.

- Z Globalem? - Pod lichym uśmiezkiem George starał się ukryć zbytnią ciekawość, wynikającą z nieufności. - Na tylko tyle?

- Z Globalem - potwierdził Morkis bez zająknięcia, choć „po cichu liczył na inne rozwiązanie”.

- I przeciwko takiej firmie jak Global potrzebna jest nam broń? - zachnął się Robert.

- To, że coś mówię, nie oznacza, że tak jest w istocie, jasne?

George przyjrzał się profilowi Morkisa pozbawionymi wyrazu oczami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wolał zapytać, by nie przegapić puenty.

Jakkolwiek Morkis zaskoczył go jasnym uśmiechem niewiniątka, który przebił

zasłonę nieufności George'a, wszak nie mógł zaskoczyć go puentą.

- Strach to zdrowy odruch - podkreślił siłąc się na umiarkowaną ironię - choć tak często bierze się z niewiedzy, więc lepiej dmuchać na zimne, prawda?

- Czyli że tylko na wszelki wypadek?

Wcisnąwszy samochodową zapalniczkę, Morkis uśmiechnął się jeszcze jaśniej.

- Nareszcie skapowałeś.... zatem podaj mi papierosy ze schowka. Gdyby nie Max, byłoby krucho - zmienił temat tak gładko, że nieomal niezauważalnie - a tak jest nieźle.

- No więc co słysząc u Maksa? - W tym pytaniu, którego nie chciał już zadać George, Robert zawarł odrobinę dystansu do tej nagłej zmiany tematu, której konieczność zasygnalizował Morkis.

- Jak zwykle wszyscy coś robimy, lecz Max bije nas na głowę.

- Po prostu Max Szczęściarz! - prychnął szyderczo Robert.

Podając Morkisowi otwarte pudełko mentolowych pall malli, George zakpił:

- Czyli wszystko pod szczęśliwą kontrolą?

Z papierosem w ustach Morkis odpowiedział niewyraźnie:

- Naturalnie, że pod szczęśliwą kontrolą. Wszystko gra i buuucy. Ale tylko dzięki telefonom komórkowym da się tego słuchać. Mam rację?

- No to dlaczego mam dziwne uczucie, że chcesz coś przed nami zataić? - George położył lekki nacisk na słowie „zataić”, żeby nadać mu dwuznaczne znaczenie, które poprzedzało kolejne pytania.

- Doprawdy? Przesaaadzasz.

- Co z tobą, Peter, że tak przeciągasz strunę? Jesteś na spidach, czy jak?

Samochodowa zapalniczka pstryknęła jak na zawołanie. Morkis spokojnie przypalił papierosa.

- Od dzieciństwa wierzyłem, że daleko zajdę, więc nie utrudniaj mi tego, lebiego. Zrozumiałeś? - odparł tyleż nonszalancko, co arogancko. Trudnego dzieciństwa prawie nigdy nie wspominał - ale niejedną raz błyskawicznie cofał się w czasie o trzydzieści lat, do starych dobrych czasów młodości spędzonej na Dolnym Manhattanie, w plątaninie wieżowców i wąskich ulic, zapewniających minimalny dostęp do słońca i maksymalny stres od nacisku tłumów postaci godnych „obrobienia”. Właśnie tam się znajduje Lower East Side, gdzie się urodził i wychował, a także sąsiednie Chinatown, Little Italy, TriBeCa i SoHo. Konglomerat funkcjonujących tam instytucji prężnie wypełniających swoje przeróżne zadania - biznes i finanse, które symbolizowało Wall Street, aparat państwowy reprezentowany przez Sąd Najwyższy i Komendę Policji przy Police Plaza, a wokoło: sądy okręgowe i grodzkie, urząd

miasta, więzienia, wieżowiec agend rządowych, budynek poczty państwowej i tak dalej - wszystko to pozwoliło mu nabrać obrotności urzędniczego machera niezbędnej w dalszej przestępczej karierze.

- A my? Bóg nie lubi występów solo. My też chcemy daleko zajść.

- Przecież ty nie wierzysz w Boga, George.

- Za to ty nie wierzysz w nic.

- Mylisz się. Wierzę w siebie.

- Chrzanisz! Bez nas byłbyś nikim! - wypalił George bezpardonowo. Przepelniała go żywiołowa chęć krytyki wszystkiego, co Peter knuł bez ich wiedzy i czym umiejętnie wodził ich za nosy.

Celnie trafiony tą inwektywą Peter Morkis groźnie zmarszczył krzaczaste brwi i spod nich obrzucił George'a Downsa całkiem nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Przecież możesz wycofać się w każdej chwili - powiedział złowieszczo i pokiwał głową prowokująco. Ale zaraz coś go tknęło - jakby siłą uderzeniową całego Internetu - był o krok od popełnienia makro błędu.

- Chciałbyś mnie się pozbyć?

- Kurważ twoja...

- Chłopaki, przestańcie, bo ten dialog nie prowadzi do niczego dobrego - wtrącił Robert. Napięcie osiągnęło punkt krytyczny, groziło rozłamem, a do tego nie mógł dopuścić. Jeszcze nie teraz.

George był wyraźnie poirytowany - rosła mu gula pod szczęką - lecz on był taki prawie zawsze... Szczególnie ostatnio, skoro jego fach programisty informatycznego był absolutnie na fali, motywując go do odejścia ze Spółki, ale nie skończył jeszcze swojej misji.

- Bynajmniej jeszcze się nie kłócimy i nie na tym rzecz polega, żeby nie wolno było pytać o cokolwiek, nie? - wycedził zgryźliwie, choć nie uszło jego uwagi, że Peter podczas jazdy dość często zerka na boki.

Peter Morkis - nadzwyczaj spokojny człowiek, gdy tak trzeba - mocniej zacisnął palce na kierownicy.

- Bardzo cienka linia oddziela upór od głupoty - rzucił równie zgryźliwie jak George, pchając słowa w kłębach gęstego dymu wydobywającego się z jego ust. - Pozostań po właściwej stronie, George.

Dalsza droga upłynęła im na omawianiu szczegółów nowego planu Morkisa. Przy czym ten zaczął zauważać w głębi tła tej jazdy przez miasto dziwne postaci i twory wśród tłumów zaludniających ulice Newark: bezdomnych włóczęgów i ulicznych handlarzy,

bezzębne stare kobiety i brodatych staruszków, czarnoskóre dziewczyny ciągnące za sobą dzieci, czarnych młodych twardzieli, i policjantów patrolujących swój rewir. Na tych ulicach był teraz całkiem inny ŚWIAT. Zewsząd dobiegała do niego muzyka hip-hopu, rzucały się w oczy jej hasła: **JEŻELI UŻYJESZ HIP-HOPU DO DOWOLNEGO PRZEDSIĘWZIĘCIA, ODNIESIESZ SUKCES!... CZY TEGO CHCESZ, CZY NIE, ŻYJEMY W EPOCE HIP-HOPU! (PRZEKAZ PODPROGOWY!)**

Przedtem jeżdżąc swoim mercem, Morkis widział tych ludzi jedynie przez sekundę, (WYPRZEDAŻ - 70%!) tak jak i inne elementy krajobrazu wielkiego miasta (OSZCZĘDZAJ Z NAMI!) - latarnie, hydranty, parkomaty, kosze na śmieci, ławki, przystanki autobusowe, budki telefoniczne, graffiti... (KREDYT W 15 MINUT!) Teraz zrozumiał, że zwykłe, twarde Życie było wszędzie i nagle zaczął się go bać. (RATY 0%!)

Czarny mustang zwolnił, podkołował pod budkę na rogatkach tunelu. Morkis zapłacił złotą kartą kredytową wystawioną na inne nazwisko. Z papierosem nerwowo przygryzonym w ustach przymierzał się do stanowczego postanowienia, że jeżeli wszystko się uda, rzuci palenie (a nuż-widelec uda się, chociaż to).

Kiedy ruszyli dalej, George o coś spytał.

- Już nie gadajmy o pierdołach, bo muszę się skupić - odrzekł zmęczonym głosem Morkis, po czym zgasił peta w samochodowej popielniczce. Rozgarniając niespieszną ręką resztki dymu, wpatrzył się przez moment w George'a z pozornie przyjacielskim zadowoleniem z tego, co o nim myśli. Biedny George, pomyślał, znowu wplątałem go w kłopoty z MEEEGAPROGRAMEM, a przecież zasługiwał na lepszy Los, niż uwzględnianie w swoim wiekopomnym dziele na przykład, że w Chinach pojęcie sztuki zawsze było odmienne aniżeli gdzie indziej, albo że... w Rosji kult jednostki jest tak silnie zakorzeniony jak nigdzie indziej. Sam miał co do tego wątpliwości, żeby od samego początku uwzględniać tego rodzaju liczne niuanse w MEEEGAPROGRAMIE, ale - rzecz raczej niepokojąca - ponoć dobry program komputerowy musi uwzględniać wszystkie możliwe niuanse. I po co? Po co?...

Musi być na tym porąbanym świecie coś ważniejszego niż prawda, odpowiedział sobie, musi być coś ważniejszego niż uczucia, ważniejszego niż pieniądze, ważniejszego niż samo Życie.

Czym jest to coś?

Na kilka chwil najważniejsza stała się fantazja Aleksa. Czasem wydawało mu się, że jest tylko postacią ze speropowieści, którą sam zmyślił. Wówczas żył w świecie swoich fantazji, a nie w świecie rzeczywistym. Ale nie wolno sobie niczego wmawiać do końca,

pomyślał teraz, przeceniając abstrakcję i absurd pewnych skojarzeń. Bo czytał gdzieś, że w przypadkach bardzo głębokiej schizofrenii, zmyślane życie staje się ważniejsze od prawdziwego. Czy to aby nie znaczy, iż cała Piramida Gry stoi na ruchomych piaskach? Fifi-fang! To się może wyjaśnić już w niedalekiej przyszłości GRY.

Moja rozmowa z bezdomnym? Telefon od kogoś w sprawie kupna praw autorskich do Pechowej Trzynastki? Proroczy sen mojego sąsiada? To były epizody z Trylogii Tajemnic, które w tej chwili sobie przypomniał... Nagle fenomen „Aha!” zaktywizował centralny układ nerwowy Aleksa. Chociaż był jeszcze daleko od celu, znalazł jądro, środek ciężkości skojarzenia: rozmowy z bezdomnym i Pechowej Trzynastki z proroczym snem sąsiada... O wafan-kulo!

Ale najpierw pomyśl tak, Alex: Sperogra ściągana z Internetu to lustro, trzymane przed sumieniem internautów; to, co w nim ujrzą, zafascynuje ich, więc winą za wszystko, co złe obciążą lustro, nie Internet. Czaisz?... Ooohelwete... to nawet wyjaśnia, dlaczego uwielbiam dźwięk kostek lodu w szklance z whisky rozsadzanych przez tworzące się w nich szczeliny, lecz... nie wyjaśnia, dlaczego chciałbym teraz na przykład przenieść się w kosmos Gry. Który z Graczy maczał w tym palce?

KLIK...

ETAP 0300

Musisz ich wykończyć, musisz ich załatwić!... Musisz zrobić tak, żeby tamci zabrali ciebie, a nie ich!

Tak, tak, tak! Tylko że ten czubaty lata jak marzenie! A ten perlisty jak dupa wołowa! Ta pierdoła Alosza w końcu przegnie pałę!

Anatolij Zacharow, drugi pilot kosmonauta na stacji orbitalnej MIR, nie mógł przestać trapić się tym, jak wyrwać się z tego dręczącego zamknięcia w „kosmicznym więzieniu”, gdzie przebywał już ponad trzy miesiące, a miał jeszcze pozostać przez kolejne prawie trzy miechy.

Nikt (poza nim samym) nie zdołał sobie wyobrazić, jak monotennie (obłądnie monotennie) płynie czas w kabinie stacji, mimo codziennej pracy przy budowie specjalnego modułu dokującego amerykańskiego wahadłowca. Od czasu przybycia na stację pierwszego wahadłowca Atlantis w dniu 27 czerwca 1995 roku, w pierwszej misji STS-71 promów kosmicznych, początkującej międzynarodową współpracę z rosyjską stacją orbitalną MIR, minęło mu blisko cztery długie miesiące w towarzystwie tych samych trzech ludzi. Poza

rozmowami, łącznością z Ziemią i... szachami (ale ile można grać w szachy?) w zasadzie nie było tu innych ciekawych rozrywek. Gdyby przewidział, co go tu czeka (właśnie!, co się właściwie z nim dzieje?) z pewnością zrezygnowałby z tego zaszczytu.

W ostatnich dniach (za trzy dni - w poniedziałek - amerykański wahadłowiec ma przybyć na stację po raz drugi) wielokrotnie rozmyślał o użyciu do powrotu na wolność, zwaną Ziemią, statku Sojuz TM, który cumował na stacji między innymi jako „szalupa ratunkowa”, by w razie zagrożenia zapewnić bezpieczny powrót załogantów stacji na Ziemię. Ale ostatecznie postanowił użyć go dopiero wtedy, gdy nie uda mu się „wcisnąć” na amerykański wahadłowiec zamiast Aloszy Zorkina, który był przewidziany do wymiany za trzy dni. A gdyby nawet zawiódł Sojuz, wówczas miał jeszcze w odwodzie szansę ucieczki statkiem transportowym Progress, wykorzystywanym do przewożenia na stację środków niezbędnych załodze do długoterminowych pobytów w kosmosie oraz dostarczania paliwa do stacji, a także komponentów do różnych eksperymentów, części zamiennych i różnorodnego wyposażenia stacji. Tylko że przed chwilą wpadł mu do głowy pomysł całkiem odlotowy.

Teraz w kabinie było ich tylko dwóch: Brian Baxter i on, Anatolij Zacharow. Tylko ich dwóch i... jego eksperyment unosiło się w stanie nieważkości.

Frank Farell i Alosza Zorkin pracowali na zewnątrz w czterogodzinnej dniówce roboczej, przerywanej trzema piętnastominutowymi odpoczynkami. Minutę temu zakończyli pracę, skierowali się do śluzy przejściowej i za około dziesięć minut powinni zjawić się w kabinie. A po godzinie na swoją szychkę miał wyruszyć Baxter razem z Zacharowem. Zatem pozostało mu niepełna dziesięć minut na przygotowanie najnowszej niespodzianki: najbardziej podstępnej niespodzianki w dziejach tej spokojnej stacji „zawieszanej” na orbicie okołoziemskiej jako swoiste więzienie Anatolia Zacharowa. Przede wszystkim niepostrzeżenie wyłączył całodobowy ziemski podgląd kamer w kabinie i pozostałych pomieszczeniach oraz nasłuch mikrofonów...

Musisz to zrobić! Musisz to zrobić!... Puuuuustka... Nieskończona kosmiczna pustka wokoło... Pustka... Pustka... Pustka... i nic więcej. Ratuj się, bo inaczej wkrótce zwariujesz!

Akurat Brian Baxter, przypięty pasem do fotela podczas spożywania liofilizowanego posiłku, który właśnie kończył, pokręcił głową zde gustowany tym, co w telewizorze nadawano z Ziemi, po czym potrząsnął nią, jakby nagle coś sobie przypomniał i zwrócił się do Zacharowa:

- Powiedz no mi, Anatolij, tak między nami, czy często masz wrażenie, że ludzie są wobec ciebie niesprawiedliwi? Że jesteś pomijany? Że czyhają, by cię pognębić?

O, drań skubany! Jakiś amerykański jasnowidz, czy co? Tak spogląda na mnie: surowo, poważnie, ale... i z wyrozumieniem chyba. Zresztą nieważne... Kto wie jednak, co takiemu skurkowi chodzi po głowie!

- Czasami... - odmruknął ostrożnie, łamiąc sobie głowę, jaka odpowiedź byłaby najlepsza - tak mi się wydaje. - Wiedział już, że trzeba będzie dalej grać bardziej na wyczucie niż według najnowszego planu.

- Nic dziwnego. W tej pustce, która nas otacza, różne rzeczy mogą nam się roić w głowie. - Baxter podrapał się za uchem i po chwili dodał, jak gdyby nigdy nic: - A czy ostatnio dobrze sypiasz?

O, sukinsyn jeden! Skądś wie, że ostatnio źle sypiam! Nie ma co o tym dalej z nim gadać! Trzeba narzucić mu inny temat! Tylko, jaki...?

- Sypiam nawet całkiem dobrze - wymamrotał, ale zaraz dorzucił z większym przejściem: - Ostatnio śniło mi się... śnił mi się prezydent Borys Jelcyn.

- Otóż to! - ucieszył się nieco dziwacznie Baxter. Jakby mu ktoś w kieszeń narobił, zauważył Zacharow. - Dobrze, że o tym wspomniałeś. Co się w tych dniach niezwykłego wydarzyło na Kremlu, że u nas mówią o ciężkiej chorobie waszego prezydenta? W waszych wiadomościach coś o tym informowali czy nie? Bo jestem ciekaw.

Zacharow uśmiechnął się tak ucieszenie, jak gdyby ktoś ofiarował mu upragniony prezent (nowy temat chwycił od razu). Lubił obserwować nietypowe reakcje ludzi w nietypowych sytuacjach: jakieś tiki, mrugnięcia, zagadkowe półuśmieszki, jakieś „diabelskie” błyski w oczach... czy choćby chrząknięcia lub głośne przełykanie śliny. Sam nie stronił od nich, a raczej czasami nie potrafił się od nich uwolnić, jak na przykład teraz, kiedy przestał się tak szeroko uśmiechać, a zaczął nerwowo mrugać lewą powieką na samą myśl, co będzie musiał za chwilę zrobić.

Tym bardziej że jakby wilgotna i lśniąca z naturalnego przetłuszczania się skóra na twarzy Baxtera, nadała mu wyglądu wielce zainteresowanego odpowiedzią Zacharowa: Baxter wyglądał teraz, jakby wessał przed sekundami marcepanowego bakcyła słuchania wieści ze świata dla zabicia czasu, zdradzając przy tym duże przywiązanie do Życia. Na pewno przykro byłoby mu umierać, podsumował z satysfakcją Zacharow, sięgając po młotek.

- Rzeczywiście, z Jelcynem musi być bardzo źle - westchnął lojalnie i patriotycznie zmartwiony, a na tyle przejmująco, na ile zdążył się przejąć własną konfabulacją - skoro nawet nas poinformowano o jego ciężkiej chorobie...

- Taaak?...

- ...Kto wie, może prezydent już nie żyje, a ktoś tymczasem szykuje się do przejęcia władzy - dodał Zacharow autorytatywnym tonem - utrzymując jego śmierć w ścisłej tajemnicy... do czasu, kiedy będzie całkowicie gotowy do objęcia po nim schedy.

- Myślisz, że Jelcyn już umarł? - Baxter przewrócił oczami z wrażenia, że mogłoby to być prawdą. - Neeee... Chyba ciutkę przesadziłeś?

Musisz to zrobić! Musisz to zrobić! Nie masz lepszego wyjścia!

- Pytałeś, więc ci odpowiedziałem, lecz sam się zastanów... - Zacharow znowu

westchnął z przejęciem, ściskając trzonek młotka z coraz większym wycuciem jego nijakiego ciężaru.

- Czy w ogóle kiedykolwiek przedtem podawano oficjalnie w mediach, że prezydent Borys Jelcyn jest ciężko chory, hę?

- Nnno...

- No właśnie, nie podawano, czyli coś nadzwyczajnego musi być na rzeczy... - Wymownym gestem Zacharow podbił zaciekawienie Baxtera. - A najbardziej zaskakujące rozwiązanie i stosunkowo proste bywa najczęściej trafne, więc...?

- Więc... - Baxter strzelił palcami i dokończył: - Byłaby to niespodzianka, którą mógłbym zaskoczyć Franka, jak tylko wróci. A po co ci ten młotek?

- Ale nie zaskoczysz go, Brian - uśmiechnął się dobrodusznie Zacharow, wskazując ręką dzierżącą młotek w stronę ściany z oprzyrządowaniem systemu bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Dlaczego nie? - stropił się Baxter.

- Bo spójrz na monitor.

Baxter spojrział w monitor, lecz nic ciekawego na ekranie nie zobaczył, poza dwoma kosmonautami rozbierającymi się w przebieralni.

- O co ci chodzi, Tola? - spytał, wciąż gapiąc się w ekran.

- O to! - Zacharow zdzielił go młotkiem w skroń z odpowiednią siłą, by go nie zabić, tylko ogłuszyć, bo jeszcze nie był całkiem przekonany, że powinien zabijać. Kontrsiła po uderzeniu łagodnie odrzuciła go pod pobliską ścianę.

Nie usprawiedliwiaj się! Tylko się nie usprawiedliwiaj. To byłoby... żałosne.

Walnięcie młotkiem rozległo się głuchym chrzęstem. I zniechęcił ten chrzęst z momentem, gdy uświadomił sobie w pełni, co on oznaczał. Mógł wytrzymać tę ohydłą świadomość tylko z zaciśniętymi zębami. A kiedy przebrzmiał ten chrzęst, Zacharow przez chwilę wisiał w powietrzu sztywny i napięty do ostateczności, z dłonią kurczowo ściskającą trzonek młotka, jak gdyby lękał się, że dźwięk może powrócić odbitym złowieszczo gdzieś echem... Ale dźwięk nie wracał, natomiast do kabiny wróciła przytłaczająca cisza, nawet spotęgowana cisza, gdyż nie było już słyhać oddechu Baxtera. I wówczas z Zacharowa natychmiast opadło napięcie, a jego mięśnie i umysł odprężyły się trochę.

Udało się! Od jednego ciosu Brian stracił przytomność!

Zacharow sprawdził puls na szyi Baxtera, bezwładnie zwisającego w fotelu, do którego był przypięty pasem.

Żyje! I bardzo dobrze, że żyje...

Nie! Całkowicie niedobrze, że żyje, bo będziesz musiał go dobić!

Nie!

Tak, tak! Musisz trzymać się nowego planu!

Ale mogę go dobić później!

Pospiesz się! Zostały ci tylko cztery minuty do ich powrotu! Powtarzaj sobie: Dobrze zrobiłem... dobrze zrobiłem... dobrze zrobiłem... A będzie ci łatwiej.

Dobra, dobra. Już go chowam zgodnie z planem. Muszę trzymać się nowego planu! Ależ on jest leciutki. Nie myślałem przedtem, że pójdzie mi tak łatwo. Dobrze zrobiłem... dobrze zrobiłem...

Chociaż szarpały nim też wątpliwości: Co, jeśli Hydra się o wszystkim dowie...?" Zacharow zaczął holować ciało Baxtera w kierunku wyjścia z kabiny dziennej astronautów do korytarza prowadzącego w stronę kapsuł sypialnych. Kiedy przed niecałym kwadransiem sprawdzał kapsułę Baxtera w poszukiwaniu perlistego, półświadczenie uznał, że byłaby najlepszym schowkiem dla zwłok. Teraz nawet po przypięciu kolegi do materaca przykrył go kocem, ułożonego plecami do suwanych drzwi tak, żeby w razie czego pomyślano, że mocno śpi, złożony nagłą chorobą. Należało ubezpieczyć się na wszelkie niekorzystne okoliczności w najbliższej Przyszłości, którą zamierzał ukształtować zgodnie z planem, który podpowiadał mu Głos.

Przy swoim wzroście - prawie dwa metry - odpowiedniej do niego wadze ciała Zacharow zawsze uważał siebie za człowieka potężnie zbudowanego, ale Amerykanin, właśnie „wpływający” do holu ze śluzy ciśnieniowej, był po prostu gigantem. Rozebrany do bielizny, tylko w podkoszulce i szortach, wyglądał jak koszykarz-kulturysta, o twarzy zaciętej i znamionującej wysokie kwalifikacje zawodowe, poparte silną osobowością urodzonego przywódcy. Tak więc Frank Farell robił duuuże wrażenie na każdym.

- ...dlatego czasami Życie to jedno wielkie bagno - mówił do Aloszy Zorkina, ale też już dostrzegł Zacharowa, który na nich czekał na początku korytarza.

To było jak jakiś kiedyś już śniony sen. I te tajemnicze słowa! „...dlatego czasami Życie to jedno wielkie bagno”. Zacharow był pod wrażeniem ich związku z jego obecnym podłym, podenerwowanym, nadpobudliwym samopoczuciem. Sprawy potoczyłyby się może trochę inaczej, gdyby się chwilę dłużej zastanowił nad tym, co powiedział Frank, lecz Głos wciąż jeszcze wypełniał mu myśli, przypominał, że ma nowy plan, i nie pozwalał zapomnieć o tym, co zrobił kilka minut temu Brianowi.

I to wystarczyło. Zrobiło się tak miło, gdy Zacharow uśmiechnął się na ich powitanie, jakby się znali całe wieki. Oni zaś naturalnie odwzajemnili mu ten uśmiech, kiedy w dodatku ich pochwalili:

- Odwaliliście dzisiaj nielichy kawał roboty.

- A ty cieszysz się na nasz widok, jakby coś nam tam groziło - odrzekł Zorkin, zdawałoby się filigranowy przy olbrzymim Farellu.

Musisz tylko sprytnie ich rozdzielić!

Tak, tak. Wiem.

- Och, nie! Wszystko było w porządku - odparł Zacharow, łapiąc natchnienie za ogon.
- Tylko Brian źle się poczuł: jakieś zawroty głowy i nudności, czy coś takiego, i położył się spać, więc chyba my dwaj dzisiaj nie wyjdziemy do roboty.

Zaczęli wolno przemieszczać się korytarzem prowadzącym do dziennej kabiny. I powoli zaczęło to nabierać realnych cech scenariusza, który ułożył Głos kilka minut temu.

- Ach tak... - strapił się Farell, nie ukrywając, że jest niemile zaskoczony. - Ale chyba to nic groźnego z Brianem, co? - Przeoczył jednak rzecz najważniejszą: Anatolij wciąż się uśmiechał.

- Nieee, na pewno nic groźnego. - Zacharow nie dał zbić się z tropu. - Może nawet zaraz wstanie i zdecyduje się popracować na zewnątrz.

Na zewnątrz!?!... Czujesz?... Czujesz cokolwiek przyjemnego? Nie! Nic przyjemnego nie możesz tu czuć! Żadnych normalnych odczuć tu - w pustce kosmosu - nie możesz mieć! Ani zapachu świeżego powietrza, ani szumu wiatru czy morza, ani błękitu nieba lub zieleni drzew, ani gwaru ulicy albo widoku ponętnej kobiety tu nie ma! Po prostu nie ma! I nigdy nie będzie!

- Brian jest wprawdzie nieocenionym konstruktorem, lecz lepiej niech się prześpi, chociaż szkoda jednak czasu na próżno straconego, więc może zamiast niego ja wyjdę z tobą na zewnątrz na te dodatkowe cztery godzinki - zaproponował Farell chętnym tonem daleko sięgającej prerogatywy.

- Nie jesteś zmęczony? - W dość ostrym proteście Zorkin pokręcił głową, jakby to on sam miał znowu tyrać. - Harowałeś dzisiaj za dwóch!

- To dla mnie nie pierwszozna. - Farell narzucił swoją wolę w jeszcze bardziej bezpośredni sposób: poklepał Zorkina po plecach. - Odsapnę godzinę i bez problemu mogę iść z Anatolijem. Co tam mamy dzisiaj na lunch?

Musisz ich sprytnie rozdzielić!

- Makaron z miodową szynką w sosie carbonara w wykonaniu Briana. - Zacharow sugestywnie oblizał wargi, kierując ten sygnał do Farella. - Mnie smakowało jak nigdy.

- Nigdy nie mów nigdy - przestrzegł z uśmiechem Farell, bystro nadążając za kulinarnym żartem Zacharowa i zrobił gest cokolwiek patetyczny - dopóki nie strawisz. To jedyna potrawa, jaką Brian potrafi ugotować.

- No to idę na małe posiedzenie - napomknął Zorkin - a potem spróbuję tego waszego amerykańskiego specjału.

Farell od razu sprostował:

- To wcale nie jest amerykańskie danie... tylko chyba włoskie.

- Nieważne. Muszę spróbować, czym to smakuje, zanim Brian wstanie. - Zorkin mrugnął figlarnie na znak, że ten kulinarny żarcik jemu również się spodobał i odplynął korytarzem prowadzącym do toalety.

Zacharow już dawno zdążył się przekonać, że Frank Farell jest niezwykle wszechstronnym astronautą, który nieustannie docieka przyczyny powstawania każdego zdarzenia, przypadku czy choćby prozaicznej zmiany w harmonogramie prac montażowych. Widać więc było po nim, że jednak niedyspozycja Briana go dręczy, gdy wyciągał z podgrzewacza swoją podwójną porcję makaronu z szynką wymieszanego z sosem carbonara... w puszcze z rurką do ssania.

- Co za dziwny zbieg okoliczności - orzekł po chwili namysłu, jakby szczerze zaambarasowany tą dziwną zbieżnością, przypinając się pasem do fotela przy stole. - Brian zaniemógł akurat, kiedy jest najbardziej potrzebny. Nie możemy kończyć prac na ostatnią chwilę przed przybyciem wahadłowca.

- Całkiem słusznie zauważyłeś - zgodził się skwapliwie Zacharow sięgając po młotek.
- Też tak uważam.

- Poza tym Brian nigdy by nie nawalił - ciągnął dalej Farell - gdyby naprawdę źle się nie poczuł. I to martwi mnie jeszcze bardziej. Czy możesz mi bliżej określić, co mu właściwie dolega?

- Powiem tak: spojrzał na ekran tamtego monitora i zrobiło mu się niedobrze.

- Zalewasz... A po co ci ten młotek?

Zacharow niemal automatycznie wskazał na monitor.

- Widzisz to? - spytał tak przestraszonym głosem, jak gdyby ujrzał coś niebywale groźnego. (Rosyjska myśl kosmiczna!)

Farell przez chwilę szukał wzrokiem przyczyny przestachu Zacharowa.

- Co mam widzieć? - zachnął się w końcu. - Nic nie...

- To! - Zacharow walnął go młotkiem w lewą skroń z taką siłą, że aż chrupnęło, gdyż tym razem chciał od razu zabić, ponieważ obawiał się, iż z niedobitym olbrzymim Farellem mógłby sobie później nie poradzić. Wiedział bowiem, że taki człowiek jak Frank Farell posiada niespożytą zdolność odradzania się na nowo. Przytrzymał się stołu, żeby powstrzymać odrzut, gotowy do zadania drugiego, wykańczającego ciosu.

Na skroń Farella wypłynęła krew i powolutku rozlewała się po krótkich jasnych włosach, a całe bezwładne ciało zaczęło przechylać się na prawą stronę.

Odgłos spuszczonej wody w odległej toalecie zmroził Zacharowa do szpiku w kościach, włosy zjeżyły mu się na karku; stał nasłuchując - trzymając młotek wciąż wzniesiony do poprawkowego uderzenia, zastanawiając się, co robić, skoro bieg wydarzeń nagle przyspieszył, bo Alosza zaraz może się tu zjawić... Głowił się bez żadnego przebłytku rozwiązania tak komplikującej się Gry.

Głos też musiał być mocno przejęty, skoro milczał wytwarzając nastrój niepewności... wręcz bliski paniki, która chciała opanować Zacharowa. Co robić? Co robić?...

Jeżeli zacznę holować Franka do kapsuły sypialnej i natknę się po drodze na Aloszę,

będzie niedobrze. Będzie wprost źle... bo nie tak miało być. Zupełnie nie tak.

Musisz zacząć się na Aloszę przy drzwiach toalety!

Racja! Prędeż!

Zacharow odbił się od podłogi i, energicznie odpychając się od wszystkiego, co napotkał, popłynął w stronę toalety. Starał się tłumić wszelkie przewidywania złe, przychodzące w popłochu do głowy. Była pewna szansa, że to, co mu się udało dwukrotnie, uda się trzeci raz; ale o wiele bardziej prawdopodobne było jednak to, że skoro udało się aż dwa razy, nie uda się już ponownie. Czy szczęście jest wynikiem wykorzystania czynnika psi, by odnaleźć harmonię z otaczającym światem, czy by go zmienić? A może pech jest wynikiem nie używania psi?...

O czym ty, do ciężkiej cholery, rozmyślasz?! Skup się! Musisz celnie uderzyć po raz trzeci, a wszystko będzie dobrze! To jedyny sposób, żebyś wrócił na Ziemię!

Czy zdarzenia istnieją, zanim się jeszcze wydarzą? Czy rzucają przed siebie zwiastujący cień?...

Przestań!

W końcu udało mu się wyrzucić z siebie wszystko, co pamiętał z artykułu, który przeczytał w ostatnio dostarczonej prasie zagranicznej, choć ze zdumieniem uświadomił sobie, że nie było to wszystko. Czarne, puste przestrzenie pojawiły się znowu w pamięci, napętlając go teraz nieopisanym zdenerwowaniem, gdy zaczął się z boku drzwi, gotowy znowu zabić. Przypomniał sobie zatem wszystko, co mógł; jednakże coś chciał ukryć nawet przed samym sobą.

Jeśli natychmiast nie przestaniesz się rozpraszać, spotka cię sroga kara!

Buntowniczo zacisnął palce na trzonku młotka, aż do bólu w całej pięści rozładowującego napięcie - przymknął powieki i szybko, płytko pooddychał przez kilkanaście sekund. Kara, kara, kara! Był w jednym ze swoich porywczych nastrojów, kiedy by tylko gwałcił, podpalał, druzgotał, ogarnięty niszczycielską furią walenia na oślepi, gdzie popadnie, aż do wyczerpania sił, pocąc się wszystkimi porami i z ulgą zgrzytając zębami.

I wtem zakręciło mu się w głowie, pęczniejącej od bólu. Kara, kara, kara... stanęła mu przed oczami w upiornej purpurowej aurze Ksenia Karamazow. W zielonym kostiumie operowym, który nagle przemienił się w obcisłą krótką spódniczkę, na której cienkim białym materiale znać było wyraźnie jej wrzynające się w pupę majtki. Ksenia. Na kanapie - jego męskość wsadzona do jej ssących ust, póki przymknięte powieki nie zadrgały z pełnej rozkoszy - czy na stojąco przed lustrem, przyciśnięta do szafy, której drzwi lekko dygotały i skrzypiały. Raptem wspomnienie uleciało. Niebezpieczeństwo rozwiąło jeszcze jedno rojenie.

Drzwi toalety gwałtownie się odsunęły i Alosza Zorkin wychynął na korytarz.

Teraz! Uderz!

Zacharow zazgrzytał w złości zębami na myśl, co by się stało, gdyby to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu minut, nie zdarzyło się wcale. Co nie powinno się wydarzyć, gdyby nie ten okropny Głos (jakby z telewizora?), który nim steruje, manipuluje, osacza i rozkazuje...

UDERZ!

Anatolij Zacharow, człowiek z gruntu łagodny i dobrotliwy na Ziemi, uderzył z całej siły, a z czaszki Aloszy Zorkina bluznęła na niego cienka strużka ciepłej krwi, która ochlapała mu twarz.

Brawo! Udało ci się!

Boże, boże, boże nie wolno mi tego zmarnować, bo nikt nigdy się nie dowie, co to dla mnie znaczyło; nikogo zresztą to tak naprawdę nie obchodzi, nawet gdybym potrafił wyjaśnić, w czym rzecz. Wyjaśnić - ha! Tę niemożność, straszną niemożność wyjaśnienia, że dłużej w tej pustce nie mogłem po prostu wytrzymać, że wszystkie wysiłki, by nie ulec Głosowi... rozsądku czy obcej mocy?, doprowadziły mnie tylko do tego, co teraz zrobiłem...

Ale teraz, Tola, przynajmniej nikt nie zdradzi Tajemnicy twojego EKSPERYMENTU! Chyba że oni wszyscy jeszcze żyją albo... że to wszystko jedynie ci się śni.

*Gdzieś trzasnęły drzwi i Alex zamarł w bezruchu, nasłuchując tego, co dobiegało doń spoza hełmu wizyafonu. Wstrzymał oddech, kiedy kliknął na ikonę „pauza”, a na ekranie film-Gra zatrzymał się na pojedynczej klatce. Serce mu zadygotało, gdy coś - ten dźwięk?, czy raczej zapach, który teraz czuł?, nigdy się nie dowie? - go przestraszyło. Ktoś wszedł do domu? **ONI** przyszli po mnie? Niemożliwe, bo nie trzasnęliby drzwiami. Zawołać Sonię i spytać? Nie! Jeszcze nie, bo pomyśli, że czegoś się boję, że panikuję jak łajza. A jeśli jednak... znaleźli mnie tamci? Tak szybko?... Przeszukują pokój dzienny, kuchnię, sypialnię, łazienkę, zaraz będą tu...?*

*Instykt samozachowawczy Aleksa Rifle'a, tak nadszarpnięty przez podszepty Rosemary, głosy matki i ojca, oraz udawanie problemów z **alter ego**, nagle mocno dał o sobie znać. Nie chciał zdejmować hełmu, żeby nie przegapić szmeru, który potwierdziłby jego obawy. Czy jest na biurku coś, co mogłoby posłużyć za broń?... Lampa! Mosiężna lampa. Ręka sama wysunęła się w stronę lampy, podczas gdy Alex nasłuchiwał kroków lub jakiegokolwiek innego dźwięku - nic. Napastnicy albo byli supercisi, albo był tylko jeden, który gdzieś stał i czekał, wsłuchany w ciszę domostwa.*

A jeśli to wyłącznie Sonia wyszła z domu wyrzucić śmieci do kubła, a przeciąg trzasnął drzwiami? Skoncentruj się! Poczekaj jeszcze, zanim... Był zaniepokojony do tego stopnia, jakby jego strach przerodził się w przecucie nieszczęścia - tak silne, a jednocześnie nieokreślone, że miał wrażenie wyłowienia kolejnego dziwnego dźwięku. Aczkolwiek nie był to

ten lęk, od którego zwykle trzęsły mu się ręce, a umysł wpadał w panikę, mimo to wydawał się bardziej rzeczywisty niż sama rzeczywistość, nie pozwalając mu wytrzymać tego nasłuchiwania. Zgroza! Teraz albo nigdy! Alex zdjął hełm z głowy i zawołał:

- Soniu?

Usłyszał, jak ktoś otworzył drzwi frontowe i wszedł do holu. Po sposobie, w jaki zamknęła drzwi, poznał Sonię. Odetchnął z ulgą. Napędziłem sobie stracha zmyśloną przez siebie samego opowiastką. Źle ze mną... Nie? Jednak coś tu nie gra. Zbyt dziwne są te wszystkie głosy, omamy, deja vu, poranne telefony - „zwykłe” zbiegi okoliczności. Czy w jakimś punkcie się wszystkie zbiegają? Odpowiedź byłaby sygnałem do uruchomienia planu B mojej „ucieczki”, gdyby plan A kompletnie się rozsypał w strefie zgniotu.

W świecie równoległym Alex sięgnął do szuflady biurka po paralizator. Tego jeszcze nie było w mojej GRZE, pomyślał, a powinno coś takiego tu być. Mocno zaciskając palce na uchwycie broni podjął ostateczną decyzję, która tak naprawdę nie zależała od jego woli - była ponad nią. Wstał. Cichym krokiem skierował się do kuchni, gdzie Sonia krzątała się przy zlewozmywaku, pod którym ustawiała wiadro ze świeżym workiem na śmieci.

Alex zaszedł ją od tyłu, zanim zdążyła obrócić się do niego twarzą, gdy powiedział: - Są słowa, jakich nigdy nie wypowiem. - I „dźgnął” ją w plecy wiązką miliona woltów.

W życiu nic nie nauczy sprytu lepiej niż polujący na ciebie paparazzi, przestrzegł samego siebie, wkładając hełm wizuafonu z powrotem na głowę. Nie wolno więc ignorować podpowiedzi zza kulis wspólnej świadomości społecznej, że wina za początek globalnej manii internetowej już jest rozłożona na tyle czynników, że nie sposób jej przypisać konkretnej osobie czy instytucji, skoro za każdym razem internetowe przestępstwo jest tylko „wypadkiem przy pracy”. Może się przydarzyć na wiele różnych sposobów, dlatego zdarza się tak często. Ta Sperogra jest tego najlepszym dowodem. I już najwyższy czas sprytnie zainteresować się przyczyną mojej rosyjskiej obsesji.

KLIK...

ETAP 0301

Prezydent Borys Jelcyn nie żył. Był pewnie martwy już od kilku dni. A jego duch nawiedzał ludzi w Parku Sztynnych.

Tak przynajmniej uważał Anatolij Zacharow, drugorzędny szpieg SGB „w odstawce”.

Było to coś więcej niż tylko przypuszczenie, była to trzeźwa ocena zachowania ludzi na świeczniku i zaistniałej sytuacji, nie pomijając tego, co mu się dzisiaj nad ranem straszego przyśniło i pewnie coś konkretnego znaczyło. Sny działają na system nerwowy równie silnie jak rzeczywistość. O ileż jednak łatwiej porzucić rzeczywistość, niż pogrzebać sny. Taki kosmiczny sen mógł oznaczać tylko jedno: będzie musiał kogoś zabić, skoro wyśniła mu się śmierć Jelcyna!

Borys Nikołajewicz Jelcyn nigdzie nie występował publicznie od ponad tygodnia. Dopiero jednak po trzydniowej jego nieobecności podano w komunikacie, że przywódca odrodzonego narodu rosyjskiego jest niedysponowany z powodu ciężkiego przeziębienia.

Dwa dni później „Prawda” poinformowała, że prezydent cierpi na zapalenie oskrzeli. Choroba ta często, lecz nie zawsze prowadzi do groźnego zapalenia płuc, sugerowano. O kłopotach z sercem jakoś dziwnie nie wspomniano. Potem zapadło medialne milczenie. Należało więc wierzyć w to, że stan chorego poprawia się, jako że brak wiadomości to ponoć dobra wiadomość.

Ale oczywiście w „Głasnostii” pojawił się artykuł przedstawiający błyskotliwą karierę Borysa Jelcyna, jego drogę po kolejnych szczeblach władzy: od stanowiska pierwszego sekretarza Komitetu Obwodowego KPZR w Swierdłowsku do pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego w Moskwie w 1987 roku; kolejny znaczący krok naprzód - wybór w 1990 roku na stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej (RSFRR), pokonując ówczesnego premiera Rosji Aleksandra Własowa, którego kandydaturę popierał Michał Gorbaczow. A po ostrej walce wyborczej, której szczegóły umiejętnie ubarwiono, 12 czerwca 1991 roku pokonał wielu kandydatów i ku radości odradzającego się narodu rosyjskiego objął urząd prezydenta RSFRR. Teraz, gdy był chory po prawie czterech latach sprawowania władzy, u progu wyborów na nową kadencję, ludziom sugerowano możliwość objęcia władzy przez kogoś młodszego i mniej schorowanego, na przykład przez... Jednakże nie podano żadnego konkretnego nazwiska.

Zacharow wyczuwał specyficzne napięcie na Kremlu, choć nie był w stanie niczego pewnego się dowiedzieć. Prawdę - niewygodną dla kogoś ważnego - zachowano w ścisłej tajemnicy. A tajemnica to rodzaj przeznaczenia, który może też być więzieniem... choćby i w kosmosie. Jak długo można utrzymać coś tak istotnego w tajemnicy?... - głowił się teraz Zacharow.

Anatolij Zacharow miał trzydzieści osiem lat. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ciemnych rzednących już włosach. Z reguły mówił niewiele, bo tak było bezpieczniej.

Uprzywilejowane stanowisko osiągnął dzięki nienaganej pracy jeszcze w KGB. Karierę Zacharowa przyspieszono, ponieważ ojciec jego żony Nataszy przyjaźnił się z ministrem obrony Andriejem Własnowem. Zacharow aktualnie miał względnie łatwą, jeżeli nie wręcz nudną pracę, ponieważ takiej właśnie życzył sobie dla swojego zięcia dalekowzroczny Anton Sokołow. Ze względu na swoje stanowisko Zacharow mógł wciąż jeszcze korzystać z przywilejów przysługujących urzędnikom instytucji nadal trzymających władzę w Rosji, co było dla niego wiele warte. Mimo to śmiało można by powiedzieć, że Życie go nie rozpieszczało, skoro czytywał Poradnik dla niedawno zmarłych, przekonany, że żywi często ignorują rzeczy dziwne i niezwykle.

Jednakże dzisiaj - i od jakiegoś już czasu - nie cierpiał samej myśli o powrocie do domu pod koniec dnia pracy. Gdyby działało zgrabne wytłumaczenie w postaci roboty po godzinach na Kremlu, na pewno by z niego skorzystał. Niestety, tak późna obecność w biurze mogła wzbudzić podejrzenia, może nawet tajne dochodzenie, a na to nie mógł sobie pozwolić. W każdym razie nie teraz, po swoim pospiesznym - i zagadkowym poniekąd - powrocie z Nowego Jorku.

Ostatnio sama myśl o tej metropolii sprowadzała na niego senne koszmary, że w nagłym przypadku zastuka trzy razy w drzwi do nawiedzonego domu. Budził się w środku nocy zlany potem. Jego największy strach, strach każdego podwójnego agenta-szpiega, powodowany był myślą, że mógłby sam się zdradzić, mówiąc przez sen. Nataszy nie mógł zaufać. Powiedziałyby o wszystkim ojcu, który doniósłby ministrowi, który z kolei przekazałby wszystko Siergiejowi Matwiejczukowi, szefowi Ósmego Wydziału SGB. System władzy wciąż jeszcze opierał się na strachu - naród wciąż jeszcze bał się samego siebie.

Pech zaczął się nie tak dawno w Nowym Jorku. Zacharow pojechał tam jako kolejny szpieg - biurowy urzędnik konsulatu. Życie wypełniały mu w większości rutynowe spotkania z tajnymi agentami, z którymi miał przydziałowy kontakt, wymiana niewiele znaczących informacji. Pewnej nocy zadzwonił do niego Rassmusen, postradziecki agent, który mieszkał poza Nowym Jorkiem. Rassmusen nalegał, aby Zacharow zaraz przyjechał do niego, ponieważ miał bardzo cenne materiały, „a później mogło być za późno” - tak się dosłownie wyraził. Zacharow zgodził się z wielkim wahaniem - niejako pod przymusem - łamiąc ustalone wcześniej procedury, ale liczył na sukces, który pomógłby mu w karierze. Wiedząc, że musi zachować maksymalne środki ostrożności wyjechał za miasto wynajętym samochodem. Kluczył i kołował przez godzinę, zanim nabrał pewności, że nie jest śledzony. Pierwsza listopadowa śnieżycy sprzyjała mu oślepiając ewentualny ogon. *(Putin znowu wygrał wybory w Rosji!)*

Czy to była jakaś kara, że przed pawilonem motelowym wynajętym przez Rasmusena zjawiał się po dwudziestej trzeciej? Z głównej drogi wjechał na świeżo zaśnieżony podjazd, co podświadomie go uspokoiło: nikt tu nie zajeżdżał co najmniej od dwóch godzin. Rozległy motel stał nieco na uboczu, w jednym oknie pawilonu paliło się światło. Z ulgą wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi, które... o dziwo okazały się uchylone.

Pół minuty później znalazł Rasmusena w aneksie kuchennym, z głową przestrzeloną małokalibrowym pociskiem z pistoletu, który leżał przy drzwiach wejściowych. W następnej chwili w tych drzwiach się pojawili agenci federalni wezwani jakoby przez anonimowego informatora, który przejeżdżając w pobliżu usłyszał strzał. Oczywiście oskarżono go o zamordowanie Rasmusena, a potem zaproponowano współpracę. Sreparowano wszystkie konieczne dowody, że dokonał tej zbrodni, więc po roztroprnym wahaniu zgodził się. Wówczas wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Gdyby go po tym zwerbowaniu wykopano z terenu USA, pokazałby im figę i zapomniałby o całej sprawie. Niestety, nie zrobili tego. Więc miał się czym przejmować?... Zamiast kopa dostał pilne wezwanie do Moskwy.

Paranoja?

Zdawał sobie sprawę, że z jego strony podejrzliwość to paranoja, a nie należał do paranoików, bo w zasadzie nie uznawał żadnych zasad, jednak ściągnięto go tak pospiesznie i bez podawania powodów, że aż spodziewał się najgorszego. Ale - o dziwo - dostał zwykłą pracę urzędnika na Kremlu, w wydziale spraw zagranicznych. Nawet wtedy można byłoby o wszystkim zapomnieć, gdyby nie wieczór, kiedy posłała po niego Ksenia Karamazow. Była śpiewaczką operową w Teatrze Wielkim, piękną jeszcze i znaną już w Związku Radzieckim. Czego, u licha, chciała, zdziwił się wtenczas, organizując spotkanie ze zwykłym kremlowskim urzędnikiem, skoro mogła być rżnięta przez połowę wyższych oficjeli w Moskwie, gdyby jej na tym choć trochę zależało?

Tamtej nocy Anatolij uzyskał zaskakującą odpowiedź na to pytanie. Kiedy leżeli w zmiętej pościeli w jej luksusowej (jak na moskiewskie standardy) sypialni, pocałowała go w nos i wymruczała:

- Ty również jesteś amerykańskim szpiegiem, nieprawdaż?

Zaniemówił na moment, czując jak ogarnia go porażający strach wywołany tą prowokacją. Trzeba szukać tu wartości dodanej, pomyślał, choć każdy ma chwile słabości.

- Mówili mi, że zastrzeliłeś Rasmusena - uśmiechnęła się z podziwem. - Dobra robota. Wiesz o tym, że on też był podwójnym agentem? No, ale teraz, kiedy ty i ja mamy pracować razem, lepiej będzie, gdy uporządkujemy kilka podstawowych spraw. Będę twoim

łącznikiem. Moje hasło do kontaktu z tobą brzmiało...

Tak więc - Zacharow został jednak podwójnym agentem. Jeden fałszywy ruch i nie byłby w stanie się wywinąć. Nie byłoby w tym nic w stylu filmów z Jamesem Bondem, agentem 007. Załatwiono by to w prostszy sposób. Wiadomość dla SGB lub FSB. Wymiana Zacharowa na jakiegoś amerykańskiego szpiega, któremu się nie powiodło. „Zrobimy to tak i tak. Wsadzicie naszego agenta w najbliższy samolot do Waszyngtonu, a w zamian weźmiecie sobie naszego człowieka w Moskwie. Nazywa się... Anatolij Zacharow”. Nie byłoby to nic nowego pod słońcem. (*Witamy w Rosji!*)

Tyle wstępu o Zacharowie, którego coś astralnego popychało w kierunku największego spisku w dziejach ludzkości... Aha! Zacharow zdążył „przypadkowo” poznać w Nowym Jorku... Petera Morkisa i „zrobić z niego rosyjskiego szpiega”, który tak mu zapowiedział na pożegnanie: „Gdziekolwiek spojrzysz, on może tam być. Któregoś dnia obrócisz się, a on będzie już na ciebie czekał - zabije cię, Zacharow, jeśli mnie zdradzisz”. A potem wszystko diabli wzięli.

Do tej pory prezydent Borys Jelcyn utrzymywał się na szczycie władzy od prawie czterech lat w niezłej kondycji zdrowotnej. Będąc jeszcze wciąż sześćdziesięcioletkiem (zaliczył już 68 zim) miał nadzieję przetrwać dwie kadencje prezydenckie. „Doskonale” się trzymał... według Rosjan. Mierząc metr dziewięćdziesiąt i ważąc grubo ponad sto kilogramów, utrzymywał swą potężną sylwetkę w tej sławetnej „doskonałej” postaci, dzięki częstemu popijaniu wody ognistej. Trzy butelki dziennie nie były już rzadkością, ale nie wydawały się mu zbytnio szkodzić. Złośliwie szeptano o wielu kochankach, lecz nie można było mówić o tym głośno, ponieważ nie wypadało wierzyć w niecne plotki, bo przecież był przywódcą odrodzonego narodu.

Silny fizycznie, słaby moralnie - każdy o tym wiedział po czterech latach jego rządów, począwszy od Władimira Putina, szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), kończąc na robotnikach fabrycznych. Wiedział o tym zwłaszcza Putin, bo to on miał na niego coraz większy wpływ od momentu objęcia stanowiska szefa FSB. (Władimir Putin - nasz człowiek!)

Według Kremla świat był umowną szachownicą. I ponoć Putin powiedział niedawno ministrowi obrony o patowej sytuacji, trwającej już od roku, którą najwyższy czas było zmienić. Oto dlaczego potrzebowali u steru Jelcyna jeszcze tylko jakiś krótki czas.

Lecz pewnego styczniowego dnia wszystko runęło nagle jak domek z kart. Jelcyn udał się na weekend do swojej dachy, która była oazą luksusu pośród podmoskiewskiego krajobrazu. Rzeka Jauza, zasilająca wody Moskwy, przepływała obok pałacu sportu ku

północy. *(Nie wahaj się odwiedzić Rosję!)* Zostawiając za sobą rozpełzające się moskiewskie przedmieście, zdawała się zachęcać do spacerów nad jej brzegiem. Kraina Łagodności - okolica pełna tam była lasów i zielonożółtych łąk, więc idealnie nadawała się na miejsce wypoczynku.

Wysokie drzewa iglaste osłaniały posesję nie tylko od strony drogi dojazdowej. W dodatku potencjalnego intruza czekało spotkanie ze strażnikami jeszcze w dużej odległości od miejsca, z którego można byłoby coś zobaczyć poprzez drucianą siatkę ogrodzenia pod napięciem. Nie można też było podejść zbyt blisko nie uruchamiając jednego z kilku systemów alarmowych. Nikt obcy nie był także w stanie dostrzec ani dwóch basenów (jednego na wolnym powietrzu, drugiego krytego), ani kortów tenisowych, ani limuzyn zaparkowanych przed rezydencją.

Na początku tego wieku właścicielem daczy był bogaty kupiec z Petersburga. Od tamtego czasu wielu przywódców państwa odwiedzało ten obiekt, a tym najznamienitszym ze wszystkich był Leonid Breżniew, który jeździł tu wypoczywać aż do śmierci. Członkowie politbiura korzystali z niej później jedynie sporadycznie. Wyżej notowana była tylko dacza blisko Gagry nad Morzem Czarnym, z basenami wyłożonymi marmurem, z których jeden wypełniony był wodą morską, a drugi wodą słodką. Jelcyn wolał wszak otoczoną rzeczną fosą podmoskiewską posiadłość, ponieważ nie lubił jeździć daleko od stolicy. Dla zmylenia mediów, że jest aż takim marzycielem, nazwał to miejsce Krainą Łagodności. Jednak wymyślił tę nazwę w złą godzinę. Problem tkwił w tym, że im więcej czasu prezydentury upływało, tym jego Tajemnica stawała się coraz większa.

Tamtego jasnego, rześkiego i mroźnego poranka ubiegłej soboty Jelcyn spożywał śniadanie w swoim pokoju, myśląc, że to, co najlepsze było jeszcze przed nim. Jego małe oczka drgały w oczodołach, gdy zygzakiem szukał w myślach pomysłu na odjazdowy występ podczas spotkania w Genewie przywódców państw grupy G7 i Rosji. Nagle pochylił się, by podnieść kawałek jajecznicy, który spadł mu z widelca na dywan, wzrok mu się zeszklił, z ust pociekła ślina i rymnął na podłogę, gdzie znieruchomiał w groteskowej pozycji. Tak zastała go służba. Żył, ale jakby bez świadomości.

CUD?

Natychmiast zawieziono go do najlepszego rządowego szpitala w Moskwie. Lekarz dyżurny orzekł bez wahania, że prezydent doznał wylewu krwi do mózgu. Śmiertelnie groźnego wylewu.

- Jak długo...? - Niewzruszone zazwyczaj rysy Putina wykrzywione były troską, niemalże rozpaczą - tego się po nim nikt nie spodziewał.

- Może przeżyć tydzień, a nawet miesiąc. - Chcąc uniknąć wzroku szefa FSB, lekarz pochylił się nad łóżkiem i wpatrzył z bliska w nieprzytomnego Jelcyna. - Może jednak doznać kolejnego wylewu dzisiejszej nocy albo jutro rano, a to go na pewno zabije.

- Nie może umrzeć w żadnym razie. - Putin powiedział to z naciskiem, przybliżając się do neurochirurga i włączając pochłaniacz energii pozytywnej. - Słyszycie mnie, doktorze. Musi być zdrowy, musi czuć się na tyle dobrze, by pojechać do Genewy za dwa tygodnie. Później będzie to już bez znaczenia.

- Zrobimy, co w naszej mocy - odparł lekarz, wiedząc doskonale, że w ich mocy będzie niewiele więcej niż rutynowa opieka szpitalna. Działanie ludzkiego mózgu było niezwykle złożone. Śmierć Jelcyna, według doktora Karpowa, była tylko kwestią czasu.

Minał niespełna tydzień. Zmiana była bardzo niewielka, raczej na niekorzyść. Ale dzisiaj, w piątek, dyrektor szpitala, żeby sędzono, że robi wszystko, co w jego mocy, stwierdził w oficjalnym komunikacie dla Putina, że pacjent czuje się coraz lepiej. Lecz pod wieczór Jelcyn zapadł w głęboką śpiączkę. Putin zjawił się osobiście po telefonie ordynatora. Prezydent leżał bez ruchu, bładny jak śmierć. I można by go było uznać za martwego, gdyby nie praca aparatury zaświadczającej o jego Życiu.

- Musicie go uratować! - syknął Putin. Wszystko w nim wrzało, głęboko i niepojętym, myśli bełtały się jak w ukropie. Dlaczego czuł się taki przegrany? Może dlatego, że był przegrany, ponieważ wszystko było fałszem (poprzez niego, za jego pośrednictwem: to jego istnienie fałszowało rzeczywistość?). Ale dzięki prezydentowi Borysowi Jelcynowi mógłby się wkrótce przedzierać w kogoś, kto nie był przegrany, kogoś, pod czyjego zdewaluowanymi słowami - niczym pod strzępami papieru toaletowego - nie kryłyby się już moralne manipulacje i kłamstwa. Bowiem Życiu musimy sprostać tak dalece jak to tylko możliwe. A on bardzo pragnął zostać kimś wielkim w swoim Życiu. Wszakże, jak wygląda prawdziwe Życie? To wieczna tajemnica (nie dla wszystkich?).

- Musicie go uratować za wszelką cenę.

- Nie ma żadnej nadziei... w najbliższym czasie - odrzekł ordynator. - Szybko słabnie. Nic nie możemy zrobić.

Wyznaczony przez Los, Władimir Putin - przyszła nadzieja narodu - zamknął na chwilę oczy, przesunął dłonią po czole, jakby odganiał myśli złe pytaniem: jak wyrwać prezydenta ze szponów ŚMIERCI?, po czym spojrzał groźnie na ordynatora.

- Musimy go przenieść! - zdecydował rozkazującym tonem. - Do jego apartamentu na prospekcie Kutuzowa.

- Nie zniesie podróży! - zaprotestował gorączkowo ordynator. Ważył się też jego Los.

Nie powinien przeciwstawiać się woli Putina... i tym, którzy za nim stali. - W najlepszym wypadku zostało mu kilka godzin Życia.

- Przenieście go!

Ordynator potulnie skinął głową. Wyglądało to całkiem naturalnie, że nie śmiał więcej przeciwstawiać się rozkazowi.

- Wezwę karetkę - zaproponował z udawanym ożywieniem.

- Nie, nie karetkę - zaproponował Putin. Miał już plan, który stworzył w ciągu kilku sekund, powodowany wiarą we własne nadzwyczajne siły. - Musi zostać przetransportowany jak zwykle w tak zwanej „ścislej tajemnicy” naszym konwojem. Zrozumiano?

- Tak jest!

Lekarz nie rozumiał wcale, ale nie miało to znaczenia. Wiedział, że podróż zabije Jelcyna, lecz i tak by umarł jako „warzywo” - wcześniej... czy nieco później.

Więc Borys Jelcyn zmarł wyzioną DUCHA, który zajął jego miejsce, kiedy wiozący go czarny przedłużany mercedes dojeżdżał do jego rezydencji. Całą drogę oczyszczał silny konwój milicji. Zatrzymali się przed numerem dwudziestym piątym, sześciopiętrowym modelem, który przylegał do budynku zajmowanego niegdyś przez Leonida Breżniewa.

Dwóch najsilniejszych funkcjonariuszy ochrony osobistej prezydenta wniosło zwłoki starając się sprawiać wrażenie niosących chorego człowieka, nie zaś trupa. Wnieśli Jelcyna do środka, położyli na łóżku i przestawili ogrzewanie na niższy poziom. Żony i córki nie powiadamiano - jeszcze - o tym posunięciu Putina, który był jawnie popierany przez obie wpływowe kobiety.

Po przybyciu uzbrojonych funkcjonariuszy FSB dotychczasowi ochroniarze natychmiast wyszli. Zgodnie z rozkazem szefa FSB, czyli Putina, wymazali z pamięci wydarzenia związane z ostatnią podróżą Jelcyna. Z chwilą, gdy wyszli na zewnątrz, w szalejącą śnieżną nawałnicę, wiedzieli tylko, że przywódca odrodzonego narodu leży tam, u siebie, złożony chorobą i pozostanie w apartamencie do czasu wyzdrowienia. Taki mieli rozkaz. W ten sposób rodziła się kolejna Tajemnica.

Zatem kiedy wrócił do domu, do żony alkoholiczki, (*Rosja - głos kobiet coraz silniejszy!*) dzisiejsze poranne przecucie Anatolija Zacharowa sprawdziło się: Borys Jelcyn nie żył, ta myśl umacniała teraz wiarę Zacharowa w prorocze sny. (*Odsunąć Putina od władzy!*)

Jedynie w sporadycznych sytuacjach, gdy nie miał innego wyjścia, Alex stosował w praktyce życia karnawałową sztukę z przedstawianiem perspektywy spojrzenia na rzeczywistość - ubarwienie jej tła. Ho, ho, i to jak! Stosował zwłaszcza wtedy, kiedy szepty,

które miał w głowie, stawały się nie do zniesienia. Wówczas starał się wyobrazić sobie na przykład: wróble z ćwierkaniem harcujące wśród krzewów, do wtóru z cykaniem świerszczy w trawie na tle odległego szumu przelatującego samolotu, potem mógł pojawić się czyjś głos wzywający Rosemary - jego ofiarę - aby natychmiast wracała do domu, a także warkot kosiarki do trawy i motocykl z uszkodzonym tłumikiem przyspieszający na pobliskiej ulicy. Właśnie miał zamiar coś takiego sobie wyobrazić, a potem kliknąć, kiedy pojął, że przez to, jak zacznie przeinaczać Grę, klikając nagle tam, gdzie od dawna bał się kliknąć: „A co słyhać w Pekinie...?”, sam na siebie zastawi pułapkę. Aczkolwiek starzy, rosyjscy szachiści powiadają, że: „każdy choć raz musi wpaść we własną pułapkę”. Wyobraził więc sobie, że teraz klika inny Gracz.

KLIK...

ETAP 0302

Jurij Kazancew, prezes Swierdłowskiego Kombinat Naftowo-Gazowego, choć był łysawy i tęgawy na jowialnie ruską modłę, spojrział przenikliwie jak bezduszny rentgen na zarządzającego podległą mu rafinerią „Zorza” dyrektora Wiktora Jakowlewa: czekała go bowiem trudna rozgrywka.

- Wiem, że mogę wam zaufać - zaczął swoją grę przymilnym tonem - prawda?

W obliczu tak brutalnej otwartości chuderlawy, wiotki dyrektor przytaknął skwapliwie:

- Starałem się nigdy was nie zwieść. Nigdy dotąd nie harowałem tak ciężko jak obecnie, gdy nastał czas reform i przemian.

- I dlatego właśnie dostajecie nowe zadanie bojowe, zadanie szczególnie specjalne - wręcz awangardowe, rzec by można - ciągnął dalej prezes, drapiąc się kciukiem we wgłębieniu pod dolną wargą (dla chirurga - badacza ręki - kciuk odbija ego człowieka, jego siłę charakteru, której prezesowi nie brakowało). - Musicie zbankrutować.

Jakowlew otworzył szeroko oczy ze zdumienia - chyba się przesłyszał, potężny kciuk prezesa drapiący pod dolną wargą musiał zniekształcić ostatnie słowo, które wypadło z ust zwierzchnika albo... ktoś podłożył mu świnię i teraz prezes chce się go zręcznie pozbyć.

- Zbankrutować? Czy ja się przesłyszałem? - Zmarszczył brwi, zakłopotany dylematem, przed którym go postawiono. Przyjrzał się prezesowi z hamownym

niedowierzaniem. Wszystkie własne emocje wydały mu się nadnaturalnej wielkości wobec spokojnego, pobłażliwego uśmiešku prezesa; dyrektor stłamsił je więc tak jakby dostosowywał swój łagodny charakter do powiększających szkieł w okularach, przez które spoglądał na prezesa.

- Ależ nie, skądże! Macie dobry słuch. Zwyczajnie zban-kru-to-wać! - podkreślił prezes Kazancew z miną niewiniątka. - Cisną nas teraz z góry w sprawie tej reformy państwa, popieranej tak aktywnie i bezpardonowo przez samego Jelcyna. No wiecie: samowystarczalność, trudny pieniądz, makroekonomia, wolny rynek, prywatyzacja i tak dalej. - Prezes wziął głębszy wdech, gdyż był astmatykiem, co przy jego zbyt pokaźnej, delikatnie mówiąc, tuszy, źle wróżyło, jeśli chodzi o długie Życie. - To znaczy, że jeśli nie zrobimy czegoś spektakularnego, to będziemy stali w miejscu, jakbyśmy nic nie robili. Rozumiecie?

- Znaczą się... Nie za bardzo... przyznam szczerze.

- No, no, no, tylko nie udawajcie głupszego, niż jesteście, że tak dosadnie, lecz nie bez kozery powiem. Po prostu, jeżeli tego nie zrobimy - uśmiechnął się tajemniczo prezes - wywołamy wrażenie, że unikamy wprowadzenia zasad reformy. Jeśli ktoś z naszego zjednoczenia nie zbankrutuje, będziemy na cenzurowanym. Dlatego z całą odpowiedzialnością zlecam bankructwo wam, jako osobie odpowiedzialnej, ponieważ, nie będę ukrywał, jest to sprawa nadzwyczaj delikatna. Od tego zależy cała wasza Przyszłość... a poniekąd i nasza wspólna. Rozumiecie wreszcie?

Zaskoczony ponad normalną miarę w dzisiejszych szalonych czasach, dyrektor omal nie złapał się za głowę, co sugerowałoby zbyt jaskrawy bunt albo załamanie nerwowe, a tego wolał jeszcze nie okazywać wyraźnie.

- Zbankrutować? - powtórzył jednak, żeby się opanować za wszelką cenę. Na samą myśl ścierpła mu skóra. - Taka hańba? - Mimo szczerych chęci nie potrafił spokojnie przejść nad tym do porządku dziennego. - I to przy naszych wysokich wskaźnikach wydobywczych i produkcyjnych, przy naszej sumienności i dyscyplinie finansowej? To przecież niepodobna!

Niestety, prezes był tak nieustępliwy jak ewolucyjny postęp cywilizacji, który widać było za oknem: kłębowisko grubych rur biegnących od jednego wielkiego okrągłego zbiornika do drugiego, trzeciego, dziesiątego... i dalej, tam, gdzie liczne wieże wiertnicze tworzące potęgę Rosji ciągnęły się aż po horyzont.

- Wy tego dokonacie bez większych trudności - rzekł nieco mniej przymilnym głosem, zmieniawszy nagle strategię. - Jesteście człowiekiem wysoce utalentowanym, doskonale wprowadzonym w międzynarodowy rynek i krajowe branże. Tylko wy możecie to zrobić najlepiej, najefektywniej.

- Ale jak mam zmienić nasze osiągnięcia, sukcesy ekonomiczne, zyski na straty? - zaprotestował ostrożniej dyrektor. Wciąż nie mógł się pogodzić z bulwersującą perspektywą. Czy mógł się domyślić, przewidzieć, że w obecnej dobie przemian tak z nimi będzie? Czy inny dyrektor przejrzałby na oczy szybciej niż on? Czy w ostatecznym efekcie straci stanowisko?... Zatrzymał te myśli dla siebie. W każdym razie to tajemnicza sprawa. - Jak uzyskać cofnięcia kredytów? I co potem? Ludzie stracą premię, wysokie zarobki, może nawet pracę? Kto im to wynagrodzi? Mogą wręcz wzniecić zamieszki, zastrajkować. To bez sensu...

- Wszelkie tego rodzaju kłopoty biorę na siebie - obiecał prezes, nie okazując ani konsternacji, ani ochoty, żeby wrócić na ziemię, jak gdyby już był ekscentrycznym milionerem. - Daję wam na to gwarancję. Wszystkie straty, jakie poniesiecie osobiście zostaną wam wynagrodzone. A co do pozostałych pracowników... o tym później dokładniej pomyślimy. Na razie oczekuję od was bankructwa w trybie przyspieszonym. Jasne?

- Masz ci Los... Kiedy ja... - wahał się jeszcze dyrektor. Szybko przerzucił w myślach swój ostatni raport ekonomiczny i natychmiast zauważył wszystkie modne banały i frazy - „płynne zatrudnienie”, „walka konkurencyjna”, „optymalizacja wydajności pracy”, „chirurgiczne cięcia oszczędnościowe”, „plan makroekonomiczny”, „minimalizacja pracy nie przynoszącej wymiernych dochodów”, bla bla bla - i w mig się zorientował, że wpadł we własne sidła.

- Dostaniecie order, specjalną roczną premię, gratyfikację uznaniową - kusił prezes. Na ułamek sekundy jego uwagę rozproszyła myśl o rychłym spotkaniu z prezydentem Jelcynem na dorocznym balu „Liderów Gospodarki”, wywołując uśmiech na jego twarzy, co nie uszło spostrzegawczości dyrektora, który - o złe przeczucie! - nadal się dąsał, wahał, droczył i psioczył w duchu, w przeciwieństwie do prezesa, zachowującego się niczym wcielenie wystudiowanego opanowania, cierpliwości i determinacji. - Nooo... i moją wdzięczność.

- Nooo... - powtórzył Jakowlew z wyraźną rezerwą, udając, że podziwia na wskroś nowoczesny, chromowo-szklany wystrój gabinetu - jeśli wam tak na tym zależy...

- Wiedziałem, że się na was nie zawiodę. Gdyby więcej było takich jak wy, dyrektorze!

Nagle dyrektor wpadł na oczywisty pomysł.

- Właśnie, właśnie... - Aż cmoknął z zachwytu nad swoją pomysłowością. - Są przecież jeszcze inne przedsiębiorstwa w waszej gestii, nieprawdaż, prezesie...? - Zawahał się nad wyborem ofiary Losu. - Czemu nie każecie zbankrutować na przykład... no... eee... Kasetbe'emom?

Pucołowaty prezes energicznie pokręcił głową - obwisłe policzki nieco mu zafalowały - i uśmiechnął się z jowialnie ojcowską wyrozumiałością do tyczkowego dyrektora. Machnięciem ręki dał mu znać, że temu nie powinien się tak dziwować.

- Kasetbeemy nie mogą zbankrutować - powiedział z niemałą ironią, wykorzystując nabytą z latami prezesury zdolność zachowania spokoju w każdej sytuacji. - Są, jak dobrze wiecie, w zbyt fatalnym stanie pod każdym względem. Straty, niegospodarność, liczne protokoły komisji nadzoru wytykające im złe rozeznanie rynku. - Westchnął ciężko na myśl, jak się nauzerął z Komisją do spraw Majątku Narodowego. Chodziło o zrzeczne upozorowanie słabej kondycji firmy, co skłoniłoby pracowników do rezygnacji z pierwszeństwa zakupu własności spółdzielczej, by on mógł wziąć duuużą łapówkę od zainteresowanej kupnem rafinerii „Zorza” korporacji z Zachodu. - Z trudem wybłagałem dla nich dotację z budżetu państwa... Nie, oni nie mogą zbankrutować. Nie wygrzebaliby się po przejściu w prywatne ręce. A wy sobie znakomicie dacie radę! Mam rację?

- Oczywiście!

- Dodam tylko, gwoli szerszego uzasadnienia, że specyficzna rewolucja przemysłowo-kulturalna, która ostatnio nadciągnęła z Zachodu, pod wieloma względami przypomina u nas lawinę. - Kazancew mimowolnie napuszył się, jakby sam był tą lawiną. - Raz rozpoczęte zmiany, suną coraz większym rozpędem, nieodwracalnie i niepowstrzymanie porywając w wir przeobrażeń wszystkie dziedziny Życia ludzkiego. Od momentu startu przekształceń w naszym nowym państwie trwa ciągły przyspieszony rozwój - pierwsze przemiany pociągnęły za sobą następne i tak dalszy rozwój idzie już własnym lawinowym pędem. - Prezes spuścił oczy na blat biurka, jakby z lekka skonsternowany swoją ostateczną wizją.

No bo według Jakowlewa prezes Jurij Kazancew zaczął od niedawna żyć w zupełnie innym świecie niż jego najlepszy dyrektor. Mimo że mówili tym samym językiem, trudno im było pogodzić się co do znaczenia niektórych słów, jakby to zależało od punktu... siedzenia.

Ponadto Jakowlew pomyślał sobie, że prezesowi ostatnio bardzo dobrze się powodzi: kupił nowy, piękny dom, do tego dodał nowego mercedesa klasy S dla siebie, i nowego nissana dla małżonki, syna wysłał na studia do Oxfordu, i tak dalej, ale powstrzymał się dzisiaj od jakiegokolwiek komentarza. Tylko wymownie rzucił okiem na zegarek, by skłonić rozmówcę do szybszego wyłożenia ostatnich kart na stół - wszak prezes nad czymś jeszcze równie ekstraordinaryjnym wyraźnie deliberował w duchu - zarazem uważając pilnie, by swoje karty trzymać blisko przy orderach.

- Mam do was, Jakowlew, coś jeszcze - oznajmił prezes, zapuszczając ultragłębinową sondę w oczy dyrektora. - Rzecz w tym, że oprócz działalności ekonomicznej góra wymaga

ode mnie zrobienia czegoś także na niwie kulturalnej. I z tym również mogłem się zwrócić jedynie do was.

- Miło mi coraz bardziej - wybąkał niepewnie dyrektor, znowu lekko zdeprimowany. Wiedział, co musi teraz nastąpić, przecież cała ta wstępna rozmowa miała na celu skruszenie jego ewentualnych oporów. A więc do rzeczy! - Czy można zapalić? - spytał grzecznie. I dodał w myślach: Pewne rzeczy u nas nigdy się nie zmieniają.

- Ależ naturalnie, że można - uśmiechnął się prezes, chociaż był astmatykiem, a Jakowlew dobrze o tym wiedział. Ale wszystko można ścierpieć, byle osiągnąć cel, pomyślał Kazancew przebiegle. - A może cygarko? - Otworzył i podsunął w stronę dyrektora drewniane pudełko. - Kubańskie!

- Nie, nie. Dziękuję bardzo. Nigdy jeszcze nie paliłem cygara i niech tak pozostanie. Wolę papieroski. - Jakowlew wyciągnął z kieszeni paczkę mentolowych pall malli.

- Amerykańskie? - zauważył lekko zdziwionym głosem prezes.

- No właśnie...

- Cóż to... idziecie z duchem czasów, jak widzę?

Jakowlew bez pośpiechu zapalił papierosa swoją jednorazową zapalniczką i ze stoickim spokojem czekał na gwóźdź programu.

- Staram się, jak mogę.

- Otóż... - westchnął prezes z namaszczeniem - pomyślałem sobie ostatnio, że człowiekowi raz choćby w Życiu, wpadnie do głowy pomysł, który zdaje się, ale to tylko między nami taka mała dygresja, zdaje się być znakomity, świetny, nadzwyczajny. A potem...

- Prezes rozcapierzył palce obu dłoni i nerwowo zaczął uderzać opuszkami palców jednej dłoni o drugą, odejmując sobie, chyba niechcący, uroczystej powagi swojego eksponowanego stanowiska. - Potem musi się kogoś poradzić...

Takie przynajmniej odniósł wrażenie Jakowlew, którego pomarszczona twarz starego wilka morskiego tryskała energią i chęcią czynu pod maską stoickiego spokoju. Bowiem cieszył się, że - bynajmniej nie tylko teraz tak się zręcznie kamuflował - ślepym trafem albo zrządzeniem Losu prezes wybrał właśnie jego do swoich specjalnych poruczeń.

- Poradzić...? - podchwycił delikatnie.

- Powiem wprost, tak będzie najlepiej - podjął dalej prezes z pewnym jednak oporem, który mógł oznaczać wszystko: od chytrego podstępu po niewinną wstrzemięźliwość. - Pomyślałem sobie wczoraj, że tyle jest u nas przeróżnych towarzystw oraz stowarzyszeń i wszystko wskazuje na to, iż wkrótce będzie ich dużo więcej, skoro władza na Kremlu żąda działań kulturalno-oświatowych na miarę nowych czasów. Nie myślę się?

- Nie ma takiej możliwości - przytaknął Jakowlew, już odrobinę znudzony tak długim wstępem. - W pełni popieram wasze stanowisko - dorzucił od siebie zachęającym tonem.

- Aczkolwiek nie ma wśród tych wszystkich społecznych gremiów Stowarzyszenia Ludzi Uczciwych. Nie ma, bo już to, oczywiście, sprawdziłem. Co wy na to?

- Nie ma?

- Nie ma, lecz będzie, dzięki wam, Jakowlew. Rozumiecie, w czym rzecz?

- Wszakże... - dyrektor zamknął i otworzył oczy, próbując nie rozumieć - niezbyt dokładnie.

- Nie szkodzi. Zaraz zrozumiecie. Powiedzcie, dlaczego takiego stowarzyszenia jeszcze nie założono? - Prezes uniósł brew w swoim najlepszym uwodzicielskim stylu.

Jakowlew głęboko zaciągnął się dymem, żeby zyskać czas do namysłu. Słyszał przecież lekki sarkazm w głosie prezesa, który zdawał się być przyćmiony jakimś zmartwieniem czy troską - a nieomylny to znak sprawy beznadziejnej - głosie pełnym niemal rezygnacji ze swego pomysłu. Czekaj na tę jedyną chwilę, pomyślał, może cię spotkać w samym środku rozmowy.

- Pewnie dlatego, że nikt jeszcze nie wpadł na tak genialny pomysł - zauważył błyskotliwie dyrektor, zakładając po cichu, że ten pomysł to w sumie tylko taki żart, kawał lub polityczny blef, by wypróbować jego lojalność. Pogrywa ze mną znaczonymi kartami, bo chce mnie wrobić w coś niebezpiecznego, pomyślał. A muszę mu przytakiwać, bo Życie jest złe, bo wolność to mit.

- Przynajmniej tak możemy założyć - ożywił się prezes, zacierając ręce. - Czyżby ludzie byli aż tak zaaferowani polityką, że nie dostrzegają moralności?

- Możliwe, możliwe - odrzekł szybko dyrektor, kiwnąwszy głową z wyraźną aprobatą. Ślady zawsze prowadzą do punktu wyjścia, upomniał się w duchu. Niemożliwe, żeby on mówił poważnie. - Ale tym bardziej takie stowarzyszenie jest potrzebne!

- I tu się zgadzamy! - ucieszył się całą gębą prezes. - Dlaczego uczciwi ludzie mają być pozbawieni możliwości oparcia się na własnej organizacji, to niesprawiedliwe. Nie przesadzam?

- Ani trochę. To nawet jest niedopuszczalnym zaniedbaniem! - Dyrektor podbił stawkę tym oświadczeniem. Wiedział, że prezes jeszcze mu całkiem nie ufał, jeszcze kluczył i badał jego oddanie. Zatem zmienił wyraz swoich oczu na pełen podziwu.

A prezes akurat się przełamał, może miał już dość tego certowania się z podwładnym, tego odwlekania decyzji w nieskończoność. Posłał dyrektorowi przeciągłe spojrzenie pełne autorytetu władzy.

- Postanowiłem więc niniejszym - oznajmił uroczystym tonem - powierzyć wam specjalną misję założenia takiego stowarzyszenia o zasięgu globalnym: Stowarzyszenia Ludzi Uczciwych. Zgadza się?

- Jaaa?!... - Dyrektor ze zdziwienia nie potrafił wydobyć z siebie innego słowa. Z kłębowiska myśli wyciągnął jedną i zaczął ją ciągnąć na światło dzienne. - Myślałem... myślałem, że to wy prezesie założycie to stowarzyszenie, jako najuczciwszy z nas wszystkich. A ja mógłbym co najwyżej zostać jego pierwszym członkiem.

- Wykluczone! Ja nie mogę - zaproponował prezes z całą powagą. - Nie mogę założyć tego stowarzyszenia mając tak wysoką pozycję społeczną i państwową. Wy także się, niestety, nie nadajecie, ponieważ zwykli obywatele - a na takich nam przecież przede wszystkim zależy - powiedzieliby, że to organizacja ludzi wysoko postawionych. Raczej chodzi mi o to, żebyście znaleźli jakiegoś odpowiedniego zwyczajnego człowieka blisko siebie... ale nie za blisko, żeby nie posądzono was o nepotyzm czy kumoterstwo. Ten przeciętny, szary obywatel - oczywiście uczciwy tak nieskazitelnie jak ja czy wy, dyrektorze - założy to szczytne stowarzyszenie. Kojarzycie już puentę? (Przekaz podprogowy - Rosja przebrana w nowoczesną demokrację!)

- Jak na razie tak... - Dyrektor przez chwilę sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, a jednak siedział tu w fotelu napięty - ten błysk jego agatowych oczu, gdy pomyślał: Niestety, to nie senny koszmar - i uważny, jakby podświadomie wyczuwał, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej, niż się wydawało na początku.

- Cieszę się - sapnął astmatycznie prezes, machaniem ręki rozgarniając dym z papierosa dyrektora. - Zwerbujecie odpowiednią liczbę członków-założycieli, opracujecie w kilku statut i założenia programowe, a tego wybranego przez was człowieka zrobicie przewodniczącym. Jasne i proste jak elementarz. Mam rację?

- Jak najbardziej!

- To wszystko, dyrektorze. Jeszcze dzisiaj wytypujcie tego człowieka i dajcie mi znać, kogo wybraliście. Dobrze?

- Tak jest! - Wysiliwszy się na tak zakamuflowaną drwinę, dyrektor spokojnie zgasił niedopałek papierosa w popielniczce, po czym raźniej wstał z fotela. Miał już na celownika pierwszego kandydata. - Najdalej za godzinę oddzwonię do was w obu tych sprawach, jeśli można.

- Nawet trzeba. - Po tych słowach prezes podniósł się z fotela z wyprostowanym palcem wskazującym w sufit. - Trzeba się zwijać jak w ukropie, bo góra już naciska, jakby się gdzieś paliło.

- Rozumiem i dziękuję za zaufanie. Postaram się nie zawieść, jak zawsze.

- Jestem pewien, że się na was nie zawiodę, bo nie mam lepszego człowieka do takich zadań od was, dyrektorze. - Prezes figlarnie przymrużył lewe oko. - Sowita nagroda was nie ominie. Na pewno.

- W takim razie idę i biorę się ostro do roboty.

- I to mi się u was najbardziej podoba. - W uśmiechu prezesa mieściły się także pochwały, których nie wymienił. - Ta wasza pracowitość, sumienność i determinacja na sukces stały się już u nas waszą legendą. No to do usłyszenia przez telefon.

Dyrektor Jakowlew od razu wezwał do siebie Sergiusza Mytkina - najbardziej wnerwiającego go pracownika, który, niestety, był szwagrem Anatolia Zacharowa, pracownika groźnej SGB w Moskwie, więc nie mógł się go w żaden rozsądny sposób pozbyć... aż do dzisiaj.

- Wzywaliście mnie, dyrektorze - odezwał się od progu Mytkin lekko wystraszone głosem. - Oto jestem niezwłocznie.

- Proszę usiądźcie, Mytkin. Chcę z wami porozmawiać w bardzo poważnej sprawie państwowej - zaczął dość łagodnym tonem dyrektor, według starej metody marchewki i kija - która, jak mniemam, może wywindować was wysoko w górę.

Sergiusz Mytkin, pseudo Kirił, wysoki i przystojny blondyn ze szramą na lewym policzku, usiadł skromnie na krześle przed biurkiem dyrektora. Wydawał się nieszkodliwy jak wszyscy Rosjanie w średnim wieku, którzy do niczego nie doszli, wierząc w socjalistyczny sen, że nie warto się starać, skoro i tak nic dobrego ze starań nie wyjdzie. Ale za tą fasadą głuptaka Jakowlew - stary lis na takie kamuflaże - wyczuwał u Mytkina bezwzględność i spryt likaona.

- Zamieniam się w słuch. - Mytkin nadstawił czujne uszy likaona.

- Wiecie zapewne, że w ciągu minionego miesiąca przeprowadziliśmy w naszym przedsiębiorstwie rozliczne próby i badania przy pomocy najrozmaitszych testów, aparatów, kamer i komputerów - rozpoczął dyrektor jakby w formie i tonie subtelnej reprimendy. Liczył się z oporem, który miał zamiar zmiękczyć właśnie za pomocą tego kija i znów marchewki. Widział, jak w oczach Mytkina zapaliło się czerwone światelko alarmu, jak zaczęły się kręcić, badając minę rozmówcy. Niewątpliwie, to był odpowiedni człowiek do tego zadania.

- Tak było w istocie - odparł Mytkin wyczuwając ową inicjującą myśl przemycaną przez dyrektora między wierszami. Spokojnie, chłopie, powiedział do siebie, jeszcze niczego nie wiesz na pewno, jeszcze niczego ci nie udowodniono, ale może wreszcie się dowiesz, po

co było badane to wszystko.

- W rezultacie tych testów i badań doszliśmy do wniosku - kontynuował z niezachwianym spokojem Jakowlew - że nasi pracownicy marnują znaczną część czasu pracy - oczywiście nie wszyscy - absolutnie nie na pracę. A to jest karygodnym występkiem!

- Rzeczywiście, karygodnym! - zachnął się Mytkin na pokaz, lecz mina mu trochę zrzędła, a ślady po trądziku bardziej poczerwieniały. Poczul, jak w jego głowie rodzą się pytania, podnoszą swe łebki niby robaczki na piasku plaży po to tylko, by zmyła je nadchodząca fala zmian: dyrektor odsłaniał nową drogę Życia Mytkina, który w natchnieniu dorzucił: - I nieodpowiedzialnym!

- Otóż to. Niestety, taka jest nasza stara rzeczywistość - stwierdził oschle dyrektor i wzięwszy głębszy wdech, dodał nieco miększym tonem: - Oto leży przede mną dokładny raport mówiący o tym wprost, jak wy, Mytkin, rozporządacie cennym czasem przeznaczonym na pracę. Chcecie posłuchać?

- Umieram z ciekawości. - Po twarzy Mytkina przeleciało co najmniej siedem zabawnych min. A ostatnią z nich była kamienna mina pokerzysty.

- No więc z czasu, za który wam nieźle płacimy siedem procent urywacie po prostu na spóźnianie się z rozpoczęciem pracy...

- Są gorsi ode mnie, bo należę raczej do punktualnych. - Ponieważ sumienie miał czyste jak łąza, Mytkin odważył się swobodnie założyć nogę na nogę w kolanie, tym samym starając się nadać rozmowie nieco mniej oficjalny charakter. Tyle że noga sama zaczęła mu się dziwnie kiwać, czego nie potrafił do końca opanować.

Widząc to, dyrektor natychmiast postanowił nie zwracać uwagi na przebiegłe zachowanie Mytkina ani nie komentować jego wykrętnych tłumaczeń.

- ...Jedenaście procent przeznaczacie na niepotrzebne rozmowy telefoniczne ze służbowego aparatu...

Mytkin zmarszczył brwi, jakby obliczał coś skomplikowanego w myślach.

- ...szesnaście procent tracie na przygotowywanie i picie kawy, herbaty i innych napojów...

- O, przepraszam, ale wszyscy piją!

- ...natomiast równe dwadzieścia procent spędzacie na towarzyskich pogaduszkach...

- Niemożliwe! Aż tyle?

- ...a aż osiemnaście procent przeznaczacie na notoryczne przebywanie w toalecie...

- Ależ to siła wyższa!

- ...lecz tylko cztery procent poświęcacie na czytanie gazet...

- A pan nie czyta gazet?
- ...Wszystko to razem stanowi siedemdziesiąt sześć procent...
- Zdumiewacie mnie, dyrektorze!
- Czym mianowicie, jeśli można wiedzieć?

Nie ma co się oszukiwać, pomyślał Mytkin, gorzej być nie może, ale spróbuję zrobić, żeby było lepiej. Z pewną bezczelnością w oczach nonszalancko przełożył odwrotnie nogi, mówiąc jednocześnie:

- Otóż zastanawiam się uczciwie, na co poświęcam pozostałe dwadzieścia cztery procent?

Dyrektor przyjął tę jawną kpinę za dobry omen, aczkolwiek nic a nic nie dał znać o tym po sobie.

- No nie, Mytkin, nie żartujcie sobie z bardzo poważnych spraw - udał srogość nie mniejszą niż zwykle przy podobnych spotkaniach z pracownikami takimi jak Mytkin, chociaż wiedział, że drugiego takiego tuza nie było w całym przedsiębiorstwie; wając wszystkie „za”, które przed chwilą wymienił i wszystkie „przeciw”, które wołał zamilczeć, dyrektor całkiem się utwierdził w tym, że Mytkin pasuje mu na przewodniczącego ludzi uczciwych jak ulał - bo grozi wam po prostu wylanie z roboty, że tak mało kolokwialnie się wyrażę.

Dobra nasza! - domyślił się Mytkin na zasadzie odwrócenia kota ogonem. Chce mnie wylać stąd, by gdzieś indziej awansować, licząc na koneksje Anatolija. Chyba że jest w tym jakiś inny haczyk.

- Mało kolok... jak się, dyrektorze, wyraziliście? - zapytał.

- Nieważne. - Dyrektor zacisnął wargi z lekkiej irytacji, że Mytkin udaje durniejszego niż był w istocie. - Zupełnie nieważne, skoro nie wiecie, co znaczy słowo „kolokwialnie”, ale, wreszcie, przejdźmy do meritum sprawy.

- Meritum sprawy?

- ...Chcecie u nas pracować czy nie?

Cóż, zaczął dedukować Mytkin, gdyby dyrektor odegrał tę scenkę, jak to niby super dokładnie obsztorcowuje podwładnego, zanim go awansuje, mniej przekonywająco, nic by się w zasadzie nie stało złego. Jednakże tak kategorycznie postawione pytanie, to już lekka przesada. Haczyk widać nawet bez okularów. (Zrób karierę w Rosji!)

- Chyba chcę, ale...

- Żadne: „ale”, Mytkin! Chcecie i już! Prawda? - W głosie dyrektora pojawiła się wyraźna nuta zniecierpliwienia. Mimo to przybrał kamienną twarz i obojętne oczy bez wyrazu.

Na ten widok Mytkin postanowił dłużej już się nie droczyć, bowiem mógłby później tego żałować.

- Oczywiście, dyrektorze.

- W takim razie mam dla was propozycję nie z tej planety...

Te zwykłe słowa zabrzmiały w ustach przełożonego niesamowicie, jak coś, na co Mytkin czekał niecierpliwie przez całe Życie - puchar podniesiony do ust, wielkie nadzieje, marzenia - należało uśmiechnąć się z godnością.

- ...Założycie Stowarzyszenie Ludzi Uczciwych, które będzie miało zasięg ogólnonarodowy, a kto wie, czy w Przyszłości nie ogólnoswiatowy. Co wy na to?

Szeroki uśmiech na twarzy Mytkina skrzywił się... skurczył... szezeł marnie.

- Że co, proszę? - jęknął rozgoryczony trochę, lecz momentalnie się opanował i wypalił bezczelnie: - Mam założyć jakieś tam stowarzyszenie? A co z awansem?

- Awansem? Czy ja cokolwiek wspominałem o awansie?

- A jak?! Na samym początku mówiliście, dyrektorze, o windowaniu w górę. Nie zaprzeczycie.

Dyrektor doskonale wyczuł podtekst tej pełnej pretensji wypowiedzi podwładnego, więc wziął głęboki wdech, by wydać się odpowiednio skonsternowanym, i odrzekł w miarę spokojnie:

- Powiedziałem to wtedy właśnie w związku z moją propozycją, abyście założyli niezmiernie ważne Stowarzyszenie Ludzi Uczciwych...

- Uczciwych?

- ...Członkowie tego Stowarzyszenia byliby zobowiązani żyć i postępować uczciwie. Podjęlibyście się takiego zadania?

Mytkin otworzył szerzej oczy z zaaferowania pewnym domysłem. Zamarł tak na moment w bezruchu, spojrzenie mu po chwili złagodniało, jakby w krótkim błysku olśnienia wszystko zrozumiał opacznie, a jednak prawidłowo w swej prostolinijnej naturze zwykłego człowieka.

- Co to konkretnie ma znaczyć: Żyć i postępować uczciwie? - zadał podstawowe dla siebie pytanie. - Możecie, dyrektorze, choćby ogólnie zdefiniować?

Niestety, dyrektor zauważył na twarzy Mytkina grymas niedowierzania w szczerą intencję przełożonego. Jakowlew nigdy przedtem nie widział u niego tak czerwonego oblicza.

- Żyć i postępować uczciwie nie jest tak... - zaczął wyjaśniać dyrektor i w połowie zdania zmienił taktykę podejścia Mytkina - to znaczy żyć i postępować zgodnie ze swoim przekonaniem, nie kłamać, nie zwodzić, nie oszukiwać i tak dalej. Rozumiecie taką definicję?

Założywszy, że dyrektor knuje coś nie z tej planety, Mytkin odparł z akademickim zacięciem:

- Otóż... nie! O to właśnie chodzi, że uczciwości nie da się zdefiniować tak ogólnikowo, bo to rodziłby konflikty; jest to równie trudne, jak choćby zdefiniowanie człowieka. Czytaliście... dyrektorze... może Vercorsa „Zwierzęta - nie - zwierzęta”?... Nie czytaliście? Szkoda. A może wpadł wam kiedyś w ręce świetny szkic Bertranda Russella „O szkodliwości ludzi uczciwych”?... Też nie? Szkoda, wielka szkoda. Choć nic straconego, chętnie je wam pożyczę. Tymczasem radzę spokojnie się zastanowić, gdyż pośpiech jest wrogiem zdrowego rozsądku. Albowiem uczciwość, według mnie, to rzecz bardzo, ale to bardzo delikatna, bardzo krucha i bardzo niekonkretna. Nie wyobrażam więc sobie, jak miałby wyglądać statut takiego szczytnego Stowarzyszenia.

Podczas tej oracji dyrektor Jakowlew nagle zobaczył innego Mytkina - człowieka, którym by się stał, gdyby jego losy nie zagnały go do kombinatu naftowego na stanowisko zwykłego referenta do spraw ochrony środowiska. Zrozumiał, że popełnił błąd - nie docenił przeciwnika - i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że nie może popełnić kolejnego. Oczy mu pociemniały, gdy skierował czujny wzrok na podwładnego.

- W Życiu niczego nie można być pewnym na zawsze, Mytkin - oświadczył natarczywym tonem. - Ale walka o słuszną sprawę zawsze dodaje sił. Widzę, że również merytorycznie znakomicie nadajecie się na założyciela i przewodniczącego takiego właśnie Stowarzyszenia, dlatego teraz już możemy porozmawiać także o awansie, jeżeli, oczywiście, zgadzacie się założyć to Stowarzyszenie. Zrozumcie, góra naciska, aby koniecznie ono powstało i to szybko. Co wy na to?

Przez moment Mytkin ledwie dostrzegalnie obnażył swoją prawdziwą naturę marzyciela - uśmiechnął się żałośnie pod wpływem pierwszej odpowiedzi, która mu się nasunęła.

- Myślę, że wielu ludzi będzie chciało mieć legitymację człowieka uczciwego, więc z naborem nie powinno być żadnego problemu - zaznaczył rzeczowo. - Zaraz zadzwonię do Moskwy, do mojego szwagra, Anatolija Zacharowa, żeby on uruchomił tam nasze przedstawicielstwo. Zgadzacie się, dyrektorze, ze mną?

- Naturalnie. Co rodzina, to rodzina.

- Czy wy, dyrektorze, zechcielibyście zostać pierwszym honorowym członkiem naszego Stowarzyszenia?

- Nie! - sprzeciwił się dyrektor nader energicznie. - W żadnym wypadku. Nikt nie może mnie powiązać z tym Stowarzyszeniem, dopóki nie przyjdzie właściwa pora, inaczej

ludzie pomyślą, że narzuciłem wam ten pomysł odgórnie, a to przecież musi być spontaniczna inicjatywa oddolna, w pełni społeczna. Rozumiecie mnie?

- Słuszna uwaga. Tej rozmowy w ogóle nie było. Pełna konspiracja, jakby co. Dobrze mówię?

Teraz wszystko zależy już od pomysłowości i szczęścia Mytkina, skonstatował Jakowlew, a nigdy nie ma się tego za dużo. Bo na świecie żyją wyłącznie obcy sobie ludzie. Są ich miliardy. Absolutnie wszyscy są sobie nawzajem obcy. Czasami wydaje się nam, że znamy innych, zwłaszcza naszych bliskich, lecz gdybyśmy ich naprawdę znali, to na pewno nie byłibyśmy prędzej czy później przez nich zaskakiwani, jak choćby ja pomysłem prezesa.

- Bardzo dobrze mówicie. - Dyrektor nerwowo pociągnął nosem, chciało mu się zapalić papierosa, ale przy podwładnym nie wypadało okazać słabości wobec nałogu. - Najlepiej zacznijcie od poniedziałku, aby nikt nie skojarzył, że nasze dzisiejsze poranne spotkanie mogło mieć z waszym pomysłem założenia Stowarzyszenia Ludzi Uczciwych coś wspólnego. Dobrze?

- Nie widzę przeszkód. A co z awansem?

- Zzz... za mniej więcej miesiąc... - zaczął się głośno zastanawiać dyrektor - kiedy Stowarzyszenie trochę okrzepnie i nabierze właściwego wymiaru, mianuję was moim zastępcą do... spraw kulturalno-oświatowych. Może być?

- Wcale nie byłoby mi przykro - przyznał Mytkin z lekkim niedosytem w tle, czując, że został w pewnym sensie nabrany; wiedział, że w czymś go okłamano i że ni cholery nie może teraz na to poradzić. - Na początek - podkreślił zatem.

- No to możecie już iść - skwitował to dyrektor i nieznacznie machnął dłonią, sygnalizując, że szkoda czasu na dalsze gadanie - by zacząć nie budzące podejrzeń przygotowania.

- Było mi bardzo miło, dyrektorze. - Mytkin spojrzął na zegar ścienny. Była godzina za pięć dziesiąta. Jeśli się szybko uwinę, pomyślał, zdążę zarejestrować Stowarzyszenie jeszcze dzisiaj.

Gdy tylko Mytkin wyszedł, Jakowlew sięgnął po słuchawkę telefonu. Wyciskając numer prezesa Kazancewa, podsumował w duchu cały poranek: Nooo... i tak to się u nas załatwia. (Przekaz podprogowy!)

Jakimże dziwnym trafem trzy razy pod rząd kliknąłem na rosyjski watek Gry? - zastanowił się Alex. Czy to zła, czy dobra passa? Czyżby prowadziła do jednego z tych niesamowitych wrażeń wywołanych Grą, do uczucia, że im bliżej jesteś celu, tym bardziej się od niego oddalasz? Założmy, że Rosjanie maczali w tym palce, bez niczyjej wiedzy włączając

Nikołaja do udziału w Grze, co rodzi pytanie nadrzędne: czy mam teraz łeb nad wodą, czy pod wodą świadomości, co tu jest grane? W odpowiedzi najlepiej byłoby kliknąć w neutralną ikonę, (ale rozumiesz, dlaczego?), zanim trankwilizatory Gry uspokoją mnie, pozbawią polotu i wycucia właściwej chwili, otumanią przekazem, że MEDIA nie mają z tym wszystkim nic wspólnego. (Relacje z Piekla - Rosja i jej współczesne obozy koncentracyjne.)

To Nikołaj klika, nie ja?

KLIK...

ETAP 0201

Podjeżdżając w pobliże budynku, w którym mieszkał George Downs, Morkis zanotował w pamięci, że minęła akurat godzina jedenasta. Dzielnica South Prospect Park była ekskluzywną enklawą, pełną urokliwego spokoju, słońca i zieleni w lecie, wymaganych przez japiszonów takich jak George - utalentowany informatyk-programista. Brooklyn był wciąż wspaniałym i romantycznym miejscem w Nowym Jorku, które miało coraz większe wzięcie wśród nowobogackich yuppies. Zaparkowali nieopodal Grand Army Plaza, który jest wejściem do Prospect Park. Na tym placu stał ogromny łuk upamiętniający tysiące żołnierzy Unii poległych podczas wojny secesyjnej, udekorowany postaciami generałów, szeregowych i byłych niewolników kłębiących się w ogniu walki - apoteoza patriotyzmu.

Życia nie sposób zmieścić w jednym... Życiu, zauważył Alex, dlatego śnimy.

Na szczycie łuku górował gigantyczny brązowy posąg Wiktorii w rydwanie. Postacie pokrywała jaskrawo niebieska patyna, a ich rozognione, płonące śmiercią oczy spoglądały niewidzącym wzrokiem na plac, przez który codziennie mówiące wszystkimi karaibskimi dialektami czarne nianie wiozły białe dzieci na spacer po parku. Dzielnica przyciągała bogate rodziny swymi porządnymi szkołami, sklepami z elektroniką, bankomatami, biurami zajmującymi się handlem nieruchomościami, dobrymi księgarniami, kawiarniami i piekarniami, sprzedającymi rogaliki francuskie i drogą kawę. W letnie weekendy, pod starymi klonami i dębami tworzącymi baldachimy cienia nad ulicami, można tu było spotkać dzieci rysujące kredą na dużych płytach chodnikowych przed obszernymi dziewiętnastowiecznymi kamienicami, podczas gdy ich rodzice w tym czasie wysiadali na balkonach z grubymi niedzielными wydaniem „Timesa”. George’owi dobrze się tu mieszkało nawet w zimie, kiedy wokoło było jakby pusto.

Z walizką w rękę Downs pomaszerował w stronę apartamentowca, gdzie mieszkał. Gdy podchodził chodnikiem wzdłuż parkingu do budynku, spostrzegł, że jego podstarzały sąsiad, ekscentryczny pan Veneranda - **Król Komediantów**: ze swoją nieodłączną czarną fajeczką w rękę i czarnym melonikiem na głowie, przystanął przed drzwiami wejściowymi do ich budynku. Pomacał się po kieszeniach czarnego płaszcza, poszperał w niektórych z nich, potem popatrzył po zamkniętych oknach i kilkakrotnie zagwizdał niezwykle głośno, jakby chciał kogoś zawołać. Jego gwizd zawisł w powietrzu jak zaproszenie na spektakl. No i zaraz jedno z okien na trzecim piętrze otworzyło się i ukazała się w nim głowa niejakiego Jeffa Spraya, przyozdobiona kozią bródką i rozczochraną szpakowatą czupryną.

- Nie ma pan klucza do drzwi, czy co? - krzyknął pragnąc zorientować się w sytuacji.

- Tak jest! - odkrzyknął pan Veneranda nieco piskliwym starczym głosem, jakże pasującym do jego sępiego oblicza, potem ukłonił się, podkręcając fałszywy wąsik i potrząsnął głową, z lekka ją zadarłszy. - Nie mogę znaleźć klucza. A ktoś zdemolował domofon.

- Drzwi wejściowe są zamknięte? - Ten na piętrze wychylił się z okna tak bardzo, jakby chciał naocznie to sprawdzić.

- Zgadł pan! - Z zacięciem godnym swej ekstrawaganckiej postaci pan Veneranda rozłożył ręce. - Są niestety zamknięte.

- To rzucę panu klucz.

- A po co? - zapytał donośnym głosem pan Veneranda, po czym wymruczał pod nosem: - Nie na ciebie gwizdałem, gamoni.

- Aby mógł pan otworzyć drzwi! - Lekka irytacja Jeffa Spraya rozplynęła się w powietrzu niczym fala energii.

Dotarła do George'a Downsa, który przystanął obok swojego niespotykanie kontrowersyjnego sąsiada. Przyglądając mu się ukradkiem, George szukał kluczy po kieszeniach. Przez sekundy wstrzymywał się z powitaniem, nurtowany przez pytanie: czy za obecnymi poczynaniami pana Venerandy kryły się jakieś zadawnione animozje wytworzone w relacjach z Jeffem Sprayem?

- Dzień dobry panu - przywitał uprzejmie pana Venerandę w odpowiedniej chwili, by przewidzieć, co się święci.

- Dzień niedobry - odburknął półgębkiem pan Veneranda.

- Czemu nie, jak tak! - wyskandował w górę. - Jeśli chce pan, żebym otworzył te drzwi, to proszę rzucić mi klucz.

- A czyż nie chce pan wejść do budynku? - Bezsens własnego pytania osłabił Jeffa

Spraya na tyle, że podniósł rękę, by nią machnąć z rezygnacją i zamknąć okno.

Tymczasem George, znalazłszy już swoje klucze, wybierał wśród nich ten potrzebny do otwarcia drzwi. Ale czynił to opieszale, ciekawy, czym ten surrealistyczny dyskurs się skończy.

- Ja? A po cóż miałbym wchodzić do tego budynku? - Pan Veneranda nie krył zdumienia.

Wprawilo to George'a w niemałe zakłopotanie. Na moment zabrakło mu konceptu, jak się zachować, skoro dotarło do nich pytanie rzucone z góry, przepuszczone przez filtr zniecierpliwienia.

- To do czego potrzebny jest panu klucz?

- Jeśli chce pan, abym otworzył te drzwi, to muszę mieć klucz. Czy sądzi pan, że mógłbym otworzyć drzwi fajką?

- Przecież ja wcale nie chcę, żeby otwierał pan te drzwi! - wrzasnął Jeff Spray rozeźlony nie na żarty. - Myślałem, że skoro pan mieszka w tym budynku... słyszałem, jak pan gwizdał.

- Czy wszyscy ludzie, którzy gwizdzą, mieszkają w tym budynku? - spytał nie zmieszany jego złością pan Veneranda. Przeniósł wzrok na George'a, a jemu znowu zabrakło słów potrzebnych do rozładowania sytuacji.

- Gwizdzą ci, którzy tu mieszkają, a nie mają przy sobie klucza - wyjaśnił Spray, hamując się przed rzuceniem obelżywej wiązanki. - A pan gwizdał.

- Bo ja właśnie nie mogę znaleźć tego cholernego klucza!

Nagle ze zgrzytem otworzyło się jedno z okien na pierwszym piętrze.

- Co to za wrzaski?! - ryknął mężczyzna, który się w nim ukazał; George nie znał jego nazwiska, bo całkiem niedawno się tu wprowadził. Wyglądał, jakby dopiero co się przebudził po ciężkiej i upojnej alkoholowej nocy. Szcherzył się wściekle, ukazując garnitur sztucznych, białych jak śnieg zębów, tkwiących pomiędzy skórzastymi rogalikami warg. Jego opalona na brązowo, ogorzała twarz była szczeciniasta, pomarszczona, przecięta blizną, ozdobiona cętkowanym, płaskim nochalem i dwoma małymi, zdumiewająco przekrwionymi, szympansimi oczkami. - Nie dajecie człowiekowi spać!

- Krzyczymy, ponieważ ja stoję przed drzwiami, a pan, z którym rozmawiam, znajduje się aż na trzecim piętrze - odpowiedział pan Veneranda już ze stoickim spokojem i znacznie cichszym głosem. - Gdybyśmy mówili szeptem, to nie moglibyśmy się słyszeć. - Wzruszywszy ramionami, pyknął dymka z fajeczki i rzucił wyżej niż przed chwilą: - Nie powiem, gwizdanie się nawet przydaje, ale...

- Ale czego ludzie właściwie chcecie od siebie? - wszedł mu w słowo facet z pierwszego piętra.

- O to musi się pan spytać tego pana z trzeciego piętra. - Pan Veneranda wyciągnął szyję wskazując w górę. - Ja nie potrafię tego z niego wydobyć. Najpierw chciał mi rzucić klucz, abym mógł otworzyć drzwi wejściowe. Potem oznajmił mi, że skoro gwizdzą, to muszę chcieć wejść do tego budynku. To jakiś obłąd! A przy okazji zapytam, czy pan gwizdzą?

- Jaa?! Nieee! Z choinki się pan urwał z tym pytaniem, czy co? Dlaczego zresztą miałbym gwizdać? - zdziwił się gość z pierwszego piętra i zaświstał, jakby jednak chciał zaraz sprawdzić, czy potrafi gwizdać.

- Ponieważ mieszka pan w tym budynku. Pan z trzeciego piętra stwierdził, że ludzie, którzy mieszkają w tym budynku, gwizdzą. Choć to przypała jak jasny gwint. Lecz mnie w tym przypadku jest w ogóle wszystko jedno. Dla swojej przyjemności może pan też gwizdać, bo ludzie wykańczają się nawzajem za pomocą własnych przyjemności. - Pan Veneranda powrócił do przeszukiwania kieszeni, tym razem również spodni, przekładając fajeczkę z jednej dłoni do drugiej, akuratanie mamrocząc pod nosem: - Szajbusy, że głowa mała. Usilnie starają się zrobić na mnie wrażenie.

Gdyby George mógł pokierować się myślą, którą wywołała w nim ta absurdalna dyskusja, wpadłby dla podtrzymania nastroju na przykład w lekką wesołość... Ale odrobina radości ponoć ostatnio wyszła z mody w Nowym Jorku i na pewno nie była atrakcją w tym bloku za sprawą przemilego pana Venerandy, więc jedynie nerwowo odgarnął grzywkę z czoła i pokazał swój klucz panu Venerandzie.

A ten jak na zawołanie znalazł swój klucz do drzwi wejściowych; grzecznie uklonił się panom z pierwszego i trzeciego piętra, oświadczając głośno:

- Mam już mój klucz! - Po czym otworzył drzwi i wszedł do środka znowu mamrocząc pod nosem: - Można zwariować z takimi sąsiadami...

George z ociąganiem wkroczył za nim do westybulu i pomarudził chwilę przy skrzynce na listy, nie chcąc być wciągniętym w jakąś kolejną durną konwersację z pogranicza nonsensu czy absurdu. Przez sekundę był bliski powiedzenia panu Venerandzie czegoś, czego nie mówił nikomu przez całe Życie. Toteż poczuł się pewniej dopiero wtedy, kiedy zamknął za sobą drzwi do swojego mieszkania. Postawił walizkę na progu sypialni i po zdjęciu płaszcza skierował się do gabinetu, gdzie na masywnym biurku w kształcie litery L stały dwa monitory połączone z komputerami Macintosh zawierającymi dyski o ogromnych pamięciach. A kolorowa drukarka laserowa, skaner, telefax, dwa ośmiośladowe magnetofony podłączone do aparatu modulującego dźwięki, audiokompresor i inne części oprzyrządowania

zajmowały całą resztę pulpitu biurka.

Włączył komputer połączony z monitorem usytuowanym po prawej stronie biurka, który służył mu do badania interesujących go zagadnień za pośrednictwem programów Prodigy i EGNie. Kiedyś zajmował się szukaniem wszelkich sposobów wykrywania nielegalnych wejść do komputerów prywatnych i państwowych, które były chronione finezyjnymi programami zabezpieczającymi. Ale ostatnie dwa i pół roku spędził na tworzeniu MEEEGAPROGRAMU dla Petera Morkisa.

Podczas gdy komputer przechodził procedury wstępne, wśród których był antywirusowy program Nortona, sprawdzający, czy któryś z jego plików nie został zarażony niszczycielskim wirusem podczas ostatniego penetrowania narodowej bazy danych, przyniósł z kuchni puszkę pepsi, wypił niemal połowę, po czym zasiadł w fotelu obrotowym przy biurku. Komputer okazał się niezainfekowany.

Połączył się z komputerem Nowojorskiego Biura Antykorupcyjnego. Wszedł do jego systemu połączeń dobrze zamaskowanym wejściem, które sam w nim zainstalował podczas rutynowej naprawy oprogramowania przeprowadzonej przez firmę, w której był oficjalnie zatrudniony. Używał tego komputera tylko w celu nielegalnego łączenia się za jego pośrednictwem z systemem komputerowym policji w Nowym Jorku. Poprzez komputer policyjny Komendy Głównej przy Police Plaza i dotarł do komputera Nowojorskiego Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych, mieszczącego się na Long Island.

Wpisał nazwisko i imię oraz przybliżony adres osoby, która go interesowała i już po chwili cybernetyczna przestrzeń wypluła na ekran wszystkie dane.

- Bingo! - mruknął tryumfalnie, a jego głos zagrzemiał w pokoju tak głośno jak echo w kanionie. - Nie ma inaczej, moje słonko.

Zgodnie z danymi wyświetlonymi na ekranie, Miao Teng miała prawo jazdy kategorii C, bez ograniczeń, które wygasła za trzy lata. Złożyła podanie i przeszła pisemny test przed rokiem i dwoma miesiącami, na początku grudnia w China Town na Manhattanie.

Na drugie imię miała Ano.

Skończyła dwadzieścia osiem lat. Według powiększonego zdjęcia George ocenił ją na dwadzieścia pięć.

Nie posiadała na koncie żadnych wykroczeń drogowych.

Podpisała akt darowizny swoich organów wewnętrznych, na wypadek gdyby została śmiertelnie ranna i nie można by było jej uratować.

Poza tym jej karta przynosiła niewiele informacji:

PŁEĆ: Ż WŁOSY: CZA OCZY: BR

WZROST: 5-4 stopy WAGA: 100 funtów

Ten formalistyczny opis nie na wiele by się przydał, gdyby na jego podstawie George chciał ją komukolwiek opisać. Nie wystarczał do nakreślenia wizerunku oddającego cechy, które rzeczywiście ją wyróżniały. Ale począwszy od 1992 roku, Nowojorskie Biuro Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych zaczęło - z funduszków federalnych, wyasygnowanych przez rząd na podstawie aktu o zapobieganiu zbrodni i terroryzmowi - gromadzić przekształcone w postać numeryczną fotografie i odciski palców świeżo upieczonych oraz odnawiających prawa jazdy kierowców. W rezultacie, po pewnym czasie wszyscy obywatele dysponujący prawem jazdy mieli się znaleźć w rejestrach zawierających ich zdjęcia i odciski palców, chociaż ogromnej większości z nich nie skazano za popełnienie przestępstwa ani nawet o nie nie oskarżono. Tak rozwijał się **SYSTEM**, zmierzając do „demokratycznego” totalitaryzmu. *(Nigdy więcej wojny!)*

Postanowił wydrukować podobiznę Chinki w powiększeniu 5 na 4 cale.

Patrząc na czarno-białą odbitkę, wysuwającą się ze szczeliny drukarki, nie mógł uwierzyć, że ta subtelnie uśmiechnięta kobieta może się im przydać do czegokolwiek. Ale Morkis z reguły wiedział, co robi, skoro kazał mu zdobyć tę odbitkę. Jednak kiedy zastanawiał się nad głębszymi implikacjami tego wejścia do systemu policyjnego, wstrząsnęła nim łatwość, z jaką to uczynił... więc skrętnie zatarł ślady swojego włamania.

Ogarnięty nagłym niepokojem, który nie wiadomo skąd się wziął, wyłączył komputer i ruszył do wyjścia z gabinetu, niosąc odbitkę w przezroczystej koszulce. Opróżniając pęcherz w łazience był pewny, że ten dzień przejdzie do historii działalności Tajemniczej Spółki jako ostatni akord przygotowań do głównego numeru.

W tym czasie, nieco podminowany knowaniem, Morkis włożył baterię do swojej motoroli, pchany wyczuciem właściwej chwili, ponieważ przez pobliskie skrzyżowanie właśnie przejechał czarny cadillac, karawan z zaciemnionymi szybami. Pewnie przewozi jakąś zmarłą osobę, domyślił się w próbie ekspiacji, po czym skarcił się w duchu: Nie myśl już o tym, chamie zbuntowany, bo przyciągniesz pecha. I zatelefonował na komórkę Grishwolda. Wcale go nie zdumiał poirytowany, jakby pomarszczony głos wiceprezesa Globalu.

- Kto mówi?

- Dobra wróżka.

- Co się z panem dzieje?! - zachnął się Grishwold podnosząc głos z każdym wypowiedzianym słowem. - Znowu nie mogłem się do pana dodzwonić!

- Ale już pan może.

- Dziękuję za pozwolenie! - odciął się zgryźliwie Grishwold, zaraz ściszył głos i spłaszczył jego modulację, jakby zdradzał wielki sekret: - Chciałem panu powiedzieć, że zgadzamy się przelać panu dziesięć milionów na podane konto, ale pod jednym kardynalnym warunkiem.

- Mianowicie jakim? - Morkis już go przewidział. Tak mu się wydawało, kiedy rozglądał się czujnie dookoła: samochody, ciężarówki, autobusy, taksówki, buchające parą metalowe straganowózki z hot dogami, młodzi ludzie, ciężko pracujący w firmach prawniczych, ubezpieczeniowych i bankach inwestycyjnych, starsi mężczyźni zataczający się lekko po paru piwach wypitych w barach i pubach, starsze panie z pieskami na smyczy, dostawca pizzy, matka z dzieckiem i **ślepiec** na tle mijających się w wejściach do wielkich sklepów tłumów; kłębiły się tu setki mieszkańców Brooklynu, którzy wychodzą na ulicę w dni piękne lub dni brzydkie tylko dlatego, że rozpiera ich właściwa wszystkim nowojorczykom energia pędu ku karierze, ku sukcesowi - ku wizerunkowi człowieka gloryfikowanemu przez media. Co per saldo podnosiło na duchu takich jak on obserwatorów ulicy. Zwłaszcza że ten ślepiec wyglądał jak sympatyczny młody człowiek - postać z remake'u *To wspaniałe życie* w realiach z lat dziewięćdziesiątych - a był zupełnie kimś innym.

- Pod warunkiem, że profesor Wicks przyjedzie do naszej siedziby i przedłoży naszym ekspertom do wglądu dokumentację produkcji tej baterii. - Głos Grishwolda znów stawał się ostrzejszy. - Całą dokumentację!

Morkis zbyt dobrze znał się na negocjacjach, żeby nie odróżnić ziarna od plew. I nie byłby sobą, gdyby nie pomyślał, że koniecznie musi strzelić sobie karniaczka z piersiówki, gdy tylko pozytywnie zakończy te negocjacje. Tym bardziej jeśli da ciała.

- To raczej odpada. On może przyjechać do waszej siedziby choćby zaraz, ale dokumentację baterii udostępni dopiero po dokonaniu przez was nie jednego, a dwóch przelewów, o których wspomniałem panu wczoraj. - Morkis ze zdumieniem stwierdził, że jego własny głos zabrzmiał chłodno i zwyczajnie nijako, niwecząc, niestety, wymarzoną cierpkość smaku bourbona, który wyobraźnia już wlała mu w usta.

- Mamy panu zaufać? - Z głosu zawiedzionego Grishwolda nagle znikła cała ostrość chwilowego dominanta.

- Nie mnie, tylko Wicksowi - sprostował szybko Morkis, żeby nie przeciągać struny. - Musi pan oswoić się z tą myślą.

- Hmm...? - westchnął Grishwold z niesmakiem człowieka zdolnego do wszystkiego dla zrobienia kariery i jej obrony. Wiedział, jak wykorzystać swoją siłę perswazji. - Niech tak

będzie. Procedurę przelewów rozpoczniemy niezwłocznie po zjawieniu się profesora u nas.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - Morkis uśmiechnął się do współników, adresując dalsze słowa do nich - bo jak powiadają żołnierze: na wojnie jeden przegrywa, drugi wygrywa, ale najważniejsze jest, żeby obaj ją przeżyli.

- No właśnie. O której możemy się was spodziewać?

- Około południa.

- To jesteśmy umówieni.

Odłączywszy natychmiast baterię od korpusu aparatu, z którego rozmawiał, Morkis zapalił papierosa z ową nonszalancją człowieka łatwo popadającego z jednej skrajności - uzależnienia od telefonu komórkowego - w drugą: palenia papierosów na okrągło. Ale przy tym powtórzył sobie w duchu, że to bardzo dobrze, iż dorobił się już tajnych i korzystnych układów z międzynarodowymi firmami konsultingowymi, korporacjami medialnymi i gigantycznymi spółkami naftowymi, a także z CIA, FBI, NSA - co było złem koniecznym - albowiem uważał, że jeśli przeciwnik ucieka się do podłego podstępu, zwalczyć go trzeba jeszcze podlejszym sposobem.

Donaldson również przypalił sobie papierosa. Patrząc poprzez kłęby dymu w głąb ich historii z perspektywy czasu, który minął od założenia Spółki, zauważył, że Morkis zawsze był taki jakiś supertajemniczy, zupełnie jak w tej chwili. To wrażenie nie opuściłoby go jeszcze długo, gdyby nie wiedział, że ktoś ich obserwuje i że czułe urządzenie podsłuchowe, które zainstalował w tym samochodzie, przekazywało właśnie treść ich rozmowy komuś, kto znajdował się w pobliżu.

- I co teraz? - spytał z niemalym zainteresowaniem, starając się jednak nie okazywać zniecierpliwienia z powodu milczenia Petera.

- Czekamy...

- Jeśli nas złapią z bronią w ręku... - Donaldson wołał nie kończyć tej supozycji ze względu na wymowne chrząknięcie Morkisa. - Tajne służby... - spróbował z innej beczki.

- Jeżeli nas złapią tajne służby, może skończyć się nieciekawie nie tylko dla nas - przejął pałeczkę Morkis, zanim Donaldson zdążył palnąć głupstwo. - Wiesz, jak z nimi jest, gdy wezmą się za kogoś porządnie. Dotrą do wszystkich, których znamy. - Zaciągnąwszy się dymem, obrócił się do Donaldsona i wypuścił cały kłąb na niego, z ironiczną troską dodając: - Pomyśl o tym w wolnej chwili. Nie zaszkodzi ci, gdy się trochę od tego spocisz. - Równie dobrze mógłby zadać Robertowi nagły cios w brzuch, efekt byłby prawie taki sam: twarz adwokata się wydłużyła i pobladła, a w oczach pojawił się strach... Przed zdemaskowaniem, że jest tajnym agentem CIA?

O to właśnie chodziło Morkisowi. Odwrócił się z powrotem przodem do kierownicy, uśmiechając się pod wąsem. Podejrzał - ufając doświadczeniu, z którego wynikało, że większość prawd, jakie usłyszał w Życiu, okazało się później kłamstwami - że gdyby się teraz znów odwrócił i spojrzął na Roberta, na jego twarzy także dostrzegłby uśmiezek, tyle że wielce wymuszony.

Kiedy powrócił George, dało się zauważyć, że się śpieszył. W dużej plastikowej reklamówce Disneylandu przyniósł broń i zdjęcie Chinki; była to być może chwila przełomu - przewartościowania sytuacji, przejścia na wyższy, groźniejszy poziom Gry, „zabawy” z bronią w ręku. Ponieważ George również nie lubił zabawy z bronią, chociaż był tajnym agentem FBI. Z pozoru wydawał się młody, był bystry i elegancki w schludnym ciemnoszarym garniturze od Ermenegilda Zegna i lekkim krótkim płaszczu Burberry z wielbłądziej wełny, lecz nad starannie wyłożonym kołnierzykiem, nad czystą, białą koszulą wspartą purpurowym węzłem krawata, jego zgryźliwie skrzywiona twarz zadawała kłam powierzchownemu wrażeniu zadowolenia.

Kierując wóz w stronę Manhattanu, z ulgą wplatając się w bezpieczny nurt sunących pojazdów, Peter Morkis działał według miniplanu, przewidującego różne warianty dalszej rozgrywki. Czy wszystkie?... Tak się skupił na dopracowywaniu szczegółów, że jadący za nimi czarny van zupełnie nie zwrócił jego uwagi. Za to kątem oka wyłapał, że George położył pod przednią szybą wydrukowane zdjęcie Miao Teng, potem wręczył Robertowi pistolet i dwa zapasowe magazynki. Na ich twarzach wyraźnie rysowała się niepewność.

- Zastanawiam się, dlaczego macie takie menstruacyjne miny? - Postanowił własną nonszalancją podnieść ich na duchu, bo choćby z racji starszeństwa wiekiem powinien czuć się do tego zobligowany. - Przecież broń to dla was nie pierwszozna.

- Jedna rzecz jest ważna, chojraku. - George pokręcił głową z jaskrawą dezaprobatą nonszalancji Petera. - Obaj z Robertem czujemy, że jakiś niebezpieczny człowiek stanął na naszej wspólnej drodze, a ty nic nam o nim nie mówisz. To rokuje poważne kłopoty.

- Kłopoty? - zaszydził Morkis. - Kłopoty to nasza specjalność! My się kłopotów nie boimy! My...

- Sranie gadanie - warknął George, jakby ten zbytni przejaw połączenia indolencji ze straceńczą brawurą pleciugi był dla niego obrazą. - Krew mnie zalewa, kiedy je słyszę. Stać cię tylko na te szydercze gadki? Bo tak naprawdę, to ty się po prostu boisz kłopotów. Boisz się?

Robert Donaldson widział w lusterku wstecznym, jak Petera ogarnia wściekłość - oczy zapłonęły mu groźnie pod zmarszczonymi brwiami. Sam wcale nie myślał tak jak George, w

to pewnie Peter nie wątpił, oceniając jego dyplomatyczne milczenie. Ale celny strzał George'a mógł zupełnie zaszokować Petera - przywódcę.

- Boję się?! - roześmiał się wciąż szyderczo Morkis. - Tak jest! Wprost skręca mnie z przerażenia! Wczoraj wieczorem na ulicy myślałem, żeby wycofać się z interesu, bo tak się bałem, że Chińczyki mnie dopadną i załatwią na amen. I jak ci się to podoba?

George szeroko otworzył oczy ze zdumienia i niedowierzania, po czym obróciwszy się w lewo, przeniósł to pytające spojrzenie na Roberta. Na moment zamarł wyczekując jego reakcji - Robert jedynie dosadnie wzruszył ramionami - i po tej chwili porozumienia, spojrzenie George'a wyraźnie złagodniało, jakby w tajnym porozumieniu się z Robertem wszystko zrozumiał inaczej niż Robert.

- Peter... - zaczął z lekkim westchnieniem, wracając do poprzedniej pozycji, i z serdecznym wyczuciem trącił pięścią w ramię Morkisa - przepraszam. Nie chciałem...

Zamilkli.

POSTĘP. W imię Postępu wszystko, co złe uchodzi płazem, tego Morkis był teraz pewny. Łączyła ich silna więź negatywnej energii popychającej ku ryzykownym działaniom, które zawierały nieodzowny element specyficznego szaleństwa - ekstazy „pogoni za wielką forszą”. Jeśli znało się sprawdzone metody jej zdobywania, działało to na ryzykantów jak supernarkotyk. Wiedzieli też, że przestępcami nie będą długo, że kiedy zdobędą upragnioną fortunę albo wpadną, Gra się skończy. Ale na razie, czuli, że meta jest już blisko. Czasami bywa tak, że człowiek się zapętla w pogoni za mirażem i wbiega do czegoś w rodzaju labiryntu pełnego dziwnych myśli, w którym nie ma miejsca na realia, słyszy się tylko to, co w środku jaźni drga i napędza. To nie jest zdrowe dla umysłu, dlatego więzienia są przepełnione, a przecież nie wszystkich przestępców spotkała zasłużona kara.

Przez cały czas jazdy ruchliwymi ulicami - ten paranoiczny koloryt kłębiącego się mrowiska nie pozostawiał złudzeń, że wszędzie tam także toczy się Gra - Morkis rzucał współnikom drwiące spojrzenia, mimo że w oczach majaczył mu niepokój. Jak długo jeszcze wszyscy oni będą wobec niego lojalni?. Może właśnie teraz nadszedł czas i któryś z nich doszedł do wniosku, że powinien użyć własnego rozumu. George wciąż wyglądał na nieco rozdrażnionego i to on zapewne będzie najsłabszym ogniwem. Robert również zdawał się być lekko zdenerwowany, lecz Peter znał ten typ człowieka - pójdzie na całość, a w razie niekorzystnej dla niego wpadki na pewno strzeli sobie w łeb. On sam był przekonany, że wszystko, co robi jest słuszne, bo prowadzi do niewiarygodnie wzniosłego celu, i on nie cofnie się na tej drodze ani o krok.

Z drugiej strony, może jednak chodziło tu o coś wręcz przeciwnego? Może to

wszystko, co się działo, było jakąś przebiegłą ściemą Losu? Bo jeżeli jego zamierzenia były realne - jak cuda na kiju? - to Życie ich wszystkich znajdowało się w wielkim niebezpieczeństwie, prawdziwym niebezpieczeństwie ze strony służb specjalnych, skoro zwerbował tych dwóch agentów. Skubana rasa z tymi podejrzeniami!

Kiedy dźwięknął antypodsluchowy mobile, który spoczywał w korytku obok dźwigni zmiany biegów, Morkis starannie zgasił papierosa w samochodowej popielniczce, po czym odmieniony kolejnym przyziemnym - absurdalnie ludzkim? - podejrzeniem, założył słuchaweczkę zestawu głośnomówiącego na ucho, ułożył mikrofon przy szczęce i włączył odbiór połączenia. Po identyfikacyjnej wymianie „chińskich grzeczności” padło pytanie:

- Jak mamy zapłacić panu te dziesięć milionów? - Intonacja tego pytania świadczyła o tym, że właściciel głosu wysławia z niemałym oporem ze strony własnego superego.

- Zwyczaajnie - odpowiedział Morkis, nie zaniedbując nadać swojemu bełkotowi właściwej do tej pozytywnej sytuacji życzliwości niegroźnego pijaczka, za którego chciał w tym momencie uchodzić. - I po co były te wszystkie podchody, psze pana, ta groźba, ten dramat? Zwyczaajnie podam paaanu numer mojego konta na Kajmanach, a wyyy w ciągu pół godziny dokonacie przelewu. Potem zatelefonuję do tego baaanku, sprawdzę stan rachunku i poproszę o przesłanie jego potwierdzenia na piiiśmie, faaaksem. - To, że wykazał się „trzeźwym” przygotowaniem na taki przypadek, wcale go nie martwiło, skoro jego przewidywania zaczęły się wreszcie spełniać.

- Szybki pan jest.

- Czaaas to pieniądz. Tak piszą w komiksach.

- W takim razie proszę podać nazwę tego banku i numer konta. - Najwyraźniej Chińczyk nie był zachwycony tym, co robił, ale musiał należeć do tych nielicznych ludzi, którzy potrafią we wszystkim dostrzec swoją naturalną korzyść.

Przez krótką chwilę Morkis penetrował zasoby pamięci. Pomimo tak wielu rozmów prowadzonych codziennie przez telefon komórkowy, ciągle jeszcze nie mógł uznać, że osiągnął ową specyficzną bliskość rozmówcy, którą dawała rozmowa prowadzona przez telefony stacjonarne. Owo złudzenie behawioryzmu.

- Bank Barclays na Kaaajmanie Wielkim. Numer rachunku... Powtórzyć?

- Nie potrzeba. Zapisałem. Odczytam dla sprawdzenia. - Chińczyk przeczytał głośno i wyraźnie.

- Zgaaadza się - potwierdził Morkis z tym rzadkim zadowoleniem z tego, że ważne sprawy idą w pożądanym kierunku, więc może wszystko jednak się dobrze ułoży. - Musicie zdążyć do za dwadzieścia dwunasta.

- Zdążymy.

- Nie wątpię. Tylko prześlijcie tę forszę przez Bahamy, żeby nie było z nią problemów podatkowych, okej?

- Nie... musi pan nas pouczać w tej materii. My zaufamy panu, a pan potem powinien przyjechać z profesorem Wicksem do Brentwood na Long Island, ulica Lincoln numer 246. Znajduje się tam firma KO-MO... - Pan Komo musiał chyba podrapać się po policzku, gdy podawał nazwę firmy, ponieważ głos dziwnie mu zawibrował. - Trafi pan?

Morkis z rozmysłem prowadził rozmowę całkowicie otwartym tekstem, próbując rozwiać nieufność współników, jako że tamto podejrzenie rozwijało się w jego głowie, niczym wywoływana właśnie fotografia, na którą patrzy się chcąc nie chcąc. Myśl, że ktoś porusza nimi jak pionkami na szachownicy Życia - myśl, która w innych okolicznościach doprowadziłaby go do szału - na razie wcale nim nie wstrząsnęła... jedynie transparentnie go ostrzegła.

- Kupię mapę i trafię bez pudła - odpowiedział tak spokojnie, jak tylko mógł, czyli z wystarczającą nonszalancją, by się nie zdradzić, że coś brzydkiego podejrzewa - ale dopiero po otrzymaniu potwierdzenia, że pieniądze są na moim koncie. - Obawiał się także, że choć telefonia komórkowa wciąż działała bez zarzutu... pozwalała namierzyć rozmówcę, czego nie przewidywał jego wspólny i tajny plan z panem Komo.

- To oczywiste.

- W takim razie do zobaczenia.

Nie tracąc czasu na wyjaśnianie sytuacji George'owi i Robertowi, Morkis połączył się z detektywem Maxem Plattem, chociaż ten wariant Gry mniej mu odpowiadał. Trochę się obawiał, że przedobrzył, ale wyciągał Alina Mearnsa z rąk wroga, więc współnicy powinni docenić ten manewr.

- Czy możemy swobodnie rozmawiać? - zagaił ostrożnie, przewidując, że Max znowu mógł przebywać blisko profesora Wicksa.

- Proszę... momencik poczekać... - Pewnie z powodu towarzystwa profesora Wicksa, domyślił się Morkis. Ale czy aby na pewno? - Już możemy rozmawiać.

- Ruszajcie zaraz w kierunku siedziby Globalu - nakazał stanowczo Morkis, niepewny jednak, czy zbyt stanowczy ton jego głosu nie zraził do niego Maksa, czy raczej wzbudził w nim większe zaufanie do szefa Spółki. - Spotkamy się na najniższej kondygnacji tego podziemnego parkingu w pobliżu ich biurowca, o dwunastej.

- Dobrze, że nie jutro. - Max powiedział to lekko, żartem niemal, mimo to Morkis wyczuł, że tamten jest spięty, przygnębiony i zniecierpliwiony albo sam się tak czuł, tylko nie

chciał się do tego przyznać. - Zabieram Ritę z nami dla uspokojenia Wicksa.

- Znakomity pomysł. Jakim samochodem przyjedziecie?

- Żeby zrobić na współnikach wrażenie słuchania samych dobrych wieści, Morkis w końcu się do nich szeroko uśmiechnął, chociaż znowu zobaczył ślepcę, drepczącego przez przejście dla pieszych.

- Czarnym mercedesem klasy „S”, z przyciemnianymi szybami.

- Okej. Gdy się spotkamy, będziemy musieli dyskretnie związać i zakneblować profesorka, a potem upchać go w bagażniku. - Morkis spodziewał się, że Max wreszcie zacznie go wypytywać o szczegóły dalszego planu działania i był na to przygotowany.

- Zrozumiałem. - Detektyw jednak nie miał ochoty wypytywać o cokolwiek z powodu czystej awersji do Morkisowskiego mędrkowania, które by tym sposobem wywołał.

- No to ruszajcie już - ponaglił go Morkis, po czym rozłączył się. I tak oto szef Spółki konsolidował ich metafizyczne przeznaczenie przy pomocy ulubionego narzędzia - telefonu komórkowego. I nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie jeden drobiazg: przemieszczanie antypodsluchowych telefonów mobile można było triangulacyjnie śledzić, jeśli znało się ich numery, na przykład numer Alina Mearnsa na początek. Na dodatek trafiła Morkisa jeszcze jedna kwestia: rychłe spotkanie z łącznikiem rosyjskiej mafii.

Jadąc dalej przez Manhattan, Morkis cały czas rozglądał się za typowym kioskiem z gazetami, by kupić mapę. Tymczasem pogoda się zmieniła: wiatr ustał, temperatura i ciśnienie spadły, niebo całkiem zszarzało, zawisło nisko nad drapaczami chmur, grożąc śnieżycą, jakby chciało stworzyć odpowiednio klaustrofobiczną scenerię do tego, ku czemu wszystko zmierzało.

- Słyszeliście? - zagadnął Morkis swoich pasażerów, gdy uświadomił sobie, że coś podejrzanie długo milczą.

- Oj, słyszeliśmy, słyszeliśmy - odparł Robert, ściągając usta, żeby w obecności George'a mimowolnie przymilnie się nie uśmiechać. - Ale o czymś powinieneś nam chyba dopowiedzieć, nie?

- Owszem. Chodzi o Alina... - zaczął im wyjaśniać Morkis. Mówił zwyczajnie, lecz biorąc pod uwagę ton jego głosu i kontekst tych wyjaśnień, można było je odczytać inaczej, niż się domyślali, i tak właśnie mieli je odczytać. Wszakże nie można bezkarnie wkręcać kogoś, kto sam wkręca innych ludzi, a przy okazji jest inteligentny i rzutki w działaniu. Gdyby byli sprytni, nic więcej nie musieli wiedzieć o Grze Petera Morkisa, a gdyby chcieli dowiedzieć się więcej, mogli zapytać później, kiedy rozwój wypadków ich do tego przymusi. Oczywiście istniał też inny wymiar części problemu - mianowicie inwencja pana Komo.

Gdyby wziąć pod uwagę najgorsze, Morkis wolał ich nie straszyć na zapas, bo ich reakcja mogłaby być zupełnie inna, niż chciał osiągnąć według planu pana Komo.

Jak się można było spodziewać, Morkis zatrzymał czarnego mustanga przy kiosku z prasą, akurat kiedy skończył wyjaśnianie. Wsiadł z wozu, bo chciał osobiście jeszcze coś kupić. A gdy poprosił o plan miasta Brentwood, oczywiście nieprzypadkowo, a intuicyjnie, zwrócił uwagę na leżące na ladzie gazety. Na pierwszej stronie „New York Timesa” spostrzegł zdjęcie profesora Gordona Wicksa i przeznaczenie wessało go jak czarna dziura. Przejrzał pospiesznie pozostałe dzienniki i znalazł jeszcze dwa pisma z fotografią profesora na pierwszej stronie. Nabył po jednym egzemplarzu tych trzech gazet oraz kartę maksymalnie doładowującą konto w jego mobile’u na kartę przedpłaty. Pod każdą fotką poszukiwanego profesora można było odczytać numer telefonu komórkowego Grishwolda i ofertę nagrody w wysokości stu tysięcy dolarów za skuteczną pomoc w odnalezieniu profesora.

- Patrzcie no, Global znowu zamieścił w gazetach zdjęcie profesorka z kuszącą nagrodą - oznajmił współnikom, wsiadając do wozu. - TENACO robi teraz ostrą zadymę.

- O kuchnia! To kiepska nowina. - George pierwszy wyciągnął rękę. - Pokaż. - Wziął od Morkisa egzemplarz „Timesa”, a Robert „Posta”.

Morkis przypomniał sobie o Tomie McCoyu, chcąc zabezpieczyć sobie tyły poprzez obecność gliny w odwodzie.

- Nie przesadzając, bardziej martwię się tym, że Tom się nie odzywa. - Zapalił kolejnego pall malla, żeby opanować ów niepokój.

- Znowu się zamartwiasz, Peter? - George zauważył jednak, że od tamtej chwili konfrontacji słownej Peter, jakby się odmienił - przestał kreować się na kogoś ważniejszego, niż był w istocie, jak gdyby zrozumiał, że nikt (z nich) nie cierpi być wkręcany. Trzepnął pierwszą stronę „Timesa” wierzchem palców i dorzucił: - Ta fotka w powiązaniu ze złym przecuciem wytrąciła cię z równowagi? Tylko nie strugaj nam tu wariata i nie poddawaj się presji czarnowidztwa. - No nie, George nie wypowiedział tego ostatniego zdania. A w każdym razie nie na głos. Jedyne zerknął na Roberta, jakby był przekonany, że ten czyta w jego myślach z wyrazu twarzy.

- Nie powiem, że nie wytrąciła, ale chciałbym mieć to już z głowy - odrzekł Morkis. Słowa George’a nie przyniosły mu pocieszenia, chociaż był pewny jednego: że jeśli tylko nadarzy się odpowiednia okazja, pozbędzie się ich obu.

Robert Donaldson mrugnął do George’a Downsa i przypalił swojego mentolowego dunhilla. Mogli pozwolić sobie na krótki postój, gdyż byli już blisko celu, zaparkowali na ulicy Delancey, nieopodal Lower East Side Tenement Museum. Morkis całkowicie opuścił

szybę po swojej stronie samochodu, aby dym z papierosów wywiewało z wnętrza wozu. George, zajęty przeglądaniem „Timesa”, po swojej stronie zadowolili się zaledwie szczeliną w górnej części okna. Ramy ich rzeczywistości czy raczej jej oprawa była tylko taka, jakiej wymagała Gra - wytrych do wyobraźni, gdzie niczego nie wolno brać za dobrą monetę, wiedząc, że tu wystarczy zadać jedno pytanie za dużo, otworzyć drzwi, zamiast je solidnie zamknąć, wetknąć nos w nie swoje sprawy i już wacha się kwiatki od spodu.

Czekając na telefon od Toma, który mógł zmienić dalszy ciąg zdarzeń, zauważyli z pewnym rozczarowaniem, że zaczął prószyć drobny śnieżek, nie napawając optymizmem, jaki wywołuje słoneczny dzień. Trzeba było wypatrywać jakiegoś innego pozytywnego znaku, by przezwyciężyć niepokój przed akcją.

Na chwilę rozmowę ściał mróz milczenia. W powietrzu na zewnątrz krążyły coraz większe płatki gęstego śniegu - pędziły szaleńczo, drżały, wirowały, kręciły się i nurkowały w dół, by w końcu opaść na szyby samochodu - mikrocień, jakie rzucały, przechodziły na przemian w biel i czerń. Morkis doszedł do wniosku, że nie zawadzi porozmawiać chwilę o pogodzie. Nie mówić byle czego, a powiedzieć, jak naprawdę się czuje w takie dni, kiedy niebo przypomina śnieżny ocean. To przecież surrealistycznie niesamowite zjawisko, że zmrożona woda wisi po prostu tam, w górze, i jest jej tak dużo, że mogłaby pogrzebać całe to wielkie miasto pod tonami białego, sproszkowanego lodu, który teraz wysoko, jakże wysoko szybuje niby chmurka.

- Istny cud, że właśnie teraz zaczęło śnieżyć - zaczarował pogodę jako dobry znak na Przyszłość.

- Aha. - George nadal przeglądał „Timesa”: ...uduszona modelka, niemowlę wyrzucone z dziesiątego piętra, dziecko zamordowane w metrze, manifestacja komunistów, naziści i rasiści narozrabiali, pożar domu starców, katastrofa lotnicza, narządy na sprzedaż - przerzucal strony coraz bardziej zniesmaczony - baseballiści na spidach, chorzy na AIDS, korek w tunelu, bezdomni w Greenwich Village, jakiś maniak z nożem, pedały na ulicach Bronksu, zastępcze matki, premiera kolejnej mydlanej opery, nastolatki włamały się do zoo, gdzie torturowały i spaliły żywcem kucyka, jeszcze raz naziści... - a dowcip polega na tym, skonstatował w duchu, że najlepsze jest to, że wszystko to dzieje się w jednym mieście, tutaj, nie gdzieś indziej, co za syf, hej, zobaczymy dalej - ...znowu korek, sprzedawcy niemowląt, pedofile, ceny dzieci na czarnym rynku, dzieciaki z HIV, dzieci narkomani, budynek zawala się na dzieci, napad na bankiera, zawalił się most, zniknięcie mafiosa... - przerwał czytanie, głęboko odetchnął i spojrzal na przeciwległą stronę ulicy, gdzie dostrzegł kolejnego bezdomnego żebraka, trzymającego w ręku karton z napisem: STRACIŁEM PRACĘ

JESTEM GŁODNY NIE MAM PIENIĘDZY PROSZĘ POMÓŻCIE MI. Wyciągał rękę ze styropianowym kubkiem w kierunku każdego przechodnia.

- To już dwudziesty drugi obdartus, jakiego dzisiaj widzę - obwieścił z irytacją, zakładając palcem stronę w gazecie. - Liczyłem, żeby się przekonać, czy jest aż tak źle jak piszą w gazetach. - A potem odwrócił wzrok w przeciwną stronę. Jego oczy - jakby sterowane radarem - podążyły ku czerwonemu lamborghini diablo, zaparkowanemu przy krawężniku. Samochód lśnił na tle szarego chodnika jak symbol gwałtu na nieletniej zazdrości biedaków. George musiał zamknąć oczy, bo poczuł niespodziewanego, porażającego superkopa refleksji, pod przymkniętymi powiekami wszystko zaczęło gdzieś znikać: żebrzący włóczęga, banda zdziczałych czarnych dzieciaków rapujących w rytm dudniącej z wielkiego radiomagnetofonu muzyki, chmura gołębi kołujących wysoko w poszukiwaniu miejsca do żerowania, ambulans pędzący na sygnale, trąbiące taksówki, porządnie wyglądająca dziewczyna w wełnianym kostiumie od Prady. Obraz pod powiekami rozpląwał się jak w zwolnionym filmie, potem ujrzał słońce chowające się za horyzontem, nad miastem zapadały ciemności i jedyną rzeczą, jaką widział wyraźnie, był czerwony lamborghini diablo, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był jego własny spokojny, równy oddech badmana... A na saharyjskim pustkowiu jego podświadomości upał wznosił się gorącą, bezwietrzną falą, w której tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci grupami wędrowało w spiekocie, szukając jakiegokolwiek pożywienia, wody i litości ze strony tubylców. Chorzy i wiecznie głodni zostawiali za sobą ślad znaczonej często własną śmiercią; wynędzniałe zwłoki obgryzali nieodstępni padlinożercy. Czarnoskóre szkielety żywiły się korzonkami, listkami i wyschniętą trawą, chwiejnym, zmęczonym krokiem wędrując od wioski do wioski, umierając powoli z wyczerpania, a śmierć była nieubłagana: „Coraz mniej nas - słyszać było dookoła - coraz więcej **ICH**”. W szarym zmroku wieczoru na bezlitosnej pustyni wyrzutów sumienia George’a Downsa, autora MEEGAPROGRAMU, który miał służyć do kontroli przyszłych internautów, w kurzu wzbijanym przez wietrzyk nadziei, że to wszystko jednak ma sens, na piasku leżał chłopczyk z twarzą jak czarny, kościsty półksiężyc, z szyją pokrytą ropiejącymi bliznami, które obsiadły wszędobylskie muchy. Myśli kotłowały mu się w głowie: „Dokąd iść? Nie mam dokąd pójść. Smutno mi”. Kiedy nad nim wzniosły się tumany pyłu, wirując nad ciałkiem niczym miniaturowe trąby powietrzne, nie widać już było nieba, piasek zakrywał chłopca, był już prawie martwy, a jego powieki nie były w stanie odsłonić otwieranych ostatnim wysiłkiem oczu. Chłopczyk czuł jednak ulgę i cień wdzięczności, że nikt z przechodzących obok nędzarzy nie zwracał na niego uwagi. **(Na imię nie miał George, mimo to istniał w podświadomym świecie równoległym George’a Downsa.)** Otepiały bólem umierania otwierał i zamykał splekane,

wyschnięte usta, z których nie wydobywał się już żaden dźwięk. Wiedział, że w końcu nadszedł czas, by nigdy więcej nie obudzić się w ciemnościach. Och, och, och. Był przygnębiony, ale pewny, że się nie spóźnił nawet jedną jedyną sekundę, skoro wszystkie pozostałe dni Życia przepadną na zawsze w szponach **Łowcy Dusz**. I nie miał pojęcia, że gdzieś bardzo daleko stąd kłębił się inny świat, świat opanowany przez MEDIA, a równie nieludzki jak ten dookoła. Nagle, nieco wyżej, w przestrzeni wiary w cuda, dokąd unosiła się jego dusza, otworzyły się niebiosa i usłyszał głos: „Witaj u nas...”

Nowy Jork, zwany Wielkim Jabłkiem, miał palący problem z bezdomnymi. Począwszy od późnych lat siedemdziesiątych, kiedy to większość psychicznie chorych została wypuszczona z sanatoriów w imię wolności obywatelskich, współczucia i cięć budżetowych, liczba powłóczących nogami, znarkotyzowanych, psychopatycznych mieszkańców ulic stopniowo wzrastała. Włóczyli się po miastach Ameryki, zaniedbani, stanowiąc armię żywych trupów. Ale Morkis nie zważał na to tak alergicznie, jak George, bo ta barwa rzeczywistości świata była tylko niezbyt istotnym szczegółem Gry o wszystko.

Minąwszy ich samochód, po wilgotnym szarym trotuarze szła dziewczeczka z czarnopłowym, kudłatym pieskiem na smyczy. Drobiąc małymi kroczkami, dziwnie stawiała stopy, jej chód przywodził na myśl pingwina, mimo iż w jej ruchach było wiele gracji. Jej głowę zdobiła wełniana zielona czapeczka, zrobiona na drutach, spod której wystawały rude warkoczyki. Do tego szeroki brązowy szal owijał jej szyję, a za duża, zimowa kurtka czerwonego koloru czyniła ją dobrze widoczną na tle szarawej ulicy. Naprzeciw niej zawadiacko gibali się dwaj biali młodzieńcy w czarnych kapturach na głowach i nisko opuszczonych spodniach o szerokich nogawkach.

- Siemka, mała. Dokąd się turlasz? Czy nie do sklepiku? - zagaił szyderczo niższy z nich, stając w rozkroku tuż przed swoją ofiarą.

Dziewczynka przystanąła, milcząc zapewne ze strachu. Piesek najpierw wrywał się do przodu po popękanych płytach nierównego chodnika, napinając smycz, a potem cofnął się do nóg swojej opiekunki. Zamerdał krótkim włochatym ogonkiem i wstrząsnął się, strzepując z siebie setki kropelek rozpuszczonego śniegu.

- No... co jest, dziecinko, ogłuchłaś? Masz parę dolców na zakupy, czy nie? Gadaj, zanim mnie poniesie! - Łobuz ciągnął ową zaczepkę z charakterystyczną cechą osobowości zdeformowanej nadmierną wrażliwością na własną ułomność moralną. - No, pokaż kieszenie, a nic ci więcej nie zrobię!

Dziewczeczka dała dwa kroczki w bok, by ominąć zawalidrogę.

- Hola, hola! Dokąd to? Nie masz języka? Pokaż no kieszenie. - Chłopak zaczął

przeszukiwać kieszonki jej kurtki, a ona rozpisywała się w głos.

George Downs, po którego stronie rozgrywała się ta scenka, wyskoczył z samochodu na mokry trotuar.

- Ejże! Gnojki! Zostawcie ją! - krzyknął donośnie, zmierzając pospiesznie w ich kierunku.

- Spierdalaj, złamasie, bo cię poharatam! - Swoją groźbę wyższy z chłopców wzmocnił błyskawicznym wydobyciem z kieszeni sprężynowego noża, którego ostrze wyskoczyło na świat z ostrzegawczym szczękiem.

- Mówisz do mnie? Do mnie? Ty nygusie, pomyliłeś się tym razem. - George wydobył z wewnętrznej kieszeni granatowej kurtki pistolet H&K, odbezpieczył go i przeładował. - I co teraz? Chcesz kulkę w kolano? - Wymierzył sugestywnie w nogi nożownika.

Na ten widok obaj młodociani przestępcy rzucili się do ucieczki. George schował zabezpieczoną broń w kieszeni, dziwiąc się, że dziewczynka przestała piszczeć po to, by się rozpłakać.

- Nie płacz, dziecko... - George zaczął ją uspokajać, zginając się w przysiadzie. - Oni już cię nie skrzywdzą. Dlaczego płaczesz?

- Bo... bo on za-abrał mi mo-oje pięć dolarów od mamusi - wykrztusiła poprzez łzy rozżalona dziewczuszka.

- To nic strasznego. Masz tu dziesięć dolarów i kup sobie coś fajnego na otarcie łez. - George podźwignął się do pionu, wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel ze skóry gazeli, a z niego dziesięciodolarowy banknot i wręczając jej, dodał: - Proszę, weź. Tylko już nie płacz.

- Dziękuję.

- Daleko jest ten sklep? - zapytał troskliwym tonem, z trudem dobierając słowa porozumienia się z dzieckiem.

- Nie. Tu, blisko.

- Idź więc bez strachu. Będę cię obserwować, żeby nic ci się nie stało. - Poglaskał ją pieśczośliwie po wełnianej czapeczce.

- Do widzenia. - Dziewczynka zgrabnie dygnęła i powędrowała drobnymi kroczkami pingwina, odwracając się dwa razy dla sprawdzenia, czy jej obrońca wciąż ją strzeże; mokry od śniegu piesek dreptał przed nią niczym holownik.

Co niemniej ważne, George powrócił do samochodu dowartościowany jak przybysz z Avalonu, legendarnej wyspy zmarłych celtyckich bohaterów, swoich duchowych przodków, nawiedzających go w takich chwilach jak ta. Wzrok miał rozbiegany - tęskniący za rozumem? - bo na duszy zrobiło mu się lżej, a to było niebezpiecznie przyjemnym uczuciem.

Wszystko to działo się na oczach ślepeca o imieniu Jorge, który stał nieopodal i lustrował otoczenie, informując wspólną ŚWIADOMOŚĆ, jakim świat naprawdę jest. (TWOJE ZAKUPY NAPĘDZAJĄ GOSPODARKE!)

- Ale z ciebie obrońca uciśnionych - złośliwie skomentował całe zajście Morkis. Sądząc po minie George'a, łatwo było odgadnąć, że już zaczynał się czuć raczej zdetonowany niż dumny ze swojego zachowania.

- Ty, spietrany twardzielu - odparował raczej zaczepnie niż ugodowo, by nie wypaść zbyt z roli, która przez tamtą chwilę mu się podobała - lepiej się zamknij!

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, w jaki sposób prześlesz nam z Kajmanów nasze gratyfikacje. - Robert postanowił wystąpić jako rozjemca, który w zanadrzu chowa coś ekstra szokującego.

Morkis potrząsnął głową resetując chęć dosadnego skontrolowania odżywki George'a. Spietrany twardzielu, tak? Ja ci jeszcze pokażę.

- Niech cię o to głowa nie boli - wycedził, wyciszając agresywność z każdym wypowiedzianym słowem. - Do tej pory otrzymywaliście gotóweczkę do rączki zawsze punktualnie według ustalonego terminu. Teraz będzie podobnie. - To, że każdy z nich mógł w ten czy inny sposób wypróbować lojalność Morkisa, pozwalało im zachować pozory przyjaźni w potrzebie (no... może „przyjaźni” to za duże słowo, ale pozory koleżeństwa na pewno), lecz nie powinno to nikogo dziwić, skoro - o dziwo - niektórzy ludzie nawet w dzisiejszych czasach hodują gołębie w wielkim mieście.

- Tylko że... - Robertowi przerwał dzwonek antypodsuchowego mobile'a należącego do Morkisa.

Kiedy Morkis włączał odbiór i poprawiał ułożenie słuchaweczki w uchu, pewna trędownata myśl (podśluch przez komórkę?) przyszła mu do głowy, aczkolwiek nie od razu pomyślał o jej zastosowaniu w niedalekiej Przyszłości, niemniej jednak nastawił się na taką możliwość.

- Studio reklamowe „Gwarancja sukcesu”. Słucham? - zaczął realizację kolejnej pokręconej myśli, której nie potrafił się oprzeć.

- Peter? To ty?

Rozpoznawszy głos Toma McCoya, Morkis zabręczał radośnie jak bąk nad kwiatkiem:

- W samą porę dzwonicz, Tom! Co się z tobą działo, chłopie?

- Inspekcja Wydziału Wewnętrznego. Coś wywęszyli ze starych dziejów, ale na razie nie mają, jak mnie ugryźć - zbagatelizował sprawę niefrasobliwym tonem porucznik.

- To całe szczęście, bo... - bo Los, pomyślał Morkis, mógłby się w końcu do nas uśmiechnąć, choćby z daleka - bo mam dość zmartwień na głowie.

- A jeśli chodzi o nasze sprawy, to ten samochód, który zabrał wczoraj wieczorem trupa tego Chińczyka z ulicy, jest zarejestrowany na firmę KO-MO z Brentwood na Long Island. - Chociaż mówił już o czymś innym niż poprzednio, McCoy nie zmienił lekkości tonu ani o jotę. - Zaraz podam ci ich adres.

- Przy ulicy Lincolna 246? - ubiegł go Morkis, który już zdążył się zorientować, co Los - uśmiechnąwszy się wreszcie - chce mu przekazać słowami Toma McCoya, porucznika Wydziału Zabójstw NYPD.

- Skąd znasz ten adres? - zdziwił się McCoy.

- Jakby nie było, też się nie obijam. A tak serio, to mam tam pojechać z profesorem Wicksem po dwunastą, aby wymienić go na Alina, którego porwali, i dziesięć melonów... - odparł Morkis z nutą tajemniczego niedopowiedzenia na końcu zdania.

- Całkiem nieźle ci idzie - zauważył porucznik, kojarząc jednocześnie, jak może być gorzej. - Od kumpla z FBI dowiedziałem się, że to miejsce wykorzystywane przez członków organizacji zajmującej się szpiegostwem przemysłowym.

- To by pasowało do moich informacji jak klocki Lego.

- Czy będziesz tam potrzebował wsparcia?

- Jest nas sześciu. Wszyscy z giwerami. - Odpowiedź Morkisa cechowała rutynowa przebiegłość, wynikająca z tego, że cały czas, gdy nimi kierował od prawie trzech lat, aż do tej panoramicznej chwili odpowiedzi, wytrwał i zachował najważniejszą rzecz w całkowitej tajemnicy. Dzięki czemu wciąż mógł liczyć na gorliwą pomoc współpracowników. - Ale...

- Ale na wszelki wypadek dołączę do was razem z Joem, bo różnie może być.

- Jak chcesz. To wszystko?

- Na to wygląda.

- Okej. - Morkis rozłączył się i sprawdził wskaźnik zużycia baterii, zanim odwrócił wzrok od komórki. Nie było powodu do niepokoju, choć niewielka ilość minut do wykorzystania zmusiła go do uzupełnienia tego stanu za pomocą kupionej przed niespełną półgodziną karty doładowującej.

Od dłuższego czasu Alex nie wtrącał się do Gry, czekając na automatyczną zmianę wątku. A kiedy teraz się doczekał, wywołał zbliżenie twarzy Bakera, żeby lepiej przyjrzeć się grze Danny'ego de Vito, który grał tę rolę. Cóż za ucztą dla oka... duszy.

W Departamencie Policji Górnego Manhattanu były makler giełdowy Moe Baker zwrócił się do porucznika Gunthera Shultza:

- Tu mam numer rejestracyjny tego czarnego forda mustanga, którym wczoraj odjechał ten niby Smith i numer rejestracyjny, który przekazał przez telefon komuś do sprawdzenia.

- W tej samej chwili uświadomił sobie również, że to skaza na jego osobowości skierowała go na ten trop - jego brak wiary w ludzi i wrodzona podejrzliwość. Znajomość czyichś sekretów zawsze go kusila upajającym poczuciem wiedzy - możliwością kreatywnego połączenia kilku nitek informacji w logicznie spójną całość.

Kurna blaszka! Dlaczego Gra tak szybko powróciła do poprzedniego wątku?... Chyba już wiem! Muszę zadzwonić do Adama! - Nagle ten imperatyw stał się dla Aleksa tak wyraźny, jak zamglony obraz filmowy, który raptem nabrał ostrości, szokując przekazem.

- Chciałbym dokończyć. Można? - napomknął Robert, wciąż niepokieszony, że telefon Toma mu przerwał.

Morkis kiwnął głową przyzwalająco.

- Tylko że teraz będziesz miał na plecach chińskich speców od mokrej roboty, którzy będą chcieli jak najszybciej odzyskać tę forszę, a ciebie żywcem obedrzeć ze skóry. - Robert Donaldson, siedzący na tylnej kanapie forda mustanga, nachylił się do prawego ucha Morkisa i jakby w obrzędowym rytuale wypuścił w jego stronę ostatni kłęb dymu papierosowego, po czym niedopałek wyrzucił przez otwarte okno.

- Nie taki diabeł straszny, jak go malujesz - zdyskredytował słowa adwokata Morkis. - Przycupnę gdzieś na parę tygodni, pociągnę za właściwe sznurki i nie będzie aż tak źle... żeby nie mogło być gorzej.

- A Spółka...? - nadmienił z przekąsem George Downs nie kończąc zdania.

- Poczekaj sekundkę... - Morkis wbił odpowiedni numer do mobile'a na zakończenie doładowywania konta minut przeznaczonych na rozmowy. - Już ci odpowiadam. - Odłożył komórkę do korytka przy dźwigni zmiany biegów. - Spółka?... Spółka... - westchnął nostalgicznie i z lekkim zniecierpliwieniem. - Spółkę przeniesiemy do innego miasta. Na przykład do Waszyngtonu. Zmienię tylko personalia, twarz i fryzurę oraz odciski palców, założę wielkie czarne okulary et cetera. To nic trudnego.

- Będzie ci się chciało ciągnąć to dalej? Mając tyle kasy? - dokończył swoją poprzednią myśl George, zamykając szybę po swojej stronie samochodu.

- Szmalu nigdy nie będę miał dosyć, bowiem zdobywanie forsy stało się dla mnie nałogiem, takim jak palenie papierosów albo... - „Picie”. Morkis nie wypowiedział tego słowa, bo zawstydził się smutnej prawdy o sobie. Musiał prędko naprawić swój błąd, zatuszować tamtą sugestię. - Ale jak to mówią starzy Indianie: nie trzeba od razu wspinać się

na szczyt najwyższej góry tylko po to, żeby dowiedzieć się, że jest za niska, co nie?

- No nie... Nie, nie. - Wspólnicy zgodnie pokręcili głowami.

- I powiem wam więcej - perorował dalej Morkis, odwracając wzrok od Lucasa, który mówił coś do ślepego przez otwarte okno swojej grafitowoszarej corvetty. - Choć nasz okręt jest bezpieczniejszy, gdy cumuje w pięknym porcie, nie po to jednak buduje się okręty. Mam rację?

- Masz, masz. Waszyngton to bardzo dobry pomysł - pochwalił Morkisa mecenas Donaldson z przesadną gorliwością.

- Tam z pewnością nie zabraknie mi spraw zawodowych.

- Moja firma rozbudowuje tam filię. Mógłbym się przenieść - zadeklarował się George.

Obym nie wykrakał tego Waszyngtonu za wcześnie, zreflektował się Morkis poniewczasie, choć zawsze czyhał na takie właśnie symptomy ich wynurzeń - błędy, które będzie mógł wykorzystać, by niespodziewanie odwrócić sytuację na swoją korzyść. Być może kiedyś warto będzie pójść tym śladem.

- Tak więc widzicie, że co ma wisieć, nie utonie. Zresztą nie pierwszy raz to wam mówię. - Morkis wyrzucił niedopałek na zewnątrz samochodu i podniósł szybę do oporu. - Zadowoleni z takiej alternatywy?

- Obyś miał zawsze rację i stawiał kolację - podsumował banalnie adwokat, któremu nagle zaczęły się pocić ręce, a w sercu pojawił się niepokój: Peter o nas dwóch wie!

Morkis spojrział na zegar samochodowy, potem rozejrzał się dookoła: nie przyuważył już nic podejrzanego, Lucas odjechał, ślepiec odszedł, jedynie gapił się na niego mężczyzna z reklamy marlboro; jego kilkumetrowej wysokości, opalona twarz dominowała nad tą częścią ulicy, a lekko zmrużone oczy i stoicki spokój pozostawały niezmiennie, mimo upływu czasu. Na zawsze pozostanie jednym z jego dwóch idoli, symbolem epoki westernu, chociaż był tylko dwuwymiarowy i spoglądał na niego wyłącznie ze stron czasopism lub billboardów. W domu rodziców podczas posiłków zawsze siedział po prawej ręce swojego ojca. Ten dużo palił, popielniczka stała na prawo od jego talerza. To stąd wziął się mój nałóg. Ojciec, biedny ojciec, w pewnym sensie przypominał mi mężczyznę z reklamy marlboro. Przynajmniej wtedy.

- Już czas sprawdzić, czy rybka połknęła haczyk. - Jakby od niechcienia Morkis sięgnął po antypodsluchowego mobile'a i wysiadł z samochodu. Odszedł kilkanaście kroków chodnikiem, wyciskając wykuty na blachę numer działu kontroli stanu kont w Banku Barclays na Kajmanie Wielkim. Uzyskał połączenie po dwóch sygnałach oczekiwania.

- Bank Barclays. Czym mogę służyć? - odezwał się miły, wręcz sympatyczny, męski

głos.

Jednakże te słowa wprowadziły Morkisa w stan napięcia.

- Chciałbym poznać stan mojego rachunku na hasło - powiedział rozglądając się znowu czujnie, dobrze wiedząc, że w takich kluczowych momentach Gry szczególna czujność jest nieodzowna.

- Proszę podać numer konta i hasło.

Morkis podał cyfry i hasło. Czekał na informację kilkadziesiąt sekund, borykając się z ciszą panującą w słuchawce, ciężącą mu na sercu coraz bardziej. Kwintesencją wszystkiego, co się tu dzieje, skonstatował, słysząc tylko głos swoich myśli, jest GRA jako konwencja sensu Życia, gdzie wszystko jest możliwe w chaosie zdarzeń, nawet to, że Internet musi być kontrolowany, skoro technicznie jest to możliwe. Manipulacja wybranymi internautami będzie jedynie wierzchołkiem góry lodowej zwanej EKSPERYMENTEM, którego formalna niedoskonałość wyda się tu nieraz naciągana, przerysowana, żalosna czasem. Mimo to najważniejsze dla mnie jest, by wciąż być w Grze i dobrze się bawić. *(Przed świtem zawsze jest najciemniej, podsumował Alex te zdania, gdy coraz więcej ludzi nie potrafi już żyć bez mediów, bez telewizji i... bez Internetu. Ale chleb nadal im smakuje jak chleb, więc rób swoje, człowieku.)*

Zanim Morkis nabrał co do tego wątpliwości, że Gra to zabawa, uzyskał pomyślną dla siebie wiadomość. Poprosił o natychmiastowe pisemne potwierdzenie tej informacji na numer faksu Spółki Eksportowej, w której biurze czekał na to Parker. Urzędnik zapewnił Morkisa, że niezwłocznie wyśle faksem takie potwierdzenie.

Wróciwszy do wozu, z rozbijającym uśmiechem na twarzy, który był przeprosinami za to, że nadal miał przed nimi sekrety - bo przecież jedynie on znał prawdę - stwierdził:

- Rybka jednak połknęła haczyk. Teraz tylko poczekamy na potwierdzenie faksem, że się nie mylę.

- A gdzie stoi ten faks i kto odbierze wiadomość? - zainteresował się George na tyle rezolutnie, na ile zadawało to kłam faktowi, że mógł mieć z Peterem jakiś tajny układ, choć go miał, ale wciąż się ludził, że Robert o tym nie wie.

- Nie zapominajcie, że jeszcze jest nasz tajny zaaa... zbawiciel dusz. - Morkis spoważniał w sekundę na myśl o Parkerze; wbił wzrok w głąb swojego planu działania z obawą, że jednak coś przeoczył, może zaledwie jeden drobiazg, lecz taki, który pozwoliłby wyostrzyć obraz. Czasem tak się zdarza, że pominięty detal staje się kluczem do całej Tajemnicy. Kiwnął głową, jakby właśnie rozwiązał w myślach jakąś zagadkę, na przykład: Co łączy Lucasa ze ślepcami? Po czym oznajmił: - No, panowie, na nas już czas. - Włączył

silnik, wrzucił bieg i ruszył na spotkanie z tak zwanym przeznaczeniem.

- Nie uwierzycie mi, jak wam powiem, w jakim kraju żyjemy - odezwał się Donaldson tonem nader swobodnym, chcąc trochę z nich zażartować, skoro wciąż przed nim udawali, że nic tajnego ich dwóch nie łączy.

Niekiedy, choć rzadko, Peter Morkis i George Downs mówili jednym głosem.

- Nie uwierzemy.

- Nie musicie. Otóż pewna bogata mieszkanka Manhattanu podając do sądu znaną firmę marketingową z powodu nachalnych telefonów oferujących zakup setek zbędnych dla niej rzeczy, odkryła, że dysponują jej dossier, że to dossier liczy ze trzydzieści stron gęsto zapisanych, że zawiera ponad pięćset szczegółowych informacji na jej temat i że tamci kompletowali je od czternastu lat. Wiedzieli o niej niemal wszystko, łącznie z tym, jakie środki stosuje na bezsenność, na nadkwasotę żołądka i na hemoroidy, jakich mydeł, żeli i szamponu używa; wiedzieli, kiedy się rozwiodła, kiedy kupiła dom, na co jeszcze się leczy, znali bieżący stan jej konta, mieli nawet spis jej wykroczeń drogowych. Jednakże nie to było niezwykle, skoro ta firma założyła podobne dossier milionom Amerykanów - nie ona jedna zresztą. Żeby móc kimś manipulować, firmy są zdolne do wszystkiego. - Donaldson spojrział na George'a. Teraz on powinien coś wtrącić, żeby pokazać, że nie współmilczy z Peterem, ale się nie odezwał. Dlaczego? - Niezwykłe było to, że się o tym dowiedziała, dzięki detektywistycznym działaniom firmy Maksa na zlecenie naszej kancelarii, która ją w tej sprawie reprezentuje. Inspirujące, nieprawdaż?

- Aż nadto - znowu potwierdzili zgodnie, ukradkiem łypnąwszy na siebie porozumiewawczo. Obaj wiedzieli, że informacja o każdym cywilizowanym człowieku na tej planecie, nawet najbliższa, to doskonały towar dla kogoś, kto wie, co z nią użytecznego zrobić. Dlatego George stworzył MEEEGAPROGRAM na zamówienie Petera.

- Dodam jeszcze - kontynuował Donaldson, to spozierając na ich karki, to rozglądając się na wszystkie strony, by sprawdzić, czy na ulicach nie ma kogoś dziwnego, choćby więcej ślepych-ślepych ludzi - że jest teraz taka teoria restauracyjna, czyli plotka, która mówi, że jeśli można złapać wirusa AIDS, uprawiając seks z osobą zarażoną, to prawdopodobne jest załapanie w ten sam sposób wielu innych chorób, bez względu na to, czy mamy do czynienia z wirusem per se, czy też nie. Można trafić na przykład chorobę Alzheimera nawet w młodym wieku, dystrofię mięśniową, hemofilię, białaczkę, anoreksję, cukrzycę, raka, stwardnienie rozsiane, zwłóknienie torbielowe, porażenie mózgowe, dysleksję...

- Łęsz jak telewizor! - zaprotestował George tak energicznie, jakby na coś takiego był chory. - Nie można przecież złapać dysleksji z **cipy!**

- Ależ... kto to może wiedzieć? Udowodnij, że nie mam racji, skoro tak mówią w mediach.

- Racji?, srały muchy będzie wiosna... A zresztą, mogę ci udowodnić, ale nie wprost, bo jedyna rzecz, jaka przychodzi mi teraz do głowy, to plakat, który widziałem pewnej nocy na stacji metra... Na plakacie było zdjęcie barana z głową zwróconą w kierunku kamery, z szeroko otwartymi oczyma, w których odbijało się światło lampy błyskowej. Korpus tego zwierzęcia wyglądał, jakby go spłaszczono i przepuszczono przez wyżymaczkę. Pod zdjęciem umieszczono napis dużymi literami. Pytanie: „Dlaczego ten baran nie może chodzić?” Poniżej była odpowiedź: „Bo ma tylko dwie nogi.” Obok wisiał drugi plakat, taki sam jak pierwszy z wyjątkiem napisów. Tu brzmiał tak: „Trzymaj się z dala od publikatorów podprogowych”.
Kumacie bazę?

- Tatatak... - westchnął Donaldson - dziwny jest ten świat, w którym nic nie jest tym, czym się nam wydaje być. Trzeba mieć naprawdę grubą skórę, żeby przetrwać w tym matriksie.

Wkrótce dojechali do podziemnego parkingu usytuowanego w pobliżu biurowca Globalu. Na najniższej kondygnacji było wiele wolnych miejsc postojowych, więc Morkis wybrał to najbliższe wjazdu do góry.

- Przyjadą czarnym mercedesem klasy „S” - przypomniał współnikom, po czym zaczął wyłuszczać główne założenia dalszej rozgrywki: przejęcie ofiary, dostarczenie jej do odbiorcy i bezpieczny odwrót. Najprawdopodobniej na dnie dusz obu współników zaczynało kiełkować podejrzenie nieczystej Gry i bunt przeciwko próbie takiego właśnie pokierowania biegiem zdarzeń, ale nie potrafili wymyślić na poczekaniu niczego lepszego.

- Jeżeli będziemy musieli otwarcie użyć broni, będziemy spaleni i nie wiadomo, czy uda się nam zwiać - nadmienił adwokat, który musiał o tym przypomnieć już po raz trzeci.

- Co jak co, ale bez broni nie możemy się tam pokazać. Za duże ryzyko, że będą chcieli nas sprzątnąć - odrzekł Morkis.

- W biały dzień? W środku miasta?

Morkis westchnął głęboko niczym z dna najgłębszej przepaści.

- Właśnie taki nieprawdopodobny scenariusz prosto z Hollywood mógłby uspić naszą czujność. Już udowodnili, że nie są partaczami, lecz bezwzględnymi fachowcami, których stać na wszystko.

- Każda fikcja jest możliwa? - W głosie George'a zabrzmiało lekkie rozdrażnienie, tak typowe dla niego w obliczu rychłej konfrontacji zbrojnej.

- Każda.

- Masz smykałkę do dramatyzowania.

- Obym się mylił.

Zamilkli... W samochodzie rozlewało się czarne jezioro ponurej ciszy, która aż się prosiła o choćby nieproszone słowo tamujące powódź niepokoju, wiedzieli przecież, że Życie ukarze ich za każdy dobry uczynek, jak to w brudnej Grze zawsze bywa. George popełnił błąd, zadając głupie pytanie, stąd ta posepnie wymowna cisza.

Ku zadowoleniu Morkisa ponownie zabrzączał jego mobile. Przez cały ten czas, pomyślał, wiedza Tajemnicy znajduje się w ich zasięgu, przez cały czas...

- Przyszedł ten faks. Podać ci stan konta? - odezwał się Parker mało przejętym głosem.

- Czy dokument został sporządzony na papierze firmowym banku? - upewniał się Morkis, biorąc głęboki wdech, tłumiały wrodzoną nieufność wobec pomyslnych wieści.

- Tak. Z logo Banku Barclays na Kajmanach.

- Jaki stan? - Morkis zamknął oczy, przygotowany na najgorsze.

- Dziesięć milionów sześćset czterdzieści trzy tysiące osiemset dwadzieścia trzy dolary i osiemnaście centów. Zgadza się?

- Co do centa - odparł Morkis i świat znów się zmienił. Jego zakodowane przez telefoniczny szyfrator słowa pomknęły przez światła, dźwięki, wibrujący chaos miasta - molocha energii umysłowej. Przecięły fale dźwiękowe, mikrofały, światłowody, piksele wysokiej rozdzielczości, wiązki sygnałów satelitarnych, cały ten informacyjny gąszcz. Pomknęły ku nieskończonej czarnej pustce przestrzeni na wieczność, ale nie na zatracenie. Gdy otworzył oczy, wiedział już, że szykują się nowe kłopoty. Kto zgarnia forszę, zyskuje wrogów. Poza tym był o kolejny krok bliżej wielkiego celu. Czekają go jeszcze wiele skomplikowanych ruchów, lecz podstawowy etap - gromadzenie funduszy do wysokości co najmniej trzystu milionów dolarów na tajnych kontach - miał już za sobą. Teraz mógł wreszcie użyć magii części swojej Tajemnicy: wirusa prawdy. - Dziękuję ci. Możesz się zwijać. Zdzwonimy się później.

- Powodzenia.

- Nie dziękuję, ale przyda się na pewno.

Szczęście przydałoby się im teraz jak nigdy, bo żaden z nich na pewno nie spodziewał się tego, co miało wkrótce nastąpić. Bo niczego nie można było wykluczyć, absolutnie niczego. Bo niczyje Życie nie powinno być wypełnione wieczną troską. Bo rodzimy się, by odczuwać zachwyt, radość, nadzieję, miłość, by zdumiewać się tajemnicą istnienia, zdobywać mądrość, podziwiać piękno świata, z powodzeniem szukać prawdy i sensu Życia, a nie ganiać

głównie za forsa, pilnować dziesiątków szczegółów GRY, martwić się wszystkim, co nie cieszyło duszy.

Skupiony nad rozszyfrowaniem podtekstu tej refleksji Morkis spojrzął na zegar na desce rozdzielczej samochodu, potem na zegarek na ręce. Minęła już godzina dwunasta, a Max jeszcze nie przyjechał. Poczul na skórze karku jakby pajęczy dotyk przeznaczenia - wrażenie, że Tajemnica Internetu pogrąża się w smrodzie fekalii i krwi.

Akurat postanowił zatelefonować, by spróbować zapobiec nieszczęściu, gdy na zjeździe ukazał się czarny mercedes klasy „S”.

- To oni - rzucił do towarzyszy i dał sygnał światłami nadjeżdżającym. Mercedes zaparkował obok mustanga. Morkis wysiadł z wozu i podszedł do Maksa, który już zdążył wyjść mu naprzeciw.

- Musimy zaraz związać profesorka, aby wymienić go na Alina i dziesięć dużych baniek - powiedział tak cicho, by jedynie Max mógł go usłyszeć. Miało to brzmieć wystarczająco szorstko, by wyrzucić stosowną presję, konieczną dla precyzji dalszych działań.

- Czegoś podobnego się spodziewałem. Moi ludzie wiedzą, co mają robić. - Max dał znak ręką swoim detektywom, by wysiedli.

- Gdzie masz taśmę? - spytał Morkis.

Jako prywatny detektyw Max Platt lubił działać z zaskoczenia, ale przy tym nie lubił zbytnej brawury, dwuznaczności sytuacji i niepotrzebnego rozmachu w planowaniu akcji, więc bez słowa wyjął z prawej kieszeni płaszcza szarą szeroką taśmę izolacyjną, a z lewej nożyczki biurowe, które podał Morkisowi.

Tymczasem Wicks i dwaj detektywi wygramolili się z mercedesa. Rita umyślnie pozostała za jego kierownicą. Max bez słowa komentarza odwinął z rolki pół stopy taśmy i podstawił Morkisowi do odcięcia. Potem obaj zbliżyli się do Wicksa. Ruch głowy Maksa spowodował, że detektywi pochwycili profesora Wicksa pod ramiona i przytrzymali jak w kleszczach. Sytuacja stała się jasna, choć błyskawicznie zmienna. Morkis pochwycił profesora z dwóch stron: lewą ręką podparł mu tył głowy, a prawą unieruchomił podbródek, uniemożliwiając wydanie okrzyku o pomoc. Detektyw momentalnie zakleił taśmą usta ofiary. W następnym momencie skrupowano mu ręce wygięte do tyłu i nogi w kostkach. Po niespełna minutowej akcji zszokowany profesor Gordon Wicks wyładował - nie protestując - w ciemnym bagażniku mercedesa. Na razie wszystko szło zgodnie z planem Morkisa i... pana Komo, ale przecież plany mają własną filozofię, z którą przeważnie nikt się nie liczy, choć to poważny błąd.

Niezliczone bowiem możliwości kryły się nawet w ciemnościach zwykłego bagażnika mercedesa, zwłaszcza w jeden z tych rzadkich dni, kiedy można znaleźć nowe zamówienie społeczne - nową formę POSTĘPU, i wypełnić ją treścią: INTERNET W KAŻDYM DOMU! Oto nowe hasło wyborcze prezydenta na reelekcję - a bez względu na to, jaką drogę się wybierze, jeśli osiągnie się cel, to znaczy, że ten wybór był słuszny.

Trzeba tylko wierzyć, że wszystko, co złe jest jedynie chwilowe, że wkrótce Los się odmieni, że będzie dobrze, nawet bardzo dobrze. To ogromnie pomaga, skoro Tajemniczość woła nas, gdy patrząc w lustro rozpędzamy mrok naszych marzeń!

Cóż... sentencja ta przypomniała Aleksowi banał, że głupota nie wybiera, atakuje zniecka i w kilku miejscach naraz, a tym razem postanowiła jemu dopiec. Znowu dał się nabrać programowi Gry, bo kliknął tam, gdzie on chciał. Jeśli w gąszczu intuicji na temat istoty całej tej GRY - właściwie istoty jej superfikcji, bez której trudno nazywać ją Sperogry - ukrywa się myśl przewodnia, to być może tkwi w tym, że w życiu każdego człowieka istnieje punkt zwrotny. Jest to chwila, kiedy człowiek musi sam siebie zaakceptować. A już nie chodzi o to, jakim ma się stać na przykład pod wpływem Sperogry. Chodzi o to, jakim jest i jakim pozostanie mimo GRY. Niestety, tylko bardzo nieliczni rozpoznają ten moment. I wyciągną z niego wnioski oraz konsekwencje.

Mógłbym spróbować przechytryć samego Mistrza Tajemnic, podtrzymując swój wszechświat w jego wyobraźni, co w efekcie sprzężenia zwrotnego może wywołać w Grze jakąś odmianę biegu zdarzeń. W kulminacyjnym momencie takiej odmiany ujawniłbym swoją obecność na scenie zmieniając mój status z biernego na aktywny udział w Sperogrze - wówczas mógłbym zdemaskować Petera Morkisa jako oszusta, „odkryć” jego Tajemnicę Internetu, żeby tylko nie było tu nudno. A może lepiej byłoby włączyć do Gry odmienioną Sonię?

KLIK...

ETAP 0400

Lorna i Ellis Sloanowie dzwoniли się przed południem i umówili na wspólny lunch. O dwunastej mieli się spotkać przed głównym wyjściem z biurowca Hearsta przy Siódmej Alei na Manhattanie. Właśnie minęło południe, Ellis - prywatny detektyw zatrudniony w dużej firmie Mayday Services - zjeżdżał windą z dwudziestego piętra razem z innymi

pracownikami różnych przedsiębiorstw, których biura mieściły się w tym gmachu. Lorna zaś wędrowała niespiesznie chodnikiem, widząc już w oddali marmurowe kolumny pyszniące się przed wejściem do tego budynku. Po wyjściu z windy Ellis sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę cameli i zapalniczkę. Idąc przez wysoki i obszerny hol próbował przypalić sobie papierosa, ale w zapalniczce skończył się gaz.. Tuż obok niego szedł potężnie zbudowany, około pięćdziesięcioletni mężczyzna, co nosiło znamiona zwykłego zbiegu okoliczności. Ellis dotknął lewą dłońią jego prawego ramienia i spytał:

- Przepraszam, ma pan może ogień? - Spojrzał w rybie oczy nieznajomego, z uśmiechem pokazując mu swojego papierosa.

Zatrzymali się. Rybooki, trochę się guzdrząc, sięgnął do kieszeni marynarki pod skórzaną czarną kurtką.

- Mam. - Przyjrzał się uważniej palaczowi. Jasne lekko kręcone włosy, bladoniebieskie oczy, wysokie kości policzkowe, paskudna blizna po oparzeniu na lewym policzku, szpecąca pociągłą, inteligentną twarz. - Proszę. - Pstryknął płomykiem, unosząc wysoko brwi, choć tylko na tę sekundę, gdy ogienek się palił - nie zauważył niczego szczególnie groźnego w wyrazie twarzy palacza. Poza...

Zaciągając się szybko, Ellis przechylił głowę nieco w bok, jakby wzbraniał się przed nawiązaniem bliższej znajomości, chociaż miał na to wyraźną ochotę z jakiegoś tylko sobie znanego powodu.

- Spasiba - podziękował żartobliwym tonem i bystro zlustrował uprzejmego faceta: swój wyczuł swego.

- Na zdrowie. - Parker udał, że żart mu się spodobał. To nie może być przypadek, pomyślał jednak. Takich przypadków nie ma, bo ja w nie nie wierzę.

Ruszyli dalej nie odstępując się nieświadomie, jak to niejednokrotnie w Życiu bywa. I nic w tym nie było dziwnego... do czasu. Zbliżali się do otwartego na oścież, szerokiego wyjścia jako ostatni z tych, którzy wysiedli z wind. Lorna zwolniła kroku, dostrzegłszy już postać męża migającą wśród wychodzących osób. W samym wyjściu szumiał nadmuch ciepłego powietrza, który tworzył barierę cieplną chroniącą hol przed nadmiernym wyziębieniem. Po obu stronach drzwi rozstawiono automaty z napojami, batonami, papierosami i gazetami.

Ellis jeszcze nie zauważył żony, gdy przechodził przez tę powietrzną kurtynę. Kiedy ją zobaczył po lewej stronie, gwałtownie przyspieszył i skręcając w lewo zaszedł drogę uprzejmemu facetowi o rybich oczach. Uśmiechnął się do żony - miała kruczoczarne włosy, oliwkową cerę i onyksowe oczy - kątem oka widząc jakieś błyski, refleksy i cienie, na które

nie zwracał uwagi, a powinien.

Lorna, już jestem! - zawołał ją w myślach.

Lorna odwzajemniła uśmiech. Ellis, ty kopciuchu!, skarciła go w myślach. Kobieta na wózku inwalidzkim jechała prosto na Lornę, która odsunęła się, przepuszczając ją - karlthoonkę - z nieświadomością, że ten ruch uratował jej Życie.

Nagle Ellisem coś wstrząsnęło, wyhamował w pół kroku i wypuścił papierosa z palców prawej dłoni, którą następnie złapał się za pierś. Lorna była zaledwie o kilka metrów od niego. Jej mężem znowu coś zatrzęsło, odrzucając do tyłu. Z jego twarzy znikł uśmiech, a pojawił się wyraz zaskoczenia i niedowierzania, potem bólu i przerażenia. Coś rąbnęło go po raz trzeci. Lorna zorientowała się w końcu, co się dzieje, gdy jej mąż zaczął osuwać się w ramiona potężnego mężczyzny, który znajdował się tuż za Ellisem. Przeraźliwie krzyknęła:

- ELLIS!!!

Przechodnie zwrócili na nią uwagę, niektórzy nawet przystanęli. Ujrzeni, jak jeden mężczyzna uklada na trotuarze drugiego mężczyznę w pozycji siedzącej i kryje się za jego plecami, a do nich podbiega kobieta. Większość podążyła dalej, gdyż nowojorczyce nie cierpią stać w miejscu, a na dziwne wypadki wpadają nieomal codziennie. Zwłaszcza gdy robi się ślisko, bo pada śnieg, jak teraz.

Żona pochyliła się nad mężem.

- Looorna - wykrztusił z trudem, a szum powietrza w wejściu do biurowca prawie zupełnie zagłuszył to słowo.

- Tak, Ellis? - Nachyliła się, twarzą niemal dotykając jego lewej dłoni. - Co się stało? - zapytała obserwując powoli ciemniejącą plamę od krwi w okolicach serca i dwie następne po bokach. - O Boże jedyny! - jęknęła. - Ellis! Jesteś ranny!

Ellis przymknął powieki, prawą ręką zaczął macać po płaszczu w poszukiwaniu kieszeni, co wyglądało na jakieś dziwne odruchy nerwowe.

Poszukując ratunku dla męża, Lorna obrzuciła faceta, który krył się za plecami jej męża, spojrzeniem pełnym rozpacz. I zaraz zdała sobie sprawę, że emanowało z niego coś gwałtownego i niebezpiecznego, niczym ledwo powstrzymywany, ogromny potencjał, jego skupiona twarz była zbyt spokojna jak na tę straszną sytuację.

Co za opanowany typ, zauważyła z nadzieją. Może także detektyw?

- Zna pan mojego męża? - spytała.

- Nie - odparł beznamiętnie Manny Parker, który zdążył stwierdzić, że strzały padły z toyoty camry, która właśnie odjeżdżała. Już było po wszystkim. Odbyło się to tak szybko, że ani się nie przestraszył, ani nawet nie zdenerwował. Ułożył śmiertelnie ранego Ellisa

plecami na chodniku. Wyprostował się, żeby odejść bez żadnych wyjaśnień - nie chciał mieć jakichkolwiek kłopotów jako świadek, tym bardziej, że miał na sobie kevlarową kamizelkę kuloodporną i dwa pistolety, a tylko na jeden z nich posiadał pozwolenie.

- Ma pan telefon komórkowy? - zapytała Lorna. Czują, że zaraz zaczną płakać... krzyżeć... albo wyć.

- Nie - skłamał. Nie wzruszył się ani tyci tyci. Zabijanie tego wymagało jak powołania.

- Lorna. - Ellis otworzył oczy i wysilił się przy wyciąganiu z kieszeni płaszcza kawałek papieru, który wyglądał na kupon Lotto.

Gdy zauważył ten świstek tkwiący w palcach umierającego człowieka, Parker odruchowo wstrzymał pierwszy krok odwrotu. Wyczuł ową niedostrzegalną różnicę pomiędzy zwykłą sekundą, która właśnie minęła, a tą przyłapaną w locie - szansą, którą dopiero miał wykorzystać. Ten świat jest pełen niespodzianek, synu, przypomniał sobie słowa ojca. Nic nie jest tu naprawdę takie, na jakie wygląda.

Lorna opuściła wzrok na dłoń męża, kawałek papieru przyciągnął jej uwagę.

- Trafilem... dziesiątkę - wykrztusił z coraz większym trudem, podając jej kupon.

- Co? - Lorna przejęła paperek z niedowierzaniem, rozwinęła i przyjrzała się szczęśliwym cyfrom - fatalizmowi przyciągającemu nieszczęście z antyświata. Bo szczęście to śmieszna rzecz - czasami cholernie trudno stwierdzić, kto je ma, a kto nie, chociaż wszyscy ludzie ponoć wiedzą, co to znaczy mieć szczęście lub pecha - gdy śmiesz nas to, co pod tym ulotnym pojęciem dla człowieka mógłby wyszykować przewrotny Los.

Ręka Ellisa opadła bezwładnie, oczy uciekły w głąb, ale jeszcze coś mamrotał ostatnim tchem.

- Ludzie! - krzyknęła Lorna. - Zadzwońcie po ambulans!

Wśród gapiów powstało poruszenie. Ten i ów wyciągnął telefon i wycisnął 911. Parker pchany przez przezorność odszedł na bok. Wybrał osłonę dla obserwacji, chowając się za najbliższą kolumną, odległą o dziesięć metrów od miejsca tragedii. Miał dziwne wrażenie, że ktoś niebezpieczny wciąż ukrywa się w cieniu jakiegoś zamaskowania, obserwuje go, śmiejąc się w kułak z jego domysłów.

- Ludzie, dzwońcie po ambulans! Mój mąż jest ranny! - krzyczała Lorna, a proszący śnieg nieco tłumiał panikę w jej głosie.

Manny Parker widział śmierć wiele razy. Widział bliskich pogrążonych w niemej rozpacz, niektórzy ostrożnie dotykali zastygłej dłoni, jakby próbując zrozumieć, co się naprawdę stało, a także takich, którzy krzyczeli głośno, szlochali i rzucali się na ciała

zmarłych. A oszołomiona Lorna trzymała męża za rękę, przemawiając do niego tak, jakby mógł jej odpowiedzieć.

To była prawdziwa rozpacz.

Zwyczajna myśl, a właśnie o to chodzi.

Parker od razu założył, że ten zamach był na niego, ale nie miał stuprocentowej pewności, więc przyglądał się i czekał, co będzie dalej... Po chwili z wyciem syreny pojawił się policyjny radiowóz, jakby na zawołanie kogoś, kto nad wszystkim czuwał. Za szybko jak na zwykły przypadek, uznał Parker. Również ambulans pobił rekord przyjazdu. Niepewność podszeptowała uparcie, że to też coś znaczy.

Od bardzo dawna nikt na niego nie polował, a tyle razy sam był myśliwym, że zawsze zabezpieczał się kamizelką kuloodporną na tak dziwny wypadek jak ten. Nie wierzył w złe znaki ani inne zabobony, po prostu nie lubił kusić Losu.

Kto wziął go na muszkę?

Wczoraj wieczorem na ulicy w centrum Manhattanu z przymusu zabił żółtka, który chciał kropnąć Petera Morkisa. Prawdopodobnie powodem zamachu na Petera było porwanie przez Spółkę profesora Gordona Wicksa, zatem te strzały sprzed chwili także mogły być ripostą Chińczyków. Ale w jaki sposób namierzyli go w tym miejscu? Czy wiedzieli, że właśnie odebrał faks nadesłany z banku na Kajmanach? Kim byli w sensie zagrożenia dla Spółki? Czy wiedzieli, gdzie mieszka i kim naprawdę jest? Jego dom w Elizabeth był małą fortecą, pełną niespodzianek dla wścibskich intruzów, w niej czuł się bezpiecznie, lecz w tej chwili musiał założyć, że ma do czynienia z groźnymi fachowcami od mokrej roboty.

Jakkolwiek przyglądał się akcji ratunkowej z coraz większym sceptycyzmem i podejrzliwością, poczuł głód typowy dla pory lunchu, który skierował jego wzrok na człowieka sprzedającego prele nieopodal na ulicy. Ruszył w tamtą stronę głęboko wciągając w płuca zimne powietrze, chcąc sprawdzić, z jakiej odległości poczuje ich zapach, ignorując czerwone, żółte, niebieskie neony, reklamujące wszelkie jedzenie znane człowiekowi, to znaczy hamburgery i hot dogi.

Lecz kiedy zaczął już chrupać pierwszego precla, a przed oczami miał inną część Siódmej Alei niż przedtem, usłyszał szum w uszach, jakby się znalazł nad samym morzem. To oczywiście tylko krew płynąca żyłami z impetem. Czemu jednak mózg zareagował tak dziwacznie? Wiedział, że na coś się zanosi? Czy jego podświadomość zauważyła coś bulwersującego? Kogoś, kto... Po drugiej stronie jezdni stał ślepiec w czarnych lennonkach na nosie, w wełnianym płaszczu na grzbiecie. Asekurując się wahadłowymi ruchami długiej białej laski wystawionej przed siebie, wyglądał jak zjawą z antyświata przysłana tu przez

Łowcę Dusz.

*To nie do wiary, że już dobrnąłem do tego miejsca w Grze, do tej ważnej sceny, zdziwił się w duchu Alex. To na pewno jakaś podpucha. Pytanie tylko, co dalej. Jego umysł - dzięki efektowi psychoalbedo i poprzedzaniu - odłożył na bok w podświadomości cały ten chaos i zamęt udawania kogoś innego, który zapewne był już za nim. Trzeba będzie nawiązać łączność, pełniejszą łączność z podświadomością, nakazał sobie, i zmienić zasady Gry. Z tym zamiarem kliknął ikonę „AKTYWNY GRACZ” i poczekał na reakcję oprogramowania Gry. Posiadając od tego momentu nowe zdolności twórcze mógł wywinąć **IM** numer nie z tej Ziemi:*

SKIK...

PIERWSZE UDERZENIE PSYCHOARYTMII: W dziesięć dni później, też o godzinie 12.04, Manny Parker różnym krokiem wparował do westybulu gmachu pod numerem 44 przy ruchliwej ulicy Duane na Manhattanie, w którym miał wykonać swoje kolejne zadanie specjalne. Z pokazną skórzaną teczką w ręku wyglądał jak typowy, pospolity, choć w pewnym swoistym stopniu ekstrawagancki biznesmen, przyglądający się tablicy informacyjnej zamocowanej obok windy, na którą czekał dla pozorów. Jasnozielony prochowiec i filcowy kapelusz ciemnozielonej barwy czyniły z niego starszego gościa, a duże antyrefleksyjne okulary z zerowymi szklami, osadzone wysoko na wydatnym nosie, stanowiły dodatkowy kamuflaż, jako że w westybulu siedział znudzony portier.

Winda właśnie ruszyła z pierwszego piętra w górę. To mu dogadzało. Z prawej strony, na szerokich ceramicznych schodach nie było widać ani słycać żywej duszy, więc prędko wspiął się na drugie piętro, gdzie odnalazł drzwi z numerem 13. Dłonią zabezpieczoną skórzaną rękawiczką otworzył je ostrożnie, a jedno spojrzenie rzucone do środka upewniło go, że w biurze, oprócz Bucka Kevina Rempela - celu jego zlecenia - nikogo więcej nie ma. Rempel, wysoki na ponad metr dziewięćdziesiąt pięćdziesięciolatek o pociągłej twarzy i lekko przyprószonych siwizną ciemnych włosach, ubrany był w czarno-granatowy garnitur z wełnianej krepy z rozpiętą marynarką od Billa Robinsona i w białą bawełnianą koszulę od Luciana Barbery, ozdobioną granatowym krawatem w srebrne ukośne pasy również od Luciana... zresztą, cały jego wygląd sugerował pewną męską twardość.

Poza tym... widocznie był to akurat początek pory lunchu w tym biurze, a może i w innych biurach na całym korytarzu, bo panowała tam idealna cisza, o czym Parker przekonał się, wyglądając na moment na korytarz, po czym zamknął drzwi na

zasuwkowy zamek z wyczuciem rasowego włamywacza.

Rempel tego ruchu nie zauważył, choć być może podświadomie zdawał sobie sprawę, że ktoś wszedł do biura: nowy klient?, zajęty upychaniem jakiś papierzyków w swoim neseserze leżącym na biurku. Skupienie na jego twarzy powiedziało Parkerowi, że jest świadomy, iż każda chwila Życia to zrządzenie Losu - bo gdyby jakiś motyl machnął skrzydełkami choćby na drugim końcu świata, zanim Parker odebrał pewien list, nie wszedłby do tego biura w tym akurat momencie - tak powiązane jest wszystko w naszej rzeczywistości. Wreszcie ujrawszy Parkera stojącego przed jego biurkiem, Rempel powitał go serdecznie:

- O! Miło mi pana znowu widzieć, panie Parker. Cieszę się, że odwiedził nas pan w naszym nowym biurze. - Postąpił zachęcający krok do przodu. - Czym mogę panu dzisiaj służyć?

Parker zupełnie nie spodziewał się tego szokującego pomysłu Losu, którego początek zaczął rozgrywać się na jego oczach. I nagle przypomniał sobie, że był klientem innego biura obrotu nieruchomościami, przed jedenastu laty, gdy kupił za jego pośrednictwem swój obecny dom w Elizabeth. Ale doskonale pamiętał, że na pewno nie był wówczas obsługiwany przez tego człowieka, który krygował się przed nim i którego fenomenalna pamięć, wręcz komputerowa, zrobiła na Parkerze piorunujące wrażenie, bo nie wróżyła nic dobrego.

- Jest pan tu sam, prawda? - zdobył się jednak na pytanie, które tak naprawdę nie było banalnym pytaniem, tylko rutynowym analizowaniem sytuacji stwarzającej okazję załatwienia sprawy od ręki, sytuacji, której omyłkowym zakładnikiem nie chciał zostać. Wyłącz emocje! Włącz kreatywność! - powiedział sobie. Jego nastawienie do improwizacji zmieniało się z psychoarytmią.

- Owszem, sam. Wszyscy już wyszli na lunch - padła kusząca odpowiedź. Każde miejsce, jakie kiedykolwiek widzimy jest powiązane z konkretnym czasem. Sypialnia, gdzie budzimy się co rano, wydaje się tą samą, w której zasypialiśmy - ale tak nie jest. W strukturze czasoprzestrzeni zaszła bowiem daleko idąca zmiana. Dziecko wychodzące do szkoły, które całowaliśmy na pożegnanie, nie było takie samo jak sześćdziesiąt sekund wcześniej. W ciągu tej minuty milion jego komórek skóry obumarło i zastąpiły je nowe. Najmniejsze skrawki czasoprzestrzeni oddzielają nieprzewidywalną nową myśl od działania. Życie od śmierci. To normalka. Dlatego...

Pod wpływem naturalnego impulsu, który nawiedzał go nader często, Manny Parker zaryzykował jak nigdy - bez kontynuowania wstępnego rozpoznania

błyskawicznie wydobyl spod płaszcza, zza pazuchy, mały rewolwer z tłumikiem. Wymierzył jeszcze szybciej w pierś Rempela, któremu oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- O co panu chodzi? - zachnął się wszakże z ową twardością właściwą ludziom odważnym. - To jakiś żart? - Spróbował się uśmiechnąć uśmiechem kogoś, kto zna się na żartach, ale w rybach oczach Parkera wyczytał wyrok śmierci. A widząc, jak odwodzi kurek i starannie celuje mu w serce, zapytał jakby zbyt naiwnie: - Chyba nie chce pan strzelić akurat do mnie?

Parker odpowiedział jedynie posępnym spojrzeniem: Co za głupie pytanie?

W desperackim odruchu ratunkowym Rempel zdążył jeszcze wykonać gest, który Parkerowi wydał się tyleż natchniony, co śmieszny. Z napięciem na twarzy, że się spóźni, pospiesznie wskazał ręką stalową szafę ustawioną w rogu pokoju i wyskandował:

- W tej szafie jest mnóstwo forsy! W kieszeni mam klucz! Może pan wszystko zabrać!

Zabrać?... Parker poczuł ulubiony zapach gotówki i zawahał się na moment - moment, który mógł wstrząsnąć jego wszechświatem od podstaw - po czym ponownie zaryzykował.

- Ile tego jest? - spytał, dostrzegając okrągłą galkę szyfratora. W Życiu czasami wszystko zawisa na włosku, bo człowiek ryzykuje jak głupiec, który myśli, że jeśli coś starannie zaplanuje, to się uda; głupiec popychany chciwością, zazdrością czy nawet żądzą zemsty, nie zdający sobie sprawy z prawdziwych konsekwencji swoich czynów, zależnych czasem nawet od machnięcia skrzydeł motyla na drugim końcu świata. Gdy uda mu się raz, próbuje drugi i trzeci, aż w końcu „dobrą passę w Grze” przerwie coś - co może być czymkolwiek pozornie nieważnym - co decyduje jednak o wszystkim. Także o tym, co jest ukryte w Przyszłości, i wszystko tam wiąże ze sobą.

Rempel bynajmniej nie był byle jak wyszkolonym agentem specjalnym FBI, więc poruszał wargami, jakby ostatkiem rozsądku wstrzymywał się od natychmiastowej odpowiedzi, jakby chciał, a nie mógł wydusić z siebie prawdy, w końcu wyznał:

- Pół miliona.

Choć tknięty nagłą przestrogą, że coś tu cholernie nie gra, Parker rozkazał:

- Otwieraj!

Podczas gdy Rempel zajęty był otwieraniem pancерnej szafy, Parker postawił swoją pustą teczkę na zielonej wykładzinie dywanowej, drugim ruchem tej samej lewej ręki wysypał na podłogę zawartość neseseru Rempela, nieco modyfikując prowizoryczny plan, który powstał w jego głowie w momencie, kiedy tu wszedł - w takich pulsujących

niespodziankami chwilach zdawał się głównie na swoje doświadczenie płatnego zabójcy połączone z intuicją w improwizacji.

Kiedy Rempel odsunął się na bok, Parker ujrzał na środkowej półce rząderek usztaplowanych równo pliczków nowiuiteńskich banknotów - miły, bardzo miły dla oka widok, chociaż nabyta z wiekiem podejrzliwość przyhamowała rodzące się zadowolenie: Dlaczego tu są tylko nowiuitkie banknoty?

- Pakuj to wszystko do tych dwóch teczek - zarządził, mimo podejrzewania, że pakuje się w kolejne kłopoty. - Tylko tak, żeby się zmieściło.

Obserwując, jak Rempel układa w neseserze sztapel gotówki, Parker wyczuł jego zadziwiający spokój. Na co liczył? Na co czekał? Na co się nastawiał?... Być może szykował się do zaskakującej kontry. Może wiedział o czymś, co zaraz odwróci sytuację na jego korzyść?

- Po co trzymacie tu tyle gotówki? - Parker po prostu musiał zadać to pytanie.

- To... depozyt klienta, zaliczka na kupno drogiej rezydencji - skłamał Rempel.

W jego spojrzeniu kryło się jednak to coś, czego Parker, choć wyczuł kłamstwo, nie potrafił, pomimo silnego wrażenia, że zna to spojrzenie, rozszyfrować. Serce pompowało mu do żył tyle adrenaliny z nadnerczy, że czuł, jakby przez całe ciało przebiegał swoisty prąd, który go napędzał.

Po zamknięciu drugiej teczki Rempel przezornie cofnął się o dwa kroki. Jego jasne oczy zaszklily się niebezpiecznie.

- Stań tam! - rozkazał Parker wskazując najdalszy od siebie narożnik pokoju. - Rączki do góry i odwróć się do mnie plecami.

Rempel próbował zaprotestować powtarzając: „Ale”, „ale” w poszukiwaniu odpowiednio sprytnego argumentu do dalszej rozmowy prowadzącej do...

Lecz Parker go ostrzegł:

- Nie ma żadnego ale, jeśli chcesz przeżyć, stawaj w kącie. Śpieszę się.

- Aleee co pan chce teraz zrobić?

- Jeżeli zaraz nie usłuchasz, zginiesz za trzy sekundy. Nie rozumiesz? Mam ci przeliterować? No, jazda! Do kąta!

Mimo oporu zdrowego rozsądku Rempel usłuchał... wszak nie do końca. Owszem, wiedział, co powinien teraz zrobić i zaczął się do tego szykować, najpierw pokręciwszy głową przecząco - nie ufał swoim nerwom na tyle, żeby się jeszcze z czymś odezwać - po czym odwrócił się plecami do Parkera. Przeszedł w wyznaczony narożnik pokoju. Stał z rękoma podniesionymi do góry, jednak głowę trzymał tak skrzyżowaną w

bok, że prawym kątem oka widział Parkera.

Ten odłożył rewolwer na biurko, zdjął jasnozielony prochowiec i wywrócił go na wewnętrzną ciemnobrązową stronę. Kapelusz z szerokim rondem wepchnął do swojej teczki. Życie nauczyło go nosić przy sobie plastikowy woreczek z dość dużymi kawałkami zżutych gum do żucia, by w takiej właśnie chwili wsadzić je do ust i mocno wypchać nimi policzki jak u Marlona Brando w *Ojcu chrzestnym*. Przyklejenie dwóch sporych pasków wosku teatralnego za uszami spowodowało, że zrobiły się o wiele bardziej odstające. Strzepnięta na czoło czupryna wyglądała jak grzywka, a założone na nos przyciemniane okulary typu lennonki zasłoniły charakterystyczne rybie oczy. Potem ugiął nieco nogi w kolanach, pochylił ramiona, zgarbiwszy się jak starzec, stał się o dobre dziesięć centymetrów niższy na oczach coraz bardziej zaniepokojonego Bucka Kevina Rempela, który do tej chwili ludził się, że to będzie tylko napad rabunkowy.

Załoczył chyba, domyślił się Parker, gdy zauważył, że jest obserwowany, iż pan Parker, który kupił za pośrednictwem ich dawnego biura obrotu nieruchomościami dom w Elizabeth ponad dziesięć lat temu, nie jest tym panem Parkerem, którego widzi kątem oka, tylko do tamtego kupca ludząco podobnym rabusiem, dodatkowo zmieniającym się w kogoś jeszcze innego. Albo - pan Parker wszedł do jego biura jako dawny „pan Parker”, a zamierzał wyjść jako ktoś zupełnie inny; kto widział go wchodzącego tutaj, nie poznałby go w tej zmienionej postaci; nikt nie poznałby, prócz Bucka Kevina Rempela...

Gdy Parker skończył już swoją metamorfozę i sięgał po rewolwer ich spojrzenia znowu się spotkały, ponieważ Rempel obrócił się pełną twarzą do... przeznaczenia. Jedne oczy były wodnistosine i drapieżne nad okularami, a drugie zielonkawo połyskliwe i śmiertelnie czujne. W tym momencie Rempelowi zaświtało we łbie to, co błysnęło mu już wcześniej, mimo że ludził się do ostatniej chwili, że prawda, brutalna prawda, nie będzie prawdą naprawdę, tylko kłamstwem, pożądanym i uprawdopodobnionym kłamstwem. Ten czar objawienia, że czarny tunel lufy prowadzi do śmierci, poraził go, ale też zmusił do rzucenia się do ataku. Wówczas celny strzał osadził go w miejscu.

Tak naprawdę to Rempel nie poczuł samego uderzenia pocisku: po prostu jego ciało bezboleśnie połknęło go w całości, bo był na to nastawiony. A umierające oczy miał szeroko otwarte. Wpatrzone w Boga, który już o nim zaczął myśleć w innych kategoriach niż do tej pory? Biała koszula i czarno-granatowa marynarka nasiąkały krwią niczym bibuła, tworząc doskonale wrota dla jego ulatującej duszy.

Był sobie Buck Kevin Rempel, pomyślał Manny Parker, kiedy pocisk trafił w

samo serce ofiary. I już go nie ma. Dlaczego pozbawiał Życia ludzi dla pieniędzy? Dlaczego sprawiało mu to przyjemność? Dlaczego odpowiedź była tak bardzo złożona? Dlaczego nie potrafił być ze sobą szczery?... Przez, może, sekundę, kiedy chował rewolwer do kabury, wydawało mu się, że wie, w czym rzecz. Ale równie szybko świadomość ta znikła.

Nadchodzi, uświadomił sobie Alex, czując narastający niepokój łamiący mu psychikę. Atak fugi nadchodził. Zbliżał się bardzo szybko. Stąd to rozkojarzenie bliskie całkowitego rozartagnienia? Niemal każdy człowiek ma swój narkotyk-pasję, z której czerpie siłę życia, nawet człowiek taki jak on - czujący w sobie diabła. On dobrze znał swojego demona i równie dobrze potrafił rozpoznać tych, którzy nosili je w sobie, jak choćby Rosemary czy Nikołaj albo Brandon. Ktoś, kto nigdy nie wpadł w żadną paranoję, czy lekką schizę, ani dowolną manię, nie zdoła sobie tego wyobrazić, do czego wówczas zdolny jest chory człowiek. Do wszystkiego? Czy to mało, czy dużo? Teraz na pewno warto by było dowiedzieć się o Nikołaju czegoś więcej, skoro to on kliknął przedtem, a nie ja, ale wówczas trzeba by przyoblec swoje zamiary w czulą tajemniczość słów przynęty. Lecz atak był blisko. Bardzo blisko. A przecież zawsze stał za plecami Aleksa, dając najpierw znać o sobie jako głosy. I cienie w jego wyobraźni.

Na ekranie wizyafonu Parker obrzucił biuro ostatnim kontrolnym spojrzeniem... gdy rzeczywistość nagle powróciła z całą ostrością do świadomości Aleksa. Nigdy w życiu nie doznał takiego olśnienia grozy. O Boże! Ależ oczywiście, zgadza się. Jasne! Skurwysyn Roger dzwonił przede wszystkim w sprawie Adama! Mają mojego syna, synową i wnuczeta!

*To niemożliwe! - zaprzeczył sam sobie. - Roger jest zwykłym człowiekiem, a nie **ICH** pomagierem. Nigdy dotąd nie pojawił się w jakiejś podejrzanym konfiguracji osób bądź zdarzeń. Doprawdy nie...? Czy tylko tyle masz na zanegowanie faktu, że na samo zakończenie telefonicznej rozmowy Roger prosił o pozdrowienie Adama i jego rodziny? Nigdy przedtem tego nie zrobił!*

Niemniej, któraś część umysłu Aleksa, najwyraźniej nieprzejęta zbytnio nawet tak wyjątkowym podejrzeniem, ostrzegła: „Uważaj, matole, na swoje miny. Jesteś świetnie widoczny en face. Jeśli dasz poznać po sobie, że to odkryłeś, już będzie po tobie i dzieciakach. Kliknij gdzie bądź, a może wszystko jeszcze się jakoś ułoży”.

KLIK...

*

Potem Parker podniósł obie teczki - były tak przyjemnie ciężkie - zerknął na zegar wiszący na ścianie i stwierdził, że cała akcja trwała zaledwie siedem minut.

Dostrzegł też coś leżącego na podłodze wśród rozrzuconych szpargałów, co w pewnym sensie już przedtem zwróciło część jego uwagi, ponieważ miał zdumiewające oko do szczegółów.

Był to telefon komórkowy mobile. Taki sam, jakiego używał on wyłącznie do kontaktowania się z Peterem Morkisem. Antypodsluchowy mobile: gadżet - suvenir Losu? Tknięty przecuciem Parker podniósł go z podłogi i sprawdził numer, z którym ten telefon ostatnio się łączył: był to numer mobile'a Petera Morkisa! W intuicyjnym odruchu - to należy przemyśleć - włożył tę komórkę do kieszeni brunatnego teraz prochowca, po czym wychynął z pokoju na korytarz.

O godzinie 12.17 siedział już w samochodzie wynajętym na fałszywym prawie jazdy i karcie kredytowej. Po odłączeniu baterii od znalezionej mobile'a pojechał na najbliższy wielopoziomowy parking, gdzie przede wszystkim zmienił wygląd twarzy. Płaszcz zastąpiła ocieplana skórzana kurtka, na głowie pojawiła się czarna bejsbolówka, z nosa zniknęły przyciemniane lennonki, za to wyrosły pod nim sumiaste siwawe wąsy.

Kilkanaście przecznic dalej na północ kupił nylonową torbę podróżną i przeladował do niej forszę, którą od razu ukrył w skrytce pocztowej na najbliższej poczcie. Płaszcz, rewolweru i kapelusza miał zamiar pozbyć się później, ponieważ teraz musiał pędzić do baru Ring, mieszczącego się na rogu ulic Canal i Bowery, by zdążyć tam na godzinę trzynastą.

Nieoczekiwana łatwość dokonania tej zbrodni wprawiła Parkera w klawy nastrój, ale nie trwało to dłużej niż do godziny trzynastej.

„PAUZA” - KLIK...

- Mocno! - było słowem wypowiedzianym przez Aleksa głośno, a związanym jedynie ze sztuczką odsunięcia na sekundę tych gorszych przewidywań rozwoju sytuacji: porwania syna razem z jego rodziną przez **NICH**. Powstrzymując się od zdjęcia z głowy helmu wizuafonu, właściwie chciał tylko przez chwilę zastanowić się nad tym, czy zmiana jego statusu w Grze na aktywny udział wywołała w nim nowy sposób kojarzenia detali, który mógł **ICH** zwieść na manowce. Mógł na przykład zastosować tropizm ruchami konika szachowego - wymagający innej logiki niż ta, jakiej uczy życie w dobie ekspansji Internetu, skoro każdy szczegół na stronie www może nieść ze sobą określony przekaz podprogowy. Logiki podskórnej, długofalowej i nieważkiej zarazem, w której przy każdym skoku konika należy otwierać się na pewne skojarzenia podświadome, na pewne cykle skojarzeń, na związki karmiczne - zjawiskowa spektakularność nie zna granic! W sumie na takie powiązania, gdzie cała seria drobnych i pozornie nieważnych wypadków, zapoczątkowana trzaśnięciem drzwi, na które

nałożył się czyjś zapach potu ze strachu, potem wspomnienie uliczki z dzieciństwa i widok donicy z egzotyczną rośliną, układały się w jakąś figurę, w jakąś konkretną konstelację o nazwie choćby **TAJEMNICA INTERNETU**. Figurę jednak zupełnie obcą tym wszystkim elementom, nie mającą z nimi żadnych wyraźnych styczności, która przez jakiś niepowtarzalny, już miniony moment proponowała dostrzeżenie okna terminalowego - przejścia do innego wymiaru Gry dezorientującej tym, co niewidzialne - w tym, co dla niektórych Graczy było wyłącznie trzaśnięciem drzwi, zapachem, uliczką, donicą, i te pe. (Audycja zawiera lokowanie produktu!)

Pomijając zaś najgorsze, kiedy widzenie peryferyjne zaczyna podejrzanie falować, każdy szczegół w dowolnej sekundzie Gry może oznaczać możliwość nagłej odmiany jej rzeczywistości, która może nastąpić, ale nie musi, jeśli on nie kliknie, gdzie trzeba. Za to czytelnik - jeżeli ma bujną wyobraźnię Gracza - może (choć nie musi) wyobrazić sobie, co by się działo, gdyby nagle sam skręcił i zboczył lub zawrócił i wpadł do innego wszechświata, bo przecież „tam” również toczyła się Gra i ciekawe, jak przebiegała. Dlatego też, wszystko to, co się przydarzyło nam może mieć dalszy ciąg równocześnie na dwóch planach istnienia: świadomym i podświadomym, bowiem jesteśmy sobą w tych dwóch postaciach połączonych choćby snem... wykreowanym przez nieoczywistość w najczystszej postaci.

Gdybyż więc założyć, że każda chwila życia świadomego posiadała swój utajony, podświadomy odpowiednik-początek, a wszelkie konstrukcje myślowe związane z określonymi, różnorodnymi sytuacjami życiowymi kształtowały się na zasadzie uzależnienia od podświadomego tła, które, choć nam nieznane, regulowało - poprzedzało - świadome działanie w stopniu niewyobrażalnie konsekwentnym, skutecznym i wszechstronnym, wówczas ukazując nieprzewidywalność ludzkich losów w dłuższej perspektywie Sferogry i nieprzewidywalność ludzkich reakcji w krótszej, Alex Rifle mógłby teraz wykazać w Grze, że te dwie rzeczy nie są niczym ze sobą połączone, chociaż, rozsądnie myśląc, pierwsze wynikało z drugiego. Ale Aleksowi nie chodziłoby o zwykłe „reakcje prawidłowe” ani o „losy zaplanowane”, tylko o prawdziwą nieprzewidywalność jednych i drugich, która absolutnie zaskakuje w Grze, bo przecież wokół nas istnieje wiele niedostrzeganych drobiazgów, za którymi kryje się wstęp do innej - zadziwiającej - krainy.

W Internecie na przykład są miniseci broniące zaszyfrowanymi hasłami dostępu, gdzie można znaleźć sporo różnych for. Przeważnie jedno z tych forów jest swego rodzaju giełdą, na której ludzie oferują różnorodne rzeczy do sprzedania lub chcą coś kupić. A na świecie panoszą się niesamowite okropieństwa, na które zawsze będzie popyt wśród ludzi rządnych wrażeń. Stąd mogły się brać superwizje, które przelatywały przez umysł Aleksa

najczęściej bardzo szybko, ale też czasem ciągnęły się jak guma do żucia, powodując dziwne falowanie tego, co ważne i nie najważniejsze... kiedy chciał kliknąć.

LUP!

Nagle jakiś kształt wysunął się z pęknięcia w ekranie wizuafonu, gdzieś na krawędzi percepcji pola widzenia Aleksa. Coś obłego i zarazem cienkiego jak owad (osa?), co stanowiło zagrożenie, a pojawiło się jak na zawołanie. Wiedział jednak, że to znów iluzja umysłu, zwykle złudzenie, po prostu halucynacja. Nieraz już widywał podobne fantomy, wyskakujące z podświadomości jak królik z kapelusza. To kolejny objaw uszkodzenia mózgu, którego doznał w dzieciństwie? Nie należało zwracać na to uwagi, nie należało się bać, nawet jeśli do jego uszu docierało brzęczenie przezroczystych skrzydełek: bzzz, bzzz, bzzz.

Alex nie chciał dłużej tego owada widzieć. Zamknął oczy. Ale nadal słyszał bzyczenie skrzydełek. Zaciśnął zęby. Znikaj! - warknął w duchu. - No już!...

Odgłos ucichł raptownie. Na idealnie czarnym ekranie wizuafonu Alex nie zauważył już niczego podejrzanego. Wsłuchał się w domową ciszę, która podpuszczała go, że wszystko jest w porządku, jakby chciała, żeby popełnił błąd, kreując dalszą Grę pod wpływem ostatnich przemyśleń. Nie do wiary, że zaledwie trzydzieści lat temu nie było światłowodów, telefonów komórkowych, Internetu. A dziś? Dzisiaj strach pomyśleć, co czeka następne pokolenia, skoro nie będą mogły ufać swoim zmysłom, a uznają tę ułomność za coś normalnego.

*W tle tych przemyśleń chór natarczywych głosów śpiewał cichą zagadkową pieśń: **...zbawienie przynosi sen, którym można się bawić, odnajdziesz do niego klucz w grubych tomiszczech trylogii, gdzie ciągną się opowieści dziwnej treści, a z każdej stronicy wyzierają duchy... mediów. (Przekaz podprogowy!)***

*Niewątpliwie Sperogrę nasyciono sekwencjami przekazów podprogowych, atakujących mentalność Aleksa, ale jak dotąd nie potrafił rozpoznać u siebie wyraźniejszych kontrreakcji podświadomości niż ta pieśń. I jeszcze nic nie pozwalało mu domyślić się hasła Sedna Gry, nawet poprzez myślenie życzeniowe. A dzięki „magicznym” kłamstwom Tajemnica Internetu na razie mu się wymykała. Może nigdy nie stanie się dla niego naprawdę jasna, skoro wszystko w życiu jest takie kruche. Wystarczy jedna chwilka - pstryk - i już jesteś załatwiony. Całe życie boimy się, że ten moment wkrótce nadejdzie, choć nie wszystko bierzemy na poważnie, zwłaszcza tego, w co trudno uwierzyć: że świat nie jest taki, jak się nam wydaje. Szary człowiek nie ma pojęcia o tym, w kierunku czego jest przez **NICH** prowadzony. Telewizja, Internet, Sperogra to kolejne „ułatwienia” na tej drodze. Odkrycie Tajemnicy Sperogry daje Wiedzę, jak omijać życiowe przeszkody, zaś umiejętność jej wykorzystania jest twoją Tajemnicą Gracza. Trzeba tylko mieć odwagę, żeby zagrać va bank...*

Alex podniósł do góry przyłbicę-ekran wizuafonu, obrócił się w fotelu i spojrzał na ocean. Gdyby teraz zdecydował się porzucić Grę - przerwać TEST na speropodatność - straciłby szansę na... pokrzyżowanie planów Agencji, na wykolejenie lokomotywy jej EKSPERYMENTU, okazałby się „małym” człowiekiem, a cały wysiłek tworzenia od początku Gry własnego psychomoderatora podprogowego, broniącego podświadomość przed cyberatakami Sperogry zostałyby zaprzepaszczony. Ale jeśli ONI rzeczywiście porwali Adama, Betty i moje wnuczeta...?

Nie! Nie ulękę się! Będę grać do końca! Albo załatwię mnie wcześniej!

- Albo załatwię mnie wcześniej! Tak, to wystarczająco pięknie zabrzmiało. Zginiesz za... jakiś tam psychomoderator podprogowy! - zadrwiła Rosemary. Jej dłoń trzymająca między palcami czarną cygarniczkę uniosła się i mały palec dotknął nosa Aleksa. W tym momencie przyszło mu do głowy (i odtąd ta myśl niejeden raz miała doń powracać), że cały jego trud, żeby jednak wygrać tę Grę i choćby pozornie stać się przez to znowu tym, kim był przed rozpoczęciem GRY, w ostatecznym rozrachunku okazał się teraz tyle wart, co jeden dotyk tej nagiej kobiety - ani trochę więcej. Tyle, co ulotna gładkość tej dłoni. Tyle, co delikatność tych palców. - Szukaj ukrytej treści wewnątrz scen na ekranie. Czasami trudno ją dostrzec, ale taka treść zawsze tam istnieje. A jeśli ona ci umknie, możesz stracić to, co najważniejsze. Uwierz mi, Alex.

- Wierzę ci. Z tym że niektóre sce... - Alex urwał w pół słowa, bo zaświtało mu coś niepojętego. Siegnął po mysz niezbornie, nieomalże zrzucając ją z biurka. - Jezu Chryste... - wymamrotał. - Już wiem!

- Gdy ci się uda przeniknąć przez zasłonę miliona słów, bądź gotowy, żeby zobaczyć wszystko do końca - kontynuowała Rosemary, jakby wiedziała, co olśniło jej twórcę. - Jeśli od tej pory chcesz pokierować Grą według swojej woli - niech ci twój Bóg w tym dopomaga - nie waż się zatrzymywać bez powodu, nim dotrzesz do Sedna Gry, bo to strata czasu. Zstępuj do głębi tego, co widzisz, za żadną cenę nie dając się rozszyfrować, i bierz swoje znaleźne. Graj dalej bez wahania, nawet za cenę wielkiego cierpienia. Jednak zanim klikniesz teraz, pamiętaj, że nieustannie jesteś badany wariografem Tajemniczości.

A jeśli ta GRA nie jest tym, czym mi się wydaje? Przyłbica - ekran zakryła oczy Aleksa, niczym bielmo oczy ślepcy, który widzi wyłącznie swój świat. Mimo wszystko miał ochotę zapaść się głębiej w tę chorobę psychiczną, głębiej, głębiej, coraz głębiej, więc kliknięciem znowu odciął się od szarej rzeczywistości życia.

KLIK...

No dobrze, spyta ktoś, ale o czym była ta książka? O zjawisku Tajemniczości?... Czyli

o czym? O tym, że Życie - szare życie zwykłego człowieka - jest Wielką Tajemnicą w każdej sekundzie, gdy uzależniony od wielu okoliczności człowiek ten, krok po kroku, posuwa się po drodze swojego istnienia, nie wiedząc, co się za chwilę wydarzy. I czasem pragnie, by przytrafiło mu się coś Tajemniczego... Dlatego czyta książki, więc Internet mu nie szkodzi tak bardzo jak innym uzależnionym od kompa. Ale zapomina o jednym... o psychoarytmii.

Ciąg dalszy w części 2.